

SABINE  
EBERT

**MARZENIE  
ZNACHORKI**

PIĄTY TOM URZEKAJĄCEJ SAGI O ZNACHORCE.  
KLIMATYCZNA OPowieść O MIŁOŚCI, UPORZE I ODWADZE.

SABINE EBERT  
MARZENIE  
ZNACHORKI

Z języka niemieckiego przełożyła  
Małgorzata Huber



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
DER TRAUM DER HEBAMME

Copyright © 2011 by Droemersch Verlaganstalt  
Th. Knaur Nachf. GmbH & Co. KG, Munich, Germany  
[www.sabine-ebert.de](http://www.sabine-ebert.de)

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk  
Korekta: Aneta Iwan, Anna Just

ISBN: 978-83-7999-579-0

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)  
[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

## Dramatis Personae

## Prolog

## Część pierwsza. Powrót

Jesień 1191 roku, kilka mil przed Weissenfels

Niepewność

Oświadczyzny

Na zamku Wartburg w Eisenach

Freiberg, jesień 1191 roku

Plany na przyszłość

W tym samym czasie na miśnieńskim zamku

Zajście we Freibergu

Potajemne plany

Ponowne spotkanie w Weissenfels

Atak

Bród

Oblężeni

Narada wojenna

Nocne rozmowy

Wyzwanie

Matka i córka

Więźniowie

Spotkanie z oblubienicą w Eisenach

Oblężeni

Dawne animozje

W obozie wroga

Przed bitwą

## Część druga. Bratobójcza wojna

Znaki ogniem

Rozstrzygnięcie na równinie

Po bitwie

Zwycięskie przemowy

Warunki kapitulacji

Przysięga pokoju

Spotkania

Bez odwrotu

Następnego ranka

Ostrzeżenia

Sygnal do ataku

Powrót

Zemsta

Następnego dnia we Freibergu

Dziewka Lutgarda

## Część trzecia. Na straconej pozycji

Kwiecień 1192 roku w Weissenfels

Nocna wizyta

Radości i troski

Październik 1192 roku, zjazd nadworny w Nordhausen

Ultimatum

Oko cesarza

Dialog

Pierwsze ataki

Chwila oddechu

Nad jeziorem Salziger See pod Röblingen

Cena zwycięstwa

Rodzinna narada

Niespodziewana wizyta

Wyznania

Freiberg, 24 czerwca 1195

Godzina przeznaczenia

Boża sprawiedliwość

Niejasne układy

Ponowne spotkanie w Seusslitz

Diabelskie nasienie

Wymuszona decyzja

## Część czwarta. Decyzja

Wiosna 1197 roku u wybrzeża Akki

Przeestroga króla

Propozycja

Wiosna 1197 we Freibergu

Żółty i zielony

Niespodziewani goście

Lato 1197 pod Akką

Jerozolimski koszmar

Weselnicy

Na manowcach

Listopad 1197 na wybrzeżu Syrii

1 lutego 1198 pod twierdzą w Tibninie

Pożegnanie

Rada wojenna w Weissenfels

Rozstrzygnięcie we Freibergu

Koniec i początek

## Dodatek

Posłowie

Historyczne przypadki kryminalne

Podziękowania

## Przypisy

Tablice genealogiczne

Tablice chronologiczne

Uwagi do tablic genealogicznych

*Dla moich dzieci Kerstin i Stefana,  
mich „fanów od pierwszej chwili”, którzy nigdy nie wątpili,  
że ich matka poradzi sobie nawet z powieścią.  
Co nie jest prostym zadaniem.*

# *Dramatis Personae*

Wykaz najważniejszych postaci występujących w powieści.  
Postaci historyczne oznaczono gwiazdką.

## **Weissenfels**

Dytryk\*, hrabia z Weissenfels, młodszy syn zmarłego margrabiego miśnieńskiego Ottona z Wettynu\*  
Marta, znachorka i zielarka  
Łukasz, jej mąż, rycerz  
Tomasz, Klara i Daniel, dzieci Marty z jej małżeństwa z Chrystianem  
Anna, córka Klary  
Norbert z Weissenfels\*, komendant twierdzy  
Henryk\* i Konrad\*, jego synowie  
Gotfryd, zarządca  
Gertruda, jego żona  
Liza, służąca  
Ansbert, ksiądz z kościoła Świętego Mikołaja

## **Eisenach**

Herman\*, landgraf turyński i palatyn saski  
Jutta\*, jego córka  
Gunter ze Schlotheim\*, stolnik  
Henryk z Eckartsbergi, marszałek  
Burchard z Salzy\*, turyński rycerz  
Herman z Salzy\*, jego syn, także rycerz  
Bruno z Hörselbergu, turyński rycerz  
Paweł, Łukasz młodszy i Konrad, synowie Łukasza

## **Freiberg (dawniej Chrystianowo<sup>1</sup>)**

Joanna, pasierbica Marty, również zielarka  
Kuno, mąż Joanny, i Bertram, strażnicy na zamku  
Henryk\*, kasztelan  
Ida, jego żona  
Rutger, rycerz i dowódca strażników  
Jonasz, kowal i rajca, oraz jego żona Emma  
Johan i Guntram, ich najstarsi synowie  
Karol, kowal i pasierb Marty  
Hans i Fryderyk, dawni przewoźnicy soli z Halle  
Piotr, nadzorca służby i przywódca miejscowej młodzieży  
Chrystian, koniuszy na zamku, pierwsze dziecko urodzone w Chrystianowie  
Anna, jego żona, siostra Piotra  
Sebastian, ksiądz



Elfryda, wdowa z dzielnicy górników

### **Miśnia**

Albrecht z Wettynu\*, margrabia miśnieński, starszy brat Dytryka z Weissenfels

Zofia z Czech\*, jego małżonka

Elmar, stolnik i zaufany Albrechta

Giselbert, cześnik i rycerz

Gerald, marszałek i brat zmarłej pierwszej żony Łukasza

Eustachiusz, astrolog i alchemik

Dytryk Kietlicz\*, biskup miśnieński

Meinher z Werben\*, burgrabia

### **Arystokracja i duchowieństwo**

Cesarz Henryk VI\*

Konstancja Sycylijska\*, jego małżonka

Filip Szwabski\*, jego brat

Ryszard Lwie Serce\*, król Anglii

Leopold V\*, księżę Austrii

Konrad z Wittelsbachu\*, arcybiskup Moguncji

Markward z Annweiler\*, cesarski seneszał

Henryk z Kalden\*, cesarski marszałek

Konrad z Kwerfurtu\*, kanclerz i biskup Hildesheim

Bernard z Aschersleben\*, księżę Saksonii, brat margrabiny miśnieńskiej Hedwigi

Konrad z Wettynu\*, hrabia Rochlitz i Eilenburga oraz margrabia Marchii Wschodniej, kuzyn Albrechta, margrabiego miśnieńskiego

### **Akka**

Henryk z Szampanii\*, król Jerozolimy

Hugo z Tyberiady\*, dowódca jego armii

Balian z Ibelinu\*, jeden z najbliższych doradców króla

Amalryk\*, król Cypru

Henryk Walpot\*, przełożony niemieckiego bractwa szpitalnego

hrabia Henryk ze Schwarzburga\*, turyński rycerz

Notker, mnich

Esziwa, młoda kobieta

### **Pozostałe osoby**

Hedwiga\*, wdowa po dawnym miśnieńskim margrabim Ottonie

Rajmund, rycerz w służbie miśnieńskiego margrabiego

Elżbieta, jego żona

Wito, stajenny w służbie Rajmunda

Lotar, komendant twierdzy w Seusslitz

Ludmił, grajek

Jakub, rycerz, brat Łukasza

Jakub młodszy i Lutgarda, jego dzieci

Bertold\*, pan Bertoldowa<sup>2</sup> koło Freibergu

Konrad\*, pan Konradowa<sup>3</sup> blisko Freibergu

Henryk z Colditz\*, cesarski ministeriał

Piotr z Nossen\*, miśnieński rycerz

Tammo\* i Johannes\*, jego bracia

Borys ze Zboru\*, miśnieński rycerz słowiańskiego pochodzenia

## *Prolog*

Batem wpojono im posłuszeństwo, jeszcze gdy byli pachołkami; prawiono im kazania o posłuszeństwie, gdy stali się chłopami, a później mieszczanami. Wszak każdy ma swoje ściśle określone miejsce w Boskim porządku świata. Niemniej jednak niekiedy nieposłuszeństwo także może stanowić główny obywatelski obowiązek.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Powrót*

## *Jesień 1191 roku, kilka mil przed Weissenfels*

Przez pół dnia lało jak z cebra. Przemoczeni podróżni z pozorną obojętnością kierowali konie wzdłuż ścieżki, a wiatr chłostał ich twarze strumieniami deszczu. Po pelerynach spływały strugi wody, smutno zwisała sklejoną wilgocią chorągiew, a końskie kopyta rozbryzgiwały wodę zbierającą się w kałużach.

Od dłuższego czasu nikt nie odezwał się ani słowem, jedynie z rzadka ktoś odchrząknął lub zakasłał.

Niewielki pochód otwierali dwaj jeźdźcy, którzy zdawali się całkowicie pogrążeni w zamyśleniu. Pierwszy z nich był hrabią około trzydziestki, a drugi rycerzem w wieku około dwudziestu lat. Ciała mieli żyłaste i spalone słońcem, a na ich twarzach malowała się posępna powaga.

Myśl pierwszego wybiegała w przyszłość. Zastanawiał się, czego mógł się spodziewać po powrocie na swoje ziemie po dwuipółletniej nieobecności.

Młodszy natomiast nieustannie mierzył się z przeszłością, ze wszystkim, co stało się jego udziałem na wyprawie krzyżowej, z której właśnie wracali. Rozmyślał o ludziach, którzy umarli na jego oczach, o swoim nieżyjącym najlepszym przyjacielu i nieprawdopodobnych ofiarach, które wskutek zdrady i bezsensownych sporów pochłonęła krucjata.

Hrabia z Weissenfels odwrócił się za siebie i gestem przywołał przywódcę konnych pachołków, których po drodze przyjął na służbę.

– Trzy mile przed nami powinna być wioska z gospodą, o ile do tej pory nie została spalona albo porzucona. Wyjedź naprzód i uprzedź o naszym przybyciu. Niech przygotowują jedzenie na nasz przyjazd, konie potrzebują owsa. Zatrzymamy się tam najkrócej, jak się da. Nim zmrok zapadnie, chcę dotrzeć do zamku.

Przywódca się skłonił i bez słowa pogalopował przed siebie.

Jego ludzie usłyszeli rozkaz, ale żaden się nie odezwał. Nie łudzili się, że w karczmie zdołają wysuszyć ubrania, skoro tak krótko mieli w niej zabawić, a sądząc po zaniezionym niebie, nie należało się spodziewać, że do końca dnia przestanie padać. Im krócej się zatrzymają, tym szybciej dojadą do Weissenfels, na zamek Dytryka, gdzie będą mogli się ogrzać.

Gospoda na krzyżówce nadal istniała. Jej właściciel, ociężały mężczyzna w fartuchu wybrudzonego sadzą i tłuszczem, mimo deszczu wyszedł na zewnątrz i przywitał gości unizonym ukłonem. Rozwlekłe zapewnił, że doskonale trafili i że przygotował dla nich gorące jadło.

Wydawszy następnie kilka poleceń stajennym, poczłapał z powrotem do domu. Zatrzymał się na progu, zsunął z głowy przemoczony kaptur i wyjął go z wody.

– Zostanę i będę miał oko na konie. Dopilnuję, żeby się nimi dobrze zajęli – zaoferował się młody rycerz imieniem Tomasz.

Hrabia szybko zmierzył podwładnego i towarzysza broni badawczym spojrzeniem, ale w końcu przyzwalająco skinął głową. Tomasz znów ogarnęło niespokojne przecucie. Odniósł wrażenie, jakby hrabia Dytryk czytał w jego myślach, jakby odgadł przyczynę, dla której wysunął swoją propozycję.

Konie, które po zejściu ze statku kupili za pieniądze z żołdu, wypłaconego im przez francuskiego króla za udział w oblężeniu i zdobyciu Akki, nie były tak szlachetne jak wierzchowce, do których nawykli, niemniej jednak niezbędne do dalszej podróży i do cna wyczerpane. Miejscowi parobkowie zajęli się nimi z widoczną troską. Najpewniej mieli nadzieję na kilka dodatkowych półfenigówek za swój trud.

Mimo to na widok karczmarza w Tomaszu od pierwszej chwili obudziła się nieufność. A może po prostu stracił zaufanie do całego świata?

Jednak przede wszystkim chciał zostać sam. Pragnął uporządkować myśli, nim nareszcie po

wielotygodniowej wędrówce dotrą wieczorem do zamku hrabiego Dytryka. Powinien się przygotować na złe nowiny, jakie może usłyszeć.

Gdy byli na Wschodzie, z dala od ojczyzny, dotarła do nich wiadomość o objęciu władzy przez nowego margrabiego miśnieńskiego, Albrechta z Wettynu, który był starszym bratem Dytryka. Tomasz nie miał pojęcia, co się później stało z jego rodziną. Czy pozwolono im pozostać we Freibergu? Możliwe, że musieli uciekać przed krwawym monarchą, z którego rozkazu zginął wcześniej ojciec Tomasza.

Jeżeli mieli kłopoty, wówczas prawdopodobnie zastanie w Weissenfels swoją o dwa lata młodszą siostrę. Hrabia Dytryk obiecał jej schronienie na swoim zamku. Niewykluczone nawet, że całej rodzinie udało się tam ukryć.

Jednakowoż jeśli sprawy w Marchii Miśnieńskiej miały się bardzo źle, wtedy nikt z bliskich nie będzie na niego czekał w Weissenfels.

Taki stan rzeczy świadczyłby o tym, że wszyscy zginęli. Tomasz też wiózł wiadomość o śmierci. Dla rodziców swojego najlepszego przyjaciela Rolanda. Nikt nie mógł go wyręczyć w tym przykrym obowiązku. Musiał się z niego wywiązać, nie bacząc na niebezpieczeństwo, choć zaryzykuje gardło w drodze do posiadłości Rajmunda, która leżała w obrębie Marchii Miśnieńskiej.

Zapewne wciąż obowiązywała nagroda wyznaczona za jego głowę. Albrecht z Wettynu, obecny władca Marchii Miśnieńskiej, z pewnością nie zapomniał, że Tomasz powiadomił cesarza o tym, jak margrabia uwięził swojego ojca, dawnego margrabiego Ottona, by zawłaszczyć jego władzę. A tym bardziej nie daruje Tomaszowi wstąpienia na służbę u swego znenawidzonego młodszego brata. Wyprawa do Ziemi Świętej nie pomoże ani Tomaszowi, ani Dytrykowi, mimo że krzyżowcom przysługiwał przywilej papieskiej ochrony. Tymczasem żaden z pielgrzymów nie dotarł do samej Jerozolimy. Nieliczni ocalali z wielotyśięcznej niegdyś armii cesarza Fryderyka Staufa, którzy przeżyli ataki na ich pochód, upały, pustynny marsz bez wody i pożywienia oraz bitwy, którzy uniknęli zarazy i nie padli z głodu w trakcie trwającego blisko dwa lata oblężenia Akki, zaraz po zdobyciu miasta ruszyli do ojczyzny, podążając za swym dowódcą Leopoldem Austriackim, albowiem angielski król Ryszard dotkliwie obraził ich księcia.

Do stajni weszła zaspana służąca, rozejrzała się i odnalazszy wzrokiem młodego rycerza, ruszyła w jego kierunku na sztywnych nogach, niczym na szczydłach. Przyniosła mu duży kufel piwa i parującą miskę gorącego kapuśniaku, w której pływało kilka szarawych kawałków mięsa.

Tomasz strzepnął wodę ze swych ciemnych włosów i odgarnął je do tyłu, a następnie odebrał od kobiety naczynia. Postawił miskę z zupą na poprzecznej belce i upił łyk piwa, zupełnie nie zważając na jego smak. Tymczasem pacholkiwie napoili konie, przytroczyli zwierzętom worki z obrokiem, zdjęli siodła i osuszyli je wiązkami słomy. Później wyszli ze stajni, skłoniwszy się wcześniej rycerzowi. Tomasz usłyszał, jak jakiś głos zawołał do nich przez podwórze i polecił, by jeden z nich przyniósł więcej drewna na opał, a drugi dwa wiadra wody ze studni.

Zupa w misce na belce z wolna stygła. Młodzieniec oparł się o słup i na powrót utonął we wspomnieniach. Raptem w jego myśli wdarł się jakiś cichy szelest.

Kilkoma szybkimi susami dopadł kąta, w którym dostrzegł poruszający się cień, a następnie gwałtownie chwycił za kark zaczajonego mężczyznę i z całej siły rzucił go na tylną ścianę stajni, która zadrżała pod impetem uderzenia.

– Czego tu szukasz?! – wrzasnął.

Nieznajomy w śmiertelnym prerażeniu zacisnął dłoń na rękojeści noża, którym jeszcze przed chwilą dłubał przy rzemieniach najokazalszego siodła, należącego do hrabiego Dytryka.

Nasłany morderca! Tylko ta jedna myśl przyszła Tomaszowi do głowy, gdy zauważył nacięcie na rzemiennym pasie. Krew zawrzała mu w żyłach niczym na polu bitwy, a przed oczami miał jedynie twarz

człowieka, którego powinien zabić. Dobył miecza ruchem tak szybkim, że tamten nie miał najmniejszych szans na ucieczkę, a następnie z całej siły się zamachnął i jednym ciosem obciął mu głowę.

Później odwrócił się na pięcie i nie rzuciwszy nawet jednego spojrzenia na bezgłowy korpus, wycofał się ku swojej belce. Dysząc z wysiłku, opadł na kolana, zaczerpnął kilka głębokich oddechów i ponownie się podniósł, a następnie garścią słomy starł krew z ostrza miecza.

Mimo hałasu deszczu dudniącego o dach jego krzyk dotarł aż do gospody, z której wybiegł przerażony karczmarz, a za nim przywódca konnych pachołków i jego pięciu ludzi. Parę sekund później dołączył do nich szybkim krokiem hrabia Dytryk.

– Ten człowiek naciął rzemień waszego siodła, mój książę! – powiedział Tomasz, a następnie zawstydzony spuścił głowę. – Wybaczcie mój brak opanowania. Powinienem być się dowiedzieć, kto go przysłał.

Hrabia popatrzył na wychudzoną, poważną twarz młodego mężczyzny z podkrążonymi oczami.

– Dziękuję wam za czujność – odrzekł, a potem zwrócił się do karczmarza, który wlepił w nieboszczyka przerażone spojrzenie.

– Znasz tego mężczyznę? – zapytał surowo.

Gospodarz ostrożnie popchnął opuszkami palców odciętą głowę, aby zobaczyć twarz trupa, po czym się przeżegnał.

– To jeden z onych wyjętych spod prawa, co grasują po tutejszych drogach. Spójrzcie, ma piętno kata! W ostatnie lato mieli go powiesić, bo pobił na śmierć pewną młodą kobietę i jej niemowlę. Ale sznur się zerwał i odszedł wolny. Na pewno chciał ukraść srebrne okucia.

Karczmarz padł na kolana przed Dytrykiem i splótł brudne palce.

– Uwierzcie mi, szlachetny panie, nie mam z tym nic wspólnego! – uderzył w lament. – Prowadzę uczciwy wyszynk. Wszyscy z okolicy mogą zaświadczyć. Wieśniacy będą wdzięczni waszemu rycerzowi, że uwolnił ich od jednego z tych podłych łotrów, którzy grasują po okolicy niczym zaraza.

Dytryk nie odrzekł ani słowa. Kazał zapłacić karczmarzowi za jedzenie i opiekę nad zwierzętami, a następnie dał znak swoim ludziom, by wsiadali na siodła.

Jeden z konnych pachołków wymienił uszkodzony rzemień przy siodle hrabiego i podróżni w strumieniach deszczu ruszyli w dalszą drogę.

Nikt nie zwrócił uwagi na miskę z ostygłą zupą, która wciąż stała na drewnianej belce. Później jeden z parobków wślizgnął się do stajni i łapczywie ją pochłonał.

Podobnie jak wcześniej, Tomasz jechał u boku Dytryka. Teraz też ze sobą nie rozmawiali. Dojeżdżali do Weissenfels, ale deszcz był tak gęsty, że nie mogli dostrzec zarysów zamku.

– Może powinienem wyjechać naprzód i sprawdzić, czy gdzieś nie czai się nieprzyjaciel albo czy nie zastawiono pułapki? – zaniepokoił się Tomasz tuż przed wioską Tauchlitz, położoną u podnóża zamku.

– Nie – odparł zdecydowanym głosem Dytryk. – Nie zamierzam się ukrywać ani skradać, gdy nareszcie wróciłem na własną ziemię.

Nie było go dwa i pół roku. Chciał się na własne oczy przekonać, jak się miały sprawy. Dlatego też nie posłał nikogo przodem, by zapowiedzieć swój powrót.

Tomasz z trudem powstrzymał protest. Albrecht podniósł rękę na jego ojca, cóż więc mogło go powstrzymać przed targnięciem się na życie młodszego brata? Może dawno już zajął Weissenfels?

Ale w tej kwestii Dytryk wydawał się tak samo uparty jak jego nauczyciel Chrystian, ojciec Tomasza, który swój upór przypłacił życiem.

W tej sytuacji młodemu rycerzowi pozostała jedynie cicha modlitwa z prośbą, by udało im się przeżyć dzisiejszy wieczór, by na samym wstępie nie wpadli w ręce wroga.

Na błotnistych, wypełnionych kałużami uliczkach Tauchlitz nie było żywego ducha. Nie dało się

dostrzec choćby paru wałęsających się psów. Jedynie jakaś samotna świnia grzebała w śmieciach w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na przejeżdżającą grupę mężczyzn.

Wolnym tempem jechali pod górę w kierunku bramy, przed którą zebrało się kilku wartowników próbujących rozpoznać obcy zastęp wiozący pozlepianą chorągiew, który w ulewnym deszczu zbliżał się o zmierzchu do zamku.

Wetyn dał znak towarzyszom, by się zatrzymali, sam zaś wyjechał naprzód. Pierwszy rozpoznał go najstarszy z mężczyzn zgromadzonych przed bramą.

– Hrabia Dytryk! Bogu niech będą dzięki, że dane nam powitać was żywym i w dobrym zdrowiu! Witajcie w domu, wasza wysokość!

Przy tych słowach jego głos przeszedł z radości w falset. Ukłękł razem z pozostałymi i spuścił głowę.

Dytryk pozdrowił strażników, a gdy pozwolił im wstać, najstarszy pokuśtykał pędem przez dziedziniec, krzycząc na cały głos:

– Hrabia wrócił! Hrabia Dytryk wrócił z Ziemi Świętej! Chodźcie wszyscy i przywitajcie swojego pana!

Nie zważając na deszcz, ludzie ze wszystkich stron wylegali na dziedziniec, strażnicy, parobkowie, służące, pacholki, każdy chciał na własne oczy ujrzeć ów prawdziwy cud.

Większość zebranych klękała i robiła znak krzyża, inni z ulgą wypowiadali słowa błogosławieństwa. Stajenni spieszyli, by pomóc strudzonym podróżnym zsiąść z koni i odebrać od nich wycieńczone zwierzęta.

Tomasz niespokojnie przyglądał się tłumowi, ale wśród zgromadzonych nie udało mu się dostrzec ojczyzna ani matki, nie widział też żadnego ze swych młodszych braci. Czy ich nieobecność była dobrym, czy złym znakiem? I gdzie się podziała jego siostra Klara? Nie chciało mu się wierzyć, że wszyscy oni mogli żyć i być zdrowi.

Może Albrecht kazał ich wszystkich pozabijać? Na tę myśl poczuł mocny ścisk w gardle.

Wtedy zauważył Klarę, która biegła ku niemu z poruszoną miną. Widok młodszej siostry w czepku i welonie był dlań tak niezwykły, że mało brakowało, a byłby jej nie rozpoznał. To znaczy, że po jego ucieczce wyszła za mąż. Wobec tego była prawdopodobnie żoną Rajnharda, którego Tomasz nie cierpiał, ale ojczym uważał, że będzie dla niej odpowiednim mężem, mógł jej bowiem zapewnić bezpieczeństwo. Gdzie się zatem podziewał jej małżonek? Wszystkie te myśli w jednej chwili przebiegły mu przez głowę, a w duszy zaczęła odżywać dawna nienawiść do Rajnharda.

Tymczasem spojrzął na siostrę i poczuł w sercu taką samą radość jak ona. Rzucili się sobie w ramiona.

– Żyjesz! – zawołała szczęśliwa.

Chwilę później wyswobodziła się z objęć brata, podeszła do Dytryka i ukłękła przed nim ze spuszczoną głową.

– Bądźcie pozdrowieni, wasza wysokość – odezwała się cichym, dziwnie drżącym głosem, nie podnosząc na niego wzroku. – Dziękuję wam, żeście mi dali dach nad głową i otoczyliście mnie opieką.

Dytryk zdawał się nie zauważać jej zmieszania, a jeśli nawet je dostrzegł, to nie dał tego po sobie poznać. Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, po czym odezwał się z uśmiechem, który ostatnimi czasy niezmiernie rzadko gościł na jego twarzy:

– Cieszę się, że was widzę. Ale nie przeszkadzajcie sobie i najpierw przywitajcie swego brata. Bardzo się o was martwił. Ja również.

Klara natychmiast spoważniała i zwróciła się do Tomasza.

– Gdzie Roland? – spytała.

Z wyrazu jej oczu odgadł, że przeczuwała, jaką usłyszy odpowiedź.



Nic się nie odezwał, tylko jego twarz mocniej się zasepiła. Klara zaszlochała.

– Chciał, żebym cię pozdrowił... To były jego ostatnie słowa... Bardzo cię cenił... – wydukał z mozołem.

Jednocześnieomal mu się nie wyrwało to, czego w żadnym wypadku nie wolno mu było powiedzieć. „Kochał cię, z całego serca cię kochał, zamierzał poprosić cię o rękę. Zamiast tego musieliśmy uciekać i zostawić cię temu Rajnhardowi. Przez całą tę przekłętą wojnę myślał o tobie i miał nadzieję, że będzie cię mógł poślubić, gdy wróci. Ale wtedy trafiła go strzała, gdy wszystko prawie się skończyło, podczas jakiejś bezsensownej potyczki pod Akką. A jego prawdziwe ostatnie słowa brzmiały: nic nie mów Klarze! Nie mogę ci zdradzić, jak bardzo cię kochał, byś jeszcze bardziej po nim nie rozpaczała...”

Tomasz przyciągnął siostrę do siebie i mocno ją objął. Gdyby nawet bardzo się starał, nie potrafiłby powiedzieć, które z nich dawało drugiemu oparcie i siłę.

Jakby przez mgłę Tomasz usłyszał, jak Dytryk pytał o zdrowie matki. Ktoś go poinformował, że margrabia Albrecht wysłał księżną Hedwigę do jej wdowiej siedziby na zamku w Seussnitz. Ale regularnie przesyła wiadomości i jest w dobrym zdrowiu.

– A co z naszą matką i z Łukaszem? I z naszymi braćmi? – spytał cicho siostrę Tomasz, chociaż obawiał się odpowiedzi.

– Żyją – ku jego wielkiej uldze odparła Klara. – W Eisenach, w służbie u landgrafa Hermana.

Pociągnęła nosem, niezdarnie otarła rękawem łzy i wyswobodziła się z objęć brata. Znów spojrzała w stronę hrabiego Dytryka, który stał wystarczająco blisko, by usłyszeć jej odpowiedź.

– Wasz brat chciał zabić mego ojczyma i matkę. Przeżyli straszliwe dni, lecz wbrew jakiegokolwiek nadziei udało im się uciec z więzienia. Wasza matka poprosiła, by się schronili w Turynгии. Mają się wstawić do landgrafa w waszej sprawie i poprosić, by udzielił wam wsparcia, na wypadek gdyby brat was zaatakował, czego wszyscy się obawiamy.

– Widzę, że mamy pilne sprawy do omówienia – uznał Dytryk.

Gestem przywołał do siebie dwóch podwładnych, mężczyznę z siwą brodą, który uroczyście podał mu powitalny kielich, i drugiego, chudego, około pięćdziesiątki, z ciemnobrązowymi włosami, który sądząc po doskonałym wyposażeniu, był zapewne dowódcą załogi zamku.

– Życzycie sobie, by przygotowano wam kąpiel? – chciał wiedzieć siwobrody.

Choć po długiej podróży wizja odpoczynku w ciepłej wodzie była niezwykle kusząca, to musiała trochę poczekać.

– Chodźmy do mojej izby. Najpierw chcę się od was dowiedzieć, co ważnego się wydarzyło podczas mojej nieobecności. Mój rycerz i jego siostra będą nam towarzyszyć.

Niewielka grupka przeszła przez dziedziniec i skierowała się w stronę pałacu, usytuowanego w samym środku skalnego wzniesienia. Po drodze kolejni ludzie klękali przed Dytrykiem na powitanie.

Na wielu twarzach malowało się pytanie o mężczyznę, którzy razem z nim ruszyli na wyprawę do Ziemi Świętej. Jednakże tę kwestię wyjaśni później, gdy wszyscy zgromadzą się w głównej sali.

– Mieszkacie tu pod własnym nazwiskiem? – zwrócił się szeptem do Klary.

Rozmyślnie przy wszystkich nazwał ją „siostrą swojego rycerza”. Przed krucjatą rzecz jasna wspólnie rozważyli ewentualność, że będzie się musiała schronić w Weissenfels pod przybranym nazwiskiem, uciekając przed bratem hrabiego.

– Jedyne wasz komendant zna me prawdziwe pochodzenie – powiedziała równie cicho. – Poradził, bym używała tutaj swego drugiego imienia. Maria. Pozostali wiedzą tylko, że jestem młodą wdową. Sądzą, że księżna Hedwiga przysłała mnie razem z dzieckiem, bym po śmierci małżonka znalazła spokój i odosobnienie.

Jest wdową! I ma dziecko z Rajnhardem!

Tomasz drgnął pod wpływem słów, które przed chwilą usłyszał. Jednocześnie umknęło jego uwadze, że Dytryk też z trudem się opanował, starając się nie zdradzić wyrazem twarzy swego poruszenia.

## Niepewność

– Wasza wysokość, proszę, pozwólcie mi zadać pytanie – zaczął dowódca straży, gdy Dytryk wraz z najwyższymi rangą ludźmi z zamkowej załogi oraz z Tomaszem i Klarą znaleźli się w jego kwaterze. Pomieszczenie nie sprawiało wrażenia, jakby jego mieszkaniec kiedykolwiek wyjeżdżał. Działo się tak za sprawą pracowitej gospodyni albo też załoga zamku każdego dnia miała nadzieję na powrót pana i dlatego wszystko było przygotowane na jego przyjazd. Nawet ogień płonął w kominku, prawdziwe dobrodziejstwo dla przemoczonych kości. Na stole stał apetycznie pachnący chleb i szynka dla zaspokojenia pierwszego głodu, nim na dole służba zdąży przygotować właściwy posiłek. Lecz nikt po nic nie sięgał. Wszyscy byli zbyt podekscytowani, by jeść.

– Wojownicy, którzy wyruszyli z wami do Ziemi Świętej...? – kontynuował chudy mężczyzna, do którego Dytryk się zwrócił, używając imienia Norbert. Na jego bronii ani na ubraniu nie było najmniejszych ozdób, za to widać było ich doskonałą jakość. „Pozbawiony próżności i zapewne świetny wojownik” – pomyślał Tomasz, przyglądając się mężczyźnie.

– Wszyscy polegli w drodze do Jerozolimy, w obronie Boga i prawdziwego krzyża, nawet jeśli nie udało nam się zdobyć Świętego Miasta i najważniejszej relikwii – odparł Dytryk z nieskrywaną goryczą. – Później, przy posiłku, złożymy im hołd i odprawimy za nich mszę.

– Niech Bóg ma w opiece ich dusze! – wyszeptał Norbert i przeżegnał się.

Później wziął głęboki oddech i znów się odezwał.

– Wobec tego pilnie musimy przyjąć na służbę nowych żołnierzy. Wasza wysokość, macie tutaj tuzin rycerzy i tyleż samo niepasowanych uzbrojonych szlachciców, do tego dwa tuziny pieszych pachołków i łuczników, jak też tuzin ludzi pełniących straż. Ta ilość byłaby wystarczająca w czasach pokoju. Niemniej jednak wasza matka i zaufane źródła z Miśni, Freibergu i Eisenach donoszą, że wasz brat planuje przeciwko wam wyprawę wojenną. Nawet wcześniej wrócił z Włoch, gdzie był razem z cesarzem, by zaatakować zaraz po waszym powrocie.

– Spichlerze są dobrze wypełnione – zapewnił siwobrody zarządca imieniem Gotfryd. – Przez dwa kolejne lata mieliśmy udane zbiory. W przypadku oblężenia wytrzymamy w zamku przez wiele tygodni.

– Wśród giermków jest kilku, którzy świetnie sobie radzą i bez zastrzeżeń można byłoby ich pasować na rycerzy – ponownie odezwał się Norbert.

– Najpierw należy rozesłać posłańców – rozkazał hrabia. – Do mojej matki, do naszych zaufanych ludzi w Marchii Miśnieńskiej, a szczególnie pilnie do Łukasza, do Eisenach. Musimy się przygotować na atak, a przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, kiedy nasi przeciwnicy tu dotrą.

– Czy mamy sprowadzić posiłki z Eisenbergu? – spytał chudy komendant zamku. To miejsce również należało do posiadłości Dytryka.

– Nie możemy wycofywać stamtąd zbrojnych. Bardzo możliwe, że mój brat i tam zaatakuje – zdecydował Dytryk.

„Zmienił się” – pomyślała Klara, obserwując spod spuszczonej rzes mężczyznę, którego od dzieciństwa kochała, chociaż zawsze wiedziała, że była to miłość bez nadziei na spełnienie. Jego niegdyś ciemne włosy były teraz spłowiałe od słońca, rysy twarzy stały się twardsze, bardziej kanciaste... ślady wyrzeczeń i strat poniesionych na wojnie. „Wiem, że stał się niezwykle stanowczy, odkąd przynależny do

rycerskiego stanu, ale nawet nie mrugnął okiem wobec potwornej wiadomości o wojnie, którą szykuje przeciwko niemu własny brat, nie bacząc na fakt, że dopiero wrócił z Ziemi Świętej. A może od dawna się z tym liczył? Wszak nie miał złudzeń, znał swego brata i wiedział, jaki był podstępny i nienasycony”.

Dytryk, jakby odgadując myśli Klary, skierował na nią wzrok.

– Opowiedzcie nam, co się wydarzyło w Miśni i we Freibergu.

Poczuła się jak przyłapaną na gorącym uczynku i musiała zebrać siły, by opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło po wyjeździe Dytryka. O ciągłych zmianach na zamku po uwięzieniu, a później zwolnieniu margrabiego Ottona, o osobliwym zachowaniu Albrechta, gdy jego ojciec leżał na łożu śmierci, oraz o tym, jak po powrocie z nadwornego zjazdu u króla otrzymał w lenno Marchię Miśnieńską i stracił wszelkie hamulce.

– Z ołtarza kościoła pod Nuzzin zrabował trzy tysiące marek w srebrze, zarzucił memu mężowi zdradę, po czym własnoręcznie ściął mu głowę na oczach zgromadzonego dworu – mówiła urywanym głosem. – Następnie rozkazał ściąć Łukasza. W tym momencie wystąpiła moja matka i go przeklęła. Wasz brat rozkazał, by wtrącono ją do lochów razem z mym ojczymem i tak długo torturowano, aż odwoła, co powiedziała.

W tym miejscu przerwała, bo głos utknął jej w gardle. Odchrząknęła, starając się odzyskać panowanie nad sobą, lecz daremnie. Ból dławził każde jej słowo.

„Zmieniła się – pomyślał Dytryk, nie mogąc oderwać od niej oczu, chociaż całą swą uwagę powinien był skoncentrować na jej relacji. – Oczywiście... urodziła dziecko i straciła męża. Męża, którego najwyraźniej nauczyła się kochać”.

– Wasz małżonek odznaczał się wielką odwagą – powiedział cicho. – Znałem go z tej strony już w czasach, gdy służył pod rozkazami waszego ojca.

Norbert, komendant zamku, odpowiedział za Klarę, która wciąż jeszcze walczyła ze łzami.

– Tej młodej kobiecie udało się umknąć z Freibergu. Gdy pokazała mi wasz pierścień, postarałem się, by została przyjęta i otoczona opieką.

– Dziękuję wam za to – wtrącił Tomasz z ogromną ulgą, ale też z nową troską.

Sposób, w jaki ów Norbert patrzył na jego siostrę, wzbudził w nim pewną nieufność. Czyżby między tymi dwojgiem coś zaszło?

Komendant skinął mu nieznacznie głową, a następnie znów zwrócił się do Dytryka.

– Mówią, że przekleństwo pani Marty wywarło na waszym bracie ogromne wrażenie. Wkrótce potem przyjął na służbę pewnego astrologa, który doradza mu przed każdym planowanym posunięciem. Obecnie ów człowiek wywiera na niego większy wpływ niż wszyscy pozostali doradcy.

– Czy ten astrolog da się kupić? Czy ktoś wie, w czyim interesie stara się wywierać wpływ na mego brata? – zainteresował się natychmiast Dytryk.

– Spróbujemy się wywiedzieć – zapewnił zaskoczony Norbert, który najwyraźniej nie rozważył jeszcze podobnej ewentualności.

Hrabia zadał jeszcze pół tuzina kolejnych pytań, a następnie podjął decyzję.

– Jutro sprawdzimy, którzy giermkowie zasługują na pasowanie na rycerza. Nim posłańcy wrócą ze świeżymi wieściami, wzmocnimy nasze wojsko. Podwójcie strażę i zaalarmujcie mieszkańców okolicznych wiosek!

Komendant zamku i zarządca przyjęli rozkazy i potwierdzili lekkim skinieniem głów.

– Na razie nie wiemy, kiedy dotrą ludzie mego brata ani ilu ich będzie, zatem powinniśmy się spieszyć, by zgotować im należyte przywitanie – oznajmił Dytryk z twardym uśmiechem, a następnie się podniósł. – Ale teraz chodźmy na dół. Niedługo zapadnie noc. Wszystko inne poczeka do jutrzejszego ranka.

Po drodze do głównej sali Tomasz nie odstępował siostry. Pragnąc ją pocieszyć, objął Klarę prawym

ramieniem, lewą zaś dłonią ścisnął rękojeść miecza. Nigdy nie przypuszczał, że jej małżeństwo z Rajnhardem mogłoby się skończyć tak tragicznie. Zatem był dla niego niesprawiedliwy. Ponadto to, czego się właśnie dowiedział o losie swej matki i ojczyma, napełniło go bezgranicznym gniewem.

„Niech się tylko pojawią! – pomyślał. – Wtedy będę mógł wreszcie pomścić ojca!”

Zdawało się, że Klara idąca u jego boku odczytała jego ponure myśli. Poczwała ból.

Na dole w wielkiej sali czekała na pana cała załoga zamku razem ze służbą. Gdy Dytryk i jego towarzysze zeszli ze schodów, wszyscy uklękli przed hrabią.

Dytryk, miast usiąść u szczytu uroczyście nakrytego stołu, nakazał gestem poddanym, by wstali. Sięgnął po kielich i uniósł go w górę. Z przyzwyczajenia spojrzął w prawo, na miejsce, gdzie wcześniej zwykle siedział kapłan. Jednakże duchowny przed rokiem zmarł, jak powiedział zarządca, toteż do powrotu pana zamku, który miał wybrać nowego kapłana, mieszkańcy chodzili do kościoła we wsi, by uczestniczyć we mszy lub odbyć spowiedź.

Dytryk zobaczył, że wszystkie spojrzenia skierowały się na niego, a w pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza.

– Wypijmy za mężczyzn, którzy dwa i pół roku temu wyruszyli ze mną i oddali życie za marzenie o Jerozolimie. Amen.

Z wielu miejsc dało się słyszeć tłumione szlochy. Niektóre kobiety właśnie się upewniły, że ich mężowie, synowie czy ojcowie nigdy nie wrócą do domów.

– Dzięki ofierze, jaką ponieśli, mają zapewnione wieczne zbawienie swych dusz. Jutro porozmawiam z każdym, kto stracił członka rodziny czy ukochanego człowieka, i opowiem, jak to się stało.

Hrabia upił łyk wina, a następnie powiedział z naciskiem:

– Ale teraz cieszcie się pokojem dzisiejszego wieczoru, póki jeszcze trwa. Możliwe, że jutro będziemy musieli się przygotować do nowej walki. Wcześniej jednak chciałbym wyrazić uznanie dwóm osobom u mego boku, które w Weissenfels należy otoczyć szczególnym szacunkiem. Tomasz z Chrystianowa i jego siostra Klara Maria.

Wśród zebranych przeszedł szept, ale Dytryk to zignorował i ciągnął dalej:

– Teraz, gdy już wróciłem, mogę zdradzić ich prawdziwe pochodzenie. Ich ojcu Chrystianowi zawdzięczam swe rycerskie wychowanie, a jego syn z wielką odwagą walczył u mego boku w bitwach pod Filomelionem, Ikonium i Akką. Przyjmijcie brata i siostrę do swej wspólnoty i okazujcie im szacunek, na jaki zasłużyli.

Na znak dany przez Dytryka wszyscy zebrani wzniesli kielichy i wypili toast. Następnie usiedli i zabrali się do jedzenia.

Po pewnym czasie Dytryk odesłał na chwilę Tomasza pod jakimś pretekstem i zwrócił się do młodej kobiety siedzącej u jego boku.

– Klaro, bardzo was proszę, użyjcie swych zdolności i całego rozsądku, by pomóc bratu. Wojna zmienia mężczyzn. Niektórych napełnia trwogą, innych odwagą. Czyni twardym i napawa goryczą. Niektórzy część swojej duszy zostawiają na zawsze na polu bitwy.

Wciąż niezwykle żywo stała mu przed oczami reakcja młodego towarzysza broni w stajni zajazdu.

– Wojna zmienia również kobiety – odrzekła Klara i po raz pierwszy od ich powrotu spojrzała mu na chwilę prosto w oczy. – Muszą pozwolić odejść swym mężom, braciom i synom i samodzielnie dawać sobie radę ze wszystkim, by wykarmić dzieci. A jeśli ich mężowie, bracia i ojcowie powrócą, wówczas muszą się nauczyć żyć z chłodem i goryczą w ich sercach, chyba że zdołają je na nowo napełnić miłością.

Dytryk zamilkł poruszony, a gdy znów się odezwał, w jego głosie brzmiała nostalgia.

– Długo tęskniłem za waszą obecnością. Za waszą obecnością i mądrością. – Jego słowa zabrzmiały jak dworskie pochlebstwo, jednakże każde z nich było na wskroś szczere.

Klara przez chwilę milczała.

– Gdy dacie znak do oficjalnego zakończenia kolacji, chciałabym, jeśli pozwolicie, przedstawić bratu jego małą siostrzenicę – poprosiła.

– Oczywiście – odrzekł.

Jednocześnie poczuł ukłucie w sercu na myśl, że jej dziecko zostało splodzone przez mężczyznę, z którym, pomimo jego tragicznej śmierci, chętnie by się zamienił miejscami.

Była już późna noc, gdy rodzeństwo weszło do izby Klary i Tomasz pochylił się nad pogrążoną we śnie Anną.

– Cała matka – powiedział.

Na jego twarzy pojawił się cień wzruszenia, który całkowicie go odmienił. Maleństwo liczące sobie półtora roku, jak powiedziała mu Klara, spało głęboko i nie przeszkadzało mu zupełnie światło świecy, którą wuj oświetlił drobną twarzyczkę. Dziewczynka wyglądała na spokojną i zdrową, bezpieczną nawet we śnie. Jej włoski kręciły się na skroniach i miały taki sam rudawy połysk jak u jej matki i babki. Tomasz z trudem się opanował, by nie pogłaskać małej twarzyczki zgrubiałymi dłońmi. Czuł wzruszenie, ale nie chciał zbudzić siostrzenicy. Tej nocy mieli z siostrą dużo spraw do omówienia.

– Miałam już bóle, gdy Daniel wpadł do domu i zawołał, że musimy natychmiast wyjeżdżać – zaczęła opowiadać, ciągnąc go jednocześnie w stronę ławy i napełniając dla niego kubek. – Hartmut, stary zbrojmistrz, pomógł naszemu bratu w ucieczce z miśnieńskiego zamku. Daniel mimo swoich piętnastu lat zachował się jak prawdziwy mężczyzna. Byłbyś z niego dumny. Ojciec też.

– Z ciebie również. Żeby w tym stanie wyruszyć w podróż! – powiedział z niedowierzaniem.

– Przyszła na świat w środku lasu, zaraz za Freibergiem. Na początku przedarliśmy się do rodziców Rolanda, a później tutaj.

Do rodziców Rolanda. Poczuł, jakby ktoś wbił mu pięść w sam środek żołądka. Będzie musiał przekazać Rajmundowi i Elżbiecie wiadomość o śmierci ich jedyne go syna.

– Później Hartmut pomógł matce w więzieniu i przyplacił to życiem.

– Ten nieugięty stary zbrojmistrz, który nas zawsze przeganiał jako chłopców? Nigdy bym się tego po nim nie spodziewał – mruknął Tomasz.

– Tak. A w naszym domu panoszy się teraz syn Randolfa i zadręcza ludzi.

– Rutger?

Tomasz się wyprostował i zacisnął pięści. Jego śmiertelny wróg zagnieździł się w ich domu? Tę rudą kanalię miał ochotę zamordować, jeszcze nim wyruszył do obozu, gdzie zbierała się armia cesarza na krucjatę. Ale Klara, a także Roland, wciąż ganili jego nienawiść do rówieśnika. Uważali, że nie powinien przenosić na syna wrogości, która istniała między ich ojcami i która Bożym wyrokiem doprowadziła do śmierci Chrystiana, a także Randolfa.

– Rutger zdradził mego męża i w kajdanach rzucił go do stóp Albrechtowi, by ten obciął mu głowę – ciągnęła z goryczą Klara. – On też związał i zakneblował naszą matkę, a następnie wrzucił ją do lochu.

Po chwili milczenia, ku zdumieniu Tomasza, odezwała się pewnym, dziwnie twardym głosem.

– Chcę, żebyś go za to zabił!

– Zrobię to – obiecał ze spokojem mogącym budzić grozę.

Później znów przytulił siostrę, pocieszając w ten sposób i ją, i siebie. Siedzieli tak razem do świtu, brat z siostrą, odkrywali przed sobą blizny po ranach, które odnieśli, i opowiadali o cierpieniach, jakie spotkały ich samych oraz ich przyjaciół.

# Oświadczyły

Następnego dnia Dytryk był od wczesnego ranka na nogach. Zamierzał się upewnić, czy załoga zamku jest gotowa do walki, ponadto musiał sporządzić parę pism, przyjąć od kilku ludzi przysięgę wierności, jak również omówić z przywódcami sąsiednich wiosek środki ostrożności, które należało podjąć.

Gdy załatwił najpilniejsze sprawy i przydzielił zadania, kazał poprosić do siebie rodziny poległych. Opowiedział o śmierci każdego z osobna, wyraził ubolewanie i starał się pocieszyć pograżonych w żałobie najbliższych, a także zapewnił, że otoczy ich opieką i zadba o nich, nawet jeśli stracili jedyne go żywiciela rodziny. Po wyjściu ostatniej osoby poprosił do siebie Klarę.

Gdy w Miśni posłał po nią Albrecht, jej serce łomotało w niepomiernym przerażeniu. Teraz, sam na sam z Dytrykiem, zatrzepotało ze zmieszania i żalu, że jej największa, niespełnialna nadzieja zostanie zaraz pogrzebana na wieki.

– Chciałbym złożyć wam wyrazy współczucia z powodu śmierci waszego małżonka – powiedział po kilku chwilach pełnego niepokoju milczenia.

– Dziękuję, wasza wysokość – odparła, spuszczając wzrok.

– Czy wciąż go opłakujecie?

– Tak – odpowiedziała, a ponieważ czuła na sobie jego spojrzenie, po chwili wahania znów się odezwała. – Nasze małżeństwo narodziło się z potrzeby chwili. Gdy ojczym oznajmił mi, kogo wybrał na mego małżonka, byłam oburzona. Pogardzałam Rajnhardem, ponieważ uważałam go za poplecznika Randolfa i waszego brata. Ale później Łukasz opowiedział mi o nim i o jego potajnym planie. Rajnhard zawsze mnie chronił, a na końcu złożył w ofierze swe życie.

Dytryk przyglądał się Klarze i starał się wejrzeć w jej myśli.

Nim wyruszył do Ziemi Świętej, wyznali sobie miłość. Wówczas oboje wiedzieli, że ich miłość nie miała najmniejszych szans na spełnienie. Chociaż był dopiero drugim co do starszeństwa synem margrabiego, nie miał prawa pójść za głosem serca i swobodnie wybrać przyszłej małżonki. Właśnie dlatego, że był drugim synem, jego brat bowiem już od dłuższego czasu przymierzał się do zagarnięcia całej schedy po ojcu.

Niemniej jednak podczas wyprawy krzyżowej w najtrudniejszych chwilach poprzysiągł sobie, że ją pojmie za żonę, o ile oczywiście Klara będzie go jeszcze chciała. Nieważne, ile miało go to kosztować i co powie na to reszta świata. W czasie wojny wiele spraw nabrało dla niego zupełnie innego znaczenia. W dalekim kraju stracił resztę wiary w rozsądek wszechpotężnych monarchów. Po morzu zdrady, głupoty i zachłanności chciał mieć u swego boku człowieka, któremu całkowicie ufał i który mógłby mu dać ciepło utracone na krwawych polach wojny.

Jednakże Klara unikała jego wzroku, jakby zamknęła za sobą pewien rozdział życia, obejmujący ich dawny epizod.

Odchrząknął i kontynuował, nadal nie spuszczając z niej wzroku:

– Komendant mojego zamku, zasłużony i honorowy człowiek, niedawno zapytał mnie, czy pozwolę, by zaczął się ubiegać o waszą rękę. Wkrótce potem z tą samą sprawą zwrócił się do mnie jego najstarszy syn. Czy bylibyście gotowi przyjąć ofertę któregoś z tych mężczyzn? – zapytał, wstrzymując oddech.

Klara nie wydawała się zaskoczona. Czyżby obaj kandydaci zdążyli jej się oświadczyć?

– Norbert jest dzielnym człowiekiem. Niewiasta, którą wybierze, powinna się uważać za szczęśliwą. Syn wdał się w ojca. Proszę, przekażcie obydwu me podziękowanie za zaszczyt i uprzejmość, jaką mi okazali. Ale nie mogę poślubić jednego, nie raniąc drugiego z nich. Poza tym złożyłam śluby...

– Wybieracie się do klasztoru? – przeraził się Dytryk.

Tym razem mimo swej dworskiej ogłady nie był w stanie ukryć uczuć. Czyżby miał ją na zawsze stracić? Nigdy więcej jej nie ujrzyć? Ktoś taki jak ona zginie w zakonie albo zostanie zniszczony!

– Nie – odparła, wciąż nie podnosząc wzroku, podczas gdy jej dłonie zdawały się szukać oparcia w fałdach zielonej sukni, która tak świetnie pasowała do oczu i kasztanowego warkocza Klary. Tego dnia nie miała czepka, a jedynie welon i opaskę na splecionych włosach. – Złożyłam przysięgę, także ku czci mego nieżyjącego małżonka, że po raz drugi nie zawrę małżeństwa jedynie z posłuszeństwa i poczucia obowiązku. Matka i ojczym zrozumieją mą decyzję i zadbają o to, bym mogła godnie żyć jak szacowna wdowa.

Przynajmniej się łudziła, że tak będzie, nawet jeśli nie miała odwagi do końca w to uwierzyć. Na razie nie ukończyła jeszcze dwudziestego roku życia i wszyscy oczekiwali, że wkrótce powtórnie wyjdzie za mąż i urodzi nowemu małżonkowi synów. Kobiety w jej położeniu nie powinny pozostawać niezamężne. A nie dalej jak dwa i pół roku temu Łukasz energicznie skłaniał ją do małżeństwa z Rajnhardem. Wprawdzie później musiała mu przyznać rację, gdy bowiem uwięziono Łukasza, bez opieki Rajnharda zostałaby najpewniej zhańbiona i dawno by nie żyła.

Pod wpływem impulsu Dytryk chciał zrobić krok w jej kierunku, ale w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać. Uniósł lekko rękę, ponieważ poczuł nieprzepartą potrzebę dotknięcia jej policzka, pragnął ją pocieszyć i ponownie wyznać jej miłość.

Powiedziała, że podjęła swą decyzję dla uczczenia pamięci zmarłego małżonka. Opłakiwała Rajnharda, być może miewała koszarne sny, w których wciąż na nowo widziała jego śmierć. W obliczu podwójnych oświadczeń ze strony ojca i syna musiała się poczuć osaczona niczym łatwa do upolowania zwierzyna, mimo że obaj konkurenci byli szanowanymi ludźmi. Ale taki był los młodych pięknych wdów. Jak w tej sytuacji miałby jej powiedzieć o swej miłości, o tym, że chciał ją pojąć za żonę? Popatrzyłaby na niego ze smutkiem, może nawet z pogardą, i nie potrafiłaby nawet myśleć o jego propozycji. Pewnie odniosłaby wrażenie, że i on zaczął się za nią uganiać, jak tylko przekroczył bramę zamku.

Klara dostrzegła mimowolny ruch jego ręki i lekko skłoniła głowę w stronę Dytryka. Miała wrażenie, że niemal poczuła na policzku dotyk jego dłoni, mimo że dzieliło ich co najmniej pięć kroków. Tęsknie przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby ją dotknął, wziął ją w ramiona.

„Opłakuję Rajnharda z całego serca. Ale ty zawsze byłeś mą jedyną miłością – pomyślała. – Nie możemy wziąć ślubu, bo przeczuwam, jakiej ceny zażądałby landgraf z Turyngii, gdybyś poprosił go o wsparcie. Lecz mogłabym zostać twą kochanką i przyjąć na siebie wszystkie konsekwencje, tak wielka jest moja miłość. Nieważne, co powiedzą ludzie. Jednakże nie mogę ci się oddać jak zwykła nierządnicą, bo nawet nie wiem, czy wciąż mnie chcesz. Wojna zmienia ludzi, sam to powiedziałaś. Ponadto wygląda na to, że jutro znów będziesz musiał stanąć do walki. Zatem musisz zebrać siły”.

Otworzyła oczy, ale nie spojrzała na Dytryka. W przeciwnym razie musiałaby się rozplakać. Z taką nadzieją czekała na jego powrót, gorąco go pragnęła, modliła się... tymczasem teraz wszystko stało się jeszcze trudniejsze, utraciła spokój, który z takim trudem udało jej się odnaleźć.

Dytryk odzyskał panowanie nad sobą, oparł na plecach zdradziecką rękę, która wciąż wyrywała się do przodu, i odchrząknął, by ujarzmić drżący głos, a następnie zwrócił się do niej:

– Wy i wasza córka pozostaniecie pod moją opieką tak długo, póki będę żył – powiedział z pewnością siebie.

Klara podziękowała skinieniem głowy, następnie skłoniła się i wyszła z komnaty.

Po nocy z niewielką ilością snu Tomasz otrzymał od Dytryka rozkaz, by wraz z Norbertem, komendantem zamku, wybrał spośród starszych giermków tych, którzy dojrzeli do rycerskiego pasowania. Zatem zwołali młodzieńców na dziedziniec. Na szczęście deszcz przestał padać, chociaż nawet oberwanie chmury nie powstrzymałoby ich przed realizacją planowanego przedsięwzięcia. Następnie

wszyscy razem wyruszyli na ćwiczebną łąkę położoną poniżej zamku. Na placu były przygotowane turniejowe szranki, słomiane kukły, w które mieli trafiać lancami, oraz drewniane pale sięgające mężczyznom do pasa, służące do ćwiczenia walki w siodle.

Na początek Tomasz chciał się przekonać, jak chłopcy radzą sobie w walce na miecze. Każdy z nich bardzo pragnął się pokazać przed młodym rycerzem, który wyruszył na wyprawę z cesarzem Fryderykiem Staufem, by odzyskać Jerozolimę, i walczył na Wschodzie z Saracenami. Ale mogli się starać, jak chcieli, a w oczach Tomasza i tak żaden z nich nie znalazł przychylności.

– Za słabo... za wolno... zbyt niezręcznie – oceniał ich kolejne wysiłki. Wiedział, że był niesprawiedliwy, że trud większości z nich zasługiwał na uznanie. Norbert i jego ludzie twardo i dobrze ich szkolili.

Ale wciąż miał przed oczami giermków poległych na krucjacie. Nie był w stanie zapobiec ich śmierci. Marnie skończyli, strawieni przez zarazy, zadźgani, część padła z głodu. A ci być może za kilka dni staną do walki z krwawym margrabią miśnieńskim. Nie chciał patrzeć na śmierć tych młodzieńców, którzy wlepiali w niego pełen uwielbienia wzrok, gdy któremuś z nich jednym gestem wytrącał z ręki broń i powalał na ziemię. Tak jak widział śmierć Ruperta, swojego giermka.

– Macie zaiste kiepski humor jak na bohatera – odezwała się doń jedna z kobiet, które przyszły za nimi na łąkę, by przyglądać się spektaklowi. Bez wątpienia była najładniejsza ze wszystkich, z jasnymi włosami i błyszczącymi niebieskimi oczami, chociaż może nieco starsza od niego. Teraz zaczęła się nawet do niego uśmiechać.

– Niewiele bohaterstwa potrzeba, by pół roku przeleżeć w błocie, oblegając miasto, którego nie da się zdobyć – odparł szorstko.

– Czy nadmierną skromnością staracie się zrekompensować zły nastrój, mój bohaterze? – odcięła się rezolutnie. Otaczające ją dziewczęta zachichotały, po czym odwróciły się i z ociąganiem ruszyły w stronę zamku.

Tomasz się zastanawiał, czy tutejsze zwyczaje przewidują, by niewiasty przyglądały się bojowym ćwiczeniom giermków. Nie przyszło mu do głowy, że zjawily się jedynie po to, by na niego popatrzeć, i potajemnie zaczęły się już przekomarzać, która zdoła ściągnąć na siebie jego przychylnie spojrzenie. Tak wielu mężczyzn nie wróciło z Ziemi Świętej, że w Weissenfels był teraz nadmiar młodych wdów i młodziutkich dziewczek pozbawionych ojców.

Wrócili z łąki z powrotem na górę do zamku i Tomasz przekazał giermków Norbertowi, rzucając przy tym jakąś mrukliwą uwagę. Zauważył, że młoda kobieta zaczęła się na niego przy stajniach.

– Zdaje się, że w ciężkich czasach spędzonych na wojnie zbyt długo musieliście sobie odmawiać ziemskich rozkoszy – rzuciła z uśmiechem. – Jednakowoż teraz może być inaczej.

Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego twarzy. Chwycił ją za nadgarstek i odsunął od siebie.

– Nie wiecie, o czym mówicie. I nie macie pojęcia, w co się wdajecie – odparł szorstko.

Jakże prostacka i odpychająca była jej propozycja, sam do siebie poczuł wstręt.

Choć jednak sam też się zastanawiał, jak by to było, gdyby po wszystkich wyrzeczeniach ostatnich dwóch lat, którym nieodłącznie towarzyszyła śmierć, posiadał kobietę, dotykał jej piersi, rozchylił uda i z całej siły się w nią wdarł.

Poczuł wstyd na samą myśl o tym. Wszak jego przyjacielowi i wszystkim pozostałym towarzyszom, którzy stracili życie na Wschodzie, nigdy już nie będzie dane pieścić żadnej niewiasty.

Do tego ta gęś niemająca najmniejszego pojęcia o koszmarnych przeżyciach, jakie na obczyźnie stały się jego udziałem, wydała mu się bardziej obca od wszystkich Saracenów razem wziętych, których języka ani obyczajów nie rozumiał ani na jotę.

Krzyknęła lekko, ponieważ boleśnie ją ścisnął, ale szybko przewyciężyła strach i zrobiła nadąsaną



minę.

– Wobec tego pokażcie mi, w co mogę się z wami wdać!

Później Tomasz nie potrafił powiedzieć, jak się tam znalazł, ale młoda kobieta zdecydowanym ruchem pociągnęła go za sobą do niedużej izdebki i nim się zorientował, objęła go ramionami za szyję i zaczęła całować.

Ochoczo osunęła się na łóżko i przyciągnęła go do siebie. Nie tracił czasu na to, żeby ją rozebrać, tylko podciągnął do góry spódnicę, uwolnił swój członek z portek i wszedł w nią gwałtownym pchnięciem.

W tak pozbawiony miłości sposób jeszcze nigdy nie posiadał żadnej niewiasty. Zamiast przyjemności czy ulgi ogarnął go taki sam gniew jak dzień wcześniej, kiedy obciął głowę tamtemu zbirowi. Gdy skończył, poczuł do siebie pogardę za to, co przed chwilą uczynił.

– Nigdy więcej tego nie próbuj! – krzyknął na kobietę, mocując na powrót nogawice do pasa. Następnie odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa.

W pustym korytarzu rozglądał się za jakimś odosobnionym miejscem, w którym mógłby znaleźć przynajmniej kilka chwil spokoju. Był zbyt wzburzony, by się teraz z kimś spotkać. Wreszcie wsunął się w kąt za belką, schował głowę w ramionach i starał się pohamować łzy, wszystkie te niewypłakane łzy wściekłości z powodu śmierci towarzyszy, świadomości, że zostali zdradzeni przez nadętych królów i pozostawieni samym sobie, oburzenia na cierpienia, które spotkały jego rodziców i siostrę.

Postradał ojczyznę i przyjaciół, a teraz jeszcze szacunek do samego siebie, przed chwilą bowiem całkowicie stracił panowanie nad sobą.

Z melancholią wspominał chwilę, gdy ostatni raz był z kobietą, a może było to jedynie urojenie z gorączki... Szczupła, delikatna twarz okolona czarnymi włosami, przyjazny głos, mówiący językiem, którego nie rozumiał. Ale jej oczy powiedziały mu, co miała na myśli: prosiła, by wrócił do życia. Bez wątpienia była zielarką, miała badawcze spojrzenie, które wnikało w głąb duszy, identyczne jak jego matka i siostra. Jej delikatny dotyk przywołał w nim głęboko ukryte uczucia. Później poczuł się wolny.

Lecz teraz czuł jedynie wstyd.

## *Na zamku Wartburg w Eisenach*

– Przez pół nocy nie spałaś. Co się dzieje? – spytał Łukasz żonę, narzucając na siebie białud<sup>4</sup>.

Nie powinni się spóźnić na poranną mszę, ale ta sprawa była dla niego ważna.

– Czy nadszedł już czas?

Nie spuszczał z niej oka i bacznie przyglądał się jej twarzy, jednocześnie wprawnym ruchem założył pas i przewlekł rzemienie podtrzymujące nogawice przez podtrzymujący całość węzeł. Następnie przecesał palcami swe jasne loki.

Tymczasem Marta włożyła rdzawą suknię z lnu zdobioną tkanymi lamówkami i zabrała się do zaplatania włosów. Raptem znieruchomiała.

Od kilku tygodni żyli w nieustającej niepewności i oczekiwaniu. Spodziewali się nadejścia wieści z Weissenfels. Albo chociaż wiadomości na temat tamtejszego zamku. Niepokoiła się, czy hrabia Dytryk, który za młodych lat był jej podopiecznym, oraz jej syn Tomasz cali i zdrowi powrócą z krucjaty do Ziemi Świętej, a ostatnio doszła do tego jeszcze obawa przed wojną. Wojną domową rozpętaną przez potężnego, żądnego krwi władcy, którego okrucieństwo dotkliwie odczuli z mężem na własnej skórze.

Jednakże Łukasz znał żonę wystarczająco dobrze, by nie skupiać się jedynie na wyglądaniu posłańców.

Marta nie spała pół nocy, najpewniej musiała mieć przecucie lub sen, albo jakiś wewnętrzny głos podpowiedział jej, że coś się ruszyło. Gdyby nie jego zobowiązania na dworze landgraфа Turynгии, który po ich ucieczce z Miśni przyjął ich na służbę, od dawna byłiby oboje w Weissenfels i mogliby podjąć jakieś działania, zamiast tracić na miejscu czas, który mógł się okazać bezcenny.

Marta nie odpowiedziała, tylko wplotła w koniec warkocza zieloną wstążkę, a następnie sięgnęła po welon, który jako zamężna niewiasta nosiła zgodnie ze zwyczajem. Nakryła włosy delikatną lnianą tkaniną, nałożyła fillet i w miedzianym lustrze uważnie sprawdziła efekt. Jako żona rycerza miała prawo do usług pokojówki, ale zaraz po pytaniu Łukasza odesłała dziewczynę. O tych sprawach nie mogli rozmawiać przy świadkach.

Potrzebowała trochę czasu, nim zebrała się na odpowiedź. Tak, przez pół nocy czuwała, rozważała i zajrzała głęboko do swego wnętrza. Niemniej jednak Łukasz pokładał w jej zdolnościach o wiele większą wiarę niż ona sama.

Od chwili, gdy jako trzynastoletnia dziewczyna musiała uciekać ze swej położonej we Frankonii wioski, nie zabierając nic poza tym, co miała na sobie, a później przyłączyła się do pochodu osadników zmierzających do Marchii Miśnieńskiej, w jej życiu często zdarzały się momenty, gdy oczyma duszy widziała przyszłość albo chociaż jej cząstkę niby rozwiniętą wstęgę. Jednakże nadal coś w jej wnętrzu nie pozwalało jej bezkrytycznie przyjmować owych wizji za dobrą monetę. Przecież nie wiedziała, skąd się brały. Może się myliła.

– Chciałabym mieć pewność – powiedziała cicho, patrząc w niebieskie oczy Łukasza. – Czyż nie nazbyt zuchwałym byłoby uwierzyć, że się poznało, a może nawet przejrzało Boski plan, że wie się więcej od innych?

Nie mówiąc już o tym, jakie niebezpieczeństwo można było sprowadzić na swoją głowę, gdyby inni się o tym dowiedzieli. Jako znachorka i akuszerka i tak budziła w ludziach zbyt wiele nieufności, mimo że była teraz żoną rycerza. Niewiasta nie powinna ściągać na siebie uwagi, mogło się to bowiem wiązać z niebezpieczeństwem.

Łukasz uniósł brwi z lekką drwiną.

– Ileż razy twoje przecucia się sprawdzały? O ile pamiętam, niemal zawsze, prawda?

„Nie zawsze – pomyślała Marta z niepokojem. – Zawiodły wtedy, gdy przed dwoma laty ryzykowałeś życie, by uchronić Freiberg od wojny. Widziałam w duszy, jak ktoś niesie twą odciętą głowę niczym trofeum, chociaż nic ci o tym nie powiedziałam. Ale zapewne strach o ciebie przywołał w mej duszy ten przerażający obraz. Przeżyłeś, Wszchemogącemu i Najświętszej Marii Pannie niech będą za to dzięki. Nie zniosłabym straty jeszcze jednego męża”.

– Tak, jeszcze dziś powinniśmy wyruszyć do Weissenfels – odezwała się wreszcie.

Później wzięła głęboki oddech i jej głos stał się o wiele bardziej zdecydowany.

– Musisz uczynić wszystko, by dostać od landgraфа pozwolenie.

– I pewnie cię nie przekonam, żebyś zrezygnowała z podróży? – upewnił się. – Niewykluczone, że pojedę w sam środek wojny albo oblężenia. Wolałbym, żebyś została.

– Dla nas obojga nie ma bezpiecznego miejsca, dobrze wiesz – odparła.

Ujęła prawą dłoń męża i przytuliła do swojego policzka.

– Lepiej się czuję, gdy jesteś w pobliżu.

Nie spierał się z nią, bo powiedziała dokładnie to, co każdy rycerz pragnąłby usłyszeć od damy swego serca. Podeszedł bliżej i zamknął ją w objęciach. Tylko na krótką chwilę. Hałasy dobiegające z dziedzińca świadczyły o tym, że większość mieszkańców zamku była już na nogach.

Z zalem oderwał się od niej, choć najchętniej pociągnąłby ją z powrotem do łóża.

– Chodź, nie możemy opuścić porannego nabożeństwa. W rzeczy samej potrzeba nam Bożego wsparcia

i pomocy wszystkich świętych, żeby zmienić nastawienie landgrafa – dorzucił z charakterystyczną dlań nutką żartobliwej drwiny.

Nim skończył mówić, najchętniej cofnąłby od razu ostatnie słowa. Marta w pierwszej kolejności będzie prosiła Boga o szczęśliwy powrót syna, o spotkanie z Tomaszem i Rolandem, jedynym synem ich przyjaciela Rajmunda. On zaś sam powinien raczej błagać Wszechmogącego o wsparcie w nadchodzących walkach.

Łukaszowi nie bardzo się spodobało, gdy landgraf Turynгии wyraził gotowość udzielenia pomocy panu sąsiedniego Weissenfels jedynie pod pewnym szczególnym warunkiem. Postanowił zatem, że właśnie tej kwestii poświęci swą poranną modlitwę, pomijając na razie własne powodzenie w bitwie.

Natomiast myśli Marty wciąż krążyły wokół jednego punktu, o którym wołała Łukaszowi nie wspominać.

Była pewna, że to, co się teraz stanie, zapoczątkuje długi łańcuch wydarzeń, które okażą się decydujące dla każdego z nich. Przeważą szalę wszystkiego, o co walczyli i za co zginął jej ukochany Chrystian. Czy nadzieja osadników na nową, lepszą przyszłość kiedykolwiek się ziści? A może trudne czasy będą trwały na wieki? Gdzieś w głębi jej duszy zakiełkowało przecucie, że tym razem może zapłacić za to najwyższą cenę.

W trzydziestym siódmym roku życia miała za sobą wiele doświadczeń, uniknęła tylu śmiertelnych niebezpieczeństw, tyle wycierpiała, iż już sama okoliczność, że wciąż żyła i miała się dobrze, graniczyła niemal z cudem. Bywała w tak głębokiej rozpacz, że pragnęła śmierci. Czy teraz, gdy wreszcie nadejdzie, potrafi ją przyjąć z dostatecznym spokojem? A może zależało jej na życiu bardziej, niż sądziła?

Po porannej mszy widok nieba pogłębił niepokój Łukasza. Nad Wartburgiem gromadziły się chmury i wyglądało na to, że po drugiej stronie doliny zaczęło padać. Landgraf wybierał się na polowanie, więc pogoda nie wpłynie dobrze na jego humor i pewnie nie nastroi go pozytywnie do jakichkolwiek kompromisów.

Ale najwidoczniej książe nie odwołał jeszcze rozkazu do wyjazdu. Łukasz i Marta szli przez długi, wąski dziedziniec, kierując się do okazałej sali, w której książe i jego rycerze jadali posiłki. Po drodze minęli stajennych, którzy szczotkowali i siodłali konie na polowanie.

Zatem powinni się pospieszyć, jeśli chcieli porozmawiać z Hermanem przed jego odjazdem.

– Przez pół ranka łamię sobie głowę, jak mam uzasadnić swoją prośbę – wyznał Łukasz.

Niestety nie mógł się powołać na przecucie swej jasnowidzącej żony.

Marta zatrzymała się na chwilę. Później zerknęła na bramę, a Łukasz popatrzył za jej wzrokiem. Gdyby kiedykolwiek miał wątpliwości dotyczące widzeń żony, to właśnie w tej chwili musiałyby się one rozwiać. Wszak znał mężczyznę, który długimi krokami zmierzał w ich kierunku. Wito, jeden z pachołków jego przyjaciela Rajmunda z Muldental, najodważniejszy i najszybszy jeździec w jego służbie. Najwidoczniej nocował w mieście i ruszył w drogę wraz z nastaniem świtu.

Łukasz w napięciu ruszył mu naprzeciw.

– Przynosisz ważne wiadomości?

Młody posłaniec skinął bez słowa i nieufnie rozejrzał się wokoło. Widać było po nim zmęczenie, a minę miał posępną jak nigdy. Może nawet jechał przez całą noc? Jego jasnobrażowe włosy były mokre od potu, a twarz pokrywał mu świeży zarost. Odległość dzieląca posiadłość Rajmunda z Muldental i Eisenach wynosiła blisko sto pięćdziesiąt mil. W ciągu ostatnich czterech lub pięciu dni Wito prawie nie schodził z siodła, jeśli jego wiadomość rzeczywiście była tak pilna, jak Łukasz przypuszczał.

Tymczasem cały dziedziniec głównego zamku wypełnił się ludźmi i końmi. Łukasz energicznie pociągnął młodego jeźdźca w stronę muru, gdzie w powstałym zamieszaniu przynajmniej nie stali nikomu

na drodze. Ponadto z tego miejsca widzieli, czy ktoś się do nich zbliża. Marta pospieszyła za nimi.

– Margrabia miśnieński najpóźniej za pięć dni zaatakuje swojego brata – wychrypiął Wito.

– Czy to pewne? – upewnił się Łukasz.

Jeśli tak, wówczas muszą natychmiast ruszać, by dotrzeć do Weissenfels przed wrogiem. Jadąc szybkim tempem, potrzebowali trzech dni. Może rzeczywiście powinien zostawić Martę na miejscu, żeby nie spowalniać wyprawy. Ale jeśli Rajmund się mylił, może dotrzeć za późno i wpaść prosto w ręce Albrechta.

– Nie mogę wam powiedzieć, skąd mój pan o tym wie. Ale był bardzo pewny siebie i wysłał już posłańca do Weissenfels. Ani on, ani pani nie mogą wyjechać.

– Czyżby Albrecht kazał ich pilnować? – spytała Marta głosem pełnym obawy. – Są wolni? Czy dobrze się czują?

W Miśni fakt, że Rajmund popierał ludzi, których Albrecht uważał za osobistych wrogów i zamierzał uprzętnąć sobie z drogi, nie był żadną tajemnicą. Jedynie silna determinacja, by w przyszłości przekazać synowi tytuł i majątek ziemski, powstrzymywała przyjaciela Łukasza i jego żonę Elżbietę przed opuszczeniem Marchii Miśnieńskiej.

– Książę Albrecht przydzielił nam za dozorców dwóch najgorszych rębajłów – relacjonował Muldentalczyk. – Ponadto zarekwirował wszystkie wyszkolone konie jako trybut i dowód wierności.

Na twarzy szalencie odważnego jeźdźca malowała się wściekłość.

– Takimi poczynaniami doprowadzi mego pana do ruiny – powiedział, bezwiednie zaciskając pięści. – Jednakże gdy tylko będą się mogli oddalić bez wzbudzania podejrzeń, zamierzają pojechać do Weissenfels, aby wesprzeć hrabiego Dytryka i powitać syna.

– My ruszamy jeszcze dzisiaj – zapewnił Łukasz.

Wyciągnął z sakiewki pudełeczko wypełnione do połowy półfenigówkami i podał je posłańcowi.

– Weź, to na drogę powrotną. Lecz najpierw poszukaj noclegu, wyśpij się porządnie, a i koń potrzebuje odpoczynku.

Na te słowa na twarzy Wita pojawił się zuchwały uśmiech.

– Pozwolono mi wziąć siwka, nie będzie zmęczony. Takiego konia od lat u nas nie było! – Chłopakowi zaświeciły się oczy. – Mieliśmy szczęście, bo jest jeszcze zbyt dziki dla innych jeźdźców i to go uratowało przed miśnieńskimi drabami.

– Zatem masz dodatkowy powód, żeby się dobrze wyspać – nie odpuszczał Łukasz. – Na tak dzikim wierzchowcu potrzebne ci wszystkie zmysły. Przekaż Rajmundowi, że czekamy na niego w Weissenfels, o ile nie dotrze tam przed nami. Niech Bóg ma was w swojej opiece!

Ujął Martę za ramię i pociągnął za sobą w poszukiwaniu landgrafowego stolnika. Wito odprowadził ich wzrokiem, a następnie przeliczywszy monety, które trzymał w dłoni, postanowił pójść za wskazówką Łukasza i poszukać kwatery. Pewnie by zignorował tę radę, gdyby pochodziła od kogoś innego. Lecz przyjaciel jego pana był wytrawnym jeźdźcem i wiedział, o czym mówi.

Marta nie odezwała się ani słowem po drodze do przepysznego kamiennego pałacu, który został wzniesiony przez ojca Hermana i śmiało mógł konkurować z każdą cesarską siedzibą. Wciąż rozbrzmiewały jej w głowie słowa Wita, że Rajmund pragnął powitać syna. Niespodziewanie ogarnęło ją okropne uczucie.

Doszły ich pogłoski, że Dytryk wrócił z wyprawy do Ziemi Świętej z jednym jedynym rycerzem. Jeśli to była prawda i hrabia nie zostawił nikogo w zamorskim kraju, to któryś z nich musiał zginąć, albo jej syn, albo syn Rajmunda, a może obaj... Koniecznie musiała się dostać do Weissenfels, by zyskać pewność.

Łukaszowi z pozornie beztroską zuchwałością udało się przed rozpoczęciem posiłku przedrzeć do

stolnika turyńskiego landgraфа.

Gunter ze Schlotheim był przysadzystym mężczyzną po pięćdziesiątce, z siwymi włosami i brodą, sprawującym swój urząd na zamku Wartburg od dobrych kilkunastu lat.

– Schlotheim, czy moglibyście mi stworzyć sposobność, bym porozmawiał z księciem, nim wyjedzie na polowanie? – zapytał Łukasz bez wstępu, gdy tylko się przy nim znalazł. – Mam wieści o Weissenfels.

Stolnik zerknął na niego ponuro.

– Cóż nas obchodzi Weissenfels? Może poczekać do powrotu. Chcemy ruszyć, póki pogoda się trzyma.

Zdaniem Łukasza ta sprawa nie mogła czekać. Najwyraźniej nie uniknie wtajemniczenia Schlotheima, chociaż zupełnie nie miał na to ochoty.

– Mnie obchodzi, chcę poprosić jego wysokość, by mi pozwolił pojechać tam na jakiś czas.

Gunter ze Schlotheim przyglądał mu się podejrzliwie. Wreszcie odezwał się zimno:

– Zobaczą, co będę mógł dla was zrobić. A teraz idźcie na swoje miejsce. Trzeba zasiadać do stołu – powiedział, przeciskając się w przeciwnym kierunku.

– Módlmy się, by podczas posiłku rozpadało się jak z cebra i landgraf przełożył polowanie – szepnął Łukasz do Marty, torując im drogę do stołu. – Wtedy będziemy wprawdzie jechali w deszczu, ale to już pół biedy.

Siedzieli jak na rozżarzonych węglach, podczas gdy dziewczki służące, kuchmistrzowie i pacholki pod nadzorem kuchmistrza wnosili jedzenie. W zależności od rangi biesiadników podawano mięso i wino rozcieńczone wodą, chleb i ser lub owsiankę z wodnistym piwem.

Landgraf Herman z Turyngii był roslym mężczyzną około trzydziestu pięciu lat, z wojskowym doświadczeniem. Od roku był wdowcem, zawsze mającym na uwadze głównie własne interesy. Po śmierci swego brata Ludwika zdołał wymóc na cesarzu landgrafostwo, mimo że monarcha zamysłała włączyć je do Rzeszy jako lenno. Zdaniem cesarza uprawnieni do dziedziczenia byli wyłącznie synowie w bezpośredniej linii, a Ludwik Turyński nie pozostawił po sobie męskiego potomka, gdy rok wcześniej umarł wskutek błotnej gorączki, wracając z Ziemi Świętej.

Ponieważ Herman uchodził także za mecenasa poetów i minstreli, po lewej stronie od głównego stołu siedział pewien grajek, stary znajomy Marty i Łukasza, noszący niecodzienne imię Ludmił, który przez cały czas biesiady wygrywał na lutni niekończące się melodie.

Podczas posiłku Łukasz nie spuszczał wzroku z landgraфа, gotów w każdej chwili skoczyć do przodu i poprosić księcia o rozmowę, gdyby ten dał znak do wyjazdu na polowanie, nie wysłuchawszy wcześniej jego prośby.

Landgraf gestem uciszył grajka. Lutnia natychmiast zamilkła.

Łukasz wlepił wzrok w monarchę i czekał w gotowości. Czy księżę opuści salę?

Nie, Herman rozejrzał się wkoło, napawając się atmosferą skupionego oczekiwania pośród swych poddanych, a potem zwrócił się do stolnika:

– Powiadacie, że jeden z mych rycerzy chce nas opuścić?

Gunter ze Schlotheim się skłonił, po czym dał znak Łukaszowi.

Marta ścisnęła szybko dłoń męża, który się podniósł i postąpiwszy kilka kroków przed siebie, ukląkł przed landgrafem na jednym kolanie. Szczęśliwym trafem tego ranka siedzieli przy jednym z bliżej położonych stołów, poprzedniego dnia bowiem Łukasz wyróżnił się w rycerskim pojedynku.

– Wasza książęca mość, proszę, dajcie mi kilka dni, bym mógł pojechać do Weissenfels.

Landgraf popatrzył na niego i uniósł wysoko brwi.

– A zatem naprawdę wierzycie w to, coście powiedzieli? Miśnieńczyk zamierza prowadzić wojnę przeciwko swemu bratu, który dopiero co wrócił z krucjaty?

– Przed chwilą otrzymałem wiarygodne potwierdzenie, wasza łaskawość. Proszę was: nie pozwólcie

na takie bezprawie, nie pozwólcie, by napadnięto krzyżowca, który walczył w Ziemi Świętej, jak wasz brat, niechaj Bóg ma w opiece jego duszę.

– Dusza mego brata została ocalona, oddał bowiem życie za Jerozolimę, czym zapewnił sobie miejsce w raju – sprostował ostro Herman.

Łukasz opuścił głowę. Dodatkowym utrudnieniem była okoliczność, że musiał przedstawić swą prośbę w sali pełnej biesiadników, a nie w wąskim gronie. Zaczął tracić nadzieję, że uda mu się przekonać turyńskiego władcę. Powinien się cieszyć, jeśli Herman w ogóle pozwoli mu opuścić dwór na jakiś czas.

– Muszę przyznać, że jako żołnierz stanowicie cenny nabytek – skonstatował landgraf, wymieniając przy tym szybkie spojrzenie ze swym marszałkiem Henrykiem z Eckartsbergi. – Jednakowoż nie mogę was zabrać ze sobą na zjazdy nadworne, by Miśnięczyk się o was nie dowiedział. A i pod kilkoma innymi względami bywacie kłopotliwi – ciągnął Herman. – Ile razy w ciągu ostatniego półtora roku się zdarzyło, że na was i waszą niewiastę nastawali skrytobójcy, których zgładziliście? Trzy? Cztery?

Łukasz odchrząknął i podniósł wzrok.

– Sześć, wasza łaskawość.

– A czyście doliczyli człowieka, którego pogналиście aż do samej Miśni, po tym jak wasza niewiasta przestraszyła go na śmierć?

– Z tym będzie siedmiu, wasza łaskawość – wyznał zląjany z udaną skruchą.

Siódmy być może znał los mężczyzn, których przysłano przed nim, okazał się bowiem tak żalonym tchórzem, że Łukaszowi z łatwością udało się go rozpoznać i obezwładnić. Pragnąc raz na zawsze uwolnić się od prześladowań Albrechta, do imentu zgnębił nikczemnego skrytobójcę groźbą, że jeżeli nie zapewni swego pana o sukcesie swojej misji i zgładzeniu dwójki przeciwników, wówczas Marta ucieknie się do swych rzekomych nadprzyrodzonych czarodziejskich mocy i nie przestanie go gnębić, póki szubrawiec nie znajdzie się na tamtym świecie. Później w tajemnej wiadomości z Miśni otrzymał potwierdzenie, że fortel się powiódł.

– Siedmiu. Tak mi się właśnie zdawało – skonstatował poirytowany landgraf, w kilku zaś miejscach sali odezwał się śmiech. – Przynosicie wstyd turyńskiej gościnności.

– Bardzo nad tym ubolewam, wasza wysokość. Nie miałem takiego zamiaru.

– Mam nadzieję! Możecie pojechać do Weissenfels, jeśli uważacie, że to konieczne.

Gestem ręki Herman dał mu znak, by wstał i się oddalił.

Łukasz się skłonił, ale nie ruszył się z miejsca. Większość mężczyzn zapewne bez zastanowienia wykonałaby polecenie, lecz nie rycerz z Freibergu.

– Dziękuję, wasza wysokość. A czy podjęliście jakąś decyzję w sprawie hrabiego Weissenfels?

– Znacie mą decyzję – odparł szorstko Herman. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że uważał temat za zamknięty.

Łukasz się zawahał. Nie podobało mu się stanowisko landgrafa i nie chciał się z nim pogodzić. Ale cóż mógł uczynić? Wystarczająco długo próbował skłonić księcia do zmiany zdania, więc jeśli teraz nie wróci natychmiast na swoje miejsce, może popaść w niełaskę. Wówczas nic więcej nie wskóra w sprawie Dytryka. Szukając w myślach rozwiązania, kątem oka zauważył jakiś ruch w miejscu, gdzie siedziała Marta. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Hermana, którego uwagę, jak się zdawało, nagle coś przyciągnęło.

Łukasz zerknął ukradkiem na Martę. Gdy ostatnim razem ściągnęła na siebie powszechną uwagę, wystąpiła i publicznie rzuciła przekleństwo na margrabiego, za co natychmiast została zakuta w kajdany i wtrącona do więzienia. Musiał wprawdzie przyznać, że zrobiła to dla ratowania jego życia, ale on w tym momencie wolałby raczej umrzeć, niżli patrzeć, jak zabierają ją siepacze Albrechta.

„Co tym razem wymyśliła? – zaniepokoił się w duchu Łukasz. – Doprawdy bardzo ją kocham, ale czy

nie mogłaby powściągnąć temperamentu i układnie pozostać z boku na swoim miejscu, jak przystało na niewiastę w pewnym wieku?”

Lecz Marta nie wstała. Nie zamierzała się odzywać, bo w ten sposób wywołałaby ogólne oburzenie. Jedyne wyprostowała się nieznacznie, położyła rękę na sercu i spojrzała landgrafowi prosto w oczy.

Pozostali stołownicy prawie nie zauważyli zmiany w jej zachowaniu, lecz zdawała sobie sprawę, że niebezpiecznie przekroczyła granicę obowiązującej etykiety. Gdy niewiasta ważyła się w ten sposób spojrzeć w oczy mężczyźnie, który był na dodatek wyższy od niej rangą, dopuszczała się karygodnego naruszenia zasad. Rzuciła mu wyzwanie.

Łukasz najchętniej podbiegłby do niej i zasłonił ją własnym ciałem. Jednakże wtedy ściągnąłby na nich uwagę wszystkich zebranych, a tego landgraf nigdy by mu nie wybaczył. Poza tym odniósł wrażenie, jakby wymiana spojrzeń między Hermanem i Martą przerodziła się w niemy dialog, mimo że jako kobiecie nie wolno jej się było odezwać do księcia bez pozwolenia.

Po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, landgraf odwrócił wzrok i lekko odchylił głowę do tyłu, jakby próbując strząsnąć z siebie uczucie, którego właśnie doświadczył. Tymczasem Marta z powrotem spuściła oczy, jak zwykły czynić wszystkie przyzwoite damy. Przelotni obserwatorzy i ludzie siedzący w dalszych rzędach zupełnie nic nie zauważyli.

Jednak Łukasz dobrze wiedział, że to właśnie dzięki niezwyklej interwencji Marty Herman niespodziewanie poszedł na ustępstwo przynajmniej w jednym punkcie. Poruszyła jego sumienie.

– Przydzielę wam pół tuzina ludzi – odezwał się wyniośle. – Jeśli zbierzecie tylu, którzy się zgodzą towarzyszyć wam do Weissenfels.

Łukasz złożył głęboki ukłon, następnie wstał i wróciwszy na miejsce, podał Marcie ramię i razem z nią opuścił salę. Bądź co bądź mógł zabrać ze sobą sześciu uzbrojonych ludzi. I nawet już wiedział, kogo powinien zapytać i kto z całą pewnością z nim pojedzie.

## *Freiberg, jesień 1191 roku*

Jonasz, kowal i rajca, pełnym bólu wzrokiem patrzył na swoją żonę Emmę. Joanna, znachorka i żona jego przyjaciela Kunona, powiedziała mu, że nie ma już nadziei, a ksiądz udzielił umierającej ostatniego namaszczenia.

Teraz powinien klęczeć przy jej łożu i razem z nią się modlić, aż wyda z siebie ostatnie tchnienie. Zamiast tego przysiadł na brzegu łóżka, ujął Emmę za ręce i splótł je ze swoimi.

– Nie patrz tak na mnie – poprosiła go żona i zawstydzona odwróciła głowę. – Kiedyś byłam najładniejszą dziewczyną w wiosce. Teraz mam niemal zupełnie siwe włosy i jestem starą kobietą.

Jonasz zebrał się w sobie, żeby się uśmiechnąć, i dotknął modzelowatą dłonią jej policzka.

– Byłaś najpiękniejszą dziewczyną w wiosce. Dziś nadal widzę cię taką samą jak wówczas. Masz miedzianozłote włosy i jestem szczęśliwy, gdy się uśmiechasz.

– Kiedy ostatni raz się śmiałam? – spytała matowym głosem. – To chyba zmartwienia mnie zzerają... odkąd wszystko tutaj zmieniło się na gorsze.

Jonasz nie zaprzeczył. Wycieńczenie, tak Joanna nazwała chorobę, która wielu wpędziła do grobu, głównie kobiety po zbyt wielu porodach, które ciężko harowały i skąpo jadły. Emma wydała na świat ośmioro dzieci, z których trójka nadal żyła, ale Jonasz jako kowal był w stanie zapewnić swojej rodzinie dostatnie życie. Nawet w trudnych czasach nie musieli cierpieć głodu.

Miała na myśli inne zmartwienie. Nieustającą groźbę, która wisiała nad ich głowami, odkąd okrutny

władcyka objął rządy nad krajem i zabił lub przepędził wszystkich ludzi upominających się o sprawiedliwość.

Emma opuściła zmęczone powieki. Po chwili, która wydała mu się niepokojąco długa, otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

– Powiedz mi jedno, ale zupełnie szczerze: czy kiedykolwiek żałowałeś, że opuściliśmy naszą wioskę i wyruszyliśmy w nieznane?

Niegdyś, przed prawie dwudziestu pięciu laty, razem z grupą osadników z Frankonii przybyli do Marchii Miśnieńskiej, by zagospodarować ziemię w Ciemnym Lesie. Skłoniła ich do tego nadzieja na lepsze życie. Jonasz spojrział na żonę zaskoczony. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Oczywiście, że nie!

– Mogłeś przejąć kuźnię po ojcu, gdybyś został – przypomniała.

– I zostałbym wiejskim kowalem, w najlepszym razie. Teraz jestem kowalem w mieście, które jest na tyle duże, że nasi synowie mogą tu również młotem i kowadłem zarabiać na chleb – odparł z największą pewnością, na jaką mógł się zdobyć w ogarniającej go rozpacz.

– W tamtym czasie nie mogliśmy wiedzieć... że kiedyś znajdą tu srebro i w mgnieniu oka wiejska osada przeobrazi się w miasto – rzekła Emma, choć mówienie przychodziło jej z trudnością. – Przypomnij sobie, ile niebezpieczeństw czyhało po drodze. Ilu ludzi, którzy wtedy razem z nami wyruszyli w nieznane, umarło. Ile się wycierpiałeś przez tego nikczemnego Randolfa i jego zarządcę. Omal nie zatłukli was na śmierć, ciebie i Karola.

Na to wspomnienie przeszedł ją dreszcz, a Jonasz ponownie ujął jej lodowato zimną dłoń, by ogrzać ją w swojej.

– W naszej dawnej wiosce też nie uniknąłbym batów, a może i czegoś gorszego – zaprotestował, a ona doskonale wiedziała, co miał na myśli. Tamtejszy burgrabia przejawiał nadspodziewanie duże zainteresowanie piękną Emmą. Z tej przyczyny woleli poszukać szczęścia gdzie indziej.

Kowalowa znów zamknęła oczy, starając się odsunąć wspomnienia. O tym, jak tamtejszy urzędnik zaciągnął ją siłą do łóża, grożąc, że wtrąci Jonasza do lochu, jak później musiała się oddać pewnemu ohydnemu zarządcy, by ratować męża, którego omal nie zamęczyli na śmierć.

– To było dawno temu, od tej pory minęło więcej niż pół ludzkiego życia. Nie mieliśmy pojęcia, co czekało na nas z daleka od domu – powiedział Jonasz z nostalgią w głosie i przygładził ciemne włosy, które teraz przetykały siwe pasma. – Ale mieliśmy w sobie tyle nadziei!

– Tyle nadziei... bo nie mieliśmy wątpliwości, że Chrystian będzie dla nas lepszym panem – odparła, a jej oczy niespodziewanie rozblęły. – I tak też się stało, był sprawiedliwy i okazywał serce prostym ludziom. Walczył za nas.

Na jej zapadniętej twarzy raptownie zgasło światło.

– Dlatego musiał umrzeć. Łukasz i Marta chcieli kontynuować jego dzieło, ale i oni omal nie przypłacili tego śmiercią. A teraz są daleko stąd...

– Mimo wszystko wiedliśmy dobre życie. Pomyśl tylko o naszych dzieciach i wnukach – próbował ją pocieszyć.

Zatoczył ręką po sypialni szachulcowego domu na Młyńskich Rowach, pozbawionego ozdób, lecz wzniesionego solidnie, przestronniejszego od większości domów w ich dzielnicy. Mieli skrzynie wypełnione lnem i narzędziami, stajnię i własną studnię w zagrodzie. Kawałek dalej za studnią stała kuźnia, w której dziś nie rozpali ognia.

– Czy możesz mi zrobić przysługę? – spytała Emma po chwili milczenia, szukając jego dłoni.

– Co tylko zechcesz, kochana! – obiecał bez wahania.

Rozejrzał się, jakby szukając wsparcia, po czym sięgnął po kubek ustawiony na stole, wsunął lewą



rękę pod plecy umierającej, po czym delikatnie ją uniósł i przysunął jej do ust naczynie.

Emma z wdzięcznością wypila łyk wody, bardzo niewielki, bo nawet ta prosta czynność ją męczyła. Z przymkniętymi oczami rozkoszowała się ciepłem męzowskiego ramienia. Całe życie ją kochał. Później spojrzała na niego i poprosiła:

– Czy mógłbyś zawołać do mnie wszystkich, którzy wtedy z nami jechali? Zaraz, teraz? Chciałabym jeszcze raz poczuć nadzieję tych dni, atmosferę, która pchała nas naprzód...

Jonasza zdziwiło jej życzenie, ale nie dał tego po sobie poznać. Wstał i poprosił Joannę, która czekała przy kuchennym piecu, by zajęła się chorą, a sam wybiegł na ulicę. Musiał się spieszyć, jeśli jego żona jeszcze raz chciała wszystkich zobaczyć, choć niewielu ich już zostało.

Kuno i Bertram, dwaj zamkowi strażnicy, pierwsi weszli do izby umierającej.

– Byliście wtedy jeszcze prawdziwymi dzieciuchami, mieliście najwyżej po dziesięć lat i wciąż trzymały się was figle – przywitała przybyłych Emma z bladym uśmiechem.

Jak zawsze nierozłączni, po dziś dzień skorzy do żartów, chociaż dawno już dorośli i teraz byli doświadczonymi żołnierzami. Dziesięć lat temu na wyprawie wojennej Bertram omal nie postradał nogi.

– Żarty? Nie przypominam sobie – odparł szelmowsko Kuno i przeczesał dłonią swe czarne, rozczochrane włosy.

– Czyż nie byliśmy obaj bardzo, ale to bardzo grzecznymi, posłusznymi chłopcami? – potwierdził z udanym protestem Bertram.

W tym momencie zapomniał nawet o tępych bólu w miejscu blizny, którą nosił na nodze.

Do mężczyzn dołączyła Joanna, żona Kunona. Znowu rozległo się pukanie i do środka weszło dwóch starszych mężczyzn, którzy mogliby być bliźniakami. Obaj łysi, z dużymi, haczykowatymi nosami i siwymi brodami, ubrani lepiej, niż nosili się przeciętni wozacy.

– Będziesz nas chyba musiała też doliczyć, pani kowalowo, chociaż dobiliśmy nieco później do waszej grupy osadników – odezwał się zaskakująco silnym głosem Fryderyk, starszy z braci, który, podobnie jak Jonasz, był rajcą.

Jako następny pojawił się Karol, brat Jonasza, kowal wyrabiający górnicze narzędzia. We włosach miał drobinki popiołu, a wokół niego roznosiła się woń kowalskiego paleniska. Pewnego razu został ukarany razem z Jonaszem, ponieważ obaj stanęli po stronie Chrystiana. Pozostali musieli się przesunąć dla zrobienia mu miejsca.

Emma powiodła po zebranych poruszonym wzrokiem. Niewielka izba zdążyła się zapełnić, ale i tak nie dało się nie zauważyć, jak niewielu towarzyszy z tamtego okresu pozostało przy życiu.

– Greta, twoja matka... Randolph ją przeraził – zaczęła wyliczać, zwróciwszy się do Kunona. – Guntram został niewinnie powieszony... Berta zmarła na gorączkę, niech Bóg ma w opiece jej duszę, ojciec Bartolomeusz umarł, gdy nawiedziła nas zaraza odry... Tak wielu z nas odeszło, ludzi, którzy w tamtym czasie wazyli się na wszystko. Tak, Marta i pan Łukasz wciąż żyją, jeśli Bóg łaskaw, ale nie wolno im się tu pokazać... Teraz miasto jest pełne zniechęconych ludzi, tchórzy, egoistów i zdrajców. Wszelka nadzieja umarła.

Emma z olbrzymim trudem podniosła rękę i otarła łzy, które wbrew woli popłynęły jej z oczu.

W ciszy, która nastąpiła, znów dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami.

Czyżby Guntram, jej drugi co do wieku syn, którego ochrztili na cześć niesłusznie powieszzonego zamkowego cieśli? Był jedynym z jej dzieci, który jeszcze się z nią nie pożegnał, ponieważ pracował jako kowal w Miśni na górze zamkowej. Dopiero dziś posłano umyślnego z wiadomością, że matka leży na łożu śmierci. Przed jutrem nie mogli się go raczej spodziewać.

– Zróbcie wreszcie przejście – poznała niecierpliwy głos męża.

Kuno, Bertram, Karol, jego siostra Joanna i obaj starsi mężczyźni pod naporem przesunęli się do tyłu

małego pomieszczenia. Emma popatrzyła zaskoczona na nowo przybyłych.

– Zobacz, wyrosło następne pokolenie, mają tyle samo nadziei, odwagi i sprytu, co my wtedy, a kto wie, czy w tych warunkach nawet nie więcej – usłyszała zza zebranej ciżby niewątpliwie dumny głos swego męża.

Później po włosach płowych niczym słoma rozpoznała Chrystiana, pierwsze dziecko urodzone w wiosce, który obecnie pełnił funkcję koniuszego na freiberskim zamku, jego żonę Annę, korpulentnego Piotra, niegdyś złodziejaska, obecnie nadzorcę w domu dowódcy zamkowej straży, oraz mężczyzn, którzy wraz z jej własnymi synami wpadli na niejedną myśl, by pomóc uciśnionym w mieście.

Na widok tych młodych ludzi pragnących uśmiechem dodać jej otuchy poczuła, jakby ciepły promień słońca rozgrzewał jej serce.

Może nie powinna była zarzucać nadziei, że w tym mieście będą mogli kiedyś żyć bez strachu i zmartwień...

Drzwi ponownie otworzyły się ze skrzypnięciem.

– A cóż tu się dzieje? – usłyszała głos swego drugiego syna, którego właściwie nie powinno tu jeszcze być.

Guntram przecisnął się przez tłum, najwyraźniej ojciec dopiero co w kilku słowach zdążył mu uświadomić sytuację. Dlaczego przyjechał? Czyżby musiał uciekać z Miśni?

Młody kowal o rudawych włosach, jak zresztą wszystkie jej dzieci, starał się nie dać po sobie poznać przerażenia. Usiadł na skraju łoża, jak wcześniej uczynił był to jego ojciec, i pocałował matkę w policzek.

– Nie martw się, mamó. Nie zostawimy cię samej – powiedział dziwnie łagodnym głosem.

Emma się uśmiechnęła. A więc drugiemu synowi udało się dotrzeć do niej na czas. W głębi duszy kochała go najbardziej ze wszystkich dzieci. Może dlatego, że mieszkał tak daleko od domu, a może był najbardziej podobny do swojego ojca. Śmiały i nie tak rozsądny jak Johan, jej pierworodny. A może dlatego, że jako jedyna wiedziała o jego skrytej miłości, która nigdy nie znajdzie spełnienia, i było jej go żal.

Uśmiech pozostał na jej twarzy, gdy po raz ostatni odetchnęła. Guntram popatrzył na matkę, przeżegnał się i spojrział bezradnie w kierunku ojca, który właśnie przecisnął się do nich, ujął dłoń zmarłej żony, przytulił do swojej twarzy i cicho zaszlochał.

Syn przełknął ślinę.

– Bóg cię tu przysłał, byś mógł się pożegnać z matką – powiedział przygnębiony Johan.

Młodszy brat pokręcił głową.

– Z całą pewnością nie Bóg – odparł gorzko, a następnie zwrócił się do Chrystiana i Piotra: – Trzeba niezwłocznie wysłać kogoś do Łukasza! Hrabia Dytryk wrócił z Ziemi Świętej, a jego brat zbiera w Miśni wojsko. Zamierza napaść na Weissenfels. Za trzy dni książę Albrecht chce ruszyć na wojnę, ma dwustu pięćdziesięciu ludzi!

## *Plany na przyszłość*

Joanna pierwsza przerwała pełne wzburzenia milczenie. Odrzuciła do tyłu jasne warkocze i z wyrzutem spojrzała na młodych mężczyzn.

– Jeśli macie coś do omówienia, zróbcie to na zewnątrz! – rzuciła energicznie. – Przez wzgląd na szacunek dla śmierci i dla niego!

Wskazała głową na Jonasza, który klęczał i modlił się przy łóżku swej żony.

– Zajmę się umyciem zmarłej. Zajmiesz się kuchnią, Anno?

Żona Chrystiana natychmiast przytaknęła.

– Mogłabym również doglądać tutejszego gospodarstwa, zamiast pracować w zamkowej kuchni – zaoferowała się.

– Dla Jonasza byłaby to z pewnością ogromna wyręka – potwierdziła Joanna i zwróciła się do pierworodnego syna kowala. – Ale ty powinieneś się niebawem powtórnie ożenić. Anna też sama nie da sobie rady z tą gromadą dzieci i całą resztą pracy.

– Chodźcie do stajni na strych, do sąsieka ze słomą – zaproponował Guntram towarzyszom.

Ostatni raz spojrzął na matkę i w myśli odmówił modlitwę za jej duszę. Podczas poprzednich wizyt widział, że ostatnio coraz bardziej podupadała na zdrowiu, jednak jej śmierć była dla niego ogromnym ciosem. Ale zamiast mieć pretensje do Boga, powinien odczuwać wdzięczność, że miał okazję jeszcze z nią porozmawiać.

Jednakże wieści, które tego dnia przygnały go z Miśni, nie cierpiały zwłoki. Jego bracia, a także Chrystian i Piotr, bez sprzeciwu weszli za nim na górę. W dzieciństwie spotykali się w sąsieku i obmyślali tam najprzeróżniejsze psoty, a później układali tajemne plany i razem z Łukaszem i Martą po cichu pomagali mieszkańcom miasta udręczonym przez okrutnego kasztelana i bezwzględne margrabiego. W tamtym czasie nierzadko towarzyszyła im Klara, jednakże nikt nie mógł się dowiedzieć o jej uczestnictwie w spiskach.

Nawet Kuno, Bertram i stary furman Fryderyk, postępując, wdrapali się na górę, natomiast Hans, brat tego ostatniego, został u boku Jonasza, starając się go pocieszyć.

– Mówcie wreszcie! – ponaglił młodego kowala Kuno, oparłszy się plecami o słup. Ale Guntram nie miał nic więcej do powiedzenia poza tym, co już usłyszeli. Za trzy dni Albrecht dotrze do ich miasta, by zabrać oddziały z Freibergu i wzmocnić swe wojsko.

– Beze mnie – rzucił lakonicznie Kuno i skrzyżował ręce na piersi.

– I beze mnie – przyłączył się do niego Bertram.

Zerknął na przyjaciela i po krótkiej wymianie porozumiewawczych spojrzeń ponownie się odezwał:

– Pojedziemy do Weissenfels i przyłączymy się do oddziałów hrabiego Dytryka.

– Nie możecie stąd tak po prostu wyjechać i zostawić mej siostry samej sobie! – zawołał skonsternowany Karol. – Co się stanie z Joanną? Ukarzą ją za to, że nie ruszyliście z nim na wojnę.

– Nie rozumiesz – zaproponował Kuno z największym spokojem, na jaki było go stać. – Ty możesz zostać, kowal zawsze będzie potrzebny w kopalni, a Albrecht łąpczywie pożąda srebra. Natomiast my, wojownicy, musimy teraz podjąć decyzję, po której stronie staniemy w tej wojnie. A wojna jest nieunikniona.

– Teraz nie chodzi nam o przekazanie wiadomości Łukaszowi czy hrabiemu Dytrykowi – dodał Bertram. – W tej sytuacji nie mamy wielkiego wyboru. Albo błyskawicznie się do nich przedrzemy i zostaniemy w Weissenfels, albo będziemy zmuszeni wyruszyć na bitwę przeciwko nim.

– A co z moją siostrą? Może zamierzacie zabrać ją ze sobą na wojnę? – zirytował się Karol.

– Wspólnie z Joanną dawno postanowiliśmy, co zrobimy na wypadek takiej sytuacji jak ta – oświadczył zdumionemu Karolowi Kuno. – Zgodnie z naszym planem pójdzie do ojca Sebastiana i wyzna mu z rozpaczą, że ją zostawiłem i uciekłem z jedną z przejezdnych kuglaek. Zrobi to, jeszcze nim zaczną zbierać w mieście oddziały. Książdz bez wątpienia podzieli się nowiną z innymi, dzięki czemu Joanna znajdzie się poza podejrzeniem. Dla pewności możesz ją razem z dziećmi wziąć do siebie do domu.

Karol się skrzywił.

– Coś ty uczynił z mej dobrze ułożonej, nieśmiałej siostrzyczki? – Zerknął wyzywająco na Kunona. –

Dobrze, wezmę ją z dziećmi do siebie. Za to rozpowiem wszem wobec w całej okolicy, jakiego poślubiła nierzetelnego człowieka, który zostawił ją dla jakiejś kuglarki.

Mimo powagi sytuacji wszyscy uśmiechnęli się pod nosem na jego słowa.

Piotr wbił widły w wiązkę słomy, po czym usiadł na odwróconym wiklinowym koszu.

– Nie wiesz, czy ten łajdak Rutger też wybierze się na wojnę, czy też zostanie na miejscu, żeby pilnować srebra? – zwrócił się do Guntrama.

Ten wzruszył znacząco ramionami.

– Nie jestem na tyle wtajemniczony. Nie należę do zaufanych ludzi stolnika... Może jutro przyjedzie do niego posłaniec z rozkazami. Miejcie oczy otwarte.

– Mój niezłomny pan jest pewny, że batem wybił mi z głowy nieposłuszeństwo – zakpił Piotr. – Zatem potulnie stanę u jego boku, nieważne czy tu, czy na wojennej wyprawie, i nadstawię ucha.

– Ucha i ręki... – dokończył Chrystian, co młodszych mężczyzn sprowokowało do śmiechu. Piotr, dawny złodziejaszek i aż do nadejścia Rutgera zarządca u Łukasza i Marty, solennie sobie postanowił, że oskubie nowego komendanta zamkowej straży z części jego okazałego majątku. Na razie realizował swoje zamierzenie z taką zręcznością, że nikt nie powziął nawet najmniejszych podejrzeń. Jedynie od czasu do czasu Rutger i jego ludzie, którzy tymczasem rozpanoszyli się w domu Łukasza, utyskiwali na grasujących po mieście złodziei sakiewek. Piotr zaś i jego przyjaciele przekazywali zdobyte srebro potrzebującym.

– Zatem obaj dziś jeszcze wyjeżdżacie? – spytał z żalem Chrystian. – Co moglibyśmy tymczasem zrobić?

– To co zwykle. Zostańcie w ukryciu, starajcie się poznać plany wroga i pomagajcie ludziom, którzy znajdują się w potrzebie – odrzekł stary wozak Fryderyk. – Na razie mają zaatakować Weissenfels, ale w gruncie rzeczy wszystkich nas to dotknie. Mężczyźni muszą ruszyć na wojnę, a tymczasem Albrecht z pewnością wymyślił już nowy podatek na opłacenie kosztów swojej wyprawy... Nie ma co liczyć, że rajcy zdołają go uprosić o wyrozumiałość.

– W ogóle się nie odzywają, jedynie przysłaniają usta i cichaczem szepczą, otwarcie nie powiedzą nawet słowa – prychnął pogardliwie Karol, który sam także był jednym z dwunastu freiberskich radnych i wiedział z własnego doświadczenia, że większość uczestników rady nie posiadała moralnego kręgosłupa.

Tylko Jonasz, Fryderyk i on sam mieli odwagę jasno przedstawiać na obradach swoje zdanie, co zresztą spowodowało na nich duże kłopoty i nienawiść gorliwych sługusów.

Tymczasem Guntram nie spuszczał oka z obu strażników, Kunona i Bertrama. Rzucił przez okno szybkie spojrzenie na podwórze, a następnie się ruszył.

– Jadę z wami. Do hrabiego Dytryka. Nie wrócę do Miśni. Powiedziałem już mistrzowi, że chcę się gdzie indziej rozejrzeć za pracą i zamierzam pójść na naukę do płatnerza. Więc ojciec nie będzie miał kłopotów, jeśli nie pojawię się na zamku. Ale niech mnie diabli porwą, jeśli ruszę choćby najmniejszym palcem, by przyłożyć rękę do zwycięstwa Albrechta nad jego bratem.

Kuno klepnął go po ramieniu.

– Witamy wśród buntowników! Chyba zdajesz sobie sprawę, że szanse Dytryka w starciu z bratem nie stoją najlepiej? Dopiero co wrócił z Ziemi Świętej. Z tego, co słychać w okolicy, większość mężczyzn, którzy razem z nim ruszyli na krucjatę cesarza, nie wróciła żywa. Zatem raczej nie uda mu się zebrać dostatecznej liczby żołnierzy, by stawić opór przeważającej miśnieńskiej sile.

– W każdym razie Albrecht będzie miał teraz o trzech ludzi mniej – odrzekł Guntram.

Wprawdzie wolałyby zostać w domu do pogrzebu matki, jednak nadchodząca wojna nie pozwalała na urzeczywistnienie tego pragnienia.

## *W tym samym czasie na miśnieńskim zamku*

„Niech uschnie twe nasienie, a ciebie otoczy gniew i pogarda i niech odwrócą się od ciebie wszyscy zaufani ludzie. Umrzesz z nieznamym ręki, znieawidzony przez Boga i wszystkie istoty! Twa dusza będzie przeklęta na wieczność i nigdy nie zazna zbawienia!”

Albrecht z Wettynu, margrabia miśnieński, nie mógł opanować dreszczu, który przeszedł mu po plecach. Czy tamto wydarzenie musiało mu właśnie teraz stanąć przed oczami? Zaplanował przedsięwzięcie, które dzięki przewadze w uzbrojeniu, ludziach i wojennej zręczności przyniesie mu pomyślne rozstrzygnięcie.

Astrolog, uczony doradca księcia, wciąż mu powtarzał, że kobieta, która rzuciła ów urok, od dawna nie żyła i została wyklęta, zatem nie powinien odczuwać najmniejszego niepokoju.

Owego pamiętnego dnia ta wiedźma Marta napędziła mu solidnego strachu. A do tego później zniknęła bez śladu z więzienia. Nie zostawiła po sobie choćby najdrobniejszego tropu, który mógłby im wskazać, w jaki sposób zdołała to zrobić bez pomocy szatana, co czyniło całą sprawę jeszcze bardziej niebezpieczną. Tym bardziej wobec dręczącej go nieustająco obawy, że ojciec na tamtym świecie mógłby się opowiedzieć przeciwko niemu. Ojciec, który nawet na łożu śmierci mu nie wybaczył.

Jednakże po chwili powtórzył po raz setny w myślach: moi zaufani ludzie nigdy się ode mnie nie odwrócą, posłusznie wykonają każdy rozkaz. Moja przyboczna straż jest niepokonana, jestem bezpieczny przed trucicielami i nikt nie odważy się okazać mi choćby cienia gniewu czy wzgardy, zanadto się mnie boją. Jestem margrabią z łaski Boga.

Być może zdołałby odpędzić od siebie te straszne niepokoje, gdyby nie jedno zdanie. „Niechaj uschnie twe nasienie...”

W rzeczy samej, jeśli ktoś miał tak oziębłą i nudną żonę jak on, nie powinien się dziwić, że męskość odmówiła mu posłuszeństwa. Wprawdzie pilnował, by znaleźć się w łożu żony we wszystkie dni, które astrolog uznał za odpowiednie, mając nadzieję na spłodzenie syna, ale jak dotąd nie osiągnął upragnionego rezultatu. W trakcie rozciągających się w nieskończoność lat pełnego obopólnej niechęci małżeństwa Zofia, córka księcia Czech, urodziła mu wprawdzie córkę, ale żadnego spadkobiercy.

Od czasu zaś klątwy rzuconej przez nieszczęsną Martę zaczął mieć kłopoty, by w ogóle sprostać swoim małżeńskim obowiązkom w łożu. Ta wiedźma odebrała mu męskość!

Raptownie poczuł narastającą wściekłość i huknął pięścią w stół, aż wszystko zadrżało.

Podniósł wzrok i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy się do niego zbliżali. Nie mogli bardziej się od siebie różnić. Pierwszy z nich rosły, doświadczony w walkach Elmar, jego stolnik, zaufany i doradca, rycerz szlachetnego rodu, dwadzieścia lat starszy od niego, miał rudawe włosy i podkrecone do góry wąsy. Z kolei drugi, magister Eustachiusz, alchemik czytający w gwiazdach, sprawiał raczej cherlawe wrażenie, z głową okoloną wianuszkami przerzedzonych siwych włosów wyglądających spod czarnego czepka i twarzą o wciąż niespokojnych oczach, chociaż na zamku bano się go nie mniej niż pozbawionego skrupułów stolnika.

Obaj serdecznie się nawzajem nienawidzili, co widać było choćby po spojrzeniach, które sobie rzucali. Jednakże Albrecht nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy i rozkazał, by się nauczyli pokojowo ze sobą współistnieć. Obaj byli mu potrzebni.

Dzięki bezwzględności i fizycznej przewadze Elmarowi znów udało się pierwszemu dotrzeć przed oblicze władcy i pierwszy też przemówił.

– Jutro rano będzie czekało w gotowości dwustu ludzi, którzy wyruszą z wami w pole. We Freibergu zaś dobierzemy kolejnych pięćdziesięciu, wasza wysokość – poinformował z dumą. – Chociaż właściwie

nie potrzeba nam aż tylu żołnierzy. Z wiarygodnych źródeł wiadomo, że wasz brat powrócił z Ziemi Świętej z jednym człowiekiem, w jego zaś pożałowania godnej twierdzy są najwyżej dwa tuziny poważnych wojowników.

Stolnik, szczywany intrygant, miał w wielu miejscach swoich szpiegów.

– Tylko z jednym człowiekiem – podkreślił z naciskiem Elmar. – Ponadto nawet z daleka nie widział Jerozolimy, zatem nikt nie może wam zarzucić, że targnęliście się na prawdziwego krzyżowca. Nie dotrzymał przysięgi pielgrzyma.

Potwierdzenie przypuszczenia, które wcześniej często rozważali, poprawiło Albrechtowi nastrój. Z ukontentowaniem nadział na nóż kawałek mięsa ułożonego przed nim na półmisku z dziczyzną i odgryzł kęs soczyście doprawionej pieczeni.

– Opowiadają potworne rzeczy o losie, jaki spotkał ludzi na wyprawie krzyżowej – powiedział i popił mięsivo solidnym łykiem czerwonego wina. – Ale za kilka dni mój braciszek będzie żałował swego powrotu.

– Bez wątpienia – przytwierdził stolnik z cynicznym uśmiechem. – O ile w ogóle dacie mu okazję, by mógł o tym pomyśleć.

Zachęcony gestem przez księcia, on również sięgnął po sztukę mięsa.

– Bóg stanie po waszej stronie, nie poprze wiarołomcy, bez dwóch zdań – dodał z przekonaniem i wsunął do ust kawałek dziczyzny.

Nie dało się nie zauważyć, jak wielką przyjemność sprawiała stolnikowi okoliczność, że to on przemawiał, a nawet wolno mu było skosztować pieczeni, podczas gdy uczoney musiał uniżenie czekać w stosownej odległości. W związku z tym Albrecht natychmiast zdecydował, że powinien zmienić kolejność.

– Przekażcie zatem ludziom, że oczekuję od nich wielkiego czynu. Pozwolę im splądrować Weissenfels i wszystkie okoliczne wioski, a za każdego zabitego poplecznika mego brata wyznaczam nagrodę w wysokości jednej marki w srebrze.

„W ten sposób bitwa będzie mnie kosztowała ledwie kilka marek, a te wezmę sobie jutro z Freibergu” – policzył szybko.

Elmar nie dał po sobie poznać niezadowolenia z faktu, że został wyproszony z komnaty. A wszystko z powodu tego szemranego astrologa! Jeszcze rok temu Albrecht wzniósłby z nim toast za czekające ich zwycięstwo i biesiadowali by wspólnie do białego rana. Zamiast tego został szorstko odprawiony. Ale ten stary szarlatan zapłaci mu za to. Wojna otwierała wiele możliwości pozbycia się niewygodnych osób. Elmar wątpił, czy Eustachiusz zdoła w gwiazdach ostrzeżenie przed mieczem stolnika. Wprawdzie ten cherlak czasami okazywał się przydatny, potrafił bowiem wybić księciu z głowy różne wątpliwości, niemniej jednak jego tajemnicze napoje i przepowiednie budziły w stolniku ogromną nieufność.

Elmar skłonił się księciu z nieprzeniknioną miną i opuścił pomieszczenie, nie omieszkawszy po drodze rzucić astrologowi ostrzegawcze spojrzenie.

Nie przestając przeżuwać, Albrecht gestem przywołał do siebie uczonego. Ten skłonił się głęboko, przy czym omal nie rozlał trunku z kubka, który trzymał w ręku.

– Gwiazdy sprzyjają waszym zamierzeniom, wasza miłość. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości – oznajmił pompatycznym tonem.

– A czy gwiazdy powiedziały, kiedy wreszcie mogę się spodziewać narodzin syna? – warknął Albrecht.

– Jak tylko odniesiecie zwycięstwo nad bratem i zjednoczycie w swym mocnym ręku całą sukcesję domu Wettynów, wówczas wasza małżonka wyda na świat męskiego potomka – zapewnił gorliwie

astrolog, a następnie uniósł kubek do wysokości oczu księcia. – Ten napój wspomaga płodność margrabiny. Zaraz po waszym powrocie zasadzicie w jej ciele swe nasienie.

„Zatem nie potrzebuję iść dzisiaj do jej sypialni” – pomyślał Albrecht prawie z ulgą. Gdyby nie odprawił przed chwilą Elmara, teraz kazałby mu przyprowadzić sobie najlepszą miśnieńską dziwkę.

Jeszcze niedawno podniecała go przynajmniej niechęć, z jaką żona znosiła go w swoim łóżku, a właściwie musiała znosić. Jednakże od chwili, gdy ta czarownica Marta rzuciła na niego urok, bez wzmacniającej mikstury alchemika i zręcznej dziwki nic mu nie wychodziło.

Bądź co bądź dzięki miksturom uczonego Zofia zaszła wczesnym latem w ciążę. Ale straciła dziecko, jeszcze nim jej brzuch zdążył się zaokrąglić.

– Zawołaj mą małżonkę! – rozkazał kamerdynerowi. Ten skłonił się nisko i wyszedł. Wkrótce wrócił, prowadząc ze sobą margrabinę.

Piękna Zofia z Czech miała kamienną minę, gdy klękała przed swym małżonkiem, chociaż tego dnia jej twarz była bledsza niż zazwyczaj.

W pierwszych latach małżeństwa próbowała przeforsować swe zdanie przynajmniej w mniej istotnych kwestiach. Jej strach przed mężem dorównywał nienawiści, jaką go darzyła, odkąd podczas ich poślubnej nocy grubiańsko odebrał jej dziewictwo. Ale od czasu ostatniego gwałtu jej obawy tak wzrosły, że w obecności małżonka nie miała śmiałości się odezwać. Ostrożnie zaryzykowała szybkie spojrzenie w bok, na twarz alchemika, który miał zdecydować, czy dzisiejszej nocy będzie musiała przeżyć mękę goszczenia w łóżku małżonka. Już sama myśl o tym sprawiała, że miała ochotę się zerwać i uciec.

– Weźcie ten napój! – rozkazał Albrecht opryskliwie. – Módlcie się za moje zwycięstwo i przygotujcie się, bo zaraz po moim powrocie urodzicie mi syna! Za to też macie się modlić.

„Zatem nie dzisiaj” – pomyślała Zofia z niewymowną ulgą. Skinęła posłuszenie i odebrała od alchemika napar. Smakował obrzydliwie. Ale nie miała odwagi odmówić wypicia napoju. A gdyby znów zaszła w ciążę i urodziła syna, wówczas skończyłaby się jej niedola. Jako matka spadkobiercy margrabiego miałyby prawo oczekiwać traktowania pełnego szacunku. Wtedy zapewne mogłaby wyjechać do którejś z posiadłości, które wniosła w posagu, daleko od tego potwora i jego nieprzewidywalnych napadów wściekłości.

Gdyby Albrecht był dobrym mężem, a ona troskliwą żoną, wówczas odradziłaby mu wojnę przeciwko własnemu bratu, szczególnie że ten wyruszył wraz z cesarzem do Ziemi Świętej. Jednakże w obecnej sytuacji pomyślała jedynie: „Jedź już i polegij w bitwie!”.

Swego szwagra Dytryka pamiętała jedynie jak przez mgłę ze zjazdu na dworze, bo synowie Ottona z Wettynu darzyli się głęboką nienawiścią i unikali nawzajem swego towarzystwa. Ale wiedziała, że brat Albrechta cieszył się opinią dzielnego i roztropnego wojownika, choć nikt nie odważyłby się powiedzieć tego w obecności jej małżonka. Wobec tego całą nadzieję pokładała w myśli, że w czekającej ich wojnie szwagier pokona swego przeciwnika, a może nawet go zabije. Ze swej strony uczyniła, co mogła, wysyłając ostrzeżenie do Weissenfels. Oczywiście tak, by nikt nie mógł się tego domyślić.

Wiedziała, że jeden z rycerzy Albrechta, Rajmund z Muldental, popierał jej teściów, przeciwko którym jej małżonek się zbuntował, a także uchodził za wiernego przyjaciela skazanego na śmierć Łukasza z Freibergu. Tenże Rajmund zajmował się hodowlą koni. Nieraz była w jego posiadłościach, by w stajniach wyszukać sobie najpiękniejszą klacz. Gdy więc małżonek zaczął się przed nią przechwalać, że za niecałe dwa tygodnie wyruszy zaatakować brata, oznajmiła, że z tej okazji chciałaby mu podarować najwspanialszego ogiera, najlepszego w całej Marchii Miśnieńskiej.

Albrecht uznał to za próbę wynagrodzenia mu przez nią ostatniego poronienia, więc nie powiedział ani słowa o tym, że nikt przy zdrowych zmysłach i nieprzymuszony koniecznością nie pojedzie w bitwę na koniu, którego dobrze nie zna.

Dzięki temu zyskała pretekst, który pozwolił jej zebrać swoją świętą i wybrać się do Muldentalu, by na miejscu podczas poufnej pogawędki z żoną Rajmunda wturcić niby przypadkowo, że wierzchowiec będzie potrzebny na wyprawę wojenną do Weissenfels, która ma wyruszyć najpóźniej za dziesięć dni.

Owo wydarzenie miało miejsce przed tygodniem. Była przekonana, że Elżbieta niezwłocznie powtórzyła wszystko mężowi, a ten posłał ostrzeżenie do Weissenfels. W tej sytuacji jej szwagier zaraz po powrocie mógł przygotować zamek do obrony i zebrać wojsko. Albrechta, który liczył na szybkie i łatwe zwycięstwo, spotka przykra niespodzianka. „Niech umiera! – modliła się w skrytości ducha. – Boże, zlituj się nade mną i wyślij tego diabła tam, gdzie jego miejsce”.

„Powinna była wziąć raczej siwka. To wspaniałe, wyśmienicie zbudowane i pełne temperamentu zwierzę. Ale Rajmund powiedział, że ogier nie jest na sprzedaż i nie został jeszcze dostatecznie ujarzmiony”.

Później Albrecht zażądał przekazania sobie wszystkich koni wyszkolonych do walki.

„Tak, powinna była obstawać przy siwku. Może dziki ogier wyrzuciłby tego potwora z siodła, a potem stratował na śmierć”.

Ostatnia myśl pomogła jej ukryć nienawiść, gdy za pozwoleniem małżonka opuszczała salę po wypiciu lurowatej ciecicy. No i oczywiście ulgę, którą odczuła po informacji, że dzisiejszej nocy nie będzie musiała dzielić z nim łoża.

## *Zajście we Freibergu*

Pozbywszy się wszelkich wątpliwości, w świetnym nastroju po nocy pełnej dzikich wybryków, Albrecht wyruszył następnego ranka na wojnę, prowadząc za sobą dwustu uzbrojonych po zęby mężczyzn. Razem z Elmarem i Geraldem, jego marszałkiem, uradzili i wydali rozkazy, by nie zabierano wozów z zaopatrzeniem. Wszystko, czego potrzebowali, należało ulokować na dodatkowych koniach. Inne rzeczy wezmą sobie z dóbr jego brata. Tabor z wozami opóźniłby jedynie pochód, zatem tym razem bez żalu zrezygnował z pewnych udogodnień. Zamierzał zaskoczyć swego znenawidzonego rywala, a potem obezwładnić i zniszczyć garstkę jego zwolenników, nim zdążą się zorientować, co się z nimi dzieje. W tym celu nie potrzebował maszyn oblężniczych. Wystarczą mu jego zdeterminowani rycerze i łucznicy.

Po południu niekończący się pochód jeźdźców dotarł do Freibergu. Zasadniczo Albrecht mógł zażądać, by przysłano mu pięćdziesięciu zbrojnych do Miśni, ale wolał osobiście odwiedzić bogate miasto, w którym zamierzał się zaopatrzyć w srebro i prowiant, a na odjeźdźnym dobitnie upomnieć unieżonego kasztelana, by pod jego nieobecność wiernie wypełniał rozkazy.

Kasztelan Henryk kilka dni wcześniej otrzymał stosowne polecenia, toteż nikt ich nie zatrzymywał przy miśnieńskiej bramie i swobodnie wpuszczono ich do zamku. Kilku ulicznych gapiów wycofało się trwożnie na widok wzbudzającej strach zbrojnej siły pod margrabiowską chorągwią. Ludzie ryglowali drzwi, wciągali dzieci do domów, pospiesznie zapędzali do zagród kury i kilka świń buszujących w błocie w poszukiwaniu jedzenia.

Na zamku wszystko było już przygotowane, by księżę wraz ze swoją świętą mógł się posilić i wygodnie przenocować. Pięćdziesięciu zbrojnych, którzy mieli dołączyć do pochodu, stało na dziedzińcu i przywitawszy swego dowódcę donośnym wiwatem, wszyscy przed nim uklękli.

Chrystian, młody zamkowy koniuszy, otrzymał poprzedniego dnia rozkaz poczynienia przygotowań, niezbędnych do przyjęcia tak wielkiej gromady ludzi, choć oficjalnie nie powiedziano mu, dokąd mają się dalej udać.



Zatem za pozwoleniem kasztelana kazał przywieźć dodatkowy obrok i słomę, przyjął na służbę tuzin dodatkowych stajennych pachołków, a tuż za zamkowymi wałami kazał ogrodzić kawałek łąki, która miała służyć za wybieg dla koni.

Mimo wielkiej liczby żołnierzy i koni jego ludziom udało się zaprowadzić jaki taki porządek. On sam zajął się książęcym ogierem, którego kasztelan osobiście prowadził za wodze w kierunku stajni, do momentu aż Albrecht nie zniknął z zamkowego dziedzińca.

Chrystianowi ulżyło na widok lizusostwa i służalczego nadszkiepcowania kasztelana, który na co dzień bywał nieugięty, oszczędziło mu ono bowiem bezpośredniego spotkania z margrabią. Mimo że jako koniuszy liczył się obecnie bardziej od zwykłego pachołka, to nadal nie mógł mieć pewności, czy Albrecht nie uzmysłowi sobie, że nadal miał niewyrównany rachunek z tym osobliwym mieszkańcem Freibergu. Wprawdzie dawne zajście miało miejsce kilkanaście lat temu, a Chrystian dawno przestał być chudym dziesięcioletnim stajennym wyrostkiem i wyrósł na barczystego, silnego mężczyznę, lecz Elmar na pewno by się zorientował, kim był i czyje nosił imię.

– Czy gruba kasztelanowa sprowadziła nam do zamku kilka miejscowych dziwek? – usłyszał kilka kroków od siebie pytanie, które jeden z miśnieńskich rycerzy rzucił do swego sąsiada. – Ta, która mi się ostatnim razem trafiła, była nienasycona.

– Nawet jeśli nie, to najpóźniej za trzy dni będziemy w Weissenfels. Weźmiemy niewiasty i nawet nie będziemy musieli za nie płacić – odparł zapytany z aroganckim uśmiechem, ukazując kilka pustych miejsc po brakujących zębach.

Pomysł zdawał mu się podobać, bo zaraz podrapał się po przeszywanicy<sup>5</sup>.

– Za wiele gadacie! – usłyszeli za sobą wściekły głos.

Chrystian natychmiast się zorientował, do kogo należał, i postarał się usilnie, by nie dać po sobie poznać, że cokolwiek do niego dotarło. Daremnie. Z lodowatą miną podszedł do nich Rutger, przybrany syn stolnika, który mimo młodego wieku od czasu pojmania i planowanej egzekucji Łukasza był dzięki swej koligacji dowódcą straży freiberskiego zamku.

– Jakeście, fajtlapy, wypaplali rzeczy, o których nikt nie miał się dowiedzieć, to przynajmniej postarajcie się, żeby ten gnojek nie mógł ich nikomu przekazać – warknął do dwóch rycerzy, którzy wymienili między sobą spojrzenia.

Następnie jeden z nich wyciągnął sztylet. Chrystian nie miał się gdzie usunąć, siwek zagradzał mu bowiem drogę ucieczki. Nie miał nawet czasu, by poprosić Boga o łaskawe przyjęcie.

– Stój, co robisz?! – Rutger powstrzymał gwałtownie mężczyznę, który właśnie zamierzał zatopić ostrze w piersi młodego koniuszego. – Potrzebujemy go do koni. A dwa dni w łańcuchach i porządne lanie powinny mu wybić z głowy chęć pochwalenia się podsłuchanymi nowinami.

Niezadowoleni rycerze zarechotali, po czym jeden z nich wykręcił Chrystianowi ramiona do tyłu, drugi zaś zaczął go okładać pięściami, aż ciało młodzieńca bezwładnie opadło.

Zdarzenie to wzbudziło powszechne zainteresowanie i kilku rycerzy zatrzymało się, żeby popatrzeć. Z kolei pachołkowie starali się umknąć, nie zwracając na siebie uwagi. Żaden nie miał odwagi przyjść z pomocą dręczonemu koniuszemu. Byłaby to zresztą daremna próba, która sprowadziłaby na nich kolejne kary.

Krew z rozciętej brwi spływała Chrystianowi na skroń. Mimo to z wysiłkiem starał się stanąć na nogi. Jednocześnie nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć Rutgerowi w twarz, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie było to mądre. To monstrum w niczym nie ustępowało swemu ojcu, jeśli chodziło o rozmiar perfidii i okrucieństwa. Od przybranego zaś ojca przejął przebiegłość i podstęp.

Chrystian i Rutger byli prawie w tym samym wieku, obaj po dwudziestce, ale darzyli się wzajemną nienawiścią podobnie jak ich ojcowie, Randolph, ojciec Rutgera, oraz przywódca pierwszych

osiedleńców, którego imię nosił Chrystian. Jednakże koniuszy nie miał możliwości odpłacić się wyższemu rangą wrogowi. Od początku był na słabszej pozycji.

Rutger kolejny raz z ukontentowaniem delectował się swą przewagą. Lekko przymrużył jedno oko, a następnie wymierzył Chrystianowi cios pięścią prosto w podbrzusze. Młodzieniec na powrót opadł bezwładnie, ale podtrzymany przez jednego z rycerzy, zwrócił swój ostatni posiłek na buty Rutgera.

Syn Randolfa z wściekłością wyciągnął zza pasa szpicrutę i smagnał Chrystiana po obu policzkach. Koniuszy poczuł, jak pękła mu skóra i krew pociekła po twarzy.

– Jazda, szczeniaku, wyczyść mi buty! – zaryczał w kierunku jakiegoś wyrostka, który wcześniej nie zdążył się schować. A może chłopak chciał się przekonać, co się stanie z koniuszym.

– A jego wrzucie do lochu! – rozkazał Rutger obu rycerzom. – Niech posiedzi do jutrzejszego wieczora, bez wody i chleba, żeby mu przeszła ochota na przechwałki tym, co mu się udało podsłuchać. Sam rządcą odpowiada za niego głową!

Wprawdzie dowódca straży nie miał prawa wydawać rozkazów kasztelanowi, ale jako że ojczym Rutgera był stolnikiem margrabiego, nikt nie miał odwagi mu się sprzeciwić. Kasztelan Henryk za bardzo zaś kochał swój urząd, by wchodzić w zatarg z kimś, kto cieszył się łaską margrabiego.

Chrystianowi czas spędzony w więzieniu dłużył się w nieskończoność. W najgłębszym lochu głównej zamkowej wieży dzień od nocy można było odróżnić jedynie po dźwiękach dochodzących przez otwór z pomieszczenia strażników.

Następnego ranka natężona krzątanina, okrzyki i rozkazy oraz rzenie koni zapowiadały wyjazd armii. Udręczony bólem i pragnieniem Chrystian zastanawiał się, czy po wyjeździe wojsk margrabiego kasztelan nie zamierzał przypadkiem odesłać swego koniuszego na powrót do wypełniania jego obowiązków. Lecz wkrótce stracił nadzieję.

Czy Piotr poczynił starania, by mu pomóc? A może Jonasz? Co w ogóle mogli zrobić?

„Doprawdy traktują nas jak ostatnie śmieci – pomyślał z goryczą. – Gdybyż tu był Chrystian albo Łukasz z Martą! Nie dopuściliby do tego. Jednakże teraz nie ma już nikogo, kto by nas ochronił. Jesteśmy zupełnie bezbronni. Nawet Bóg nie chce nam pomóc”.

Ponieważ Jonasz musiał się zająć pogrzebem żony, natychmiast po wyjeździe wojsk Albrechta udał się do kasztelana Karol, by ubłagać go o łaskę dla koniuszego. Jeden z chłopaków pracujących w stajni przekazał mu potajemnie złą wiadomość.

– To nie wchodzi w rachubę! – odwarknął wzburzony rządcą na tę zuchwałą prośbę. Szorstkim gestem ręki uciszył wszelkie dalsze protesty rajcy i pokazał mu drzwi.

„Jak mogłem przypuszczać, że będzie miał odwagę sprzeciwić się rozkazowi” – pomyślał ponuro Karol.

– Może pozwolilibyście chociaż, by moja siostra, obeznana w sztuce leczenia, opatrzyła mu rany?

– Niech będzie – burknął z udaną wspaniałomyślnością Henryk, który doskonale wiedział, że nie znajdzie na zamku godnego zastępcy dla pilnego koniuszego. – Ale tylko tyle, jedzenia nie dostanie!

Karol szybko wyszedł, by kasztelan nie zdążył się rozmyślić. Wrócił do domu, w którym teraz mieszkała także jego siostra z dziećmi, rzekomo porzuceni przez niewiernego małżonka i ojca.

Joanna spakowała potrzebne rzeczy. Nie tylko tynktury i maści, ale również kawałek chleba, który ukryła pod suknią. Karol zabrał ze sobą monetę, by zjednać sobie wartownika.

Plan się powiódł. Mężczyzna w pomieszczeniu nad lochem, mrukliwy i najwyraźniej dotknięty artretyzmem, na który Joanna dla poprawy nastroju obiecała mu dać łagodzącą maść, zadowolony się zerknięciem do koszyka i powąchaniem butelki, która po odkorkowaniu roztoczyła wokół nich gryzący smród. Później otworzył kłapę w podłodze i kazał Karolowi samemu opuścić drabinę.

Joanna zabrała ze sobą łojową lampę i całą siłą woli się powstrzymała, by nie okazać swego

przerażenia na widok Chrystiana. Miał spuchniętą, pokrwawioną twarz i ledwie mógł mówić z pragnienia. W migotliwym świetle płomienia przyłożyła mu do ran chłodzące płótno, a następnie skropiła je silnie pachnącą tynkturą, która wywołała okrutne pieczenie.

– Wytrzymasz do wieczora? – zapytał cicho Karol, podając chłopakowi wodę, którą przewidująca Joanna napełniła jeden z glinianych dzbanków, zawierających zwykle lecznicze wyciągi.

On sam aż za dobrze znał ten loch. Kiedyś Randolf poddał go tu potwornym torturom, od których omal nie umarł.

Chrystian pił łapczywie, aż prawie zrobiło mu się znów niedobrze, później kęsem chleba spróbował uspokoić protestujący żołądek.

– Powiedzcie Annie, żeby się nie martwiła – poprosił z bolesnym uśmiechem. – I mojemu chłopakowi, niech trzyma buzię na kłódkę, żeby i on nie popadł w tarapaty.

Joanna obiecała spełnić obie jego prośby, ale nawet w słabym, migoczącym świetle dostrzegał w jej oczach współczucie. Jak miała przekonać tę młodą kobietę, by się o niego nie martwiła? A szesnastolatka do milczenia, chociaż jego ojcu wyrządzono wielką niesprawiedliwość?

– Może fakt, że Albrecht zamierza zaatakować brata, ma jakąś dobrą stronę – powiedział Chrystian ściszym głosem, by strażnik na górze nie mógł go usłyszeć. – Hrabia Dytryk został ostrzeżony, Łukasz będzie u jego boku. Być może wspólnymi siłami zgotują porządną porażkę temu potworowi, stolnikowi i jego pasierbowi. Niech ich przegnają do samego piekła!

Na te słowa nawet Joanna nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Karol jednakowoż darował sobie pytanie, jak Dytryk i Łukasz mieliby niby dać radę przygniatającej przewadze swoich wrogów.

Rządca Henryk rzeczywiście odczekał do nadejścia zmierzchu, nim pozwolił koniuszemu opuścić więzienie. Pacholek, który spuścił Chrystianowi drabinę i zawołał go do wejścia na górę, okazał nawet coś na podobieństwo współczucia dla umęczonego młodzieńca, gdy pan odesłał go na powrót do pracy. Mimo młodego wieku Chrystian był ceniony i cieszył się szacunkiem u ludzi na zamku.

Bez słowa poszedł do stajennych zabudowań, starając się nie pokazać po sobie bólu. Na miejscu czekało na niego pół tuzina stajennych pacholek. Jeden z nich podał mu dzban rozcieńzonego piwa, a drugi kawał chleba. Możliwe, że zaoszczędził go z własnego śniadania, a może po prostu wycygnął od którejś z dziewczek zajmujących się wypiekami. Spragniony Chrystian wypił połowę zawartości dzbana, następnie na chwilę znieruchomiał i zerknął na mężczyzn, którzy przyglądali mu się wzrokiem, w którym widać było współczucie i ciekawość.

– Do roboty! – upomniał ich cicho. – Nim napytamy sobie kolejnej biedy.

Chwycił za widły i rzucił najbliższemu koniowi wiązkę słomy. Chleb mógł zjeść później. Z pewnością ten czy ów obserwował go na rozkaz kasztelana.

## *Potajemne plany*

Tuż przez nocą na zamku pojawił się posłaniec. Niby niepozorny, lecz ubrany w dobre sukno, wyposażony w doskonałą broń, zażądał widzenia z kasztelanem.

Chrystian odebrał od niego konia i zapytał, kogo ma zameldować. Na to nieznajomy, którego lewa powieka była rozerwana, okazał mu pieczęć.

– Masz zachować milczenie! – rozkazał gość.

Chrystian skinął i ruszył przodem, wskazując mu drogę.

Przed komnatą kasztelana się wycofał. „Niech Henryk sam daje sobie radę z wysłannikiem cesarza” –

pomyślał nie bez złośliwej satysfakcji.

Kasztelan z wielką gorliwością zamierzał wydać polecenia, by przygotowano stosowne powitanie dla cesarskiego wysłannika, lecz ten powstrzymał go gestem, po czym wyprosił służbę, a wraz z nią również okrągłą małżonkę Henryka, która z obrażoną miną wyszła z izby.

– Moja wizyta jest poufna – poinformował z miną, która sprawiła, że rządcą poczuł się dziwnie.

– Tak, oczywiście... – wymamrotał Henryk i przetarł ręką kark z potu, który niespodziewanie go oblał.

W pokoju nie było służby, więc własnoręcznie nalał wina cesarskiemu wysłannikowi. Nie był to zwykły posłaniec, co dało się zauważyć chociażby po kosztownym ubraniu i broni mężczyzny.

Nieznajomy bez najmniejszego grymasu wypił łyk wina, a następnie wlepił wzrok w kasztelana. Ten czuł się coraz bardziej nieswojo.

– Jesteście człowiekiem, który wiernie sprawuje swój urząd i wypełnia obowiązki – rozpoczął rozmowę przybyły.

– Z pewnością – zapewnił gorliwie Henryk.

Skąd cesarz mógł o tym wiedzieć, skoro nigdy nie przyjeżdżał do wschodnich marchii? Z drugiej strony jeszcze do niedawna margrabia był ze Staufem we Włoszech.

Rządcą zastanawiał się, czy cesarz wiedział, że jeden z jego książąt właśnie wyruszył na wojnę przeciw swemu bratu. Może zagadkowa wizyta była właśnie z tym związana? Bardzo możliwe, że wyprawa wojenna Albrechta została uznana na dworze jako naruszenie porządku i pokoju. Na tę myśl Henryk poczuł narastający dyskomfort, którego nie potrafił ukryć przed gościem.

– Nasz cesarz, który nosi to samo imię co wy, pragnie się upewnić, że w obliczu niespokojnych czasów, które właśnie nadeszły, w każdej kwestii może liczyć na wasze oddanie...

„Zatem wie o ataku na Weissenfels – rozważał zatroskany Henryk. – Ale nie może mnie o to obwiniać... W końcu mnie tam nie ma...”

– Naturalnie – wyjąkał spieszenie.

– Nie pożałujecie, jeśli dacie tego dowody, a mianowicie będziecie regularnie przysyłać tajne wiadomości na dwór cesarza o wszystkim, co się dzieje w Marchii Miśnieńskiej, i o zabezpieczeniu freiberskiego srebra. Obowiązuje was absolutna dyskrecja w tej kwestii wobec Albrechta z Wettynu.

Przerażenie Henryka dało się we znaki jego kiszkom. Jednakże nie pozostało mu nic innego, jak tylko się zgodzić. Teraz naprawdę znalazł się w kłopotach. Cesarz był daleko stąd, cóż mógł go obchodzić jakiś tam rządcą w Marchii Miśnieńskiej? Ale miał większe możliwości. No i szlachetniejsze tytuły, rzecz jasna.

Gość skinął głową z zadowoleniem, odstawił kubek, a następnie odwrócił się i wyszedł. Nawet nie usiadł podczas swej wizyty.

Henryk powoli wychodził z odrętwienia. Bynajmniej nie dlatego, by odzyskał nad sobą panowanie, lecz z powodu niezbyt miłej reakcji organizmu. Cesarski wysłannik nie zdążył jeszcze wyjść na dziedziniec, gdy w pałacu zdarzyło się coś zadziwiającego. Rządcą Henryk, człowiek, którego wybuchów wściekłości bano się nie tylko na zamku, ale i w całym mieście, przed którym drżeli wszyscy z wyjątkiem jego własnej żony, popędził w dyskretne miejsce, gdzie z jego trzewi wystrzeliło całe przerażenie. Jednocześnie rozważał, w jaki sposób żądanie cesarskiego wysłannika zachować w tajemnicy przed swoją ciekawską i gadatliwą małżonką Idą.

Następnego ranka po wyjeździe z Freibergu Albrecht przyglądał się niecierpliwie przygotowaniom jego oddziałów do wymarszu. Jutro powinni dotrzeć do Weissenfels. Giermek zdążył już osiodłać jego siwka i oddalony o kilka kroków trwożnie oczekiwał na dalsze polecenia, nie mając odwagi bardziej się zbliżyć.

Albrecht go zignorował. Nie przeoczył faktu, że przed chwilą wjechało do obozu dwóch szybkich jeźdźców, którzy zgłosili się do jego marszałka. Bez wątpienia wywiadowcy, wysłani w celu rozpoznania sytuacji w Weissenfels. Nim wsiądzie na siodło, chciał wiedzieć, co mieli do przekazania. Nie żeby żywił jakiegokolwiek wątpliwości w kwestii powodzenia wyprawy, mieli zbyt dużą przewagę, a jego brat nie dysponował wojskiem, które mógłby przeciwko nim wystawić, ale może na postawie takiej czy innej nowiny da się jeszcze uzyskać dodatkowe korzyści, które uczynią jego zwycięstwo doskonałym. Ponadto, bez względu na wszystko, informacje nie były przeznaczone dla pierwszych lepszych uszu.

Wobec tego z udawaną obojętnością pozostał na miejscu, a nawet pozwolił, by jego cześnik, tusty rycerz o imieniu Giselbert, ponownie napełnił mu kielich.

W porządku. Po krótkiej wymianie słów między jeźdźcami a marszałkiem ten ostatni śpiesznie ruszył w jego kierunku. Obaj wywiadowcy szli za nim, zachowując stosowny odstęp.

Gerald, marszałek, blondyn tuż przed czterdziestką, a przy okazji nielubiany szwagier Łukasza, nie ożenił się powtórnie po śmierci żony, która rok temu odeszła w zagadkowych okolicznościach. Podeszedłszy do Albrechta, opadł przed nim na kolana. Nie starał się nawet ukryć zatroskania malującego się na jego twarzy.

– Mój księżę, wygląda na to, że nas oczekują – powiedział słumionym głosem, rozglądając się przy tym nieufnie na prawo i lewo, jakby gdzieś tam czaił się zdrajca, który ostrzegł Dytryka. – Zwiadowcy mówią, że szlak wiodący na górę do zamku jest wąski i podwójnie chroniony, a drogę zablokowano.

Albrecht nie był zaskoczony nowiną. Wiedział, że we Freibergu, a i w Miśni, roiło się od ludzi, którzy skrycie byli gotowi walczyć po stronie Dytryka i mogli go ostrzec. Wymarsz wojska nie mógł pozostać niezauważony. Lecz dzisiaj go to nie zmartwiło. I tak nikt nie będzie mógł mu odmówić zwycięstwa.

– Nie patrzcie z takim zniechęceniem! – odezwał się zatem do marszałka z niezwykłą u niego wspaniałomyślnością. – I tak nie zamierzałem wspinać się ze wszystkimi ludźmi ścieżką pod górę.

Pochylił się lekko do przodu, a w jego oczach zapalił się triumfalny błysk.

– Zaatakujemy zwartym szeregiem w długiej linii i obrócimy w pył wszystko i każdego, kto stanie nam na drodze!

– Atak szeroką tyralierą na tamym terenie możliwy jest tylko przy brodzie – rzucił marszałek pod rozwagę księciu, który w lot pojął, co jego podwładny miał w planie.

– Właśnie tam! – potwierdził Albrecht. – Co najmniej trzy tuziny zbrojnych rycerzy obok siebie, inni tuż za nimi... Tak sforsujemy rzekę i jak tylko miniemy bród, spalimy wszystkie domy. Gdy zobaczy to owa garstka ludzi na zamku mego brata, stracą wszelką ochotę do stawiania oporu.

Gerald w myślach zaczął już rozstawiać wojowników.

– To oznacza, że będziemy musieli wybrać objazd przez Merseburg, by podjechać do Weissenfels od północy.

– To się opłaci – odparł Albrecht, który takie okoliczności od dawna brał pod uwagę w swoich rozmyślaniach. – Poza tym nikt nie będzie nas oczekiwał z tamtego kierunku.

Elmar, który znów wyrósł nagle znikąd u boku Albrechta, gdy marszałek składał swój raport, uniósł z powątpiewaniem brwi.

„Ten plan będzie nas kosztował prawie pół dnia – chciał wtrącić. – Ponadto nie ma pewności, czy po drodze na nas nie czekają. Dytryk nie jest głupcem. Na jego miejscu też bym się zabezpieczył przed atakiem od strony brodu”.

Jednakże ostre spojrzenie księcia powstrzymało go przed wypowiedzeniem na głos swoich myśli.

Półtora roku bezspornej regencji uczyniły go jeszcze butniejszym. Coraz częściej reagował nieprzychylnie albo nawet z furią na rady Elmara, które niegdyś tak cenił. Margrabia chciał pokazać, że

nie potrzebował już rad, a szczególnie w kwestiach wojskowych.

Gerald się skłonił i za przyzwoleniem księcia odszedł, by wydać kilka rozkazów i wskoczyć na konia. Elmar również postanowił się na razie nie odzywać. Nie mieli nic do stracenia poza niewielką ilością czasu. Rzeczywiście większe wrażenie zrobi na mieszkańcach Weissenfels wtargnięcie szturmowej fali do wioski niż wspinanie się wężykiem po ścieżce.

Na dźwięk rogu mężczyźni się zebraли. Kilka chwil później wszyscy dosiedli koni i ruszyli galopem naprzód, uskrzydleni wizją, że jutro na oczach księcia zdobędą sławę i będą mogli plądrować do woli.

## *Ponowne spotkanie w Weissenfels*

Do brodu zbliżała się gromada jeźdźców złożona z siedmiu uzbrojonych mężczyzn i drobnej kobiety. Przy przeprawie grupa miejscowych zajęta była wrzucaniem do wody dużych skalnych odłamków i wiatrołomów z odsłoniętymi potężnymi korzeniami.

Dowódca niewielkiego oddziału, dobiegający czterdziestki rycerz z jasną brodą siedzący na zwinnym kasztanku, pojął w lot, co się działo. Wyglądało na to, że Dytryk rozważał możliwość, iż jego brat zaatakuje osadę szeroką tyralierą. Było to możliwe jedynie od strony brodu na Soławie, chociaż musiałby wówczas nadłożyć drogi. Z uwagi na to, że Weissenfels powstał stosunkowo niedawno i w zasadzie stanowił na mapie Marchii jedynie plamkę złożoną z kilku nieumocnionych wiosek oraz twierdzy położonej na jasnym skalnym wzniesieniu, Dytryk postanowił zapewne przywitać przeciwnika od razu nad samą rzeką. Wzdłuż rzeki po obu stronach brodu kilka tuzinów mężczyzn budowało palisady ochronne dla łuczników i kuszników. Podwodne przeszkody miały spowolnić przeciwnika, zwiększając skuteczność strzał i pocisków z proc. Po obezwładnieniu części wrogich oddziałów obrońcy mieli się wycofać z powrotem do zamku.

„Mądry pomysł, chłopcze” – pomyślał Łukasz, nie potrafiąc ukryć uznania. Spojrzał na żonę, która spod lekko przymrużonych powiek przypatrywała się grupie mężczyzn zgromadzonych nad rzeką, nie mogąc odnaleźć tego, którego tak niecierpliwie szukała.

Łukasz dobrze wiedział, kogo Marta wypatrywała, i sam również próbował odszukać wzrokiem Tomasza. Ale z oddali mężczyźni byli do siebie bardzo podobni. Różnili się jedynie tym, że jedni stali na brzegu w pełnym uzbrojeniu, inni zaś w skąpym odzieniu brodzili po wodzie, wzmacniając przeszkody ułożone w delikatnym rzeczonym nurcie. Grupa mężczyzn w prostych chłopskich okryciach, z siekierami i szuflami, oraz dwa wozy zaprzężone w woły, wyładowane drewnianymi pniami, świadczyły o tym, że mieszkańcy Tauchlitz, wioski położonej u podnóża zamku, również pomagali w przygotowaniach do obrony.

– Jest tam! – zawołał do Marty Łukasz, wyciągając przed siebie rękę.

Z ulgą spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, jej najstarszy syn! Z ociekającymi wodą włosami, właśnie narzucał na siebie kaftan. Najprawdopodobniej jeszcze przed chwilą stał w wodzie.

„Ależ wychudł – pomyślała z troską. – Ma taką pochmurną twarz...”

Tomasz chyba nie zdążył ich jeszcze zauważyć, bo akurat napominał paru wyrostków, którzy sądząc po ich wieku i ubraniu, musieli być zapewne giermkami.

Łukasz i jego towarzysze ostrożnie kierowali konie przez bród, co chwila omijając przygotowane zapory.

Zatrzymał się koło Norberta z Weissenfels, który kierował budową umocnień. Pozdrowił go.

– Dobry plan – rzucił z uznaniem. – Jeśli Albrecht ma nadzieję, że uda mu się w galopie pokonać bród,

to się gorzko rozczaruje.

Mężczyzna podziękował lekkim uśmiechem za pochwałę, po czym zapytał zdumiony:

– Jakim cudem tak szybko się dowiedzieliście? Nasz posłaniec nie dotarł jeszcze chyba do Eisenach.

– Mam swoje źródła... – Łukasz uśmiechnął się pod nosem. – Landgraf Herman pozwolił mi do was przyjechać i dał mi na drogę pół tuzina ludzi, turyńskich rycerzy.

– Niech Bóg go błogosławi! I was też, Wasza Przewidująca Mość! – odparł z ulgą dowódca weissenfelskiej straży i skinął Turyńczykowi głową. – Potrzeba nam każdego, kto ma wprawę w walce.

– A czy na chwilę moglibyście się obyć bez mego pasierba? Jego matka nie może się doczekać, by go uściskać.

Norbert przywołał gestem jednego ze swoich ludzi.

– Niech chłopak z Chrystianowa zaprowadzi gości do hrabiego Dytryka – nakazał.

Mężczyzna ruszył, nie tracąc czasu, Łukasz zaś pomógł Marcie zsiąść z siodła.

Ani chwili za wcześnie. Za moment Tomasz stał już przy nich. Nie zdążył się nawet przywitać z ojczymem, gdy Marta rzuciła mu się na szyję, chociaż musiała się w tym celu wspiąć wysoko na palcach.

Przytuliła się do niego bez słowa, podczas gdy on rzucił bezradne spojrzenie Łukaszowi, który uśmiechnął się z zadowoleniem.

„Jest jeszcze szczuplejsza i delikatniejsza, niż ją zapamiętałem – pomyślał Tomasz, łagodnie przyciskając do siebie matkę. – Ile musiała przeżyć w ostatnim czasie?” W jednej chwili postanowił, że nie powie jej nic o okropnościach, które przeżył podczas wyprawy krzyżowej i które wciąż nie dawały mu spokoju. Nawet jeśli nie będzie mógł tego przed nią długo ukryć. Matka z jeszcze większą łatwością niż Klara potrafiła wejrzeć w najodleglejszą głębię ludzkiego serca.

Ostrożnie odsunął od siebie matkę i pogłaskał ją po policzku.

– Dobrze się czujesz? A co z moimi braćmi?

– Tak – odrzekła, promieniejąc. – Dobrze się mają i rosą tak szybko, że widać to niemal gołym okiem. Ale... – Błysk w jej oczach nagle gdzieś przepadł. – Co z Rolandem?

„Wie o wszystkim” – pomyślał ze ściśniętym sercem.

– Przyprawdę swojego konia i pojedziemy do zamku – rzucił, a następnie pospiesznie się odwrócił i ruszył w kierunku ogrodzonego wybiegu.

W ten sposób udało mu się ukryć przed Martą i Łukaszem wyraz swojej twarzy. Inaczej na wspomnienie podłej i bezsensownej śmierci przyjaciela pewnie by się rozplakał. Nie chciał pokazać łez zaprawionemu w bojach ojczymowi, a tym bardziej matce. Wtedy natychmiast by się zorientowała, co się działo w głębi jego duszy.

Zapoznawszy się z najważniejszymi nowinami w czasie krótkiej drogi do zamku, Marta i Łukasz poprosili, by powiadomiono hrabiego Dytryka o ich przybyciu. Tomasz pojechał z powrotem do brodu. Najpóźniej jutro spodziewali się ataku, może nawet dziś, a było jeszcze wiele do zrobienia.

Twierdza była wypełniona ludźmi, którzy się w niej schronili. Chłopi z okolicznych wiosek zabrali ze sobą skąpe mienie, kozę lub kilka garści zboża, a rzemieślnicy przynieśli narzędzia. Przyglądali się podejrzliwie uzbrojonym przybyszom.

Dytryk był już w pełnym uzbrojeniu, jedynie misiurkę zsunął do tyłu i na dziedzińcu omawiał coś z kilkoma rycerzami, którzy podobnie jak on zdawali się gotowi do walki.

– Bogu niech będą dzięki, jesteście cali i zdrowi! – zawołał Łukasz, gdy razem z Martą ukląkł przed hrabią.

– Wstańcie, proszę – powiedział szybko Dytryk i zbliżył się do nich. Pomógł Marcie się podnieść, a następnie chwycił Łukasza za ramiona. – Winien wam jestem głęboką wdzięczność. Przysłaliście mi

swego syna, by cesarz dowiedział się o uwięzieniu mego ojca. Wiem, ile musieliście wycierpieć...

Następnie przeniósł wzrok na sześciu Turyńczyków towarzyszących Łukaszowi i Marcie, którzy również przed nim uklękli. Człowiek z jego pozycją musiał pamiętać twarze, nawet jeśli widział je raz w życiu. A te z pewnością nie były mu obce. Ale skąd je znał?

– Spotkaliśmy się pod Akką, hrabio, gdy razem z księciem Szwabii odwiedziliście księcia Ludwika, niech Bóg zlituje się nad ich duszami – odezwał się najstarszy, wykonując znak krzyża.

Dytryk zauważył, że u prawej ręki brakowało mu trzech palców, i natychmiast stanął mu przed oczami tamten obraz. Wkrótce po ich przybyciu do frankijskiego obozu, opanowanego przez głód i zarazę, razem ze szwabskim Fryderykiem udali się do śmiertelnie chorego dowódcy armii, którego przed powrotem do domu wstrzymywało jedynie oczekiwanie na ich przybycie. Kilka dni później zmarł na Cyprze. Ci mężczyźni, wówczas przerażająco wychudzeni, z krwawiącymi dziąsłami, trzymali wartę przed namiotem i jak się później dowiedział, prowadzili z Tomaszem i Rolandem zupełnie otwartą rozmowę na temat nieudolności Gwidona z Lusignan, dawnego króla Jerozolimy.

– Bruno z Hörselbergu – przedstawił się stary rycerz.

Mężczyznę stojącego obok niego Dytryk rozpoznał po herbie z baranym rogiem.

– Herman z Salzy? – upewnił się.

Mężczyzna, mniej więcej tego samego wzrostu co hrabia, skinął głową.

– Łukasz nie musiał nas długo namawiać, byśmy się do was przyłączyli. Niech mnie diabli porwą, jeśli będziemy się beczynnie przyglądali, jak atakują pielgrzyma, który z nami walczył i cierpiał w Ziemi Świętej!

– Dziękuję wam za to – powiedział szczerze uradowany Dytryk. – Idźcie, niech mój zarządca przydzieli wam kwaterę i da coś na wzmocnienie. Komendant przydzieli wam giermków. Jak widzę, nie pozwolono wam zabrać ze sobą pachołków.

Poprosił Martę i Łukasza, by mu towarzyszyli. Zaprowadził gości do swej komnaty i zapraszającym gestem zachęcił, by usiedli na ławie. Służący nalał im wina i na znak dany przez pana wycofał się na korytarz. Dytryk wyjrzał przez okno i dopiero później dosiadł się do stołu. Łukasz się domyślał, czego wypatrywał.

Hrabia uniósł kielich.

– Za zbawienie duszy tych, którzy nie wrócili z Ziemi Świętej – odezwał się ponurym głosem. – I za to, byśmy dziś nie rozpoczęli na nowo przelew krwi.

Wypili i przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Każdemu z nich leżało na sercu kilka pytań, ale wszyscy wiedzieli, że nie był to wcale odpowiedni moment.

W końcu Dytryk przerwał milczenie.

– Czy to prawda, co opowiadają o Tusculum?

Łukasz przytaknął chmurnie.

– Jeśli chodzi wam o to, czy Henryk Stauf kazał podpalić i zrównać z ziemią to miejsce, w którym dotychczas kwaterowały wszystkie poselstwa z cesarstwa, gdzie wojska Staufa rozbiły obozy przed Rzymem, tylko po to, by koronowano go na cesarza, to tak, w rzeczy samej, tak się stało. Była to cena, jakiej zażądał papież, a Henryk zapłacił bez mrugnięcia okiem.

To potworne wydarzenie miało miejsce podczas świąt Wielkiej Nocy. Bezlitosny koniec owej niewielkiej, rzetelnie oddanej cesarzowi miejscowości pod Rzymem, która od dawna była papieżowi solą w oku, wywołał oburzenie nawet wśród rycerzy popierających Staufa.

Dytryk patrzył przez moment w jakiś nieokreślony punkt w oddali. Później uderzył dłonią w stół. Wybuch złości był u niego czymś niezwykłym, w przeciwieństwie bowiem do swego ojca i brata hrabia z Weissenfels uchodził za wzór opanowania i dworskich manier.



– W Ziemi Świętej spotkałem się wśród chrześcijan z takim ogromem niemocy i zachłanności, który nawet najtwardszego człowieka ścisnąłby za gardło – powiedział głosem drżącym z gniewu. – Gdy tylko wróciłem, dowiedziałem się, że własny brat wyruszył, by mnie zaatakować, a mój najwyższy ziemski zwierzchnik oparł swe cesarstwo na tak haniebnym czynie. Nie dziw, że Bóg się od nas odwraca, że blokuje nam drogę do Jerozolimy!

Na twarzy Dytryka odmalowało się takie obrzydzenie, jakie Łukasz widział u niego tylko raz, na wojnie z Henrykiem Lwem, podczas spotkania z Brabantczykami, najbardziej haniebną armią najemników, jaką znał chrześcijański świat, których akurat arcybiskup wziął na swój żołądek.

– Jak mogę popierać cesarza, który wziął na siebie taką winę?

„Wobec tego mamy ten sam kłopot – pomyślał Łukasz z goryczą. – Albo wbrew sumieniu pójdziesz za swym panem, albo się przeciwstawisz i stracisz głowę”. Z nikim innym Dytryk nie rozmawiałby tak otwarcie, zarówno Łukasz, jak i Marta dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Niewielu ludzi wiedziało, ile pasji kryło się pod jego opanowaną miną. Łukasz należał właśnie do owej garstki, mimo dzielącego ich dystansu w hierarchii społecznej. Jako najlepszy przyjaciel i następca Chrystiana, był dla Dytryka niczym starszy brat, niemal jak ojciec, a przynajmniej zaufany, rzetelny doradca. Cztery lata spędzili wspólnie w domu Chrystiana, razem pojechali na wojnę z potężnym Henrykiem Lwem, na której kilka razy ledwie uniknęli śmierci. Wspólne doświadczenia sprawiły, że dobrze się rozumieli.

– Możecie się uważać za szczęśliwca, że nie macie w posiadaniu lenna z cesarskiego nadania, a jedynie hrabstwo w posiadłościach Wettynów – powiedział ostrożnie Łukasz.

Owo podsumowanie kryło w sobie niedopowiedziane słowa: dzięki temu możecie się trzymać w miarę daleko od niego.

Dytryk ponownie zerknął za okno. Jednakże na horyzoncie nie widać było jeszcze podnoszącego się kurzu.

– Zatem landgraf Herman przysłał mi z wami pół tuzina doświadczonych ludzi – zmienił nieoczekiwanie temat.

– Nawet to przyszło mi z niemałym oporem – opowiadał Łukasz. – Turyński landgraf stwierdził, że zatarg między wami a waszym bratem nic go nie obchodzi.

– Zacznie go obchodzić najpóźniej wtedy, gdy wojska Albrechta spustoszą tereny podległe Turynii. Herman wie o tym tak samo dobrze jak ja – odparł niecierpliwie Dytryk. – Co sobie po tym obiecuje? Czego chce za udzielenie mi wsparcia? Ziemi? Srebra? Poddaństwa? Czy mam mu złożyć hołd lenny?

Łukasz odetchnął głęboko i spojrzał Dytrykowi w twarz.

– Chce was za zięcia – przekazał wiadomość od landgrafa, zachowując przy tym największy spokój, na jaki potrafił się zdobyć. – Jak tylko zaręczycie się z jego córką Juttą, Herman wyśle dwustu ludzi pod broń.

Dytryk z niedowierzaniem wlepił oczy w gości. Raptem wcześniejsze aluzje i uniki Klary złożyły się w pewną całość.

– Jutta jest przecież jeszcze dzieckiem! Ma nie więcej niż pięć, sześć lat – wyrzucił z siebie.

– Osiem – poprawiła łagodnie Marta. – Nie jest zbyt urodziwym dzieckiem i Herman zdaje się obawiać, że nie uda mu się znaleźć dla niej dobrej partii. Niemniej jednak jest bardzo mądra jak na swój wiek i niewykluczone, że z czasem wyrośnie na prawdziwą piękność. Jej ojcu na razie wystarczą zaręczyny.

– Nie!

Dytryk gwałtownie odsunął od siebie kielich, jakby mógł tym samym odrzucić ofertę landgrafa.

Marta chciała coś powiedzieć. Lubiła córeczkę landgrafa, a jednocześnie głęboko współczuła tym dwojgu ludziom, którzy z politycznych przyczyn i kalkulacji landgrafa byli zmuszani do zawarcia

małżeństwa, mimo że nic ich ze sobą nie łączyło, nic poza przynależnością ich ojców do książęcego stanu.

– Chciałem was dzisiaj oficjalnie poprosić o rękę Klary – oznajmił Dytryk ku bezgranicznemu zaskoczeniu Łukasza. – Miałem nadzieję, że po okresie żałoby zdołam ją przekonać, by została moją żoną. I ubiegając wszelkie protesty, oświadczam: nie obchodzi mnie, czy ludzie wezmą nas na języki z uwagi na fakt, że moja narzeczona pochodzi z niższego ode mnie stanu.

Zrozpaczona Marta zamknęła na chwilę oczy. Nawet jeśli wiedziała, że jej córka i hrabia Dytryk coś do siebie czuli, zdawała sobie sprawę, że nie należało o tym myśleć, nie mówiąc już o ich ślubie. Dytryk potrzebował wojskowego wsparcia landgrafa.

Szukała w głowie słów, czując, że tym razem mąż zdał się na nią.

Łukaszowi, który jadł chleb z niejednego pieca, był bystry i przebiegły, tym razem zupełnie odebrało mowę. A coś takiego doprawdy rzadko się zdarzało.

## *Atak*

Narastający hałas dobiegający z zamkowego dziedzińca zwolnił Martę z odpowiedzi.

– Wasza miłość... Podchodzą do rzeki, co najmniej dwie setki ludzi! – zawołał z zewnątrz jakiś człowiek, pędząc schodami na górę. Dytryk gwałtownie wstał, tak samo Łukasz. Przez okno widzieli wznoszące się tumany kurzu.

– Tagewerben i Cuba stoją w ogniu! – krzyknął rycerz, z trudem łapiąc oddech.

– Niech Bóg ma nas w opiece! Łukaszu, zabezpieczycie twierdzę, gdy pojedę do brodu? – zapytał Dytryk, chwytając miecz i mocując go do pasa.

– Za pozwoleniem, hrabio, wolałbym walczyć u waszego boku, jak dawniej.

– Nie. Jeśli ktoś was rozpozna, wówczas ani wy, ani wasza żona nie zaznacie chwili spokoju. Mój brat nadal powinien wierzyć, że oboje nie żyjecie.

Łukaszowi nie spodobała się bardzo decyzja hrabiego, mimo że była rozsądna.

– Nie mam teraz głowy do spokojnych chwil – odparował nieprzystojnie szorstkim tonem.

Nie zapomniał Albrechtowi żadnego z jego szkaradnych występków. Morderstwa Chrystiana ani nagrody wyznaczonej za głowę Tomasza, egzekucji Rajnharda, nocy, gdy na rozkaz Albrechta go torturowano, a w szczególności rozkazu, by strażnicy traktowali Martę jak kobietę wyjętą spod prawa. Gdyby postąpili zgodnie z jego wolą, mogłaby zostać zhańbiona przez całą załogę miśnieńskiego zamku.

Nie mógł się doczekać, by stanąć z nim twarzą w twarz na polu walki. Jego miejsce było przy brodzie!

Poza tym to Dytrykowi nic się nie powinno przytrafić. Był nadzieją dla całej Marchii.

Ale syn margrabiego Ottona znajdował się już w pół drogi do schodów. Nagle zatrzymał się na chwilę i odwrócił się do Łukasza.

– Potrzebuję was tutaj! – poprosił. – Sam pojedę do brodu, mój kapitan ma zabezpieczyć drogi i ubezpieczać nasz odwrót na wypadek, gdybyśmy się ugięli pod przewagą przeciwnika. Brońcie twierdzy i uspokójcie ludzi. Marto, wasza córka przygotowała pomieszczenie do opatrywania rannych. Idźcie do niej i pomóżcie.

W tym czasie wyszli na dziedzińiec, na którym tłoczyło się jeszcze więcej ludzi. Uciekinierzy z sąsiednich wiosek i wojownicy czekający na rozkazy. Przez bramę wpływało coraz więcej starszych kobiet i dzieci. Zawodząc, wpatrywały się ze strachem w słupy dymu unoszące się ponad blankami zamku. W okrzyki przerażenia wmieszało się rżenie osiodłanych koni i dochodzące z oddali porykiwanie

wołów, niezadowolonych z faktu, że w takim pośpiechu pędzono je pod górę.

Dytryk rozkazał jednemu z mężczyzn należących do zamkowej załogi, by uderzył w żelazny gong. Ci, którzy go zauważyli, zdążyli ucichnąć i skupili na nim spojrzenia.

– Zostaliśmy zaatakowani! – zawołał do tłumu donośnym głosem. – Margrabia miśnieński sądzi, że uda mu się zagarnąć tutejszą ziemię. Ale nie dajcie się zastraszyć! W twierdzy jesteście bezpieczni. Mamy dość wody i zapasów. Razem z moimi wojami zrobimy wszystko, by zatrzymać napastników nad rzeką. Zachowajcie spokój i wypełniajcie rozkazy Łukasza z Freibergu! Jest jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich znam. Niech Bóg was chroni!

– I was, panie! – odpowiedziało mu jednym głosem wiele niewiast, starszych i młodych, tulących do piersi swe dzieci.

Jakaś uboga odziana kobieta z niemowlęciem w ramionach uklękła przed nim i sięgnęła po brzeg jego szaty, chcąc go ucałować. Po policzkach ciekły jej łzy.

Dytryk przyjął życzenia zwycięstwa, po czym udało mu się odszukać wzrokiem starego księdza z kościoła Świętego Mikołaja, którego od jakiegoś czasu wypatrywał. Gestem przywołał go do siebie.

– Zajmijcie się tymi wylęknionymi duszami, napełnijcie je pociechą i natchnijcie otuchą – poprosił duchownego, którego znał od wielu lat.

– Bóg nie zostawi w potrzebie uciśnionych – zapewnił spokojnie ojciec Ansbert.

Dytryk porozumiał się z Łukaszem bez słów, a następnie przeszedł przez ciżbę, która się przed nim rozstępowała, padając na kolana po obu stronach zwolnionej dla niego drogi.

Jego koń był już osiodłany, mężczyźni wyruszający razem z nim do brodu czekali gotowi i uzbrojeni. Wskoczył na siodło i kolejny raz pożałował, że nie dysponował tak dobrym i doświadczonym w walce wierzchowcem, do jakich nawykł. Najlepszego ogiera stracił w Ziemi Świętej, a później nie miał czasu zapoznać się z którymś z koni czekających w jego stajniach na tyle, by móc go ułożyć do bitwy. Zatem musiał się zadowolić gnadoszem kupionym w drodze powrotnej z za morza. A we włoskich miastach portowych, w których wielu rycerzy poszukiwało koni, wybór był bardzo ograniczony.

Poklepał ogiera po szyi i posłał do nieba niemą modlitwę, prosząc, by zwierzę go nie zawiodło, a następnie dał znak do wymarszu. Wyjechał przez bramę na czele swych wojów tak szybko, jak tylko mógł w powstałym zamieszaniu. Za nim jechało sześciu Turyńczyków.

Rozdarci między nadzieją a obawą uciekinierzy odprowadzali wzrokiem grupę jeźdźców.

Łukasz się upewnił, czy przy bramie jest dość ludzi, by w razie potrzeby jak najszybciej opuścić kratę. Następnie spojrzeniem pożegnał się z Martą i wszedł na wieżę. Był jesienny, chłodny dzień i mieli dobrą widoczność. Słońce wyglądało przez chmury. Obserwował weissenfelczyków, którzy pod komendą Dytryka formowali szyk przy brodzie. Z kolei od północy szybko zbliżała się duża grupa jeźdźców, mających nad nimi co najmniej pięciokrotną przewagę liczebną.

„Niech Bóg was wspiera! – modlił się bezgłośnie, myśląc o Dytryku i Tomaszu. – Przecież nie po to wróciliście z krwawych bitew stoczonych w zamorskim kraju, by po powrocie was tutaj usiekli!”

Tymczasem Marta zwróciła się do Gertrudy, postawnej starszej kobiety w mocno związanym czepku, która była żoną miejscowego zarządcy.

– Gdzie moja córka urządziła lazaret?

– Tam – Gertruda wskazała ręką na budynek obok stajennych zabudowań. – Czy potrzeba wam jeszcze kilku ludzi do pomocy?

Marta skinęła z ulgą i zamierzała ruszyć dalej, ale coś ją powstrzymało.

Kilka kroków dalej rozległo się biadolenie.

– Dopiero co pan wrócił z obczyzny, a już mamy wojnę. Ilu naszych mężczyzn tym razem stracimy? Nieszczęście przywarło mu do pięt!

Kilka głosów mruknęło aprobująco.

Marta stanęła i rozejrzała się za mówiącą. Była to chuda kobieta o bladej twarzy, wokół której kłębiła się trójka dzieci.

„Jeśli obwiniają Dytryka za śmierć swoich mężów i atak Albrechta, to wszystko stracone” – pomyślała.

– Uciszcie się! – ofuknęła kobiety i surowo popatrzyła w oczy tej, która mówiła. – Lepiej się módlcie, by hrabia Dytryk was obronił, i bądźcie wdzięczne za jego odwagę. W tej chwili nad rzeką ryzykuje za was życie. Jeśli ta ziemia dostanie się pod panowanie Albrechta z Wettynu, możecie zapomnieć o jakiegokolwiek nadziei. Tam możecie zobaczyć, co was wtedy czeka! – wskazała oskarżycielsko na słupy dymu unoszące się na północy. Utkwiła wzrok w twarzy bladej kobiety, która pospiesznie opuściła oczy i cofnęła się o pół kroku.

„Muszę rozpedzić to towarzystwo, nim ich nastrój zacznie się rozpowszechniać – pomyślała Marta. – Mamy przed sobą dłuższe oblężenie, jeśli przy brodzie nie wydarzy się cud i jeśli Dytryk nie zginie. Niechaj Bóg nie dopuści do tego!” Stłumiła w sobie myśl, że wtedy jej syn zapewne też poległby u boku Dytryka.

– Chodźcie mi pomóc drzeć płótno na opatrunki dla rannych! – nakazała chudej kobiecie. – Odeślij dzieci do piekarni. Wyglądają na głodne, niech im dadzą coś do jedzenia.

Zachęta wyczarowała uśmiech na twarzy najstarszego z trójki dzieci, pięciolatka z zapłakaną buzią.

– Chodźcie – powiedział, biorąc rodzeństwo za ręce. – Szlachetna pani powiedziała, że dostaniemy coś do jedzenia.

Nie oglądając się więcej na matkę, zdecydowanym ruchem pociągnął w kierunku piekarni maluchy, szczęśliwe na myśl o kęsie chleba.

Marta się odwróciła i przyciągnęła do siebie Gertrudę.

– Trzeba znaleźć ludziom zajęcie, inaczej opadnie ich za duży strach – powiedziała cicho.

– Jak mają się nie bać? – wybuchnęła żona zarządcy z taką rozpaczą, że Marta rozkazała jej milczeć i wyprowadziwszy ją z ciżby, zaprowadziła w spokojne miejsce.

Dopiero tam pozwoliła Gertrudzie dalej mówić.

– Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie przeżyliśmy! – żaliła się. – Wprawdzie potrafię obliczyć zapasy i rozdzielić pracę przy zwykłej obsadzie zamku, umiem też rozmieścić i nakarmić sporą ilość gości...

Odwróciła się i wskazała na masę ludzi miotających się bezładnie po zamkowym dziedzińcu albo tulących się do siebie z rozzaleniem w oczach.

– Nawet nie wiem, ilu ich jest... Nie mówiąc o tym, gdzie mam ich pomieścić i jak długo mogę ich wykarmić!

Marta z ciężkim sercem postanowiła jeszcze trochę przesunąć przywitanie z córką. Na razie Klara da sobie radę. Teraz ważniejsze było uspokojenie całkowicie rozstrojonej Gertrudy. Musiała jej pomóc. W przeciwnym wypadku wybuchnie panika, nim jeszcze rozpocznie się oblężenie.

## *Bród*

Mężczyźni przy brodzie też dostrzegli kłęby dymu unoszące się od północy i wiedzieli, co oznaczały. Norbert z Weissenfels przeżegnał się, po czym kazał natychmiast zakończyć prace i szykować się do walki. Wieśniaków, którzy jeszcze przed chwilą targali pnie, o ile nie przydzielono ich do oddziału łuczników i kuszników, odesłał, by schronili się w zamku.

Wróg nadchodził z północy, zatem pierwszy atak sił przeciwnika powinien nastąpić właśnie tutaj. Tomasz siedział w siodle, od dawna w pełni uzbrojony, gdy od strony zamku dojechał do niego hrabia, prowadząc ze sobą dwa i pół tuzina pancernych jeźdźców. Ich widok napełnił syna Marty głębokim zadowoleniem. W ciągu ostatnich dwóch lat często pozostawał pod rozkazami Dytryka i brał udział w bitwach u jego boku. Nie było nikogo, z kim chętniej ruszyłby do boju. Dzisiejsza walka była nieunikniona. Tomasz właściwie z niecierpliwością na nią czekał. Nie będzie pokoju, póki Albrecht żyje. Może mógłby dziś pomścić śmierć swojego ojca?

Lekko zmrużył oczy, szukając w oddziale ojczyma, ale wśród galopujących w ich stronę ogierów nie udało mu się dostrzec jego kasztanka. Zdziwił się. Nigdy by nie przypuszczał, że Łukasz zrezygnuje z walki u boku Dytryka. Z drugiej strony Tomasz zdążył się już niejako przyzwyczaić, że myśli Łukasza przyjmowały zaskakujące kierunki, za którymi z reguły krył się inteligentny, przemyślany plan.

– Norbercie, ubezpieczcie drogę do zamku, postawcie tyłu ludzi, ilu potrzebujecie – zawołał Dytryk, zatrzymując konia przed uzbrojonymi ludźmi zebranymi na brzegu Soławy. – Łukasz dopilnuje na razie ludzi na zamku.

Norbert z Weissenfels skinął na znak, że zrozumiał, i pogalopował przed siebie.

Nikt nie zaprotestował, gdy Tomasz, jak zwykle, ustawił swego konia u boku Dytryka. Bezwiednie położył dłoń na rękojeści miecza i patrzył na zbliżający się oddział wrogich jeźdźców. Młody rycerz na srokatym koniu stanął po lewicy Dytryka. Konrad, najstarszy syn Norberta, który wprawdzie z twarzy był niezmiernie podobny do ojca, ale bardziej krępy, nie tak wysoki i szczupły jak tamten.

Dwa tuziny łuczników podążających za jeźdźcami dotarło do brzegu i rozstawiło się wzdłuż palisady. Dołączyło do nich kilku mężczyzn uzbrojonych w proce i miotacze.

Przeciwnicy weszli w zasięg łuków i nie zwalniając tempa, parli w stronę rzeki.

Tomasz wyciągnął z pochwy miecz. Koń poczuł napięcie jeźdźca i poruszył się niespokojnie. Tomasz z trudem go uspokoił. Nie był to szczególnie dobry koń, znów zateśknił za swym wyśmienicie wyszkolonym karym ogierem, z którym rozumiał się niczym z przyjacielem. Musiał go poświęcić podczas oblężenia Akki. Później spod na wpół przymkniętych powiek spojrzął na Dytryka, który jeszcze nie sięgnął po broń, tylko spokojnie czekał. Gambeson pod jego kolczugą był wypłowiały od prażącego zamorskiego słońca, a skóra opalona mimo chłodnej jesiennej pogody. Nosił to samo ubranie i broń co wówczas, gdy Tomasz jechał u jego boku na swą pierwszą bitwę. Na anatolskiej wyżynie, kiedy po uciążliwym marszu po pozbawionym wody terenie, w dręczącym upale znaleźli się twarzą w twarz z olbrzymią armią Seldżukidów.

Tomasz w milczeniu starał się oszacować liczebność zbliżającego się do nich przeciwnika. Dwustu pięćdziesięciu... może nawet więcej, wszyscy na koniach. Pod misiurkami i osłaniającymi nosy hełmami trudno było rozpoznać ich twarze. Albrecht jechał na samym przedzie, dobrze widoczny z uwagi na bogato zdobiony przyodziewek i siwka ze wspaniałą uprzężą. To zwierzę było w jego posiadaniu już dwa lata wcześniej, gdy Tomasz był jeszcze giermkim na miśnieńskim dworze. U jego boku jechał żołnierz z chorągwią i dwóch innych mężczyzn, których Tomaszowi udało się rozpoznać. Marszałek i stolnik. Natychmiast zaczął wypatrywać pewnej szczególnej twarzy, w nadziei, że spod hełmu jego zagorzałego wroga Rutgera wysunie się pasmo jaskraworudych włosów.

Albrecht i jego towarzysze już z daleka zauważyli, że oczekiwano ich przy brodzie. Ale tylko na chwilę go to rozżłościło, był bowiem pewien, że nieruchomy rycerz czekający pośrodku był jego bratem. Dokładnie takiej postawy można się było spodziewać po Dytryku, osobiście stanąć do bitwy, która z góry była dlań przegrana. Tam, po drugiej stronie Soławy, nie mogło być więcej niż trzy tuziny jeźdźców. Na początku najbardziej niebezpieczni będą łucznicy, ale żaden z nich nie spróbował nawet napiąć łuku. Prawdopodobnie jego szlachetny brat zamierzał najpierw podjąć próbę negocjacji.

Albrecht rozważał przez moment, czy nie powinien rozkazać któremuś z łuczników, by zabił przeciwnika celnym strzałem, lecz porzucił tę myśl. Takie zachowanie, niezgodne z kodeksem rycerza, nie przysporzyłoby mu chwały. Dni jego brata i tak są już policzone. Niech młodziak prosi o łaskę.

Podniósł rękę, dając znak ludziom, by się zatrzymali w odległości dwudziestu kroków od brodu.

– Wyjechałeś, by mnie powitać po długiej podróży, bracie? – zawołał Dytryk przez rzekę.

Albrecht szarpnął wędzidło swojego niespokojnie drepczącego ogiera.

– Powinieneś być zdechnąć na pustyni! – odrzyknął. – Albo pozwolić się zatłuc niewiernym. To zawsze lepsze niż powrót do domu w hańbie.

Zerknął w kierunku swoich ludzi, oczekując aplauzu, a następnie znów się odezwał:

– Jesteś wiarołomcą! Wracaj do Jerozolimy i zostaw mi Weissenfels. To ja jestem prawowitym spadkobiercą rodu Wettynów!

– Nigdy tego nie kwestionowałem. Jednakże nie daje ci to prawa, byś równał z ziemią me wioski – odrzekł Dytryk i dobył miecza.

– Prawo stoi po stronie silniejszego! – ryknął Albrecht i uniósł w górę miecz, grożąc swemu bratu. – Te kilka głązów i korzeni nie będzie w stanie nas powstrzymać. Poddaj się, a pozwolę twoim ludziom ujść z życiem. Spójrz na nas, mamy dziesięciokrotną przewagę!

W odpowiedzi wszyscy rycerze Dytryka sięgnęli do mieczy. Dowódca łuczników wydał rozkazy ludziom za palisadami.

– Naruszacie porządek. Jeśli choćby jeden z was przekroczy rzekę, zaczniemy walkę! – zawołał Dytryk.

– Doskonale! – odrzyknął triumfalnie jego brat. – Zginiecie wszyscy. Jeśli Weissenfels dzisiaj spłonie, ty poniesiesz za to winę.

Na rozkaz Albrechta Gerald również kazał łucznikom wysunąć się do przodu.

– Podpalcie strzałami palisady! – krzyknął.

Dwóch mężczyzn z pochodniami przejechało wzdłuż rzędu strzelców, podpalając im strzały, które miały na czubkach małe żelazne wrzeciona wypełnione nasączonymi smołą pasmami lnu.

Nim poleciały pierwsze płonące strzały, margrabia posłał pierwszych ludzi do wody.

– Może najpierw kilku dobrze osłoniętych mężczyzn powinno usunąć z rzeki przeszkody? Inaczej poniesiemy zbyt wielkie straty – zapytał zaniepokojony marszałek.

– Ruszać się! – ryknął Albrecht w kierunku maruderów.

– Trzeba wam jechać do zamku, panie! – zawołał Tomasz do Dytryka, wyjeżdżając kawałek naprzód, by osłonić sobą hrabiego.

– Jeszcze nie! – zaprotestował tamten.

W palisadę uderzyły rozpalone strzały, z których większość zaraz zgasła z sykiem, pale bowiem wcześniej namoczono przezornie w wodzie. Jeden z miotaczy wybiegł, by wyrwać z drewna gorejące pociski, ale został powalony przez strzelców ustawionych na przeciwnym brzegu. Dwaj towarzysze wciągnęli rannego za palisadę.

Następny grad strzał spowodował kolejne straty wśród weissenfelczyków. Trafiono dwóch łuczników i jednego konia.

Tymczasem około dwóch tuzinów wrogich rycerzy wpadło do brodu. Byli coraz bliżej.

Jednakże atak nie nabrał takiego impetu, jakiego się spodziewano. Nie udało im się, jak planowali, przejść prosto przez bród, co kilka kroków musieli skręcać na prawo i lewo, by konie mogły ominąć przeszkody. Tym samym ciała zwierząt stały się dobrymi celami.

– Strzały! – Dytryk wielokrotnie powtarzał ten rozkaz.

Wkrótce przeciwnik poniósł znaczne straty. Co drugi rycerz nie zdołał pokonać brodu choćby do

połowy. Wielu zostało trafionych, inni spadli z koni przeszytych nieprzyjacielskim pociskiem i znaleźli się w wodzie, z której w ciężkich kolczugach nie byli w stanie wydostać bez pomocy.

– Teraz! Musicie wracać do twierdzy. Na wszystkich świętych! – zawołał Tomasz.

Co się stanie z nimi wszystkimi, jeśli Dytryk polegnie?

– Strzelać! – zagrzewał Dytryk łuczników i procarzy.

Jeszcze jedna salwa przerzedziła szpaler jeźdźców przeciwnika, który teraz próbował przepawić się przez wodę zwartą gromadą.

– Kolczatki! I odwrót! – rozkazał Dytryk.

Kilku ludzi natychmiast wybiegło i wysypało na brzegu w kilku gęstych rzędach powyginane kawałki żelaza, z których każdy, niezależnie od ułożenia, miał zawsze jedno ostrze skierowane pionowo do góry. Zapora miała na dłuższy moment zatrzymać konie i pieszych żołnierzy.

– Wszyscy do twierdzy! – krzyknął Dytryk i wskoczył na swego ogiera.

Upewniwszy się, że strzelcy wykonali polecenie, a ranni zostali ułożeni na koniach, ze wzniesionym do góry mieczem ruszył do zamku, a za nim reszta mężczyzn.

Nad rzeką znacznie osłabili siłę przeciwnika. Niemniej jednak bezpośrednie stawienie czoła napastnikom na brzegu nie miało sensu. Oznaczałoby dla nich śmierć, a ludzie na zamku wpadliby w ręce Albrechta. Osady i tak nie dało się uratować, ale domy można było odbudować, a najcenniejsze przedmioty mieszkańcy zabrali ze sobą.

Jego brat powinien się zastanowić, czy w obliczu poniesionych strat zaryzykuje oblężenie.

Albrecht targany wściekłością przyglądał się, jak znienawidzony brat cały i zdrów swobodnie galopował do zamku. Natomiast jego ludzie musieli zsiąść z koni i zabrali się do zbierania rozsypanych kolczatek, które zagroziły im drogę.

– Spalcie wszystkie domostwa! – rozkazał i ścisnął ostrogami siwka, kierując się do brodu. Przeprawił się jako ostatni.

## Oblężeni

– Zwiększyć ogień pod kotłami! Strzelcy na ganki obronne! Zwolnić dziedziniec! – rozkazał Łukasz, który obserwował z wieży przebieg bitwy przy brodzie i teraz zbiegał schodami w dół. Za nim biegł Henryk, drugi syn komendanta twierdzy.

– Poślijcie do bramy giermków w pełnym uzbrojeniu – zawołał do niego Łukasz.

Młody Henryk skinął i ruszył biegiem. Wskutek miażdżącej oceny Tomasza żaden z giermków nie został wcześniej pasowany na rycerza. Jednakże wszyscy rycerze poza Łukaszem i Henrykiem byli z hrabią przy brodzie albo zabezpieczali z Norbertem drogę do zamku. Wobec tego młodzieńcy musieli teraz pokazać, czy sprawdzą się w walce.

– Idźcie do palatium<sup>6</sup> – upomniał Łukasz kilka niewiast w wieśniaczych odzieniach, które stały przy studni i bezradnie rozglądały się wokół siebie. – Potrzebujemy miejsca na dziedzińcu dla ludzi hrabiego Dytryka.

Poza tym chciał mieć pewność, że kobiety będą bezpieczne, wkrótce bowiem mógł spaść na nich grad strzał. Wprawdzie Albrecht nie przyprowadził na razie maszyn oblężniczych. Dziwnym trafem nadciągnął nawet bez wozów i pieszych pachołków. Przecież jednak w każdej chwili mogli do niego dołączyć. Należało się zatem przygotować na ponowny atak kuszników i procarzy.

Długimi krokami przemierzył pustoszejący podwórzec, ignorując pytające, trwożne spojrzenia ludzi

przyglądających mu się z okiennych otworów i drzwi budowli na terenie twierdzy. Następnie wszedł na obronny ganek prowadzący bezpośrednio do budynku z bramą. Stamtąd obserwował, jak ludzie pod komendą Dytryka galopowali i biegli w jego kierunku. Pod drodze dołączyli do nich wojacy Norberta, osłaniając tyły. Dzięki kolczatkom zyskali odrobinę czasu. Oddziały Albrechta nadal były zajęte sprzątaniami z brzegu żelaznych kolców oraz wyciąganiem z rzeki rannych i poległych towarzyszy.

Przybiegło około tuzina giermków.

– Ubezpieczajcie bramę, aż wszyscy nasi ludzie będą w środku – zawołał do nich Łukasz.

Henryk skinął na potwierdzenie rozkazu i zaczął rozstawiać chłopców przy bramie oraz przy urządzeniu spuszcającym kratę. Sam zajął stanowisko na zwodzonym moście.

Ludzie Dytryka nie dojechali jeszcze nawet na odległość strzału z łuku. Łukasz z niepokojem starał się dopatrzeć, czy na terenie położonym pod zamkiem nie czaili się wrogowie, którzy mogliby im odciąć drogę albo wdrzeć się przed nimi do twierdzy. Wydawało się, że Norbert wziął kilku jeńców. Z tej odległości tylko tyle udało mu się zaobserwować.

Ktoś do niego podszedł. Zaskoczony rozpoznał Martę.

– Mają rannych? – spytała, wyteżając wzrok. – Klara przygotowała lazaret. Ale jeśli jest ich dużo, wezmę jeszcze parę osób do pomocy.

Łukasz przyjrzał się oddziałowi.

– Może z pół tuzina – oszacował liczbę ciał przewieszonych przez siodła i podtrzymywanych przez rycerzy.

– Jak ona się trzyma?

Nie miał na razie okazji przywitać się z pasierbicą. Atak Albrechta był rzeczą okropną, niemniej jednak miał jedną dobrą stronę. Wraz z nim rozwiął się osobliwy projekt ożenku Dytryka.

W obliczu takiej przewagi nie miał wyjścia i musiał przystać na ofertę landgraфа z Turynгии. „Lepiej tak, niż gdyby miał zabić Klarze ćwieka i sprowadzić na nią nieszczęście” – pomyślał Łukasz, który bardzo lubił swoją pasierbicę.

– Klara dobrze się spisała – uznała Marta. – Ale żona zarządcy... Nie można polegać na jej pomocy w obecnej sytuacji.

W kilku słowach opowiedziała mu o wcześniejszych wydarzeniach.

– Wobec tego jesteś tu potrzebna nie tylko jako znachorka – odparł zafrasowanym głosem Łukasz. – Weź to na siebie, jeśli Gertruda nie daje rady. Zajmij się niewiastami i dziećmi. Musimy się przygotować na dłuższe oblężenie i nie potrzeba nam podobnych historii.

Zerknął na dół, by w odpowiedniej chwili wydać rozkaz do podniesienia mostu i opuszczenia kraty.

Dytryk właśnie wjechał przez bramę, a za nim pozostali rycerze i strzelcy. Zamieszanie spłoszyło kilka kruków siedzących na zamkowej wieży, które z głośnym krakaniem uleciały w powietrze.

Norbert ze swoją grupą i jeńcami dotarł na zamek ostatni. W tym czasie Marta i Klara były już na dole i przywołały kilku silnych pachołków, którzy mieli zanieść rannych do lazaretu.

Nie miały czasu, żeby porozmawiać z Tomaszem. Jedyne upewniły się szybkim spojrzeniem, że nic mu się nie stało.

Drewniany most prowadzący do bramy został podniesiony na grubych linach, a krata opadła, zagradzając wjazd.

– Przy brodzie udało nam się unieszkodliwić niemal trzecią część napastników! – zawołał Dytryk z siodła donośnym głosem, który rozległ się po całym dziedzińcu. – Lecz wciąż jest ich około dwustu. Ustawcie strażników i opróżnijcie dziedzińce. Wszyscy żołnierze na ganki obronne.

Zeskoczył z konia i kilkoma gestami rozstawił ludzi.

– Podchodzą pod górę! – zawołał Łukasz, który cały czas obserwował teren.



– Wszyscy na ganki obronne! – krzyknął Norbert. – Zabierzcie konie! Najlepsi łucznicy na wieżę!

A wy tam znikajcie z dziedzińca!

Kilka kobiet znów odważyło się wyjść na podwórzec z ciekawości, którzy mężczyźni wrócili.

– Podpalają nasze domy! – krzyknęła jedna, wskazując w kierunku Tauchlitz. Teraz z tamtej strony też unosiły się w niebo chmury dymu.

Rozległo się głośnie zawodzenie.

– Wchodźcie do głównej sali! – zawołał Łukasz. – Chyba nie chcecie, żeby was trafiła płonąca strzała?

Jego słowa odniosły skutek. Kobiety natychmiast pędem schroniły się pod dachem. Łukasz się zastanawiał, ile niepokoju wzbudzą w środku, przekazując potworne wiadomości. Najchętniej posłałby za nimi Martę, ale ranni mieli pierwszeństwo.

Zamkowy dziedzińiec szybko opustoszał. Zostało jedynie kilku krzepkich pacholków, nieprzerwanie donoszących w wiadrach wodę ze studni, którą napełniano wszystkie dostępne naczynia. Oprócz nich parę kobiet gotujących w wielkim kotle zawieszonym nad ogniem wrzątek, którym mieli później polewać napastników. Na wieży podgrzewano smołę do nasączenia płonących strzał. Ostry zapach żywicy dochodził do nozdrzy Łukasza i przypominał mu wszystkie oblężenia, które do tej pory przyszło mu przeżyć.

Z miejsca, w którym stał, próbował policzyć, ilu ludzi zostało Albrechtowi do dyspozycji. Jednakże na razie nie mogli wiele zdziałać, nie mieli bowiem ze sobą drabin ani machin oblężniczych.

„Jesteś w błędzie, jeśli sądzisz, że uda ci się tu tak po prostu wejść – pomyślał, rzucając wściekle spojrzenie Albrechtowi, jadącemu na czele swych oddziałów. – Zobaczymy, ile dni wytrzymasz, nim odejdzie cię ochota na dalsze zaczepki”.

Mimo to Łukasz nie ulegał iluzjom. Większości twierdz nie zdobywano po długim oblężeniu, lecz wskutek zdrady. Trudno przewidzieć, ile wytrzymają weissenfelczycy, którym Albrecht dla zastraszenia kazał spalić domy.

Z rozmyślenia wyrwało go wołanie Norberta.

– Znacie tych mężczyzn? Mówią, że przybyli z Freibergu i poświadczycie za nich. Na wszelki wypadek kazałem ich pojmać.

Łukasz odwrócił głowę i ze zdziwieniem spojrzał w uśmiechnięte twarze ludzi stojących obok weissenfelczyka. Pospiesznie zbiegł schodami z obronnego ganku.

– Kuno, Bertram! Na pewno wiecie, na co się porywacie?

Zadowolony poklepał każdego z nich po ramieniu.

– To dobrzy ludzie, razem z Chrystianem osobiście ich szkoliliśmy – zapewnił komendanta. – Puśćcie ich i wyślijcie do reszty.

Następnie zwrócił się do trzeciego.

– Guntram! Co cię tu sprowadza?

– Może przyda wam się na zamku jeszcze jeden kowal?

– Bez wątpienia.

Rzut oka na minę Norberta utwierdził go w przekonaniu, że komendant był zadowolony z rozwoju wypadków.

– Pomożecie zabezpieczyć bramę – poprosił obu dawnych strażników z Freibergu. – A ciebie zaprowadzę do kuźni. Potrafisz robić groty do płonących strzał?

Guntram potwierdził.

– Wobec tego zaczynaj od razu. Niewiele nam zostało, a nasz kowal ze swymi kanciastymi paluchami nie bardzo daje sobie z nimi radę.

Z wściekłości i nie chcąc utracić twarzy, Albrecht rozkazał reszcie ludzi jechać nazamek. Nie miał wątpliwości, że zostanie podniesiony most i zablokowaną bramę.

Gapił się na mur, który najchętniej zburzyłby gołymi rękami.

– Płonące strzały, ile tylko dacie radę – rozkazał. W tej chwili niewiele więcej mogli uczynić. Być może któryś dach zajmie się od ognia i w ten sposób będzie mógł rozpędzić całą tę hołotę. Kiedyś na pewno się poddadzą, w najlepszym razie jeszcze dzisiaj. Istniało wiele sposobów, by zasiać panikę wśród zamkniętych w twierdzy ludzi.

– Musicie się wycofać, wasza wysokość – upomniał marszałek. – Wyjedźcie z zasięgu łuczników!

Słyszeli padające z góry rozkazy, gromadzące łuczników po stronie, gdzie się właśnie znajdowali.

– Czy jest jakieś inne miejsce, z którego moglibyśmy zaatakować?

– Dowiemy się – oświadczył niecierpliwie Elmar. – Ale teraz się cofnijcie, bardzo was proszę.

Wagi jego słowem dodała pierwsza salwa z góry, po której kilku łuczników Albrechta bezwładnie osunęło się na ziemię.

Albrecht ścisnął ostrogami ogiera, odwrócił go i zjechał niżej.

Po drodze słyszał miłe jego sercu zafrasowane okrzyki dobiegające z góry. Zapewne jego ludziom udało się coś podpalić.

Dojechawszy na początek szlaku prowadzącego do zamku, przywołał do siebie marszałka, stolnika i cześnika, tłustego Giselberta, który jechał na tyle oddziału, postępując.

– Tam, na górze, rozbijemy obóz – rozkazał Albrecht, wskazując wzniesienie naprzeciwko twierdzy, nieco nawet wyższe od góry zamkowej.

– Gerald zabezpieczy wszystkie drogi do zamku. Nikt nie może się stamtąd wyślizgnąć. Elmar pośle najszybszych jeźdźców z wiadomością do Miśni. Chcę pięćdziesięciu ludzi do wsparcia i zaopatrzenie ze wszystkimi urządzeniami potrzebnymi do oblężenia.

Stolnik się skłonił, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Albrecht zaczął mówić dalej, ścisząc przy tym głos.

– Rozpoznaliście tego chłystka z Chrystianowa u boku mego brata?

– Tak, wasza wysokość – potwierdził Elmar. – Jest uderzająco podobny do swojego ojca. Ten, który po zamachu w Döben wydał was cesarzowi.

Z zadowoleniem podkręcił do góry wąsy. Zagadka się rozwiązała, ponadto walka, w której przy okazji można było położyć krwawy kres kilku osobistym nieporozumieniom, była o wiele bardziej budująca.

– Zatem powinniśmy mu dać okazję do zobaczenia się z ojcem w zaświatach – oświadczył Albrecht złośliwie. – Poślijcie po swego pasierba! To będzie jego zadanie.

– Będzie wysoce ukontentowany, mogąc dla was zabić tę swołocz – zapewnił Elmar. Był tego pewien. Od samego początku był świadkiem nienawiści narastającej między dwoma młodymi rycerzami, a nawet w miarę możliwości starał się ją podsycać.

– Geraldzie, niech wasi synowie zrobią rozpoznanie, jakie mamy możliwości ataku – polecił następnie Albrecht. – Tajne przejścia do zamku i tym podobne. Schwytajcie kilku ludzi w okolicy i każcie ich torturować, aż zaczną mówić.

– Tak jest.

Marszałek rzucił baczne spojrzenie w kierunku zamku, skąd nadal słychać było krzyki.

– Czy nie byłoby lepiej, gdyby nasi łucznicy się wycofali? Inaczej wszystkich stracimy, nim dołączą nowi z Miśni. Gdy przyprowadzą wreszcie maszyny oblężnicze, będziemy mogli wrzucić na górę płonące pnie albo głowy kilku jeńców.

– Niech będzie, każcie im się cofnąć – rzucił obojętnie Albrecht.

Następnie zwrócił się do grubego cześnika.

– Giselbercie, będziecie towarzyszyli marszałkowi w wycieczce po okolicy. Zarekwirujcie wszystko, co może nam się przydać do rozbicia obozu na górze naprzeciwko twierdzy. A wy, Elmarze, rozdzielcie ludzi, którzy przyniosą drewno i zbudują palisady. Wszystko musi być gotowe, nim nadejdzie wsparcie.

Albrecht z zadowoleniem patrzył, jak jego ludzie rozeszli się do pracy. Nawet jeśli nie udało mu się odnieść zwycięstwa tak szybko, jak się spodziewał, to i tak był go pewien.

Tomasz stanął u boku ojczyma i razem z nim patrzył, co się działo za bramą. Zdziwił się, że Albrecht kazał podejść łucznikom tak blisko i bez żadnego ubezpieczenia. Tymczasem sporo z nich zginęło. Ale jednak poczynili też znaczące szkody. Piekarnia stanęła w płomieniach. Udało się ją ugasić dopiero wtedy, gdy płomień strawił dwie ściany. Na szczęście budynki nie były ze sobą połączone, inaczej mogliby spalić połowę twierdzy.

W końcu przyjechał jeden z jeźdźców Albrechta i rozkazał łucznikom natychmiast się wycofać. Nie zawracali sobie głowy poległymi, zarzucali na plecy rannych i co sił w nogach uciekali z zasięgu strzał przeciwnika. Zostawili mężczyznę z kudłatą brązową brodą, którego strzała ugodziła w pierś, zapewne przeświadczeni, że ten i tak wkrótce wyzionie ducha.

– Pomóżcie mi, dranie! – krzyczał ranny głosem zniekształconym z bólu. Wkrótce jego krzyki zmieniły się w bolesne jęki, aż wreszcie zupełnie umilkły.

– Dokąd się wycofają? – spytał Tomasz, nie okazując poruszenia, chociaż przed chwilą ktoś umarł na jego oczach.

– Wygląda na to, że chcą rozbić obóz na tamtej górze – odpowiedział Łukasz, wskazując ręką kierunek. – W ten sposób będziemy się mogli wzajemnie mieć na oku.

Zamierzał dać rozkaz, by połowa łuczników zesza z pozycji i posza się posilić, podczas gdy pozostali będą obserwować teren. W ostatniej chwili się opamiętał i uprzytomnił sobie, że ci ludzie byli pod rozkazami Norberta.

– Spytajcie ojca, czy ma nowe rozkazy – odezwał się do młodego Henryka i sprawdził wzrokiem, czy do zamku nie zbliża się nieprzyjaciel. – Na razie możemy sprawdzić, czy twoja matka i siostra nie potrzebują pomocy – powiedział następnie do Tomasza.

Ten, zadowolony z propozycji, poszedł za nim bez słowa.

Tymczasem Dytryk rozstawił większość swoich ludzi na warcie. Teraz zapewne obrał sobie ten sam cel co Łukasz i Tomasz, mianowicie lazaret.

## *Narada wojenna*

Marta i Klara klęczały obok rannego, w którego udzie tkwiła strzała. Ktoś wsunął mu patyk między zęby, żeby z bólu nie odgryzł sobie języka.

Czterech mężczyzn miało założone opatrunki, jeden był nieprzytomny albo spał, inni, z bladymi twarzami zlanymi potem, opierali się o ścianę. Jedna z pomocnic ostrożnie wlewała jakiś płyn do ust młodzieńca z zabandażowaną głową.

Marta za pomocą wąskiego noża próbowała poluzować grot tkwiący w nodze pacjenta.

– Teraz ciągnij! – nakazała córce, która zacisnęła rękę na trzonie strzały.

Jedno pociągnięcie, mężczyzna krzyknął, Klara zaś wyciągnęła drewniany trzon, jednakże bez ostrza.

Marta położyła z troską dłoń na ramieniu rannego.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę, dobrze? Zaraz będzie po wszystkim.

Przyłożyła do rany wilgotne, chłodzące płótno i przycisnęła dłonią, by zmniejszyć krwotok, a następnie

wysłała jedną z przydzielonych jej dziewczek do kowala, z prośbą o pożyczanie najmniejszych szczypiec, jakimi dysponował.

– Czy na zamku nie ma żadnego przyrzędu do wyjmowania strzał? – spytała Klarę.

Ta ułożyła właśnie dwie sztaby do wypalania ran w misie z rozżarzonymi węglami i grzbietem dłoni przetarła skroń, na której widniały drobne kropelki potu.

– Tutejszy kowal też nam niczego takiego nie robi, jest za stary, ręce ma tak strawione artretyzmem, że chyba tylko cudem trzyma się jeszcze przy kowadle.

– Może nowy kowal mógłby pomóc – zaproponował hrabia Dytryk ku zaskoczeniu obu kobiet, pochylając głowę, by wejść do izby.

– Jak się czują ludzie?

– Jeśli Bóg zechce, wszyscy przeżyją – odrzekła Marta, wstając. – Ale nie możecie tu zostać. Powinniście pójść do głównej sali i uspokoić ludzi... Żona zarządcy nie daje sobie rady.

Tymczasem wróciła dziewczka i dygnawszy, podała jej wąskie szczypce.

Marta pospiesznie uklękła na powrót przy rannym, upewniając się przedtem, że Klara czekała obok z przygotowanym żelazem do wypalania ran. Odmówiła krótką modlitwę i jednym szarpnięciem wyciągnęła grot. Klara natychmiast przyłożyła żelazo do krwawiącej rany. Zasyczało i wokoło rozszedł się gryzący smród. Ranny zawył z bólu.

– Zatem chodź ze mną i pomóż – zdecydował Dytryk. – Sądzę, że wasza córka da sobie na razie sama radę. Jeśli będzie potrzebowała pomocy, przyślę wam Tomasza.

– Tomasza? – spytały zgodnym chórem zaskoczone kobiety.

Dytryk się roześmiał.

– Zdaje się, że to u was rodzinne. Na wyprawie wielu ludziom uratował życie, gdy nie było w pobliżu felczera.

Marta jeszcze raz przyłożyła dłoń do czoła pacjenta, który tymczasem stracił przytomność, a następnie wstała i podeszła do jednego z wiader, które kazała sobie przynieść do obmywania rąk z krwi.

– Nie podoba mi się jego bladość. Spróbuj go ocucić i podaj mu dużo wody do wypicia – poradziła Klarze w drodze do drzwi.

– Wiem – odparła młoda kobieta. – Idź, w głównej sali jesteś teraz bardziej potrzebna.

Ostatnie zdanie dało Dytrykowi dużo do myślenia. Co się tam działo, jeśli nawet Klara uważała, że jej matka jest bardziej potrzebna w sali na dole niż przy rannych?

Gdy Marta i Dytryk wyszli na dziedziniec, słońce jeszcze raz wychyliło się zza chmur. Niedługo miało się schować za horyzontem.

Marta rozejrzała się uważnie. W lazarecie nie dotarło do niej nic z tego, co się wydarzyło po powrocie Dytryka z nad brodu. Dostrzegła, że piekarnia się paliła, ale zdołano ugasić ogień i pozostałe budynki się nie zajęły. Wszystkie ganki obronne były obsadzone łucznikami. Więc Albrecht rozpoczął oblężenie? Wieść, że jego ludzie spalili Tauchlitz, doszła aż do lazaretu.

– Mój brat zbiera ludzi tam, na górze – wyjaśnił jej Dytryk. – Czyli mimo poniesionych strat nie zamierza się wycofać. Ale nie liczyłem na to, że szybko odpuści. Czy możecie powiedzieć, na jak długo starczy nam zapasów dla załogi i uciekinierów?

– Musiałabym to sprawdzić z Gertrudą. Straciła orientację, sama przyznała.

Dytryk przywołał do siebie jednego z giermków, który w tej właśnie chwili wyłonił się ze stajni.

– Zawołaj żonę zarządcy, szybko! I komendanta.

– W tej chwili, wasza wysokość!

Nie zdążyli dojść do pałacu, gdy giermek był już z powrotem, prowadząc ze sobą siwobrodego zarządcę zamiast jego żony.

– Gdzie wasza małżonka, Gotfrydzie? – spytał zniecierpliwiony hrabia.

– Wybaczcie mi, wasza wysokość! Jest chora...

Starszy mężczyzna zmieszany odwrócił głowę.

– Zaprowadź nas do niej! – rozkazał Dytryk.

Zarządca ostrożnie otworzył drzwi swej sypialnej komnaty.

Wewnątrz Gertruda z mokrą od potu twarzą klęczała pochylona nad miską i wymiotowała. Zrzuciła uciskający ją czepek. Na widok osób towarzyszących mężowi zakryła rękami twarz. Ale nie potrafiła ukryć drżenia, jakie wstrząsało jej ciałem.

Marta napełniła wodą kubek i podała kobiecie. Następnie ujęła ją za ramiona i podniosła.

– Połóżcie się do łóżka i zostańcie, aż się lepiej poczujecie. Każę przygotować dla was lekarstwo.

Zawstydzona Gertruda pozwoliła się zaprowadzić na posłanie i bez słowa zwinęła się w kłębek pod kołdrą.

– Przekażcie Marcie klucze do spiżarni – rozkazał Dytryk. – Gotfrydzie, oprowadzicie panią z Chrystianowa i pokażecie jej, co trzeba. Nie kłopotcie się, przez wiele lat jako małżonka kasztelana musiała doglądać zapasów na zamku we Freibergu i zna się na rzeczy.

Pani z Chrystianowa! Marta przełknęła ślinę. Od lat nikt się do niej tak nie zwracał, od śmierci jej męża Chrystiana. Szybko musiała wyjść za Łukasza, taka była konieczność spowodowana krwawymi wydarzeniami, choć Łukasz od dawna ją kochał.

Młoda żona zwyczajowo musiała zdobyć wiedzę, jak robić zapasy dla dużego gospodarstwa, a nawet zamku, i jak nimi zarządzać. Jednakże ona pochodziła z biednej rodziny i nie miała najmniejszego pojęcia o tych sprawach, gdy margrabia Otto niespodziewanie wyniósł Chrystiana i ją do wolnego szlacheckiego stanu, a kilka lat później powierzył nawet jej mężowi dowództwo nad freiberską twierdzą. Dopiero tam pewna solidna i pracowita gospodyni nauczyła ją wszystkiego, co powinna wiedzieć.

Wiązało się to z ogromną odpowiedzialnością. Nikt nie mógł głodować i nie wolno było dopuścić do kłótni o jedzenie. Tak było nawet w czasie pokoju, głównie podczas długich zim lub po kiepskich zbiorach, a co dopiero na wojnie...

Według obliczeń Marty na zamku znajdowało się około pięciuset ludzi. Zapewne więcej, niż budowniczo wie sobie kiedykolwiek wyobrażali. Ale ten, kto w takiej sytuacji nie potrafił sprostać obowiązkowi, nie nadawał się do pełnienia swej funkcji, mógł bowiem spowodować więcej strat niż wróg.

Zabrała klucze, które Gertruda trzęsącymi się palcami odwiązała od pasa, i skłoniła się Dytrykowi. Następnie poszła za zarządcą, by policzyć worki z ziarnem i grochem oraz beczki z peklowaną rybą.

Gdy Marta zorientowała się w stanie zapasów, zaczęła się rozglądać za Dytrykiem. Hrabia przemawiał właśnie w głównej sali do ludzi, którzy schronili się w twierdzy i nie wiedzieli, czy ich domy wciąż stały, czy zostały spalone.

– Napastnicy wycofali się na przeciwległą górę, nie mają ze sobą machin oblężniczych – mówił, gdy Marta przekroczyła próg sali. – Zatem jeśli tylko wystarczy nam odwagi, nie będą mogli nam nic zrobić.

– Spalili nasze domy! – zawołała wysoka, chuda kobieta w niebieskiej sukni pokrytej wełnianymi węzełkami. – Skąd mamy czerpać odwagę?

– Odbudujemy domy – odparł Dytryk najspokojniej, jak mógł. – Dzisiaj nikt z naszych nie poległ, tylko to się liczy. Zapasów starczy nam na kilka tygodni, a jeśli okazałyby się zbyt skąpe, jest jeszcze to, co przynieśliście ze sobą. Niech mój zarządca zapisze, coście przynieśli, kozę, kurę czy worek ziarna. Dostaniecie pieniądze, by kupić nowe zapasy, gdy wspólnie przetrwamy obecną sytuację.

Stojący obok niego Norbert poprosił o głos.

– Niech rzemieślnicy się zbiorą, by przygotować więcej strzał i proc. Kobiety i starsze dzieci mogą im pomóc.

– Potrzebuję jeszcze kilku rzetelnych pracowników do piekarni i do kuchni – uzupełniła Marta, podchodząc do Dytryka i Norberta. – Pomóżcie przygotować posiłek dla wszystkich i zanieście jedzenie ludziom wartującym na gankach obronnych i na wieży.

Do każdego z zajęć zgłosiło się po kilku ochotników. Pozostałych Marta przydzieliła do płukania płócien, którymi opatrywano rany, oraz do opieki nad zwierzętami i pilnowania dzieci, by te nie biegały po dziedzińcu i nie psociły.

Wkrótce każdy miał jakąś pracę. Dytryk z zadowoleniem zauważył, że rozpacz powoli opuściła ludzi. Kazał przywołać Łukasza i Tomasza, by wspólnie z nimi i z Norbertem odbyć naradę wojenną. Ku zaskoczeniu Marty, ona również została zaproszona.

Wszyscy wojownicy zebrani w komnacie Dytryka mieli jeszcze na sobie pełne uzbrojenie, prócz misiurek i hełmów.

Zarządca Gotfryd kazał przynieść z kuchni chleb, rybę i piwo. Po bitwie nad brodem żaden z obecnych nie miał dotychczas okazji się posilić, toteż mimo ważnych kwestii, które mieli do omówienia, każdy zabrał się z apetytem do jedzenia. Sporo czasu upłynęło od ostatniego posiłku, a przy tym nikt nie miał pojęcia, kiedy będą mieli możliwość spożyć w spokoju następny. Nocne ataki stanowiły popularną metodę zastraszania obleżonych.

Jedynie Marta trzymała się z tyłu, kobiety bowiem nie były zwykle zapraszane na wojenne narady. Przysiadła w jednej z okiennych nisz z kamienia i korzystała z okazji, by popatrzeć na twarz syna, którego tak dawno nie widziała.

Pierwszy zabrał głos Norbert. Wysłał zwiadowcę, który właśnie powrócił z wiadomościami. Mężczyzna odważnie przekradł się do wrogiego obozu, ostrożnie przycisnął się w pobliżu namiotu Albrechta i podsłuchiwał jego rozmowę ze stolnikiem i marszałkiem.

– Wasz brat posłał po pięćdziesięciu ludzi wsparcia – relacjonował. – I po wozy z machinami obleżniczymi.

– Droga do Miśni zabierze posłańcom co najmniej dwa dni, a wozy w obecnych warunkach będą potrzebowały pięciu – oszacował Dytryk.

Po ostatnich deszczach niektóre drogi powinny być trudno przejezdne.

– To znaczy, że najpóźniej za tydzień powinniśmy być przygotowani na ostrzał, na balisty i płonące pociski. Na jak długo starczy nam zapasów, Marto?

Wszyscy przenieśli spojrzenia na drobną kobietę, która naraz poczuła się bardzo nieswojo.

– Dwa tygodnie, może dwa i pół, jeśli mocniej zaciśniemy pasa – poinformowała. – Trzy i pół, jeśli zaszlachtujemy wszystkie zwierzęta, łącznie z pociągowymi wołami. – Wzruszyła z ubolewaniem ramionami. – Mamy pięćset dusz, to bardzo dużo.

– Z których niecała setka jest zdalna do walki. Rozumiem – odrzekł Dytryk z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Dwudziestu rycerzy, łącznie z Turyńczykami, tuzin serwientów<sup>Z</sup>, dwa tuziny jeźdźców i łuczników, do tego giermkowie i tuzin mieszczan z włóczniami i procami – wyliczał Norbert. – W razie konieczności będzie można dodatkowo uzbroić około dwóch tuzinów starszych mężczyzn i wyrostków – powiedział i padł przed Dytrykiem na kolana. – Wybaczcie, panie! Nie doceniłem powagi sytuacji. Nie sądziłem, że wasz brat wystawi przeciwko wam tylu zbrojnych. Powinienem być zaciągnąć więcej mężczyzn. Jeśli sobie życzycie, oddam dowództwo w ręce wprawniejszego człowieka.

– Nie, zostańcie na swoim stanowisku – zdecydował hrabia Weissenfels. – I tak nic nie zmienimy. Skąd w tak krótkim czasie mieliście wziąć więcej sprawdzonych ludzi?

„Nie sprawicie, by wstali z martwych ci, których poprowadziłem do Ziemi Świętej” – pomyślał, ale nie mógł dać tego po sobie poznać.

Norbert wstał i wrócił na swoje miejsce, Dytryk zaś mówił dalej, zwracając się tym razem do wszystkich.

– Mój brat prawdopodobnie zamierza zbudować na przeciwległym wzgórzu prowizoryczną twierdzą. Kazał wznieść palisady. W tym celu użył zresztą naszych pali, tych znad rzeki. Jego ludzie wyciągnęli z rzeki ciała i trupy koni, a potem zabrali drzewo. Końskie mięso zapewne ugotują.

Dytryk i Tomasz wymienili szybkie spojrzenia. Każdy z nich miał teraz przed oczyma te same dręczące wspomnienia. Gdy armia Fryderyka Staufa została odcięta od zaopatrzenia, pili końską krew i jedli koninę, a później nawet tego zabrakło. Tomasz poświęcił pod Akką konia, by Roland nie umarł z głodu. Przyjaciół doszedł do siebie... i wkrótce potem umarł trafiony strzałą.

– Gdybyśmy zabili wszystkie konie, na jak długo starczyłoby nam prowiantu? – spytał Dytryk Martę.

Ta skuliła się w sobie, ale zaraz szybko oszacowała ilość mięsa.

– Sześć tygodni. Jednakowoż później może nam zabraknąć drewna, żeby dla wszystkich gotować.

– Za sześć tygodni w obozie przeciwnika powinna już wybuchnąć dyzenteria. Poza tym spadnie śnieg – ocenił Łukasz. – Ale nie zakładalbym się, czy to wystarczy, by skłonić waszego brata do odejścia.

– Musimy działać, nim nadejdzie wsparcie. To nasza jedyna szansa – powiedział gwałtownie Tomasz, który jako najmłodszy z zebranych dotychczas siłą opanowywał przemożną chęć zabrania głosu. – Mamy sześć dni. Spróbujmy ataku, podjedziemy do obozu i przegonimy ich!

– Niespełna pięćdziesięciu jeźdźców przeciwko dwóm setkom – podsumował trzeźwo Dytryk, ale nie ustosunkował się do tej propozycji.

– Ja też jestem za niespodziewanym atakiem. Wykorzystajmy fakt, że znamy teren – podjął pomysł Norbert.

On też po tysiąckroć wolałby działać, niż beczynnie oczekiwać na następny krok wroga.

– Napadniemy na nich w porannej szarówce, wjedziemy do obozu, nim skończą palisady. Nim się obudzą i uzbroją, zniszczymy ich przewagę, a wtedy będziemy walczyć jeden na jednego.

– Stolnik Albrechta to doświadczony przeciwnik – sprzeciwił się twardo Łukasz. – Nie wolno go nie doceniać. Z pewnością przygotował się na taką ewentualność. Sądzę, że kazał dobrze pilnować obozu, a także rozstawił dookoła zamku dość ludzi, którzy mają za zadanie odciąć nam drogę. Z góry zauważą nasz oddział.

– Możemy wysłać wystarczającą ilość żołnierzy, którzy unieszkodliwią jego zwiadowców – wtrącił komendant zamku.

– Wystarczającą ilość? – Dytryk uniósł brwi w wyrazie zdziwienia. – Mimo naszych niedoborów? Chętnie zawierzyłbym swój los szczęściu i poprowadził pięćdziesięciu ludzi do ataku, lecz jak sądzicie, z iloma bym wrócił?

Wreszcie zdecydował się wypowiedzieć głośno to, co leżało mu na duszy.

– Czyż weissenfelczycy już teraz nie obwiniają mnie o to, że żaden z ludzi, którzy pojechali ze mną do Ziemi Świętej, nie wrócił do domu?

Marta wstrząśnięta spojrzała na Dytryka.

Tymczasem ton dyskusji się zaostrzył.

Łukasz pochylił się lekko do przodu, biorąc na siebie rolę rozjemcy.

– Wykorzystamy waszą znajomość terenu – powiedział pojednawczo do Norberta. – Właściwie nie mamy innego wyjścia. Musimy wysłać z twierdzy grupę ludzi, którzy ominą niezauważeni warty Albrechta – powiedział i skierował wzrok na Dytryka. – Obawiam się, że w zaistniałej sytuacji nie pozostaje wam nic innego, jak przystać na propozycję landgrafa Hermana. Jedźcie ze mną do Turynгии

i jeśli Bóg ani landgraf nie opuszczą nas w potrzebie, wówczas za sześć dni wrócimy z obiecany­m wsparciem dwustu ludzi. W ostatniej chwili przed nadejściem posiłków Albrechta, nim zaczną szturmować zamek. Przypuściłbym atak z dwóch stron.

Dytryk wstał i podszedł do okna. Nikt nie powinien zobaczyć twarzy. Tymczasem na zewnątrz zrobiło się ciemno. Widział blask ognia rozpalonego na przeciwległej górze, na której jego żądny krwi brat rozbił swój obóz.

Tak, najchętniej z miejsca by wyruszył i rozstrzygnął sprawę mieczem. Ale nie mógł ot tak ryzykować życia rycerzy i serwientów. Miał ich tak niewielu, że tego rodzaju przedsięwzięcie nie dawałoby świadectwa odwadze, lecz karygodnej lekkomyślności.

Wyglądało na to, że rzeczywiście mógł im pomóc jedynie turyński landgraf. Ale czy doprawdy powinien przystać na zaręczyny z ośmiolatką jedynie po to, by ratować własną skórę?

Pragnął Klary tak bardzo jak nigdy wcześniej.

Z wymuszonym opanowaniem odwrócił się do Łukasza.

– Czy macie absolutną pewność, że landgraf nie przyjąłby innego zobowiązania w zamian za wojskowe wsparcie?

Łukasz zawahał się przez chwilę, spojrzał na Martę, ale i ona zdawała się nie widzieć żadnej innej możliwości.

– Chce mieć pewność, że jego córka wyjdzie kiedyś dobrze za męża. Ta kwestia leży mu na sercu od chwili śmierci jej matki – rzekła z ubolewaniem.

Oboje wiedzieli, że Dytryk nie miał do zaoferowania nic innego, czym mógłby skusić bogatego i wpływowego landgrafa Turyn­gii. Jego udział w wettyńskiej sukcesji był na to zbyt szczupły. Natomiast próba przemówienia do poczucia sprawiedliwości czy rozsądku Hermana, w którego interesie oczywiście leżało ostudzenie awanturniczych zapałów zuchwałego Albrechta, jego bezpośredniego sąsiada, nie rokowała wielkich nadziei. Herman był zbyt wyrachowanym graczem. Zamierzał wyciągnąć dla siebie więcej profitów z zaistniałej sytuacji.

– Pakt z Turyn­gią przypieczętowany małżeństwem stanowiłby długofalową korzyść – zaczął naciskać Norbert.

Dytryk nie był margrabią, jak niegdyś jego ojciec, a jedynie hrabią mającym w posiadaniu nic nieznaczący kawałek ziemi, zamek, którego nie był w stanie obronić, oraz kilka wiosek, które niedawno zostały spalone.

– Razem z moimi synami i Łukaszem przygotowujemy plan, jak najbezpieczniej wydostaniemy się z zamku.

Wszyscy utkwili oczy w Dytryku, ciekawi jego odpowiedzi, od której tak wiele zależało.

– Jutro podejmę decyzję – oznajmił hrabia z nieprzeniknioną miną. – Gdyby do tej pory któryś z was wpadł na inny pomysł, wysłucham go z niecierpliwością. A teraz niech wszyscy wracają na stanowiska, żeby w nocy nie spotkała nas jakaś przykra niespodzianka.

Tym ostatnim zdaniem zakończył naradę.

Dytryk odczekał, aż wszyscy się pożegnali, a następnie udał się w kierunku lazaretu. Koniecznie musiał porozmawiać z Klarą.

## *Nocne rozmowy*

Klara rzeczywiście wciąż była w sali u rannych, ale ku zaskoczeniu Dytryka siedziała przy ogniu razem z nowym kowalem i kreśliła coś patykami na glinianej podłodze.



– Tak, zrozumiałeś? – szepnęła, nie zauważwszy przybycia hrabiego.

Młody freiberczyk wyjął jej z ręki patyk i zmienił nim jakiś szczegół rysunku.

– Mógłbym to zrobić tak, byłoby lepiej. Spójrz!

Poufałość, z jaką rozmawiała ta dwójka, nie spodobała się Dytrykowi. Byli całkowicie zaabsorbowani rozmową i zupełnie go nie zauważali. Kowal nie powinien zwracać się na „ty” do niezamężnej niewiasty szlacheckiego stanu.

Jeden z rannych jęknął i poprosił o wodę.

Młodzi ludzie dopiero teraz zauważyli stojącego w wejściu księcia i poderwali się z miejsca.

– Wasza wysokość... – Klara szybko wstała i dygnawszy, pospieszyła do chorego, by uzupełnić zawartość jego drewnianego kubka. Następnie wróciła do ognia.

– Z tego ma powstać narzędzie, którym będę mogła wyciągać groty strzał – objaśniła rysunek na ziemi, nieco zmieszana, za to z widocznym entuzjazmem. – Guntram wykuje je dla mnie. Nawet ma pomysł, jak można je udoskonalić. Spójrzcie!

Dytryk wbrew woli podszedł bliżej i przyjrzał się liniom nakreślonym na ziemi. Znał takie narzędzia. Na wyprawie krzyżowej wielu jego ludzi zostało trafionych strzałami. Na podstawie prostego szkicu można się było zorientować, że urządzenie będzie lepsze od tych, których powszechnie używano. Na odstające końcówki strzały dało się wsunąć tulejkę, dzięki której podczas usuwania grot nie rozcinał dodatkowo ciała. Coś podobnego widział kiedyś u pewnego saraceńskiego znachora. Kto wie, skąd ów młody freiberczyk zaczerpnął swój pomysł.

– Zaraz z rana wezmę się do pracy. Jeśli pozwolicie... rozejrzę się teraz za jakimś miejscem do spania – zająknął się Guntram i dał nogę, uzyskawszy wcześniej od hrabiego pozwolenie.

– Jak się czują ramni? – zapytał Dytryk, by zostawić Klarze, a także sobie samemu, czas na zebranie myśli. Wciąż mu się nie podobało, że kowal zwracał się do niej z taką poufałością.

– We Freibergu należał do bandy Piotra – wyjaśniła Klara, która zdawała się odczytywać myśli z jego twarzy. – Przypominacie sobie?

Dytryk mimo woli nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Oczywiście. Synowie kowala i dawny złodziejaszek. Kuno i Bertram też dziś przyjechali. Ale pewnie dowiedzieliście się o tym wcześniej ode mnie.

Powinien pamiętać, że Klara miała wyjątkowe dzieciństwo. Wyjątkowe ze względu na swoje pochodzenie, los jej rodziców i fakt, że od dziecka należała do konspiracyjnej bandy, do której członków zaliczał się także Guntram.

Klara przypomniawszy sobie o swoich zadaniach i jego pytaniu. Rzuciła baczne spojrzenie na mężczyzn, którym powierzono jej opiece.

– Możliwe, że jednemu z nich będziemy musieli odjąć rękę. Ale dopiero jutro będę miała pewność, przy dziennym świetle – powiedziała szeptem.

„Jeszcze jedna osoba, która przekłada ważną decyzję w nadziei, że zdarzy się cud” – pomyślał Dytryk z goryczą.

Następnie zebrał się w sobie i odgarnął do tyłu sięgające ramion włosy.

– Klaro, chciałbym porozmawiać z wami w cztery oczy. Teraz, zaraz. O ile nie macie nic przeciwko temu.

Zamilkła na moment. Jakiś cień przebiegł po jej twarzy. Dytryk się zaniepokoił.

Pospiesznie podeszła do ściany i zbudziła starą służącą, która została przydzielona do opieki nad chorymi i zasnęła.

Ścisłym głosem wydała kilka poleceń, jeszcze raz się rozejrzała, a następnie wygładziła rękami zmięte płótno swej ciemnej sukni i ze spuszczonej powiekami podeszła do hrabiego.

– Przejdźmy do palatium – powiedział i gestem poprosił, by za nim poszła.

Noc była zimna i naprawdę jasna. Sierp księżyca przeświecał przez kilka niewielkich chmur. Na wieży płonął ogień, a na obronnych gankach stali wartownicy, od czasu do czasu zamieniając ze sobą kilka słów.

W milczeniu minęli stajenne zabudowania, gdzie kilka koni z parsaniem stukało kopytami o ziemię. Jakiś tłumiony chichot i szepty świadczyły o tym, że nawet na piętrze ze słomą urządzono schronienie dla uchodźców.

W wielkiej sali ludzie leżeli tak blisko siebie, że trudno się było między nimi precyzyjnie przesuwać. Przy ścianach stały oparte deski, z których zestawiano stoły do posiłków, wszędzie było pełno ludzi owiniętych w peleryny i owcze skóry. Głośnie i ciche pochrapywania mieszały się z kaszlem i innymi odgłosami. Mimo późnej pory wielu kręciło się niespokojnie, jeśli tłok na podłodze im na to pozwalał.

Starając się nikogo nie obudzić, Klara szła przez salę tuż za Dytrykiem. Jej spojrzenie padło na dziecko, które przytulone do psa trwożliwie pojękiwało przez sen. Jakaś kobieta ze łzami w oczach podawała pierś niemowlęciu, inna usiadła, z wysiłkiem unosząc nabrzmiałe ciało, i podrapała się po plecach. Niewykluczone, że jeszcze tej nocy urodzi. Dziesięć kroków dalej siedziała staruszka i cicho przemawiała do kilkorga dzieci, które patrzyły na nią z przestraszeniem.

Na schodach Dytryk przepuścił ją przodem.

Klara się zastanawiała, gdzie byli jej rodzice i brat. Na pewno jeszcze nie spali. Ona też zdawała sobie sprawę, że zwycięstwo przy brodzie stanowiło jedynie wstęp do zorganizowanego odwrotu. Niespodziewanie zaczęła myśleć o tym, co by się stało z nią i rodzicami, gdyby wpadli w ręce Albrechta i Elmara. Kto by się opiekował jej dzieckiem, małą Anną, gdyby jej zabrakło?

Dotychczas nie odważyła się wybiegać myślą tak daleko w przyszłość.

Jutro rano musi się koniecznie wypowiedzieć. Zapewne wielu ludzi z tym samym zamiarem będzie czekało w kolejce do księdza.

– Nie ma wyjścia, musi przyjąć ofertę turyńczyka – mruknął Łukasz, gdy późną nocą razem z Martą wracali do gościnnego pokoju, który zajmowali. Łukasz z Norbertem do ostatniej chwili opracowywali plan, a Marta obradowała z kuchmistrem. Dopiero przed chwilą się spotkali i zamierzali iść na spoczynek.

– W gruncie rzeczy ta oferta jest bardzo korzystna. Dostanie za żonę córkę landgrafa, normalnie miałby marne szanse na taką partię, a do tego trwałe porozumienie z Turynią, które jest dla niego nie mniej ważne niż wsparcie do obrony przed bratem.

– To ohydny targ – zaprotestowała Marta z oburzeniem. – Po co Dytrykowi ośmiolatka?

– Znajdzie sobie zajęcie do czasu, aż narzeczona dojdzie do odpowiedniego wieku i będzie można sfinalizować małżeństwo. Najważniejsze, żeby wybił sobie z głowy Klarę – uznał Łukasz.

Nagle przysłała mu do głowy niepokojąca myśl.

– Czy wiedziałaś, że chciał poprosić o rękę Klary?

Marta się zawahała.

– Nie... Ale o tym, że się kochają... albo przynajmniej kochali... – przyznała.

Łukasz zatrzymał się skonsternowany i ująwszy ją za ramiona, odwrócił do siebie.

– Słucham?

– Uspokój się! Powiedziała mi o tym, nim Rajnhard poprosił o jej rękę. Nic się nie wydarzyło. Klara od samego początku miała świadomość, że nic z tego nie może wyjść...

Łukasz nie wyglądał na przekonanego.

– I mam zachować spokój? Powinnaś była mi powiedzieć!

Doprawdy, chyba rzeczywiście zostawił żonie zbyt wiele swobody.

– A co byś wtedy zrobił? – napomniała go. – Z pewnością nie zachowałbyś milczenia i jeszcze bardziej skomplikowałbyś całą historię.

– Tak jakby teraz nie była dość skomplikowana – zganił ją Łukasz.

Jeśli przeżyje oblężenie, jeśli oni wszyscy przeżyją najbliższe dni, wówczas będzie musiał pilnie przyjrzeć się sprawie. Najwyższy czas, by wydać Klarę powtórnie za mąż. Młoda matka nie powinna dłużej zostawać sama, a już na pewno nie w obliczu dzisiejszych nowin. Małżeństwo z kimś z niższego stanu było niebezpieczne, ale małżonek z wyższej sfery też nie bezpieczniejszy. Ktoś taki jak ona za żadną cenę nie powinien zwracać na siebie uwagi, a szczególnie nie powinna się ubiegać o pozycję, której Bóg dla niej nie przeznaczył.

Oboje zatopieni w myślach, choć każde z nich w innych, doszli na dziedziniec. Raptem Marta zadała pytanie:

– Czy jesteś bardzo zmęczony?

Łukasz nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

– Nie za bardzo – odrzekł, a jego ręka zsunęła się na biodro żony.

Wprawdzie na wojnie powinno się wykorzystać każdą okazję na sen, ale z drugiej strony ktoś mógł wiedzieć, kiedy znów będą mieli okazję na miłosne igraszki.

Marta roześmiała się zaskoczona.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała, po czym położyła sobie jego rękę z powrotem na ramieniu, gdzie było jej miejsce.

– Chcesz jeszcze zajrzeć do lazaretu i rzucić okiem na chorych? – zapytał, myśląc, że nie będzie to dla niego przeszkodą, by później ją rozebrać i pieścić, aż zacznie jęczeć z rozkoszy. Doskonale wiedział, jak w krótkim czasie ją do tego doprowadzić.

– Nie, zawołają mnie, gdyby mieli problemy. Ale jeśli Kuno i Bertram jeszcze nie zasnęli, chętnie wypytałabym ich o nowiny z Freibergu...

Łukasz od razu zmienił kierunek.

– Zdaje się, że są w stajniach.

Szeptem, żeby nie zakłócić nocnej ciszy, porozmawiał z człowiekiem pełniącym wartę przy wejściu do stajni. Mężczyzna wszedł do środka i po chwili wrócił, prowadząc obu freiberczyków, którzy najwidoczniej też nie zmrużyli jeszcze oka.

– Powiedźcie, co się dzieje w domu! – poprosił, głównie w nadziei, że szelmy rozweselą nieco Martę.

Cała czwórka poszła ku jednemu z wartowniczych ognisk i usiadła. Mężczyźni byli ubrani w grube gambesony, więc nie było obawy, że zmarzną. Marta otuliła się szczelniej wełnianą peleryną.

– Emma umarła – zaczął Kuno. – Tego dnia, gdy wyruszyliśmy...

– Miała dobrą śmierć, cała rodzina przy niej była – dodał Bertram, gdy Marta odmówiła modlitwę.

– Teraz Joanna opiekuje się chorymi i rodzącymi. Naprawdę dobrze sobie radzi.

– Panie, jest sporo ludzi, którzy się starają, by tej hołocie, która się u was zdomowiła, nie wiodło się za dobrze.

– A ostatnio któryś z bandy Piotra spoił ogary kasztelana.

Obaj serwienci na zmianę opowiadali, wpadając sobie co jakiś czas w słowo. Mówili o zmartwieniach, radościach, narodzinach, ślubach, pogrzebach, o dniu codziennym i licznych figlach, którymi freiberczycy umilali sobie trudne życie. Wkrótce i Marta, zwykle zamknięta w sobie, zaczęła ocierać łzy, których ze śmiechu nie mogła powstrzymać.

Na chwilę zapadło milczenie. Słysząc było jedynie strzelanie i posykiwanie gałęzi w ognisku.

– Brakuje nam was – odezwał się niespodziewanie Kuno. – W mieście jest wielu ludzi, którzy modlą

się o wasz powrót, nie mogą się go doczekać.

Wesołość Marty nagle uleciała.

– Nie możemy wrócić, dopóki Albrecht jest margrabią – powiedział głośno Łukasz to, co oboje myśleli. – Nie możemy, dopóki on żyje.

Wstał, podał Marcie rękę i pomógł jej wstać.

– Chodźmy spać. Jedyne Bóg wie, co nas jutro czeka.

„Tylko Bóg i ten nikczemnik Albrecht” – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Po wejściu do komnaty Dytryk poprosił Klarę, by usiadła. Ale ponieważ był wyższy rangą i sam stał, ona też nie odważyła się usiąść. Stała więc ze spuszczonym wzrokiem. Hrabia w dalszym ciągu był w pełnym rynsztunku, oprócz hełmu i misiurki. Brązowe włosy miał potargane od wiatru. Szybkim ruchem przygładził je do tyłu.

Jej suknia tego dnia też ucierpiała. Była pognieciona i w blasku świecy ustawionej na stole zauważyła plamy krwi na rękawie jasnej spodniej sukni.

– Klaro, niedawno poprosiłem waszych rodziców o waszą rękę – oświadczył bez ogródek. – Nie znam na razie ich zdania, ale ważniejsza od ich zgody jest dla mnie wasza. Dlatego pytam was: czy zechcecie zostać moją małżonką?

Klara patrzyła na niego przez chwilę z zakłopotaniem. Następnie odgarnęła z twarzy nieistniejący kosmyk włosów i cofnęła się o pół kroku.

– Nie możecie mnie poślubić – rzekła, dokładając starań, by na jej twarzy nie odmalował się żal, jaki czuła, mówiąc te słowa. – Musicie wybrać na żonę Juttę z Turyngii, inaczej Weissenfels wpadnie w ręce waszego brata i zginie wielu ludzi.

– Wybrać... Jeśli wolno mi wybrać, wybieram was! – upierał się Dytryk i zbliżył się do niej. – Wciąż was kocham, mocniej niż kiedykolwiek... Tęskniłem za wami tak bardzo, że nie obchodzi mnie, co inni sobie pomyślą, jeśli nie poślubię księżniczki ani hrabiny, tylko córkę rycerza. Czy już mnie nie kochacie?

Nie odpowiadała, więc zapytał niemal z rozpaczą:

– Cóż uczynił Rajnhard, że wasze serce nadal przy nim trwa?

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale zatrzymał się w odległości łokcia.

Klara z wahaniem zebrała w sobie całą odwagę, obiema rękami chwyciła jego dłoń i pocałowała ją tak delikatnie, że ledwo poczuł dotyk jej ust... następnie go puściła, bardzo powoli opuściła ramiona i cofnęła się o pół kroku.

– Kocham was... wciąż, bardziej niż kiedykolwiek – odezwała się cicho. – Lecz nie mówcie mi o ślubie, to nie do pomyslenia. Trzeba wam przyjąć propozycję landgrafa z Turyngii.

Kochała go! Te słowa wprawiły Dytryka w takie szczęście, że resztę najchętniej puściłby mimo uszu.

– Landgraf z Turyngii przedstawi mi inną ofertę, gdy się dowie, że jestem już zaręczony – powiedział pewnym głosem.

– Nie, wasza wysokość, nie zrobi tego... Musicie się zaręczyć z Juttą, wiecie o tym równie dobrze jak ja – nie ustępowała Klara.

Podszedł bliżej, ujął ją za rękę i spojrzał na nią w ten sposób, że omal nie pękło jej serce.

– Klaro, nie bójcie się o to, co inni powiedzą! Wiem, każdy oczekuje, że pojmę za żonę księżącą córkę... choćby małą Juttę. Jesteś nieprzeciętnie mądra i dzielna. Dasz sobie radę u mego boku i masz moje słowo, że obronię cię przed każdym, kto zechce ci wytknąć twoje pochodzenie!

Ponieważ uparcie milczała, Dytryk mówił, aż wyrzucił z siebie wszystko, co podczas długich nocy nie dawało mu spokoju.

– Przez cały czas na wojnie, gdy bez wody i jedzenia przemierzaliśmy wrogie pustynie, gdy

prorowadziliśmy pozbawione nadziei bitwy i ludzie umierali mi jeden za drugim... tylko jedna myśl trzymała mnie przy życiu, myśl o spotkaniu ciebie, Klaro, o zamknięciu cię w objęciach jako mojej małżonki. Teraz znów muszę wysłać ludzi do walki, być może równie bezsensownej. Oczekują ode mnie cudu. Twierdza jest przepełniona, moi ludzie nie zebrali dość zapasów ani żołnierzy, byśmy mogli być spokojni w obecnej sytuacji. Kocham cię i chcę cię mieć u swego boku! Potrzebuję cię, by znów nie zawieść.

– Do tego potrzebujecie nie mnie, ale potężnego teścia – zaprotestowała Klara twardym głosem, chociaż jej serce krwawiło. – Ślubem poniżej swego stanu jeszcze bardziej osłabicie swą pozycję. Wtedy nie tylko wasz brat sięgnie po tę ziemię. Macie zobowiązanie wobec poddanych.

Dytryk patrzył w twarz Klary. Gdy jej słowa nareszcie do niego dotarły, opanował się i wypuścił jej dłonie.

– Wybaczcie, że na was napierałem i zabrałem wam czas. Strażnik odprowadzi was bezpiecznie do waszej komnaty.

Ton jego głosu stał się nagle chłodny. Przed chwilą uczynił z siebie głupca, zatem wolał teraz ukryć swe bezgraniczne rozczarowanie.

Dytryk zwrócił się już do drzwi, gdy Klara go cicho zawołała:

– Nie odrzucam was. Kocham was. Ponad wszystko... i bez jakichkolwiek warunków.

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Bez jakichkolwiek warunków? Co miała na myśli?

– Musicie się zaręczyć z Juttą z Turynгии, by tutejsi mieszkańcy nie postradali życia. Jednakże do czasu zawarcia małżeństwa, które odbędzie się dopiero za kilka lat, gotowa jestem... jeśli w ten sposób łatwiej wam będzie podjąć decyzję...

Jej palce znów wczepiły się w tkaninę sukni.

– ...Oddać się wam. Nie jako małżonka, to niemożliwe, lecz jako wasza kochanka.

Wreszcie wyrzuciła to z siebie. Nawet nie spuściła głowy, tylko patrzyła mu prosto w oczy.

– Jestem gotowa przyjąć na siebie konsekwencje.

– Klaro – powiedział całkowicie rozbrojony, łapiąc powietrze. – Sądzisz, że pozwoliłbym, byś okryła się hańbą? Choć bardzo cię pragnę i marzę o tym... Jak mógłbym spojrzeć w oczy twemu ojcu na tamtym świecie? Czy miałbym twej matce i ojczymowi tak odpłacić za ich wierność, by ludzie mówili o tobie, jako o mej... dziwce?

– Jesteście książęcym synem, nikt nie będzie miał wam za złe, jeśli weźmiecie sobie towarzyszkę zabaw do czasu, aż wasza narzeczona osiągnie odpowiedni wiek i zawrzecie małżeństwo. I nikt się nie odważy w waszej obecności nazwać mnie dziwką. Nie sądzę, by Bóg karał tych, którzy z całego serca kochają. Lecz jedno wiem na pewno: życie może się zakończyć w każdej chwili. Tak umarł mój ojciec, tak umarł mój mąż i tak umarli wasi ludzie na wojnie. I jeśli nie odeprzecie ataku brata, wówczas on zgładzi również całą moją rodzinę.

Dytryk był głęboko poruszony i szukał właściwych słów.

– Potępiacie mnie? Uważacie, że nie jestem cnotliwa? – spytała bardziej zmartwiona niż speszona. – Żaden mężczyzna poza mym prawowitym małżonkiem, który od dawna nie żyje, nigdy mnie nie dotknął. I żadnemu poza wami bym na to nigdy nie zezwoliła.

Powoli podszedł do niej, ujął jej głowę w obie dłonie i pocałował ją w czoło.

– Klaro, tak bardzo za tobą tęsknię – wyszeptał. Najchętniej przycisnąłby ją do siebie i zaniósł na rękach do łóża. – Ale nie mogę tego uczynić. Nie mogę ci tego zrobić. To tak, jakbym rzucił cię lwom na pożarcie.

Puścił ją, po czym za rękę poprowadził do drzwi.

– Jedźcie jutro do Eisenach i przyprowadźcie wsparcie – powiedziała z większym zdecydowaniem,

niż naprawdę czuła.

Z bijącym sercem i spuszczoną głową wyszła na zewnątrz. Nie chciał jej. Czy teraz będzie o niej źle myślał, potępi ją? Zatem po bitwie będzie musiała wyjechać z Weissenfels. Nie będzie potrafiła przebywać w tym samym miejscu co Dytryk i ciągle go spotykać.

Albrecht też nie spał tej nocy. Siedział w towarzystwie marszałka i stolnika. Tłusty cześnik poprosił o pozwolenie udania się na spoczynek po trudach podróży i grabieżach. Gerald z ponurą miną patrzył przed siebie, nie odzywając się ani słowem. Jedyne Elmar zdawał się naprawdę szczęśliwy i razem z księciem kielich po kielichu wychylał trunek, który zdawał się na niego zupełnie nie działać.

„A przecież ten zafajdany astrolog doprawdy miał z czego czytać” – pomyślał złośliwie, spoglądając w niebo widoczne przez szczelinę przy wejściu do namiotu rozstawionego przez wojów. Jednakże alchemik odmówił udziału w wyprawie wojennej, zasłaniając się wiekiem i nadszarpniętym zdrowiem. Ale Elmar w najmniejszym stopniu za nim nie tęsknił. Nareszcie księżę słuchał tylko jego. Najlepsza sposobność, by przypomnieć, że był niezastąpiony.

– Może powinniście wysłać jutro negocjatora do zamku – rzucił propozycję.

– Po co? – odparł pogardliwie Albrecht. – Nie będzie pardonu. Będziemy ich oblegali, dopóki nie zaczną gotować i żreć własnych trzewików. Przyjdzie czas, że sami się przyczołgają z błaganiem o litość.

– Z pewnością. Ale jeśli się dowiedzą, że za kilka dni ściągniemy posiłki, mogą się od razu poddać. Ponadto...

Przeciągał kolejne słowa, by wzbudzić w księciu zainteresowanie. Albrecht znał go na tyle, by wiedzieć, że mógł się teraz spodziewać jakiejś szczególnie perfidnej propozycji.

– Mamy kogoś, kto wyjątkowo dobrze by się do tego nadał. Muldentalczyk...

Albrecht rzucił poplecznikowi nieprzychylnie spojrzenie.

– Jeśli wyślemy go do mojego brata, nigdy więcej go nie ujrzymy – odwarknął. – Nie zamierzam wysyłać przeciwnikowi wsparcia, nawet jeśli miałby to być tylko jeden człowiek.

Zresztą wymienionego człowieka zabrał ze sobą jedynie po to, by nie spiskował przeciwko niemu, i kazał go bacznie pilnować.

– Wróci, przecież zagroziliście, że każecie zadźgać jego żonę, gdyby okazał wam nielojalność – zapewnił spokojnie Elmar.

Albrecht popatrzył na niego nieufnie.

– A jaki plan skrywacie pod tą propozycją? Macie nadzieję, że ludzie mego brata go ustrzelą?

Elmar roześmiał się zarozumiale i podkreślił końcówki wąsów.

– Nie ponieśliśmy straty. Ale mam coś innego na myśli. Syn Muldentalczyka z całą pewnością uciekł wtedy do cesarza razem z chryścianowczykiem. Dzisiaj przy brodzie go nie było. Czyż nie mówiono, że wasz brat wrócił z jednym człowiekiem?

– Godne pożałowania! – prychnął z pogardą Albrecht. Ale po chwili pojał.

– Rzeczywiście! – potwierdził stolnik, zauważywszy lekki błysk na twarzy rozmówcy. – Wiadomość, że jego jedyny syn zginął marnie pod dowództwem waszego brata, powinna wam raczej zapewnić jego wierność, nie niechęć.

## Wyzwanie

Rano, zaraz po porannej mszy w przepelnionej twierdzy, Dytryk zaprosił do swej komnaty wojskowych

doradców. Norberta, Łukasza i ich synów oraz zarządcę Gotfryda. Na razie nie ogłosił decyzji, w skrytości serca bowiem nadal miał nadzieję, że uda mu się uniknąć nieuniknionego.

Poprzedniego wieczora Łukasz i Norbert ułożyli plan, jak niewielka grupa jeźdźców mogłaby opuścić zamek przez sekretną, wąską furtkę w murze, niezauważona przez oblegających. Od furtki prowadziła ledwie widoczna, wąska i stroma ścieżka, po której musieliby pieszo sprowadzić konie za uzdy.

– Poślę przodem tuzin uzbrojonych ludzi, którzy oczyszczą wam drogę z wrogich patrolów – zapewnił właśnie Norbert.

– Ja tymczasem wezmę kilku mężczyzn i postaramy się odwrócić uwagę we wrogim obozie i zając Miśnieńczyków – oświadczył Tomasz, a ukontentowany uśmiech jego ojczyrna wskazywał, że wpadli na jakiś naprawdę niecodzienny pomysł.

Teraz wszyscy patrzyli wyczekująco na swego dowódcę w nadziei, że wyrazi zgodę i bez zwłoki wyruszy do Turynii.

„Zatem stanę przed Hermanem jak petent, a on będzie się delektował tą chwilą – pomyślał Dytryk z rozgoryczeniem. – Nie udało mi się dotrzymać ślubów krzyżowca, a teraz zamek... Stoję przed Bogiem i światem... Zmuszony pogrzebać wszelką nadzieję na miłość. W każdej chwili mógłbym sobie sprowadzić jakąś urodziwą dziewczkę do łoża, czy nawet córkę ministeriała<sup>8</sup>, ale nie Klarę.

Jak mógłbym kiedykolwiek spojrzeć Łukaszowi w oczy? Albo jej matce? Mam zbyt mało wiernych, zaufanych ludzi, by ryzykować utratę choćby jednego z nich. A ponadto honor to zaiste ostatnia rzecz, która mi jeszcze została”.

Dudniące kroki zbliżające się po schodach na górę wyrwały go z niemiłych rozważań. Do komnaty wszedł młody serwient i jeszcze nim zdążył uklęknąć, zawołał:

– Margrabia przysłał nam negocjatora!

– Jest już przy bramie? – zainteresował się Norbert.

– Za pozwoleniem, chętnie przyjrzałbym się jego wysłannikowi – poprosił Łukasz, po czym zwrócił się do pasierba. – Pójdiesz ze mną?

O ile negocjator nie wstąpił dopiero niedawno do służby Albrechta, powinni go znać, a na podstawie wyboru posłańca będą mogli wyciągnąć wnioski dotyczące wiadomości, a także zdecydować, czy go wpuszczą, czy też będą pertraktować przez bramę.

– Pójdę z wami. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia – postanowił Dytryk.

Wstali i razem poszli w kierunku domu bramnego. W głównej sali i na dziedzińcu kilku pacholków i dziewczek służących rozdawało owsiankę. Wszędzie naokoło stali lub siedzieli ludzie i jedli. Każdy miał przy sobie własną łyżkę, a kto nie miał miski, dzielił naczynie z kilkoma towarzyszami. We frontowej części sali i pod gankami obronnymi posilali się też strażnicy, którzy akurat nie stali na warcie. Ich liczba była niezmiernie ograniczona w stosunku do liczby ludzi przebywających obecnie na zamku.

Cizba rozstąpiła się pod zdecydowanym spojrzeniem dowódców, którzy długim krokiem przemierzili dziedziniec.

Łukasz pobiegł schodami na wieżę, przeskakując po dwa stopnie, by szybko rozejrzeć się po okolicy. Zdawało się, że nie czuł wcale ciężaru kolczugi. Już po koniu rozpoznał przybyłego wysłannika. Tomasz także. Poczł się tak, jakby ze wstydu i żalu miał się zapaść pod ziemię.

– Margrabia pozwoli wszystkim pójść wolno, jeśli jeszcze dziś przekazecie mu twierdzę. Wyznaczył wam termin do zachodu słońca – zawołał do góry Rajmund z Muldental.

Łukasz zwrócił się do Dytryka i powiedział cicho:

– Musieli mieć coś na myśli, skoro wybrali akurat Rajmunda do przekazania tej wiadomości... Podstęp... a może ukryte przesłanie. Chętnie bym się dowiedział, co jest na rzeczy. Może zechce się do nas przyłączyć?

– Wpuśćcie go do środka! – rozkazał hrabia.

Znał Rajmunda od czasów, gdy sam był jeszcze giermkim. Mąż Elżbiety był najlepszym przyjacielem Chrystiana, jego mistrza. A teraz miał mu powiedzieć, że poległ jego jedyny syn.

Minęło trochę czasu, nim opuszczono most i odryglowano podwójnie zabezpieczoną bramę. Rajmund schylił głowę i przejechał pod uniesioną do połowy kratą, która została za nim natychmiast z powrotem opuszczona. Pół tuzina uzbrojonych mężczyzn otoczyło przybysza, ale Łukasz ich odesłał.

– Jeśli pozwolicie, na początku porozmawiam z nim chwilę w cztery oczy – powiedział do Dytryka, a jego ponura mina nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, że chodziło mu o żalobną wiadomość, którą musiał przekazać wysłannikowi wroga. Tomasz chciał zaprotestować, uważał bowiem, że było to jego gorzkim obowiązkiem, ale ojczym jednym spojrzeniem zmusił go do milczenia. Wcześniej Łukasz zdążył się już zapoznać ze wszystkimi szczegółami towarzyszącymi tragicznej śmierci Rolanda.

Rajmund zsiadł z konia. Łukasz położył przyjacielowi rękę na ramieniu i odciągnął go parę kroków na bok, by mogli porozmawiać bez świadków. W tym miejscu nikt z ludzi Albrechta nie mógł ich zobaczyć, chociaż przeciwległe wzniesienie górowało nad twierdzą.

Ludzie na zamkowym dziedzińcu, którzy ich obserwowali, mieli wrażenie, jakby Rajmund został uderzony młotem. Zatoczył się, ale Łukasz go podtrzymał i dalej przemawiał doń ściszonego głosem.

Rajmund potarł dłonią kredowobiałą twarz.

– To dlatego Albrecht wysłał właśnie mnie – odezwał się, czując łyż podchodzące do oczu. – Sądzę, że chciał mnie skłonić do zdrady. Wówczas mógłby zarekwirować moje dobra... Moje konie już ma... Ale wtedy zabiłby Elżbietę! Jak mam jej o tym powiedzieć? Serce jej pęknie...

– Może pocieszy cię fakt, że nie cierpiał długo... I wszystkie grzechy zostały mu odpuszczone, ma prawo wstąpić przed oblicze naszego Zbawiciela – powiedział Łukasz, z trudem dobierając słowa. Wiedział, że niczym nie zdoła pocieszyć przyjaciela.

Rajmund co chwila przecierał twarz, próbując zebrać się w sobie.

– Powiniennem wypełnić swoje zadanie...

Zamrugnął powiekami, żeby odzyskać ostrość widzenia, a następnie podszedł do Dytryka i opadł przed nim na kolana.

– Wstańcie i chodźcie ze mną do mojej komnaty, gdzie przekażecie nam wiadomości – rzekł hrabia i kazał podać wysłannikowi coś do picia.

Sprawy, które mieli do omówienia, nie były przeznaczone dla wszystkich uszu. W twierdzy i tak krążyło już zbyt wiele plotek.

– Oddałbym całe swoje srebro za to, by móc przyprowadzić ze sobą waszego syna z Ziemi Świętej – powiedział po drodze cicho do Rajmunda i nie były to jedynie słowa. – Był jednym z moich najdzielniejszych ludzi, tak często ryzykował życie... A później poległ, akurat ostatniego dnia, pod Akką.

Rajmund chciał coś odpowiedzieć, ale miał ściśnięte gardło. Był wdzięczny za czas, który zyskał po drodze do pałacu i na schodach.

W pokoju zebrał wszystkie siły i jeszcze raz powtórzył wiadomość:

– Albrecht pozwoli odejść wolno z twierdzy kobietom, dzieciom i mężczyznom bez broni, jeśli poddacie Weissenfels przed zapadnięciem zmroku.

– Chcecie powiedzieć, to, co zostało jeszcze z Weissenfels? – spytał Dytryk z lodowatą miną. – A co, jeśli nie oddam bratu dobrowolnie zamku? Nie zdobędzie go tak szybko, a lada chwila nadciągnie zima.

– Czy kazali ci zagrozić, że za kilka dni nadejdą posiłki? – zainteresował się Łukasz.

Rajmund nie okazał najmniejszego zdziwienia, że przyjaciel o tym wiedział. To oczywiste, że wysłali zwiadowców, a ludzie Albrechta przechwalali się na cały głos.

– Mam wam przekazać, że nie macie szans – odparł przybity. – Albo się zaraz poddacie i będziecie



mogli odejść wolno, albo zostanieie zniszczeni. To słowa waszego brata.

– Zakładam, że oferta mego brata mnie nie obejmuje – odezwał się zimno Dytryk. – I nie pozwoli odejść bez szwanku moim ludziom. Nigdy nie był dobry w dotrzymywaniu słowa. Wracajcie do obozu, Rajmundzie. Przekażcie, że mam dla nich kontrpropozycję. Wyzywam Albrechta na pojedynek na miecze, zaraz tu, przed samą bramą. Zwycięzca będzie władcą Weissenfels.

Nieoczekiwana propozycja Dytryka wzbudziła poruszenie wśród jego ludzi. Ale nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, Dytryk jednym gestem uciął wszelkie dyskusje.

– Nie mam zamiaru tego roztrząsać. Rajmund przekaze propozycję memu bratu. Teraz, od razu. Będzie ważna do chwili, aż kolejny raz odezwą się dzwony.

Rycerz z Muldental się podniósł.

– Nie zgodzi się na to, wasza wysokość. Jest bardzo pewny swego – rzucił na odchodnym.

– Muszę przynajmniej spróbować, by oszczędzić życie ludzi, których mam pod opieką – odrzekł Dytryk. – A jeśli zechcecie mi zrobić osobistą przysługę, to przynieście szybko odpowiedź. Tak szybko, jak będziecie mogli.

Dopiero gdy za Rajmundem zamknęły się drzwi, Dytryk odezwał się do swoich ludzi:

– Teraz możecie wypowiedzieć swoje wątpliwości.

– Nie wolno wam ryzykować pojedynku! – wypalił natychmiast Norbert.

– Czyżbyście mieli tak mało zaufania do mej zręczności? Obawiacie się, że mógłbym przegrać i wszyscy zostaliby zabici? – spytał Dytryk niemal z kpina.

– Boję się, że spróbują was zwabić w pułapkę i zabić – sprostował z naciskiem szczupły komendant. – Sami twierdzicie, że waszemu bratu nie można zaufać. Kto by mu przeszkodził, gdyby kazał swoim otoczyć was i zakłuć?

– Poza tym tracicie czas, wasza wysokość! – upomniął zarządca. – Jeśli chcecie zdążyć z Turyńczykami przed nadejściem wsparcia z Miśni, musicie niezwłocznie ruszać. Co będzie, jeśli pojedziecie, a margrabia jednak przystanie na wasze żądanie? Zarzuci wam tchórzostwo, jeśli się nie stawicie.

– Dlatego prosiłem Rajmunda o pilną odpowiedź – przypomniał Dytryk. – Jeśli mój brat przyjmie wyzwanie, wówczas od razu dokonamy rozstrzygnięcia raz na zawsze i oszczędzimy życie wielu ludzi. Jeśli odmówi, pojedę do Turyngii, tak jak zaplanowaliśmy.

– Nigdy się nie zgodzi na pojedynek – stwierdził Tomasz z pogardą. – Po co miałby się wystawiać na takie niebezpieczeństwo? Wie, kogo mieliście za mistrza, kto was uczył, i zna waszą sławę, którą okryliście się w walkach. Nie dajcie mu okazji do przygotowania zasadzki – zaklinał dowódcę młody rycerz, unosząc do góry rękę.

– Nie byłbym taki pewny – odezwał się ku ogólnemu zaskoczeniu Łukasz. – Oczywiście, że należy się obawiać zasadzki i odpowiednio się przygotować. Ale Albrecht nie jest tchórzem. Wręcz przeciwnie. Ma skłonności do bezkrytycznego przeceniania własnej osoby i głęboko wierzy we własną nieomyślność. Propozycja może być dla niego kusząca, mógłby się od razu was pozbyć, a do tego w pojedynku, na który sami go wyzwaliście. Gdyby się nie udało, to będzie miał w odwodzie swoich popleczników. Będziemy musieli utrzymać ich w ryzach.

Ze wszystkich rycerzy zebranych w izbie chyba tylko Łukasz zdawał sobie sprawę, na co Dytryk się porywał i dlaczego to robił. Albrecht często podejmował decyzje pod wpływem impulsu, a wizja, że jeszcze przed południem mógłby zagarnąć posiadłości Dytryka i ostatecznie usunąć sobie z drogi młodszego brata, mogła stanowić dlań wystarczającą pokusę, by skłonić go do udziału w pojedynku.

Łukasz spokojnie wstał.

– Czy mogę wam pomóc w rozgrzewce?

– To najlepsza propozycja, jaka padła tego ranka! – zgodził się Dytryk z ulgą, zadowolony, że Łukasz myślał tak samo jak on i pragnął go wesprzeć. Sam również się podniósł i chwycił za miecz.

– Pozostali niech tymczasem wypatrują posłańca. I poczyńcie wszelkie przygotowania na wyjazd do Eisenach.

Znalezienie miejsca do ćwiczebnego pojedynku dla obu mężczyzn nie było prostą sprawą. Izby były zbyt niskie, więc nie mogli wziąć odpowiedniego rozmachu od góry, dziedzińiec zaś i główna sala były nie tylko przepełnione, ale wzbudziłyby tam niemałe zainteresowanie. Niemniej jednak czas naglił, zatem Łukasz zdecydował szybko, by usunąć wszystkich z sali. Założywszy napierśniki i misiurki, przyjęli pozycję naprzeciwko siebie. Każdy z nich miał na sobie przeszywanicę i kolczugę. Uzgodnili, że zrezygnują z tarcz.

Łukasz poczekał, aż Dytryk pierwszy zada cios. Bardzo był ciekaw, jak jego dawny wychowanek radził sobie obecnie w walce. Razem z Chrystianem dali Dytrykowi bezwzględna szkołę, o wiele bardziej rygorystyczną niż ta, którą się zwykle przewiduje dla giermków. To zapewniało największe szanse na przeżycie.

Walka toczyła się błyskawicznie, w tym tempie oko niedoświadczony w sztuce wojennej nie byłoby w stanie wyłapać szczegółów.

Raz jeden, innym razem drugi zdawał się przechylać szalę zwycięstwa na swoją stronę. Ale w końcu każdy z nich zręcznie się wywijał ze wszystkich sytuacji, które postronnym obserwatorom mogły się wydawać bez wyjścia.

– Chrystian byłby z was dumny! – pochwalił z szerokim uśmiechem Łukasz podczas przerwy. – Nawet jeśli duma jest grzesznym uczuciem. Na wszystkich świętych, spociłem się przez was... Chyba się starzeję.

– Nie, z całą pewnością nie, jesteście równie szybcy jak zwykle – zaproponował Dytryk z całego serca. – Jestem zaszczycony, że byłem uczniem waszym i Chrystiana.

Rzucił okiem w stronę wejścia do głównej sali. Najstarszy syn Norberta zbliżał się do nich szybkim krokiem.

– Dowiedzmy się, czy mój brat przyjął wyzwanie.

Razem pospieszyli z powrotem do bramy. Tym razem było jasne, że posłaniec nie zostanie wpuszczony do środka. Krótką wiadomość, „tak” albo „nie”, mógł spokojnie przekazać, stojąc po drugiej stronie.

Albrecht był tak samo zaskoczony propozycją brata, jak wszyscy jego rycerze.

– Może powinienem przyjąć wyzwanie, zyskamy na czasie i nie będziemy się musieli później tłumaczyć – podsumował uradowany, wysłuchawszy lakonicznego sprawozdania Rajmunda.

Elmar pokręcił głową.

– Wasz brat chce walczyć od razu, z miejsca, zatem coś się musi za tym kryć. Dlaczego nie poczeka do wieczora? Może skończyło im się pożywienie w zamku. A może z jakiegoś innego powodu nie może utrzymać ludzi w ryzach...

Stolnik przymrużył oczy i spojrzał w stronę jasnej skały.

– Tam jest coś na rzeczy. Ciekawe, może przyjrzymy się spokojnie rozwojowi wypadków?

– Z największą przyjemnością obciąłbym mu głowę – rzucił Albrecht, targany wątpliwościami, czy powinien przyjąć wyzwanie, czy też nie.

Nie obawiał się młodszego brata. Niemniej jednak wczorajszej nocy sporo wypił i bolała go głowa. Może Dytryk właśnie z tego powodu chciał podjąć walkę natychmiast?

Nieufnie spojrzał na Rajmunda.

– Co im powiedzieliście? – warknął do niego.

– Nic poza tym, co mi zleciliście, przysięgam na wszystkie świętości! Później zaraz mnie odesłali. Ludzie waszego brata sami byli zaskoczeni ofertą i zdaje się, że uznali ją za niebezpieczną – odrzekł Rajmund, starając się nie powiedzieć zbyt wiele, by nie zaszkodzić przyjaciołom.

Elmar przywołał gestem Geralda.

– Jestem pewien, że coś przed nami zataił. Wyciągnijcie od niego kijem całą resztę, a później zakujcie go w łańcuchy.

Gerald złapał rycerza za ramię i popchnął go do swego namiotu. Później przywołał do siebie dwóch mężczyzn. Tym zdrajcą nie zamierzał brudzić sobie rąk.

– Zdaje się, że tym razem powinienem osobiście pojechać do bramy – oznajmił Elmar, zacierając ręce.  
– Sądzę, że uda mi się dowiedzieć czegoś interesującego.

Rozkazał giermkowi szybko osiodłać dla siebie konia, a następnie skłonił się Albrechtowi i pogalopował ku twierdzy.

Przed zwodzonym mostem Elmar odchylił głowę do góry na tyle, na ile pozwolił mu żelazny hełm.

– To wasza ostatnia szansa. Do zachodu słońca macie czas, żeby poddać zamek margrabiemu Miśni. W przeciwnym razie weźmiecie na siebie winę za przelew krwi niewinnych ludzi.

„Niektórych nie będzie żal, szczególnie tego koniokrada obok ciebie” – pomyślał stolnik, rozpoznawszy Tomasza. Ale nie powiedział tego na głos, nie chciał rozdrażnić przeciwnika, zamierzał go zastraszyć. Chciał wykorzystać jego najskrytsze rozterki i poruszyć jego sumienie. Dytryk bowiem posiadał takowe, jeśli dać wiarę wszystkiemu, co o nim słyszał.

– Dlaczego margrabia odrzuca rozstrzygający pojedynek? – krzyknął z góry Norbert.

Elmar roześmiał się szyderczo.

– Sądzicie, że się boi swego młodszego brata? Wynik od dawna jest już rozstrzygnięty. Powinniście natychmiast otworzyć bramę i opuścić twierdzę, póki jeszcze możecie to uczynić. Każdy dzień zwłoki pogarsza warunki kapitulacji, i to znacząco.

Dytryk, nie odpowiedziałszy ani słowem, odwrócił się do Elmara plecami i kazał ludziom pójść za sobą. Uważali, by wróg nie zauważył Łukasza. Jeden obok drugiego zeszli schodami z obronnego ganku.

– A więc decyzja została podjęta – oświadczył Dytryk. – Łukasz i ja ruszamy natychmiast do Eisenach. Nie, nikt z nami nie pojedzie – uprzedził protesty. – Tylko my dwaj, dzięki temu będziemy szybsi i mniej zwrócimy na siebie uwagę. A na zamku potrzeba każdego wojownika. Niech mój brat sądzi, że siedzę w twierdzy i nie mogę podjąć decyzji. Weźcie go na przetrzymanie, jeśli ponownie przyśle posła, zyskujcie na czasie. Z Bożą opieką, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, szóstego dnia zjawię się z powrotem. Obserwujcie południowy kierunek i czekajcie, dam znak ogniem. Wtedy zaatakujemy nieprzyjacielski obóz z dwóch stron.

Norbert i jego synowie z aprobatą skinęli głowami.

– Sekretna ścieżka jest pusta – powiedział. – Pół tuzina ludzi czeka w gotowości, by dać wam eskortę.

Dytryk odrzucił także i tę propozycję.

– Wystarczy, jeśli będą jechali w pewnej odległości i zatrzymają patrole do chwili, aż opuścimy okolicę.

Następnie zwrócił się do Tomasza.

– Być może nie będziemy musieli odwracać uwagi wroga. Wolałbym, byście byli bezpieczni. Niech myślą, że zastraszeni siedzimy w gromadzie i nie możemy się na nic zdecydować.

– W ten sposób sprawicie ogromny zawód moim dwóm rodakom – odrzekł z ubolewaniem Tomasz. – To nawet nie będzie wyglądało na atak, a jedynie godny ubolewania wypadek z naturalnego powodu, którego z serca im życzę.

– Wobec tegomówcie! – pozwolił Dytryk, nie chcąc psuć zabawy freiberczykowi. Miał już swoje

przypuszczenie, kim mogli być owi rodacy.

W rzeczy samej, na zawołanie Łukasza przyszli Kuno i Bertram, niosąc ze sobą jakiś nieforemny przedmiot okryty sukniem.

– Pszczoły, wasza wysokość – zdradził czarnowłosa Kuno z nieukrywanym entuzjazmem. – Wymkniemy się na zewnątrz, wdrapiemy na drzewo w pobliżu obozu i wrzucimy do środka rój. Solidnie się wściekną, pszczoły oczywiście...

– I przez jakiś czas nikt nie będzie miał głowy się wami zajmować – zapewnił Bertram.

Dytryk przyjrzał się obu freiberczykom, których znał dość dobrze, by zaufać, iż wyjdą z awantury cało i zdrowo.

– Niech będzie – zgodził się. – A jeśli nadarzy się okazja, poszukajcie Rajmunda z Muldental. Może potrzebuje pomocy.

Wszystkie zadania zostały rozdzielone, omówili najważniejsze sprawy. Teraz liczyła się każda chwila. Konie dla Dytryka i Łukasza czekały osiodłane, a jeden z wywiadowców właśnie dał sygnał, że mieli wolną drogę.

– Bądźcie czujni. Sześć dni! Zdaję się na was – powiedział Dytryk z naciskiem do Norberta i Tomasza.

Podeszła do nich Marta. Przygotowała prowiant dla każdego z jeźdźców, lniane płótno do spania i wszystko, czego mogli po drodze potrzebować. Nie mieli czasu na szukanie noclegów, jeśli zamierzali w porę dojechać na miejsce.

– Niech was Bóg chroni – pobłogosławiła. – I sprawi, by landgraf podjął szybkie działania.

Nie mogąc powstrzymać impulsu, rzuciła się Łukaszowi na szyję. Wiedziała, że od żony rycerza oczekiwano opanowania, gdy wyprawiała małżonka w daleką drogę, szczególnie gdy nad ich głowami wisiała wojna. Ale nigdy nie była w tym dobra.

Szybko uwolniła go z objęć, by nie zawstydzić go jeszcze bardziej. Łukasz posłał jej uśmiech pełen otuchy, po którym poznała, że chętnie pożegnałby się z nią czulej. Już to wcześniej uczynili, jednakże była to wyłącznie ich sprawa.

Łukasz również miał świadomość, że to nie był odpowiedni moment na żarty. Nawet jeśli Herman dotrzyma słowa i rzeczywiście uda im się za sześć dni wrócić z dwoma setkami Turyńczyków, jeszcze nim Albrecht otrzyma wsparcie z Miśni, to i tak czekała ich ciężka walka twarzą w twarz z przeciwnikiem, którego wyniku nie można było przewidzieć.

A jeśli nie dotrą na czas albo wrócą bez posiłków, wówczas los ludzi w twierdzy będzie ostatecznie przesądzony.

– Bądź silna i miej oczy otwarte – szepnął jej do ucha, całując ją przelotnie w policzek. – Gdzieś tutaj ukrył się zdrajca... co najmniej jeden. Zawsze i wszędzie jakiś się znajdzie.

Marta skinęła, a Łukasz zwrócił się do pasierba.

– Opiekuj się matką i siostrą – polecił. – Zdaję się na ciebie.

Na twarzy Tomasza, zadowolonego z pochwały ojczyma, pokazał się cień uśmiechu, który od czasu powrotu z krucjaty jeszcze na niej nie gościł.

– Niech Bóg ma was w opiece! – powiedział do Łukasza i Dytryka. – Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie rozpędzimy to tałatajstwo – dodał, wskazując głową twierdzę powstającą na przeciwległym wzniesieniu.

Dytryk nie odezwał się ani słowem, gdy jego towarzysz zęgnął się z żoną i z pasierbem.

Dyskretnie rozglądał się za Klarą, ale nigdzie nie było jej widać. Tutaj, publicznie, przy jej rodzicach i bracie i tak nie mógłby z nią swobodnie rozmawiać. Ale bardzo chciał ją jeszcze raz zobaczyć, ostatni raz, nim będzie musiał zrezygnować z niej na zawsze. Wytłumaczyć jej swe postępowanie.

Przerażone wrzaski dochodzące z nieprzyjacielskiego obozu oznajmiły im, że Kunonowi i Bertramowi

udało się celnie wypuścić ładunek w postaci rozwścieczonych pszczół.

Dytryk zerknął na Łukasza, który w odpowiedzi skinął głową i chwycił cugle swojego konia. Należało ruszać. Nie zważając na bezmiar swego cierpienia, Dytryk musiał przyjąć turyńską ofertę. Pojawienie się Rajmunda dodatkowo umocniło go w tym przekonaniu. Nie chciał po raz drugi oglądać twarzy zrozpaczonego ojca, któremu musiałby przekazać wiadomość o śmierci jego jedyne syna.

## *Matka i córka*

Marta i Klara stały na murze w przeciwległej części zamku i patrzyły w stronę, z której spodziewały się nadejścia Łukasza i Dytryka. Od czasu do czasu którejś z nich się wydawało, że między gałęziami dostrzegła skrawek sierści konia albo błysk miecza. Ale najwyraźniej były to jedynie obrazy podsuwane przez wyobraźnię. Wyobraźnię lub nadzieję na ponowne ujście ukochanego mężczyzny.

– Wróć? – spytała Klara.

Marta wiedziała, że córka nie czekała na kilka zwykłych słów pocieszenia, chciała usłyszeć to, co naprawdę myślała, czuła, co wiedziała.

– Tak – odparła, odczuwając taką samą tęsknotę jak Klara. – Albo Dytryk przyjedzie jako narzeczony Jutty z wojskiem, albo sam z Łukaszem. Wówczas będziemy mieli przed sobą bitwę, która będzie dla nas z góry przegrana i skończy się krwawą rzezią. Nie ma wyboru, jeśli nie chce wziąć na siebie winy za śmierć kolejnych ludzi. Nie możesz mieć mu tego za złe.

Marta usadowiła się na ziemi, podciągnęła kolana i objęła nogi ramionami.

Klara ze zdziwieniem popatrzyła na matkę, która zazwyczaj nie potrafiła usiedzieć w spokoju. Chorzy byli opatrzeni. Rano zdecydowały, że młodemu serwientowi nie odejmą jednak ręki. Gospodarstwem na razie zajmowali się mężczyźni i Gertruda, która tymczasem jako tako doszła do siebie. Mała Anna spała pod opieką troskliwej piastunki. Niewykluczone, że w obliczu nieuchronnie zbliżającej się bitwy miały teraz jedyną okazję, by z sobą porozmawiać.

Klara usiadła zatem obok matki i czekała, aż ta rozpocznie rozmowę. Zdawała sobie sprawę, że będą mówiły o Dytryku. Jej dusza była rozerwana. Miała ochotę się zwierzyć, ale obawiała się, że matka ze wszystkich sił będzie się starała odwieść ją od tego pomysłu.

– Dytryk poprosił Łukasza o twoją rękę – zaczęła Marta z wahaniem, jakby czytając w myślach córki.  
– Ku wielkiemu rozczarowaniu i sprzeciwowi Łukasza.

– Powiedziałałam hrabiemu Dytrykowi, że to niemożliwe, że musi się ożenić z Juttą z Turyngii – odrzekła cierpko Klara.

– Wiem – powiedziała spokojnie Marta. – On nie chce Jutty. Ale wreszcie musi zrozumieć, że dla osobistego szczęścia nie wolno mu ryzykować życia wszystkich ludzi zebranych na zamku. Toczy ze sobą trudną walkę. I sądzę, że spotkanie z Rajmundem przyczyniło się do podjęcia przez niego decyzji...

– Chce mi się płakać, jak tylko pomyślę o Rolandzie – wyznała Klara niespodziewanie i odchyliła głowę daleko do tyłu, jakby chciała policzyć chmury na niebie.

Po chwili milczenia zapytała:

– Czy Tomasz opowiadał, jak to się stało? Co razem przecierpieli?

– Twój brat ma milion wymówek, by nie rozmawiać ze mną o tamtym czasie. Ale oczywiście i tak wiem. Wystarczy, że spojrzę w jego oczy. Poza tym Dytryk opowiedział trochę Łukaszowi.

Klara przełknęła ślinę i w zamyśleniu spojrzała na matkę.

– Po ich przyjeździe przegadaliśmy z Tomaszem prawie całą noc. Wojna zniszczyła jego duszę.

– Tak, zniszczyła – wyszeptła Marta.

– Możemy go uleczyć? – spytała zrozpaczona Klara.

Jeśli nawet matka nie mogła nic zrobić, to dla Tomasza nie było żadnego ratunku. Napełniony gniewem pojedzie na kolejną bitwę i będzie zabijał. Zabijał, nic przy tym nie czując poza chwilowym oszołomieniem i pustką, która potem nastąpi.

Na to pomoże jedynie czas i miłość. Dziewczyna o czystym sercu. Ale musi być silna... i dostatecznie wrażliwa, by wejrzała w jego wnętrze i odnalazła, a potem uleczyła każdą ranę. Musiałaby razem z nim zapuścić się w najgłębsze otchłanie jego duszy i przyprowadzić go z powrotem.

– Nie znajdzie tutaj takiej dziewczyny – podsumowała Klara ze smutkiem. – To może być tylko osoba, która sama miałaby za sobą wiele złych doświadczeń, którym potrafiła stawić czoła. Ale w okolicy są jedynie naiwne młode gąski i kilka wyrachowanych wdów, których nie interesuje jego wnętrze. Widzą w nim bohatera, który zjechał kawał świata i mógłby rozproszyć ich nudę.

Klara myślała nie tylko o bracie. Dytryk przeżył te same klęski i gorzkie rozczarowania, te same okrucieństwa, a dodatkowo czuł się winny śmierci swoich ludzi. Miała wrażenie, że znów słyszała echo jego słów. Potrzebował jej, by móc dalej żyć ze swoją winą. Ośmioletnia Jutta, niezależnie od tego, jak bardzo na swój wiek była mądra, z pewnością mu nie pomoże.

Klara miała przez chwilę zamiar wyznać matce, że była gotowa zostać kochanką Dytryka. Ale nie wiedziała, czy Dytryk tego chciał. Czy chciałby jej w takich okolicznościach. Najprawdopodobniej nie pozwoli mu na to honor.

– Ojciec by zrozumiał, prawda? – spytała tęsknie. – Nie zważał na to, że pobraliście się niezgodnie z obyczajem, że pochodziliście z innego stanu, gdy prosił cię o rękę...

Na twarzy Marty pojawił się wyraz bólu.

– Tak, rozumiałby – szepnęła.

Później przetarła dłonią oczy i roześmiała się smutno.

– Był ministriałem, a ja prostą zielarką. Ale gdy się o mnie starał, żartował, że właśnie został wyjęty spod prawa, zatem z nas dwojga to ja stałam się lepszą partią. Gdyby nie owo fałszywe oskarżenie i wygnanie, pewnie nigdy nie mógłby mnie pojąć za żonę.

Jej twarz znów sprawiała wrażenie opanowanej.

– Poszłabym za nim wszędzie, nawet gdybyśmy mieli spędzić życie na wygnaniu. Jednakże miał przed sobą walkę. Zatem zostaliśmy. By chronić ludzi z wioski, stoczył walkę na śmierć i życie. Bez pomocy Łukasza, Rajmunda, Kunona i Bertrama, bez kowali nie dałby rady. Problem różnicy stanowej rozwiązał Otto, który później wyniósł nas oboje do wolnego szlacheckiego stanu. Ale tylko do pewnego stopnia. Sama to przeżyłaś. My, kobiety, nie możemy sobie pozwolić na żadne, choćby najmniejsze odstępstwo od przyjętych zasad. Za wszelką cenę musimy unikać rzucania się w oczy, inaczej możemy wydać na siebie wyrok śmierci.

Klara wbrew woli się roześmiała.

– Nie powiedziałałabym, że twoje zachowanie nie zwróciło na siebie szczególnej uwagi, gdy na oczach całego dworu przeklełaś margrabiego miśnieńskiego. – Uśmiechnęła się mimo gorzkiej powagi chwili, dumna z tego, co uczyniła jej matka, oraz na myśl o tym, że Albrecht, który zamordował jej ojca i męża, wciąż jeszcze obawiał się przekleństwa Marty.

– Jeśli naprawdę się kocha, wówczas życie tej drugiej osoby jest cenniejsze od własnego – rzekła Marta.

Kilkadziesiąt kroków dalej z załomu w murze podniosło się z wrzaskiem stado wron.

„Ptaki śmierci – pomyślała Klara z przerażeniem. – Zwiastują nieszczęście”. Ale tym razem był to jedynie znak, że Kuno i Bertram wrócili ze swej misji. Kilku uzbrojonych ludzi pomknęło do tajnej furtki,

by ich wpuścić.

– Tak, twój ojciec by to zrozumiał – powtórzyła Marta. – I ja to rozumiem. Dytryk, podobnie jak niegdyś Chrystian, musi stanąć do bitwy na śmierć i życie. Jednak nie chodzi o wolność, o ciebie...

Marta poprawiła czepek i welon, a następnie wstała. Klara poszła w jej ślady. Chwila, która należała tylko do nich dwóch, właśnie minęła. Nim odeszły każda do swoich obowiązków, Marta zatrzymała na chwilę córkę.

– Nie powinnaś mieć Łukaszowi za złe, że tego nie rozumie. Twój ojciec urodził się w wielkiej biedzie, nim po ofiarnej śmierci swego ojca został wyszkolony na rycerza, o czym nikomu nie wolno było się dowiedzieć. Dzięki temu inaczej patrzył na wiele spraw. Natomiast Łukasz pochodzi z dawnego szlacheckiego rodu i jest na wskroś przesiąknięty poczuciem przynależności do swego stanu... naszego stanu, powinnam raczej powiedzieć. Martwi się o ciebie. Chce, byś była bezpieczna. Zastanów się, czy mogłabyś zostać żoną Norberta albo jego syna. To mężczyźni, na których można polegać.

„W żadnym wypadku! – pomyślała Klara, starając się nie zmienić wyrazu twarzy. – Już raz wyszłam za mąż z obowiązku. A teraz, po powrocie Dytryka, nie potrafiłabym dzielić łóża z innym mężczyzną”.

Kuno i Bertram biegli prosto w ich kierunku.

– Mieliśmy ubaw po pachy! – oznajmił Kuno z uśmiechem.

– Trochę szkoda miodu – dodał Bertram. – Nie zasłużyli na niego. Ale sądzę, że nie tak szybko przyjdzie im na niego ochota.

– Jakie wieści macie do przekazania? – zacięła się Marta, która wiedziała, że nie przybiegli do niej tylko po to, żeby się pochwalić.

– O ile udało nam się zorientować, wasz przyjaciel Rajmund wpadł w tarapaty – rzekł Kuno, a jego twarz przybrała szybko wyraz wielkiej powagi.

– Jak duże tarapaty? – spytała zatroskana.

– Spętali go i torturami próbowali od niego wyciągnąć, czy zdradził nam coś, czego nie powinniśmy wiedzieć, i czy nie tai przed nimi czegoś, co mogłoby im pomóc.

Klara wydała cichy okrzyk.

– Kto ma od niego wyciągnąć informacje? – zainteresowała się Marta.

To było istotne pytanie. Jeśli w grę nie wchodziły osobiste animozje, rycerze z tego samego obozu nigdy się tak nawzajem nie traktowali. Z drugiej strony w powietrzu zawisł zarzut zdrady. Jedynie świadomość, że Albrecht z pewnością chciał uzyskać jak najwięcej informacji, pozwoliła jej odsunąć obawę, że Rajmund mógłby zostać od razu stracony.

– Nim zaciągnęli go do namiotu, dałem mu potajemnie znak – opowiadał Kuno. – Ale pokręcił głową. Sami lepiej go znacie. Czy to znaczy, że niczego nie zdradzi? Albo że mamy nic nie robić?

– Mają jego żonę jako zakładniczkę – wyjaśniła Marta z boleścią w głosie. – Dlatego nie chce, byśmy podjęli jakiegokolwiek kroki. Możemy się tylko modlić, by wytrzymał... aż Albrecht dojdzie do wniosku, że wszystko już wie... albo doradcy mu uzmysłowią, że nie może tak postępować z własnymi ludźmi.

Nie powiedziała głośno tego, o czym wszyscy myśleli. Rajmund był dzielnym człowiekiem. Jednak odpowiednimi torturami każdego dało się złamać.

– Wasz szwagier, marszałek, oddał go w ręce dwóch rycerzy z Miśni – mówił dalej Kuno. – Jednego udało mi się rozpoznać, to Jakub, brat pana Łukasza.

Na tę wieść Martę po raz kolejny przeszedł dreszcz.

Jakub, młodszy brat Łukasza, po zakończeniu nauki jako giermek tak często zmieniał strony, że trudno było się połapać. Podczas ostatniego spotkania, gdy Łukasz po ucieczce z więzienia szukał Marty, Jakub dał bratu jednoznacznie do zrozumienia, że zamierza z oddaniem służyć Albrechtowi, by zapewnić synom godziwą spuściznę.

Łukasz miał nie najlepsze zdanie o swym niesolidnym bracie, choć zupełnie inaczej oceniał jego najstarszego syna, również Jakuba. Przez pewien czas bratanek był giermkim szkolonym przez Łukasza. Później ojciec wezwał go do siebie, uznając, że pod okiem Giselberta lub Geralda zdobędzie sławę szybciej niż u wuja, który był wprawdzie wytrawnym rycerzem, lecz popadł w niełaskę u margrabiego. Czy to możliwe, by Jakub junior także był obecny we wrogim obozie?

– Dotychczas nie udało nam się zauważyć młodszego Jakuba wśród ludzi Albrechta – oświadczył Kuno, odgadując przyczynę zmartwienia Marty. – Ale jeśli chcecie, możemy się znów podkraść, najlepiej nocą, jeśli można z tym tak długo poczekać. Przy odrobinie szczęścia przedrzemy się po raz drugi.

Marta zastanowiła się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie teraz. Przykro mi. Rajmund musi na razie sam dać sobie radę. Miał świadomość, na jakie niebezpieczeństwo się naraził, inaczej nie byłoby go tutaj. Nie znamy jego planów i musimy zaufać, że wie, co czyni. Na pewno ma sprzymierzeńców. A wy i tak będziecie musieli wkrótce tam wrócić i postarać się poznać ich plan. Ale o tym zadecyduje Norbert. Nie powinniście zanadto igrać z losem.

Spojrzała ku Klarze w obawie, że córka może zaprotestować i zażądać, by podjęli jakieś działania dla wsparcia przyjaciela. Jednakże ta zdawała się rozumieć, że w obecnej chwili sami byli w zbyt wielkich opałach, by mogli cokolwiek zrobić dla Rajmunda.

Jakby na potwierdzenie z frontowej części twierdzy podeszło do nich pół tuzina ludzi i zarzuciło obie kobiety pytaniami, zadaniami i sprawami, których załatwienie nie cierpiało zwłoki. Żona szewca niespodziewanie dostała bólów porodowych i wrzeszczała wniebogłose, jedna z pomocnic w piekarni oparzyła rękę podczas wyjmowania chleba z pieca, kuchmistrz chciał wiedzieć, czy ma zaszlachtować świnie, a wśród kobiet na dziedzińcu wywiązała się bijatyka.

Marta wymieniła z Klarą porozumiewawcze spojrzenie.

– Zajmę się rodzącą i dziewczką z kuchni – oznajmiła Klara, ruszając z miejsca.

– A wy dwaj pójdziecie ze mną do bijących się kobiet – nakazała obu freiberczykom Marta, podgarniając suknię.

Chwila spokoju się skończyła. Teraz musieli się postarać, by oblężeni w twierdzy ludzie wytrzymali do nadejścia pomocy.

O ile pomoc nadejdzie.

## Więżniowie

Elmar przyglądał się podejrzliwie swoim ludziom, którzy biegali jak opętani i bezładnie wywijali rękami, doprowadzając pszczoły do jeszcze większej furii.

Niedołęgi!

Nie wierzył w przypadki, a szczególnie na wojnie. Gdy wreszcie nadejdą posiłki z machiną oblężniczą, wówczas z ogromną przyjemnością osobiście pośle do twierdzy kilka pszczelich rojów. To sprawdzony sposób, by wprowadzić chaos w szeregach przeciwnika. Skuteczniejszy bywał jedynie grecki ogień, ale tylko Bizantyńczycy potrafili go produkować, albo poćwiartowane członki jeńców czy też więźniów. A tych w odpowiednim czasie będą mieli pod dostatkiem.

Stolnik postanowił zignorować pszczoły i poświęcić uwagę znacznie istotniejszej kwestii.

Przywołał pachołka o byczej posturze, po czym rozejrzał się za marszałkiem i w towarzystwie obu mężczyzn poszedł do namiotu, w którym kazał umieścić więźnia.

Wcześniej Gerald przydzielił do budowy palisady niemal wszystkich żołnierzy i pachołków, których



nie potrzebował przy koniach.

Tak więc uderzenia siekier mieszały się z krzykami mężczyzn i jękami rannych, którymi opiekował się wychudzony felczer. Jak ten mikroskopijny człowieczek radził sobie na przykład z nastawieniem złamanej nogi, zastanowił się Elmar, gdy mijali prowizoryczny lazaret, chociaż właściwie niewiele go ta kwestia obchodziła, chyba że felczer zajmowałby się akurat jego własną nogą.

Energicznie wszedł do namiotu i bacznie zlustrował wzrokiem wnętrze. Na podłodze leżał skulony Muldentalczyk. Jeden z mężczyzn złapał go za włosy i po chwili z powrotem puścił.

– Czegoście się dowiedzieli? – zapytał Elmar z umiarkowaną ciekawością.

Ten człowiek był twardy, dobrze o tym wiedział. Jednakże niedługo zacznie mówić.

Znudzony słuchał relacji strażnika, ale po kilku słowach mu przerwał.

– Coś przede mną taicie – wtrącił chłodno, obserwując twarz więźnia. – O czym rozmawialiście z przywódcą Turyńczyków bezpośrednio po tym, jak wpuścili was do zamku?

„A więc mają na górze swojego szpiega! – przemknęło przez myśl Rajmundowi. – Albo ktoś zdołał się przekraść i opowiedział im wszystko, co zobaczył. Choć jednak ów człowiek nie wiedział, że mężczyzną, z którym rozmawiałem, był Łukasz. Wziął go za jednego z Turyńczyków. Być może Elmar nie ma w ogóle pojęcia, że Łukasz wciąż żyje...”

– On... powiedział mi, że mój syn nie żyje – wystękał, chociaż okazanie słabości przed Elmarem było dla niego po dwakroć bolesne, stolnik bowiem prawdopodobnie od dawna znał tę informację.

Sam Rajmund też rozpoznał Tomasza przy brodzie, więc Elmar bez wątpienia potrafił wyciągnąć stosowne wnioski.

– Wasz syn? Ten koniokrad, który się wymknął we mgle i pod osłoną nocy? – dopytywał zjadliwie stolnik. – A więc dopadła go wreszcie sprawiedliwość? Mówcie, jak i gdzie to się stało?

Rajmund milczał przekornie, bo w żaden sposób nie mógł się zdobyć na taką nielojalność w stosunku do syna. Elmar dał znak jednemu z dwóch rycerzy.

Jakub od niechcienia kopnął więźnia w bok. Ten wydał jęk, znacznie głośniejszy, niż naprawdę musiał. Tymczasem jego ciało było obolałe jak jedna wielka rana.

– Oczekuję od was więcej zaangażowania! – zganił Elmar młodszego brata Łukasza. – Złamcie mu rękę!

Jednakże Jakub zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał.

– Nie jestem oprawcą – zaprotestował, cofając się o krok. Elmar skrzyżował ręce na piersi, patrząc na nieoczekiwanego buntownika niczym na robaka, którego zaraz zamierzał rozdeptać.

– Chcecie podzielić jego los? – zagroził. – Po bliższym przyjrzeniu się waszemu pochodzeniu zacznym wątpić w waszą lojalność.

Trudno powiedzieć, czy chodziło jedynie o protest wobec tak brutalnego potraktowania Rajmunda, czy też o strach, że zostanie zakuty w łańcuchy i również poddany torturom. Raptem w Jakubie zapłonął ogień, jakiego od dawna nie pamiętał... iskra buntu zrodzonego z czystej rozpacz.

– Czyż nie służyłem wam wiernie przez wszystkie te lata?! – krzyknął do Elmara, który wobec tak zuchwałego wystąpienia cofnął się o krok. – Czyż nie odwróciłem się od brata jeszcze na długo, nim ściągnął na swoją głowę wasz gniew? Przecież mój brat nie żyje, niechaj Bóg ma w opiece jego duszę! Cóż muszę jeszcze uczynić, byście mi wreszcie uwierzyli?

Elmar błyskawicznie odzyskał równowagę i lodowatym wzrokiem zlustrował buntownika.

– Tego też zakujcie! – rozkazał pachołkowi i drugiemu rycerzowi. – Przy najmniejszej próbie oporu zetnijcie mu głowę.

Pod wpływem tej groźby Jakub zamarł w pół ruchu. Zamiast się bronić, padł na kolana i bez sprzeciwu pozwolił odebrać sobie broń i związać na plecach ręce. Jego nieoczekiwany opór skłęśł w sobie tak

nagle, jak się pojawił.

Stolnik podszedł blisko do spętanego mężczyzny i popatrzył na niego z góry.

– Żebym mógł wam zaufać, powinniście mi może powiedzieć, że tam na górze siedzi pomiot waszego brata! Nie rodzony, tylko ten koniokrad i ta dziwka Rajnharda.

Uważnie przyjrzał się skonsternowanej minie drugiego więźnia, a następnie uderzył go w twarz. Później odwrócił się bez słowa i wyszedł.

– Czterech strażników do mnie! – rozkazał przed namiotem. – Odpowiadacie głową, by żaden z nich nie uciekł! Banda zdradzieckich łajdaków! – warknął rozżłoszczony.

– Czy to prawda? Czy Klara i Tomasz naprawdę są na górze? – zapytał szeptem Jakub Rajmunda, nadal nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia. – Jak...?

– Tak. Ale trzymaj język za zębami! – wystękał Rajmund. – Doceniam twe wsparcie, ale doprawdy wybrałeś najgorszy moment na okazanie bohaterstwa.

Nie zamierzał zdradzić współwięźniowi, że jego brat wciąż żył i razem z Martą był na zamku. Ciężko mu było uwierzyć, by metamorfoza Jakuba przetrwała dzisiejszy wieczór, a przynajmniej następną wizytę Elmara. Gdyby nie nieoczekiwana ingerencja brata Łukasza, wykorzystałby najbliższą nadarżającą się okazję do ucieczki i natychmiast pojechałby do Elżbiety, żeby razem z nią jak najszybciej opuścić kraj. Odkąd dowiedział się o śmierci syna, nic więcej nie trzymało go w Marchii Miśnieńskiej. Natomiast Jakub z pewnością nie zrezygnowałby dobrowolnie ze swoich posiadłości (które właściwie należały do Łukasza, ale to już była zupełnie inna historia), toteż na razie musiał zrezygnować z tej ewentualności. Jakub zostałby dotkliwie ukarany za jego ucieczkę. Poza tym należało rozważyć również taki wariant, że brat Łukasza był w zмовie z Elmarem i odegrał przedstawienie, by później wyciągnąć od swego współwięźnia kilka nieostrożnych zwierzeń.

Niewykluczone, że był niesprawiedliwy w stosunku do Jakuba, ale już dawno stracił do niego zaufanie.

Rajmund gniewnie szarpnął więzy, które nawet na jotę nie ustąpiły. W końcu opuścił głowę na podłogę i bez reszty pogrążył się w cierpieniu, które ogarnęło go na wspomnienie o śmierci jedyne go syna.

## *Spotkanie z oblubienicą w Eisenach*

Dytryk i Łukasz pędzili na złamanie karku, odpoczywając jedynie wtedy, gdy trzeba było nakarmić i напоić konie. Dwa dni później o zmierzchu dotarli do Eisenach.

Z daleka widzieli górującą nad okolicą twierdzę Wartburg, położoną na grzbiecie wzniesienia niczym korona Turynii. Konie wspinały się pod górę mocno krętym szlakiem, Dytryk zaś robił sarkastyczne uwagi na temat swego wystąpienia w roli narzeczonego odpowiedniej rangi. Buty i ubranie miał pokryte kurzem, przyjeżdżał w towarzystwie jednego człowieka i z pustymi rękami, zamiast przywieźć ze sobą okazałą świtę i kosztowne podarunki. Jednakowoż nawet najkosztowniejszy przyodziewek, eskorta złożona z setek uzbrojonych ludzi ani skrzynie pełne przepysznych tkanin i klejnotów nie zmyliłyby landgrafa, który wiedział, że jego sąsiad z rodu Wettynów tkwił w ogromnych tarapatkach i potrzebował pilnej pomocy. Toteż Dytryk nie zamierzał stwarzać mylących pozorów ani ukrywać, że był w palącej potrzebie i szukał sprzymierzeńców.

Na szczęście Łukasz cieszył się na zamku Wartburg odpowiednią sławą, która pozwoliła mu w mgnieniu oka uzyskać dla hrabiego z Weissenfels widzenie u księcia.

Kilka minut później wrócił kamerdyner i złożywszy głęboki ukłon, wprowadził późnych gości do dużej

sali, gdzie Herman wraz z rycerzami spożywał kolację.

Dytryk zwiedził spory kawałek świata, dotarł aż do Ziemi Świętej. Przepych kościołów i pałaców w cesarstwie bizantyjskim i w Outremer<sup>9</sup> przyćmiewał swym blaskiem wszystko, co można było ujrzyć między Renem a Łabą, jednak przy kamiennym pałacu landgrafa z Turyngii niejedna rezydencja królewska sprawiała niemal skromne wrażenie.

Matka Hermana była jedną z sióstr zmarłego cesarza Fryderyka Staufa, a jej syn wychował się na dworze francuskiego króla. Przepych jego stałej siedziby i panujących na dworze obyczajów nie pozostawiały wątpliwości, że właśnie tutaj rezydował jeden z najmożniejszych książąt cesarstwa.

Zgodnie z etykietą panującą na dworze Hermana posiłkowi towarzyszyła gra minstrela Ludmiła, którego Dytryk znał. Stoły były suto zastawione, a dziewczki i służący wciąż donosili nowe potrawy i napełniali opróżnione dzbany.

Mimo tej krzątaniny wszyscy zwrócili oczy ku wejściu, gdy głośno oznajmiono przybycie hrabiego z Weissenfels. Dytryk przeszedł przez salę, starając się zachować opanowanie. Wbrew temu, czego oczekiwał, Herman nie pozwolił mu przed sobą uklęknąć, lecz wstał i nawet postąpił kilka kroków w jego kierunku.

– Witaj, drogi przyjacielu i krewniaku! Z pewnością jesteście znużeni podróżą. Pójdźmy zatem na razie do moich komnat.

Wydał polecenia kuchmistrzowi i podczaszemu, którym kazał przynieść do siebie potrawy i przeróżne wina. Następnie dał znak stolnikowi, że nie kończy posiłku i za jakiś czas wróci do stołu razem ze swoimi gośćmi. Znaczyło to ni mniej ni więcej, że nikt z zebranych nie miał prawa bez pozwolenia opuścić sali.

„Zatem zamierza od razu ogłosić zaręczyny” – wywnioskował zrezygnowany Dytryk.

Łukasz był głodny, a przede wszystkim niezwykle spragniony po długiej konnej jeździe. Usiadł na razie obok Burcharda z Salzy, groźnego turyńskiego rycerza, którego syn pospieszył na pomoc Weissenfels. Jednak myślami był cały czas przy Dytryku i Hermanie.

– A więc to prawda, że Miśnieńczyk oblega własnego brata, który dopiero co powrócił z Ziemi Świętej? – zapytał stary wojak, ocierając grzbietem dłoni usta i sięgając po kolejny kawałek pieczeni.

– To potworna hańba, Salzo, na nieszczęście macie rację. Cztery dni temu Albrecht ze swoim wojskiem wkroczył do Weissenfels. Pierwszy atak został odparty, więc puścił z dymem okoliczne wioski, a teraz oblega zamek – opowiadał Łukasz.

– Nazwaliście sprawę po imieniu, to zaiste hańba! – zagrział Burchard. – Najpierw Albrecht powstał przeciwko swemu ojcu, a teraz podniósł rękę na brata. Na krzyżowca! Na człowieka, który wraz z naszym cesarzem Fryderykiem, niechaj Bóg ma w opiece jego duszę, walczył o Jerozolimę. To potwarz dla nas wszystkich, dla każdego bogobojnego rycerza!

– Wobec tego każcie siodłać swego ogiera – odrzekł Łukasz i uśmiechnął się z ulgą. – Mam nadzieję, że wasz książę tak samo podejdzie do sprawy i wesprze Weissenfels.

Ileż by dał za to, by móc posłuchać rozmowy Dytryka z turyńskim landgrafem.

Herman z Turyngii zaskoczył Dytryka. W swojej komnacie posadził gościa obok siebie na krześle tak samo wytwornym i zdobionym rzeźbieniami, jak jego własne. Następnie przywołał podczaszego Rudolfa z Varguli, który polał dłonie Dytryka wodą z wykonanej z brązu akwamanili<sup>10</sup>, by ten mógł się umyć i odświeżyć po długiej podróży. Była to ceremonia przeznaczona jedynie dla czcigodnych gości, wyraz szczególnego szacunku.

Nie było to wcale takie oczywiste. Wprawdzie obaj byli drugimi synami książąt Wielkiego Cesarstwa Rzymskiego i było między nimi jedynie kilka lat różnicy, ale Herman po śmierci brata zdołał zapewnić sobie turyńską regencję, Dytryk zaś był i pozostał jedynie hrabią Weissenfels. A i to jedynie wówczas,

gdy uda mu się odnieść sukces w wojskowej konfrontacji z bratem.

Służący przemykali w tę i z powrotem, zapalili pół tuzina świec i ustawiali na stole wyborne potrawy, Rudolf z Varguli nalał do kubków wodę i wino. W kilka chwil wszystko zostało przygotowane. Herman gestem ręki odesłał wszystkich na zewnątrz.

Gdy zostali sami, Dytryk chciał wstać i uklęknąć, jak przystało na kogoś, kto przyjechał prosić o pomoc, ale Herman powstrzymał go gestem.

– Porozmawiajmy otwarcie – zaczął rozmowę landgraf. – Od Łukasza z Freibergu wiecie, pod jakim warunkiem udzielię wam wsparcia w walce z waszym bratem. Jutro z samego rana mogę posłać razem z wami dość uzbrojonych ludzi, którzy w razie potrzeby przepędzą agresorów z Weissenfels, a zgodnie z tym, co donieśli mi moi szpiegdy, wydaje się, że takowa potrzeba istnieje.

– Tak, ku memu ubolewaniu – potwierdził Dytryk.

Było jasne, że landgraf każe się na bieżąco informować, co się dzieje w bezpośrednim sąsiedztwie jego dóbr. Herman miał nie tylko wyśmienitych minstrelów, ale i dobrych szpiegów.

– Nie myślcie, że chcę wykorzystać wasze położenie, by się pozbyć córki, dla której nie mógłbym znaleźć chętnego małżonka – ciągnął Herman nie bez goryczy. – Moja Jutta mogłaby mieć kaprawe oczy i zajęczą wargę, a i tak z uwagi na wiano kandydaci do jej ręki ustawiliby się w kolejce. Nie jest obdarzona ujmującym wdziękiem, ale jest mądrym dzieckiem, jak sami się zaraz przekonacie. Uważam was za człowieka, który będzie potrafił docenić zalety mądrej małżonki – roześmiał się dwuznacznie. – Podczas któregoś ze zjazdów nadwornych przeprowadziłem z waszą matką, księżną Hedwigą, bardzo interesującą rozmowę. Ale częstujcie się tymi frykasami, bardzo was proszę! Zapewne macie za sobą trudną drogę. Spróbujcie kuropatwy, jest doskonale przyprawiona!

Dytryk wziął kawałek pieczeni, by nie sprawić gospodarzowi zawodu. Dziczyna była rzeczywiście wyśmienita.

– Nie sądzę, byście powierzyli córkę pierwszemu lepszeemu – odrzekł, upiwszy łyk napoju. – Niemniej jednak zastanawiam się, dlaczego już teraz chcecie ją zaręczyć. Ponadto znaleźliby się z pewnością godniejsi kawalerowie.

– Czyż to nie jasne jak słońce? – zapytał Herman, unosząc wysoko brwi. – Ach tak, rzeczywiście, zapomniałem, żeście dopiero wrócili z Outremer... Nie wiecie, co się tutaj działo.

Herman odchylił się do tyłu na oparcie krzesła, napił się ze wspaniale zdobionego cynowego kubka, a następnie znów się odezwał, patrząc Dytrykowi prosto w oczy.

– Pozwólcie mi wyjaśnić. Nowy cesarz chce więcej ziemi i władzy, jeszcze więcej, niżli obecnie ma w swoim posiadaniu. Odmówił przekazania mi Turyngii, gdy mój brat zmarł podczas krucjaty, i chciał ją włączyć jako lenno do Rzeszy. Stoczyłem twardą walkę, nim wreszcie przyznał mi posiadłości należące od pokoleń do mych przodków. Wygrałem ten zatarg tylko dzięki kilku sprzymierzeńcom, którzy także podejrzewali, że cesarz planował nas kawałek po kawałku pozbawić wpływów.

Herman dolał do swojego wina odrobinę wody.

– Zatem mam Turyngię, ale nie mam męskiego potomka. Moja małżonka, wdowa po waszym wuju Henryku z Wettynu, obdarzyła mnie dwiema córkami, nim Bóg zawezwał ją do siebie. Jeśli umrę, nim zdołam ponownie zawrzeć małżeństwo i splodzić syna, a szczerze mówiąc, nie w głowie mi teraz ożenek, wówczas cesarz natychmiast przywłaszczy sobie Turyngię. Wobec tego potrzeba mi natychmiast zięcia. Zięcia, który byłby w stanie uratować kraj, gdyby coś mi się stało.

– Dlaczego sądzicie, że się do tego nadaję? – zapytał Dytryk zdziwiony. – Posiadam jedynie niewielkie hrabstwo, które właśnie zostało splądrowane. Nie dysponuję nawet dostateczną liczbą doświadczonych wojowników, by stawić czoła własnemu bratu. Przychodzę do was z prośbą, z pustymi rękoma, nie zaś jako ktoś, kto mógłby bronić waszych interesów, gdyby wam nie starczyło siły.

– Nie umniejszajcie własnego znaczenia i zasług – odparł Herman i pochylił się lekko do przodu. – Macie w sobie coś, co dziś jest prawdziwą rzadkością. Prawość!

– Nie sądziłem, że prawość stanowi dzisiaj poszukiwaną cechę – zdziwił się Dytryk. – Czyż nie jest raczej kłopotliwym balastem w walce o władzę? – dodał cynicznie.

– Byliście w Ziemi Świętej i po śmierci cesarza nie zawróciliście z drogi, jak większość, tylko konsekwentnie szliście do celu – kontynuował niewzruszenie Herman.

– Którego ostatecznie nie osiągnąłem, Jerozolima bowiem wciąż pozostaje dla nas nieosiągalna – dodał Dytryk z goryczą.

– Winą za to należy obarczyć właśnie między baronami, wśród chrześcijańskich książąt – zaproponował landgraf. – Wiecie, co spowodowało śmierć na mego brata, a wraz z nim na wiele innych uczciwych dusz. Czyż ten fakt nie oburza was tak samo jak mnie? I jeszcze to, co teraz sami przeżywacie. A potworna zdrada cesarza pod Tusculum? Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby was to nie obeszło.

– Nawet jeśli w ten sposób odwrócę się od cesarza namaszczonego przez Boga, muszę wam przyznać rację – odpowiedział bez wahania Dytryk.

– Nieumiarowanie cesarza sprawia, że nasza Rzesza chwieje się w posiadach – kontynuował bez ogródek Herman. – Przyjrzyjcie się dokładnie jego planowi. Ziemię pleisseńską odziedziczył po ojcu, sam chciał zagarnąć Turyngię. Ponadto od dawna spogląda łakomym okiem także na Marchię Miśnieńską, co tym bardziej czyni was w moich oczach cennym sprzymierzeńcem. Wasz brat ku swemu własnemu niezadowoleniu nie spłodził jeszcze męskiego potomka.

Herman ściszył swój donośny głos i nieznacznie wychylił się do przodu.

– Niewykluczone, że cesarz wbrew wszelkim prawom poprze go w wojnie z wami, w nadziei, że obaj możecie przy tym postradać życie. A jeśli przeżyjecie, czy sądzicie, że cesarz odda wam Marchię po śmierci waszego brata? Nie, przyjacielu, sam by ją zagarnął, a wy w żaden sposób nie zdołalibyście temu zapobiec.

Herman oparł się na krzesło i rozłożył szeroko ręce.

– Czy teraz rozumiecie, dlaczego w naturalny sposób staliśmy się sprzymierzeńcami? Grozi nam taki sam los.

– Jednakowoż, jak sami podkreśliliście, nic nie mogę zrobić, by temu zapobiec – rzucił Dytryk.

– To się dopiero okaże – stwierdził Herman i uśmiechnął się do siebie. – Jako mój zięć jesteście na lepszej pozycji. Będziemy walczyć razem... i mogę was zapewnić, że za zawartym dzisiaj turyńsko-wettyńskim przymierzem ramię w ramię staną kolejni czcigodni mężowie.

„Mam wrażenie, że nie omawiamy zaręczyn, tylko przymierze przeciwko cesarzowi – pomyślał Dytryk. – I nawet nie mógłbym powiedzieć, że mi to przeszkadza, o ile w efekcie nie będą chcieli zamordować cesarza. Nie, to byłoby nie do pomyślenia. Ale czy na pewno?”

– Wy i wasi sprzymierzeńcy możecie na mnie liczyć, gdyby cesarz sięgnął po waszą ziemię czy tytuł – powiedział, starając się jak najbardziej umniejszyć własną rolę. – Nawet bez uwięczenia naszego przymierza małżeństwem.

Twarz Hermana przybrała kamienny wyraz.

– Ten punkt nie podlega negocjacom. Moi rycerze wyruszą jutro z wami tylko wówczas, jeśli przynajmniej ustalimy zaręczyny.

– Wasza łaskawość, me serce nie jest wolne.

– Daliście obietnicę małżeństwa?

– Nie. Ona się zrzekła na rzecz waszej córki.

– Wobec tego to bez znaczenia – uznał spokojnie landgraf. – Na razie zadowolę się zaręczynami. Do ślubu upłyną jeszcze lata, a do tej pory zapewne zdążycie się nasycić damą swego serca.

Dytryk wbrew woli przełknął tę niemiłą uwagę. Hermana nie powinno obchodzić, kogo obdarzył swą miłością, a gdyby wiedział, z pewnością powiedziałby coś jeszcze bardziej pogardliwego.

Turyńczyk sięgnął po stojący na stole dzwonek i przywołał lokaja.

– Poślijcie po moją córkę Juttę – rozkazał służącemu, który zaraz znów wyszedł z komnaty.

– Obstawę przy tym – uparł się Herman z lodowatą miną. – Niech cały świat sądzi, że wykorzystuję waszą trudną sytuację, by zapewnić dziewczynie dobrą przyszłość poza klasztorными murami. Fortelnym czapka niewidka dla naszej koalicji przeciwko Staufowi. Mam nadzieję, że do mego biednego dziecięcia nie dotrą plotki, jakoby ją oddawał z obawy, że nie znajdzie odpowiedniego kandydata.

– Ród Wettynów był zawsze wierny Staufom, turyńscy landgrafowie również – wtrącił Dytryk.

Tymczasem żaden z nich nie tknął więcej jedzenia. Rozmowa przypominała taniec na linie i wymagała skupienia całej uwagi.

– Staufowie i Welfowie to dwa młyńskie kamienie, Turyngia zaś leży dokładnie pomiędzy nimi – odparł twardo Herman. – Od śmierci Fryderyka Staufa czasy się zmieniły. Skoro obecny cesarz zamierza pozbawić władzy i dóbr swoich wiernych poddanych, to nie powinien się dziwić, jeśli przeciwko niemu powstaną. Ale nie martwcie się. Wasza lojalność nie zostanie wystawiona na aż taką próbę, byśmy mieli potajemnie planować królobójstwo. Chodzi jedynie o obronę naszych posiadłości.

Rozległo się pukanie.

– Rozpogódźcie się! Zobaczycie, to kochane dziecko – szepnął cicho do Dytryka, a następnie poprosił do środka swą najstarszą córkę.

Mała Jutta weszła do komnaty tak szybko, że zapewne musiała czekać bardzo blisko drzwi. Miała na sobie strojną suknię z granatowego sukna, przy dekolcie i szerokich rękawach obszytą soczyście czerwoną lamówką, haftowaną złotem i zdobioną drogimi kamieniami. Ciemne kolory, ciężka tkanina i liczne ozdoby zdawały się przytłaczać jej szczupłą, dziewczęcą postać. Ale trzymała się prosto. Miała rozpuszczone jasne włosy koloru pszenicy, które sięgały jej do bioder, przytrzymywane srebrną przepaską wysadzaną czerwonymi kamieniami. Wyglądała niezwykle porządnie. Zapewne przed drzwiami pokojówka musiała ją jeszcze raz szybko uczesać albo też, w przeciwieństwie do innych dzieci w jej wieku, nie skakała ani nie szalała. Nie wyglądała beztrosko jak większość ośmiolatek, lecz była poważna, jakby nigdy się nie uśmiechała. Mimo późnej pory oczy miała żywe i bystre.

Dygnęła z gracją przed ojcem, a później przed gościem, wciąż bez cienia uśmiechu.

Ojciec najwyraźniej oczekiwał, że się odezwie, zatem zwróciła się do Dytryka.

– Czy w Ziemi Świętej spotkaliście mego wuja, hrabio? – spytała uprzejmie, choć nie potrafiła ukryć ciekawości.

– Tak, wasza wysokość. Odwiedziliśmy go razem z księciem Szwabii. Wówczas już leżał, był poważnie chory i zaraz potem wyruszył w drogę powrotną do domu. Kilka dni później zmarł, ku naszemu ubolewaniu. Niemniej jednak cieszył się wielkim szacunkiem we frankijskiej armii.

– Kto przejął dowództwo nad armią frankijską po odjeździe wuja?

– Henryk z Szampanii. Obecnie jest królem Jerozolimy – wyjaśnił Dytryk.

– A czy spotkaliście również króla Anglii i króla Francji?

– Tak, wasza wysokość. Po śmierci naszego cesarza Fryderyka i księcia Szwabii walczyłem ze swymi rycerzami pod rozkazami francuskiego króla.

Ośmiolatka przyjrzała się ciekawie twarzy Dytryka. Zdawało się, że nie mogła podjąć decyzji, czy powinna zadać kolejne pytanie. Dytryk zachęcił ją przyjaznym uśmiechem, więc przełamała rozterkę.

– Ludzie śpiewają pieśni pochwalne na cześć wielkiego bohaterstwa Ryszarda Lwie Serce. Który według was jest lepszy, angielski czy francuski król?

– Dziecko, dziewczynco, szczególnie w twoim wieku, nie przystoi przez cały czas rozmawiać z naszym

gościem wyłącznie o wojnie i zadawać mu takich drażliwych pytań – łagodnie napomniął córkę Herman.

– Nie, pozwólcie! – zaprotestował Dytryk i uśmiechnął się zachęcająco do Jutty. – Szuka prawdy i może ją usłyszeć tylko od kogoś, kto tam był. Zatem posłuchaj mej opinii, młoda damo. Śpiewają wiele pochwalnych pieśni na cześć Ryszarda Lwie Serce, które jednak niewiele mają wspólnego z tym człowiekiem. A co do jego rycerskości: niewybaczalną zniewagą sprowokował wycofanie się wojowników pozostających pod Leopoldem Austriackim, do tego kilka dni później kazał ściąć niemal trzy tysiące saraceńskich jeńców, wśród których było wiele kobiet i dzieci.

– Jakież to ohydne! – krzyknęła Jutta. – Widzicie, ojcze, francuski król jest lepszy.

Herman z wymuszonym uśmiechem wywrócił oczami i pochylił się do Dytryka.

– Spójrzcie. Ośmiolatka, która zabiera głos w kwestiach polityki. Jednakowoż sądzę, że jako syn Hedwigi z Ballenstedt powinniście znaleźć z nią wspólny język. – Uśmiechnął się przebiegle.

– Darzę sympatią waszą matkę, jest mądrą kobietą – odezwała się Jutta. – Może moglibyście mnie wysłać na wychowanie do księżnej Hedwigi?

– Moja matka z pewnością doskonale by się wami zaopiekowała i cieszyłaby się z waszego towarzystwa – zapewnił Dytryk. – Ale nie utrzymuje tak wielkiego i wspaniałego dworu jak wasz ojciec. Ma niewielką wdowią rezydencję.

„Której mój brat kazał pilnie strzec; teraz to raczej więzienie” – pomyślał Dytryk, ale nie powiedział tego głośno.

– Później o tym pomyślimy, kochanie – powiedział Herman. – Chcę cię zaręczyć z hrabią z Weissenfels. Jesteś grzecznym dzieckiem i okażesz posłuszeństwo. Uwierz mi, jestem przekonany, że będzie dla ciebie kiedyś dobrym mężem.

Jutta spojrzała na swego przyszłego oblubieńca.

– Jeśli taka jest wasza wola, ojcze! – odparła, wzruszając ramionami.

Myśl o małżeństwie wiązała się dla niej z bardzo odległą przyszłością. W obecnej chwili jej uwagę bardziej przyciągały owoce oblane miodem, które leżały na stole. Ojciec zauważył jej spojrzenie i pozwolił skosztować smakołyków.

– A teraz biegnij do łóżka, moja gwiazdeczko!

Jutta dygnęła przed ojcem i jego gościem, a następnie wyprostowana wyszła z komnaty.

– Sami widzicie, że to mądre dziecko – powiedział Herman, gdy opuściła pomieszczenie.

Podniósł się, skłaniając Dytryka, by też się podniósł.

– Przekażmy dobrą nowinę o planowanych zaręczynach – rzekł Herman z zadowoleniem. – A później mój marszałek przygotuje wszystko do wymarszu. Jutro z samego rana. Czy dwustu konnych wystarczy, by skłonić waszego brata do ucieczki?

– Jeśli zdążymy przed posiłkami, po które Albrecht posłał do Miśni, wówczas tak – podsumował Dytryk.

Trudno mu było traktować zaręczyny z Juttą jedynie jako część dobitego targu. Dziewczynka na to nie zasługiwała. Nie mówiąc o Klarze.

Z kolei wciągnięcie w spisek przeciwko cesarzowi stanowiło zgoła inną kwestię. Zwrócenie się przeciwko niemu byłoby ciężkim grzechem karanym śmiercią i potępieniem, Bóg to bowiem wyznaczył Henrykowi jego miejsce. Chociaż może było to tak samo nieuniknione jak zaręczyny? Miało zapobiec większym stratom i uratować życie wielu ludziom.

Poza tym nad cesarzem będzie sobie łamał głowę, gdy przepędzi brata z Weissenfels. O ile przeżyje bitwę.

# Obleżeni

– Głupku! Z drogi! – wrzasnęła Gertruda i z całej siły uderzyła przyczynę wybuchu swej złości. Jakieś dziecko, około ośmioletnie, najwidoczniej niedorozwinięte, obdarte i jękające się, kręciło się po twierdzy, pociągając ludzi za ubrania w nadziei na uśmiech, który jego zniekształcona twarz natychmiast ochoczo odwzajemniała. Jednakże nie powinno było zaczepiać żony rządcy, która z wściekłością zaczęła okładać chłopca. Ten, pochlipując, zwinął się w kłębek i przycisnął ręce do głowy.

Nikt nie odważył się zareagować. W końcu Gertruda złapała drewniane polano, by jeszcze mocniej przyłożyć malcowi. W tej chwili jedna z kobiet z piskiem puściła się biegiem i zaczęła wołać Martę.

Żona Łukasza sama zdążyła zwrócić uwagę na krzyki i właśnie torowała sobie między ludźmi przejście na dziedziniec.

– Przestańcie! – krzyknęła, wciskając się między żonę Gotfryda a malca. – Ubijecie go na śmierć!

Raptem obok niej wyrósł Tomasz, który w zasadzie powinien teraz patrolować ganki obronne. Gwałtownie wyrwał Gertrudzie z ręki polano i rzucił jednemu z pacholków podtrzymujących ogień w piekarni.

Gertruda się cofnęła i wzruszyła ramionami.

– Odejdźcie! – krzyknęła na nią z oburzeniem Marta. – Natychmiast idźcie do kuchni i zajmijcie się jedzeniem dla strażników!

Po chwili osłupienia Gertruda odwróciła się na pięcie i uciekła, odrzucając do tyłu głowę i okazując tym gestem najwyższą urazę.

Marta ukucnęła obok szlochającego chłopca, któremu z oczu płynęły strumienie łez, i przyciągnęła go do siebie.

– Już dobrze – wymruczała i pogłaskała go po głowie pokrytej odrastającą szczeciną. Jakaś dobra dusza ogoliła mu włosy, by uwolnić chłopca od wszechobecnej wszawicy.

Następnie się rozejrzała i zwróciła się do pomocnicy, którą kazała przywołać.

– Przynieś mu chleba, dobrze?

Starsza kobieta błyskawicznie się uwinęła i niosąc w ręku kawałek pieczywa, wróciła z na wpół spalonej piekarni. Marta przystawiła płaczącemu chłopcu do ust skibkę chleba.

– Masz, to dla ciebie.

Maluch zamarł i chwyciwszy nieoczekiwany podarek, natychmiast wcisnął go sobie do buzi. Gdy żuł, na jego zniekształconej twarzyczce pojawił się wyraz szczęścia.

Zadowolona, że bez większych spustoszeń udało się zażegnać konflikt, Marta wstała i po bezskutecznej próbie wygładzenia zgniecionej sukni ruszyła w stronę wieży. Musiała porozmawiać z Norbertem, nie było innego wyjścia.

Czasami Marta zazdrościła Klarze, choć ta ostatnio rzadko miała czas na sen. Zeszłej nocy pomagała żonie szewca wydać na świat jej pierwsze dziecko. Przy takiej liczbie uchodźców na zamku zawsze znalazły się jakieś rany do zaszycia, ropnie do otwarcia czy inne dolegliwości, na które należało znaleźć lekarstwo. W trakcie pobytu w Weissenfels Klara nie tylko zgromadziła zapas przydatnych ziół, ale również zdobyła uznanie jako znachorka. Dlatego też Marta z czystym sumieniem zostawiła chorych pod jej opieką. Sama miała ręce pełne roboty. Wydzielanie zapasów, pilnowanie, by dla każdego starczyło jedzenia, by nakarmiono zwierzęta, a przede wszystkim, by wśród uchodźców nie zaczęła się rodzić panika. Ostatnie zadanie było najtrudniejsze ze wszystkich i czasami doprawdy nie wiedziała, jak ma sobie poradzić.

Komendant zamku stał na wieży w towarzystwie kilku rycerzy i przyglądał się wydarzeniom na



przeciwnym wznesieniu. Tymczasem nieprzyjacielska twierdza Albrechta składała się z licznych namiotów, wiat z lnianego płótna, służących rycerzom do spożywania posiłków, oraz kilku ognisk. Połowa obozu została już otoczona palisadą. W miejscach, gdzie brakowało jeszcze ochronnych ścian, pachołkowie wbijali w ziemię świeżo ścięte i ociosane pale, a w nadających się po temu miejscach wykopywano rowy.

Najbardziej brutalnym i chyba najskuteczniejszym krokiem, do jakiego uciekł się Albrecht, było posyłanie każdego ranka do bramy twierdzy wysłańca, który na całe gardło wykrzykiwał obwieszczenie swojego pana. Za każdy dzień, o który oblężeni przeciągną kapitulację, po zajęciu zamku książę każe stracić dwa tuziny więźniów. Chyba że jego brat osobiście się podda i przyjdzie bez broni.

Albrecht zdawał się nie mieć pojęcia, że Dytryk opuścił Weissenfels. Był to jedyny pozytywny aspekt ich obecnej sytuacji.

Jednak utrzymanie groźby w tajemnicy przed uciekinierami nie było możliwe.

Niewiele osób było wtajemniczonych w turyńską misję Łukasza i Dytryka. Norbert dokładał starań, by obsada zamku i zbiegli mieszkańcy wierzyli, że hrabia odbywał wojenną radę albo też razem z księdzem modlił się o pomyślny wynik wojny. Niektórzy mruzcili, że hrabia nie chce nikogo oglądać, bo nie wie, co robić. Taka sytuacja nie wpływała najlepiej na panujące nastroje, ale musieli się z tym pogodzić. Jeśli Bóg pozwoli, by im się udało odwrócić zły los, za trzy dni nikt nie będzie więcej podawał w wątpliwość odwagi Dytryka.

Jednakże komendantowi z wolna zaczynało brakować pomysłów, jak zachować dyscyplinę wśród uciekinierów. Zastanawiał się, kiedy odezwą się pierwsze głosy z żądaniem, by Dytryk się poddał albo zdrajcy wydadzą zamek.

Na szczęście Marta służyła rzetelną pomocą. Robiła, co mogła, dawała zajęcie wystraszonej ludzom, podnosiła ich na duchu i dbała, by wszyscy dostali coś do zjedzenia, choć nie pozwoliła wydawać zbyt wiele piwa.

Ze swojej pozycji obserwacyjnej Norbert zauważył, że na dziedzińcu doszło do jakiegoś konfliktu. Znów! Ku własnemu zdziwieniu dostrzegł żonę Łukasza zmierzającą energicznym krokiem do wieży. Musiało się wydarzyć coś poważniejszego, inaczej by go tu nie szukała.

– Norbercie, wiem, że jesteście zajęci, lecz pilnie muszę z wami pomówić – powiedziała cicho, ale z naciskiem, gdy dotarła na górę.

Wysoki komendant rzucił jej krótkie spojrzenie i dał jakiś znak jednemu ze swych ludzi, a następnie odszedł z nią kilka kroków na stronę.

– Pomówcie z Gotfrydem. Jeśli nie potrafi nakłonić żony, by się wzięła w garść, będzie musiał przypilnować, by nie opuszczała izby – zażądała nieugiętym głosem Marta. – Przed chwilą omal nie zatłukła na śmierć dziecka, tego małego głuptaka. To tylko jej ostatni wybuch szału. Wprawia ludzi w panikę, nie możemy sobie na to pozwolić.

Norbert nie podawał w wątpliwość jej żądania. Dawno się przekonał, że w obecnej sytuacji Gertruda nie stanowiła żadnego wsparcia, i wiedział, że mógł ufać ocenie żony Łukasza. Czasami mu się zdawało, jakby miał przed sobą Klarę w drobniejszym i bardziej dojrzałym wydaniu. Czasami przyłapywał się nawet na myśli, czy i Marta nie byłaby dla niego przypadkiem dobrą żoną. Do starań o rękę Klary skłoniło go po prostu pragnienie, by ochronić młodą kobietę. Przecież oboje owdowieli i powinni pomyśleć o powtórnym ślubie.

Z kolei Marta interesowała go i fascynowała w zgoła inny sposób niż jej córka, która w uprzejmych słowach odrzuciła jego oświadczenia. Marta była niezwykle drobna i delikatna, prawie nie chciało się wierzyć, że wydała na świat dzieci, które zdążyły już dorosnąć. Niemniej jednak i tak musiała być o jakieś piętnaście lat młodsza od niego.

Skarcił się w myślach i przypomniał, że jej mężonkiem był Łukasz. Ale z drugiej strony za trzy dni rozegra się krwawa bitwa o Weissenfels, w której jeden z nich może polec. Poczł wyrzuty sumienia i gwałtownie odsunął od siebie tę myśl. Nie pożądaj żony bliźniego swego!

Ponadto niezależnie od sympatii, jaką ją darzył, przyznawał Marcie rację odnośnie do Gertrudy. W każdej chwili nastroje mogły się zmienić, a on miał za mało ludzi, by wymusić wśród tłumu dyscyplinę. Gdyby wybuchła panika, wszystko byłoby stracone, a Gertruda, której najwyraźniej pomieszało się w głowie, mogła się do tego przyczynić.

– Przeprowadźcie Gotfryda, szybko! – rozkazał stojącemu obok mężczyźnie, który natychmiast wybiegł.

Następnie znów zwrócił się do Marty.

– Macie rację. Dziękuję wam – za tę sprawę i za waszą pomoc.

Marta skinęła i z powrotem zeszła na dół. Nienawidziła takich sytuacji jak dzisiejsza. Nie chciała decydować o innych ani rozkazywać. Nigdy nie chciała władzy nad innymi. Jednak przez lata nauczyła się, że czasem nie było innego wyjścia. Nie dało się przejść przez bagno bez zabrudzenia nóg.

„Gdzie jesteś, Łukasz? – myślała coraz intensywniej, jakby siłą swych myśli mogła go do siebie przywołać. – Czy Herman dotrzyma słowa?”

## *Dawne animozje*

Czwartego dnia grupa dziesięciu jeźdźców zbliżyła się do prowizorycznej twierdzy przeciwnika. Tego chłodnego jesiennego dnia przepełnionego wilgocią zapach świeżo ściętego drewna mieszał się ze smrodem dobywającym się z rowu służącego za latrynę.

Dowódca małego oddziału galopem minął strażników, którzy natychmiast go rozpoznali i bez problemów wpuścili do środka.

Jeździec zeskoczył z siodła, ofuknął krępego pachołka, którego ze sobą przywiózł, każąc mu się zająć jego cennym wierzchowcem, a następnie ruszył w kierunku największego namiotu, przed którym powiewała miśnieńska chorągiew.

Rutger się nie pomylił. Przy wejściu stał stolnik, jego ojczym, i również wydawał rozkazy.

Podszedł do niego energicznym krokiem.

– Ojczy, słyszałem wspaniałe nowiny! Nie chciałem tracić ani chwili i przyjechałem do was od razu, zamiast czekać na posiłki i zaopatrzenie.

Elmar z wielkim zadowoleniem uściskał Rutgera.

– Właśnie na to liczyłem. Wyobraź sobie, że ptaszki wyćwierkały tymczasem, że oprócz tego łajdaka z Chrystianowa jest tu także ta dziwka, jego siostra!

– Żona Rajnharda? – zdumiał się Rutger.

Robiło się coraz ciekawiej.

– Wdowa po Rajnhardzie – poprawił ojczym z kpiącym uśmiechem.

– Zatem za dwa dni przypuszczamy atak? Nie mogę się wprost doczekać – wyznał Rutger niecierpliwie.

Natychmiast w najdrobniejszych szczegółach zaczął sobie wyobrażać, jak się zemści na Klarze za upokorzenia, jakich doznał od jej ojca, męża i brata. Najpierw powinna zobaczyć, jak zabija jej brata, następnie każe ją przeciągnąć za włosy przez dziedziniec, zedrzyć z niej suknię i wychłostać, aż zacznie skomleć o litość... i o to, by pozwolił jej spełnić swe zachcianki. A gdy w końcu będzie miał jej dość,

odda ją swym pachołkom i będzie się przyglądał, jak marnie zdycha.

– Chodź, pójdziemy do księcia – zdecydował Elmar, kładąc rękę na ramieniu pasierba.

Albrecht siedział na łożu i był bez reszty pogrążony w rozważaniach. A może oddawał się śmiertelnej nudzie? Elmar podejrzewał raczej tę drugą ewentualność, był więc przekonany, że księżę dobrze przyjmie przedwczesne przybycie Rutgera.

Rutger gorliwie opadł na kolana przed margrabią.

– Wasza wysokość, cieszę się i jestem ogromnie dumny, że zleciliście mi to szczególne zadanie! Nie mogę się doczekać, by rzucić wam pod nogi głowę zdrajcy.

– To miło, to miło – odrzekł chłodno Albrecht, lustrując wzrokiem młodego, ambitnego rycerza. – Mówiono mi kiedyś, że obaj byliście równie dobrzy w fechtunku na miecze, wy i ów Tomasz. Jesteście pewni, że pokonacie go w pojedynku? Zdaje się, że mój drogi stolnik nie chciałby was stracić.

Rutger nie miał tego typu wątpliwości.

– Proszę się nie martwić, wasza wysokość. Nie boję się tej nędznej kreatury. Niechaj umiera. Wtedy mój ojciec zostanie pomszczony.

– Miło mi to słyszeć – odparł Albrecht, doskonale zorientowany w historii rodzinnych animozji.

Niespecjalnie go obchodziło, czy ten przemądrzały rudzielec będzie miał z tego jakąś osobistą przyjemność. Chciał mieć pewność, że zostanie zgładzony cały ród, zapoczątkowany przez Chrystiana z Chrystianowa, który od zawsze był mu solą w oku.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli: pojutrze, gdy zdobędziemy zamek, chcę zobaczyć tego zdrajcę martwego, a jego głowa ma zawisnąć nad bramą! – dokończył ostro Albrecht.

– Tak też będzie, macie moje słowo! – obiecał Rutger.

Albrecht dał mu znak, by wstał, ale młody rycerz się zawahał.

– Wasza łaskawość, czy pozwolicie mi przedstawić dwie prośby?

– Zaraz dwie? – Albrecht dotknięty uniósł brwi.

– Właściwie pierwsza jest propozycją, wasza wysokość – poprawił się pospiesznie Rutger. – Chciałbym zaraz pojechać pod bramę i spotkać mego wroga. Niewykluczone, że zaraz pozwoli się sprowokować do pojedynku. Wówczas jeszcze dziś nadziałibyśmy jego głowę na pal, jako pokarm dla wron.

– Pod warunkiem, że go pokonacie – sprostował Albrecht, któremu nie spodobały się bufonowate przechwałki młodzika. Ale niech będzie, zobaczy się, co z tego wyniknie. – A jaka jest zatem wasza prośba?

– Po wzięciu zamku chcę dostać dziwkę Rajnharda.

Albrecht patrzył Rutgerowi prosto w twarz, zachowując kamienną minę. Chodziło o coś bardzo osobistego, zdawał sobie z tego sprawę. Lecz ten chłopak nie powinien sobie zbyt wiele wyobrażać.

– Zdobyczne kobiety są zwyczajowo dla wszystkich – oświadczył chłodno. – Inaczej moi ludzie zaczną się burzyć i nie będę mógł mieć im tego za złe.

– Zrezygnuję z udziału w pozostałej części łupu – pospieszył z zapewnieniem Rutger. – A dziewczkę oddam reszcie, jak tylko z nią skończę – dokończył, nie mogąc ukryć uśmiechu samozadowolenia. – Albo to, co z niej zostanie. Mam kilka rachunków do wyrównania z tym zdrajcą Rajnhardem, powinna je zapłacić.

– Zgoda! – zdecydował Albrecht.

Wiedział, że jego ludziom znacznie poprawiał się humor, gdy oprócz zabicia kilku wieśniaków mogli przy okazji załatwić jakieś osobiste porachunki.

Rutger miał właśnie zamiar wstać i wyjść, lecz Albrecht zatrzymał go ruchem ręki.

– Dowiedźcie się też, czy jej bachor jeszcze żyje! Jeśli tak, to i jego zabijcie! Tę linię należy wybić do

nogi!

– Z największą przyjemnością! – zapewnił Rutger, po czym przepelniony ekstazą razem z Elmarem wyszedł z namiotu.

– Jak wygląda sytuacja w twierdzy? – zapytał ojczyma, gdy obaj znaleźli się na zewnątrz. Stolnik przywołał pachółka i kazał natychmiast przynieść swemu synowi najlepszego wina. Następnie w kilku słowach streścił wszystko, co do tej pory wiedział.

– Mają niewielu doświadczonych wojowników, najwyżej trzy tuziny, do tego kilku łuczników i fajtlap, które nie na wiele się zdadzą, a gdy przyjdzie co do czego, uciekną przerażeni własnymi cieniami. Za to w zamku jest kilka setek uciekinierów z wiosek, które spaliliśmy. Są śmiertelnie wystraszeni. Jedzenia starczy im przypuszczalnie na kilka najbliższych dni. Ale najbardziej na rękę jest nam ich strach. Każdego ranka wysyłamy pod bramę posłańca, który oznajmia, że za każdy dzień zwłoki stracimy po zdobyciu zamku dwa tuziny więźniów. Jak leci, mężczyzn, kobiety i dzieci. To odniesie skutek. Szybciej, niż można by się spodziewać.

– A hrabia Dytryk?

– Doprawdy mnie zaskoczył – wyznał Elmar. – Nie wiem, co mam o tym myśleć. Pierwszego ranka wyzwiał swego brata na pojedynek, czego oczywiście nikt z nas nie potraktował poważnie. Od tej pory się nie pokazał. I właśnie to mnie zastanawia. Czyżby w głębi duszy pojął, że nie ma najmniejszych szans i próbuje odsunąć w czasie nieubłagany rozwój wypadków? A może ma nadzieję, że zima zmusi nas, byśmy przerwali oblężenie? Czy też ma jakiś chytry plan, którego jeszcze nie rozgryżłem?

– Spróbujemy się dowiedzieć czegoś więcej – powiedział pewnym głosem Rutger. – Czy był u nich dzisiaj posłaniec?

– Tak. I nie dostał odpowiedzi, jak zwykle. Niemniej jednak miękną.

Rutger przywołał jednego ze swych giermków, który pomógł mu założyć kolczugę. Przeszywanicę miał już na sobie, a i nogawice kolcze szybko włożył.

Mimo protestów ojczyma zrezygnował z misiurki i pikowanego czepca.

– Ten łapserdak na pewno stoi na górze na ganku obronnym i obserwuje nas z ponurą miną. Chcę, żeby już z daleka zauważył, kto przybył. I nie sądzę, by kazał do mnie strzelać swym łucznikom – uśmiechnął się szyderczo. – To nie w jego stylu. To byłoby nierycerskie. Wiem, jak go sprowokować, by zapragnął mnie własnoręcznie zakatrupić. Albo wyjdzie przed bramę, albo usiekę go za kilka dni, gdy nadciągną posiłki, wtedy bez trudu wybijemy do nogi obrońców tego skalnego gniazda. Zapewniam cię, że będzie się za mną rozglądał.

– Wobec tego spraw się dobrze – upomniał Elmar. – To nie tylko kwestia naszej osobistej przyjemności, możemy sobie również zapewnić trwale zasługi. Czy mam ci towarzyszyć?

– Nie, nie trzeba – odrzucił propozycję Rutger. – To sprawa między nim a mną.

Nie potrzebował niańki. I nie zamierzał się dzielić zwycięstwem, nawet z ojczymem.

– Zbliża się samotny rycerz! – zawołał z domu bramnego Konrad z Weissenfels.

– Rycerz bez hełmu... i z płomiennorudą czupryną – dodał cicho. – Szybko zawołajcie któregoś z freiberczyków, za tym na pewno kryje się jakaś nadzwyczajna okoliczność.

Kuno pierwszy popędził schodami do góry. Bertram przez wzgląd na starą ranę nie był tak zwinny, chociaż ze wszystkich sił starał się ukryć, że kuleje.

Jego towarzysz rzucił tylko jedno spojrzenie przed siebie, po czym zaczerpnął powietrza i zwrócił się do Konrada.

– Zawołajcie Tomasza z Chrystianowa. Stawiam swe lewe ucho, że ta wiadomość przeznaczona jest osobiście dla niego. Najlepiej poproście od razu jego matkę, żeby nie pozwoliła mu się dać

sprawokować do jakiegoś głupstwa.

– Czy mógłbyś mi to dokładniej wyjaśnić? – zażądał ostro Norbert, który usłyszawszy wiadomość, też pospieszył do bramy i ostatnie zdanie wpadło mu w ucho.

– Chrystian z Chrystianowa zabił ojca tego jegomościa, to był sąd Boży – wyjaśnił Kuno, wskazując Rutgera, który tymczasem zbliżył się do nich na pół odległości strzału z łuku. – Jego ojciec Randolf wielokrotnie brutalnie plądrował naszą wioskę i za każdym razem zostawiał po sobie kilka trupów. Niewinnie zabił również moją matkę. Tenże Randolf oczernił Chrystiana i torturował go w swoim więzieniu, zamęczył go niemal na śmierć. Po latach Chrystian nareszcie miał okazję wyrównać rachunki. Między synami goreje podobna nienawiść, na śmierć i życie. Trzeba wam wiedzieć jeszcze jedno: ten mężczyzna, który zbliża się do nas z zuchwałą miną, jest nie tylko pasierbem Albrechtowego stolnika. Przecież to on zdradził męża Klary, którego Albrecht kazał później ściąć. Następnie na oczach całego dworu rzucił na ziemię panią Martę i kazał ją wtrącić do lochu.

W obliczu takich wiadomości Norbert starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Obejrzał się i zobaczył Martę spieszącą w ich kierunku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie rzucone na mężczyznę zbliżającego się do bramy i zaraz poczuł, że byłby gotów z miejsca go zabić. Choćby z powodu wyrazu, jaki przez tę krótką chwilę odmalował się na twarzy jeźdźca. Bez względu na to, czy przybył jako posłaniec, czy też nie.

– Oprzyjcie się o ścianę – powiedział cicho, zauważył bowiem, że się zachwiała. Podtrzymał ją za ramię i kazał jednemu z pachołków przynieść jej trochę wody lub piwa.

– Zostańcie za blankami, nie powinien was zobaczyć – poradził.

Marta skinęła głową.

– Mam nadzieję, że zdołacie powstrzymać syna przed nierozważnymi krokami.

– Też mam taką nadzieję – odrzekła bez specjalnego przekonania.

– Szukam zbiegłego koniokrada zwanego Tomaszem z Chrystianowa! – zawołał Rutger, zatrzymawszy się przed fosą. – Czy prawdziwa jest plotka, która mówi, że schował się u was?

– Ja widzę przed sobą tchórzliwego oszczercę, który zdradził swego pana margrabiemu Ottonowi i w ten oto nikczemny sposób wkradł się w jego łaski, zdobył rycerski pas! – odkrzyknął podobnym tonem Tomasz, a z jego głosu sączyła się drwina. – Powiedz, Rutgerze, czy mimo to wolno ci siedzieć z rycerzami przy jednym stole? A komu ukradłeś tego konia? Czyż nie byłoby lepiej, gdybyś jeździł na spokojnym osle albo mule?

Jeśli chodziło o konia, to nie musiał zgadywać. Ogier ewidentnie pochodził z hodowli Rajmunda i Rutger z całą pewnością nic za niego nie zapłacił.

– Chciałem się na własne oczy przekonać, czy nie zdechłeś za morzem, jak cała reszta. To wprawdzie osobliwe, ale przynajmniej będę miał okazję zabić cię osobiście – przechwalał się Rutger.

Tomasz głośno się roześmiał.

– A przyprowadziłeś ze sobą dość swoich dużych, silnych przyjaciół do pomocy? Jeszcze z czasów, gdy byliśmy giermkami, powinieneś pamiętać, że nie jesteś dość dobry, by mnie pokonać.

Akurat w tym punkcie niezupełnie miał rację. Rutger walczył doskonale i jako giermkowie uchodzili za równych sobie przeciwników. Jednakże jego słabościami były nadmierna wiara w siebie i żądza zemsty.

– Tchorzu! Wyjdź na uczciwy pojedynek! – wrzasnął Rutger. – Nie chcę czekać ani jednego dnia dłużej, by pomścić ojca.

– Od kiedy uczciwie walczysz? I skąd ostatnimi czasy nabrałeś tyle odwagi? Zaiste zawsze byłeś bohaterem, jeśli chodziło o przechwałki...

Słowna potyczka młodzieńców zdawała się coraz bardziej bawić weissenfelczyków, którzy z uwagą

się przysłuchiwali. Fakt ten nie uszedł uwadze Rutgera, który rozwścieczył się na dobre.

W marzeniach o zemście, które snuł na jawie w drodze do twierdzy, ich rozmowa miała zgoła inny przebieg.

– Jeśli nie masz odwagi wyjść na zewnątrz, to siedź sobie tam na górze i czekaj, aż was wszystkich załatwimy. Wiem, że sikacie ze strachu – wrzeszczał. – Znajdę cię, gdy wdrzemy się przez tę bramę. Ciebie i tę dziwkę, twoją siostrę – sięgnął po swój najmocniejszy argument.

Raptem na murze obronnym Weissenfels zapanowało milczenie, które jeszcze bardziej ośmieliło Rutgera.

– Dwa lata temu chciałem ją sobie wziąć, ale wtedy Rajnhard nie odstępował jej na krok. Jednak teraz nie żyje. Trzymając w ręku twą odciętą głowę, nauczę ją, co znaczy prawdziwy mężczyzna!

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Tomasza. Jak zareaguje na tę niesłychaną zniewagę?

– Szczurze, nie dostałeś jej wtedy, a gdybyś teraz chciał spróbować, wówczas własnoręcznie urznie ci jaja, chociaż damy robią takie rzeczy jedynie w wyjątkowych przypadkach – odrzekł, po czym uczynił niewielką przerwę i zaskakująco wesołym głosem dokończył: – Jednak sądzę, że w tych okolicznościach takie zachowanie byłoby stosowne.

Mężczyźni na wieży i kobiety przysłuchujące się rozmowie, wszyscy parsknęli śmiechem.

– Ale nim obetnę ci głowę, poprosisz panią z Reinhardsbergu o wybaczenie za tę zniewagę. I to na czterech!

W ostatnim zdaniu nie było już słyhać ani odrobiny szyderstwa, jedynie bezwzględne zdecydowanie.

Rutger był wściekły, nie przychodziła mu bowiem do głowy żadna stosowna riposta. Zamierzał odwrócić konia, ale Tomasz znów do niego zawołał. Czyżby zdecydował się na pojedynek? Rutger liczył na to, bo wówczas miałby okazję przekuć poniesioną klęskę w zwycięstwo.

– Młodziku, gdy dojedziesz na swym kradzionym koniu do twych odrażających kompanów, powiedz im, że źle zrozumieli – krzyknął i obejrzał się na zebranych. – Nie sikamy po nogach, a już na pewno nie ze strachu przed takimi nieudacznikami jak wy! Ale...

Umyślnie przeciągnął ostatnie słowa i patrząc na rozjuszoną minę Rutgera, szybkim ruchem podciągnął do góry gambeson i kolczugę.

– Ale... ja sikam na ciebie z góry, kanalio przynosząca ujnę wszystkim przyzwoitym rycerzom!

Jasny strumień, który trysnął z murów na jeźdźca, został wprawdzie odrobinę rozproszony przez wiatr, niemniej jednak i tak wystarczająco dużo trafiło do celu, mocząc włosy i przeszywając Rutgera. Wszyscy wiedzieli, że owa część garderoby, uszyta z wielu warstw materiału, za chwilę napuchnie i jeszcze przez długi czas będzie cuchnęła.

Przy akompaniamencie szyderczego śmiechu weissenfelczyków Rutger tak mocno ścisnął swego wspaniałego wierzchowca ostrogami, że z boków ogiera trysnęła struga krwi.

Tomasz uporządkował ubranie i odwrócił się do reszty zebranych, którzy przyglądali się przedstawieniu.

– Może nie było to z mej strony zbyt rycerskie zachowanie – powiedział z udaną skruchą, wskazując na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą prezentował się odrażający widok zmoczonego Rutgera. – Ale za to szczere. Można powiedzieć, że wypłynęło z samej głębi mego jestestwa.

W obliczu dwuznaczności ostatniego zdania wybuchły głośne salwy radosnego śmiechu i zapanowała ogólna wesołość, którą Tomasz, niby wytrawny kuglarz, przyjął z szeroko otwartymi ramionami, a nawet się skłonił.

– Z całego serca – dodała jakaś pulchna kobieta głosem przechodzącym w falset, nie mogąc ze śmiechu złapać powietrza.

Tomasz spojrział na dół.

– Nie, mateczko, tak nisko me serce nie upadło – odparł.

Głośna radość z powodu haniebnego odwrotu miśnieńskiego rycerza rozluźniła napięcie wśród świadków zdarzenia. Norbert z miejsca kazał rozdać piwo i chleb. Ale było to jedynie chwilowe odwrócenie uwagi. Wymienili z Tomaszem kilka porozumiewawczych spojrzeń i niepostrzeżenie wyciągnęli z cizby również Kunona, Bertrama i Martę. Świeże wieści, jakie otrzymali właśnie od Rutgera, wymagały natychmiastowej narady i podjęcia kilku decyzji.

## *W obozie wroga*

Hałas wnikający przez wąskie okno z dziedzińca do izby Norberta upewnił zebrane grono, że historia o upokarzającej ripoście Tomasza obiegła mieszkańców i wzbudziła powszechną radość.

– Dobry występ – pochwalił Norbert, nie tracąc nic z poważnego wyrazu twarzy. – Śmiech z wrogów dodaje ludziom odwagi.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł Tomasz z lekkim uśmiechem.

Jednakże Marty nie udało mu się zmylić. Skłonność do kpiny, błyskotliwość i beztroska, które przed chwilą okazał, a które niegdyś nieodłącznie mu towarzyszyły, teraz były jedynie maską skrywającą zgorzkniałość, zwątpienie i nienawiść.

„Koniecznie muszę z nim porozmawiać, choćbym miała go zaciągnąć za włosy do swojej izby!” – pomyślała nie po raz pierwszy.

– Dobry występ – powtórzył Norbert. – Ten typ coś nam zdradził, zapewne zupełnie mimo woli. A to zmusza nas do natychmiastowego działania.

– Skąd oni wiedzą, że moja siostra tu jest? – powiedział głośno Tomasz to, o czym myślał komendant. – Jeszcze kilka dni temu nikt poza wami nie miał pojęcia, kim jest. A po tym, jak hrabia Dytryk po swym przybyciu ujawnił prawdziwe imię Klary, nie było właściwie okazji, by ta wiadomość przedostała się do Miśni czy do Freibergu. Chyba że...

– Ktoś wymknął się z zamku i zdradził im tę informację – dokończył Norbert.

Przez cały czas coś podejrzewał, dlatego też grupa ludzi zebranych w jego izbie była bardzo nieliczna i miała niecodzienny skład. W naradzie brali udział jego synowie, Tomasz, Marta i obaj serwienci z Freibergu, którzy już raz podkradli się do wrogiego obozu. Przez moment rozważał, czy nie włączyć Klary, ponieważ ta sprawa dotyczyła jej osobiście. Ale gdyby wywołali ją z lazaretu, gdzie miała ręce pełne roboty, zwróciliby na siebie zbyt dużą uwagę.

– Musimy wtajemniczyć waszą siostrę i zapewnić jej szczególną ochronę, gdy przyjdzie co do czego i rozpocznie się walka – powiedział do Tomasza.

Jeszcze nim ten zdążył podziękować, Konrad zaofiarował się przyjąć na siebie to zadanie.

– A teraz chcę wiedzieć, co za szcur się tu wślizgnął i donosił – warknął Norbert. – Kto jest zdrajcą i co oni o nas wiedzą!

– Za pozwoleniem, panie – odezwał się ku ogólnemu zaskoczeniu Kuno. – Jeśli ten Rutger niespodziewanie się pokazał, to na pewno my też mamy w jego otoczeniu tajemnego sprzymierzeńca.

Z zadowolonym uśmiechem zerknął w kierunku Marty i Tomasza.

– Piotr, pacholek zajmujący się jego koniem – wyjaśnił Kuno. – Rutger uważa go za uległego sługę. Ale wierzcie mi, panie, przy nim Bertram i ja jesteśmy zupełnie nieszkodliwi i niewinni, niczym nowo narodzone dzieciątka. Jeśli zajdzie potrzeba, Piotr wyciągnie wam poduszkę spod głowy, a wy nawet tego nie poczujecie. Założę się, że cały czas nadstawia ucha, może ma plan uwolnienia Rajmunda

z Muldental i rozważa, jak mógłby się z nami podzielić kilkoma interesującymi nowinami.

– Czyżby rudzielec był aż takim durkiem? – zapytał z powątpiewaniem komendant. – Staram się unikać niedoceniań przeciwnika.

– Z całą pewnością nim nie jest – odparła Marta, nim Tomasz zdążył się odezwać. – Jest cwany, złośliwy i mimo kpiących uwag mego syna należy w nim widzieć poważnego przeciwnika, i to pod każdym względem. Ma krew na rękach, ludziom, których bardzo cenię, przysporzył wiele cierpienia. Choć Bóg powiedział „pomsta należy do mnie”, lecz ani ja, ani moja córka nie znamy spokojnego snu tak długo, jak żyje ten człowiek i jego ojczym...

Była to odpowiedź, jakiej Norbert się nie spodziewał. Nie w tak ostrej formie. Starając się nie wlepić w nią wzroku, próbował przeniknąć wyraz twarzy Marty. Jej mąż został zdradzony, ale komendant miał wrażenie, że między nimi musiało zajść coś znacznie poważniejszego.

Szybko zauważył, że tę kruchą, delikatną niewiastę było stać na wiele więcej, niżli by wskazywała na to jej drobna postura. Potrafiła działać w niezwykle trudnej sytuacji ze skutecznością, o jakiej większość kobiet mogłaby jedynie marzyć. Ale żeby od razu domagać się śmierci dwóch rycerzy z szacownego rodu...

Gdyby ktoś mu powiedział, że chciała również śmierci miśnieńskiego margrabiego, przeżyłby niewiele większy wstrząs.

– Ten Piotr dorastał jako złodziejaszek, dopóki nie zajął się nim mój pierwszy małżonek – wyjaśniła z nieco większym spokojem Marta, wzięwszy głęboki oddech. – Jadł chleb z niejednego pieca i stoi lojalnie po naszej stronie. Powinniśmy wykorzystać jego zręczność.

– Zatem należy jeszcze raz przesznuć kogoś do ich obozu – stwierdził Norbert – żeby ustalić, co wiedzą i kto jest zdrajcą.

– Jedno wydaje mi się dziwne – odezwał się w zamyśleniu Konrad. – Wiedzą, że Tomasz i jego siostra tu są, ale najwyraźniej nie mają pojęcia o was i waszym małżonku.

– Przy brodzie otwarcie się pokazałem – zaproponował Tomasz. – Dlatego przysłali Rajmunda. Ale oprócz niego żaden z Miśnieńczyków nie widział mego ojczyma ani matki. A Rajmund by ich nie zdradził, nawet na torturach.

– A więc zdrajca nie zna ich imion? – mruknął Konrad. – Wobec tego musiał się stąd wynieść, jeszcze nim się rozniosło, kim jesteście.

– Od kilku dni się zastanawiam, kogo brakuje. Jednakże w takiej liczbie ludzi trudno się rozeznąć – wyznał Norbert, niezadowolony z samego siebie. – Ale jeszcze bardziej niepokoi mnie kwestia, czy ludzie margrabiego zdążyli się już dowiedzieć, że hrabia Dytryk wyjechał. Albo sądzą, że czekamy z założonymi rękoma i mamy nadzieję, że się wycofają.

– Jeśli pozwolicie, razem z Bertramem jeszcze raz podkradniemy się do obozu i zrobimy rozpoznanie – zaproponował Kuno.

– Ty z pewnością nie, przyjacielu, nie z twoją sztywną nogą – zdecydował Norbert. – Tę akcję należy przeprowadzić szybko i ostrożnie. Jeśli was odkryją, będzie się liczyła każda sekunda.

– Pójdę z nim – zgłosił się Tomasz.

Ale Norbert natychmiast odrzucił jego kandydaturę.

– Tutaj jesteście mi bardziej potrzebni. By odnaleźć zdrajcę, druga osoba musi być tutejsza.

Tomasz niechętnie się zgodził. Nie mógł usiedzieć na miejscu, najchętniej od razu podjąłby jakieś działania przeciwko ludziom Albrechta i Elmara.

– Obiecacie mi jedno: gdy dojdzie do bezpośredniej walki, zostawicie mi Rutgera – poprosił komendanta. – Nikt z waszych ludzi nie może go zabić, to moje zadanie. To coś bardzo osobistego.

Norbert uniósł brwi, ale nic nie powiedział i skinieniem głowy zgodził się na to żądanie. Był ciekaw,



czy kiedykolwiek się dowie, co się naprawdę wydarzyło w Marchii Miśnieńskiej.

Wkrótce potem Kuno i Konrad spuścili się na linie po tylnym murze twierdzy. Wyszukali sobie proste ubrania, podobne do tych, jakie nosili konni pachołkowie Albrechta, i wsunęli za pasy sztylety. Konrad związał włosy i ukrył je pod czepcem, bo jedynie rycerze nosili długie do ramion fryzury.

Ku ich własnemu zdziwieniu, obaj świetnie się uzupełniali. Konrad znał każdy skrawek terenu, natomiast Kuno pamiętał z ostatniego zwiadu, w którym namiocie przetrzymywano Rajmunda, o ile oczywiście jeszcze żył i nie został przeniesiony w inne miejsce.

Kuno najpierw rozejrzał się za Piotrem, który jako koniuch Rutgera powinien się kręcić gdzieś w okolicach wybiegu albo siedzieć obok namiotu swego pana i czyścić uprząż. Freiberczyk raczej nie przypuszczał, by mogli go chwilowo odebrać panu i odesłać do budowy palisady.

W rzeczy samej, Piotr był na wybiegu i szczotkował cennego kasztanka, na którym jeździł Rutger. Około dwunastu kroków dalej Konrad zauważył głowę jakiegoś mężczyzny nabitą na pał. Już wiedział, kim był zdrajca.

– Piękny koń – zagadnął jeden z dwóch mężczyzn zmierzających prosto w kierunku pachołka Elmarowego pasierba, którzy sądząc po ubraniu, należeli do oddziału konnych.

– Tak, ale trochę narowisty – odrzekł Piotr, nie dając po sobie poznać, że ich pojawienie się choć trochę go zaskoczyło. – Trzeba mu ruchu, nie powinien stać.

Gdyby ktoś przysłuchiwał się ich rozmowie, musiałby się zdziwić, kasztanek bowiem razem ze swym jeźdźcą dopiero przyjechali. Jednakże Kuno w lot pojął aluzję.

– Czy wiesz, gdzie jest właściciel? – zainteresował się.

Po tonie głosu Piotr się zorientował, że Kuno nie miał na myśli Rutgera. Powoli się wyprostował i rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukając.

– Na razie jest zajęty – poinformował głośno, bo w tej właśnie chwili minęło ich dwóch stajennych uskarżających się na wilgotną pogodę, która jednego z nich przyprawiła o katar i rwanie w kościach.

Trzej rzekomi pachołkowie odprowadzili ich wzrokiem, aż oddalili się na dostateczną odległość.

Piotr, nie przerywając szczotkowania konia, szepnął:

– Rajmund siedzi w czwartym namiocie po prawej. W środku jest dwóch strażników. Nie będzie ich szkoda. Towarzyszy mu brat Łukasza. Też związany. Ale zachowajcie ostrożność! Lepiej, żeby was nie widział. Pojutrze przyjdą posiłki w sile pięćdziesięciu ludzi i machina oblężnicza. Mam nadzieję, że macie dobry plan – powiedział i uśmiechnął się od ucha do ucha. – W przeciwnym wypadku będziemy musieli razem coś wymyślić. Miałbym kilka pomysłów...

Rajmund zapadł w półsen, o ile ból i niewygodna pozycja w więzach na to pozwalały. Z oszołomienia wyrwało go tępe plaśnięcie i odgłos bolesnego uderzenia gdzieś obok niego. Nim zdążył odwrócić głowę, ktoś zaczął rozwiązywać krępujące go więzy. W następnej chwili wielce zdumiony zobaczył przed sobą dobrze znaną twarz Kunona.

– Jeśli zechcecie uciec, przed jutrem nie powinni was szukać – szepnął przybyły. – Jeżeli trzeba wam zostać, to przynajmniej sobie łyknijcie, z najlepszymi życzeniami od pani Marty. Powiedziała, że napój uśmierzy większość bólu.

Kuno pomógł mu się wyprostować. Rajmund z wdzięcznością przyjął pomoc, po czym napił się ostrego eliksiru. Za sobą zauważył strażników, którzy leżeli na ziemi, zwaleni jeden na drugim, najwyraźniej martwi. Jakub też leżał związany i nie dawał znaków życia.

– Jest tylko nieprzytomny – uprzedził jego pytanie Kuno. – Nie wiemy, czy można mu ufać.

– Raczej nie. Skrępujcie go trochę mocniej i zakneblujcie. Będzie miał wymówkę, gdy go znajdą z martwymi strażnikami. Dwóch innych właśnie wyszło. Chętnie przeszedłbym zaraz na waszą stronę. Ale muszę najpierw wrócić do domu, wywieźć żonę w bezpieczne miejsce. Później wrócę i wam pomogę.

Tę decyzję podjął już wcześniej, gdy leżał skrępowany. Jego syn nie żył, zatem nie miał komu przekazać spuścizny.

– Mamy dla was rączego ogiera – poinformował Kuno z zadowoleniem, uśmiechając się pod nosem. – Zdaje się, że go znacie. Kasztanek z niewielką strzałką. Rutger go sobie przywłaszczył, ale mam wrażenie, że to wierne zwierzę woli wrócić do prawowitego właściciela.

– Na nim nikt mnie nie dogoni! – uradował się Rajmund.

– Wkrótce zapadnie noc, większość ludzi siedzi i pije – odezwał się młody mężczyzna towarzyszący Kunonowi.

Rajmund miał wrażenie, że widział go na zamku w pobliżu Łukasza.

– Dobra okazja do ucieczki. Lecz przedtem powiedzcie, ile wiedzą o tym, co się dzieje w twierdzy.

– Przysięgam, że nie powiedziałem więcej, niż sami mogli się domyślić. Zaraz pierwszego dnia pojмали kogoś, kto śpiewał jak z nut.

– Nic więcej nie powie – rzucił ponuro Konrad.

– Wiedzą, jak jest w środku i na ile wystarczy wam zapasów – opowiadał Rajmund. – Ale nie mają pojęcia o waszych planach ani dlaczego hrabia Dytryk się nie pokazuje. Zdają się całkowicie na swoją przewagę. Za dwa dni dotrą posiłki, wtedy przypuszczają wielki atak.

Konrad wstrzymał się od komentarza i uniósłszy płótno w tylnej ścianie namiotu, sprawdził, czy mieli wolną drogę. W ciemności niepostrzeżenie wyślizgnęli się na zewnątrz. W miejscu, gdzie przywiązany był kasztanek, Piotr położył dobre siodło. Po kosztownych zdobieniach Rajmund poznał, że należało do Elmara. Nie miał pojęcia, jak ów mistrz wśród złodziei zdołał je niepostrzeżenie wykraść z namiotu stolnika i jak się później wytłumaczy, gdy wyjdzie na jaw, że równocześnie zniknął również wspaniały ogier Rutgera. Znał jednak na tyle dobrze brawurę młodzieńca, by sądzić, że ten zadbał o odpowiednią wymówkę i podjął odpowiednie środki ostrożności, które pozwolą mu później odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Na tę myśl nie mógł powstrzymać uśmiechu. Po raz pierwszy, odkąd się dowiedział o śmierci syna.

Gdy wciągnięto ich na linie z powrotem na mury zamku, Kuno i Konrad przeprowadzili krótką rozmowę w sześcioro oczu z Norbertem.

Dowódca odesłał Kunona, by ten się posilił i zaspokoił pragnienie. Następnie rozkazał synowi i dwóm rycerzom, by za nim poszli. Zdecydowanym krokiem ruszył do izby zarządcy i wszedł bez pukania.

Gotfryd drgnął, ale nim zdążył się odezwać, Norbert już przed nim stał.

– Gdzie się podział ten nicpoń twój syn? – zapytał z groźbą w głosie, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

Przerazona mina gospodarza stanowiła wystarczającą odpowiedź. Gertruda zakryła rękami usta.

– Wtrąćcie go do lochu! W łańcuchach – rozkazał Norbert swoim rycerzom. – Jego żonie nie wolno opuścić izby.

Wszyscy zebrani w pomieszczeniu na chwilę zamarli w bezruchu. W końcu Norbert wychylił się przed siebie i chwycił siwobrodego mężczyznę za wycięcie przy dekolcie tuniki.

– Tchorzu, twoją największą hańbą wcale nie jest twój syn, który się wykradł, żeby nas sprzedać wrogowi, tylko fakt, że od wielu dni o tym wiedziałeś i nie odezwałeś się ani słowem! – rozsierdził się komendant.

Następnie zwolnił uchwyt i z niewzruszoną miną patrzył, jak rządca osunął się na ziemię.

– Masz szczęście, że nie wiedział najważniejszego i dzięki temu nie mógł tego zdradzić. W przeciwnym razie wepchnęlibyśmy mu język do gardła i dotąd cisnęli, aż by się udusił. Ale ludzie Albrechta zgotowali mu już odpowiednią łaźnię.

Nie zważając na jęki starego i okrzyk Gertrudy, odwrócił się na pięcie i poszedł do drzwi.

– Zabierzcie mi go z oczu! – rozkazał.

Rycerze nie widzieli powodu, dla którego mieliby się z nim obejść delikatnie.

## *Przed bitwą*

Następnego dnia Marta straciła cierpliwość. Z błyskiem w oku stanęła przed najstarszym synem.

– Przestań wreszcie mnie omijać i chodź do mojej izby. Chcę obejrzeć twoje dawne rany!

Tomasz patrzył na matkę niczym dziecko przyłapano na gorącym uczynku.

– Klara już to zrobiła – podjął ostatnią próbę, która oczywiście od samego początku skazana była na porażkę. Marta nie starała się czegokolwiek wyjaśnić, jednakże z jej twarzy wyczytał wszystko, czego mu nie powiedziała. Klara miała i tak za dużo pracy. Nadzieja, że uda mu się wywinąć, była bezpodstawna i gdyby matka spełniała swe obowiązki z mniejszym zaangażowaniem, ten moment nadszedłby o wiele wcześniej.

Lecz jutro rozegra się najprawdopodobniej bitwa o Weissenfels. W najlepszym razie Dytryk przybędzie z turyńskim wojskiem i wspólnymi siłami zmuszą Albrechta do ucieczki. Gdyby ziścił się najgorszy scenariusz, przysłyby posiłki z Miśni i rozpoczęły się atak na twierdzę. Przed bitwą dobrze byłoby dojść do ładu nie tylko z Bogiem i z własnym sumieniem, ale także z bliskimi.

– Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że czasem potrafisz przejąć człowieka grozą? – mruknął Tomasz, posłusznie podążając z matką do izby.

– Tak, wyobraź sobie, że raz chcieli mnie nawet z tego powodu utopić – odrzekła tonem, który go zadziwił.

W tej chwili wydawała się raczej rozbawiona niż oburzona tym faktem. Wreszcie pojął, że najwyraźniej sobie z niego dworowała. „Jakaż siła musi w niej tkwić, jeśli wciąż potrafi robić sobie żarty z takich potworności” – przeleciało mu przez myśl.

Jednak gdy w niewielkiej gościnnej izbie po raz pierwszy ujrzała zasklepioną ranę na jego lewym ramieniu, natychmiast przeszła jej ochota do żartów.

Przygryzła dolną wargę i tak nisko pochyliła się nad potworną blizną pozostawioną przez zgorzel, nóż i żelazo do wypalania ran, że w okamgnieniu porzucił myśl o tym, że przyczyną mogłoby być osłabienie jej wzroku. Kąciki jej ust podejrzenie zadrżały. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, po czym się rozpłakała. Była znachorką i na podstawie blizn potrafiła sobie dokładnie wyobrazić, co wycierpiał.

Przyciągnął matkę do siebie i przytulił, a następnie powiedział coś na pocieszenie i otarł jej łzy z policzków...

Jej smutek ścisnął mu serce, ale miał wrażenie, jakby z każdym oddechem zdejmowała z niego część ciężaru.

Wreszcie Marta puściła syna, odetchnęła i przetrząsłszy twarz rękawem sukni, wyciągnęła z kosza stojącego na skrzyni jakiś tygielek.

– Najważniejsze, że ręka wciąż jest na swoim miejscu – przerwał bolesną ciszę, jaka zapadła w pokoju. – Gdyby nie Roland, odcięliby ją wtedy w Ikonium...

To jedno słowo przywołało tamte wspomnienia, ujrzał przed sobą wszystko, co przez długie miesiące

starał się zapomnieć. Zapalczywe bitwy, rzeki krwi, smród niepogrzebanych ciał rozkładających się na słońcu... Tamten obcy świat, w którym się pojawili jakby tylko po to, by zabijać i umierać.

– Wiem – odrzekła ku jego zaskoczeniu.

Tomasz nie pytał skąd. Nagle ogarnęło go wrażenie, jakby słowa uwięzły w jego głowie, nie mogąc się wydostać. Dytryk pewnie im opowiedział. Jego matka i Łukasz byli mu bardzo bliscy. Możliwe, że niektóre rzeczy zobaczyła w swoich osobliwych snach, o których nie wolno jej było rozmawiać z nikim innym poza jego ojcem, a później Łukaszem i swoimi dziećmi.

– Żywokost – objaśniła, smarując maścią bliznę. – Łagodzi nawet zadawnione rany...

W pierwszym odruchu chciał cofnąć rękę, ale go przytrzymała. Wreszcie przymknął oczy i bez oporu poddał się jej zabiegom. Było mu dobrze, czuł ulgę... kołły go rozdrobnione, rozgotowane w smalcu zioła, ale przede wszystkim dotyk opuszek jej palców, niespodziewanie przywracający czucie pozrastanej skóry.

Dlaczego wcześniej do niej nie przyszedł?

– Jutro musisz mieć sprawne ramię – powiedziała, jakby odczytując jego myśl.

Gdy wtarła w głęboką ranę całą maść, puściła jego ramię i oparłszy się o ścianę, zamknęła oczy i poczęła mówić.

– Czasem się zastanawiam... po wszystkim, co przeszliśmy... czy kiedykolwiek będzie nam dane prowadzić normalne życie...

Tomasz spojrział na nią zaskoczony.

– Co to znaczy „normalne życie”?

– Spokojne. W pokoju. Zgodne z Bożym porządkiem – odrzekła cicho.

Później bezradnie wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

– Ty zabijałeś. Ja rzuciłam klątwę. Oboje życzymy ludziom śmierci za ich podłe uczynki. Czy nie powinniśmy czuć się winni albo przynajmniej mieć wyrzuty sumienia?

Każdej innej osobie odpowiedziałby bez wahania, że tak już jest, zadaniem rycerza jest zabijanie wrogów, a przecież jako pobożny chrześcijanin wypowiadał się i otrzymał odpust za każdą kroplę krwi, która została przez niego wylana.

Ale taka odpowiedź nie zadowoliłaby jego matki.

Nagle mimo woli przypomniał sobie Notkera, młodego mnicha z zakonu benedyktynów, z przekrzywioną tonsurą, który był jednym z jego towarzyszy na wyprawie krzyżowej. Mądry Notker znałby może odpowiedź na to pytanie.

Co się z nim działo? Po zdobyciu Akki nie wrócił razem z innymi do ojczyzny, do swego kościoła w Chemnitz. Został, żeby opiekować się chorymi w urządzonym prowizorycznie szpitalu pod żaglami<sup>11</sup>.

Czy wciąż tam był? I czy tymczasem powstał w Akce prawdziwy szpital dla pielgrzymów?

Tomasz poczuł zupełnie nieoczekiwaną potrzebę rozmowy na ten temat.

– Na Wschodzie mają przedziwne metody leczenia – opowiadał, a słowa popłynęły z jego ust wartkim potokiem. – Szkoda, że nie widziałaś! Znachorzy cieszą się tam dużym poważaniem. Mimo że nie odmawiają modlitwy przed przystąpieniem do swojego zajęcia, co u nas nie byłoby dobrze widziane. Nie spieszą się też z obcinaniem kończyn tak bardzo, jak to czynią nasi medycy. Sale dla chorych są jasne i pełne powietrza. Szczególnie dużą wagę przykładają do czystości i dają chorym dużo owoców do jedzenia.

Matka zdawała się pochłaniać każde jego słowo. Próbował sobie przypomnieć, co mówiono o leczniczych napojach i maściach, które dostawał w lazarecie w Antiochii. Pielgrzymi odzyskiwali siły po męczącym marszu przez pustynię i po bitwach, on zaś kilka tygodni przeleżał trawiony gorączką. Niektóre rzeczy wydały mu się znajome, inne zaś całkiem obce.

– Gdy gorączka odpuściła, często o tobie myślałem – kontynuował, uśmiechając się do siebie. – Jak bardzo by cię to zaciekawiło. Ale nie mogłem nikogo spytać, jak się nazywają te zioła, których używali, nikt bowiem nie znał naszego języka.

Powodowany impulsem wstał, nadal mając na sobie jedynie gacie i nogawice<sup>12</sup>, bo do zabiegu musiał przecież zdjąć z siebie zbroję i przeszywanicę. Po kolei otwierał ułożone w koszu flakoniki i wąchał ich zawartość. Jednakże żaden z zapachów nie kojarzył mu się z tymi, które zostały mu w pamięci z Antiochii.

– Muszą tam mieć zupełnie inne rośliny – stwierdził z rozczarowaniem.

Marta się roześmiała.

– Niektóre zioła ze Wschodu można dostać jedynie u żydowskich handlarzy za spore pieniądze – powiedziała. – Rajnhard podarował trochę Klarze, gdy się o nią starał.

W jednej chwili prysnął czar chwili.

Rajnhard nie żył, żydowscy handlarze z Freibergu byli w obecnej sytuacji nieosiągalni, żadne z nich bowiem nie miało prawa pokazać się w Marchii Miśnieńskiej. A jutro czekała ich bitwa. Nie dało się przewidzieć, ile przyniesie ofiar.

Tomasz sięgnął po koszulę i kaftan i wciągnął na siebie przez głowę obie części garderoby. Następnie ponownie objął matkę.

– Nie martw się, dobrze? – poprosił. – Oboje żyjemy do dzisiaj, więc jutro Bóg też nas osłoni swą miłosierną dłonią.

– Tak – odparła szeptem. – Teraz idź, spróbuj się trochę przespać.

W nocy poprzedzającej bitwę każdy, kto wiedział, co ich czeka, starał się pogodzić z Bogiem i uporządkować sprawy, które leżały mu na sercu.

Norbert odszukał Klarę w lazarecie i poprosił ją na stronę, poinformował młodą kobietę, że Rutger się za nią rozglądał, on zaś wraz z synami zapewnią jej specjalną ochronę na wypadek, gdyby twierdza została zdobyta.

Klara podziękowała mu za troskę.

Pogubiony we własnych uczuciach Norbert na nowo zaczął się zastanawiać, która z dwóch niewiast byłaby dla niego lepszą małżonką. Ta młoda czy też jej fascynująca matka, która wciąż wyglądała tak, jakby upływ czasu nie dotyczył jej osoby.

Trochę później pokazał się Konrad i powtórzył tę samą wiadomość oraz zapewnił ją o swej opiece. Krążył jak kot wokół miski gorącego mleka, aż wreszcie zebrał się na odwagę i spytał, czy mimo wszystko może żywić nadzieję, że kiedyś zdecyduje się za niego wyjść. W uprzejmych słowach wyjaśniła mu, że jej żałoba po zmarłym małżonku jest na razie zbyt głęboka, by mogła myśleć o powtórnym zamęściu. Niemniej jednak zwróciła mu uwagę, że piękna panna Zyglinda kocha się w nim po uszy i bez wątpienia byłaby dobrą matką dla jego przyszłych dzieci.

Młody kowal wspomniał własną matkę i przypomniał sobie, jak jego ojciec samotnie dawał sobie radę. Później udał się na spoczynek. Oczami wyobraźni widział, jak płonące strzały, które przygotował w swojej kuźni, będą jutro podpalać palisady Albrechta.

Kuno modlił się za Joannę i dzieci. Bertram odmawiał modlitwę za duszę swej zmarłej małżonki Marii.

Marta porządkowała lekarstwa i zwijała pasy lnu. Po modlitwie za pokój duszy Chrystiana wszystkie myśli skierowała na Łukasza, który znajdował się w drodze powrotnej do zamku, być może jedynie kilka mil od niej.

Klara zmieniała opatrunek rannemu łucznikowi i zastanawiała się, czy Dytryk jest już zaręczony z Juttą

Turyńską.

Potem wszedł Tomasz i kategorycznie oznajmił, że siostra powinna odpocząć, a jej córeczka z płaczem dopomina się o matkę. Widział małą, bo w poszukiwaniu siostry zajrzał najpierw do jej izby i zastał w niej młodą służącą, która opiekowała się Anną w czasie, gdy jej matka pracowała w lazarecie.

Klara związała nad raną końcówki lnianego bandaża, a następnie bez sprzeciwu poszła za bratem do swojej izby.

Anna z jakiegoś powodu się obudziła i nie dawała się uspokoić. Klara wzięła ją na ręce i ucałowała, a odesławszy piastunkę, utuliła małą do snu.

Dobrze znane, miękkie ciało matki i łagodny głos, jakim Klara śpiewała kołysankę, sprawiły, że płacz umilkł i małej opadły powieki.

Tomasz upajał się widokiem siostry tulącej z miłością dzieciątko. „Wszystkie matki są takie same – pomyślał zupełnie bez związku. – Napełniają nas spokojem, dają siłę i ukojenie. Nikt inny tego nie potrafi”.

Żadnego miecza. Żadnego srebra. Żadnych rozkazów.

Tylko jej bezwarunkowa, bezgraniczna miłość, jej dobroć i mądrość, płynąca z głębi serca.

Wcześniej matka zdjęła mu z ramion niewidoczny ciężar, pod którym omal się nie załamał. A widok siostry ze śpiącym dzieckiem w ramionach otworzył mu serce, które niedawno chciał opancerzyć choćby żelazem.

Na mgnienie oka. Tylko na tę noc. Dopóki nie wstanie nowy dzień, gdy będzie musiał stanąć do bitwy i zabijać. Żeby przeżyły matki i dzieci.

# CZĘŚĆ DRUGA

## *Bratobójcza wojna*

## Znaki ogniem

Przez trzy dni znojnego marszu Dytryk i Łukasz szli z turyńską armią pod dowództwem marszałka Henryka z Eckartsbergi na teren położony kilka mil na południe od Weissenfels, którego Albrecht nie miał możliwości obserwować ze swej prowizorycznej twierdzy.

Na umówionym miejscu czekał na nich Konrad, syn Norberta, który zdał im relację ze wszystkich wydarzeń, jakie nastąpiły po ich tajemnym odjeździe. Opowiedział o umocnieniach, które margrabia miśnieński kazał ostatnio wznieść i które jeszcze nie były całkiem gotowe, o pogrózkach wykonania egzekucji, o sytuacji na zamku oraz zdradzie, której dopuścił się syn Gotfryda.

– Nie mają pojęcia, że was nie było, w tej kwestii jesteśmy pewni – przekazał informację od komendanta jego pierworodny syn. – Myślą, żeście się zaszyli w komnacie i załamujecie ręce.

Dytryk wymienił spojrzenie z Eckartsbergą, na którego twarzy ukazał się nieznaczny uśmiech zadowolenia. Turyński marszałek miał doświadczenie wojenne. Był po sześćdziesiątce, niemal tak samo smukły jak Norbert. Miał siwe włosy i gęstą brodę. Niemniej jednak wciąż zwinnie władał mieczem i cieszył się estymą wśród rycerstwa.

– A zatem wyprowadzimy go z błędu – skwitował spokojnie nowinę.

Na jego rozkaz oddziały rozbiły na noc prowizoryczny obóz. Oni również wyruszyli bez wozów z zaopatrzeniem i pieszych. Nie chcieli tracić czasu, albowiem za wszelką cenę musieli dotrzeć na miejsce przed posiłkami z Miśni. Jednak ludzie i konie powinni wypocząć przed jutrzejszym natarciem.

– Jest coś, o czym powinniście wiedzieć – powiedział Konrad do Łukasza.

Starając się ukryć osobistą troskę o Klarę, opowiedział o pojawieniu się Rutgera i wyzwaniu, jakie rudowłosy rycerz rzucił Tomaszowi, a także o osobliwej odpowiedzi jego pasierba.

W pierwszej chwili Łukasz nie był pewien, czy reakcja Tomasza powinna go rozzłościć, czy też rozbawić. Jeszcze gdy chłopak był giermkim, stary zbrojmistrz nie bez kozery nazywał go niekiedy chwalipiętą. Łukasz miał tę scenę jak żywą przed oczami i nie potrafił ukryć wesołości. Niemniej jednak miał świadomość, że podczas czekającej ich bitwy będzie musiał zwrócić na Rutgera baczną uwagę.

Tej nocy nie palili ognisk. Taki rozkaz wydali Dytryk i marszałek z Turyngii. Nikt nie mógł przewidzieć, jak daleko zapuszczały się patrole przeciwnika. Nie wolno im było ściągać na siebie uwagi. Następnego ranka mieli dać weissenfelczykom sygnał ogniem, a potem wspólnie z nimi z dwóch stron przypościć równoległe natarcie na wroga.

Tego wieczora Dytryk był wyjątkowo małomówny. Łukasz się zastanawiał, czy powodem jego milczenia była czekająca ich walka, czy też planowane wesele. Tuż po zakończeniu poufnej rozmowy z gościem Herman ogłosił zaręczyny. Jednocześnie oznajmił, że czuje się w obowiązku pospieszyć z pomocą zięciowi krzyżowcowi, którego zaatakowano z naruszeniem wszelkich obowiązujących zasad. Postawienie w gotowości kontyngentu złożonego z dwustu rycerzy, serwientów i giermków nie zabrało mu wiele czasu.

Tymczasem Łukasz odbył krótką, choć burzliwą dyskusję ze swym pasierbem Danielem, który bez pardonowo domagał się zabrania go na wojnę. Drugi syn Marty i Chrystiana skończył właśnie szesnaście lat i był giermkim na zamku Wartburg.

– Potrzebuję cię na miejscu, chcę, byś się zaopiekował braćmi, jeśli mnie i twojej matce coś się przytrafi – uświadomił chłopcu z całym zdecydowaniem.

W Eisenach mieszkali również trzej jego inni synowie w wieku paziowskim. Paweł, Łukasz młodszy i Konrad, ich wspólne dziecko z Martą, które miało dopiero sześć lat.

– Nie wolno ci zapomnieć, że Albrecht chce zabić całą naszą rodzinę. Podczas bitwy na pewno się



wreszcie zorientuje, że wbrew powszechnemu przekonaniu wcale nie umarłem. Potem zacznie was szukać.

Tymczasem prawdziwy powód, dla którego nie chciał, by chłopak wziął udział w bitwie, był zgoła odmienny. Ale nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się nim z Danielem. Podobnie jak Marta, on również zauważył, że mimo zabawnej wymiany zdań z Rutgerem i wojennego doświadczenia Tomasz nie był w najlepszej formie psychicznej do bitwy. Rzuci się na oślep w największy wir walki albo pozwoli się zwabić Rutgerowi. Łukasz żywił poważne obawy, czy Tomasz przeżyje nadchodzący dzień. Dlatego też nie chciał wystawiać drugiego syna Marty na śmiertelne ryzyko.

– Pokażemy Miśnieńczykom, jakie są konsekwencje napaści na krzyżowca – zapewnił Henryk z Eckartsbergi z marsową miną, gdy tymczasem Łukasz utonął w rozmyślaniach.

Dytryk skinął z wdzięcznością za słowa otuchy, chociaż odnosiło się wrażenie, że tego wieczoru hrabia Weissenfels wolałby zostać sam na sam z własnymi myślami.

– Bóg wyciągnie swą opiekuńczą dłoń i osłoni uciśnionych – rzucił Łukasz i odprowadził go wzrokiem.

Po chwili hrabia zniknął w płóciennym namiocie, rozstawionym dla niego na nocleg.

Łukasz zawinął się w pelerynę i ułożył przed wejściem do namiotu. Już kiedyś pilnował młodszego syna Ottona, gdy ten był jeszcze giermkim u Chrystiana, i teraz też nie zamierzał zrezygnować z tego przyzwyczajenia.

Konrad dzielił z nim wartę. Noc będzie krótka, a jutrzejszy dzień przyniesie rozstrzygnięcie.

Przed snem Łukasz pomyślał, że w trakcie jutrzejszej bitwy chciałby być w kilku miejscach jednocześnie. Musiał chronić hrabiego Dytryka, pilnować Tomasza, a do tego z ogromną przyjemnością skrzyżowałyby miecze z Elmarem i z Rutgerem. Po raz wtóry zabrzmiały mu w uszach słowa, jakie niedawno ku jego wielkiemu zdumieniu padły z ust Marty, która wszak na co dzień była delikatną, łagodną, łaknącą pokoju istotą.

„Jeśli w Marchii ma zapanować pokój... by tysiące ludzi nie padły ofiarą nieprawego człowieka... wcześniej ktoś będzie musiał zabić Albrechta”.

Może jutro mu się to uda.

Był gotów to uczynić.

Pomodlił się o to do świętego Jerzego, patrona rycerzy, aż wreszcie usnął na nierównym leśnym poszyciu usłanym wilgotnymi liśćmi. W razie potrzeby potrafił zrezygnować z wygody. Przeszywanica i ciepła, porządnie podbita peleryna dobrze izolowały od wilgoci.

Mimo to Łukasz był sztywny z zimna, gdy szarym świtem usłyszał sygnał pobudki. Mężczyźni wstali, a następnie wspólnie uklękli, by poprosić Boga o wsparcie na nadchodzący dzień.

Później rozdzielono chleb i piwo. Gdy osiodłano konie, dwóch mężczyzn rozpałiło na rozkaz Dytryka ognisko, umówiony sygnał dla załogi twierdzy.

Norbert już od wieczora wyteżał wzrok, sprawdzając, czy nie zbliża się armia. Od południa mieli nadejść Turyńcy, od wschodu zaś spodziewali się wrogich posiłków. Ale nic szczególnego nie dało się zauważyć. Toteż kazał wartownikom zachować wzmocnioną czujność i nie spuszczać z oka okolicy, sam zaś postanowił pozwolić sobie na chwilę snu, nim następnego dnia poprowadzi ludzi do walki.

Tuż przed poranną szarówką zajął stanowisko na wieży i wyteżając wzrok, wyczekująco spoglądał w kierunku, z którego miał nadejść ustalony sygnał.

Dzień był chłodny i mglisty. Zdawało się, że los im sprzyjał. Ludzie Albrechta, podobnie zresztą jak i on sam, zauważają zbliżające się wojsko dopiero w chwili, gdy oddziały będą już prawie na miejscu. Co prawda płonący w oddali ogień nie ujdzie pewnie uwagi przeciwnika, ale przy odrobinie szczęścia może

go pomylić z łuną pożaru bijącą od jakiejś płonącej chałupy lub źle zabezpieczonego mielerza.

Mimo że miał na sobie ciepłą przesywanicę i kolczugę, Norbert drżał z zimna. Stał na wieży, wokół której hulał lodowaty jesienny wiatr, i wpatrywał się w okolicę położoną na południe od zamku.

No, nareszcie! Początkowo ujrzał ledwie dostrzegalną smugę dymu, z którego za chwilę zaczęły powstawać coraz wyższe słupy ognia.

Z ulgą pognał na dół po stopniach schodów we wnętrzu wieży.

Celowo nie kazał bić na alarm, by nie zwracać uwagi wroga rozlokowanego na przeciwnym wzniesieniu, które weissenfelczycy ochrzczili ostatnio mianem „Klemmberg<sup>13</sup>”. Lecz jego rycerze i serwienti wraz z sześcioma wojownikami z Turyngii od dawna już byli na nogach w gotowości do wymarszu.

Na jego rozkaz osiodłano konie. Książd pobłogosławił przedsięwzięcie i mężczyźni wskoczyli na konie. Norbert zabrał ze sobą wyłącznie jeźdźców. Wśród nich znalazła się także część łuczników, którzy dobrze trzymali się w siodle, wyposażonych w przygotowane przez Guntrama zapalające strzały. Procarze, piesi i część giermków zostali na zamku. Mieli za zadanie bronić twierdzy, w razie gdyby pojedynczy wrogowie próbowali sforsować mur.

Wszyscy mężczyźni i chłopcy, którzy nadawali się do walki, zostali rozstawieni na gankach obronnych. Na polecenie Norberta Marta kazała gotować w kotłach ukrop, którym mieli oblewać z góry napastników, gdyby ci odważyli się podejść pod sam mur.

Komendant dał znak, by otwarto bramę i podniesiono kratę oraz opuszczono zwodzony most. Następnie się przeżegnał, a poprosiwszy świętego Jerzego o opiekę, wznosił miecz i pogalopował przed siebie. Tuż za nim popędził Tomasz i turyńscy towarzysze Hugona z wyprawy krzyżowej, jego syn Henryk oraz cztery tuziny innych jeźdźców. Natychmiast po ich wyjeździe z powrotem zabezpieczono twierdzę. Teraz należało się przebić przez patrole nieprzyjaciela do miejsca u podnóża Klemmbergu, gdzie zamierzali się połączyć z Dytrykiem i Turyńczykami.

Podczas oczekiwania na przybycie posiłków w obozie Albrechta panowała coraz większa monotonia. Rzecz jasna nie wśród pachołków i serwientów, całkowicie pochłoniętych wznoszeniem palisad, kopaniem rowów, doglądaniem koni i opieką nad rannymi, lecz wśród rycerzy, których nie wypadało obarczać takimi pracami. Szczególnie nudził się Albrecht. Początkowo popijał z Elmarem dla zabicia czasu do nadejścia posiłków i pławił się w rozmyślaniach o zemście na bracie oraz jego stronnikach, a także na astrologu, który przepowiedział mu łatwe i szybkie zwycięstwo. Nawet słowem nie pisał o tym, że przez wiele dni trzeba będzie obozować na tym wilgotnym i zimnym wzniesieniu spowitym we mgłach, wbijając wzrok we wroga, który ani myślał się poddać.

Już drugi dzień huczało mu w głowie od nadmiaru wypitego wina i z trudem zbierał myśli. Wreszcie dla zapewnienia sobie rozrywki wysłał jednego z rycerzy do Merseburga po kilka urodziwych dziwek.

Tymczasem jego rycerze rozpraszali nudę grą w kości i pić wina, zniechęceni i zawiedzeni brakiem okazji do plądrowania i brakiem kobiet.

Ale gdy czwartego dnia wyszła na jaw ucieczka Rajmunda z Muldental, a w namiocie znaleziono trupy dwóch strażników, którzy mieli go pilnować, do tego zniknął szlachetny wierzchowiec Rutgera, a na domiar złego odkryto, że brakowało cennego siodła Elmara, co doprawdy stanowiło sam szczyt bezczelności, stolnik zaostriżył rozkazy. Dwaj opieszali strażnicy zostali powieszani i od tej pory zamiast wina wydawano rycerzom jedynie słabe piwo zarekwirowane przez jeźdźców w okolicach, które nie zostały przez nich spalone. Ta okoliczność nie poprawiła nastrojów panujących w obozie. Jednakże nikt nie miał odwagi marudzić. Ponadto coraz bliższy był dzień, w którym miało dotrzeć wsparcie i zaopatrzenie, a wtedy będą mogli wreszcie przystąpić do natarcia. Zatem najwyższa pora naostrzyć broń

i w oczekiwaniu na rozkaz oddać się marzeniom o odwecie, jakim odpłacą się krnąbrnym weissenfelczykom za upór, oraz o tamtejszych kobietach, które dostaną w swoje ręce.

Decydującego dnia rano Albrecht leżał pogrążony w beładnych, niespokojnych snach. Dopiero późno w nocy udało mu się zamknąć oczy, tak bardzo był zaabsorbowany snuciem planów zemsty. Ponadto wypił za dużo ciężkiego wina, które nie pozwalało mu zasnąć. Prześladowała go wykrzywiona twarz ojca, sparaliżowana pod wpływem wylewu, uparcie wpatrująca się w syna, który podniósł nań rękę. Mimo że ojciec na łożu śmierci nie mógł już mówić, czynił to w koszmarze Albrechta. Z ust umierającego wydobywał się jasny kobiecy głos, rzucający na niego przekleństwo. Przekleństwo wiemy z Chrystianowa, o którym nie potrafił zapomnieć.

Albrecht poderwał się z jękiem i potarł twarz, próbując strząsnąć z siebie przerażający obraz i głos ze snu.

Zaalarmowana jękiem straż przyboczna wpadła do książęcego namiotu, rozglądając się za wrogiem. Albrecht chciał ich odesłać gestem ręki, ale dostrzegł, że się zawahali.

– Czego? – krzyknął na nich, chwytając jednocześnie za dzban z lodowato zimnym winem, które pomogło mu ostatecznie wrócić do rzeczywistości.

– Wartownicy zauważyli ogień na południu – zameldował niepewnie jeden ze strażników. – Nie wiadomo, co to jest... Nic więcej nie udało się ustalić we mgle. Ale skoroście się i tak już obudzili, może zechcecie sami się przekonać...

Albrecht dźwignął się do góry i gestem kazał sobie podać ciężką pelerynę podbitą futrem.

Czyżby nadciągające posiłki rozpały ogień? Ale dlaczego od południa, a nie ze wschodu?

Dygoczący z zimna, ale zupełnie rozbudzony margrabia wyszedł na zewnątrz. Stolnik i marszałek też już nie spali i patrzyli ze wzniesienia w kierunku, gdzie przy odrobinie starania można było dostrzec wznoszące się w oddali języki ognia. Większość okolicy spowijała mgła. Nawet leżący naprzeciwko zamek był ledwo widoczny.

Elmar i Gerald pozdrowili księcia zgodnie z obyczajem i rangą, a następnie na powrót skierowali spojrzenia przed siebie. Mgła nie tylko ograniczała widoczność, ale także tłumiła dźwięki i nadawała okolicy jakiś osobliwy i niesamowity wyraz. Albrecht z trudem pohamował chęć przeżegnania się albo przynajmniej skrzyżowania dwóch palców prawej ręki, co miało odpędzić złe duchy. W jego głowie wciąż jeszcze żywe były obrazy z sennego koszmaru.

– Czy mam kazać ludziom założyć rynsztunek? – zapytał Gerald.

– Tak, natychmiast, za pozwoleniem waszej wysokości – odpowiedział za niego Elmar z naciskiem i bez śladu wahania. – Coś tu się dzieje, coś podejznanego. Czuję to.

Albrecht skinął przyzwalająco, nie odrywając wzroku od obserwowanego punktu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wówczas próżniactwo jego rycerzy i tak się dzisiaj skończy. Zatem po co tracić czas?

Gerald zamierzał właśnie odejść, by wydać odpowiednie rozkazy, lecz Albrecht chwycił go za ramię i wskazał w kierunku białej skały po drugiej stronie.

– Tam!

Kilka tuzinów jeźdźców ważyło się na imponujący, błyskawiczny wypad z twierdzy, bez najmniejszych przeszkód ze strony miśnieńskich patroli. Odnosiło się wrażenie, jakby bez żadnego wysiłku je stratowali i wycięli w pień.

W następnej chwili leżąca przy ziemi mgła się rozstała i na nizinie zobaczyli nadciągającą konnicę. Nie wiozła miśnieńskiej chorągwi, tylko turyńskiego lwa w czerwono-białe pasy na niebieskim tle. Na czele obok rycerza z chorągwią jechał nie kto inny jak jego brat, którego natychmiast rozpoznał po chabcie.

– Alarm! – wrzasnął Elmar. – Wszyscy do broni! Siodłać konie!

Albrecht też nie tracił czasu na dociekania, co się wydarzyło i dlaczego Turyńczycy zwrócili się przeciwko niemu. Natychmiast pognał do namiotu i kazał sobie założyć zbroję.

Niecierpliwie wyciągnął rękę po miecz, po czym wyszedł na zewnątrz, mocując go po drodze do pasa. W pobliżu stał wylękniony giermek, trzymając w ręku cugle osiodłanego siwka. Albrecht wskoczył na ogiera, to samo uczynili Elmar i Gerald, po czym wspólnie ruszyli ku południowej części palisady. Czy jego brat podejmie próbę negocjacji, czy też od razu przypuści szturm na ich obóz?

Z góry widział, jak jeźdźcy z zamku połączyli się z Turyńczykami, tworząc wspólną siłę, znacznie przewyższającą liczebnie jego własne oddziały. Przy brodzie stracił mnóstwo żołnierzy, a z ludzi, którzy mieli pilnować dróg prowadzących z i do weissenfelskiego zamku, też chyba żaden nie był zdolny do walki. Na dole zebrało się blisko dwustu pięćdziesięciu konnych, on sam zaś mógł wystawić ledwo stu pięćdziesięciu ludzi. Jeśli Bóg nie okaże się łaskaw i nie ześle mu niezwłocznie posiłków z Miśni, zostaną mu tylko dwie możliwości: albo okopią się za palisadami i Dytryk przypuści atak na górę, co dla napastników zwykle oznaczało spore straty, albo też staną do otwartej walki.

Nie docenił brata, który tymczasem wywiódł go w pole i sprowadził pomoc, miast zaszyć się trwożnie w swej mysiej norze.

– Niechaj dzuma i cholera spadną na Hermana z Turyngii – zaklął z wściekłością.

Ale przynajmniej w jednym punkcie brat zachował się zgodnie z jego przewidywaniami. Zamiast z miejsca ruszyć z wojskiem i napaść na obóz, co z łatwością mógł być uczynić przed nastaniem porannej szarówki, gdy większość z nich jeszcze spała, zatrzymał armię u podnóża i w towarzystwie czterech mężczyzn ruszył ścieżką pod górę.

A zatem zamierzał pertraktować.

– Czy kazać łucznikom ustawić się do strzału? – spytał Elmar.

Albrecht po chwili namysłu pokręcił przecząco głową. U lewego boku brata rozpoznał siwą brodę i szczupłą sylwetkę turyńskiego marszałka. Miał zbyt wielu świadków, toteż wieść o tym, że kazał strzelać do wysoko postawionego ministeriała, który przybył w celu negocjacji, na pewno by go zdyskredytowała.

Kilka minut później pożałował swojej decyzji.

– Czy widzicie to samo co ja? – rzucił skonsternowany, zdało mu się bowiem, że po prawej stronie brata rozpoznał mężczyznę, którego od dawna uważał za zmarłego i w wyobraźni widział w najgłębszym kręgu piekieł.

– W rzeczy samej, Łukasz z Freibergu! – zawołał ze wzburzeniem cześnik Giselbert, który z uwagi na obfitą tuszę potrzebował zwykle nieco więcej czasu, by założyć zbroję i usiąść w siodle. Do tego był co najmniej równie zjadliwy jak tłusty.

– Czyżby powstał z piekielnych otchłani? A może ten człowiek ma siedem żywotów, podobnie jak kot?

– Kaze wyrwać astrologowi trzewia i okręce mu je wokół szyi! – burzył się Albrecht ku niemałej satysfakcji Elmara. – Ogłóście wszędzie: kto ostatecznie pošle tego freiberczyka do piekła, dostanie w nagrodę tyle srebra, ile waży jego odrąbana głowa!

Tymczasem pięcioosobowa grupa zbliżyła się na tyle, by móc przekazać swą ofertę mężczyznom za palisadą.

– Jak widzisz, mamy liczebną przewagę – zaczął Dytryk.

Po swojej lewej stronie miał Henryka z Eckartsbergi i Norberta, po prawej zaś Łukasza i jego pasierba Tomasza.

– Pozwolę odejść tobie i twoim ludziom, jeśli przysięgniesz na krzyż, że nigdy więcej nie rozpoczniesz ze mną wojny i wniesiesz zadośćuczynienie za spalone wioski.

Albrecht nawet przez chwilę nie miał zamiaru ustąpić.

– Być może oszczędzę hołotę, która schroniła się na zamku, jeśli wydasz mi dwóch zdrajców, których masz u swego boku! – wykrzyczał z pasją swoją kontrpropozycję. – I tę wiedźmę razem z jej piekielnym pomiotem, jeśli jeszcze żyje!

– Weź ją sobie, jeśli potrafisz! – zachęcił Dytryk ze śmiechem.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie wierzył, by bratu mogło się to udać.

Tym oto sposobem negocjacje dobiegły końca. Hrabia i jego towarzysze zawrócili konie i odjechali z powrotem do swoich oddziałów.

Elmar zerknął ponownie na wschód, sprawdzając, czy nie pokażą się posiłki, ale nic nie było widać, mimo że poranna mgła zdążyła się już prawie rozproszyć.

– Pozwolimy im zaatakować obóz czy puścimy się na nich cwałem w dół zbocza? – chciał wiedzieć Elmar.

Zasadniczo jego pytanie było zbędne. W obecnej sytuacji została im tylko jedna możliwość odniesienia zwycięstwa i Albrecht natychmiast się na nią zdecydował. Palisady nie były dość mocne, nie wytrzymałyby długo naporu, skalisty zaś płaskowyż był za mały, by dało się na nim stoczyć konną walkę. Z kolei rycerz, który się zatrzyma, pieczętuje własną śmierć.

Zatem z gwałtownym impetem pocwałują z góry na wroga, trając każdego, kto stanie im na drodze. W ten sposób przy odrobinie szczęścia mogliby zrekompensować mniejszą liczebność swych oddziałów.

Margrabia Miśni polecił swym ludziom utworzyć gęste szpalery, a następnie rozkazał otworzyć bramę.

## *Rozstrzygnięcie na równinie*

O Albrechcie z Wettynu można było powiedzieć wiele złego, lecz na pewno nie był tchórzem i stawał odważnie do walki. Szczególnie że perspektywa pokonania brata dodawała mu animuszu.

Ruszył pędem na czele oddziałów, osłaniany po bokach przez Elmara, Geralda i tuzin mężczyzn ze swej przybocznej straży.

Tyralierą rozciągniętą na całą szerokość terenu, z uniesionymi mieczami przypuścili natarcie na wojsko przeciwnika, które rozstawiło się na równinie w bojowym szyku. Puścili się cwałem, w długiej linii, za którą gnały kolejne rzędy jazdy.

Pędzące w dół zbocza konie nabierały coraz większej prędkości i za chwilę niektóre z nich z impetem minęły przeciwnika, co w przypadku tak szybkiego i zwartego ataku było do przewidzenia. Wojownicy pędzili ze zbocza Klemmbergu niczym lawina. Kolidacja z obrońcami Weissenfels, których bezruch zaczynał z wolna budzić grozę, przyniosłaby wiele ofiar i rannych w szeregach czekającego na dole wojska.

Tymczasem dosłownie tuż przed samym zderzeniem nastąpił zgoła nieoczekiwany zwrot. Zjednoczone siły Turyńczyków i weissenfelczyków rozstały się w środku i wojownicy skierowali konie na boki, wskutek czego zmasowany atak Miśnieńczyków trafił w pustkę. Tylko jeźdźcy na flankach zostali natychmiast wciągnięci w zaciętą walkę na miecze. Reszta galopowała przed siebie, nie musnąwszy nawet przeciwnika, póki nie udało im się wreszcie opanować koni i zawrócić.

Jednakowoż nie mieli już czasu, by na nowo uformować szyk, nieprzyjaciel bowiem ruszył wprost na nich zwartą tyralierą.

Po starciu jeźdźców rozpętała się krótka, lecz krwawa walka.

Weissenfelczycy i Turyńczycy mieli wyraźną przewagę. Ustawieni w gęstą tyralierę, dopadli

przeciwnika i w pierwszym zwarciu przetrzebili jego szeregi, zabijając i wyrzucając z siodła wielu wrogich żołnierzy. Dytryk wydał rozkaz, by jak najwięcej rycerzy Albrechta wziąć do niewoli.

Teraz zaciekała walka toczyła się już tylko pośrodku pola, gdzie ścierali się ze sobą zwaśnieni wettyńscy bracia oraz ich najbliżsi rycerze.

Tymczasem reszta miśnieńskiej armii została tak zdziesiątkowana, że nieliczni, którzy jeszcze trzymali się w siodłach, salwowali się ucieczką.

Turyńscy serwienci zsiadli z koni, po czym zajęli się rozbrajaniem i krępowaniem pozostałych przy życiu miśnieńskich rycerzy.

Jeńców, których liczba i wartość miała decydujący wpływ na warunki kapitulacji, a także wysokość okupu, ustawiano z boku, bo pośrodku pola wciąż jeszcze toczyła się walka.

Albrecht atakował w dzikim szale, pragnąc zabić brata, a przy okazji owego znenawidzonego Łukasza z Freibergu.

Nie bacząc na klęskę własnych oddziałów, która w gruncie rzeczy już się dokonała, ani na życie mężczyzn, którzy mieli za zadanie ochraniać go własnymi ciałami, za wszelką cenę starał się zbliżyć do swych zaprzysięgłych wrogów na odległość pozwalającą dosięgnąć ich mieczem.

Dytryk nie robił uników, on również zdawał się dążyć do rozstrzygnięcia. Tymczasem Norbert z Weissenfels i Łukasz z Freibergu osłaniali go z boków, a Henryk z Eckartsbergi kontrolował turyńską armię i wydawał rozkazy żołnierzom walczącym z nielicznymi przeciwnikami, którzy do tej pory pozostali na placu.

Wreszcie czterech mężczyzn ze straży przybocznej Albrechta poległo, a koń marszałka runął na ziemię, grzebiąc pod sobą jeźdźca, toteż Elmar uznał, że nadszedł najwyższy czas do odwrotu, niezależnie od tego, czy Albrecht zechce to zrozumieć, czy też nie. Krzyknął do swego pana coś, czego ten w ferworze walki i w hełmie na głowie nie mógł albo nie chciał zrozumieć. Następnie zaczął gwałtownie gestykulować i chwycił za wodze siwka Albrechta.

Dopiero ta niecodzienna interwencja wyrwała margrabiego z amoku. Szybkie spojrzenie pozwoliło mu ocenić, że bitwa dobiegała końca, a do tego poniósł w niej sromotną klęskę. Większość jego ludzi leżała na ziemi martwa lub poraniona, inni wzięci do niewoli siedzieli kawałek dalej pod strażą. Jedyne w kilku miejscach na polu bitwy toczyły się wciąż jeszcze nieliczne pojedynki i starcia.

Albrecht nie był tchórzem, ale nie był też głupcem ani samobójcą. Oczekiwane posiłki i zaopatrzenie nadal się nie pokazało, toteż nie miał najmniejszej szansy, by tu i teraz zmienić koleje losu.

Turyńczycy porządnie pomieszali mu szyki. Prędzej czy później Albrecht zemści się za to na landgrafie Hermanie. Ale na razie należało ratować własną skórę.

– Do Burgwerben! – odkrzyknął Elmarowi.

Żeby tam dotrzeć, musieli się wprawdzie przeprowadzić przez bród, jednakże zamek był własnością jego wuja Bernarda z Anhaltu, księcia Saksonii, i leżał przy trasie do Merseburga, na górze położonej zaledwie dwie mile na północ od pola bitwy. Wuj wspierał go w rebelii przeciwko ojcu. Nawet jeśli Askańczyk<sup>14</sup> nie zechce się bezpośrednio angażować w walkę między zwaśnionymi braćmi, to jego kasztelan nie będzie mógł odmówić Albrechtowi schronienia. Szczególnie że stosunki między Askańczykami a Turyńczykami nie układały się najlepiej, co Albrecht mógłby z powodzeniem wykorzystać.

Łukasz i Norbert z Weissenfels wymienili spojrzenia i kilkoma nieznacznymi gestami uzgodnili, że nie będą ścigać Albrechta i niedobitków jego armii. Niechaj ucieka, później przedstawią mu warunki kapitulacji. Po przegranej bitwie nawet taki bezwzględny władca jak Albrecht z Wettynu nie mógł sobie pozwolić, by nie wykupić z niewoli swego rycerstwa.

Dytrykowi zależało nie tyle na okupie, chociaż ten przyda się na odbudowanie spalonych wiosek, ile na uroczystym zawarciu pokoju i złożeniu przysięgi w obecności wysoko postawionych świadków.

Łukasz zeskoczył z siodła, by sprawdzić, co się stało z marszałkiem Albrechta, którego ranny koń wił się na ziemi, i nie zanosilo się na to, by zwierzę zdołało wstać. Jego niecny szwagier Gerald zdołał się odczołgać kawałek dalej, ale on też odniósł obrażenia.

Łukasz postanowił udzielić szwagrowi pomocy. Bynajmniej nie przez wzgląd na rodzinne koligacje, ale dlatego, że wpadł na pewien pomysł. Planował wysłać marszałka do Burgwerben jako posła z żądaniami od Dytryka, o ile oczywiście Gerald będzie miał dość sił, by to uczynić.

– Oddaję się w niewolę – zboliałym głosem wyrzucił z siebie zwykłą formułę kapitulacji brat jego zmarłej żony.

Wyciągnął z pochwy sztylet i podał go Łukaszowi.

– Miecz... zgubiłem przy upadku...

Łukasz zawołał dwóch turyńskich serwientów i rozkazał im, by w miarę delikatnie doprowadzili wrogiego marszałka do pozostałych jeńców, trzeciemu zaś kazał poszukać miecza.

Nie zdążyli odejść nawet pięciu kroków, gdy z zamku na białej skale rozległ się sygnał alarmu. Trzy długie, głębokie tony, jeden po drugim. Umówiony znak, oznajmiający przybycie wozów i posiłków z Miśni.

Henryk z Eckartsbergi natychmiast rozkazał ludziom wsiadać na konie. Dołączyła do nich połowa rycerzy i serwientów z Weissenfels. W takiej liczebnej przewadze powinni sobie bez kłopotu poradzić z przybyszami, zwłaszcza że Miśnieńscy nie przeczuwali, iż natkną się z marszu na przeciwnika i wdadzą się w bitwę.

Łukasz również dosiadł konia i postanowił trzymać się w pobliżu Dytryka. Tymczasem nieoczekiwanie dostrzegł coś, co na chwilę zmroziło mu krew w żyłach.

Tomasz, który przez cały czas walczył u ich boku, w pasji siekąc mieczem przeciwnika na prawo i lewo, odłączył się od grupy i puścił za samotnym jeźdźcem, który co chwila się za nim oglądał i krzyczał, najwyraźniej prowokując młodzieńca szpetnymi obelgami.

Łukasz nie miał najmniejszych wątpliwości, że chodziło o Rutgera. A ten z całą pewnością nie szukał uczciwego pojedynku, to była pułapka!

Szybko się upewnił, że hrabia Dytryk miał wystarczającą ochronę w osobach sprawdzonych wojowników, a następnie ścisnął kasztankę ostrogami i mnąc pod nosem przekleństwa, pognął w ślad za Tomaszem. Marta nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby jej syna spotkało nieszczęście, a on nie pospieszyłby mu z pomocą. Łukasz miał rację. Przed Tomaszem wyrosło jak spod ziemi trzech innych rycerzy i raptem młodzieniec został otoczony przez czterech przeciwników.

Zmylił ich zwinnym unikiem, a następnie silnym ciosem miecza strącił z siodła pierwszego z mężczyzn. Lecz gdyby nie pojawienie się Łukasza, jego los byłby przesądzony. Ojczym, wzięwszy szeroki zamach, pozbawił głowy drugiego napastnika.

Tymczasem trzeci Miśnieńczyk w okamgnieniu wykorzystał nadarzącą się okazję i zaatakował go od tyłu, wbijając ostrze w jego plecy. Impet ciosu obezwładnił Łukasza, który osunął się na swego ogiera.

Rutger, głośno wiwatując, odwrócił się do znenawidzonego wroga. W tej samej chwili Tomasz wydał z siebie wściekły ryk i poderżnął gardło mężczyźnie, który zaatakował Łukasza.

Teraz na placu pozostali jedynie Tomasz z Rutgerem. Ale pasierb Elmara dostrzegł dwóch kolejnych rycerzy, którzy się do nich zbliżali. Uznał zatem, że postąpi rozsądniej, jeśli odłoży na później ostateczne rozstrzygnięcie. Toteż podobnie jak pozostali postanowił salwować się ucieczką. Spiąwszy ostrogami ogiera, ruszył za Albrechtem i ojczymem w kierunku Burgwerben.

– Nie uciekaj, tchórze! – zawołał do niego Tomasz w bezgranicznym oburzeniu, wymachując przy tym



zakrwawionym mieczem, który odziedziczył po ojcu.

Mimo nieprzepartej chęci rozprawienia się z Rutgerem zrezygnował z pogoni. Najpierw powinien udzielić pomocy Łukaszowi. Nawet nie wiedział, czy ojczym jeszcze żył.

Z mdławym uciskiem w żołądku Tomasz zsiadł z konia i złapał za uzdę ogiera należącego do ojczyma. Łukasz leżał bez ruchu oparty o szyję zwierzęcia, a jego ręce bezwładnie zwieszały się w dół. Miecz dawno wysunął mu się z dłoni.

Tomasz gwałtownym ruchem podniósł z ziemi kosztowną broń, a następnie wsunął rękę pod misiurkę rannego, starając się wyczuć puls na jego szyi. Tymczasem dołączyli do niego dwaj rycerze, turyńscy uczestnicy wyprawy krzyżowej, których Tomasz znał jeszcze spod Akki i którzy towarzyszyli Łukaszowi z Eisenach.

– Pomóżcie mi zsadzić go z konia – poprosił.

Najostrożniej, jak mogli, unieśli nieprzytomnego, zdjęli go z siodła i ułożyli na brzuchu na ziemi. Kolczuga była rozerwana, pikowany kaftan rozcięty i nasiąknięty krwią.

„Matka mnie zabije, jeśli Łukasz przeze mnie umrze – pomyślał. Miał ściśnięte gardło. – A co powie hrabia Dytryk, jeśli go straci? Tylko dlatego, że pozwoliłem się temu ścierwu sprowokować i wciągnąć w pułapkę!”

– Oddycha jeszcze – odezwał się Bruno z Hörselbergu, ów starszy mężczyzna, który u prawej ręki miał tylko dwa palce.

Skóra Łukasza była trupio blada i pokryta warstwą zimnego potu.

„Proszę, Wszchemogący Panie w niebie, nie pozwól mu umrzeć!” – błagał w myślach Tomasz. Jego obawa zmieniła się w przerażenie, gdy zobaczył strużkę jasnoczerwonej piany, wypływającą z ust rannego. Z Rolandem było podobnie i kilka minut później przyjaciel już nie żył.

– Zanieśmy go ostrożnie do pozostałych rannych – powiedział matowym głosem.

Już dawno nie czuł się tak bezradny jak w owej chwili.

Mógł mieć jedynie nadzieję, że matka i siostra jak najszybciej dotrą na pole bitwy, by na miejscu opatrzeć rannych.

Większość wieśniaków, którzy schronili się na zamku w Weissenfels, z trwogą w sercach obserwowała z góry przebieg wypadków u podnóża twierdzy. Wstrzymali oddech, gdy wrogowie popędzili w dół Klemmbergu. Wiwatowali, gdy ich ludzie razem z turyńskimi sprzymierzeńcami pokonali napastników i zmusili ich do ucieczki. Ujrzawszy następne wrogie wojsko nadciągające ze wschodu, znów poczęli się modlić za Dytryka i jego ludzi. Od wojskowej zručności oddziałów zależało ich życie. Dlatego też, gdy miśnieńskie posiłki zostały rozgromione, z murów twierdzy na nowo rozległy się donośne, radosne wiwaty. Wyładowane po brzegi wozy z zaopatrzeniem przejęto jako wojenny łup.

Norbert wysłał najstarszego syna do zamku z rozkazem, by opuszczono zwodzony most i otwarto bramę. Pani Marta oraz jej córka powinny zaraz obejrzeć rannych. Niech wezmą ze sobą tuzin pacholek do pomocy. Potrzebowali jeszcze furmanów, którzy zaprowadzą do zamku wozy z zaopatrzeniem. Pozostali mieli się zająć przygotowaniem napojów i jadła dla strudzonych wojowników.

Marta i Klara obserwowały bitwę z najwyższego punktu na wieży i modliły się za życie ukochanych mężczyzn. Teraz torowały sobie drogę przez dziedziniec, na którym wiwatował zebrany tłum. Zamkowa służba oraz uciekinierzy z okolicznych wiosek płakali i padali sobie w ramiona.

Sprawnie odniesione zwycięstwo sprawiło ulgę obydwu kobietom, jednakże na razie było za wcześnie na radość. Za chwilę ujrzą tuziny martwych ciał i rannych z potwornymi obrażeniami. Mimo największych starań nie zdołają wszystkich uratować. Część mężczyzn umrze, niektórzy wykrwawią się na ich rękach.



Po drodze przyłączył się do nich ksiądz z kościoła Świętego Mikołaja. Za chwilę ojciec Ansbert też będzie miał pełne ręce roboty. Miał obowiązek udzielić ostatniego namaszczenia umierającym.

Za nimi wyszło kilka kobiet, mieszkanek pobliskich osad, które znalazły schronienie na zamku. Chciały się upewnić, czy ich mężom i synom nic się nie stało, oraz w razie potrzeby opatrzeć im rany.

## *Po bitwie*

Tymczasem niebo się roz pogodziło. Tego chłodnego jesiennego dnia ziemia była tak zimna, że na brzegach kałuż wypełnionych wodą albo krwią pojawiły się pierwsze kryształki lodu.

Marta z córką opatrzyły już niezliczoną ilość chorych i rannych, obejrzały wiele ran i trzymały dłonie wielu umierających, dla których poza dodaniem otuchy w ostatnich momentach ich życia nie mogły nic więcej uczynić.

Niemniej jednak nawet suma cierpienia poszczególnych osób nie mogła w pełni oddać tego, co przedstawiło się ich oczom i uszom, gdy dotarły na pole walki.

Z daleka doszły do nich głośnie, przenikliwe rżenia i kurczowe ruchy mnóstwa koni, które zostały ciężko ranne i nie mogły się podnieść. Mężczyźni przemierzali równinę i dobijali zwierzęta, litując się nad ich cierpieniem.

Do tego dochodziły krzyki i jęki rannych, którzy wzywali pomocy, przeklinali albo modlili się w rozpacz.

Część mężczyzn była zajęta uprzątnięciem bitewnego pola. Żołnierze odciągali na bok ciała zabitych wrogów, gdzie kilku pachołków zajętych było kopaniem ogromnego grobu. Inni zganiali z pola i z najbliższej okolicy bezpańskie konie, które następnie wyłapywali. Dwa tuziny kroków dalej leżeli i siedzieli obok siebie ranni żołnierze.

Marta kilkoma spojrzeniami ogarnęła sytuację i zaniepokoiła się, nie widząc nigdzie Tomasza ani Łukasza.

Ale na równinie panował na razie zbyt wielki bałagan, by można było wypatrzeć pojedyncze osoby.

Hrabia Dytryk i Norbert wyszli naprzeciw dwóm kobietom. Po lewym policzku Dytryka spływała krew. Marta chciała od razu go opatrzeć, ale hrabia ją powstrzymał.

– To tylko rozcięta brew, może poczekać. Zajmijcie się najpierw tymi, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy, by się nie wykrwawili.

– Czy możecie kazać przyprowadzić jeden lub dwa wozy, którymi zawieziemy rannych na zamek?

Dytryk skinął i polecił Norbertowi niezwłocznie wydać odpowiednie polecenia.

Marta z Klarą pobiegły do rannych. Duchowny poszedł za nimi, podobnie jak kobiety, które pragnęły odszukać swych mężów i synów. Kilka z nich zdążyło już znaleźć tych, których szukały, i teraz biegły przodem w rozwianych sukienkach.

W rzędzie za rannymi ułożono trupy poległych. Do jednego ze znieruchomiałych ciał przypadły trzy kobiety i z zawrotem rzuciły się na ziemię.

Klara z Martą musiały przede wszystkim dokonać oceny sytuacji i zorientować się, którzy żołnierze odnieśli najcięższe obrażenia i wymagali natychmiastowej pomocy, a którzy mogli jeszcze chwilę poczekać, a także ustalić, kto nie miał szans na przeżycie i pilnie potrzebował ostatniego namaszczenia od księdza. Z opatrzeniem niektórych ran mogły się wstrzymać, aż wrócą na zamek.

Jakiś człowiek obandażował swemu ochryplemu od krzyku towarzyszowi ranę na udzie, która silnie krwawiła. Innemu mężczyźnie Marta założyła uciskową opaskę, by zatamować upływ krwi aż do chwili,

gdy będzie mogła mu poświęcić więcej uwagi. Z kolei Klara prowizorycznie opatrzyła kilka cięć, które później w twierdzy należało zszyć.

Nieprzytomny mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, najpewniej serwient, sądząc po lekkiej zbroi, miał zmiążdżoną prawą rękę, którą później zapewne będą musiały amputować. Jego towarzysz rozerwał mu rękaw, ułatwiając w ten sposób dostęp do rany, a następnie z rozpaczą w oczach spojrzał na Klarę, której medyczne zdolności były powszechnie znane, później zaś na jej matkę, której przypisywano jeszcze większe doświadczenie w tej materii.

Nareszcie podjechały dwa wozy zaprzężone w woły i zatoczywszy szeroki łuk, zatrzymały się obok rannych.

Silni pachołkowie układali poszkodowanych na deskach, na których niedawno przywieziono z Miśni proso, piwo i owies dla ludzi i koni Albrechta. Lżej ranni musieli iść do zamku piechotą.

Później wozacy wolno poprowadzili woły pod górę, a Marta z Klarą znów zaczęły się rozglądać.

Tymczasem Dytryk i Norbert zajęli się jeńcami. Prawdopodobnie chcieli się rozeznać, czy wśród pojmanych znalazły się wysoko postawione osoby, które Albrecht będzie musiał bezwzględnie wykupić, oraz którzy z więźniów potrzebowali medycznej pomocy.

Marta wciąż nie mogła odnaleźć Tomasza ani Łukasza. Może pilnowali jeńców?

Rozprostowała kości i wzięła głęboki oddech, napełniając płuca czystym, lodowatym powietrzem. Głowa i krzyż coraz bardziej jej doskwierały. Przed powrotem do zamku, gdzie całkowicie pochłoną ją obowiązki w lazarecie, postanowiła jeszcze raz rzucić okiem na jeńców i sprawdzić, czy któryś nie potrzebował opatrunku. Ponadto chciała się wreszcie dowiedzieć, gdzie podziewali się jej mężczyźni.

W pewnym momencie strażnicy rozstąpili się na boki i oczom Marty ukazał się obraz, który sprawił, że serce zamarło jej w piersi. Kawałek od miejsca, w którym zgromadzono więźniów, na błotnistej, zimnej ziemi klęczał Tomasz, a obok niego dwóch Turyńczyków, którzy razem z nimi przyjechali z Eisenach. Między nimi rozpościerało się nieruchome ciało.

Łukasz! Po prostu wiedziała, że to on.

Krzyknęła ze strachu i ruszyła biegiem w ich kierunku. Na widok krwawej rany na plecach męża musiała zebrać wszystkie siły, by się opanować. Chciała paść na kolana i wykrzyczeć w niebo swą rozpacz. Była znachorką, może zdoła go jeszcze uratować.

– Żyje – odezwał się Tomasz, a w jego głosie wyrzuty sumienia mieszały się z bezsilnością i ulgą wobec świadomości, że matka zaopiekuje się Łukaszem.

Natychmiast ustąpił jej miejsca, by mogła uklęknąć obok nieprzytomnego. Wyczuwszy słaby puls, zajęła się raną. Łukasz stracił dużo krwi, a jasnoczerwona piana stanowiła niepokojący sygnał, oznaczający, że miał uszkodzone płuca. Na jaką głębokość? Nasączyła tynkturą kawałek płótna i ułożywszy go na ranie, ciasno owinęła całość bandażem. Szyć mogła dopiero na zamku, potrzebowała więcej wody do oczyszczenia rany i umycia rąk.

– Połóżcie go na wozie, ostrożnie! – poprosiła Turyńczyków.

Podniosła się na nogi, zamierzając za nimi pójść, ale Tomasz na chwilę ją zatrzymał.

– To moja wina – wyznał z rozpaczą. – Rutger mnie sprowokował... i nagle wyrosło wokół mnie czterech przeciwników... Gdyby Łukasz nie przyszedł z pomocą...

– Ty też byłbyś martwy – fuknęła opryskliwie.

Nie miała teraz głowy do żadnych wyznań ani bicia się w piersi.

– Jesteś zdrow?

Tomasz potwierdził. Te kilka stłuczeń się nie liczyło.

– Wobec tego podziękuj Bogu i pomóż hrabiemu Dytrykowi i swojej siostrze! Muszę się zająć ojcem.

To powiedziawszy, ruszyła, nie odrywając wzroku od Łukasza, którego Turyńczycy nieśli do wozu.

Starali się, jak mogli, by oszczędzić rannemu wstrząsów.

Tomasz nie wiedział, czy powinien się poczuć lepiej, czy gorzej. Jeśli ktokolwiek mógł uratować jego ojczyzna, to tylko matka. Jednakże nie potrafił ustać na dole, nie wiedząc, czy Łukasz przeżyje.

Czy ponosił winę za to nieszczęście? Pozwolił się Rutgerowi sprowokować. Ale przecież nie mógł zignorować jego wyzwania. Dzieliło ich zbyt wiele krwi, za dużo cierpienia, które Rutger i jego ojciec sprowadzili na rodzinę Tomasza. Nie mówiąc już o publicznym lżeniu jego siostry.

Fakt, że Rutger ponownie uciekł, martwił go niemal tak bardzo, jak rany Łukasza. Syn stolnika jako jeniec stanowiłby dobry środek nacisku w negocjacjach dotyczących kapitulacji. Jednak z drugiej strony nie był pewien, czy na świecie była w ogóle jakaś osoba, której Albrecht nie byłby skłonny poświęcić bez żalu.

Pomny na słowa matki i własne przemyślenia, Tomasz poszedł w stronę miśnieńskich jeńców. Około pięćdziesięciu rycerzy i jakieś dwa tuziny serwientów. Hrabia Dytryk był na miejscu i właśnie zawołał do siebie Klarę, która czekała kilka kroków za nim.

Dostrzegłszy, komu siostra miała usztywnić nadgarstek, odczuł pewną satysfakcję. Wśród więźniów był ranny marszałek Albrechta, który lekko się chwia, niemniej jednak stał o własnych siłach. Tuż obok niego tłusty cześnik. Zapewne koń odmówił mu posłuszeństwa i nie zdołał dostatecznie szybko zataszczyć tego nadmiaru masy do Burgwerben.

– Jesteście w stanie pójść ze mną do zamku? – zapytał miśnieńskiego marszałka Dytryk. – O ile pozwolą na to wasze rany, chciałbym, byście zawieźli memu bratu wiadomość z warunkami wykupu jego ludzi.

Na te słowa Geraldowi przeleciało przez głowę kilka kąśliwych ripost, przewidywał bowiem znikomą gotowość Albrechta do wykupu swych podwładnych, a także marne perspektywy na własne przeżycie w roli posłańca przywożącego złe wieści. Lecz w obecnej sytuacji był już i tak ledwo żywy. Wciąż miał wrażenie, jakby nadal czuł na sobie ciężar swojego ogiera. Jednocześnie gryzły go wyrzuty sumienia, które mu podpowiadało, że jego dzisiejsze położenie mogło stanowić pokutę za udział, jaki miał w egzekucji Rajnharda.

Podał wtedy Albrechtowi miecz w przekonaniu, że książę nigdy nie zamieni swej groźby w czyn i nie zetnie własną ręką głowy rycerzowi należącemu do jego świty. I to jedynie na skutek kilku wątpliwych posądzeń Rutgera, które nie dawały bezspornego dowodu na zdradę Rajnharda.

Ale Dytryka owa sprawa nie dotyczyła, obecność zaś Klary jedynie utrudniała sprawę. Chciał przeprosić, że kiedyś w Miśni nie stanął w jej obronie, gdy Elmar jej groził. Lecz lodowate spojrzenie dziewczyny kazało mu zamilknąć.

Gerald postarał się stłumić ból, po czym się odezwał:

– Uczynię to, jeśli sobie życzycie, hrabio Dytryku.

Nie miał pewności, czy Albrecht zgodzi się go wysłuchać. Niewykluczone, że od razu potraktuje go jak zdrajcę. Już niebawem będzie miał okazję się o tym przekonać.

Tłusty cześnik Giselbert wpatrywał się w Dytryka wzrokiem pełnym nadziei. Najwyraźniej przez wzgląd na swój urząd oczekiwał specjalnego traktowania. Jednakże hrabia z Weissenfels nie uczynił żadnego gestu w jego stronę. Ta okoliczność napełniła Tomasza złośliwą satysfakcją, co naturalnie było grzechem.

Omiótł wzrokiem więźniów, z których większość znał jeszcze z czasów, gdy był giermkim na zamku w Miśni. Niektórzy wlepili weń oczy jak w ducha. Zapewne nie wszędzie wiedziano już o tym, że nie umarł. Inni patrzyli na niego z nienawiścią, a jeszcze inni skrywali uśmiechy. Nie wszyscy szli za Albrechtem z przekonania. Niektórzy, jak na przykład Rajmund, po którym nie było dziś nawet śladu,

słuchali jego rozkazów wyłącznie dlatego, że był panem Marchii Miśnieńskiej, wyznaczonym przez Boga i cesarza, czy im to pasowało, czy też nie.

Niespodziewanie Tomasz dostrzegł dwie twarze, na których widok postarał się opanować wszelkie emocje. Nie wiedział, po czyjej naprawdę byli stronie i czy w związku z tym powinien nimi z całego serca pogardzać, czy też dołożyć starań, by nie sprowadzić na ich głowy niebezpieczeństwa. Byli to jego wuj Jakub, brat Łukasza, oraz najstarszy syn Jakuba noszący to samo imię, który niegdyś służył pod Łukaszem jako giermek.

„Zrobi się ciekawie, gdy mój ojczym dojdzie do siebie” – pomyślał cynicznie.

Udając obojętność, odwrócił wzrok od krewniaków i podążył w ślad za Dytrykiem, Klarą i wyczerpanym marszałkiem przeciwnika do góry na białą skałę<sup>15</sup>.

Hrabia Dytryk polecił Norbertowi zamknąć Geralda w izbie i postawić straż. Właśnie zamierzał rozkazać, by uderzono w dzwon, chcąc zaprowadzić trochę porządku w przepełnionej twierdzy, gdy odezwała się Klara.

– Waszą ranę trzeba opatrzyć, przynajmniej tymczasowo – nalegała, skrywając zaniepokojenie. – Krew na waszej twarzy nie podnosi morale wśród ludzi, nawet jeśli to tylko niegroźne rozcięcie. Powinni widzieć w was zwycięzcę, zdrowego i silnego.

– Dobrze, tylko szybko.

Miał zbyt wiele spraw do załatwienia, należało podjąć pewne decyzje, wydać polecenia.

Myśl o tym, że Klara zbliży się do niego i zaraz dotknie jego twarzy, ale po wymuszonych zaręczynach z Juttą Turyńską pozostanie dlań nieosiągalna, napełniła go melancholią.

– W szpitalu nie mam dość światła – oznajmiła. – A ponadto nie powinnam was cerować na oczach wszystkich.

Wobec tego wspięli się na wieżę, gdzie kilku ludzi trzymało wartę. Klara poleciła jednemu z serwientów, by przyniósł jej wiadro wody. Dytryk zsunął z głowy misiurkę i pozwolił, by wilgotnym lnianym płótnem odmoczyła i zmyła zaschniętą krew z jego twarzy. Ostrożnie przyciągnęła do siebie krańce pękniętej skóry nad jego lewą brwią. Jednocześnie, przygryzając dolną wargę, oceniała długość rozcięcia.

– Wystarczą dwa nakłucia, ale muszę to zrobić zaraz – objaśniła po chwili wahania.

Nasączyła len ziołowym wywarem i poprosiła, by przycisnął materiał do rany. Sama nawlekła nitkę na łukowato wygiętą igłę, wykonaną specjalnie dla niej przez Guntrama, jak podejrzewał Dytryk.

Następnie zawołała jednego ze strażników, któremu kazała zanurzyć ręce w wiadrze z wodą, a następnie przysunąć do siebie oba krańce rany nad okiem księcia.

Dytryk miał wrażenie, że doskonale poradziłaby sobie bez pomocy, ale nie chciała zostać z nim sam na sam, do tego jeszcze tak blisko.

Założyła trzy szwy zamiast dwóch, a następnie zawiązała supeł i odcięła nić. Ponownie przyłożyła do rany czystą lnianą szmatkę z wywarem. Poczłł potworne pieczenie. Następnie cofnęła się o dwa kroki i spuściła brwi.

– Jeśli Bóg zechce, wszystko się wygoi i nie wda się zakażenie. Za kilka dni można zdjąć szwy.

Jednocześnie chowała tynktury oraz lniane szmatki do kosza, a igłę wsunęła do kościanego pokrowca i schowała do sakiewki.

Dytryk wstał i odesłał obu strażników.

– Musiałem się zaręczyć z Juttą z Turyngii, by landgraf zechciał nam udzielić wsparcia – wyznał ze smutkiem.

Za chwilę ogłosi tę nowinę na dziedzińcu, ale Klara powinna się o tym dowiedzieć pierwsza.

– Niezmiernie mi przykro. Moje oświadczyły o waszą rękę płynęły z głębi serca.

– Nie powinno wam być przykro – odrzekła najbardziej zdecydowanym głosem, na jaki było ją stać. –

Bez tego przymierza zapewne wszyscy bylibyśmy dzisiaj martwi.

Później się cofnęła i patrzyła, jak szybkim krokiem pokonywał schody prowadzące z obronnego ganku. Miał zamiar przemówić do ludzi na dziedzińcu.

Nie poszła za nim. Oparła się o mur i zapatrzyła w daleki krajobraz. Nie chciała, by inni widzieli jej twarz. Tylko przez chwilę, bo spieszyła się do lazaretu.

## Zwycięskie przemowy

Gdy Dytryk się dowiedział, jak ciężkie rany odniósł Łukasz, natychmiast kazał zanieść go do swej komnaty. Poprosił, by Marta została przy nim dopóty, dopóki nie uzna, że jego stan się ustabilizował. Marta nie zaprotestowała. Była wdzięczna, że Dytryk podjął za nią decyzję i zdjął z niej odpowiedzialność za pozostałych rannych.

Wobec tego Klara razem ze swymi pomocnikami musiała się zaopiekować resztą ofiar bitwy.

Gdy córka Marty schodziła ze schodów, przed prowizorycznym szpitalem nadal zdejmowano z wozu kolejnych rannych.

– Nie wnoście ich do środka, niech zostaną tutaj. Chcę skorzystać z dziennego światła, póki jeszcze jest – nakazała pachołkom.

Od tej chwili było tyle do zrobienia, że nie miała czasu pomyśleć o niczym innym niż o tym, jak najszybciej i najlepiej zatamować krwawienia, zszyć rany i nastawić złamane kości. Klęcząc na lodowatej ziemi w zakrwawionej sukni i z ubrudzonymi krwią rękami, walczyła o życie ludzi, nie dostrzegając nic innego, co się działo wokół.

Po jakimś czasie przyłączył się do niej Tomasz. Dręczyły go wyrzuty sumienia ze względu na lekkomyślność, jaką okazał, toteż poprosił Dytryka, by pozwolił mu pomóc w lazarecie przy wypalaniu ran i usztywnianiu kości.

W ten sposób Marta, Klara i Tomasz byli jedynymi osobami na zamku, do których nie dotarła pamiętna przemowa wygłoszona na dziedzińcu przez Dytryka.

Norbert potrzebował więcej czasu niż zwykle, by opanować tumult panujący w przepełnionej twierdzy i uciszyć tłum na tyle, by hrabia mógł przemówić.

Dytryk wszedł na wysoki kamień na środku podwórca przed palatium. Po jego obu stronach stali Norbert z Weissenfels i turyński marszałek.

– Niech żyje nasz książę hrabia Dytryk, pielgrzym i sławetny zwycięzca nad naszymi wrogami! – zawołał drżącym głosem jakiś starszy człowiek i ukląkł przed nim.

Zgromadzeni na placu mężczyźni i kobiety podjęli okrzyk i także opadli na kolana.

Wreszcie zapadło milczenie. Każdy chciał usłyszeć, co hrabia miał do powiedzenia. Wiedzieli, że wygrał walkę, którą obserwowali z murów zamkowych. Ale czy owo zwycięstwo rzeczywiście gwarantowało im pokój? A może należało się przygotować na kolejne najazdy?

– Bóg, święty Jerzy i najlepsi wojownicy landgrafa Turyngii wsparli nas w walce z najeźdźcą. Z dzisiejszym dniem, dzisiejszym zwycięstwem, narodził się trwały sojusz między Weissenfels i Turyngią – zaczął Dytryk, a jego słowa wzbudziły powszechną nadzieję.

Zawarcie pokoju z potężnym sąsiadem było bezsprzecznie dobrą sprawą.

– Sojusz, który za kilka lat zostanie przypieczętowany małżeństwem – ciągnął. – Wtedy Jutta Turyńska przyjedzie do zamku jako moja małżonka.

– Niech żyje piękna narzeczona naszego księcia! – zawołało natychmiast kilku gorliwych mieszkańców Weissenfels.

Wprawdzie żaden z nich nigdy nie słyszał o owej Jucie, nie wspominając o tym, by ktokolwiek ją widział, ale córka landgrafa musiała być piękna, a książęce wesele zawsze było wspaniałym wydarzeniem, podczas którego hojnie rozdzielano jadło i napoje. Tak czy owak był już najwyższy czas, by ich władca, po szczęśliwym powrocie z długiej pielgrzymki, ożenił się z godną siebie panną. Weissenfels potrzebowało księżnej.

Dytryk uniósł rękę, uspokajając ciżbę. Małżeństwo z Juttą nie było dla niego bynajmniej powodem do radości, ale to nie powinno nikogo obchodzić, nikogo prócz Klary i jego. Klara zaś nie mogła go teraz usłyszeć, ponieważ opatrywała rannych na tyłach podwórza.

– Wzięliśmy do niewoli dosyć miśnieńskiej arystokracji, by przymusić margrabiego Miśni do zawarcia pokoju – przekazał wiadomość, która w obecnej chwili miała dla nich najistotniejsze znaczenie.

Ale tym razem okrzyki radości były mniej spontaniczne. Większość zebranych nie myślała już o wizji czekającego ich wystawnego wesela, tylko przypomniła sobie o swych spalonych lub splądrowanych domostwach.

– Wiem, że wielu z was poniosło dotkliwe straty. Znachorki i ich pomocnicy dokładają wszelkich starań, by ranni powrócili do zdrowia. Odprawimy mszę za zmarłych i pomodlimy się w intencji zbawienia ich dusz. Nie leży w naszej mocy, by przywrócić ich do doczesnego życia, ale możemy mieć nadzieję, że na tamtym świecie będzie im lepiej – ciągnął Dytryk.

Następnie podniósł głos i zawołał z całych sił:

– Ale jedno możemy uczynić i zrobimy to! Odbudujemy wszystko, co wrogie hordy zrujnowały i spaliły. Dzisiaj wzięliśmy bogate łupy. Cały prowiant zgromadzony na Klemmbergu zostanie wam rozdany. Z drewna, z którego zrobili palisady, możecie zbudować nowe domy, ładniejsze i większe od poprzednich. Do nadejścia zimy każdy może wziąć sobie jeszcze dodatkowe drewno. Wytnijcie wszystko ze wzgórza, na którym zagnieździł się wrogowie, by w przyszłości żaden najeźdźca nie nabrał ochoty się tam oszańcować. Będziemy widzieli, jeśli ktoś znów spróbuje się zakraść od tamtej strony.

Te zapowiedzi wzbudziły wśród zboliałych uciekinierów olbrzymi wybuch radości i wiwatów. Dytryk znów poprosił Norberta o pomoc, by móc wydać następne polecenia, które wzbudziły podobny entuzjazm.

– Zapasy, które przejęliśmy od wroga, mają zostać rozdane, by można było odbudować zniszczone wioski. Woły pociągowe, narzędzia, pasza, drobne zwierzęta. Niech każda wioska przyśle trzech ludzi. Uzgodnimy, czego i gdzie najpilniej potrzeba. Do chwili wybudowania nowych domów kilka niewiast zostanie na zamku i będzie dla wszystkich gotowało, piekło i warzyło piwo. Potrzebujemy każdej pary rąk, by wszyscy mieli dach nad głową, nim spadną pierwsze śniegi. Ale teraz – wyciągnął przed siebie obie ręce, chcąc uspokoić poruszony tłum – będą gotować i piec na wspólną ucztę na cześć odniesionego zwycięstwa!

Na te słowa na dziedzińcu powstało takie zamieszanie, że nawet Marta i Klara co nieco usłyszały, choć nie miały czasu się nad tym zastanawiać.

– Niech żyje książę Dytryk!

– Niech Bóg go błogosławi! – przekrzykiwali się wieśniacy na podwórzu, przy wsparciu wojowników, którzy cieszyli się na zasłużoną ucztę z okazji zwycięstwa.

– Przyjrzyj mu się! – powiedziała chuda kobieta, którą Marta kilka dni wcześniej przywołała do porządku, gdy szeptała do ludzi, że Dytryk został przeklęty. – Niech Bóg chroni naszego pana, hrabiego

Dytryka.

Ze łzami ponownie uknęła na ziemi, a ludzie wokół niej zaczęli czynić to samo. Gdyby Marta była w pobliżu, to niespodziewana przemiana wieśniaczki skłoniłaby ją do kilku złośliwych przemyśleń.

Dytryk gestem przywołał do przodu starego Ansberta i poprosił go o zmówienie modlitwy. W podzięcie za zwycięstwo, za dusze tych, którzy dziś polegli, za powrót rannych do zdrowia oraz w intencji pokoju dla kraju i jego mieszkańców.

Ludzie z czcią i w uniesieniu słuchali słów duchownego. Jedynie mały głupek, którego Marta obroniła przed razami Gertrudy, podskakiwał w kółko obok tłumy z uśmiechem na swej zniekształconej twarzycze.

Gdy padło słowo „amen”, na zamkowym dziedzińcu nadal rozbrzmiewało czarodziejskie echo wzniosłej chwili.

Powoli rozwiął się czar urokliwego momentu, ludzie się podnieśli, zaczęli snuć plany i przygotowywać się do pracy w grupach, do których ich przydzielono.

– Ojcie, czy przejmiecie pieczę nad rozdziałem bydła i narzędzi? – poprosił Dytryk. – Zapewne najlepiej ze wszystkich się orientujecie, gdzie, ile i czego potrzeba. Norbercie, dajcie ojcu kilku zaufanych ludzi do pomocy.

On sam był zbyt długo nieobecny i nie miał dostatecznego wyczucia, natomiast na Gotfrydzie nie mógł już polegać.

Następnie zwrócił się do Henryka z Eckartsbergi.

– Czy na pewno musicie jutro wracać z ludźmi do Eisenach? Jeszcze dziś przekażę bratu warunki kapitulacji. Jutro powinien złożyć przysięgę pokoju. Do tego czasu przydałoby mi się kilku waszych ludzi do pilnowania jeńców.

Turyński marszałek był w wyśmienitym humorze i nie spieszyło mu się do domu.

– Wyślemy do landgrafa posłańca z wiadomością o naszym zwycięstwie. Sądzę, że obejdzie się bez nas przez kilka dni. Brałem udział w wielu bitwach, ale żadna z nich nie była tak zajmująca, a nawet budująca, jak dzisiejsza – odrzekł ze śmiechem. – W żadnym wypadku nie chciałbym przegapić chwili, w której wasz brat ze zgrzytaniem zębów uzna swą porażkę. Moi ludzie też są ciekawi. Nie mówiąc już o tym, że niewątpliwie przyda wam się setka turyńskich rycerzy na dodatkowych świadków przysięgi.

– Na zawsze pozostanę waszym dłużnikiem – uradował się Dytryk, ale Turyńczyk zbył podziękowanie machnięciem ręki.

– Kogo wyślecie w roli negocjatora? I co zrobicie z Gotfrydem? – zainteresował się Norbert.

– Tę kwestię też zaraz wyjaśnimy – rzekł Dytryk chmurnie, a następnie poprosił komendanta, by poszedł razem z nim.

Hrabia chciał w pierwszej kolejności załatwić sprawę ze swym zdradzieckim kasztelanem, którego nie miał ochoty więcej oglądać.

Razem z Norbertem zeszli schodami do lochu.

Wydawało się, że w ciągu minionych kilku dni Gotfryd zestarzał się o wiele lat. Padł na kolana i wyciągnawszy rękę, chciał błagać o łaskę. Ale Dytryk nakazał mu gestem milczenie. Z ust zdrajcy nie chciał słyszeć już ani jednego słowa.

– Wy i wasza niewiasta zostajecie skazani na wygnanie. Ze skutkiem natychmiastowym – oznajmił twardo. – Przez wzgląd na wcześniejsze zasługi możecie zabrać rzeczy stanowiące waszą osobistą własność. Niezwłocznie opuście zamek i kraj. Jeśli kiedykolwiek wejdziecie mi w drogę, wówczas jako zdrajca nie będziecie więcej mogli liczyć na łaskę.

Nie zważając na służalcze podziękowania byłego zarządcy, odwrócił się na pięcie i wszedł

z powrotem na schody. Norbert, który czuł podobną pogardę jak jego pan, a może nawet większą, bo w ciągu ostatnich lat wciąż miał Gotfryda obok siebie, nakazał dwóm rycerzom przypilnować, by rozkaz został natychmiast wykonany.

Później poszli razem do izby, w której ulokowano miśnieńskiego marszałka.

Na widok wchodzących mężczyzn Gerald się podniósł i uklęknął.

Hrabia zauważył, że więzień lewą dłonią podtrzymywał prawą rękę, na której miał założony opatrunek, i bardzo się starał ukryć ból.

– Czy czujecie się na siłach wsiąść na konia i zawieźć memu bratu do Burgwerben warunki kapitulacji? A może pani z Reinhardsbergu jeszcze raz powinna obejrzeć wasze obrażenia?

– Na nic by się to nie zdało – powiedział z goryczą Gerald. – Nawet jeśli uda mi się pokonać te kilka mil, moje życie i tak nie będzie warte nawet funta kłaków.

Naprawdę tak uważał. A jeśli ktoś rzeczywiście musiał się zająć jego raną, to wolałby po tysiącuroc, by uczyniła to Marta. Niewykluczone, że ona doceni fakt, że pomógł Łukaszowi w ucieczce z więzienia, do którego wtrącił go Albrecht. Natomiast Klara miała wiele powodów, by go nienawidzić. Jednakże w obecnej sytuacji nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek życzenia.

– Oto żądania, które macie przekazać memu bratu – oznajmił Dytryk i zaczął wyliczać.

Gdy skończył, Gerald powiedział tylko jedno zdanie:

– Nie ma potrzeby, by nastawiano mi rękę.

Kuno i Bertram wyszli z bitwy bez większego szwanku i z entuzjazmem wzięli udział w uroczystej ceremonii na zamkowym dziedzińcu. Teraz podszedł do nich Guntram, który dopiero następnego dnia miał rozpalić ogień na palenisku w kuźni.

– Wiecie, o czym przez cały czas myślę? – spytał Kuno w zamyśleniu.

– Jak dostać największy kubek piwa, które zaraz będą rozlewać? – rzucił wesoło Bertram.

– Nie, o matce – zaprzeczył Kuno ku zdziwieniu przyjaciela.

– O starej Grecie? – upewnił się Bertram, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi.

Przybrana matka Kunona nie żyła od wielu lat, zadźgana przez Randolfa, zacieklego wroga Chrystiana.

– Tak – odparł Kuno z niezwykle poważną miną. – Wówczas wszyscy się dziwili, dlaczego na stare lata postanowiła wyruszyć z pochodem osadników, decydując się na niepewny los i trudy podróży. Zrobiła to, bo wierzyła w Chrystiana. Przez całe życie w naszej dawnej wiosce służyła panom, z których każdy kolejny był gorszy od poprzedniego. Pakując nasz mizerny dobytek, mówiła, że Chrystian może zostać takim władcą, o jakich można było usłyszeć w dawnych opowieściach. Odważnym, sprawiedliwym, mającym serce dla małuczkich.

– Nie pomyliła się. Tylko zabrakło jej czasu, by się o tym przekonać. A później Chrystian umarł – dokończył gorzko Bertram.

– Bóg się zmiłował nad jego duszą! Ale moja matka byłaby szczęśliwa, gdyby słyszała dzisiejszą przemowę hrabiego Dytryka. Chrystian też byłby z niego dumny. Czyż nie zabrzmiało to jak zapowiedź lepszej przyszłości? Mam wrażenie, że dzisiaj oboje spoglądają z nieba i świętują razem z nami.

Trzej freiberczycy zamilkli na chwilę.

Jednak Guntram nie mógł zbyt długo wytrzymać.

– Pod warunkiem, że margrabia rzeczywiście zachowa w przyszłości pokój. Czyż los Chrystiana nie świadczy o tym, że na tym świecie nie ma łaskawych i sprawiedliwych władców?



## Warunki kapitulacji

Albrecht rozlokował się w najlepszej komnacie na zamku Burgwerben i nie chciał nikogo widzieć.

Elmarowi jego decyzja była na rękę. Stolnik nie miał zbytnio ochoty wystawiać się na wybuchy gniewu margrabiego po jego fatalnej porażce. Niech Albrecht rozbije kilka przedmiotów, niechaj się upije, byle nie za bardzo. Elmar kazał cześnikowi rozrzędzać wino wodą i rozważał, kogo obciążyć winą za niespodziewaną klęskę na całej linii. Kto odpowie za to głową?

W tej sytuacji lepiej zejść mu z oczu. W odpowiednim czasie zwróci Albrechtowi uwagę na osobę astrologa, co nie powinno mu nastreczyć większych trudności. Był jeszcze Gerald... Widok konia zwalającego się całym ciężarem na marszałka nie dawał nadziei, by jeździec mógł to przeżyć. „Jeśli od razu nie skręcił karku albo nie złamał kręgosłupa, to prędzej czy później umarł z powodu poważnych ran i złamań. A nieboszczyka nie obchodzi, czy zostanie kozłem ofiarnym” – pomyślał Elmar.

Niemniej jednak istniał jeszcze jeden, bardziej istotny powód, dla którego stolnik nie miał obecnie ochoty dotrzymać towarzystwa swemu panu. Chciał pierwszy dopaść posłańca z żądaniami od Dytryka, by od razu przyjąć odpowiednią strategię i przekonać do niej margrabiego inteligentnie dobranymi argumentami.

Z powodu zaskakującego wkroczenia tych zdradzieckich Turyńczyków, których motywy wciąż stanowiły dla niego zagadkę, ponieśli druzgocącą klęskę. Z dwustu pięćdziesięciu ludzi, którzy z nimi wyruszyli, najwyżej trzydziestu udało się znaleźć ratunek w Burgwerben. Oczekiwane posiłki i zaopatrzenie zapewne też całkowicie przepadły.

Ale na pewno nie wszyscy polegli. Dytryk wziął całą gromadę jeńców i postawił warunki. Zażąda srebra i kto wie czego jeszcze. Zapewne przysięgi i obietnicy, że w przyszłości zrezygnują z ataków. Tutaj można byłoby się uciec do sprytnego uniku, użyć dwuznacznego sformułowania. Żądania pieniężne można negocjować, poza tym zawsze mogą ściągnąć dodatkowe opłaty od górników z Freibergu. Jednakże Albrecht prawdopodobnie nie uniknie wykupienia dużej liczby więźniów, inaczej poważnie naruszyłby obowiązki ciążące na nim jako na feudale. Bądź co bądź ci ludzie walczyli pod jego rozkazami i na jego wojnie.

Ponadto margrabia poniósłby znaczący uszczerbek, tracąc tylu ludzi. Wprawdzie dzięki freiberskiemu srebru ów kawałek ziemi był bogaty, jednak nadal stosunkowo słabo zaludniony. A pozbawienie go tylu sprawdzonych wojowników mogło sprowokować niejednego rywala do łatwego przejęcia kuszących kopalni srebra.

Takie oto myśli chodziły po głowie Elmara, który nie zważając na jesienny chłód, siedział na najwyższej położonej platformie zamkowych murów i niecierpliwie wyglądał posłańca z Weissenfels.

Na dole w sali został jego pasierb, który na polecenie Elmara pilnował, by Miśnięńczycy i freiberczycy się nie upili ani nie wygłaszali żadnych zemsty przechwałek. Na wszelki wypadek powinni się posilić i zachować czujność.

Nareszcie! Do zamku zbliżał się samotny jeździec. Elmar nie mógł go rozpoznać po koniu. Napięty do granic, zszedł po wąskich schodach prowadzących wewnątrz wieży.

Dotarł na dół dokładnie w chwili, gdy jeździec wjechał przez bramę na zamkowy dziedziniec. Teraz go rozpoznał i nie mógł opanować zdumienia. Gerald. Po ostrożnych ruchach przybyłego, któremu pachołkowie pomogli zsiąść z konia, wywnioskował, że mężczyzna był ranny.

Odczuł podwójną ulgę. Po pierwsze, uznany za zmarłego marszałek żył, co z kolei oznaczało, że ściągnie na siebie potężną część gniewu Albrechta. Elmar ruszył do niego przez dziedziniec.

– Nie sądziłem, że zobaczę cię żywym, przyjacielu – przywitał przybyłego, chwytając go za ramię. Był

to nieprzemysłany gest, Gerald bowiem skrzywił się boleśnie i jęknął. Elmar natychmiast go puścił, a następnie przyjrzał się uważnie bladej twarzy i zabandażowanej ręce marszałka.

– Kto z naszych jeszcze żyje? – spytał, gdy szli do palatium. Dokładnie mówiąc, Elmar szedł, a Gerald kuśtykał.

– Czy twój syn żyje? – odpowiedział pytaniem marszałek. – Nie widziałem go wśród jeńców. Wśród poległych też nie.

– Jest tutaj, nie martw się.

– Chwała Bogu! – odetchnął Gerald. – Dytryk chce okupu za pięć tuzinów naszych rycerzy i jakieś dwa tuziny serwientów. I Giselberta.

– Giselberta? – spytał Elmar zupełnie zbity z tropu.

Nigdy by nie przypuszczał, że tłusty przyjaciel przeżyje bitwę. Zapewne za wszelką cenę starał się trzymać daleko na tyłach.

– Tak, żyje i nie jest ranny. Dytryk oddzielił mnie od razu od reszty. Zamknął mnie w osobnej izbie i kazał pilnować. Nie dotarło do mnie nic z tego, co się później działo. Z kolei Giselbert był z resztą jeńców. Odnoszę wrażenie, że po powrocie będzie miał nam to i owo do opowiedzenia.

– Dobrze – ucieszył się Elmar.

Wieść o tym, że cześnik przeżył, obudziła w nim kilka ponurych wspomnień. Od czasów giermkowskich byli przyjaciółmi, wszyscy czterej potomkowie szlchetnych rodów. Randolph, Ekkehart, Giselbert i on. Randolph zginął w pojedynku z Chrystianem, Ekkehart w pojedynku z Łukaszem. Niewiele brakowało, by z całego kwartetu jedynie on pozostał przy życiu. Z kolei po stronie zagorzałych wrogów z młodości, to jest Chrystiana, Rajmunda, Ryszarda i Gera, żył tylko Rajmund. No i ten przeklęty Łukasz, następca Chrystiana. Powinien się smażyć w dziewiątym kręgu piekieł!

Gerald zdawał się czytać w jego myślach, gdy bowiem Elmar zapytał niecierpliwie o żądania Dytryka w zamian za uwolnienie więźniów, marszałek opowiedział mu najpierw nowinę, która wyrwała z piersi stolnika triumfalny okrzyk.

Po drodze do palatium Gerald coraz mocniej kulał. W części sali siedzieli ich ludzie, którym udało się uciec z pola bitwy. Niektórzy zostali tymczasem opatrzeni przez felczera, którego wezwał askański kasztelan. Inni z ukontentowaniem raczyli się jadłem i napojami.

Na widok wchodzących wstali z miejsc. Na ich twarzach malowało się pytanie o to, co dalej nastąpi. Ale na Elmarze ich ciekawość nie zrobiła wrażenia. Niecierpliwym gestem przepędził kilku mężczyzn, by móc porozmawiać z Geraldem bez świadków. Nakazał, by przyniesiono im dzban wina i pieczoną kurę.

Dopiero teraz poczuł, jaki był głodny. Łapczywie oderwał udko.

Obaj mieli świadomość, że Gerald powinien się natychmiast zameldować u margrabiego. Jednakże marszałek uważał również, że będzie lepiej, jeśli najpierw naradzi się z Elmarem i poczynią wspólne ustalenia. Dytryk postawił tak nieubłagane żądania, że nawet w najlepszym razie nie mógł sobie wyobrazić, by Albrecht zechciał ich do końca wysłuchać.

– Zatem jak go przekonamy, by się zgodził na ultimatum? – zaczął Elmar poufną rozmowę, przezuwając duży kęs kury.

Jednak nie dał Geraldowi szansy na udzielenie odpowiedzi. Najwyraźniej miał już gotowy plan.

– Tysiąc marek w srebrze! Czy mój brat stracił rozum? – wrzasnął rozsierdzony Albrecht, który do nadejścia marszałka i stolnika siedział w pogrążonej w półmroku komnacie i snuł ponure myśli.

– Macie jeszcze złożyć pokojową przysięgę w obecności biskupów Miśni i Merseburga – uzupełnił Gerald, który uważał, podobnie jak Elmar, że najgorsze wiadomości powinien przekazać na samym

początku, zamiast je stopniowo dawkować.

Uznali, że należy jak najszybciej uświadomić margrabiemu, że żadną miarą nie wykręci się od spełnienia żądań Dytryka.

– Po co ten Kietlicz miałby wyruszać w daleką podróż z Miśni aż tutaj? – prychnął pogardliwie Albrecht. – Tylko po to, by zobaczyć, jak się korzę? Zapewne chętnie by to uczynił, ale za bardzo dokucza mu artretyzm. Czy mój brat naprawdę chce czekać, aż ten cherlawy starzec tu dotrze? Tydzień, a może nawet dziesięć dni? Nie może tak długo pilnować i żywić tylu jeńców. Nie obawia się, że do tej pory zbierzemy siły do ponownego ataku i uwolnimy więźniów? – pokręcił głową. – To pułapka. Nie mam najmniejszego zamiaru w nią wpaść!

Elmar odchrząknął, sprawiając wrażenie pewnego zakłopotania, choć w rzeczywistości nie był ani trochę zmieszany.

– Biskup jest już w drodze, wasza wysokość. Rzekomo od dawna planował odwiedzić swego konfratra. Niemniej jednak macie rację, że nie wierzycie w ów przypadkowy zbieg okoliczności – odrzekł, energicznie uprzedzając sprzeciw księcia. – Ja też tak sądzę. Zdaje się, że wasz brat podczas pielgrzymki niejednego się nauczył w kwestii chytrych planów.

– Czy moglibyście wyrazić się jaśniej? – prychnął Albrecht.

Teraz zabrał głos Gerald, by wyjaśnić księciu szczegóły dotyczące żądań Dytryka.

– Z owego tysiąca marek w srebrze trzysta ma dostać biskup Miśni, trzysta przypadnie klasztorowi w Marienzelle, a trzysta zostanie przekazane biskupowi Merseburga, który ma odprawiać msze w intencji zbawienia duszy waszego ojca. Jako zadośćuczynienie za trzy tysiące marek w srebrze, które wasz ojciec miał ponoć przeznaczyć na ten cel dla klasztoru cystersów.

Gerald nie dodał, że po śmierci ojca Albrecht zażądał tej olbrzymiej kwoty dla siebie i zrabował ją z klasztornej ołtarza. W końcu on i Elmar byli przy tym obecni.

Wytracony z równowagi margrabia przyglądał się obu najwyższym rangą ludziom należącym do jego świty. Tym szachowym posunięciem brat postawił go zaiste w bardzo niewygodnej sytuacji.

– Kupił sobie tych klechów! – warknął rozwścieczony. – Ci chciwi starcy przyjadą z ochotą za trzysta marek w srebrze!

– Przyjadą i zgarną srebro – potwierdził Elmar. – To misternie utkany plan. W oczach pobożnych braciszków wasz brat stanie się szlachetnym synem. Wypełni ostatnią wolę ojca, co wyście rzekomo udaremnili. Chociaż nie ulega kwestii, że klasztor nie miał żadnego prawa do tych trzech tysięcy marek w srebrze – dodał pospiesznie.

Nie było żadnego aktu darowizny, żadnego dokumentu traktującego o tej olbrzymiej sumie, co Albrecht wykorzystał jako pretekst, by ją odebrać. Fakt, że Bóg nie ugodził go piorunem, gdy zabierał sztabki z ołtarza, stanowił dla całego świata dowód na legalność jego poczynań. Teraz zaś brat powrócił do tej starej historii, która się przecież rozegrała, gdy był w Ziemi Świętej, i obrócił ją na swoją korzyść! Dokładnie tak, jak powiedział Elmar. Obietnicą srebra przeciągnął biskupów na swoją stronę. W karygodny sposób nie docenili jego młodszego brata.

– A gdzie miałyby się to odbyć? W katedrze w Merseburgu? – mruknął Albrecht, szukając w myślach wyjścia, jakiejś tylnej furtki.

– Nie, u Świętego Mikołaja, na miejscu, w Weissenfels – sprostował Gerald z grymasem cierpienia na twarzy.

Co chwila przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą, próbując złagodzić doskwierający mu ból, który stawał się coraz dotkliwszy. Jednakże margrabiemu nawet nie przyszło do głowy, by pozwolić im usiąść, był zanadto wzburzony. Ten, kto przynosił złe wiadomości, powinien się cieszyć, że nie przeciągnięto go po dziedzińcu zakutego w łańcuchy, lecz wolno mu było stać albo klęczeć przed

księciem.

– W Weissenfels? – jęknął Albrecht. – Żeby mój brat mógł im przy okazji pokazać spalone wioski? Do tego przypuszczalnie kilku skomlących wiejskich gamoni i stado lamentujących bab. Zatem uczynią ze mnie nie tylko łajdaka bezczeszczącego pamięć ojca, w przeciwieństwie do mego szlachetnego brata, ale jeszcze agresora łamiącego prawo. A klechy za trzysta marek w srebrze chętnie przymkną oko na fakt, że Dytryk nie dotrzymał przysięgi pielgrzyma!

Albrecht z wściekłością rąbnął pięścią w drewnianą belkę, z której posypały się kurz i grudki wysuszonej gliny.

– Wasza wysokość, w obecnej chwili nie macie na to wpływu – łagodził Elmar, a jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że od dawna miał w zanadrzu plan, który pozwoli im przeciągnąć los na swoją stronę.

– O ile Bóg nie spuści gromu i nie spali kościoła Świętego Mikołaja, będziecie musieli w obecności biskupów przysiąc na krzyż, że w przyszłości zostawicie w pokoju swego brata, jego posiadłości i ludzi, taka jest bowiem formuła przyrzeczenia, którego zażądał Dytryk. Niemniej jednak z pewnością będzie lepiej, jeśli uczynicie to w małym drewnianym kościółku, a nie w potężnej merseburskiej katedrze, w obliczu niezliczonych świętości oraz szczątków Thietmara z Merseburga i Rudolfa ze Szwabii. Nie mówiąc o tym, że przecież kiedyś na rozkaz króla musieliście się w Merseburgu godzić z ojcem...

Tu Elmar zrobił znaczącą pauzę, po czym podjął na nowo.

– Eberhard z Seeburga – kontynuował, nawiązując do merseburskiego biskupa – jest krewniakiem domu Wettynów. Gdy sprawa ucichnie, wówczas bez trudu będziecie mogli go znów przekonać, że to wy lepiej reprezentujecie interesy jego rodu, a nie ten golec, który jest waszym bratem. Jesteście margrabią i władacie lennem pod chorągwią cesarza. Z kolei waszemu bratu po przekazaniu kościołowi hojnych podarków zostanie w garści całe sto marek. To wprowadzie wciąż sporo, ale stanowczo za mało, by przyjąć na żołd dostateczną liczbę ludzi, która pozwoliłaby umocnić i obronić zamek. Natomiast Dytryk Kietlicz, o którym wszyscy wiedzą, że próbuje wszelkich sztuczek na miśnieńskim dworze, by uzyskać większe wpływy od was, musi walczyć o poparcie w kapitule. Poza tym jest już stary jak świat, po siedemdziesiątce. Jego dni są policzone. Zatem ta przysięga... będzie miała pewien termin ważności...

– Słuszna uwaga – zgodził się Albrecht, a jego twarz nieco się rozpuściła. – Nigdy bym nie przypuszczał, że mój brat jest zdolny do takiej przebiegłości. Zdaje się, że pielgrzymka pogłębiła jego pobożność – dodał, wykrzywiając cynicznie kąciki ust.

– Przeżyjecie jutrzejszy dzień i przysięgę, wasza wysokość – pocieszył go Elmar – tak jak wówczas przeżyliście publiczne pojednanie z ojcem. Pieniądze na okup weźmiemy od freiberczyków. Wprowadźcie nowy podatek, zażądajcie wyższego udziału w urobku srebra.

Albrecht uniósł dłoń i władczym gestem nakazał Elmarowi milczenie. Czyżby przed chwilą się przesłyszał?

– Jutro? Czy to znaczy, że te klechy przyjadą tu już jutro? Jeśli zatem Kietlicza jakimś cudem nie naszła nagle nieodparta chęć na podróż, w co żaden z nas nie wierzy, to już tydzień temu ktoś musiał go do tego namówić, jak tylko wyruszyliśmy z wojskiem. Ktoś, kto był w pełni przekonany, że Dytryk wygra bitwę. Czy możecie mi to wyjaśnić?

Ostatnie słowa wykrzyczał.

Elmar wymienił krótkie spojrzenie z marszałkiem, a następnie ostrożnie się odezwał:

– Cała sprawa wygląda na chytry plan, uknuty przez tego szczwanego lisa Łukasza z Freibergu. Ale w tej kwestii mam dla was dobrą wiadomość.

– Czy wreszcie umarł? – warknął Albrecht.

– Wszystko wskazuje na to, że tak – potwierdził Elmar i z zadowoleniem uderzył się w pierś. –

Przydzieliliście memu synowi pewne szczególne zadanie. Ale ku naszemu ubolewaniu nie udało mu się na razie zgładzić Tomasza z Chrystianowa. Uczyni to przy najbliższej okazji. Lecz zamiast tego w potyczce przeszył mieczem Łukasza z Freibergu.

Gwoli ścisłości należałoby powiedzieć, że to jeden z serwientów zabił antagonistę księcia, ale ten zdechł na polu bitwy i nie będzie miał okazji, by dochodzić swych zasług.

– Czy macie pewność, że nie żyje? – zapytał Albrecht nieufnie.

– Widziałem go, leżał na ziemi bez ruchu i ciężko krwawił. Później mnie zabrali – zrelacjonował Gerald. – Ludzie, którzy się przy nim zebrali, byli zrozpaczeni, nie było nadziei. Raczej nie potrzebujecie się nim więcej martwić.

Nie odczuwał żalu po stracie szwagra, ale jednak coś go powstrzymało przed wymienieniem imion Klary i Tomasza.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość w tym potwornym dniu! – westchnął Albrecht.

– Lecz bez wątpienia powinniśmy jak najszybciej wyjaśnić, kto jeszcze maczał palce w tej sprawie. Nie tylko w Miśni i we Freibergu, ale także w Seusslitz – przypomniał Elmar, unosząc wysoko brwi.

Po minie Albrechta zauważył, że sugestia, jakoby księżna Hedwiga mogła mieć z tym coś wspólnego, od razu trafiła na urodzajną glebę. Hedwiga zawsze faworyzowała Dytryka, jej zaś stosunki z pierworodnym synem układały się tak źle, że Albrecht trzymał ją pod ścisłą obserwacją w odosobnieniu w Seusslitz. Niemniej jednak wciąż istniało prawdopodobieństwo, że ta przebiegła kobieta po raz kolejny znalazła sposób i środki, by się wtrącić.

Wreszcie nadszedł moment, gdy Elmar mógł spróbować przypuścić najważniejszy atak w tej trudnej rozmowie.

– Mimo wszystko powinniśmy się zastanowić, dlaczego Turyńczycy przeszli na stronę waszego brata, a myśmy o tym nic nie wiedzieli.

Margrabia znał stolnika na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że ten znał już odpowiedź na to pytanie albo też miał jakieś poważne podejrzenia. Dlatego niecierpliwym gestem ponaglił go do mówienia.

– Podczas krótkiego pobytu w niewoli wasz marszałek się dowiedział, że Turyńczycy mówili o waszym bracie jako o przyszłym zięciu landgrafa Hermana – wyjaśnił Elmar.

– Zatem mój brat musi pojąć za żonę jedną z pozbawionych uroku córek Hermana? – spytał Albrecht zdumiony, a nawet z pewnym rozbawieniem. – Jeśli w ten sposób płaci za wsparcie Hermana, to właściwie można go uznać za przegranego w tej bitwie.

– Z całą pewnością – przyznał Elmar, korzystając z raptownej poprawy nastroju księcia.

Lecz nieoczekiwanie spoważniał.

– Postanowili zawrzeć sojusz, o którym nie mieliśmy pojęcia – powiedział niemal pompatycznie. – Ale z Bożą pomocą może za jakiś czas będę miał w ręku dość argumentów, by odpłacić Hermanowi pięknym za nadobne.

– A to w jaki sposób? Czyżbyście chcieli mnie namówić na wyprawę przeciwko Turynгии? – zapytał Albrecht nieprzychylnym tonem.

– Chwilowo nie radziłbym wszczynać walki, wasza wysokość – odrzekł Elmar. – Cesarz mógłby uznać ten krok za naruszenie terytorium i pozbawić was swej przychylności. Nie – uśmiechnął się niczym drapieżnik. – Dajcie mi trochę czasu na zebranie dowodów, a oskarżymy landgrafa o sprzysiężenie przeciwko cesarzowi. A razem z Hermanem polegnie jego nowy zięć.

Albrecht głośno wciągnął powietrze.

– Sądzicie, że to możliwe?

– Jak najbardziej, wasza łaskawość – zapewnił spokojnie Elmar. – Przy odrobinie cierpliwości

i z odpowiednim dowodem przeważymy szalę na naszą stronę. Wcześniej jednak... – kontynuował z zafrasowaną miną, przeciągając słowa – powinniście mi na powrót zostawić wolną rękę w doborze szpiegów. Wasz uczonek nie potrafi ich zastąpić. Czyż gwiazdy nie powinny mu były powiedzieć o powstaniu nowego przymierza, sojuszu, który się przeciwko nam zawiązał? Zawiódł i posłał was prosto w pułapkę.

Albrecht nie zdążył się wypowiedzieć, ponieważ marszałek nieoczekiwanie zasłabł i odwrócił jego uwagę. Najwyraźniej jego obrażenia były poważniejsze, niż się wydawało. Księżę wezwał kilku służących, którzy zanieśli rannego do felczera, i przy okazji wyprosił również Elmara. Na razie zamierzał rozważyć w samotności, jak się policzy z tym zakłamanym astrologiem.

## *Przysięga pokoju*

Kościół Świętego Mikołaja w Weissenfels był stanowczo za mały, by pomieścić wszystkich ludzi, którzy chcieli zobaczyć uroczystość zawarcia pokoju między dwoma zwaśnionymi braćmi z rodu Wettynów. Udręczeni mieszkańcy zamku i okolicznych wiosek pragnęli ujrzeć, jak dumny margrabia z Miśni będzie zmuszony przyjąć karę za podstępną napaść, a hrabia Dytryk będzie świętował zwycięstwo nad agresorem. Przybycie do ich miejscowości dwóch biskupów nadawało temu dniowi jeszcze świetniejszą oprawę i dłużej jeszcze będzie się o tym mówiło.

Kościół był wypełniony po brzegi ludźmi należącymi do świty biskupów, rycerzami hrabiego Dytryka i rycerzami z Turynгии, którzy mieli być świadkami przysięgi.

Wieśniacy, pachołkowie i służące czekali w zbitej ciżbie przed wrotami świątyni. Stojący bliżej wejścia zdawali innym, stojącym w dalszych rzędach, relację z przebiegu uroczystości wewnątrz kościoła.

Dytryk i jego brat stali przed ołtarzem naprzeciwko siebie, biskup Eberhard z Seeburga przypominał właśnie o potrzebie zachowania pokoju. Stojący obok niego Dytryk Kietlicz trzymał połączony krzyż, na który Albrecht miał złożyć przysięgę pokoju.

Obaj biskupi dotarli na miejsce razem. Dytryk powitał ich z honorami, ugościł, a następnie zaprowadził do kościoła. Pod drodze obaj duchowni zobaczyli ślady spustoszenia, jakie zostawili po sobie ludzie Albrechta, spalone domostwa i zniszczone sady. Zauważyli też, że mieszkańcy zabrali się do odbudowy. Z Klemmbergu dochodziło głośnie echo uderzeń siekiery, w powietrzu unosił się zapach świeżo ściętego drzewa, a w uliczkach grupy mężczyzn rozbijały i usuwały zwęglone belki, by zastąpić je świeżymi. Niewiasty splatały trzcinę albo donosiły wiadra napełnione gliną do wypełniania szachulcowych ścian.

Świadomość, że w ten sposób został w dwójnasób ośmieszony, napełniała Albrechta taką wściekłością, że wolałby prawie, by nieunikniona ceremonia odbyła się jednak w merseburskiej katedrze. Ale tam z kolei wszyscy by sobie natychmiast przypomnieli, jak dwa lata wstecz podczas zjazdu nadwornego musiał się na rozkaz króla pojednać z ojcem, którego wcześniej uwięził, by przywłaszczyć sobie schedę. Teraz zaś wojna przeciwko własnemu bratu, a co gorsza przegrana, uczyniłaby z niego w ich oczach niepoprawnego awanturnika. Mimo że chciał, by ludzie się go bali, to głupotą byłoby pozwolić zarzucić sobie łamanie prawa i obowiązujących reguł.

Tak więc pójdzie za radą Elmara i zniesie dzisiejszy dzień, tak samo jak dwa lata temu musiał udawać pojednanie z ojcem, które mu narzucano. Na oczach całego zgromadzonego dworu posłali sobie z Ottonem kilka wyrafinowanych złośliwości. W efekcie i tak wygrał. Kilka tygodni później ojciec leżał

na łożu śmierci, a teraz on był margrabią Miśni.

Przy odrobinie cierpliwości odniesie podobny triumf nad bratem i Turyńczykami. Ziarno zostało zasiane. W tej kwestii Elmar nigdy nie puszczał słów na wiatr.

Bądź co bądź nikt nie zażąda od niego dzisiaj pocałunku pokoju. Już choćby ten fakt był dla niego wart tysiąc marek w srebrze.

Albrecht starał się nie patrzeć na brata, by nie zdradzić swej nienawiści. Obok Dytryka stał chudy komendant zamku i ów turyński marszałek z Eckartsbergi, a zaraz za nimi syn Chrystiana. Ich dni były policzone, chociaż na razie nic nie przeczuwali.

Z całej siły starając się zachować opanowanie, margrabia miśnieński wystąpił do przodu i złożył przysięgę na krzyż wysadzany drogimi kamieniami, powtarzając słowa za biskupem Merseburga.

– ...przysięgam w obliczu Boga, że nigdy nie zaatakuję mego brata ani jego ludzi.

Herman z Turyngii nie należał do ludzi Dytryka. Jeśli uda mu się oskarżyć landgrafa o spisek, wówczas Turyńczyk runie w przepaść i pociągnie za sobą przyszłego zięcia.

Jak tylko przetrzyma dzisiejsze upokorzenia, bez litości osądzi wszystkich winnych jego porażki, cała Marchia Miśnieńska struchleje ze strachu przed nim. Nie mógł się wprost doczekać.

Gdyby tylko ten cwany miśnieński biskup nie gapił się na niego z taką nieufnością! Staremu doprawdy udało się sprawić, że przeszły mu ciarki po plecach. Był wówczas świadkiem, gdy ojciec na łożu śmierci odmówił mu przebaczenia i sama obecność tego starca o jastrzębim spojrzeniu wystarczyła, by w duszy Albrechta na nowo odżyły złe duchy przeszłości.

Koniecznym było dowiedzieć, kto uknuł przeciwko niemu spisek i zadbał, by Kietlicz tu dzisiaj stał i był świadkiem jego porażki, a nawet ją celebrował, miast zмагаć się z kapitułą w Miśni.

Dytryk Kietlicz, wieloletni proboszcz katedry i od niedawna biskup Miśni, mimo swych siedemdziesięciu lat był człowiekiem równie niebezpiecznym co przebiegłym. Jeszcze gdy stary margrabia leżał na łożu śmierci, próbował wskazać Albrechtowi, jako następcy ojca, jego miejsce. Chciał pokazać, kto odtąd będzie rządził na miśnieńskim zamku, gdzie od dawien dawna walczyli o pierwszeństwo przedstawiciele trzech sił: cesarski burgrabia, biskup i margrabia.

Teraz ów wysoce utalentowany biskup trzymał krzyż, na który Albrecht musiał złożyć przysięgę. Jego pokryta starczymi plamami dłoń nawet przez chwilę nie zadrżała, podczas gdy jej właściciel lustrował margrabiego miśnieńskiego przenikliwym wzrokiem.

Hrabia Dytryk również zachował podczas ceremonii nieprzenikniony wyraz twarzy i uważnie obserwował brata.

– Chwalcie Pana i pokój, który właśnie został zawarty! – zawołał biskup Merseburga, któremu następnie głośnym wiwatem zawtórowali mężczyźni w kościele i ludzie zebrani na zewnątrz. Zmęczeni weissenfelczycy świętowali zwycięstwo w nadziei na nadejście lepszych czasów, teraz, po powrocie swego pana, który pokonał agresorów i udzielił biednym hojnej pomocy na odbudowę.

Dytryk natomiast podchodził do sprawy z wielką rezerwą. Aż nadto dobrze bowiem znał brata, by się upajać triumfem. Dał sobie jedynie chwilę oddechu i dzięki mądrym posunięciu zapewnił przychyłność duchownych w Merseburgu i w Miśni. Jeszcze nim wyruszył na wyprawę krzyżową, matka mu radziła, by nie przestawał wspierać klasztoru cystersów pod Nossen.

Nigdy nie mógłby zażądać tak olbrzymiej kwoty tysiąca marek w srebrze, gdyby chciał zatrzymać pieniądze dla siebie, choć niewątpliwie przydałyby się na zebranie oddziałów i rozbudowę zamku. Na te cele tysiąc marek by nie wystarczyło. Ale na zbawienie duszy ojca Albrecht nie bardzo mógł mu odmówić pieniędzy. Zatem Dytryk nie tylko wypełnił część ostatniej woli ojca, lecz także mógł mieć pewność, że biskup pobliskiego Merseburga obejmie go ochroną Kościoła jako bogobojnego pielgrzyma,

który powrócił do domu.

Jednak najważniejsza była obecność biskupa Miśni. Albrecht obawiał się Dytryka Kietlicza, bo duchowny nie tylko znał jego słabe punkty, lecz także potrafił je zręcznie wykorzystać do zdobycia nad nim przewagi. Dytryk wiedział o tym od Marty.

Z kolei Albrecht powzięłby jeszcze większe obawy, gdyby wiedział o potajnym i zdumiewającym sojuszu pomiędzy Dytrykiem Kietliczem a ową znachorką, która przeklęła go na oczach całego dworu.

Do tego osobliwego przymierza doszło zaraz po tym, jak Albrecht kazał wrzucić Martę do lochu, by zmusić ją do odwołania klątwy. Ówczesny proboszcz katedry kazał ją uprowadzić z więzienia w margrabiowskim palatium i ukryć w jednej z jego cel. Szczwany Kietlicz zorientował się, że nowy władca z niewyjaśnionych powodów bardziej się obawiał przekleństwa tej drobnej niewiasty niż kary wszechmogącego Boga. Wszak niespełna trzy dni wcześniej Albrecht ukradł trzy tysiące marek w srebrze z ołtarza klasztoru cystersów. By się dowiedzieć, jakie skryte obawy się za tym kryły – chciał je bowiem wykorzystać dla własnych celów – Kietlicz kazał przyprowadzić Martę do siebie i przez wszystkie tygodnie niewoli dokładnie ją wypytał.

Marta nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałyby chronić Albrechta. Dlatego chętnie opowiedziała przyszłemu biskupowi o koszmarach nękających od wczesnej młodości obecnego margrabiego, który przyjmował za dużo ziela lulka czarnego. O przerażających urojeniach, które mogą się przedstawiać osobie odurzonej lulkiem i z których przed laty Albrecht musiał się w ścisłej tajemnicy leczyć. Wyczuła, że gdy Otto odmówił mu przebaczenia, napady strachu zaczęły się odnawiać. Dlatego jej przekleństwo odniosło tak silny skutek. Ponadto Albrecht coraz bardziej się obawiał, że nie spłodzi męskiego potomka.

Po przyjeździe do Weissenfels opowiedziała o wszystkim Dytrykowi i zaproponowała, by zaprosić biskupa miśnieńskiego na świadka przysięgi pokoju. Była przekonana, że Kietlicz chętnie weźmie na siebie uciążliwość podróży, by zostać świadkiem klęski swego przeciwnika. I tak też się stało.

Łukasz i jego żona nie byli obecni przy zawarciu pokoju, rycerz bowiem wciąż był przykuty do łoża i walczył o życie, Marta zaś nie odstępowała go na krok, toteż nikt się nie domyślił, kto się krył za owym misternym planem.

„Łukasz, chciałbym, żebyś teraz przy mnie był – myślał Dytryk z melancholią, wspominając swego zaufanego przyjaciela i doradcę. – Ty i Chrystian. Czy bylibyście teraz ze mnie zadowoleni? Czy mogłem coś zrobić lepiej?”

Ceremonia dobiegła końca i pierwsi goście zaczęli wychodzić z kościoła, co w obliczu zgromadzonego na zewnątrz tłumu szło nadzwyczaj powoli.

Nikt nie oczekiwał, że on i jego brat podadzą sobie ręce albo zamienią słowo lub choćby jedno spojrzenie.

Dytryk poprosił więc turyńskiego marszałka i swego komendanta Norberta, by dopilnowali przekazania miśnieńskich jeńców. Tomasza wolał zatrzymać przy sobie; niemal namacalnie czuł fale nienawiści unoszące się między młodym rycerzem a pasierbem Elmara i nie chciał, by jakieś niespodziewane wydarzenie zakłóciło dopiero co zawarty pokój.

Uprzejmie zwrócił się do biskupów, by odprowadzić ich do wyjścia, i zaprosił ich na ucztę.

Miśnieńczyk podziękował.

– Muszę pilnie wracać do swojej diecezji – wyjaśnił z udawanym ubolewaniem. – Skorzystam z okazji i razem z moimi ludźmi pojedę w eskorcie margrabiego.

Poleciał młodemu pisarzowi ze swej świty poczynić odpowiednie uzgodnienia z księciem Albrechtem, a następnie pożegnał się uroczyście ze swym merseburskim konfratrem i z hrabią z Weissenfels.

Dytryk skinął ze zrozumieniem, jednak przez głowę przeleciało mu kilka sarkastycznych myśli na temat



sprytu starego biskupa, który przez całą drogę nie spuści Albrechta z oka, przypominając mu nieustannie o poniesionej klęsce.

Natomiast Eberhard z Seeburga przyjął zaproszenie, choć z uwagi na wiek i męczącą podróż chciał się najpierw udać na krótki spoczynek oraz oczywiście porozmawiać z Bogiem i podziękować Wszechmogącemu za dzisiejsze wsparcie.

Izby sypialne dla gości były już przygotowane. Pomocnicy kuchmistrza i dodatkowo zatrudnione służące krzątały się, przygotowując uroczysty posiłek. Po całym dziedzińcu rozchodziła się woń świeżo upieczonego chleba i pieczonego mięsa.

Dytryk polecił zaprowadzić Eberharda z Seeburga do jego komnaty, a sam postanowił na razie nie pokazywać się w głównej sali, gdzie zaraz otoczyłby go wianuszek ludzi. Uznał, że przygotowania do uroczystości nie wymagały z jego strony dodatkowych wskazówek.

Zamiast tego wolał razem z Tomaszem zajrzeć do Łukasza.

Zdawał sobie sprawę, że pilnie potrzebował nowego zarządcy oraz kobiety, która odtąd zajęłaby się zapasami. Nie wiedział, czy mógł o to poprosić Martę. Gdy Łukasz wyzdrowieje, z pewnością odejdzie ze służby u Hermana z Turyngii i wraz z synami przeniesie się do Weissenfels. Dytryk pragnął mieć Łukasza i Martę u swego boku.

Ale najpierw ranny musiał stanąć na nogi. O ile jeszcze żył.

## Spotkania

Widok Marty do głębi zafrasował Dytryka. Sprawiała wrażenie tak zmęczonej i wycieńczonej, że oczy same jej się zamykały. Bez siły siedziała na brzegu łóżka i zdejmowała z rany Łukasza zaschnięty opatrunek.

Jej mąż był ułożony na brzuchu i spał albo był nieprzytomny.

– Wyliże się? – spytał Dytryk ze ściśniętym gardłem.

Poczucie odniesionego zwycięstwa, o ile tego dnia w ogóle dopuścił je do siebie, teraz rozwiało się w mgnieniu oka.

W bitwie zginęli ludzie. Mężczyźni, za których był odpowiedzialny, niektórzy z nich byli z nim bardzo blisko związani. Gdyby Łukasz również miał umrzeć, wówczas cena, którą zapłacił za odniesione właśnie zwycięstwo, byłaby zgoła zbyt wysoka.

– Na razie nie potrafię nic powiedzieć – odrzekła Marta z rozpaczą. – Czasem takie rany się goją... przy odrobinie szczęścia... Ale stracił dużo krwi...

Grzbietem dłoni potarła oczy.

– Czy mogę coś zrobić? Czy czegoś wam trzeba? Może przysłać wam jeszcze jedną służącą do pomocy? – zaproponował, podchodząc kilka kroków bliżej.

Tomasz stanął tuż za nim. Był przygnębiony.

– Dziękuję... Teraz potrzeba nam cierpliwości... i Bożego wsparcia.

– Zapalę świeczkę w jego intencji. A jeśli dobre wieści pomogą mu wyzdrowieć, to gdy przyjdzie do siebie, powiedzcie mu, że mój brat musiał dziś przyjąć wszystkie nasze żądania.

– Powiem – obiecała i uśmiechnęła się blado. – Gratuluję wam zwycięstwa!

Dytryk poczuł, że będzie lepiej, jeśli teraz odejdzie i zostawi ich samych. Postanowił zajrzeć do innych rannych. Jeśli obecność Klary w lazarecie nie będzie niezbędna, przyśle ją, by wsparła matkę.

Ale nie miał już okazji, by to uczynić. Przed izbą Marty czekał na niego jeden z serwientów,

przestępując z nogi na nogę. Najwyraźniej miał do przekazania jakąś ważną wiadomość, lecz nie odważył się przeszkadzać Dytrykowi podczas odwiedzin u chorego.

– Przybył pewien człowiek, który chciałby z wami porozmawiać, wasza wysokość – oznajmił młody mężczyzna. – Rycerz, poseł waszego brata.

Dytryk przyjrzał się serwientowi z ogromnym niepokojem.

Czyżby jego brat znalazł pretekst, jakąś furtkę, która umożliwiła mu złamanie dopiero co zawartej i przypieczętowanej przysięgą umowy? Może pojawiły się jakieś kłopoty.

Gestem nakazał Tomaszowi, by poszedł za nim, i najszybciej jak mógł, zbiegł ze schodów, starając się zachować opanowaną postawę.

Gdy dotarli na dziedziniec, zagadka się rozwiązała. Odczuli ulgę, a jednocześnie pewne przygnębienie.

Na dole czekał Rajmund. Towarzyszyła mu Elżbieta. Oprócz własnych koni przyprowadzili dodatkowo pół tuzina cennych, w większości młodych wierzchowców.

Muldentalczyk i jego żona skłonili się, a następnie Rajmund się odezwał.

– Jeśli sobie życzyacie, chętnie wstąpię do was na służbę, hrabio. Postanowiłem odejść od waszego brata. Prawdopodobnie uprzedziłem w ten sposób swoją egzekucję. Niechaj odda me dobra któremuś ze swoich morderców! Nie mam już nikogo, komu mógłbym je zostawić. Przyprowadziłem ze sobą najlepsze konie z tych, które mi zostały, jako prezent dla was. Z wyjątkiem siwka. Jestem pewien, że wam się przydadzą.

Dytryk widział ból na twarzach Rajmunda i Elżbiety. Obie miały pewne rysy, które przypominały mu ich syna.

– Witajcie w Weissenfels – powiedział ciepło. – Chętnie przyjmę waszą ofertę. Ale nie taki prezent! Bądźcie, proszę, dziś wieczór honorowymi gośćmi przy moim stole, a jutro się zastanowimy, który kawałek ziemi mogę oddać wam w lenno. Wykorzystacie swe konie do założenia nowej stadniny – dodał, nie pozwalając im przed sobą uklęknąć. – Niech Tomasz pomoże wam ulokować konie.

– Siwek jest dla ciebie – odezwał się zdecydowanym głosem Rajmund do syna Marty i wskazał wspaniałe zwierzę. – Jest jeszcze trochę młody i dziki, nie do końca wyszkolony, lecz jestem przekonany, że się polubicie. Ze wszystkich potomków Drago właśnie on jest najbardziej podobny do konia twojego ojca, więc nadaliśmy mu to samo imię.

Tomasz na widok konia wstrzymał oddech. Wyglądał dokładnie tak samo jak najlepszy ogier ojca, którego pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Niezmiernie szlachetne zwierzę, prezent czeskiego księcia dla margrabiego Ottona. A ponieważ nikt prócz Chrystiana nie potrafił go okiełznać, margrabia zostawił go właśnie jemu.

– Nie mogę go przyjąć... nie zasłużyłem... – wyjąkał.

– Oczywiście, że tak – zaprotestował Rajmund i położył mu rękę na ramieniu. – Kilka dni temu Łukasz opowiedział mi, co czyniłeś w Ziemi Świętej dla mojego syna. Nikt nie zasłużył na niego bardziej od ciebie. Roland też by tego chciał. Weź go jako pamiątkę po ojcu.

Tomaszowi odebrało mowę, targwały nim sprzeczne uczucia.

Hrabia Dytryk zdawał się domyślać, co się działo w jego duszy. On też miał przed oczyma obraz Chrystiana na siwku.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć was na młodym Dragonie – powiedział ze śmiechem do Tomasza. – A jeśli ten widok nie wyrwie Łukasza z łoża, to nie wiem, co jeszcze mogłoby mu pomóc...

Rajmund się przestraszył.

– Czy Łukasz jest ranny? Jak się czuje?

– Marta jest przy nim. Chcecie do nich pójść? Sądzę, że obojgu przyda się pomoc i obecność dobrych przyjaciół.

Rajmund polecił Witowi, jednemu z pachółków, którzy z nimi przyjechali, by zajął się końmi. Tymczasem przyszedł koniuszy zamku w Weissenfels, chcąc osobiście dopilnować, by cenne zwierzęta zostały otoczone stosowną opieką.

Tomasz zaprowadził Elżbietę i Rajmunda do matki i ojczyma. Łukasz nadal leżał bez ruchu. Marta podniosła się z trudem i uściśnęła Elżbietę. Obie kobiety miały łzy w oczach. Rajmund przyglądał się Łukaszowi, jakby chciał go obudzić spojrzeniem. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Tomasz poczuł się nieswojo i wyszedł po cichu z izby. Później usiądą z Rajmundem w jakimś spokojnym miejscu i porozmawiają o Akce.

Ciągnęło go do stajni. Ostrożnie zbliżył się do siwka.

– Naprawdę wyglądasz jak zmartwychwstały Drago – powiedział łamiącym się głosem i pozwolił ogierowi obwąchać swoją rękę.

Podszedł do niego Wito, stajenny pachółek z Muldental, żeby pogratulować mu nowego konia.

– Pojechałem na nim do Eisenach, by ostrzec waszego ojczyma – powiedział nie bez dumy, po czym wyliczył kilka charakterystycznych cech Dragona.

Tomasz łagodnie pogładził nozdrza młodego zwierzęcia. Nagle poczuł potrzebę, by opowiedzieć Klarze nowiny, które poruszyły go do głębi.

Długimi krokami przemierzył dziedziniec i skierował się prosto do jej izby. Ale tam jej nie było, zastał jedynie Lizę, piastunkę, która zajmowała się jego małą siostrzenicą, podczas gdy Klara doglądała rannych. Widział ją zaledwie kilka razy i prawie nic o niej nie wiedział. Była młodą dziewczką, której jakiś czas temu umarło dziecko. Otaczała Annę takim ciepłem i serdecznością, jakby miała być jej własną córką. Nie wiedział nawet, czy miała męża.

Liza drgnęła, gdy Tomasz wpadł do izby. Trzymała w ramionach małą Annę.

– Dopiero zasnęła, panie – szepnęła, po czym delikatnie pocałowała małą w policzek i ułożyła ją w kołysce.

Jej łagodność i matczyna troska wzruszyły Tomasza. Nagle poczuł, jakby dotarł na miejsce, nie mając przed oczyma celu, jakby udało mu się zaspokoić jakieś niewytłumaczalne pragnienie, na które żaden napój nie potrafił zaradzić.

Uczucie, które go teraz ogarnęło, nie było zwykłym pożądaniem na widok pięknej dziewczyny, raczej pragnieniem, by poczuć ciepło jej ciała, przytulić się do jej piersi, znaleźć pociechę w jej ramionach.

Liza była zbyt nieśmiała i za bardzo posłuszna, by się sprzeciwić jego życzeniom. Ale wyczuł, że rozpoznała jego cierpienie i chciała go pocieszyć. Tak jak pocieszała jego małą siostrzenicę, gdy dziewczynka płakała.

Objęła go czule, tak samo, jak przed chwilą tuliła małą Annę, pieściła i głaskała po włosach, szepcząc przy tym uspokajające słowa.

Zaczął ją całować. Najpierw delikatnie, później coraz bardziej namiętnie i z rozkoszą tulił się do jej miękkiego ciała.

Jakiś czas trzymała go w ramionach i kołysała. Później pozwoliła mu się położyć na łóżko i z całą żarliwością poczuli się kochać.

## *Bez odwrotu*

Dytryk siedział pośrodku odświętznego stołu bardziej obojętny niż zadowolony. Rozmyślał o wielu sprawach, które musiały zostać uregulowane. O umocnieniach, które należało zbudować, o swoich

zaręczynach z narzeczoną, która była jeszcze dzieckiem, o poczuciu winy w stosunku do rodziców Rolanda. Wodził oczyma wśród ludzi, którzy w głównej sali świętowali zawarcie pokoju i odwrót napastników.

Po jego prawicy siedział biskup Merseburga, ojciec z kościoła Świętego Mikołaja, Henryk z Eckartsbergi i Norbert z Weissenfels, po lewej zaś stronie miał Klarę, Tomasza, Rajmunda i Elżbietę.

Marta została przy Łukaszu. Nadal nie było żadnych optymistycznych nowin o stanie zdrowia rannego.

Wkrótce biskup ich przeprosił, tłumacząc się podeszłym wiekiem i trudami dnia, w którym odbył męczącą podróż i uczestniczył w ceremonii.

Wobec tego Dytryk zakończył uroczystość. Elżbieta oznajmiła, że spróbuje zmienić Martę przy Łukaszu, by biedaczka mogła się odrobinę przespać, i również się pożegnała. Tomasz z Rajmundem zagłębili się w cichą rozmowę, a sądząc po ich chmurnych minach, nie mogli rozmawiać o niczym innym, jak tylko o wydarzeniach wyprawy wojennej do Ziemi Świętej. Zdawało się, jakby zupełnie przestali dostrzegać swoje otoczenie.

Norbert razem z turyńskim marszałkiem postanowili jeszcze raz zajrzeć razem do rannych. Tuż przed posiłkiem Klara poinformowała, że z Bożą pomocą wszyscy w lazarecie powinni przeżyć, o ile w rany nie wda się gangrena. Tego dnia Dytryk zobaczył ją dopiero przy stole. Zamiast ubrudzonej krwią, pomiętej sukni miała teraz na sobie swą najlepszą szatę. Zieloną, z szerokimi rękawami i haftowanymi pnączami na obrzeżach i przy wycięciu dekoltu. Wyglądała na zmęczoną i prawie nic nie jadła. Siedziała u jego boku zamyślona, wpatrzona w przestrzeń. „Nic dziwnego, w obliczu faktu, że musiałem się zaręczyć z inną” – pomyślał Dytryk, złorzecząc losowi.

Widać było, że Klara nie czuła się swobodnie, siedząc obok niego, toteż z pewnością najlepiej było zakończyć tę niezręczną sytuację, zamiast dalej wystawiać ją na wzrok współbiedniaków.

– Jesteście zmęczeni po ogromie pracy, jaki spadł na was w ciągu ostatnich dni. Czy chcecie, bym kazał was odprowadzić do waszej izby? – zaproponował uprzejmie.

Klara otrząsnęła się z odrętwienia i zwróciła się ku niemu. Spojrzawszy mu krótko w oczy, przeniosła wzrok wyżej, na zszytą ranę nad jego brwią, która coraz mocniej pulsowała.

– Wasza rana zaczyna ropieć. Jeszcze dziś muszę wyciągnąć szew, inaczej do jutra całe oko wam zapuchnie – powiedziała.

Już wcześniej to dostrzegła i wiedziała, że nie powinna tej sprawy odkładać na później.

Dytryk wyczuł, że musiała się przemóc, by się do niego odezwać.

– Zatem miejmy to już za sobą – odrzekł, starając się zachować jak najbardziej formalny ton. – Czego będziecie potrzebować?

– Czystego lnu, gorącej i zimnej wody, a także swego kosza z tynkturami.

Dytryk rozkazał jednemu z giermków stojących za stołem do obsługi gości, by natychmiast przyniósł wszystko, czego pani z Reinhardsbergu potrzebowała do opatrzenia jego rany. Giermek się skłonił i ruszył biegiem. Kilka chwil później był z powrotem, niosąc żądane akcesoria. Gorącą wodę miano zanieść z kuchni prosto do komnat hrabiego.

Dytryk się podniósł i oznajmił, że musi opatrzeć ranę, ale biesiadnicy mogą pozostać przy stole. Wszyscy zebrani wstali i skłonili się, gdy pan wraz z obładowanym pakunkami giermkim i biegłą w leczeniu siostrą swego rycerza opuszczał salę.

W komnacie chłopak odstawił wiadro i kosz i położywszy na stole lniane bandaże, zapalił stojącą na nim świecę. Miska z gorącą wodą stała już na ławie.

Klara poprosiła o dodatkową świeczkę, którą wzięła do ręki i zbliżyła do twarzy Dytryka. Przesuwała ją delikatnie tuż przy brwi, żeby jak najwięcej dojrzeć, myśląc jednocześnie o kolejnych rzeczach, które miała do zrobienia. Jej niepokój i zmęczenie gdzieś się ulotniły, najpewniej widziała jedynie ranę, którą

miała się zająć.

– Wasza wysokość, usiądźcie proszę i potrzyjcie świecę – powiedziała, podając mu światło. Giermek odszedł. Z pewnością powie Norbertowi, żeby postawił na korytarzu kilku wartowników.

Klara zanurzyła dłonie w wiadrze z zimną wodą i odszukała w koszu wąski nóż owinięty w białe lniane płótno.

– Trochę wyżej – poprosiła, kierując jego rękę ledwo wyczuwalnym dotykiem w miejsce zapewniające jej lepszą widoczność.

Miała lodowate palce, a woda z nadgarstków skapywała na jego tunikę.

– Odmówcie pacierz i nie ruszajcie się teraz.

Pociągnęła za nitkę, a następnie ją przecięła i wyciągnęła szew. Pulsujący ból w zaognionej ranie przeszedł raptem w klucie. Przy okazji musiała wypłynąć część zgromadzonej ropy, bo zaraz potem odczuł ulgę.

Klara przycisnęła do rany ściereczkę namoczoną w zimnej wodzie, co przyniosło cudowne ukojenie.

Następnie zanurzyła materiał w parującej wodzie, potem go wyżeła i wygładziwszy gałganek, wycisnęła nim pozostałą ropę.

– Trochę zapieczę, ale zaraz będzie lepiej.

Oczyściła skórę nad brwią z zaschniętej wydzieliny i świeżej krwi, po czym naniosła na ranę tynkturę.

Bolało, ale nieporównanie mniej niż przed zabiegiem. Jego skaleczenie nie miało znaczenia w porównaniu z urazami, jakie odnieśli inni ludzie. Największe ryzyko stanowiła gangrena, która w każdej chwili mogła się wdać w ranę. Jednak tymczasem niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Wszystkie jego zmysły mimo woli skierowały się na kobietę, która stała tak blisko niego, której pragnął jak żadnej innej na świecie. Patrzył, jak jej ciało delikatnie się unosiło i opadało w rytm oddechu, czuł jej zapach, którego nie stłumił nawet mocny aromat tynktury...

Przez całe życie musiał okazywać dyscyplinę i opanowanie, zawsze postępował zgodnie z regułami należnymi jego stanowi i pochodzeniu, w zgodzie z tym, czego oczekiwali od niego ludzie wyżsi i niżsi społecznym statusem. Jednakże teraz uczucia wygrały z rozsądkiem i dyscypliną. Idąc za nieodpartym pragnieniem, położył rękę na jej dłoni, wstał, a następnie odebrał od niej bandaż i niedbale rzucił na stół.

Oświecił świecą jej twarz, patrzył, jak ciemne źrenice rozszerzyły się pod wpływem światła, a na jej twarzy ukazała się cała wrażliwość, którą starała się ukryć przed światem, a w szczególności przed nim.

Wolną ręką przyciągnął ją do siebie i pocałował tak delikatnie, że wystarczyło, by cofnęła się o milimetr i mogła uniknąć dotyku jego ust.

Nie uczyniła tego, zatem odstawił świecę, ujął w obie dłonie jej twarz i znów ją pocałował, wciąż delikatnie, ale bardzo długo.

Musiał zebrać wszystkie siły, by się od niej oderwać, lecz musiał to zrobić. I musiał jej to powiedzieć.

– Klaro... Moja kochana... Byłem zdecydowany z ciebie zrezygnować, by zachować twój honor. Ale nie potrafię... Wybacz mi!

– Nie ma nic do wybaczenia – wyszeptwała.

Położyła mu rękę na szyi i pocałowała go.

Ponownie wbrew woli oderwał się od niej.

Nie chciał jeszcze bardziej utrudniać jej życia. Rozsądek podpowiadał, że powinien ją zaraz odesłać i wydać za Norberta. Albo za jego syna, jeśli będzie wolała. Zdał sobie sprawę, że jeśli Klara natychmiast nie opuści jego komnaty, nie będą się już mogli wycofać.

– Jeśli chcesz odejść... to proszę cię, wyjdź teraz!

Lekko pokręciła głową i spojrzała na niego z miłością. Uśmiechnęła się dzielnie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Wspięła się na palce, odwzajemniając pocałunek,

jakby w ten sposób mogła się do niego jeszcze bardziej zbliżyć. Następnie pogładziła jego brązowe włosy sięgające ramion.

Jego ręce czule powędrowały wzdłuż jej szyi. Lewą przycisnął ją do siebie, prawą zaś zaczął pieścić jej piersi przez materiał sukni.

Westchnęła z pożądania, nachyliła się do niego i palcami głaskała go po szyi, wzdłuż kręgow, aż delikatne włoski stanęły dęba na jego skórze.

Najchętniej pociągnąłby ją do łóżka, zerwał z niej suknię i natychmiast ją wziął. Była mężatką i urodziła dziecko, nie była dziewicą, więc nie musiał się obawiać, że ją przestraszy albo że sprawi jej ból.

Jednakże się powstrzymał, chociaż przyszło mu to z ogromnym trudem. Jeśli zdecydowała się ponieść tę ofiarę i oddała mu się, mimo że nie mógł jej poślubić, jeśli ryzykowała reputację i spokój duszy, pragnął jej podziękować, pragnął, by wspólnie delektowali się każdą chwilą.

Zdjął jej czepek i welon, następnie zręcznie odpiął klamrę spinającą przednie rozcięcie spodniej sukni. Odwrócił ją tak, że zwróciła się do niego plecami, i przycisnął do siebie, całując jednocześnie jej szyję i ramiona. Potem wsunął rękę pod materiał i głaskał jej nagą skórę. Brodawki jej piersi stwardniały pod dotykiem jego palców, znów westchnęła z pożądania i przyciągnęła do siebie jego głowę. Przez suknie czuła twardość jego członka i nie mogła się doczekać, by go przyjąć. Lecz pieśszoty sprawiły, że nie mogła się poruszyć, niby więźniarka, nie mogła się od niego oderwać i pociągnąć do łoża. Z zamkniętymi oczami całkowicie poddała się jego rękom i ustom.

– Chodź – wyszeptał, odwracając ją z powrotem do siebie. Rozsupłał węzły tkanego pasa, który owijał się podwójnie wokół jego talii, a następnie rozluźnił sznurowanie jej sukni. Pomogła mu, podnosząc ręce, by mógł zsunąć jej przez głowę suknię i halkę. Następnie rozwiązał wstążki mocujące jej pończochy. Klara się nachyliła, zrolowała je w dół i zsunęła buty. Teraz stała przed nim zupełnie naga. Blask świecy otulił jej skórę złotą poświatą. Jej piersi, których wcześniej dotykał, były nieduże i wciąż jędrne, a brodawki okolone jasnymi otoczkami. Po jej ciele nie było widać, że urodziła dziecko. Miała wąskie biodra i szczupłe nogi.

Na widok pięknego ciała Klary zabrakło mu tchu. Najbardziej jednak poruszało go jej spojrzenie, pełne miłości i tęsknoty.

Podszedł dwa kroki bliżej, po czym z łatwością wziął ją na ręce i zaniósł na posłanie. Ułożył ją na kołdrze, a ona wyciągnęła ręce, by go przytrzymać i przyciągnąć do siebie.

– Mam wrażenie, jakbym przez całe życie czekał na tę chwilę – powiedział ochryplym głosem, a następnie się wyprostował i szybkim ruchem uwolnił się od ubrania.

Klara otworzyła ramiona na jego przyjęcie. Jednocześnie przyglądała się jego ciału, podobnie jak przed chwilą on patrzył na nią. Było żyłaste, silnie umięśnione. Na prawym ramieniu miał ślad po złe wygojonej ranie i drugi podobny na lewym udzie. Jego członek był mocno wyprostowany, duży i silny wznosił się w jej kierunku.

Nie chciała już dłużej czekać i rozsunęła nogi.

Uklęknął nad nią i wsunął prawą rękę pomiędzy jej uda, by dotknąć delikatnego miejsca na jej podbrzuszu. Wygięła ciało i jęknęła z pożądania, a jej palce wpiły się w pościel.

Później w nią wszedł, najpierw tylko częściowo. Zatrzymał się nieruchomo na maleńką chwilę, w której oboje pomyśleli o tym samym: nie mieli odwrotu. Wreszcie przełamał powściągliwość. Tej nocy będą się kochali niejedną raz, więc będzie miał okazję poznać każdy centymetr jej ciała. Ale teraz on sam też nie mógł dłużej czekać. Wsunął się w nią głęboko i wiedział, że przywitała go z radością. Zaczął ją gwałtownie całować i wkrótce odnaleźli wspólny rytm, w którym ona odwzajemniała każde jego namiętne pchnięcie.

Klarze się zdawało, że umiera ze szczęścia. Nie wiedziała, jak ma wytrzymać wszystkie te uczucia, które rozsadały jej ciało. Jej dłonie znalazły oparcie w jego włosach, później opuściły się po jego plecach. W końcu objęła go rękami, jak gdyby chciała go wciągnąć jeszcze głębiej w siebie.

Krzyknęła ze zdumienia, pożądania i zmieszania, gdy jakaś nieznana siła ścisnęła w środku jej ciało. Zadrżała i w tym samym momencie Dytryk wydał z siebie jęk ulgi. Następnie znieruchomiał z głową odrzuconą do tyłu, a później opadł na nią.

Cudownie było w niej zostać. Poszukał jej wzroku. Powoli otworzyła oczy i popatrzyła na niego z tak niewiarygodną mieszaniną miłości, czułości i zdziwienia, że omal nie pękło mu serce.

Cisza w izbie zdawała się wibrować... niczym echo pożądania, które przed chwilą w niej pulsowało.

Dytryk czule pogładził policzek ukochanej. Klara przymknęła oczy, rozkoszując się jego dotykiem. Później ujęła jego dłoń i przycisnęła wewnętrzną stroną do swoich ust, a następnie przyciągnęła do siebie jego twarz i znów zaczęła go całować.

Leżeli obok siebie w milczeniu, całkowicie wypełnieni tym, co przed chwilą przeżyli. Nie potrzebowali słów.

Tej nocy jeszcze wielokrotnie się kochali, długo, rozkoszując się każdym swym dotykiem. Uczyli się, jakie pieszczoty najbardziej podobały się drugiemu. Dytryk ssał brodawki jej piersi, wodził wokół nich językiem, gładził jej ciało, uda. Później odwrócił ją na brzuch i całował jej kręgosłup, od szyi w dół, wzdłuż całych pleców. Pieścił ją ustami, językiem, opuszkami palców, czasem namiętnie lub tak delikatnie, że ledwo czuła jego dotyk, a jej ciało mimo to całe drżało.

Klara też odkryła, co go najbardziej podniecało. Zdawało się, że nigdy nie będą mieli siebie dość.

– Dałaś mi bezmierne szczęście – powiedział w którymś momencie tej nocy, gdy wstawał, by zapalić nową świecę. Chciał ją widzieć, mimo że przez okno wsączało się delikatne światło gwiazd. Chciał patrzeć na jej piękne ciało i wyraz bezgranicznego oddania na jej twarzy.

– I wy sprawiacie, że czuję się szczęśliwa jak nigdy dotąd – odrzekła. – Mogłabym płakać ze szczęścia...

Była tak poruszona, że z kącików jej oczu popłynęły łzy. Leżąc spokojnie u jego boku, otoczona jego ramieniem, czuła się tak bezpiecznie jak nigdzie indziej. A gdy z całej siły w nią wchodził, miała wrażenie, że rozpływa się z rozkoszy.

Nie potrafiła znaleźć słów dla nazwania tego odczucia.

Dytryk odstawił świecę, którą oświetlał jej twarz, położył rękę na jej policzku i starł łzy spływające z kącika oka.

– Klaro, ukochana, nie chcę, byś się do mnie tak formalnie zwracała, gdy jesteśmy razem – poprosił czule.

Przełknęła ślinę.

– To jedyne życzenie, którego nie mogę dla was spełnić – odparła cicho.

W myślach od dawna zwracała się do niego na ty. Ale głośno nie mogła. Nie wolno jej było zapomnieć, gdzie było jej miejsce. Ich społeczną pozycję dzieliła nieprzebyta przepaść.

– Tak będzie lepiej. Będzie nam przypominać, że to jedynie pożyczone szczęście. Tylko na pewien czas – wyjaśniła, widząc, że spochmurniał.

Dytryk chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nie miał teraz ochoty na tego rodzaju dyskusje. Później wróci do tego tematu, gdy będą ze sobą bliżej. Lecz czyż mogli być jeszcze bliżej siebie niż teraz, gdy przez całą noc wymieniali się najczulszymi pieszczotami?

– Jestem tutaj – upomniała szeptem, a on natychmiast pojął, co miała na myśli.

Jeszcze tu była. Jeszcze wolno jej było przy nim leżeć. Czas, który został im dany, uciekał nieubłaganie, choć dopiero się odnaleźli. Powinien go lepiej wykorzystać, zamiast snuć rozważania.

Z wolna bledły gwiazdy zaglądające do komnaty przez okienną szczelinę. Zgasił świecę i z powrotem położył się obok niej na łóżku.

– Śpij, ukochana – szepnął jej do ucha, zamykając Klarę w objęciach.

Przytuliła się do niego. Teraz trudy ostatnich dni i nieprzespana noc zebrały swe żniwo. W mgnieniu oka zapadła w sen.

Dytryk leżał obok, wsłuchiwał się w ledwo słyszalny oddech i przyglądał jej się w bladym świetle nadchodzącego świtu. W życiu miał za sobą wiele nieprzespanych nocy, na wojnie, na wyprawach czy podczas modlitwy. Teraz czuwał przy kobiecie, którą kochał. Nie chciał stracić ani chwili, delektował się jej widokiem. Zastanawiał się, jak ją ochronić i jak przedłużyć czas, który został im dany.

## *Następnego ranka*

Klarę obudziło pukanie i głos hrabiego Dytryka, który przy drzwiach rozmawiał z jednym ze służących.

Zaspana spojrzała na blade jesienne słońce zaglądające do pokoju przez wąskie okno. Potrzebowała dłuższej chwili, by się zorientować, gdzie była... i co się wydarzyło.

Ku jej zdumieniu Dytryk był całkowicie ubrany. Zamknąwszy drzwi, odwrócił się i popatrzył na nią z uśmiechem.

Spała aż do nastania dnia! Jej ubrania leżały na podłodze, a czepek i welon na stole. Na szczęście jej córeczka ostatnimi dniami przywykła, że matka nie zawsze przy niej siedziała, gdy mała się budziła. Była bezpieczna pod opieką Lizy.

Wciąż oszołomiona usiadła i nagle poczuła ogromne zmieszanie. Dytryk podszedł do niej i usiadłszy na brzegu łóżka, pogładził ją po zmierzwionych włosach.

– Dzień dobry, ukochana – przywitał ją, a po sposobie, w jaki to powiedział, zorientowała się, że nie musi czuć zakłopotania.

Podał jej kubek z rozcieńczonym winem. Spragniona upiła łyk napoju. Na stole stało mięso i chleb. Zatem przespała mszę, skoro podano już śniadanie!

– Czy jesteś głodna? – zapytał. – Jeśli chcesz, mogę zamówić z kuchni coś innego.

Z uśmiechem pokręciła głową i popatrzyła na niego. Jego bliskość napełniła ją tak wielką miłością i pożądaniem, że odstawiła kubek i objąwszy go ramionami, przytuliła policzek do jego twarzy.

Na więcej nie miała odwagi, było już bowiem późno. Bez wątpienia na Dytryka czekało mnóstwo obowiązków. Ona również powinna jak najszybciej odmówić poranną modlitwę, zajrzeć do córki, a później zająć się chorymi.

Jednak nim skończyła swą myśl, z uścisku zrobił się głęboki pocałunek, a z pocałunku jeszcze coś więcej. Gdy Dytryk poczuł jej ciepłe, miękkie ciało, nie mógł się powstrzymać, by się z nią nie kochać, gwałtownie, z burzliwą namiętnością.

Później najchętniej oboje zostaliby w łóżku, zmęczeni i wyczerpani, przepełnieni czułymi myślami. Jednakże obowiązki dnia przywołały ich z powrotem do rzeczywistości. Dytryk pierwszy był gotowy i patrzył, jak się ubierała. Przeczesał palcami jej włosy i zaplótł je od nowa.

– Podjąłem pewne postanowienie – oświadczył. – Przeprowadzisz się z córką do komnaty obok mnie. Od tej chwili będziesz siedziała przy stole u mojego boku, a ja oficjalnie oznajmię, że do czasu mego małżeństwa ty będziesz panią Weissenfels.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Uważacie, że to będzie... stosowne?



– Jak najbardziej – odrzekł, a ona zorientowała się po jego minie, że nie da rady odwieść go od tego pomysłu. – Nie będziesz się potajemnie przemykać do mojej komnaty. A ja nie będę tolerował, by ktoś się źle o tobie wyrażał. Porozmawiam z ojcem Ansbertem i zapytam, czy przez wzgląd na szczególne okoliczności może nam przebaczyć, że dzielimy łożę bez sakramentu małżeństwa. Jeśli nie będzie w stanie, wówczas rozejrzę się za kapłanem, który to uczyni, by lekkomyślnie nie ryzykować zbawienia naszych dusz. Ale najpierw porozmawiam z twoją matką i z Łukaszem. Mam nadzieję, że twój ojczym odzyskał przytomność. Nie powinni się o tym dowiedzieć z plotek.

Klara była pełna niepokoju na myśl o tym, co Łukasz powie na takie nowiny. Jednak Dytryk nie zgodził się, by mu towarzyszyła przy rozmowie.

– Pozwól mi przyjąć na siebie jego pierwszy gniew – skwitował z uśmiechem jej propozycję.

Potem przyciągnął ją do siebie i jeszcze raz pocałował.

– Kocham cię. Sprawiasz, że jestem szczęśliwy – powiedział, nim oboje wyszli z komnaty i każde z nich udało się do swojej pracy.

Gdy Dytryk wszedł do izby Łukasza, ulżyło mu, kiedy zobaczył, że chory odzyskał przytomność. Miał jednak świadomość, że czekało go kilka niemiłych chwil.

Przyjaciół, który był dla niego niczym ojciec, siedział wyprostowany na posłaniu. Miał bladą twarz i płytki oddech, lecz uszczęśliwiona mina Marty wskazywała na to, że dojdzie do siebie.

Dytryk gestem poprosił gości Łukasza, by nie wstawali i nie klękali przed nim.

– Bardzo się cieszę, że wracacie do zdrowia – powiedział, przysuwając stołek, by usiąść obok przyjaciół.

Marta właśnie zmieniała opatrunek i związywała końcówki bandaża na piersi męża. Następnie ostrożnie pomogła mu się oprzeć plecami o ścianę. Miała mocno podkrążone oczy, a jej włosy nie były tak porządnie splecione jak zwykle. Dytryk podejrzewał, że też nie spała tej nocy. Ale jej twarz promieniała.

– Dziś rano przyszedł do siebie – powiedziała z ulgą. – Teraz wiem, że wyzdrowieje.

– Panu niech będą dzięki – dodał Dytryk.

Nie zapytał, czy odniesione rany pozwolą mu kiedykolwiek odzyskać pełną kondycję i stanąć do walki. W tej chwili nawet Marta nie mogła znać odpowiedzi na to pytanie.

– Tak łatwo nikomu nie uda się mnie uśmiercić – spróbował zażartować Łukasz.

Marta chciała nalać Dytrykowi coś do picia, ale ten podziękował.

– Czy czujecie się dostatecznie silni, by odbyć poważną rozmowę? – zapytał.

Łukasz twierdząco skinął głową i uniósł z zaciekawieniem brwi. Natomiast Marta zdawała się przeczuwać, o co chodziło. Prawdopodobnie tak też było.

– Najpierw chciałbym zapytać, czy wstąpiłibyście do mnie na służbę. Pragnąłbym mieć was oboje u swego boku w Weissenfels. Poza tym szukam dwojga zaufanych ludzi, którzy przejęliby zadania Gotfryda i jego żony.

Łukasz chciał się odezwać, lecz Dytryk uciszył go gestem ręki.

– Pozwólcie mi skończyć. Powinniście się wcześniej dowiedzieć o jeszcze jednej sprawie, choć nie ma ona nic wspólnego z tym, o czym przed chwilą mówiłem.

W żadnym razie nie zamierzał sprawić wrażenia, że zaszczytnym urzędem kupował ich zgodę na związek z Klarą.

Wziął głęboki oddech i posłał do nieba krótką modlitwę z prośbą, by Bóg nie pozwolił mu stracić przyjaźni i szacunku tych dwóch osób, na których mu bardzo zależało.

– Do dnia, w którym mojego małżeństwa z Juttą nie da się już więcej odwlec w czasie, Klara będzie mą oficjalną kochanką. Uczynię wszystko, by chronić jej reputację i zapewnić jej utrzymanie na resztę życia. Jeśli obdarzy mnie dziećmi, uznam je i będę je kochał, niczego nie będzie im brakowało. Byłbym

szczęśliwy, gdybyście zechcieli nas pobłogosławić.

Nareszcie to powiedział.

Na twarzy Marty pojawił się bolesny grymas. Później miał wrażenie, że dostrzegł na niej uśmiech pełen wyrozumiałości.

Z kolei Łukasz jeszcze bardziej pobladł i się rozgniewał.

– Nie mam zamiaru o tym dyskutować – ciągnął Dytryk, nim Łukasz zdołał odpowiedzieć.

Wstał.

– Tuż po waszym przybyciu poprosiłem was o rękę Klary. Okoliczności, które sami doskonale znacie, zniweczyły marzenia o naszym ślubie. Z uwagi na zaręczyny zdecydowałem się z niej zrezygnować, by chronić jej cześć. Ale teraz to się wydarzyło i nie da się niczego zmienić. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Klara nie ponosi najmniejszej winy. Kocham waszą córkę i ona mnie kocha. Wasze błogosławieństwo jest dla mnie niezwykle ważne. Ale nawet jeśli nam go nie udzielicie, nie będę mógł z niej zrezygnować.

Łukasz próbował zaczerpnąć powietrza, ale dostał męczącego ataku kaszlu. Zaniepokojona Marta położyła mu rękę na piersi i trzymała go, nim się nie uspokoił. Później podała mu coś do picia.

Dytryk cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Nie da się zmienić? – spytał Łukasz ochryłym głosem, w którym słychać było rozgoryczenie, gdy wreszcie odzyskał oddech.

Zdawało się, jakby nagle postarzał się o wiele lat.

– Zatem pewnie tak jest. Ale nie możecie oczekiwać, że zostanę z wami i będę patrzył, jak psujecie reputację mej pasierbicy. Jak tylko będę w stanie usiąść w siodle, razem z żoną pojedziemy do Eisenach. Poszukajcie kogoś innego na miejsce Gotfryda.

– Łukaszu!

Po minie Marty było widać, że przeraziła ją zaciekleść, z jaką jej mąż podjął decyzję.

– Nie mam zamiaru dyskutować! – powiedział oschle, nim zdążyła przedstawić własne zdanie.

Skonsternowana spojrzała na Dytryka.

– Niezmiernie ubolewam, że będę musiał was stracić.

Odwrócił się i bez słowa wyszedł z komnaty.

Idąc do drzwi, słyszał, jak Marta cichym głosem starała się ułagodzić męża.

Po całym dniu uporczywego przekonywania Łukasz nareszcie zgodził się zobaczyć z Klarą, a Marta się upewniła, że jej córka wyjdzie z tej rozmowy bez szwanku. Po prostu nie mógł opanować rozczarowania, które okazało się dla niego zbyt wielkie.

– Kochają się od dawna, zrezygnowali z siebie w imię przyzwoitości i moralności... Ale kiedyś przychodzi taki dzień, że nie da się zapobiec temu, co się wydarzyło, tak samo jak nie ma się wpływu na słońce i deszcz – argumentowała.

Cóż mógł jej odpowiedzieć? I tak było już za późno.

– Przykro mi, jeśli nie spełniłam waszych oczekiwań. Ale nie żałuję tego, co się stało – powiedziała Klara, gdy tylko weszła do izby.

Łukasz popatrzył na nią z troską.

– Czy jesteś świadoma konsekwencji? – spytał. – W dniu, w którym Dytryk poślubi Juttę, zostaniesz zupełnie sama. Będziesz musiała opuścić zamek i wszyscy będą cię wytykać palcami. Oto kobieta, która dzieliła łożę z hrabią z Weissenfels. Jego zabawka. Wierzę, gdy mówi, że o ciebie zadba. Ale jak to ma wyglądać? Wyda cię za którego ze swoich ludzi. Ten, który cię weźmie, zawsze będzie miał przed oczami łożę, w którym bez sakramentu sypiałś z innym. Może nawet codziennie będzie ci to wypominał. A co, jeśli staniesz się brzemienna? Wówczas do owego i tak skomplikowanego małżeństwa wniesiesz

jeszcze bękarty.

Łukasz z trudem oddychał.

– Martwię się o ciebie, rozumiesz? I wyrzucam sobie, że do tej pory nie wydałem cię powtórnie za mąż.

– Wiem – odrzekła Klara. – Myślałam o tych rzeczach. Nie powinniście sobie czynić zarzutów. Opiekowaliście się mną i spełniliście swój obowiązek, wydając mnie za Rajnharda.

– I co? To nie była zła decyzja, prawda? Dlaczego nie zaufałaś mi powtórnie i nie pozwoliłaś, bym znalazł ci dobrego małżonka?

Klara spojrzała ojczymowi w oczy.

– Z Rajnhardem nie byliśmy złym małżeństwem. Mieliście rację, a moje początkowe zastrzeżenia były mylne. Ale do Rajnharda czułam szacunek i sympatię, to zaś, co czuję do Dytryka... tego nie da się z niczym porównać...

Popatrzyła na niego niemal z rozpaczą i kątem oka spojrzała na matkę.

– Przecież wiecie, jak to jest, gdy się kogoś kocha z całego serca! Czy wy też nie zdecydowalibyście się ponieść każdej ofiary, by nie zrezygnować z miłości?

Łukasz nie wiedział, co odpowiedzieć na jej pytanie. Bezsilnie opuścił głowę i poprosił Martę, by go ułożyła na posłaniu.

Gdy Łukasz na tyle wydobrzał, że nadawał się do podróży, rozkazał spakować ich rzeczy. Pożegnał się z Tomaszem, z Rajmundem i Elżbietą, którzy tymczasem wstąpili na służbę do Dytryka. Ale nie mógł się przemóc, by skierować pożegnalne słowa do Klary i Dytryka. Opuścił Weissenfels, nie zobaczywszy się z nimi więcej.

Oboje widzieli przez okno, jak Marta z Łukaszem wyjeżdżali z dziedzińca. Marta, zmartwiona waśnią, odwróciła się i posłała im nieme pozdrowienie.

Dytryk w milczeniu położył rękę na ramieniu Klary.

## *Ostrzeżenia*

Albrecht nie miał bynajmniej zamiaru pokonywać całej długiej drogi do Miśni wystawiony na ciekawskie i kpiące spojrzenia starego biskupa.

Drugiego dnia podróży przydzielił biskupiemu poselstwu eskortę złożoną z części swoich ludzi, którzy mieli towarzyszyć duchownemu do Miśni, on zaś sam wraz ze stolnikiem, cześnikiem oraz resztą wojska skręcił w stronę Rochlitz, by złożyć wizytę swemu kuzynowi, margrabiemu Marchii Wschodniej.

Marszałka z uwagi na odniesione obrażenia musieli pozostawić pod opieką medyka w Burgwerben. Jakuba wzięli ze sobą jako jeńca. Albrecht postanowił osądzić go w Miśni.

Dowódca pierwszego oddziału margrabia przekazał kilka rozkazów do Miśni, między innymi polecił zaaresztować alchemika i nie wypuszczać go z jego laboratorium, a komendanta zamku w Seusslitz wezwać do Miśni.

Na zamku w Rochlitz margrabia Konrad przywitał kuzyna z otwartymi ramionami. Byli prawie w tym samym wieku, obaj tuż po trzydziestce, w tym samym roku przejęli władzę po swych ojcach i obaj nosili obecnie tytuł księcia Rzeszy. Dwa i pół roku wcześniej Konrad wsparł kuzyna, gdy ten wziął do niewoli swojego ojca, by wymusić na nim kolejność dziedziczenia.

Hrabia z Eilenburga i margrabia wschodni rozkazał należycie ugościć ludzi swego czcigodnego kuzyna i zaraz potem razem z Albrechtem zniknął w swych komnatach.

Po obu mężczyznach znać było wyraźne rodzinne podobieństwo, chociaż Albrecht był nieco szczuplejszej budowy.

Po swoim ojcu Dedo Konrad odziedziczył nie tylko Marchię Wschodnią, ale również tendencję do tycia. Stary margrabia Dedo tak obrósł tłuszczem, że w ostatnich latach życia z wielkim trudem wsiadał na konia. Chcąc temu zaradzić, kazał sobie wyciąć tłuszcz. Owej procedury nie udało mu się przeżyć, co nikogo nie zdziwiło, za to wszyscy się zastanawiali, jak wpadł na tak osobliwy pomysł. Na koniec jego zwłoki też nie chciały się zmieścić do trumny.

Konrad na swoje szczęście nie był na razie tak masywny jak jego zmarły ojciec czy Giselbert, jednak po grymasach bólu, które ukazywały się na jego twarzy podczas niektórych ruchów, można było się domyślić, że już teraz cierpiał na artretyzm.

– Zostałem zdradzony do tego stopnia, że najchętniej potraktowałbym całą Marchię Miśnieńską ogniem i mieczem – wyznał Albrecht, zaciskając pięści. – Stolnik i cześnik to jedyni ludzie, którym jeszcze ufam.

– W twoim położeniu zaufanie do cześnika nie jest najgorszą rzeczą – odparł Konrad, rzucając znaczące spojrzenie.

Następnie ostrożnie odchylił się na oparcie i spojrzał gościowi w twarz.

– Przyznaj, kuzynie, że wyprawa przeciwko twemu bratu skończyła się okropnym fiaskiem.

– Wiem o tym! – zachnął się Albrecht. – Zostałem zdradzony ze wszystkich stron i zgotuję winnym krwawy sąd, jakiego kraj jeszcze nie widział. Gdybyś mi pomógł, kuzynie, wszystko inaczej by się ułożyło!

Konrad podniósł rękę w geście upomnienia.

– Niemożliwe! Uwięzienie twego ojca to inna sprawa. Złamał ustalenia i zamierzał zmienić kolejność dziedziczenia. Należało zareagować i dlatego jesteś dzisiaj margrabią miśnieńskim, a nie twój brat, również dzięki mnie. Jednak jako księżę Rzeszy – podkreślił swój tytuł, co chętnie i często czynił, albowiem do dostojnego grona jego posiadaczy należało niewielu mężczyzn w cesarstwie – nie mogę sobie pozwolić na udział w tak jawnym naruszeniu własności terytorialnej, jakiego się właśnie dopuściłeś. Do tego jeszcze przeciwko pielgrzymowi. Jeśli chcesz mojej rady, to w najbliższym czasie powinieneś stać się bardziej powściągliwy, by nie ściągnąć na siebie ekskomuniki i nie wzbudzić jeszcze większego niezadowolenia cesarza.

– Gdybyś był u mego boku, staranowalibyśmy tego słabeusza, nim ktokolwiek zdążyłby się zorientować, a przede wszystkim przed nadejściem Turyńczyków – wytknął Albrecht kuzynowi.

– Nie mogę sobie pozwolić na otwartą wojnę przeciwko landgrafowi z Turyngii – upierał się Konrad.

– Posłuchaj mojej rady, powstrzymaj się przed dalszymi działaniami! Przynajmniej przez jakiś czas, inaczej cesarz skaże cię na banicję.

Jednym haustem opróżnił kubek, po czym w zamyśleniu się odezwał:

– Nadal nie mogę rozgryźć, jak Dytryk w tak krótkim czasie mógł zawrzeć sojusz z Hermanem. W zasadzie to niemożliwe, nie dalej jak kilka dni temu powrócił dopiero z Ziemi Świętej.

– Przecież powiedziałem, zostałem zdradzony. Zdrajcy dawno wszystko zaplanowali!

– Czy znasz winnych?

– Są wszędzie i posypią się głowy, w Miśni, we Freibergu i w Seusslitz! – sierznił się Albrecht.

– W Seusslitz? Sądziłem, że trzymasz mą ciotkę pod ścisłą obserwacją – zdziwił się Konrad. – Niemniej jednak jest sprytna, na pewno znalazła sposób...

– Ale zastanawiam się jak? Nie ma władzy ani dostatecznej ilości srebra, by przeciągnąć kogokolwiek na swoją stronę. Wciąż zmieniam obsadę zamku i damy dworu i każę sobie na bieżąco wszystko relacjonować.

Konrad odchrząknął.

– Ludzie mogą zmieniać stronę również z innych powodów... Nie dla władzy czy srebra, lecz z miłości. Czy wzięłeś pod uwagę taką ewentualność, że komendant zamku, który rzekomo nic nie widział ani nie słyszał, mógłby dzielić z nią łożę? Ciotka jest nie tylko niemal nieprzyzwoicie mądra, jak zresztą wszyscy wiemy, ale również piękna...

Zaskoczony Albrecht nie chciał przyjąć do siebie tak niedorzecznej myśli. Jego matka była starą kobietą! Dotychczas argumenty Lotara brzmiały w jego uszach rozsądnie. Komendant przekonywał, że lepiej uprzejmie obchodzić się z wdową, wówczas może nabierze do niego zaufania i w końcu się zdradzi, jeśli zacznie knuć jakiś podstęp przeciwko synowi. Ale raz wypowiedziane na głos podejrzenie zakiełkowało już w jego głowie i zaczęło się tam rozrastać.

## *Sygnal do ataku*

Eustachiusz, biegly w kwestiach czarnej magii siwowłosy uczone, na dzień przed powrotem święty biskupa na miśnieński zamek dowiedział się, że wyprawa margrabiego przebiegła inaczej, niż zaplanowano, i na nieszczęście dla niego również inaczej, niż był to przepowiedział. Tajny wysłannik jego jeszcze bardziej tajnego zleceniodawcy przyniósł tę hiobową wieść wprost do osmolonej, przesiąkniętej gryzącym smrodem izby alchemika. Eustachiusz chciał z miejsca spakować manatki i jeszcze tego samego dnia wziąć nogi za pas. Gdyby został, wówczas niechybnie pierwszy ze wszystkich mieszkańców zamku odczułby gniew księcia, który bez wątpienia przyjmie biblijne rozmiary.

Jednakże przybysz rozkazał mu w imieniu swego zleceniodawcy, by pod żadnym pozorem nie opuszczał zamku i na powrót zdobył zaufanie Albrechta.

– W takim razie będę potrzebował więcej srebra, a przede wszystkim złota do moich eksperymentów! Na kosztowne składniki i mikstury. Muszę pokazać księciu coś nowego, zdumiewającego, żeby mnie nie wygnał albo nie kazał powiesić – lamentował Eustachiusz.

Wysłannik, przygotowany na taką reakcję, z lekceważącym uśmiechem wyciągnął pełną sakiewkę i postawił ją na stole, gęsto pokrytym powypalanymi plamami, zajmującym niemal połowę izby alchemika, znajdującej się w piwnicach palatium. Następnie otworzył woreczek, wyjął z niego bryłkę złota wielkości włoskiego orzecha i położył ją obok sakiewki.

– To powinno wystarczyć na wasze... badania... i dla dodania wam odwagi, byście dalej mogli pełnić swe posługi – skwitował wyniośle. – Pod koniec dostaniecie za to królewskie wynagrodzenie, wiecie o tym!

Pożądliwy błysk w oczach astrologa utwierdził przybysza w przekonaniu, że ten człowiek nadal będzie przydatny.

Następnie posłaniec bez słowa się odwrócił i opuścił mroczną izbę pełną gryzącego odoru.

– Nie macie pojęcia, jak trudno jest... – próbował zawołać za nim Eustachiusz.

Ale przybysza już nie było, toteż słowa zamarły mu na ustach i z westchnieniem opadł na ławę, która pod jego ciężarem skrzypnęła i się zachwiała.

Eustachiusz dysponował jasnym umysłem. Wprawdzie nie odnosiło się to do czytania z gwiazd, za to z łatwością potrafił napawać ludzi obawą i wprawiać w zdumienie swymi niecodziennymi talentami. Bardzo przydatna była przy tym umiejętność rozniecania ognia, który za sprawą kilku szczypt tej czy innej substancji buchał z jego kotła, lub też sztuka zabarwiania przejrzystej substancji na ciemny niebieski kolor. Jarmarczne sztuczki w oprawie tajemniczych gestów i łacińskich formułek zawsze osiągały zamierzony cel.

Jednakowoż tym razem zdawał sobie sprawę, że tanie przedstawienie nie wystarczy do obłąskawienia księcia. Musiał podjąć przemyślaną próbę odwrócenia uwagi, by ułagodzić jego gniew.

Dlatego też po dłuższym namyśle poprosił, by księżna Zofia zgodziła się odwiedzić go w laboratorium.

Jego prośba nie była niczym nadzwyczajnym, był bowiem także przybocznym medykiem Zofii. Ale wiedział, że obawiała się jego piwnicy, a ponadto brzydził ją przenikliwy smród i ślady sadzy pozostałe po jego eksperymentach.

Zofia przysłała w towarzystwie pokojówki i jednej z młodziutkich dziewcząt, które wychowywały się na jej dworze, córki rycerza o imieniu Jakub.

Eustachiusz podsunął margrabinie stołek, który podobnie jak pozostałe sprzęty pokryty był wypalonymi plamami, a następnie wyprosił pozostałe niewiasty. Ponadto upewnił się, że nie zostały na korytarzu i nie miały zamiaru podsłuchiwać. Dopiero potem zaproponował drżącej księżnej kubek grzanego wina.

Ta odmówiła, najwyraźniej z obawy przed otruciem. Ukradkiem przyglądała się dziwnym urządzeniom stojącym na stole. Były między nimi osobliwie uformowane kotły i lejki, niezliczone miseczki z dziwnymi składnikami. Jedna z nich zawierała chyba suszone stonogi, inny pojemnik był napełniony dżdżownicami, a niektóre z nich jeszcze się ruszały.

Odsunęła się z odrazą. Spojrzała w górę, gdzie z sufitu zwisały różnej wielkości kule. Całkiem zeszywniała.

– To doprawdy doskonałe wino, nie potrzebujecie się obawiać – namawiał uczony.

Poprawił czarną filcową czapkę i sam wypił łyk napoju. Jeszcze raz zachęcił ją gestem. Zofia pokręciła odmownie głową.

Wzruszył z ubolewaniem ramionami i jeszcze raz się napił, siorbiąc przy tym głośno i z widocznym upodobaniem. Księżna spojrzała na niego z niechęcią.

– Nadeszły złe wieści o przebiegu wojennej wyprawy – zaczął, niewzruszony jej pełną nagany miną. – Wasz małżonek przyjedzie pojutrze, nieszczęśliwym trafem i wbrew wszelkim oczekiwaniom, jako przegrany w bitwie.

– Wbrew waszym przepowiedniom, magistrze – sprostowała, a on w duszy przeklął, ale jednocześnie wyraził podziw dla jej szybkiej i jasnej odpowiedzi.

Chociaż ostatnimi czasy Zofia nie ważyła się odezwać w obecności Albrechta, to nie była głupia. Dzięki temu sprawa była prostsza.

– Czasami zachodzą zmiany, których nie da się przewidzieć – próbował oczyścić swoją osobę. – Wasz szwagier zawarł nieoczekiwany sojusz z landgrafem turyńskim, a jego wojsko ma znaczną przewagę.

– Turyńskie wojsko? Czy mój małżonek... ma się dobrze? – chciała wiedzieć Zofia, nagle bardzo ożywiona.

Może ten potwór poległ w walce albo przynajmniej został ciężko ranny.

– Ku powszechnej uldze nas wszystkich książę cieszy się doskonałym zdrowiem – powiedział obłudnie uczony. – Niemniej jednak niechybnie będzie w bardzo złym nastroju, zatem powinniśmy się przygotować.

– Przede wszystkim wy, magistrze! Czyż nie powiedzieliście memu małżonkowi, że czeka go wielkie zwycięstwo? – spytała chłodno.

– Wielkie zwycięstwo, po którym nareszcie spłodzi z wami syna – odparował chudy staruch bez najmniejszego śladu zmieszania.

Wręcz przeciwnie, teraz skierował swój przenikliwy wzrok prosto na księżnę.

– Oczywiście, że na początku skieruje swój gniew na mnie, ale wy z całą pewnością będziecie drudzy w kolejności. Może powinniśmy zawrzeć przymierze, dla dobra waszego małżonka, ale i dla naszego własnego.

– Wy i ja w przymierzu? Jak miałyby to wyglądać? I czemu służyć? – zaproponowała lodowato. – Jeśli spadniecie w przepaść, nie mam ochoty iść waszym śladem.

Astrolog nie dał się odstraszyć. Znał jej obawy i skryte pragnienia.

– Będzie was bił, bo nadal nie ma spadkobiercy, będzie żądał od was rzeczy, które napawają was najgłębszą odrazą – powiedział i ściszył głos. – Nie możecie zaprzeczyć, że się go boicie niczym wcielonego diabła. Czyż nie modlicie się czasem o śmierć swego małżonka? Czyż nie zastanawiacie się czasem, jak z arsenu, który pozostaje we Freibergu przy wytapianiu srebra, można uzyskać truciznę? Do tego potrzeba wam alchemika, więc nie powinniście mnie obrażać.

Jego ostatnie słowa utkwiły w margrabinie niczym miecz. Skąd ten człowiek mógł to wiedzieć? Czy gwiazdy mu powiedziały? A może wyczytał to z jej twarzy? W każdym razie była w ogromnym niebezpieczeństwie!

– To zdrada stanu! – sapnęła i chciała odejść, ale Eustachiusz zastąpił jej drogę.

– Wasze najskrytsze tajemnice są u mnie tak bezpieczne jak w grobie. Nie patrzcie na mnie jak na wroga, lecz jak na przyjaciela.

Zdrętwiała ze strachu patrzyła na budzącego grozę starca, który wpatrywał się w nią przenikliwymi oczami. Lekko przechylił głowę, a na jego twarzy ukazał się bezżębny uśmiech. Był tak serdeczny, że gdyby nie znała Eustachiusza, nie zauważyłaby w nim ukrytej przebiegłości.

Chudą ręką złapał jej dłoń i zaprowadził z powrotem na miejsce. Szybko zabrała rękę i popatrzyła na niego, ciekawa, co miał do powiedzenia. Czy rzeczywiście mógł jej pomóc? Teraz była całkowicie na niego zdana.

– Jesteście starym człowiekiem, któremu pomieszało się w głowie. Pomieszało się do tego stopnia, że nie odróżniliście zwycięstwa od klęski, gdy przepowiadaliście memu małżonkowi wynik bitwy. Czy oczekujecie, że wstawię się za wami, by mój mąż z uwagi na wasze zasługi dał wam łaskawy kawałek chleba, miast was stracić? – zapytała z udanym spokojem.

– Wasza oferta jest nadzwyczaj hojna, wasza wysokość – tu stary się skłonił, okazując przy tym zwinność, jakiej by się po nim nigdy nie spodziewała – ale mój plan wydaje się lepszy. Powiedzcie, kiedy mieliście ostatnio krwawienie miesięczne?

Zofia zaczerpnęła powietrza i zamknęła oczy. Lecz jako osobisty medyk ten człowiek miał prawo zadać jej to niestosowne pytanie. Nadzieja na potomka sprawiła, że stan jej ciała stał się publicznym tematem, co na wskroś uwłaczało jej godności.

Przełknęła ślinę i odezwała się cicho:

– Zaczęło się dzisiejszego ranka.

– Cudownie! – ucieszył się siwy astrolog, zacierając ręce.

Zofia nie widziała w tym nic cudownego. Wręcz przeciwnie. Kolejny raz przepadła nadzieja na kres jej cierpienia.

– Ukryjcie ten fakt przed damami dworu i powitamy jego wysokość radosną nowiną, że są podstawy pozwalające przypuszczać, że jesteście przy nadziei – wyjaśnił przebiegły starzec. – Możecie udawać poranne mdłości, a w stosownym czasie upozorujemy poronienie. Pomogę wam, dam odpowiednie środki, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. Książę będzie oczywiście ogromnie zmartwiony. Ale na razie przestanie was bić, oszczędzi wam wizyt w waszym łożu, a mnie nie każe powiesić. Zdaje się, że to dla nas obojga dobry interes.

W radosnym oczekiwaniu alchemik spojrzął na Zofię, która myślała jedynie o tym, jak by się wreszcie wydostać z mrocznej, cuchnącej piwnicy z ohydnyimi miksturami i staruchem posiadającym niebezpieczną wiedzę. Jej wzrok spoczął na osobliwym kamieniu, którego nigdy tu jeszcze nie widziała. Przypominał gałkę oka. Wstrząsnęła się z przerażenia.

– Odniesiemy obopólną korzyść – zapewnił alchemik.

W wewnętrznym rozdarciu między nadzieją a strachem Zofia rozważała, jak ukryć krwawienie przed damami dworu. Na razie żadnej z nich o nim nie powiedziała. Jeśli będzie po prostu potajemnie wyrzucała zakrwawione pasy lnianego płótna, zamiast dawać je służącym do prania, wówczas plan magistra mógłby się powieść.

Po dwóch poronieniach Albrecht z pewnością nie przyjdzie do jej łóża, jeśli uwierzy, że jest przy nadziei. Nie zaryzykuje życia nienarodzonego potomka.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym więcej korzyści dostrzegała w tym planie. Przynajmniej na razie.

Następnego dnia w Seusslitz zjawił się posłaniec Albrechta i przekazał komendantowi polecenie niezwłocznego stawienia się na miśnieńskim zamku.

– Ilu ludzi mam zabrać? – chciał wiedzieć Lotar, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, szczupły, z siwymi pasmami włosów na skroniach.

– Nikogo. Pojedziecie sami – oznajmił posłaniec, ministeriał na służbie Albrechta.

– Zatem razem z wami? Zapewne oczekują was w Miśni.

Widać było, że mężczyzna poczuł się nieswojo.

– Nie, jego wysokość rozkazał mi na razie zostać i pilnować księżnej Hedwigi do czasu, aż przyślą nowego komendanta.

– A więc zostają odwołany z funkcji? Dlaczego? – zapytał ostro Lotar. – Czy księżę nie jest ze mnie zadowolony?

– Nie wiem, panie. Nic nie wiem.

Ministeriał rozejrzał się ostrożnie, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy, a następnie powiedział szeptem:

– Weźcie od razu wszystko, co macie cennego. Raczej tu nie wróćcie.

Niewtajemniczonemu obserwatorowi kolacja w Seusslitz wydałaby się przebiegać zupełnie normalnie. Kapłan poświęcił potrawy ustawione na stole, przy którym siedziała Hedwiga wspólnie z obiema damami dworu przydzielonymi jej przez syna oraz komendant zamku. Posłańca z Miśni Lotar posadził blisko nich, dzięki czemu słyszał każde słowo z toczonej przy stole rozmowy, na którą składały się głównie przetykane długimi pauzami błahostki, jak pogoda czy zbyt mocno osolona pieczeń.

– Ku memu ubolewaniu od jutra będziecie musieli zrezygnować z mej obecności, wasza wysokość – oznajmił komendant z chłodną uprzejmością, gdy wniesiono rybę. – Księżę z Miśni kazał mi się stawić.

Księżęca wdowa przechyliła lekko głowę i spojrzała na niego obojętnie.

– Mam nadzieję, że mój syn jest zadowolony z waszej służby – odrzekła surowo.

– Naturalnie, wasza wysokość.

Lodowata, wymuszona konwersacja wzbudzała obawę, że w i tak już zimnej sali, gdzie wszyscy siedzieli otuleni w ciepłe peleryny, woda w dzbanie może wkrótce zamarznąć na lód.

Wkrótce potem księżna wstała, a jedna z pokojówek otuliła ją ciepłym płaszczem i poprawiła jej welon na głowie. Hedwiga oznajmiła, że po wieczornym nabożeństwie położy się spać, ale odmówi jeszcze modlitwę w intencji szczęśliwej podróży komendanta.

Ten podziękował jej sztywnym ukłonem i oddalił się w stronę dziedzińca.

Dużo później, głęboką nocą, Lotar uchylił drzwi do komnaty księżnej, wsunął się do środka i przytulił Hedwigę, która namiętnie otoczyła go ramionami. Jedynie Zuzanna, która od wielu lat była jej oddaną służącą, wiedziała o owych potajemnych odwiedzinach i trzymała na korytarzu wartę.



– Co to ma znaczyć? – szepnęła Hedwiga. – Czyżby mój syn wydał zaostrome rozkazy, bo podejrzewa, że wspieram Dytryka?

Wysoki komendant zamku delikatnie odsunął od siebie wciąż piękną wdowę po księciu.

– Obawiam się, że tym razem coś więcej się za tym kryje. Posłaniec powiedział, że więcej tu nie wrócę, zatem przysłał wam kogoś innego do nadzoru.

– I nigdy więcej was nie ujrzę? Czy sądzicie, że ktoś mógł się domyślić, co między nami zaszło?

– Nie wiem – odparł zatroskany. – Byliśmy ostrożni. Przy innych nigdy nie patrzyłem na was, zawsze jedynie uprzejmie i powściągliwie. Ale kiedyś... można było przewidzieć, że ktoś odkryje prawdę.

– Nie, to niemożliwe! – jęknęła Hedwiga. – On was zabije.

Objęła kurczowo mężczyznę, który miał być jedynie strażnikiem jej więzienia. Ale wkrótce się okazało, że ją kochał i w miarę swoich sił starał się złagodzić jej areszt, chociaż musiał to czynić w ukryciu. Pomagał jej też utrzymać kontakt z młodszym synem i jego ludźmi.

– Może do tego nie dojdzie – próbował ją uspokoić. – Kto wie, jakie ma dla mnie zadanie. Albo komu chce przekazać to miejsce.

Hedwiga pokręciła głową.

– Jest opętany żądzą zemsty.

Położyła dłonie na jego policzkach i intensywnie się w niego wpatrywała.

– Proszę, nie róbcie tego, nie jedźcie do Miśni! On was zabije. Uciekajcie dokądkolwiek, do Dytryka albo gdzieś w nieznane! Nie chcę ponosić winy za waszą śmierć. Nie mogłabym dalej żyć z tą myślą.

I tak nie wiem, jak wytrzymam tu bez was...

Ujął jej rękę i ucałował ją.

– Jeśli umrę, to nie będzie wasza wina! Umrę z uśmiechem na ustach, ostatnią myślą będę bowiem przy was, będę myślał o tym, jak wielkie szczęście daliście mi swą miłością.

– Nie zachowujcie się jak zakochany głupiec! Wasze życie jest zagrożone, więc uciekajcie, póki jeszcze możecie! – błagała zrozpaczona.

– Nie ma mowy. Wówczas padłoby na was podejrzenie i bylibyście w niebezpieczeństwie.

Stłumił jej protest pocałunkiem i pociągnął ją do łóża.

– Jeśli mamy się rozstać na dłużej, to chciałbym się przynajmniej odpowiednio z wami pożegnać.

Spojrzała na niego z nostalgią. Później pozwoliła mu wziąć się w ramiona i namiętnie się kochali.

Musieli być cicho, jak zawsze, by nie zbudzić dam dworu, które spały w komnacie obok. Jednak Hedwiga nie potrafiła opanować obawy, że mogli się żegnać na zawsze.

## *Powrót*

Miśnieński zamek ukazał się już oczom Albrechta i jego ludzi, gdy dotarł do nich jadący z przeciwka posłaniec.

– Pilna wiadomość od magistra, wasza wysokość – powiedział ów człowiek, składając ukłon i wyciągając przed siebie pergamin.

– Zapewne prośba o ułaskawienie? Daremna nadzieja! – warknął Albrecht i chciał pogonić swego ogiera, ignorując pismo.

– Chodzi o jej wysokość księżnę! – zawołał posłaniec.

Przewidując taką reakcję, alchemik przed wyjazdem dał mu odpowiednie instrukcje.

Albrecht wymienił spojrzenie z Elmarem i rozkazał mu otworzyć list.

Stolnik, który w przeciwieństwie do większości rycerzy umiał czytać i pisać, przez co posiadał dwie sztuki nieocenione w intrygach, szybko przebiegł oczami pismo i z niedowierzaniem podniósł oczy.

– Cóż więc? – ofuknął go Albrecht.

– Księżna... jest przy nadziei...

Albrecht na chwilę znieruchomiał. Później się roześmiał i radośnie wyrzucił do góry pięść.

– A więc jego mikstury jednak podziałały! Ta wiadomość na razie uratowała życie temu szczurowi. Poza tym odwróci uwagę służby od naszej porażki. Szybko, wracamy do domu, by wypić za zdrowie mego syna!

Natychmiast po dotarciu na górę zamkową Albrecht rozkazał zwołać swą świtę do głównej sali.

Ale wcześniej poszedł do komnaty Zofii i z impetem otworzył drzwi.

– Czy to prawda? Jesteście przy nadziei? – zapytał przerażoną małżonkę.

– Są znaki, które na to wskazują, mój panie i małżonku – szepnęła ze spuszczonej oczami.

Ręczna robótka w jej dłoni zadrżała. Podeszedł bliżej i z zadowoleniem skonstatował, że się skuliła. Ujął jej dłonie i ucałował je.

– Sprawiacie mi ogromną radość! Nie chcę, by memu synowi coś się stało. Od dzisiaj nie będziecie jeździć konno ani nigdzie chodzić. Zostaniecie tutaj, leżcie, chrońcie się i uczynicie wszystko, by donosić dziecko!

– Tak, mój panie i małżonku – rzekła cicho, po czym odłożyła robótkę i posłusznie poszła do łóżka.

– Zadbacie, by księżnej niczego nie brakowało! – polecił damom dworu. – Teraz dajcie jej spokój.

Następnie, nie powiedziawszy nic więcej, wypadł na korytarz. Jeśli Bóg da, przyszłego lata będzie miał potomka. Do tego zaś czasu nie musiał oglądać swej żony.

Albrecht w towarzystwie Elmara i Giselberta wszedł do głównej sali. Ludzie uklękli, on zaś długim, zdecydowanym krokiem przemierzył pomieszczenie. Albrecht miał wrażenie, że wietrzył ich strach niby dzikie zwierzę. Wspaniałe uczucie!

Zdawał sobie sprawę, że wszyscy wiedzieli o wydarzeniach, które miały miejsce w Weissenfels. Podstępny Kietlicz na pewno o to zadbał. Ale nie mógł pozwolić, żeby widziano w nim pokonanego. Usiadł na swoim miejscu i dał znak Giselbertowi, by dopełnił ceremonii kosztowania wina.

Zebrani zauważyli ze zdziwieniem, że ceremonia została uzupełniona o kilka dodatkowych szczegółów. Teraz tłusty cześnik musiał próbować nie tylko wina i wody, którą rozcieńczano trunkiem. Procedurę rozpoczęła próba wody, którą wypłukano puchar Albrechta, by pokazać, że ani naczynie, ani pitna woda nie zostały skażone trucizną.

W innym czasie wypowiedziano by zapewne po cichu kilka szyderczych komentarzy. Ze względu na masę ciała, a jeszcze bardziej z powodu swej powszechnie znanej zjadliwości, Giselbert był bardzo nielubiany, chociaż nikt nie odważył mu się tego otwarcie okazać. Jednak dziś wszyscy z obawą patrzyli, co się dalej wydarzy. W sali wciąż panowała zupełna cisza.

W końcu margrabia lekko pochylił się na krześle w kierunku margrabiny i wznosił kielich.

– Piję za zdrowie księżnej Zofii i syna, którego mi urodzi. Módlcie się, by Bóg pobłogosławił płód!

Jednym haustem wypił całą zawartość naczynia w akompaniamencie wiwatów na cześć księżnej, księcia i jego przyszłego spadkobiercy.

Następnie Albrecht rzucił kielich cześnikowi i wyprostował się na krześle. Jego twarz spochmurniała tak raptownie, że zebrani znów zamarli ze strachu.

– Jednakowoż mam dziś do zakomunikowania nie tylko dobre nowiny – oznajmił twardym tonem. – Muszę przeprowadzić sąd w sprawie kilku nad wyraz niegodziwych postępów, których nie mam zamiaru

tolerować.

Tu Albrecht kazał przyprowadzić Jakuba, który nadal był związany. Dawno powiesiłby brata znenawidzonego Łukasza, ale chciał go użyć jako przynęty. Podstępny freiberczyk pokaże się w końcu kiedyś u swej rodziny. Musi go jedynie odpowiednio zachęcić.

– Ten rycerz przysiągł mi wierność i posłuszeństwo, mimo to odmówił wykonania rozkazu – zabrzmiało oskarżenie. – Takie wykroczenie karane jest śmiercią – dokończył, a następnie zrobił efektowną pauzę, delektując się wyrazem rozpaczony na twarzy więźnia. – W swej niezmiernej łaskawości i w obliczu radosnej nowiny, która mnie dziś spotkała, w drodze wyjątku postanowiłem okazać wyrozumiałość – ciągnął. – Ten człowiek zostanie wygnany z miśnieńskiego dworu i nie opuści swoich dóbr, póki mu na to nie pozwolę. Za karę za swój występki zapłaci mi pięćdziesiąt marek w srebrze.

Zobaczył wyraz ulgi na twarzy Jakuba i zastanowił się, czy nie powinien był zażądać wyższej sumy. Ale mimo że ten człowiek odziedziczył po ojcu dochodowy majątek, to pięćdziesiąt marek w srebrze stanowiło zasadniczo kwotę, jaką nawet majątnemu rycerzowi trudno byłoby zebrać.

Jakub, drżąc, upadł na kolana i chciał podziękować. Tak jak tego od niego oczekiwano.

– W swej niezmierzonej łasce posunę się nawet dalej. Wasz syn i córka mogą pozostać na moim dworze.

Teraz Jakub z trudem opanował przerażenie. Przed chwilą jego dzieci stały się zakładnikami.

Przez wszystkie lata starał się lawirować, zdradził swego ówczesnego pana, nauczyciela, a także brata, by jego rodzina mogła wieść dostatnie życie. I z tchórzostwa, jeśli już miał być zupełnie szczery.

Brat Łukasza wiedział, czego się po nim spodziewano. Rzucił się księciu do stóp, podziękował i przyrzekł wykonać rozkaz i nie opuszczać swych dóbr. Później musiał odejść.

Zaległa paralizująca cisza do chwili, aż wygnaniec opuścił salę.

Kto był następny? Czyj los się teraz przesądzi? Czy dobry humor księcia się utrzyma? A może jeszcze dziś poleje się krew?

– Niech podejździe komendant zamku w Seusslitz! – rozkazał Albrecht.

Lotar przemierzył salę i ukląkł przed nim w odległości dziesięciu kroków.

– Cięży na was podejrzenie udziału w spisku przeciwko mnie i utrzymywania kontaktów ze zdrajcami – zarzucił mu Albrecht i nie zostawił czasu na odpowiedź. – Wtrąćcie go do lochu i zmuszcie do mówienia! Jeśli się nie przyzna, wyłupcie mu oko! – polecił Elmarowi.

Ten przekazał rozkaz dwóm ludziom z przybocznej straży. Lotar wstał z pobladłą twarzą.

– Nie wiem o żadnym spisku przeciwko wam! – zawołał, lecz niewzruszeni strażnicy popchnęli go w kierunku wyjścia.

W sali rozległy się przerażone szepty. Spisek przeciwko margrabiemu? Co się działo? Kto jeszcze zostanie skazany?

– Dostyc na dzisiaj – oznajmił Albrecht, jakby wyczerpany. Zmęczonym machnięciem ręki nakazał wyjść wszystkim z wyjątkiem Elmara i Giselberta.

Gdy zostali sami, kazał zawołać dwoje najstarszych dzieci Jakuba. Jego szesnastoletniego syna, który nosił imię po ojcu i przez kilka lat jako giermek pobierał nauki u Łukasza, do chwili gdy ojciec go stamtąd odwołał, oraz Lutgardę, która wraz z innymi dziewczętami wychowywała się pod okiem Zofii. Oboje wydawali się już wiedzieć o wygnaniu ojca.

Oboje byli bladzi, dziewczynka miała zapłakane oczy. Uklękli przed księciem.

– Wiecie, że wasz ojciec dopuścił się przestępstwa przeciwko mnie, za które zasłużył na śmierć – wyjaśnił Albrecht, patrząc obojgu surowo w oczy.

Wystraszeni skinęli głowami.

– Wiecie również, że od waszego dobrego sprawowania zależy, czy nie zetnę głowy waszemu ojcu?

Chłopak się opanował i zebrał się na odpowiedź:

– Tak, wasza wysokość.

Dziewczynka tylko skinęła.

– Od zaraz przechodzisz pod rozkazy nowego komendanta zamku w Seusslitz i niezwłocznie się tam z nim udasz – rozkazał młodemu Jakubowi.

– Jak sobie życzyacie, wasza wysokość.

Albrecht wychylił się lekko do przodu.

– Będziesz miał uszy szeroko otwarte i dowiesz się, kto potajemnie wspiera hrabinę Hedwigę! Od twoich sprawozdań będzie zależało, czy w przyszłości twemu ojcu... oraz twej matce daruję życie.

– Tak, wasza wysokość – odrzekł Jakub.

Zacisnął wargi. Władca uczynił lekki gest, po którym Jakub ze zwieszonymi ramionami chwiejnym krokiem wyszedł na korytarz.

– Teraz ty, moja piękna – zwrócił się Albrecht do Lutgardy, a następnie wstał i obszedł ją naokoło, nie spuszczając wzroku z jej szczupłej sylwetki.

– Wiesz, że jestem księciem, piastuję stanowisko dane mi od Boga i musisz mnie we wszystkim słuchać? – powiedział, stanąwszy naprzeciwko niej.

– Tak, wasza wysokość – odparła z drżącymi ustami, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Zatem stolnik zaprowadzi cię teraz do mej komnaty i bez sprzeciwu uczynisz, co ci nakaze.

– Tak, wasza wysokość – potwierdziła zduszonym głosem.

Albrecht zamienił spojrzenie z Elmarem, który też dobrze się bawił.

Niech inni sądzą, że opuściła go złość. Ale gniew dopiero zaczynał w nim kiełkować.

Ale najpierw zajmie się tym dzieckiem. W jej strachu było coś upajającego.

– Do zobaczenia, moja piękna – zawołał za nią z uśmiechem i z satysfakcją patrzył, jak ocierała z policzków łzy.

## *Zemsta*

Gdy następnego dnia Elmar spotkał Hedwigę na zamku w Seusslitz, jego ukłon był tak zdawkowy, że można go było uznać za zuchwałość.

– Wasza książęca mość, wasz syn życzy sobie spotkać się z wami w Miśni.

Hedwiga spojrzała na niego z udaną obojętnością.

– Podejrzewam, że odczuwa tak wielką potrzebę ujrzenia mnie, że jeszcze dziś będziemy musieli wyruszyć w drogę.

– Natychmiast – potwierdził stolnik.

Jego triumfalna mina wzbudziła w Hedwidze obawę nie tyle o siebie, choć nie mogła mieć pewności, czy syn nie postanowił jeszcze bardziej utrudnić jej życia, lecz przede wszystkim o Lotara. Niemniej jednak, jeśli chciała go chronić, nie wolno jej było okazać strachu.

– Któża matka nie byłaby szczęśliwa, gdy syn okazuje jej tyle miłości – powiedziała z nienaturalnym uśmiechem. – To oczywiste, że niezwłocznie spełnię jego życzenie.

Zwróciła się w stronę dam dworu i klasnęła w dłonie.

– Spakujcie me najlepsze suknie, chcę stanąć przed margrabią miśnieńskim w odpowiednim stroju. Żywo!

Następnie pożegnała się ze swą małą wnuczką Krystyną i oddała ją pod opiekę wychowawczyni,

a następnie pospieszyła damy dworu, by jej syn nie musiał czekać. Podczas całej podróży nie zamieniła z nikim ani słowa. Damom dworu nie mogła ufać, a Elmara nienawidziła z całego serca, nawiasem mówiąc, z wzajemnością. Nowy komendant zamku, który towarzyszył jej na polecenie Elmara, był człowiekiem potężnej postury, prawie dwie głowy wyższym od niej, z kamiennym wyrazem twarzy.

Podczas niewielu przerw, kiedy mogli odpocząć, Zuzanna odczytywała z jej twarzy każde życzenie i w milczeniu wykonywała swą pracę.

Hedwiga wiedziała, że Zuzanną targała ta sama obawa co nią samą. I miała po temu wszelkie powody. Albrecht mógł rozkazać zbatożyć dziewczkę, by wydobyć z niej zeznanie, a nawet ją zabić, co w najmniejszym stopniu nie zakłóciłoby mu spokojnego snu. Może powinna ją była zostawić w Seussnitz? Jednak właśnie w ten sposób zwróciłaby uwagę na Zuzannę, która zawsze chodziła za nią jak cień, przez nikogo nie dostrzegana. Im bardziej zbliżali się do Miśni, tym większy strach ścisnął serce Hedwigi.

W końcu nie wytrzymała napięcia. Na kolejnym postoju poprosiła pokojówkę, by poprawiła sznurowanie jej sukni, w którym rozluźnił się węzeł. Jednocześnie szepnęła jej do ucha:

– Jeśli chcesz uciec... zrób to!

Ale Zuzanna rzuciła okiem na oddział zbrojnych, który je eskortował, i ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Nie było ucieczki.

– Zróbcie miejsce dla wdowy po księciu z Ballenstedt! – zawołał Elmar, gdy niewielka grupa podjeżdżała pod zamkową górę w Miśni.

Pomógł jej zsiąść z siodła, ludzie klękali i spuszczały głowy, niektórzy mruclili słowa powitania. Tu i ówdzie Hedwiga widziała na twarzach radość i nadzieję. Na dworze zawsze uważano ją za osobę, która potrafiła wykrzesać trochę wyrozumiałości ze starego, mrukliwego margrabiego. Prawdopodobnie ludzie sądzili, że wywrze podobny wpływ na swego bezlitosnego syna.

W pewnej chwili Zuzanna się zorientowała, że nigdzie nie było Guntrama. Nie zauważyła nikogo z ludzi, którym mogłaby zaufać.

– Do kuchni, idź tam pomagać! – rozkazał jej stary koniuszy.

Zuzanna złożyła głęboki ukłon, najpierw przed księżną, później przed stolnikiem, a następnie szybko znikła. W kuchni spotka zapewne kilku znajomych z dawnych czasów. Podejrzewała, że wszyscy mieli nakazane wyciągnąć z niej informacje. Zatem uda naiwną, jakby ona i księżna na wygnaniu nie wiedziały o niczym, co się wydarzyło.

– Pozwólcie, że zaprowadzę was do sali – ofiarował się Elmar Hedwidze z najwyższą uprzejmością.

Skłoniła głowę w geście podziękowania, a następnie położyła lewą dłoń na jego prawej ręce. Jednocześnie poczuła, jak dreszcz przebiegł jej po plecach. Ten człowiek był uosobieniem zła.

Jej syn siedział na zaszczytnym miejscu pośrodku sali i zdawał się jej oczekiwać, wzrok miał bowiem skierowany na drzwi.

– Cieszę się, że zastaję was w dobrym zdrowiu, wasza wysokość – odezwała się Hedwiga, gdy tylko przestąpiła próg komnaty, a następnie zgięła się w głębokim ukłonie.

– Ja również się cieszę, widząc, że niczego wam nie brakuje, matko – odparł Albrecht z łaskawym uśmiechem.

– Oczywiście, jako że z taką troską o mnie dbacie, wasza wysokość – odrzekła, nie zmieniając niewygodnej pozycji.

Uśmiech syna stał się mniej wylewny.

– Robię jedynie to, na co zasługujecie – powiedział i nawet najbardziej tępemu z obecnych w sali ludzi nie mogła umknąć dwuznaczność jego wypowiedzi. – A więc wstańcie i podejdźcie do mnie, droga matko! – powiedział i z przesadną uprzejmością wskazał krzesło stojące obok niego.

Z wymuszonym opanowaniem przeszła przez salę, z podniesioną głową i uśmiechem na ustach, czując na sobie spojrzenia wielu zgromadzonych w pomieszczeniu ludzi, głównie mężczyzn.

– Swego czasu żywiście wątpliwości, matko, czy zaiste jestem właściwym człowiekiem, który powinien rządzić krajem. Nie, nie zaprzeczajcie! – nakazał natychmiast, unosząc przy tym rękę. – To powszechnie znany fakt. Jednak mam nadzieję, że zmieniliście zdanie. I z radością chcę was zawiadomić, że kolejność dziedziczenia zostanie zachowana. Moja małżonka nosi pod sercem syna, który będzie kontynuował rządy linii Wettynów.

– Gratuluję z okazji tej wspaniałej nowiny, wasza wysokość! – powiedziała z radosnym uśmiechem.

Albrecht sądził, że matka okaże na tę wieść ubolewanie, lecz się pomylił. Hedwiga wiedziała, że gdyby jej starszy syn zmarł, nie pozostawiając spadkobiercy, objęcie w przyszłości margrabstwa przez Dytryka stało pod wielkim znakiem zapytania. Możliwe, że cesarz przejąłby wówczas lenno, tak samo, jak zamierzał to kiedyś uczynić z Turyngią.

Mimo że z synową nie łączyły jej szczególnie bliskie stosunki, to cieszyła się w jej imieniu. Gdy wreszcie urodzi syna, życie nieszczęsnej kobiety stanie się znośniejsze. Przez chwilę nawet w duszy Hedwigi zakiełkowała nadzieja, że owa wiadomość złagodzi nastrój jej syna. Może właśnie z tej okazji kazał jej przyjechać?

Ale jego następne słowa natychmiast stłumiły jej ufność.

– Odczuwam potrzebę udowodnienia wam, że naprawdę umiem panować nad tym krajem i potrafię pokonać wszystkich wrogów i zdrajców.

Na tę zapowiedź wszystkie włoski na karku Hedwigi stanęły dęba.

Albrecht roześmiał się drapieźnie, po czym wstał i podał jej rękę.

– W tym celu przygotowano na dworze niewielką demonstrację. Czy zechcecie mi towarzyszyć, matko?

Margrabina podniosła się z krzesła i pełna czarnych myśli pozwoliła się wyprowadzić. Wszyscy obecni padali na kolana, gdy margrabia i hrabina Ballenstedt przechodzili obok nich.

Przed palatium margrabiego ustawiono dwa stolce, rzeźbione równie wspaniale jak krzesła, na których przed chwilą siedzieli. Pod spodem rozpostarto owcze skóry, by siedzącym nie marzły stopy. Hedwiga była zadowolona, że pod peleryną wciąż miała na sobie ciepły wełniany bład, zamiast jednej z kosztownych, jedwabnych sukni. Niebo było szare, a lodowaty wiatr gnał po dziedzińcu ostatnie zeschłe liście.

– Rozgoście się! Wygodnie wam? – spytał Albrecht z udaną uprzejmością. Humor mu dopisywał. Klasnął w dłonie i kuchmistrz przyniósł pieczone mięsa, a piwniczny dymiące grzane wino.

Odmówiła, gdy Giselbert chciał napełnić napojem jej kubek.

– Nie macie ochoty na żaden z tych wybornych przysmaków? – spytał jej syn, unosząc wysoko brwi. – Może jeszcze nabierzecie apetytu...

Machnięciem palca wydał jakiś rozkaz. Strażnicy zrobili sobie przejście przez grupę ludzi, zgromadzoną w półkolu przed siedzącymi. Gdy rozstał się pierwszy rząd widzów i Hedwiga zobaczyła człowieka, którego strażnicy za sobą ciągnęli, a później rzucili przed nimi na kolana, miała wrażenie, jakby jakaś żelazna dłoń ścisnęła jej serce.

Twarz Lotara spływała krwią, nie miał jednego oka, a skóra na przegubach jego rąk była pozdzierana od łańcuchów. Całe jego ciało przypominało jedną wielką ranę. Z trudem utrzymywał się na klęczkach i unikał spojrzenia na Hedwigę.

– Poznajecie go? – zapytał przyczajony Albrecht i lekko pochylony obserwował mimikę jej twarzy.

– Na Boga, co ten człowiek uczynił, że tak go skatowano? – spytała, nie skrywając przerażenia. – Czyż w najdrobniejszych szczegółach nie wypełniał waszych rozkazów, pilnując mnie w Seusslitz?

– Wydaje mi się, że tego nie robił – odparł Albrecht z nadzwyczajnym spokojem. – Myślę nawet, że paskudnie mnie podszedł i zdradził.

– A może skierowaliście swój gniew na niewinnego... – powiedziała błagalnie. – Co mogę uczynić, by skłonić was do okazania łaski?

Zamierzała wstać i uklęknąć przed synem, lecz Albrecht ścisnął jej ramię ręką niby żelaznym kleszczem i przytrzymał ją na miejscu.

– Cieszę się, że udało mi się was skłonić do uległej prośby – rzekł ze złośliwym uśmiechem. – Ale na pewno przyznacie mi rację: jeśli ktoś nie potrafi utrzymać władzy, nie zasługuje na nią. Dlatego nie może być litości dla zdrajców.

Później zwrócił się do strażników i wydał rozkaz:

– Zetnijcie mu głowę!

Na jego twarzy znów pojawił się szyderczy uśmiech i ponownie kazał podać półmiski z potrawami.

– Proszę, skosztujcie, smakuje wyśmienicie.

Hedwiga nie mogła oderwać wzroku od Lotara, od jego zmaltretowanego ciała, zmasakrowanej twarzy. Gdyby istniał jakiś sposób, który pozwoliłby jej uratować mu życie, zrobiłaby to. Ale wiedziała, że nie powstrzyma syna. To była jego zemsta na niej.

Do skazańca podszedł ksiądz i zamieniwszy z nim kilka słów, nakreślił nad jego głową znak krzyża.

– Czy chcecie przyznać się publicznie do niegodziwości, których się dopuściliście, i ulżyć sumieniu? – spytał Albrecht.

– Nie uczyniłem żadnej podłości, do której powinienem się przyznać – odpowiedział Lotar.

– A zatem! – Albrecht jednym gestem palca wydał rozkaz dokonania egzekucji.

Nim trafił go śmiertelny cios, Lotar skierował jedyne oko, które mu zostało, na Hedwigę, by się z nią pożegnać. Nie przyznał się do niczego, co mogłoby jej zaszkodzić, i niczego nie żałował. Teraz nawet się uśmiechnął, tak jak jej to obiecał, gdy po raz ostatni byli razem.

Gdy błysnęło ostrze, Hedwiga zamknęła oczy. Usłyszała jedynie okrzyk tłumu i tępe uderzenie, kiedy jego głowa i ciało upadały na ziemię.

– To samo stanie się z każdym, kto powstanie przeciwko mnie, matko – zagroził Albrecht. – A teraz chodźcie dotrzymać mi towarzystwa przy stole.

Podniósł się i podał jej rękę. Wstała, starając się przy tym nie zachwiać.

– I nie waż się przypadkiem wykręcić jakąś wymówką – szepnął zjadliwie. – Będziecie siedzieli u mego boku i razem ze mną wzniesiecie toast za zdrowie mego potomka. Zostaniecie, aż pozwolę wam odejść!

Ten dzień był jego zwycięstwem. Ale największy triumf będzie świętował jutro, gdy rzuci na kolana Freiberg.

## *Następnego dnia we Freibergu*

Wiatr unosił ze sobą małe płatki śniegu zwiastujące nadejście zimy. Oprócz podmuchów wiatru i odgłosów, które od czasu do czasu dochodziły ze stajennych zabudowań, na zamku we Freibergu panowała grobowa cisza, choć było tam pełno ludzi. Nawet w mennicy nie pracowano, a z giserni, gdzie odlewano gąski srebra, nie unosił się dym.

Margrabia miśnieński kazał mieszkańcom miasta się zgromadzić i wszystko wskazywało na to, że tego dnia nie chodziło o wiwaty na powitanie monarchy. Świadczyły o tym ponure miny strażników

otaczających tłum i katowski kłoc ustawiony przy drewnianym podeście, obok którego leżał topór, nóż, szczytce i inne narzędzia umożliwiające natychmiastowe przeprowadzenie krwawych sądów.

Już sam ten widok sprawił, że freiberczycy trwożnie ukłękli na dziedzińcu i mimo chłodu posłusznie czekali, aż pojawi się książę i zajmie miejsce na podeście.

Ale najwyraźniejszym znakiem świadczącym o tym, że tego dnia poleje się krew, był widok Chrystiana. Młody koniuszy stał z obnażonym torsem przywiązany do pala. Nikt nie wiedział, co mu zarzucano. Tymczasem dygotał z zimna, a jego wargi przybrały sinoniebieski odcień.

Posłuszni rozkazowi stolnika czekali co najmniej od godziny. Z przodu klęczeli: mistrz górniczy, mincmistrz, burmistrz i rajcy, z boku przywódcy Żydów z Judenbergu, dalej handlarze i rzemieślnicy, a całkiem z tyłu służące i pacholki, którzy wyciągali szyje, by sprawdzić, czy na placu coś się ruszyło. Nikt nie wiedział, kiedy książę się zjawi i jakie wyda rozkazy. Nikt też nie odważył się o to zapytać czy nawet wstać z klęczek dla rozprostowania skostniałych z zimna członków.

Nareszcie! Dźwięk sygnału zapowiedział nadejście księcia. Tymczasem wiatr się nieco uspokoił, a płatki śniegu stały się większe. Upadały na głowy i ramiona klęczących.

Albrecht w towarzystwie stolnika, cześnika i straży przybocznej wkroczył na drewniany podest, przygotowany dlań na zamkowym dziedzińcu. Rutger szedł tuż za ojczymem, na końcu zaś niezdecydowanym krokiem podążał kasztelan.

– Ukłękniecie przed księciem Albrechtem, władcą Marchii Miśnieńskiej z łaski Bożej! – zawołał Elmar, nie zważając na fakt, że wszyscy już klęczeli z pokornie pochylonymi głowami.

Albrecht podszedł na brzeg podwyższenia. Stał na rozstawionych nogach, z rękami opartymi na pasie. Lodowatym wzrokiem powiódł po zgromadzonym tłumie, nie odezwawszy się ani słowem. Miał na sobie pełną zbroję, prócz hełmu i misiurki. Kolczuga nałożona na przeszywanicę oraz gruby płaszcz podbity futrem sprawiały, że jego ramiona wydawały się dwa razy szersze niż w rzeczywistości, a postać sprawiała potężne wrażenie.

Onieśmieleni mieszkańcy miasta byli coraz bardziej przerażeni. Wszystkie sądy, które margrabia odbywał, kończyły się rozlewem krwi lub żądaniem olbrzymiej ilości srebra.

Po zdającym się nie mieć końca milczeniu Albrecht się odwrócił, zrobił kilka kroków i usadowił się na krześle przypominającym tron, które było ustawione pośrodku podestu. Odłożył miecz na kolana i poprawił płaszcz.

Kilka osób ostrożnie zaryzykowało podniesienie głów.

– Ludzie z tego miasta sprawili mi ogromne rozczarowanie – przemówił chropowatym, nieoczekiwanie cichym głosem, patrząc przy tym z wyrzutem. – Czyż nie wspierałem zawsze Freibergu i nie dałem miastu ochrony? Czyż nie byłem zawsze dobrym księciem dla was, moich poddanych?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć. Każde słowo mogło przynieść za sobą nieszczęście. Albrecht był nieobliczalny w swych zmianach nastroju, a dzisiejsza atmosfera sygnalizowała największe niebezpieczeństwo. Uderzył z wściekłością w brzeg krzesła i krzyknął:

– A wy?! Zamiast służyć mi jako wierni poddani, mnie, obranemu przez Boga władcy tego kraju i jego mieszkańców, wprawiliście się w zdradzie i zwróciliście się przeciwko waszemu księciu, którego ustanowił Bóg!

Wybuch gniewu ucichł i pozostawił po sobie fale strachu. Burmistrz miasta, rzemieślnik imieniem Liudolf, zajmujący się obróbką srebra, zebrawszy w sobie całą odwagę, chciał coś powiedzieć i uniósł błagalnie ręce, lecz Albrecht nie dopuścił go do słowa.

– Milcz! – wrzasnął na niego.

Burmistrz skulił się w sobie i zamilkł.

Freiberczycy dyskretnie wymieniali poirytowane spojrzenia. O jaką zdradę chodziło?



– Haniebnie zdradzony! – powtórzył Albrecht i potrząsnął głową z udawaną konsternacją.

Następnie wyprostował się na stolcu i oznajmił:

– Jako zadośćuczynienie miasto zapłaci mi w ciągu trzech dni tysiąc marek w srebrze. Od tej chwili będę pobierał podwójny podatek od każdego wolnego obywatela.

– Ależ, wasza wysokość, w żaden sposób nie damy rady tyle zebrać! Miejcie litość nad nami – zawołała, załamując ręce, gruba kramarka, znana ze swego niewyparzonego języka.

– Przeprowadźcie ją tutaj i powieście! – rozkazał Elmar dwóm wartownikom.

Przerażeni ludzie przyglądali się, jak dwaj zbrojni złapali wrzeszczącą i błagającą o litość kramarkę, po czym wywlekli ją z tłumu i rzucili na ziemię tuż przed Elmarem.

– Łaski, szlachetny panie! – zaklinała, próbując objąć jego stopy. – Przecież nic nie zrobiłam.

– Bez pozwolenia przemówiłaś do księcia. I miałaś czelność mu się sprzeciwić! – zawołał Elmar głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć. Brutalnie odepchnął kobietę nogą. Z jękiem poczołgała się kawałek, a później strażnicy pociągnęli ją w górę i zarzucili jej na szyję stryczek.

– Litości! Panie w niebie, pomocy! – lamentowała kramarka.

Broniła się, jak mogła, tymczasem dwaj mężczyźni złapali ją pod pachy i zawlekli pod belkę.

Wszyscy spojrzeli na Albrechta, który z niewzruszoną miną przyglądał się rozwojowi wydarzeń.

– Ma zostać powieszona – rozkazał obojętnym tonem, po czym odchylił się na oparcie krzesła.

Szlochając i mamrocząc w pośpiechu modlitwę ułożoną specjalnie dla skazanych na śmierć, kramarka, popędzana ostrzami mieczy, pozwoliła się wciągnąć na stopnie. Nie zmówiła jeszcze do końca pacierza, gdy jeden z mężczyzn kopniakiem wyszarpnął jej drabinę spod nóg. Rozległ się trzask i ciało kramarki zakołysało się w powietrzu.

Nikt nie mógł oderwać spojrzenia od tego widoku. Jednocześnie fakt, że nikt nie odważył się odmówić szeptem modlitwy za jej duszę czy choćby się przeżegnać, mówił sam za siebie. Całe miasto struchlało ze strachu.

Poza tym przy palu wciąż stał koniuszy.

Co Albrecht chciał z nim uczynić? Jakie miał w stosunku do niego zarzuty?

– Pieniężne zadośćuczynienie przekazecie w ciągu tygodnia kasztelanowi – oznajmił Albrecht. – Bez wykrętów! W przeciwnym razie każę moim ludziom przeszukać wasze skrzynie i pobrać trzykrotność tej sumy. Tam, gdzie naród obrasta takim tłuszczem jak wy, nie może być mowy o biedzie – dodał, wskazując lekceważąco głową na ciało kramarki. – Ponieważ mieszkańcy miasta nie okazują mi dostatecznej wierności, od zaraz nakładam podwójne opłaty. Rajcy i burmistrz odpowiadają za nie głową. Jednak najpierw zamierzam ustanowić przykład ku przestrodze was wszystkich!

Dał znak Elmarowi, który podszedł do Chrystiana i szarpnął go za włosy, podnosząc w górę głowę chłopaka.

– Ten mężczyzna jest podejrzany o zdradę naszego szlachetnego księcia. Podśluchiwał i wyjawiał informacje wrogowi. Dopuścił się zdrady stanu.

Przez tłum przeszedł pomruk oburzenia.

– Z uwagi na to, że brak nam ostatecznego dowodu jego niecnego uczynku, a w danym czasie był już w więzieniu, nasz książę w swej bezgranicznej łasce nie każe go powiesić ani wyciąć mu języka, a jedynie wymierzyć czterdzieści batów.

Ogłaszając wyrok, Elmar przyglądał się dokładnie twarzom mężczyzn, którzy przed nim stali. Rutger odradził mu odrąbanie ręki czy jakiegokolwiek inne okaleczenie koniuszego. Pasierb uznał, że ten człowiek będzie im potrzebny na zamku. Konie i stajnie jeszcze nigdy nie były w tak dobrym stanie jak teraz, pod jego nadzorem. Ale przede wszystkim chodziło o to, że Chrystian był pierwszym dzieckiem urodzonym w tym miejscu i dlatego stanowił dla tutejszych mieszkańców pewnego rodzaju symbol rozwoju

i pomyślności młodego miasta. A symboli nie dało się tak łatwo zniszczyć. Niemniej jednak zawsze można je było zdyskredytować.

W tym celu obmyślili drugą część kary.

– Za tę wielką wyrozumiałość po każdym uderzeniu batem podziękujesz swemu władcy za dobroć, którą ci okazał, głośno i wyraźnie, żeby wszyscy mogli usłyszeć – dokończył Elmar, następnie puścił głowę Chrystiana i usunął się na bok.

Pachołek, który miał wymierzyć chłostę, skłonił się przed księciem i czekał na znak.

Albrecht kazał sobie najpierw podać grzanego wina, upiwszy łyk napoju, poprawił się na stolcu i skinął Elmarowi ręką.

– Zaczynaj! – rozkazał pachołkowi stolnik.

Ten wziął szeroki zamach i wymierzył cios, który rozerwał skórę na plecach Chrystiana. Młodzieniec wbrew woli wydał z siebie bolesny jęk.

– Teraz podziękuj! – zażądał Rutger z upodobaniem.

Długo czekał na tę chwilę.

– Dziękuję wam... za dobroć... – wydobył z siebie Chrystian, szczękając zębami.

– ...wasza wysokość – dokończył szyderczo Rutger.

– Dziękuję za waszą dobroć... wasza wysokość – stęknął Chrystian.

Po każdym uderzeniu pachołek się zatrzymywał i czekał, aż koniuszy wypowie poniżającą sentencję. Wkrótce zaczął charczeć z bólu i zimna, Rutger zaś wciąż od nowa kazał mu powtarzać zadane słowa i doskonale się przy tym bawił.

Po dwóch tuzinach batów ciało Chrystiana opadło bezwładnie.

– Wylejcie na niego wiadro wody, żeby nie przespał swojej kary! – rozkazał Rutger.

Lodowato zimna woda przywróciła koniuszemu przytomność. Ale teraz z zimna wstrząsały nim silne dreszcze, uniemożliwiając mu mówienie.

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość – odpowiedział mu rozbawionym głosem pasierb Elmara. – Póki tego nie usłyszymy, nie możemy kontynuować i dokończyć sprawy. Zatem żywo, nim jego wysokość się znudzi!

Karol i Jonasz klęczący w pierwszym rzędzie radców zamienili ze sobą zrozpaczone spojrzenia. Chrystian tego nie przeżyje.

– Nie słyszę! – upierał się Rutger.

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość! – zawołał Jonasz w nagłym przypiływie natchnienia.

Nie mógł już dłużej patrzeć, jak zadręczają na śmierć przyjaciela.

Toteż jeszcze raz powtórzył okrzyk, a Karol i stary furman Fryderyk mu zawtórowali.

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość!

Rutger zamierzał posłać do krzykaczy kilku strażników, ale Albrecht go powstrzymał.

– To może być zabawne – uznał z cynicznym uśmiechem, dając pachołkowi sygnał do następnego uderzenia.

Jego strażnicy zaczęli też odliczać wymierzone razy.

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość! – wołali trzej rajcy w imieniu Chrystiana, a później przyłączyło się do nich jeszcze kilka głosów z dalszych rzędów.

Znów kilka razy spadło na zakrwawione plecy Chrystiana i ponownie odezwały się cztery głosy:

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość!

Gdy Chrystian wytrzymał ostatni cios, odezwała się ponad połowa zgromadzonych na zamkowym dziedzińcu.

– Dziękuję wam za waszą dobroć, wasza wysokość!

Elmar dał oprawcy znak, by ten rozwiązał zmalretowanego koniuszego. Chrystian bez sił zwał się na ziemię.

Na razie nikt nie ważył się do niego podejść, mieszkańcy miasta nadal klęczeli na lodowatym gruncie i przerażonym wzrokiem patrzyli na księcia. W niektórych oczach czaił się skrywany gniew lub nienawiść.

Ten pochylił się do Elmara, coś do niego wyszeptał, a później zwrócił się do tłumu.

– Mam nadzieję, że macie dostateczną nauczkę. Nigdy o niej nie zapominajcie! A teraz wracajcie do domów i przynieście mi to, co jesteście mi dłużni.

Zadowolony podniósł się z krzesła i wraz ze swą świtą poszedł do palatium.

– Moi ludzie zasłużyli na nagrodę – odezwał się do Rutgera. – Każcie przyprowadzić kobiety z domu rozpusty. Dziś nikt nie będzie płacił za chędożenie.

– W tej chwili, wasza książęca mość – zapewnił Rutger. – A na co wy macie ochotę?

Albrecht pomyślał przez moment. W tej chwili nie podniecała go żadna z freiberskich dziwek. Najlepsze z nich znał aż do znudzenia.

– Coś młodego, niewinnego – odrzekł i tak głęboko wciągnął powietrze, że zadrżały mu nozdrza. Wstyd i przerażenie córki Jakuba sprawiły mu ostatniej nocy ogromną satysfakcję. Wprawdzie szybko go znudziła, gdy już ją rozdziewiczył. Nawet piersi jej wszak jeszcze nie urosły, lecz jej zgroza i strach przed nieznanym, kwilenie i krzyki podnieciły go w najwyższym stopniu.

– Blondynka, szatynka, ciemna? – dopytywał się gorliwie pasierb Elmara.

Albrecht przez chwilę się zawahał.

– Blondynka. Tak, jasnowłosa, wystraszona dziewczica... – zdecydował wreszcie.

Na twarzy Rutgera pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Szmuklerz ma ładniutką córeczkę, powinna wam się spodobać. Zaraz każę ją przyprowadzić.

Gdy Albrecht ze świtą zniknęli w budynku, Joanna rzuciła się do Chrystiana, który leżał bez ruchu na ziemi. Jego żona Anna przycisnęła się do nich w desperacji.

– Żyje, wyliże się – uspokajała ją stroskana Joanna, starając się wyczuć puls. – Natychmiast trzeba go stąd zabrać i zanieść w ciepłe miejsce!

– Do stajni? – spytała Anna przez łzy. – To zaledwie kilka kroków.

– Nie, potrzebuję ognia i gorącej wody, ciepłych ściereczek...

– Położmy go na moim wozie i zawieźmy do mnie do domu – zaproponował Fryderyk, który tymczasem do nich podszedł. Przywołał dwóch stajennych, którzy ochoczo zabrali się do pracy.

Spojrzał ze zgrozą na zwłoki kramarki, które wciąż wisiały na sznurze, a następnie odezwał się cicho do kowali, którzy również martwili się o Chrystiana:

– Jeszcze nigdy nie było takiej beznadziei. Nic nie mogliśmy zrobić... Nikt z nas...

– Tak, pokazał nam, że ma dość władzy, by nas zmiażdżyć, każdego z osobna. Wystarczy, że powie słowo – powiedział gorzko Karol.

Jakaś mała dziewczynka służąca przycisnęła się w ich kierunku. Mężczyźni natychmiast umilkli.

– Piotr powiedział, że szmuklerz ma zaraz ukryć swoją córkę – rzuciła szeptem i w następnej chwili już jej nie było.

Jonasz rozejrzał się w poszukiwaniu szmuklerza, a dostrzegłszy go, przekazał ostrzeżenie.

Później zwrócił się do Joanny.

– A ty powinnaś zabrać dzieci i też zniknąć z miasta. U Karola nie będziesz dłużej bezpieczna. Nie upłynie wiele czasu, gdy ten potwór Rutger się zorientuje, że zamiast jednego serwienta zabrakło mu dwóch, i dośpiewa sobie całą resztę.

Joanna pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę odejść, nim Chrystian nie dojdzie do siebie. I dokąd miałabym pójść? Kto się wami zajmie, gdy zachorujecie? Marta też by została.

Jonasz ujął ją za ramiona i popatrzył jej w oczy.

– Marta odeszła, inaczej już by nie żyła! – napomniał.

– Wkrótce umrze wielu ludzi. Ale wszyscy nie możemy opuścić miasta – zaproponowała.

Pozostali milczeli z rezygnacją.

## *Dziewka Lutgarda*

Córka Jakuba zaryglowała wychodek i z kolanami podciągniętymi pod brodę skuliła się na desce. Było to jedyne miejsce, w którym mogła być sama i wypłakać z siebie całe przerażenie i krzywdę.

Bardzo pragnęła, by ktoś ją pocieszył, wziął w ramiona i obiecał, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogła z nikim rozmawiać o koszmarze, jaki przeżyła. Jej rodzice byli daleko i nie wolno im było opuścić włości, brata odkomenderowano. Żadna z młodych dziewcząt, które się razem z nią wychowywały, nie mogła się o tym dowiedzieć. A już na pewno nie księżna, bo to właśnie jej małżonek zmusił ją do zdradzenia swej pani.

Zofia by ją zbiła i kazała wygonić, nikt by jej później nie przyjął. Nawet klasztor, została bowiem zbrukana, pohańbiona i stała się cudzołożnicą. A gdyby tak uciekła? Ale dokąd? Rodzice i brat zapłaciliby za jej postępek.

„Nic nie będzie już takie jak dawniej” – pomyślała po raz tysięczny od koszmarnej nocy i jeszcze mocniej zacisnęła ramiona wokół szczupłego, skulonego ciała.

Miała nadzieję odnaleźć pocieszenie u swego spowiednika, lecz ten potępił ją ostrymi słowami, nazywając ciężką grzesznicą. Jakoby sama była sobie winna i skazała się na potępienie, najpewniej bowiem zwabiła księcia brakiem wstrzemięźliwości. Jej rozpaczliwe zaklęcia i tłumaczenia, że tego nie chciała, ale nie mogła się sprzeciwić rozkazowi regenta, skwitował krótkim stwierdzeniem, że jest grzeszna i zepsuta jak wszystkie niewiasty, dlatego została przeklęta. Była przeklęta. Pozbawiona czci. I przerażona do szpiku kości. Tej nocy nie wiedziała nic o mężczyznach. Jedyne tyle, że za grzech popełniony przez Ewę kobiety musiały teraz pokutować i dzieliły małżeńskie łóżce. Lecz to nie było jej małżeńskie łóżce. I nie miała pojęcia, że mężczyźni potrafią... przeobrazić się w takie zwierzęta.

Jeszcze bardziej od bólu, który czuła w całym ciele, dręczyło ją wspomnienie szczegółów. Jak się na nią rzucił, upajał się jej krzykiem, charczące dźwięki, które z siebie wydawał, gdy robił jej te niewypowiedziane rzeczy.

Była przeklęta. Chciała umrzeć. To mogło być najlepsze wyjście, może nawet jedyne, biorąc pod uwagę, że dzisiejszej nocy on znów może kazać przyprowadzić ją do swej sypialni.

Ale Kościół zakazywał samobójstwa, które było najcięższym ze wszystkich grzechów i prowadziło do wiecznego potępienia w ogniu piekielnym.

Jeśli posiedzi jeszcze trochę w tym lodowatym wykuszu, może się rozchoruje i umrze? Czasami gorączka szybko zabijała.

Albo gdyby się przewróciła na schodach i spadła? Nie wychodziła jej z głowy pewna historia, którą opowiadano na zamku, o dziewczynie, która nosiła to samo imię co ona. Lutgarda. Przed laty wbrew woli wydano ją za mąż za pewnego możnego i bezwzględnego rycerza Randolfa. Tuż po nocy poślubnej znaleziono jej zmasakrowane ciało u stóp zamkowej góry. Oficjalnie uznano to za wypadek, ale służące

szeptaly, że nie zdołała znieść brutalności tego człowieka. Jej dusza nie mogła odnaleźć spokoju i krążyła po zamku do czasu, aż ów Randolf został wreszcie zabity przez rycerza imieniem Chrystian, przyjaciela jej wuja Łukasza, którego owa Lutgarda kochała.

Ale Łukasz nie żył i nie mógł jej pomóc.

Ktoś załomotał do drzwi, dopytując się krzykiem, kiedy wychodek się wreszcie zwolni. Lutgarda przetarła rękawem zapłakaną twarz, odsunęła rygiel i wymknęła się ze spuszczoną głową na korytarz, nie pozostawiając niecierpliwemu człowiekowi czasu, by się jej przyjrzał.

W nadziei, że nikt jej nie zauważył, wślizgnęła się do sypialni młodych panien, które wychowywały się na dworze. Ale ona nie była już dziewicą, straciła swe dziewictwo, cenne dobro, i to jeszcze w tak przerażający sposób!

Lutgarda wdrapała się na parapet jednego z okien i wychyliła głowę, by wyrzeć na dół. Mogłaby się przecisnąć przez tę wąską szczelinę. Ale gdyby skoczyła, wówczas na wieki smażyłaby się w piekielnym ogniu, cierpiąc koszarne męki. Byłaby przeklęta na zawsze.

Ale czyż ze słów spowiednika nie wynikało, że i tak nie zdoła uniknąć ognia piekielnego? Czy będzie on gorszy od życia w ciągłym poniżeniu?

Ogień piekielny.

Następne wezwanie do komnaty Albrechta. Ogień piekielny.

Znów zdana na łaskę tego potwora. Ogień piekielny.

Usłyszała zbliżające się kroki, głośne męskie kroki w butach z ostrogami.

Czy znów idą po nią? Ogień piekielny i wieczne potępienie. Ale przecież była już potępiona!

Kroki były teraz bardzo blisko, aż wreszcie umilkły pod drzwiami. Zabiorą ją, a on przeistoczy się znów w dziką bestię i rzuci się na nią w sposób, którego nie da się opisać słowami, aż pęknie jej dusza.

Gdy rozległo się pukanie, Lutgarda się przeżegnała i gwałtownie przecisnęła się przez otwór.

W locie rozłożyła ramiona. Jak anioł.

# CZEŚĆ TRZECIA

*Na straconej pozycji*

## Kwiecień 1192 roku w Weissenfels

Klara przymknęła powieki, oparła się o Dytryka i całkowicie poddała się chwili. Para zakochanych rozkoszowała się jedną z rzadkich chwil, które wśród licznych obowiązków i trudów codziennego dnia mieli wyłącznie dla siebie. Dytryk pracowicie wykorzystał zimowe miesiące, podczas których odbudował wioski oraz zebrał i wyszkolił oddziały. Tymczasem Klara na jego prośbę przejęła zadania należące wcześniej do Gotfryda i Gertrudy. Nikt na zamku nie zdawał się temu dziwić. Wszyscy traktowali Klarę, jakby była żoną Dytryka, chociaż nikt nie tytułował jej hrabiną, ten tytuł bowiem jej nie przysługiwał. Nikt też nie wspominał o córce turyńskiego księcia. Na cóż miałyby im się zdać to dziecko wobec ogromu prac, które ich czekały? Niewiasta u boku Dytryka wykazała zręczność w zarządzaniu zapasami, dzięki czemu mimo wojennych strat zdołali przetrwać zimę bez głodu, zaś jej umiejętności uzdrowicielskie były wprost nieocenione. Ponadto dawała hrabiemu szczęście, co było widać gołym okiem, a szczęśliwy władca był zwykle łaskawym panem.

Dytryk delikatnie pogłaskał zaokrąglony brzuch Klary. Nie mógł się wprost doczekać momentu, w którym weźmie w ramiona swego syna lub córkę.

Uśmiechnęła się w zamyśleniu. Dobrze wiedziała, jak bardzo chciałby od niej usłyszeć, czy urodzi mu chłopca, czy dziewczynkę. Ale odmówiła przepowiedni z obawy, że mogłaby się pomylić.

Zamiast tego przyciągnęła bliżej jego rękę i mocniej przycisnęła ją do swojego brzucha.

– To będzie silne dziecko, zdrowe i przedsiębiorcze – powiedział Dytryk z głębokim przekonaniem, łagodnie przygryzając zębami płatek jej ucha.

Klara jeszcze mocniej się w niego wtuliła i pogładziła dłoń osłaniającą ich nienarodzone maleństwo. Następnie spojrzała w słońce, którego promienie wpadały przez okienny otwór, ogrzewając jej twarz. Rozkoszowała się dotykiem ukochanego. Nigdzie nie czuła się bezpieczniej niż w jego ramionach. Liczyło się jedynie tu i teraz. Zupełnie zapomniała o przykrościach, które mogły ją spotkać w przyszłości, jakby wymazała je ze swej świadomości. Nawet odgłosy dochodzące z zewnątrz były przyjazne. Ćwierkanie ptaków i śmiech dwóch dziewczek służących, którym stajenni pacholki opowiedzieli jakiś dowcip. Żadnego hałasu ni swarów.

Dytryk też zdawał się popadać w coraz głębsze zamyślenie.

– Gdy nadejdzie pora, twoja matka powinna pomóc przy rozwiązaniu – rzucił po jakimś czasie, przerywając iluzoryczną ciszę.

Marzenia Klary raptownie się rozwiały.

– Nie przyjedzie. Łukasz jej nie pozwoli – powiedziała przygnębiona. – Wciąż żywi do nas urazę.

W przeciwnym razie czyż nie przesłałby przynajmniej pozdrowienia przez jednego z posłańców, którzy z różnych okazji przedzierali się zimą z Eisenach do Weissenfels?

Nieprzejednana postawa Łukasza stanowiła jej największą troskę mącą obecną szczęście.

– Przyjadą. Oboje. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, może nawet dzisiaj – rzucił Dytryk niby mimochodem, ciesząc się ze zdumionej miny Klary.

– Ale jak wam się...? – chciała zapytać, odwracając się do niego tak szybko, jak tylko pozwalał na to zaokrąglony brzuch.

– Nie wiem, czy Łukasz mi wybaczy – dodał. – Poprosiłem Rajmunda i Elżbietę, by pojechali do Eisenach i wstawili się za mną u niego. Ale i tak przyjedzie, żeby omówić ze mną przedsięwzięcie Tomasza.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedzieliście? – spytała, nie odzyskawszy jeszcze równowagi.

W dalszym ciągu nie chciała zwracać się do niego poufale na ty, nawet gdy byli zupełnie sami.

– Muszę przygotować im kwaterę, włożyć inną suknię, zbudzić Annę... Na wszystkich świętych!

Już była na nogach, a ręce drżały jej z wielkiego podniecenia.

– Może będzie lepiej, jeśli w ogóle nie pokażę im się na oczy...

Zawstydzona spuściła wzrok.

Dytryk sięgnął po jej dłonie i na nowo przyciągnął ją do siebie.

– Nie chciałem, byś wcześniej się tak zamartwiała, dlatego nic ci nie zdradziłem – powiedział z uśmiechem.

Później spojrzął jej w oczy i znów położył dłoń na okrągłości jej brzucha.

– I nie chcę, byś się wstydziła. Uznam dziecko i będę się wami opiekował, tak jak obiecałem. Jeśli urodzi się chłopiec, dostanie moje imię, a dziewczynkę nazwiemy imieniem mojej matki, Hedwiga.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Czy nie wolicie zatrzymać tych imion dla dzieci urodzonych z waszego legalnego związku?

Tak nakazywała tradycja, ponadto owa kwestia miała istotne znaczenie w odniesieniu do kolejności dziedziczenia w szlacheckich rodach.

– To imiona zastrzeżone dla mego pierworodnego potomka, jakim obdarzy mnie kobieta, którą kocham z całego serca – zaoponował zdecydowanym tonem Dytryk.

Następnie ją pocałował.

Wyczuwając jej niepokój, zaprowadził Klarę do drzwi.

– A teraz idź i przygotuj wszystko na ich przyjazd. Ale na razie nie mów nic bratu – poprosił.

Klara skinęła głową i wyszła. Serce waliło jej jak młotem na myśl o spotkaniu z matką i Łukaszem, który odjechał od niej z urazą w duszy.

Łukasz kolejny raz przeprowadzał się przez bród na Soławie pod Weissenfels. Jednakże tego dnia przy rzece żadne wojsko nie szykowało się do natarcia, a okolica sprawiała bezpieczne wrażenie.

Ale tym razem inne obawy mąciły spokój jego duszy.

Jadąca u jego boku Marta domyślała się, co się z nim działo. Wszak w ciągu ubiegłych miesięcy nieraz się o to sprzeczali.

Rajmund i Elżbieta, którzy jechali wraz z nimi oraz z młodym Witem i kilkoma pachołkami, zapewnili go, że na zamku w Weissenfels wszyscy odnoszą się do Klary przyjaźnie i z szacunkiem. Ale co się z nią stanie, gdy Dytryk będzie musiał dotrzymać danego słowa i poślubi Juttę? Małżeństwa nie da się przesuwac w nieskończoność. Wówczas Klara będzie zmuszona odejść z piętnem na całe życie.

– No, pokonaj opór serca! – zawołała do niego Marta, kierując bliżej konia i wolno przeprowadając się przez bród.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco, ale Łukasz nie zareagował. Tak po prostu, jednym uśmiechem nie da się przekonać. Jednak w środku czuł się bezradny. Nie wyobrażał sobie chwili, w której stanie przed obliczem hrabiego.

Wobec krwawych rządów miśnieńskiego margrabiego wielu ludzi pokładało ogromne nadzieje w młodszym synu Ottona. Łukasz był jednym z nich. Niemniej jednak był wielce rozczarowany faktem, że Dytryk uczynił z Klary swoją nałożnicę i zniweczył jej przyszłość. Ta okoliczność przysparzała mu ogromnego zmartwienia.

– I znów zobaczymy się z wnuczką! – nie dawała za wygraną Marta, starając się rozweselić męża. – Anna nas nie pozna – trajkotała dalej, nie bacząc na jego chmurną minę. – Minęło pół roku, odkąd ją ostatni raz widzieliśmy. Teraz ma dwa latka i na pewno próbuje już mówić.

– To już trzecia niewiasta w rodzinie, która będzie mi się sprzeciwiała – odparł Łukasz z udaną



irytacją i przewrócił oczami. – W ten sposób niechybnie stanę się pośmiewiskiem całego rycerstwa.

Marta się roześmiała i popatrzyła na niego z miłością.

– Nie sądzę. Zamierzam poświęcić małej tyle czasu, by zapamiętała swą babkę, i przy okazji naszej następnej wizyty bez trudu mnie rozpozna.

Cień nostalgii, który przemknął po jej twarzy, kazał przypuszczać, że całkowite pojednanie między Łukaszem a Dytrykiem uważała za mało prawdopodobne i pogodziła się z myślą, że wkrótce wyruszą z powrotem do Eisenach.

Od strony zamku pędził im naprzeciw jakiś rycerz, w którym za chwilę rozpoznali Tomasza. Siedział na swym nowym wierzchowcu Dragonie i z każdym krokiem, który zbliżał ich do niego, Marta odnosiła coraz silniejsze wrażenie, jakby jej ukochany małżonek Chrystian powstał z martwych.

„Jest taki podobny do ojca” – pomyślała poruszona do głębi, powstrzymując łzy na widok swego pierworodnego. Łukasz znał żonę na tyle dobrze, by odgadnąć, co się z nią działo. Podobieństwo Tomasza do ojca bezsprzecznie rzucało się w oczy. Do tego jeszcze ten wspaniały siwek.

W sercu rycerza rozgorzała zazdrość. Na próżno starał się stłumić emocje. Wstydził się tego uczucia, poza tym zazdrość o zmarłego nie miała najmniejszego sensu. A może się mylił?

W pierwszych latach małżeństwa z Martą Łukasz każdego dnia i każdej nocy zastanawiał się, czy niewidoczny Chrystian nie stał gdzieś między nimi. Teraz na nowo zadał sobie to samo pytanie. Czy kiedykolwiek pokocha go taką miłością, jaką obdarzyła Chrystiana?

Wątpliwości ścisnęły mu trzewia i bynajmniej nie poprawiły humoru.

– Witajcie w Weissenfels! – zawołał Tomasz.

Ściągnął cugle siwka, skinął głową na powitanie Łukaszowi i matce, a następnie zawrócił wierzchowca, z którym wydawał się jakby zrośnięty w jedną całość. Najprawdopodobniej podczas długich zimowych miesięcy poświęcił zwierzęciu dużo uwagi i bardzo się z nim zżył, teraz bowiem stanowili jedność.

Gdy dojechali do zamku, młody rycerz polecił pachołkom odebrać konie od podróżnych i podać gościom coś do picia.

– Mam was zaraz zaprowadzić do hrabiego Dytryka. Jak się mają moi bracia?

– Kazali cię pozdrowić. Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, jak wprawnie Daniel nauczył się władać mieczem – opowiadała Marta, tuląc do piersi pierworodnego syna.

– Mam nadzieję – mruknął Tomasz. – Musi bronić pamięci ojca i waszej godności.

To zdanie było skierowane do Łukasza, który w skrytości ducha się ucieszył, że pasierb potraktował go na równi z Chrystianem.

Marta na próżno wypatrywała Klary i Anny. „Zapewne Dytryk tak to zaplanował – pomyślała. – Na wypadek, gdyby Łukasz nie ochłonął z gniewu, chciał przyjąć na siebie pierwszy atak”.

Gdy przemierzali dziedziniec, Tomasz zatrzymał ojczyma na moment.

– Nie bądźcie tak surowi dla Klary – poprosił ku zdumieniu Łukasza. – Jest szczęśliwa. Zasłużyła na szczęście po tym wszystkim, co wycierpiała. Zobaczycie, jak błyszczą jej oczy, gdy przy nim jest. Wtedy zrozumiecie.

Dytryk przyjął Martę i Łukasza niezwykle przyjaźnie, gdy weszli do komnaty i uklękli przed nim.

– Jedzcie i pijcie – poprosił, wskazując na wybornie pachnące potrawy ustawione na stole. – Czy chcecie, bym kazał przygotować wam kąpiel, abyście się mogli odświeżyć po długiej podróży?

– Wolałbym, byście od razu powiedzieli, dlaczego nas wezwaliście – oświadczył Łukasz, a po twarzy Marty przebiegł bolesny grymas.

Dytryk nie dał po sobie poznać, jak bardzo zabolęła go ta odmowa. Dał znak Tomaszowi. Ten

wyszedł, a chwilę później weszła Klara trzymająca w ramionach córeczkę.

W pierwszej chwili widok małej Anny zupełnie go rozbroił. W dziecinnych rysach drobnej twarzyczki odnalazł wiele podobieństwa do jej matki i babki. Marta od razu wyciągnęła do Klary ramiona, by zabrać od niej małą.

I w tym momencie Łukasz pojął.

Nawet jeśli nie był zaskoczony, to na ten widok zabrakło mu w piersi tchu. Gwałtownie się podniósł, jakby zamierzał natychmiast wyjść.

– Wezwaliście mnie po to, by mi pokazać, że moja pasierbica nosi pod sercem bękartą?! – zapytał głosem przepelnionym goryczą.

– Usiądźcie, proszę – przywołał go Dytryk do porządku zdecydowanym tonem.

Jednakże sam fakt, że hrabia użył w stosunku do niego słowa „proszę”, choć ojczym Klary zajmował niższą społeczną pozycję niż on, świadczył o wyjątkowym szacunku i uznaniu, jakim darzył Łukasza mimo jego uporu.

Klara skuliła się w sobie i chciała się wycofać pod osłonę okiennej niszy, tak daleko od innych, jak tylko było to możliwe. Tymczasem Dytryk poprosił, by zajęła miejsce u jego boku.

– Posłałem po was między innymi dlatego, że chciałem poprosić Martę, by wsparła córkę w trudnej chwili, gdy nadejdzie czas – oznajmił ostro, ale spokojnie. – Klara wydała swoje pierwsze dziecko na świat w przerażających warunkach, podczas ucieczki, w nocy, pośrodku zimnego lasu. Jeśli rzeczywiście jest wam droga, to podobnie jak ja będziecie pragnęli, by tym razem miała najlepszą opiekę. Tak, urodzi bękartą, z powodów, których nikt nie zna lepiej od was samych. Ale uznam go i zadbam, by dziecko otrzymało najlepsze wychowanie, a w przyszłości zostało biskupem lub przeoryszą.

„To takie zwyczaje panują w domu Wettynów” – pomyślał cynicznie Łukasz, wspominając Dytryka z Landsbergu, młodszego brata Ottona, dawnego margrabiego Marchii Wschodniej. Musiał pojąć za żonę córkę polskiego króla, by zaprowadzić porządek na granicach swej marchii. Ale kochał córkę ministeriała, Kunegundę z Plötzkau. Urodziła mu dwoje dzieci, o które przykładowie zadbał. Wiele lat temu bez pomocy Landsberczyka nie zdołaliby wydostać Chrystiana z więzienia Randolfa. Wtedy, tuż przed tym, jak Chrystian i Marta się połączyli...

Znów poczuł bolesne ukłucie zazdrości. „Zatem mój następny wnuk nie zostanie rycerzem, tylko klechą” – pomyślał z goryczą.

Łukasz nieufnie przeniósł wzrok z Dytryka na Martę i zauważył, że ta dwójka bez słów zdążyła już dojść do porozumienia, chociaż Marta zdawała się bez reszty pochłonięta małą Anną, która najwidoczniej bardzo dobrze czuła się na jej kolanach. Dziecko ciągnęło za mosiężną klamrę podtrzymującą dekolt babcinego białdu, parskało i kwiliło z zadowolenia i jadło z jej ręki miodowe ciasteczka ustawione w półmisku na stole.

„Zdaje się, że jestem na przegranej pozycji” – przyznał w duchu Łukasz. Naturalnie, że pragnął, by Klara była w dobrych rękach, gdy będzie rodziła. Zbyt wiele kobiet umierało w położu. To, że Klara przeżyła pierwszy poród w tak strasznych warunkach, graniczyło z cudem. Tym razem powinna mieć lepiej.

Dytryk uznał pojednawczą minę Łukasza za znak, że przyjaciel zawiesił broń, przynajmniej tymczasowo.

– Drugim powodem, dla którego was tu poprosiłem, jest przedsięwzięcie, które zaplanował wasz pasierb – powiedział. – To zuchwały plan, ale zarazem jedyna rzecz, jaką moglibyśmy uczynić dla freiberczyków, uciśnionych pod okrutnymi rządami mego brata. Nie chcę go wysłać na tak ryzykowną misję, nie usłyszawszy wcześniej waszego zdania na ten temat. Być może przyjdzie wam do głowy ten czy ów chytry fortel dla udoskonalenia jego planu.

– Jestem bodaj ostatnim człowiekiem, którego powinniście o to pytać – zirytował się Łukasz. – Czyż nie ja podsunąłem pomysł, by jego i Rolanda wysłać z wami do Ziemi Świętej? Teraz Roland nie żyje, a ramię Tomasza być może nigdy nie wróci do dawnej sprawności.

– Gdyby zostali w Marchii Miśnieńskiej, wówczas mój brat zabiłby ich obu – zaprotestował gwałtownie Dytryk. – Jesteście jego ojczymem, Tomasz was szanuje jako rycerza i najlepszego przyjaciela swego ojca. Dlatego prędzej posłucha was niż waszej małżonki, której wątpliwości uzna zapewne za nadmiar matczynej troski. Ponadto nikt w Weissenfels nie zna Freibergu lepiej od was.

„Czy kiedykolwiek wyjdę z cienia Chrystiana?” – pomyślał Łukasz, kiwając na potwierdzenie głową. Klara wstała i odebrawszy od Marty małą Annę, przekazała ją czekającej na korytarzu Lizie. Marta również wiedziała, iż sprawy, które zamierzali omówić, wymagały pełnej koncentracji.

Klara poleciła jednemu ze służących, by zawołał jej brata, po czym wróciła do komnaty, dołączyła do wszystkich wina i usiadła obok Dytryka.

– Tomasz jest biegły w walce i ma dość sprzymierzeńców, by sobie poradzić – odezwała się, a sposób, w jaki to powiedziała, świadczył o tym, że długo rozmyślała nad tą kwestią. – Nie wątpię w jego odwagę. Boję się jedynie, czy pragnienie zemsty nie popchnie go do jakiegoś nieprzemyślanego kroku... przed którym się nie zawaha, choćby miał zginąć, by nie szukał śmierci, mimo że Bóg tego zabrania.

– Tak, jego oczy są przygaszone – przyznała córce rację Marta i zafrasowana potarła czoło. – W myślach nadal jest w Ziemi Świętej, przy Rolandzie i innych poległych przyjaciółach, których tam zostawił.

Klara skinęła na potwierdzenie jej słów. Przez pewien czas ufała, że piastunce Lizie uda się wydobyć jej brata z mroku, w którym błędziła jego dusza. Tymczasem Liza wyszła za mąż za kowala Guntrama i zaszła w ciążę. Nie tak dawno, zatem Tomasz mógłby być ojcem jej dziecka. Odkąd się o tym dowiedział, trzymał się z dala od dziewczyny. Był zbyt porządny i zbyt dumny. Zajmował wyższą pozycję społeczną i nie chciał żądać od zamężnej służącej, by położyła się do jego łóżka. A wśród młodych dziewcząt i wdów na zamku nie było żadnej, która by go zainteresowała. Wobec tego rozgoryczenie nadal trawiło jego wolę życia.

W niedużym gronie na chwilę zapanowała cisza.

Dytryk jeszcze raz zachęcił gości, by się posilili. Oboje byli głodni, toteż z przyjemnością sięgnęli po jedzenie. Zdawało się, że przełamano lody i według wszelkiego prawdopodobieństwa czekała ich teraz długa narada.

– Czy macie jakieś informacje na temat odwetowej wyprawy mego brata po porażce, którą odniósł w Weissenfels? – zainteresował się hrabia.

– Przez całą zimę tkwiliśmy w Eisenach, a landgraf Herman nie uważał za stosowne wtajemniczać mnie w raporty swych szpiegów – pokręcił głową Łukasz.

– Mój brat szaleje z większym okrucieństwem niż kiedykolwiek, a jego podejrzliwość doszła do zenitu i jest wszechobecna – zaczął Dytryk. – Po powrocie zawezwał do siebie mą matkę i na jej oczach stracił komendanta zamku w Seussnitz.

– Lotara? – zapytał Łukasz wstrząśnięty i przeżegnał się, gdy Dytryk potwierdził wiadomość. – Potajemnie zaprowadził mnie do waszej matki, gdy dwa lata temu szukałem swej żony. Niech Bóg będzie łaskaw jego duszy!

– Teraz Albrecht trzyma mą matkę w Seussnitz pod zaostrzoną strażą i niemal niemożliwością jest nawiązanie z nią kontaktu.

– Niemal?

Dytryk uśmiechnął się lekko.

– Musimy się zadowolić wiadomościami, które może przesłać na wypadek, gdyby groziło jej niebezpieczeństwo. Nasz wspólny znajomy Ludmił grywa tam co jakiś czas. Pilnuje jej wasz szwagier Gerald, a na jego wyrozumiałość nie mamy co liczyć.

– Gerald nie jest już marszałkiem? – spytał zaskoczony Łukasz.

Brata swej pierwszej niekochanej żony uważał za człowieka, który za pomocą wszelkich dostępnych sposobów pragnął sobie zaskarbić względy Albrechta. Czy to znaczy, że popadł w niełaszkę?

– Wasz szwagier został zbyt ciężko ranny w bitwie i tymczasem nie może piastować funkcji. Dlatego brat wysłał go do Seusslitz. Nie ufa teraz nikomu poza swoim stolnikiem, którego wyniósł ostatnio do funkcji marszałka, oraz tłustym cześnikiem. No, może jeszcze alchemikowi, ten bowiem, stosując pewne osobliwe eliksiry, sprawił, że Zofia poczęła dziecko. Ale znów nie udało jej się go donosić, co sprawiło, że atmosfera na miśnieńskim zamku stała się jeszcze bardziej wybuchowa.

Dytryk upił łyk wina, odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał Łukaszowi prosto w oczy.

– Jeszcze jeden z waszych krewnych jest na zamku w Seusslitz. Jakub, wasz bratanek i dawny giermek. Jego ojciec, a wasz brat, nie może opuścić swych posiadłości za karę, że odmówił torturowania Rajmunda. Od waszego bratanka Albrecht oczekuje specjalnych usług w Seusslitz, które są skierowane przeciwko mej matce. A wasza bratanica Lutgarda... – przestał mówić i spojrzał na Łukasza. – Słyszeliście o tym?

Marta wydała z siebie głucho westchnienie, a Łukasz przygotował się na najgorsze.

– O czym?

– Z tego, co wiemy, margrabia przymusił ją siłą, by przyszła do jego łóżka. Może nawet Elmar, co do tego nie ma pewności. W każdym razie następnego dnia znaleziono jej ciało roztrzaskane pod zamkiem.

– Miała zaledwie dwanaście lat! – jęknął Łukasz, obejmując głowę.

– Czy przynajmniej wyprawiono jej chrześcijański pogrzeb? – spytała łamiącym się głosem Marta, której natychmiast stanęły przed oczyma własne wspomnienia i historia pewnej innej Lutgardy.

– Tak, przypuszczalnie chciano stworzyć pozory, że chodziło o wypadek. To podobne do Elmara. Mój brat do tego stopnia podburza przeciwko sobie rycerstwo, że powinien się zastanowić, czy pójdą za nim, gdy przyjdzie co do czego.

– Czy te okoliczności mogą spowodować, że Jakub zostanie naszym sprzymierzeńcem? Wiem, że odwaga i wierność nie należą do jego największych cnót, ale ostatnie wydarzenia mogły zmienić jego nastawienie. Może powinienem się potajemnie do niego udać i z nim porozmawiać? – zaproponował Łukasz.

Dytryk energicznie pokręcił głową.

– Jeden z synów mego komendanta jeździł przez cały tydzień, by rozpoznać sytuację w Marchii Miśnieńskiej. Był także u waszego brata. Jakub nie odważy się nic zrobić, by nie sprowadzić niebezpieczeństwa na swego chłopaka. Ale przysiągł milczenie i prosił, by wam koniecznie przekazać, byście nie przyjeżdżali do dóbr waszego ojca, Elmar bowiem zastawił tam na was pułapkę. Tylko dlatego wasz brat jeszcze żyje. Jest przynętą. Elmar jeszcze nigdy tak bardzo nie pożądał waszej śmierci.

Łukasz w zafrasowaniu potarł brodę.

– Nienawidzę beczynności – powiedział. – Lecz wygląda na to, że na razie rzeczywiście nie możemy nic zrobić. Jakie macie nowiny z Freibergu?

Dytryk uśmiechnął się powściągliwie.

– Dzięki waszym dwóm serwientom, którzy zdecydowali się wrócić do miasta, mamy stamtąd nieco więcej wiadomości.

– Kuno i Bertram? – spytała zdziwiona Marta. – I nic im nie zrobiono?

– Ukarano ich za zniknięcie, ale o ile wiem, są cali i zdrowi – poinformował Dytryk. – Kuno bardzo

się martwił o żonę i dzieci, a po nadejściu zimy nie chciał ich tu wieźć. Starannie rozpoznali sytuację, sami najlepiej będziecie wiedzieli, kto im w tym pomógł. I byli na tyle sprytni, by na samym początku udać się do nadgorliwego ojca Sebastiana i odegrać przed nim akt skruchy. Gdy ksiądz im wybaczył, kasztelan Henryk musiał uczynić to samo. W obliczu pokaźnych strat w Weissenfels na pewno jest zadowolony z każdego dobrego człowieka, którego uda mu się przyjąć na służbę.

– A co poza tym dzieje się w mieście? – zaciekał się Łukasz.

Tymczasem ich naradę przerwało pukanie do drzwi.

Wszedł Tomasz i Dytryk poprosił, by przedstawił swój plan.

– Nie mogę ścierpieć tego, co się wyprawia we Freibergu, i nie wytrzymam beczynnie – zaczął tonem pełnym gniewu i niecierpliwości. – Margrabia pobrał podwójne podatki, ludzie głodują i zaharowują się niemal na śmierć w kopalni i przy oczyszczaniu kruszcu. Jeśli ktoś nie może zapłacić, wówczas ten szczur Rutger każe go bić do krwi. Jego pierwszą ofiarą był fałszywie oskarżony Chrystian, tamtejszy koniuszy. A najbardziej mnie irytuje, że ten człowiek wciąż się panoszy w naszym domu i zdręcza ludzi. Uważam, że zasłużył na tęgie lanie i upomnienie, powinien się wziąć w garść.

– Jak sobie to wyobrażasz? – zapytał rzeczowo Łukasz, Tomaszowi zaś ulżyło, że ojczym nie potraktował jego słów jako przechwałki czy lekkomyślności, lecz poważnie wziął je pod rozwagę.

Gdy przedstawił swój plan, Marta z Łukaszem wymienili między sobą spojrzenia. Tomasz kolejny raz miał wrażenie, że porozumieli się bez słów.

– Mam co najmniej taką samą ochotę i tyle samo powodów co ty, by dać temu człowiekowi nauczkę – wyjaśnił Łukasz. – Dlatego pojedę z tobą.

– Sam będę miał większe szanse – odrzucił propozycję Tomasz. – A może nie wierzycie, że sam dam sobie radę? – spytał niemal obrażony. – Obawiacie się, że stracę nad sobą panowanie i dam się ponieść żądzy zemsty, by nad Freibergiem ponownie odbył się krwawy sąd? Nierozważnie poświęcę życie?

Ostatnie pytanie skierował do matki. Doskonale potrafił sobie wyobrazić, co myślała, tak samo jak ona wiedziała, co się z nim działo.

– Ja też uważam, że powinien pojechać sam – poparł młodego rycerza Dytryk. – Łukasz, zbyt dobrze was znają we Freibergu i zbyt usilnie szukają. Natomiast wasz syn opuścił miasto, gdy był jeszcze dzieckiem.

– Po drodze zapuszczę brodę, wtedy na pewno nikt mnie nie rozpozna – oświadczył Tomasz.

– Jesteś żywym ucieleśnieniem swego ojca – zarzucił mu Łukasz, prawie rozzłoszczony, że trzeci raz z kolei przypominają mu o Chrystianie. – Do tego jeszcze na tym ogierze!

– Uważacie, że jestem tak głupi i próżny, że wziąłbym w podróż Dragona? – zaoponował Tomasz urażony. – Wymyśliłem to przedsięwzięcie i sam podejmę ryzyko. Jeśli dotrę żyw do Freibergu, wówczas Piotr i kowale pomogą mi dalej.

Nagle ich rozmowa przybrała ostry ton. Nawet słowa Marty, próbującej złagodzić sytuację, nie odniosły skutku. Dopiero gdy Klara cicho jęknęła i wysunawszy do przodu nabrzmiały brzuch, zaczęła masować obolałe plecy, bojowe koguty nieco się zmiarkowały. Podobna sprzeczka w obecności ciężarnej niewiasty nie mogła wywrzeć dobrego wpływu na przyszłą matkę ani jej nienarodzone dziecko.

Łukasz odchrząknął i wyliczywszy kilka słabych punktów w planie Tomasza, przedstawił własne propozycje. Po przedyskutowaniu paru kwestii ponownie porozumiał się wzrokiem z Martą, a następnie wstał i uściskał pasierba.

– Przyjmij moje błogosławieństwo! Niechaj Bóg roztoczy nad tobą swą ochronną dłoń.

Potem klepnął młodego mężczyznę po ramieniu.

– Na świętego Jerzego, chętnie bym się z tobą zamienił! Nie podoba mi się, że nie możemy uczynić nic poza kilkoma uwagami.

Znów zabrzmiało mu w uszach przyrzeczenie, które złożył Marcie w ciężkich czasach. Obiecał zabić Albrechta, jeśli nie będzie innej możliwości. Był gotów to uczynić. Jednak Dytryk najwyraźniej uważał, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment, by zbrojnie wystąpić przeciwko jego bratu.

Hrabiego z Weissenfels ucieszył wynik rozmowy i w duchu rozważał, czy nie powinien poprosić Łukasza o błogosławieństwo dla siebie i Klary. Ale na to było chyba jeszcze zbyt wcześnie. Nie powinien zanadto prowokować losu. Na razie powinien się cieszyć, że człowiek, który zawsze stanowił dla niego wzór do naśladowania i którego niezmiernie cenił, zechciał z nim porozmawiać i zezwolił Tomaszowi na realizację jego brawurowego planu.

## *Nocna wizyta*

Rutger zamierzał właśnie zrobić głośną awanturę, bo nikt ze służących nie odebrał od niego konia, gdy późnym wieczorem wrócił zdrowo podpity z domu rozkoszy. Raptem ni stąd ni zowąd wyłoniła się z ciemności jakaś postać i jednym celnym ciosem w szczękę zwała go na ziemię.

Gdy syn Randolfa doszedł wreszcie do siebie, potrzebował kilku dłuższych chwil, by pojąć, co się z nim działo. Zupełnie rozebrany leżał na swoim łóżku. Miał na sobie jedynie gacie i był zakneblowany, a ręce i nogi miał skrupowane sznurami. W izbie paliła się świeca. Zmrużył oczy i w blasku płomienia rozpoznał osobę siedzącą na zydlu.

Na ów widok zapragnął, by ziemia się rozstała i pochłonięła przybysza. Rozwścieczony spróbował się wyprostować, by gwałtownymi ruchami poluzować więzy. Na próżno.

– Przynajmniej raz w swoim życiu się zastanów, nim narobisz hałasu! Dasz radę? – spytał Tomasz i z cynicznym uśmiechem wychylił się do przodu.

Rutger warknął i wbił wściekły wzrok w zagorzałego wroga. Nie powinien był tyle pić.

– Nikt nie przyjdzie ci z pomocą. Twoi służący są porządnie związani, leżą zakneblowani w stajni. Moi turyńscy przyjaciele ich obezwładnili. Zatem do jutrzejszego poranka mamy czas na pogawędkę.

Tylko częściowo była to prawda. Piotr i Elfryda, stara wdowa po górniku, która po wprowadzeniu się Rutgera do domu pracowała tu jako służąca, siedzieli obok siebie i zacierali ręce z radości. Elfryda hojną ręką dosypała specjalnie na tę okazję przygotowanych przez Klarę nasennych środków do piwa dla pacholków Rutgera, a Kuno i Bertram pomogli ich obezwładnić. Aluzja do turyńskich sprzymierzeńców była jedynie manewrem, mającym na celu odwrócenie uwagi od freiberskich przyjaciół.

– Wyjmę ci teraz knebel, by nasza rozmowa nie była jednostronna – ciągnął. – Chyba nie zechcesz wołać sąsiadów, by cię ujrzeni w tym stanie. Golutkiego, w pętach, w pełni twej żalostnej fizjonomii... No i oczywiście z miejsca podciąłbym ci gardło.

Z wyraźnym spokojem podniósł się ze stołka i podszedł do więźnia, w prawym ręku demonstracyjnie trzymając sztylet. Rozluźnił knebel, gotowy natychmiast zatkać mu usta, gdyby Rutger zaczął wzywać pomocy. Lecz dobrze ocenił nieprzyjaciela. Wola przeżycia, a przede wszystkim pycha powstrzymała Rutgera przed wołaniem o pomoc. Byłoby to zbyt wielkie upokorzenie.

– Czego chcesz? – ofuknął więzień nieproszonego gościa.

Zdawał sobie sprawę, że Tomasz mógł go dawno zabić, gdyby chciał. Jeśli tego nie zrobił, to za jego odwiedzinami musiało się kryć coś więcej niż tylko chęć wyrównania rachunków. Dowie się, a jutro dokona okrutnej zemsty na wszystkich, którzy mogli udzielić pomocy temu nędznikowi.

– Chciałem się przekonać na własne oczy, jak zagnieździłeś się w mym domu – wyjaśnił Tomasz, przysuwając sobie stołek.

– W twoim domu? – rzucił lekceważąco Rutger i splunął na podłogę.

Tomasz błyskawicznie pochylił się do przodu i chwycił go za rudą czuprynę.

– To mój dom. Mój ojciec kazał go zbudować i stanowi mą legalną schedę. Któregoś dnia wszystko się zmieni i przegonię cię stąd mieczem.

Puścił Rutgera i pchnął go z powrotem na łóżko.

– A do tego czasu dbaj o moją własność!

– Twój ojciec był bękartem!

– A twój zdrajcą. Co jest gorsze?

– Zabiję cię za to!

Oczy Rutgera ziały czystą nienawiścią, a twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

– Nago i bez broni? – roześmiał się Tomasz.

– Jeśli okażesz dość odwagi, by stanąć przede mną, gdy będę uzbrojony. Ale zdaje się, że jesteś zbyt wielkim tchórzem.

– Już się spotkaliśmy, zapomniałeś? – odparł znudzonym głosem Tomasz. – I o ile dobrze pamiętam, to ty ostatnim razem ratowałeś się ucieczką.

Wstał, a jego głos zakipiał raptem ze złości.

– To ja cię zabiję, szcurze! Ale nie dzisiaj, bo twój przemiły ojczym wzięłby krwawy odwet na ludziach, którzy nie mogą się obronić. Dlatego właśnie tu jestem. Przysięgniesz mi, że w przyszłości nie podniesiesz ręki na żadnego z mieszkańców Freibergu, dasz spokój dziewczkom i szacownym niewiastom oraz wywrzesz wpływ na kasztelana i stolnika, by złagodzili panujące rządy.

Mimo swego niefortunnego położenia Rutger prychnął pogardliwym śmiechem.

– Po to przyjechałeś, tylko dla tej obszarpanej hołoty? W tym celu odważyłeś się wychylić nos ze swej mysiej dziury w Weissenfels? Mimo że tutaj nadal jest wyznaczona niemała nagroda za twą głowę? To więcej srebra, niż będziesz posiadał w całym swoim życiu. Aż tak bardzo opętała cię chęć odegrania bohatera?

Tomasz ponownie złapał za ognistorudą czuprynę i przyciągnął jego głowę bardzo blisko siebie.

– Właśnie taka jest różnica między rycerzami takimi jak ja a szumowinami twojego pokroju! – prychnął. – Dotrzymuję wierności przysiędze, która każe chronić słabych i bezbronnych – dokończył i raptownie wypuścił z dłoni jego włosy.

– W takim razie wpadłeś w tarapaty – odparł wyniośle Rutger, który w widoczny sposób nabrał pewności siebie. – Nie zrobię tego. Zatem wrócisz z kwitkiem albo będziesz musiał mnie zabić, a tego przecież nie chcesz. Wtedy bowiem mój ojczym niechybnie wyprawi Freibergowi krwawą łaźnię, o której tutejsi mieszkańcy jeszcze za sto lat odważą się mówić jedynie szeptem.

– Dasz mi zabezpieczenie – odparł Tomasz bynajmniej niezbity z tropu.

– A dlaczego miałbym to uczynić?

– Ponieważ zabiorę sobie tę oto rzecz – oznajmił Tomasz, podnosząc jakiś przedmiot leżący na skrzyni. – A jeśli dotrzesz do mych uszu, że znów się źle zachowałeś, wówczas pošlę to margrabiemu do Miśni albo jego stolnikowi, wraz z obszernym objaśnieniem, w jakich okolicznościach ci to odebrałem.

Rutger z wściekłością gapił się na broń, którą Tomasz wyciągnął w jego kierunku. Miecz i sztylet po ojcu, dwa kosztowne wyroby kowalskiego rzemiosła, udekorowane takimi samymi ozdobami. Rodzinne pamiątki, które Albrecht natychmiast rozpozna, nie mówiąc już o ojczymie. Nie mógł dopuścić do takiego upokorzenia.

Zatem złożył przysięgę przy akompaniamencie zgrzytania zębami, w nadziei, że jego hańba zaraz się skończy i nikt nigdy się o niej nie dowie. Koniecznie musiał się uwolnić z więzów, nim jutro rano przyjdzie do niego służba.

Tomasz był już przy drzwiach, ale Rutger nie mógł się powstrzymać i jeszcze raz zawołał do niego na odchodnym:

– Twój ojciec był bękartem, a matka ladaczną! Mój ojciec, Elmar, Ekkehart i Giselbert, wszyscy ją mieli, tak często, jak tylko przyszła im na nią ochota. Później przykleiła się do tego bękarta Chrystiana!

Tomasz zamarł w pół ruchu. Następnie bardzo powoli odwrócił się do leżącego i odłożywszy na stół zdobyczną broń, zacisnął dłoń na rękojeści swojego szyletu.

Istniały dwa powody, które powstrzymywały go przed podcięciem gardła temu szubrawcowi. Zakłucie przeciwnika, który nie mógł się bronić, nie było rycerskim postępkim, a po drugie freiberzczycy zapłaciliby za to własną krwią. Niemniej jednak musiał zebrać wszystkie siły, by zmusić się do opanowania.

Z satysfakcją zauważył strach na twarzy Rutgera, który zaczął się zastanawiać, czy nie przeciągnął struny. Przeciął pas podtrzymujący Rutgerowe gacie. Związany mężczyzna zadrżał i podciągnął nogi.

Tomasz szybkim ruchem rozpiął mu gacie.

– O nieba, twój kutas jest taki niepozorny, że nie wiem, gdzie przyłożyć ostrze – rzucił pogardliwie.

Następnie wymierzył mu niespodziewany cios w szczękę i zostawił nieprzytomnego, skrępowanego sznurem i całkowicie obnażonego.

Przed izbą czekali na niego Piotr i Elfryda.

– Wszystko słyszeliśmy – szepnął z zachwytem Piotr. – Ta historia rozniesie się po całym mieście. Wasze przedsięwzięcie sprawi sporą radość niemałej rzeszy ludzi!

– Lepiej miejcie się na baczności i uważajcie, przed kim się przechwalacie – ostrzegł Tomasz. – Jeśli za mocno go sprowokujecie, wówczas żądza zemsty może się okazać silniejsza od jego pychy i poniesiecie konsekwencje.

– Jaka szkoda! – zmartwił się krępy pachołek, ale zaraz szeroko się uśmiechnął. – W takim razie będziemy strzec tej historii niczym tajemnego skarbu, aż nadejdą lepsze czasy...

– Tak, do chwili, aż wy, pan Łukasz i pani Marta wróćcie do domu – zapewniła stara Elfryda. – Niech Bóg da, by ten czas jak najszybciej nastał.

Tomasz nie odpowiedział. Poszedł do stajni, by się upewnić, że pachołkowie nadal byli pogrążeni w głębokim śnie. Kuno i Bertram pilnowali odurzonych i związanych ludzi.

– Idźcie do domu – powiedział do nich Tomasz. – Nie może na was paść żadne podejrzenie.

Wprawdzie do wieczora pełnili służbę na zamku, ale teraz musieli się prześlizgnąć obok nocnych strażników.

– Dziękujemy wam z całego serca, wielu freiberzczyków też to uczyni i będzie się z całego serca za was modlić – zapewnił Kuno, uśmiechając się z zadowoleniem.

Tomasz skinął mu głową i usiadł na wiązce słomy. Dopiero rano mógł odjechać, gdy otworzą bramy miasta, ponadto chciał mieć pewność, że żaden z obezwładnionych mężczyzn przedwcześnie się nie obudzi. Poza tym przed nastaniem świtu należało związać służbę, by odsunąć wszelkie podejrzenia od parobków i służących.

Przyszła Elfryda, niosąc ze sobą kufel piwa, zimne mięso i delikatny jasny chleb, jaki podawano jedynie ludziom wyższego stanu. Następnie uzbrojona w gruby kij stanęła przy uśpionych pachołkach, gotowa zdzielić nim każdego, który wykonałby choć najmniejszy ruch.

„Ci ludzie musieli zaiste dopuścić się ogromnych niegodziwości, jeśli nawet czcigodne wdowy są gotowe do bicia” – pomyślał Tomasz. Z drugiej strony wiedział od matki, że starszej kobiecie nie brakowało sprytu. Potrafiła utrzymać w ryzach pachołków Rutgera, chroniąc Annę, siostrę Piotra i żonę koniuszego, która niegdyś pracowała w tym domu jako służąca. Nazajutrz też wybuchnie głośnym



lamentem i zacznie biadolić nad zbrojnymi pachołkami, których tak okrutnie napadnięto.

Mimo późnej godziny Tomasz nie odczuwał zmęczenia. Ułożywszy obok zdobyczną broń, jadł, pił i pilnował nieprzytomnych ludzi. W jego duszy kłębiły się sprzeczne uczucia. Triumf z powodu haniebnego położenia jego zacieklego wroga i niezadowolenie, ponieważ wołałby go zabić w uczciwym pojedynku. Do tego dochodziła troska, czy jego działania rzeczywiście ułatwią życie mieszkańcom Freibergu, czy też je dodatkowo skomplikują.

Były jeszcze słowa, które Rutger rzucił mu na odchodnym. O Marcie, jego matce. Nie wyglądały na zwykły wymysł. Ale nie mógł zapytać o nie matki ani ojczyma.

Czuł zbyt wiele goryczy jak na misję uwieńczoną sukcesem. W trakcie nocnego czuwania Tomasz zaczął się zastanawiać, czy dzisiejsze spotkanie rzeczywiście zakończyło się dla niego zwycięstwem.

Bądź co bądź dwóch złoczyńców nie żyło, Randolf i Ekkehart. Dwaj pozostali też zapłacą za to życiem, tak samo jak Rutger. Miał zamiar tego dopilnować. O ile Łukasz wcześniej nie powziął podobnego planu.

## *Radości i troski*

Gdy Tomasz po zamachu we Freibergu wrócił na zamek w Weissenfels, w stajniach ku swemu zdumieniu zobaczył kasztanka należącego do Łukasza. Sądził, że po jego wyjeździe matka i Łukasz od razu udali się z powrotem do Eisenach, a od tej pory minęło już sporo czasu. Miał zamiar się nad tym zastanowić, ale wcześniej chciał opowiedzieć hrabiemu Dytrykowi o powodzeniu swojej misji we Freibergu.

Ściemniło się i wieczorny posiłek powinien dobiec końca. W głównej sali było podejrzenie pusto. Zwykle o tej porze tu i tam siedziało po kilka osób i opowiadało sobie różne historie albo grało w kości. Zdziwiony i coraz mocniej zaniepokojony, wszedł na schody i pozdrowiwszy wartowników ze straży przybocznej Dytryka, poprosił, by zapytali, czy hrabia go jeszcze przyjmie.

Został wpuszczony i ku swemu zdumieniu zastał w komnacie Dytryka i Łukasza. Obaj mieli nadzwyczaj poważne miny. Z pomieszczenia obok dobiegł stłumiony krzyk i raptem pojawił... Podczas freiberskich przygód zupełnie wyleciało mu z głowy, że nadeszła pora rozwiązania Klary!

Skonsternowany pokazał zdobyczną broń na znak, że odniósł zwycięstwo.

– Czy mogę powiadomić matkę o swoim powrocie? Aby przynajmniej o mnie przestała się martwić – zapytał.

Dytryk skinął przyzwalająco głową i Tomasz wyszedł z komnaty.

Było rzeczą oczywistą, że nikt nie wpuściłby mężczyzny do izby rodzącej. Jednak od czasu do czasu któraś ze służących musiała wyjść, mógł zatem przekazać przez nią wiadomość. Może nawet matka na chwilę się pokaże i powie, jak się czuje Klara. Krzyki dochodzące z izby nie zwiastowały niczego dobrego...

Gdyby mógł, wzięłby cierpienie siostry na siebie.

Łukasz i Dytryk już wcześniej siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu, jeszcze nim przyszedł Tomasz. Gdy wyszedł, znów wsłuchali się w odgłosy dochodzące z sąsiedniej izby.

– Ciężko to wytrzymać. Jeszcze nigdy nie czułem takiej bezsilności – wyznał w końcu Dytryk.

Łukasz go rozumiał. Dokładnie pamiętał, jak się czuł, gdy przed siedmiu laty Marta wydała na świat jego najmłodszego syna. W trakcie rozwiązania niewiastom przytrafiało się wiele złych rzeczy, wiele z nich traciło życie podczas porodu lub później, w połogu. Jednakże w tej kwestii nie mógł Marcie

pomóc, mimo że bardzo pragnął. Dla Klary też nie był w stanie nic uczynić.

Był to jeden z powodów, dla których obaj nie mieli ochoty wyruszyć na polowanie ani upajać się winem, jak to robili inni mężczyźni podczas porodów swych małżonek.

Hrabia Dytryk zebrał się w sobie i wstał.

– Pójdę do kaplicy i poproszę Przenajświętszą Panią o wsparcie.

– Czy wolno mi wam towarzyszyć? A może wolicie zostać sami? – zapytał Łukasz, zorientowawszy się nagle, że jednak mógłby uczynić coś dla Klary, a mianowicie pomodlić się za nią.

Dytryk poprosił go, by razem poszli zmówić modlitwę za życie Klary i jej dziecka, ale Łukasz na chwilę go zatrzymał.

– Naprawdę ją kochacie, prawda? – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, całym sercem. Tak jak wy kochacie swoją żonę. I gorąco się modlę, by przeżyła dzisiejszą noc, bo nie wiem, jak mógłbym bez niej istnieć.

Łukasz w zamyśleniu poszedł za nim do kaplicy i ramie w ramie uklękł przed wizerunkiem Matki Boskiej. Dytryk modlił się za życie kobiety, która była dla niego całym światem, Łukasz zaś za pasierbicę, którą kochał niczym rodzoną córkę.

Zbliżał się ranek, a obaj mężczyźni wciąż byli pogrążeni w modlitwie, nie bacząc na obolałe kolana i zdrętwiałe nogi.

Na dworze odezwał się śpiew ruzników i kosów, gdy na korytarzu usłyszeli odgłos pospiesznie zbliżających się kroków.

Dytryk odwrócił się z niepokojem, w oczekiwaniu na złe wieści. Bóle Klary trwały od południa, a długi poród nie wróżył nic dobrego.

W drzwiach ukazał się Norbert z osobliwym wyrazem twarzy.

– Macie syna, wasza wysokość, moje gratulacje!

– A jego matka? – zapytał gwałtownie Dytryk, wstrzymując ze strachu oddech.

– Dobrze się czuje i cieszy się na spotkanie z wami.

Obaj mężczyźni wstali z klęceek najszybciej, jak pozwoliły im na to zbolale kolana, a następnie popędzili schodami na górę.

Przed izbą rodzącej stała stara służąca, która na widok hrabiego szybko otworzyła drzwi i skłoniła się przed nim.

– Pani was oczekuje, wasza wysokość – powiedziała, a na jej pomarszczonej twarzy malowała się radość.

Dytryk wszedł pierwszy i długimi krokami dopadł łóżka, w którym leżała Klara. Była blada i wyczerpana, ale z wyszczerzowanymi włosami i w świeżym odzieniu. Oczy jej błyszczały, a w ramionach trzymała noworodka.

Dytryk bez słowa ukląkł przy jej łóżu i zapatrzył się na syna, który był tak niewiarygodnie mały. Następnie ujął wolną rękę Klary i ucałował każdą poszczególną kosteczkę.

– Dałaś mi bezgraniczne szczęście... – szepnął, z trudem panując nad głosem.

Spojrzała na niego płomiennym wzrokiem.

– Tylko spójrzcie, jest do was podobny niczym dwie krople wody. Zdrowy i silny...

Tymczasem Marta stanęła u boku Łukasza i oboje patrzyli na zakochaną parę i swego wnuka.

„Naprawdę ją kocha” – pomyślał znowu Łukasz. Wobec dopiero co opanowanej obawy o Klarę, która mogła nie przeżyć rozwiązania, oraz wspomnienia o owych licznych chwilach, w których sądził, że Marta umarła, nie mógł postąpić inaczej, jak tylko wybaczyć zakochanym.

Każdego dnia czyjeś życie mogło dobiec końca. Raptem sobie uzmysłowił, że wyparcie się tak

głębokiej i szczerzej miłości stanowiłoby jeszcze większy grzech. Bóg zapewne myślał podobnie.

Marta miała rację. Po co żyć w oczekiwaniu na dzień, w którym Dytryk będzie musiał poślubić Juttę z Turyngii, a Klara opuści Weissenfels? Łukasz miał świadomość, że ten ślub złamie Klarze serce, ale nikt nie wiedział, czy ów dzień kiedykolwiek nadejdzie, czy oni wszyscy go dożyją. Niech rozkoszują się szczęściem tak długo, jak będzie im dane. Dytryk zaopiekuje się Klarą i jej dziećmi.

Poruszony do głębi Łukasz podszedł bliżej i odchrząknął.

– Niech Bóg cię błogosławi, córko. Ciebie i twego syna. Niech Bóg błogosławi całą waszą trójkę!

Zdawało się, że nikt nie zauważył Tomasza, który niedługo potem wszedł do izby. Wszyscy wyglądali na niezwykle szczęśliwych i zajętych. Klara i Dytryk byli zaabsorbowani noworodkiem, a jej matka i Łukasz sobą nawzajem.

Tomasz się ucieszył. Ulżyło mu, że siostra żyła, choć wyglądała niezwykle blado, z głęboko podkrążonymi oczami i ściągniętą twarzą, na której nadal widać było kilka czerwonych plam, pozostałych po parciu podczas porodu.

Jednak widok szczęścia najdroższych mu ludzi ścisnął mu serce. Nie z zazdrości, tylko dlatego, że sądził, iż sam nigdy już takiego szczęścia nie zazna.

Wyszedł pospiesznie, nim ktokolwiek zdążył go zobaczyć, zszedł na dół do stajni i wtulił twarz w szyję Dragona. Jeśli ów bezmiar szczęścia nie rozwiął goryczy i ciemności wypełniających jego duszę, nie odpędził obrazów śmierci jego towarzyszy, którzy umarli na Świętej Wojnie, czyż wobec tego istniało dla niego jakiegokolwiek lekarstwo?

Gdyby teraz mógł się wypłakać w ukryciu... Ale nie miał łez. Jego ból był nazbyt głęboki.

Hrabia z Weissenfels kazał bić w dzwony, by oznajmić przyjście na świat swego syna. Ojciec Ansbert ochrzcił chłopca imieniem Dytryk.

W ciągu dnia odwiedzali ich rycerze, którym Dytryk nadał lenna, między innymi Rajmund ze swą małżonką Elżbietą. Przynosili podarki, życzenia i błogosławieństwa. Następnego dnia Dytryk zapowiedział uroczystość, na którą zaprosił wszystkich mieszkańców Weissenfels.

Marta z Elżbietą wzięły w swoje ręce przygotowania do uczy. Dytryk w całości zdał się na nie i większość czasu spędzał przy łożu Klary, przyglądając się synowi i jego matce. Patrzył, jak Klara spała, jak później zachęcała małą Annę, by ta pogładziła młodszego braciszka po ciemnym puchu pokrywającym jego główkę, a jeszcze później, jak karmiła niemowlę piersią. Zdziwił się, że tego chciała, szlachetne damy rezygnowały bowiem z karmienia i umówiona mamka czekała, gotowa przejąć ten obowiązek. Lecz Klara wyjaśniła, że obie z matką uznały, iż karmienie przez obcą niewiastę nie będzie dla niemowlęcia korzystne, a ponadto mleka mamki mogłoby nie wystarczyć dla dwójki dzieci.

W tej kwestii także Marcie ufał. Od dziecińczych lat wielokrotnie widział, jak leczyła chorych niecodziennymi metodami, rezygnując z często stosowanego upuszczania krwi. Teraz mając przed oczami ów cudowny i pełen najgłębszego uczucia obraz, pozbył się ostatnich wątpliwości. „Niczym Madonna” – pomyślał wzruszony, zadając sobie jednocześnie pytanie, czy kiedykolwiek mógłby być szczęśliwszy niż w tym właśnie momencie.

Rozległo się pukanie i Norbert z Weissenfels zawołał go przez drzwi.

Dytryk wstał i wyszedł, by nie zakłócać snu swemu nowo narodzonemu synowi. Niezależnie od tego, co kłopotowało czy niepokoiło Norberta, nic z tych rzeczy nie miało prawa przeniknąć do tej komnaty.

Na korytarzu z wyrazu twarzy swego komendanta wyczytał, że coś musiało się wydarzyć.

– Przyjechał Henryk z Eckartsbergi ze złymi wieściami – powiedział ostrożnie Norbert.

Dytryk się przygotował i kazał przyprowadzić turyńskiego marszałka do swojej komnaty.

Już sam fakt, że landgraf Turyngii przysłał najwyższego dowódcę swej armii, a nie po prostu zaufanego posłańca, nie zapowiadał dobrej nowiny.

Siwobrody wojak przywitał hrabiego z należytym szacunkiem i z miejsca przeszedł do rzeczy.

– Wasz brat planuje oskarżyć mego księcia landgrafa Hermana o udział w spisku mającym na celu zamordowanie cesarza. Mój pan otrzymał zaproszenie na zjazd nadworny w Nordhausen, gdzie ma zająć w tej sprawie stanowisko.

Dytryk przymknął na chwilę oczy. Morderstwo cesarza było niesłychanym oskarżeniem i zazwyczaj kończyło się egzekucją obwinionego lub oszczercy.

Zatem jego brat zdecydował się w ten sposób wziąć odwet za swą militarną porażkę. Z całą pewnością liczył na to, że razem z Turyńczykiem popchnie w przepaść także jego przyszłego zięcia.

Dytryk nawet przez chwilę się nie zastanawiał, czy informacje Hermana są prawdziwe. Landgraf miał o wiele więcej możliwości wysłania do Miśni tajnych szpiegów niż on sam. Wezwanie zaś na zjazd nadworny jednoznacznie dowodziło, że sprawa była poważna.

„Co Albrecht wie o sprzysiężeniu przeciwko cesarzowi? – zapytał sam siebie. – I ile wie cesarz? Czyżby Henryk sądził, że ktoś planował zamach na jego życie?”

„Bez dwóch zdań – odpowiedział sobie w myśli. – Narobił sobie zbyt wielu wrogów. A zaciekły spór o Turyngię po śmierci Ludwika, brata Hermana, zaostrzył podejrzania”.

Najpóźniej po wyruszeniu jego ojca Fryderyka Staufa do Ziemi Świętej ówczesny król, a obecny cesarz Henryk zaczął otrzymywać sygnały, że znaczna część książąt sprzeciwiała się jego rządowi. Nigdy nie starał się dojść z nimi do porozumienia, nie podjął żadnej próby.

Wcześniejsze pokolenia królów, starając się o objęcie tronu najwyższego świeckiego władcy, były zmuszone stawiać czoła innym konkurentom, mniej więcej równorzędnym stanem książętom Świętego Cesarstwa Rzeszy, i przed elekcją dojść z nimi do porozumienia. Natomiast Henryk dzięki posunięciom swego ojca już jako czterolatek został koronowany na króla. Wobec tego od dzieciństwa dorastał w świadomości posiadania tego tytułu i przywykł, że wszyscy w jego otoczeniu mówili to, co chciał usłyszeć.

Nigdy nie miał okazji nauczyć się postępowania i wpływania na pewnych siebie książąt Świętego Cesarstwa Rzeszy, którzy domagali się stanowych przywilejów, i nie potrafił zawierać kompromisów.

– Landgraf prosi, byście towarzyszyli mu na zjeździe dworu i w razie potrzeby wsparli go przysięgą – przekazał wiadomość Eckartsberga.

Dytryk zgodził się bez wahania. Był to winien Hermanowi. Zatem nie mógł dłużej przestrzegać rady Łukasza, by trzymać się z dala od dworu.

W głębi ducha zawsze wiedział, że chwilowy pokój nie potrwa długo.

## *Październik 1192 roku, zjazd nadworny w Nordhausen*

Henryk, król i cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, w złym humorze spoglądał na swych książąt Rzeszy. Najchętniej wszystkich bez wyjątku przegoniłby z sali. O wiele łatwiej rządziłoby mu się bez tych wszystkich książąt, landgrafów i margrabiów. Nic nie układało się tak, jak powinno.

Od zawsze ciążył na nim bagaż porównania z ojcem, Fryderykiem Staufem, którego jeszcze za życia sławiły legendy. Nie miał charyzmy ani siły przekonywania sławnego Rudobrodego, ani też wspaniałej urody swej matki, Beatrycze z Burgundii, niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Jedynie żelazną ręką i sukcesami wojskowymi potrafił zademonstrować swą zdolność rządzenia. A właśnie na tym polu szczęście zdawało się go opuszczać. Zuchwalstwo, z jakim sycylijska arystokracja obrała tego bękarta Tankreda z Lecce na sycylijskiego króla, mimo że Konstancja, małżonka Henryka, miała legalne prawo do tej bogatej wyspy i południa Włoch, stanowiło potworną zniewagę, domagającą się pilnie zbrojnej interwencji. Jednakowoż oblężenie Neapolu zeszłego lata zakończyło się sromotną klęską po wybuchu zarazy. Ofiarą epidemii padła większa część jego armii, a i on nie został oszczędzony. Na samo wspomnienie bagiennej gorączki cesarzem wstrząsnęły dreszcze w zimnym pałacu w Nordhausen.

Zdrętwiałymi palcami ściślej otulił ramiona ciężkim, podbitym futrem płaszczem. Seneszał Markward z Annweiler, zauważywszy gest swojego pana, natychmiast pospieszył mu z pomocą. Henryk wciąż był pogrążony w ponurych rozmyślaniach.

Na domiar nieszczęścia Tankredowi udało się wziąć w niewolę cesarzową, jego małżonkę, gdy ta udała się zasięgnąć rady słynnych medyków z Salerno. Nie żeby Henryk za nią tęsknił. Konstancja była stara, o dziesięć lat starsza od niego, dobiegała czterdziestki, jej zwiędłe ciało... Nigdy jej nie kochał, ona zaś do dzisiaj nie urodziła mu syna. Prawdopodobnie powinien się pozbyć złudzeń.

Ale stracił twarz, cesarzowa w rękach wroga, a on musiał prosić papieża o pomoc!

Tymczasem tuż pod jego nosem zbierali się przeciwnicy, Askańczycy, Schaumburgowie, a nawet stary Welf, Henryk Lew, który ponownie zaczął prowadzić z nim wojnę. Z nim, z cesarzem!

Najstarszego syna Lwa zabrał ze sobą do Neapolu jako zakładnika, a ten ośmielił się opuścić armię, za co w Zielone Świątki podczas zjazdu nadwornego w Wormacji został skazany na banicję. Teraz książę Welf nie widział więcej powodu do powściągliwości. Był wprawdzie stary i zmęczony, ale jako wróg nadal niebezpieczny i wprawiony w walkach.

Z kolei Wichman z Seeburga, mądry i szanowany arcybiskup Magdeburga, który nawet w najtrudniejszych sytuacjach potrafił doprowadzić do ugody między zwaśnionymi stronami, w sierpniu pożegnał się z tym światem po prawie czterdziestoletnim piastowaniu urzędu.

Wszędzie dookoła pełno buntowników i wrogów!

Nad Dolnym Renem wrzało. Nawet o obsadzenie stanowiska biskupa w Lüttich musiał w ubiegłym miesiącu stoczyć batalię. Gdyby nie udało mu się rzucić na kolana księcia Brabancji, który uparł się przekazać biskupstwo swojemu bratu, byłby to nieomylny sygnał, że cesarzowi władza wymknęła się spod kontroli...

Jeszcze nigdy on, Henryk, nie był dalej niż obecnie od zamierzonego celu wprowadzenia w cesarstwie rządów żelaznej ręki.

Tymczasem zaciekle wróg Staufów i sprzymierzeniec Tankreda, angielski król Ryszard, który nadał sobie przydomek Lwie Serce, odnosił w Ziemi Świętej zwycięstwo za zwycięstwem nad Saladynem.

Ale zwycięski pochód Ryszarda wkrótce dobiegnie końca. Zadbał o to do spółki z francuskim królem.

Wspomnienie ich planu, ukutego potajemnie wiele miesięcy temu, który miał na celu pojmanie rywala, gdy ten będzie w powrotnej drodze do domu, wyczarowało na twarzy cesarza cień chłodnego uśmiechu. Nagle władca przebudził się z zamyślenia i odsunawszy od siebie ponure myśli, skierował badawcze spojrzenie na książąt, którzy przed nim stali, czekając w milczeniu, aż cesarz przemówi.

Po raz pierwszy od śmierci starego margrabiego miśnieńskiego oraz powrotu z Ziemi Świętej Dytryk brał udział w dworskim zjeździe cesarza. Nie zaliczał się do grona książąt Rzeszy, zatem jego obecność na dworze nie była niezbędna.

Chciał jak najdłużej odsunąć ślub z córką Hermana i być z Klarą, toteż powinien przynajmniej stać u boku swego sprzymierzeńca i przyszłego teścia, gdy toczyła się gra o najwyższą stawkę.

Niewykluczone, że trzeba go będzie wesprzeć przysięgą. Całkiem możliwe, że obaj ryzykowali życie, jeśli Albrecht znajdzie posłuch u cesarza, a w dzieciństwie Henryka jego brat zaskarbił sobie łaskę monarchy.

Hrabia patrzył na syna Fryderyka Staufa, z trudem skrywając niechęć. Rysy bladej twarzy cesarza nie wykazywały najmniejszego podobieństwa do jego ojca, z którym Dytryk wyruszył do Ziemi Świętej. Cała jego fizjonomia i postawa zdradzała pragnienie władzy. Gdy tego typu człowiek został zapędzony w ślepy zaułek, wówczas stawał się nieobliczalny i wyjątkowo niebezpieczny. Nie musiał przyjeżdżać na dwór, by wiedzieć, że cesarz tracił kontrolę.

Rzucił badawcze spojrzenie na potężnego Hermana z Turynгии, który z pozornym spokojem stał obok niego na rozstawionych nogach. Wszystkie inne sprawy z dziennego porządku zostały już omówione, zatem przedmiotem kolejnego punktu mogło być jedynie niesłychane oskarżenie margrabiego miśnieńskiego, o ile Henryk go nie oddali, uznając za niewiarygodne.

Monarcha przez dłuższy czas milczał. Nikt nie wiedział, dokąd poszybowwały jego myśli. Niemniej jednak nikt by się nie ośmielił wyrwać cesarza z zamyślenia. Tak więc zebrani książęta cierpliwie czekali w sali, ubrani w ciężkie peleryny i wytworne białudy, choć panował chłód, a oni stali tu już cały dzień. Tu i tam rozlegało się czasem stłumione kichnięcie lub kaszel.

Wreszcie Henryk się wyprostował i dał podczaszemu znak, by ten napełnił mu kielich.

– Margrabia miśnieński życzy sobie przekazać nam pewną informację, która się tyczy bezpieczeństwa Rzeszy i naszej osoby – oznajmił i przekazał głos Albrechtowi.

Jednak znudzony ton głosu monarchy dawał jasno do zrozumienia, że margrabia powinien mówić krótko. Cesarz uważał, że oskarżenie było wyssane z palca w odwecie Wettyna za przegrane oblężenie, chociaż miał świadomość, że Herman nadal żywił urazę za próbę skonfiskowania Turynгии jako lenna Rzeszy.

Jednakowoż bardzo go ciekawiło, jaki obrót przybierze ta sprawa. Henryk wiedział oczywiście, że pojawienie się obydwu wettyńskich braci nie było przypadkowe, zwykle bowiem trzymali się od siebie na dystans. Młodszy z nich, hrabia Weissenfels, stał obok landgrafa Hermana, Albrecht zaś zajął miejsce u boku swego kuzyna Konrada, księcia Marchii Wschodniej. Cesarz wiedział także, że synowie starego margrabiego Ottona od dawna byli głęboko poróżnieni, wiedział też, że Albrecht zaatakował młodszego brata zaraz po jego powrocie z Ziemi Świętej.

„Lecz tego nie mogę mu teraz publicznie zarzucić, gdy sam planuję pojmanie pielgrzyma, do tego jeszcze króla – pomyślał cynicznie Henryk. – Ale z drugiej strony, jestem cesarzem. Obowiązują mnie inne prawa”.

W młodszych latach Henryka obecny margrabia miśnieński był mu niezwykle pomocny na dworze. Ponadto cesarzowi zaimponowała determinacja, z jaką Albrecht wziął do niewoli swego sędziwego ojca i w ten sposób zapewnił sobie dziedzictwo. Jednakowoż nadszedł czas, żeby wreszcie wziąć go w cugle. Trzeba się zastanowić, jak długo może być jeszcze użyteczny.

Krwawy spór między zwaśnionymi braćmi mógłby wsunąć mu w ręce Marchię, oczywiście pod warunkiem, że żona Albrechta nie urodzi mu potomka. Lecz nad tą kwestią czuwał alchemik, którego Wettyn przyjął do siebie na służbę, nie zdając sobie sprawy, kto go przysłał do Miśni i na czyich pozostawał usługach. Magister dobrze się sprawiał. Zofia z Czech nie donosiła żadnego dziecka, odkąd Henryk został cesarzem i zajął się owym szczególnym miśnieńskim problemem. Mikstury bowiem, które stary chemik podawał Czeszce na zlecenie cesarza, nie wzmagaly płodności, jak sądził Albrecht, lecz sprawiały, że płód obumierał.

A gdyby w walce zginął również Herman z Turynгии, którego ziemie stanowiły nie mniej łakomy kęs od margrabstwa z kopalniami srebra, wtedy obydwie marchie doskonale można byłoby połączyć

z Pleissenland<sup>16</sup> jako królewskie terytorium.

Albrecht wystąpił dwa kroki naprzód i rozstawił nogi, a następnie w pełni świadom wrażenia, jakie wywołają jego słowa, oświadczył, co następuje:

– Wasza cesarska mość, oskarżam landgrafa Turyngii o zawiązanie spisku, mającego na celu zamordowanie was! – powiedział i przyjął przesadną pozę, wskazując ręką na Hermana.

– To kłamstwo! – odparł natychmiast Herman.

Teraz i on wystąpił dwa kroki do przodu, jeszcze nim cesarz zdążył cokolwiek powiedzieć, a następnie uklęknął przed władcą.

– Wasza cesarska mość, jestem gotów przysiąc na krzyż albo na Pismo Święte, że nie uczestniczę w żadnym spisku, którego celem byłoby was zamordować, ani też nie posiadam wiedzy o podobnym horrendum. Bóg mi świadkiem!

Wśród zgromadzonych w sali świadków owej wymiany zdań zapanowało wyraźne napięcie, chociaż nikt nie ważył się odezwać. Wszyscy patrzyli na cesarza. Jaką decyzję podejmie? Czy był to koniec Turyńczyka? A może Miśnieńczyka?

W pełni świadomy faktu, że wszyscy oczekiwali jego decyzji, cesarz przeniósł przyczajone spojrzenie z Hermana na Albrechta.

– Czy posiadacie dowody na tak ciężkie obwinienie, margrabio?

To pytanie Albrecht z chęcią by pominął, mimo bowiem starań Elmara owa kwestia nadal stanowiła słaby punkt oskarżenia. Niemniej jednak istniało pewne rozwiązanie, a Albrecht był gotów pójść na całość.

– Wasza cesarska mość, jestem gotów poddać me słowa ocenie Boskiego sądu.

W sali podniósł się gwar. Sąd Boży, pojedynek między dwoma książętami Rzeszy. Przegrany zostanie od razu zabity, Bóg bowiem uzna go za winnego. Czy cesarz do tego dopuści? I kto wyjdzie zwycięsko z krwawego pojedynku?

Książęta, przynajmniej świeccy, ale i ci ze stanu duchownego, byli mężczyznami zaprawionymi w walce, toteż zaraz zwrócili na obu przeciwników badawcze spojrzenia i starali się oszacować, który z nich miał większe szanse. Byli mniej więcej w tym samym wieku, obaj doświadczeni żołnierze. Chociaż w przypadku sądu Bożego rozstrzygnięcie było w rękach Boga. Teraz się okaże, czy po próbie konfiskaty Turyngii Herman nadal był wrogo nastawiony do cesarza. Jednakże Herman rządził Turyngią, dlaczego zatem miałby się gniewać na cesarza i pragnąć jego śmierci? Ta trzeźwa konstatacja powstała w myśli wielu członków zgromadzenia.

Henryk podniósł rękę, chcąc zmusić obecnych, by zamilkli, a w sukurs przyszedł mu donośny okrzyk Markwarda z Annweiler.

– Porywacie się na wiele, Albrechcie z Wettynów – odezwał się cesarz opieszalym głosem. – Czy jesteście pewni swej sprawy? Zdaje się, że wasza rodzina ma skłonności do rzucania podobnych wyzwania na zjazdach nadwornych. Czyż onegdaj w Magdeburgu wasz wuj Dytryk z Landsbergu nie wyzwiał na śmiertelny pojedynek owego Welfa, Henryka Lwa?

Gestem uciał odpowiedź Albrechta. Sprawa była powszechnie znana, tamten pojedynek nigdy się nie odbył, Lew bowiem nie zjawił się w wyznaczonym terminie, a poza tym wówczas sprawy miały się zgoła inaczej. Sam cesarz Fryderyk Stauf i cesarzowa Beatrycze poprosili wcześniej landsberczyka, o którego zręczności w sztuce fechtunku krążyły legendy, by rzucił wtedy wyzwanie, w nadziei, że Lew po raz trzeci nie stawi się na wezwanie cesarza i będą mogli skazać go na banicję, co zresztą uczynili.

Natomiast tym razem, zdaniem Henryka, puszył piórka żądny zemsty pyszałek, żeby odpłacić przeciwnikowi za poniesioną klęskę. Niemniej jednak to przekonanie nie przeszkadzało mu, by

w przyszłości nieco dokładniej przyjrzeć się Turyńczykowi.

– Landgrafie, jaka jest wasza odpowiedź na to wyzwanie?

– Jestem gotów – odrzekł Herman spokojnie, a potem zwrócił się do Albrechta. – Pojedynek przyniesie wam śmierć, albowiem wypowiedziane przez was słowa są kłamstwem przed Bogiem, jego cesarską mością i wszystkimi, którzy się tu dziś zebrali.

Cesarz przenosił wzrok między oboma zwaśnionymi książętami. W ciszy, jaka zapanowała, można byłoby usłyszeć igłę upadającą na podłogę.

Wszyscy czekali na decyzję monarchy.

Chcąc spotęgować wrażenie swych słów, Henryk nie spieszył się z odpowiedzią.

– Obie strony mają mi przedstawić obszernie argumenty podczas nadwornego zjazdu w Altenburgu. Wtedy podejmę decyzję – oznajmił i szorstkim gestem rozwiązał zgromadzenie.

Jednakowoż w grudniu na dworskim zjeździe w Altenburgu cesarz, ku powszechnemu zaskoczeniu zebranych, ogłosił, że nie ma żadnego powodu wątpić w wierność landgrafa z Turyngii, i odrzucił oskarżenie margrabiego miśnieńskiego. Jako wyraz obopólnego zaufania i dobrej woli landgraf Herman miał mu towarzyszyć na pierwszym odcinku podróży do Bawarii. O zmianie nastawienia monarchy zadecydowało nie tylko przekonujące wystąpienie Hermana.

Cesarza dręczyło wiele pilniejszych trosk niż zraniona duma skorego do walki księcia z linii Wettynów. W listopadzie kilku ludzi z jego świty zamordowało Albrechta Lwa, owego brata księcia Brabanta, którego duża część arystokracji z Dolnego Renu pragnęła widzieć na stanowisku biskupa Lüttich i który uzyskał akceptację, wyprzedzając cesarskiego kandydata.

Jako że cesarz nie pociągnął skrytobójców niezwłocznie do odpowiedzialności, natychmiast rozniosła się pogłoska, jakoby osobiście zlecił to morderstwo. Rozsierdzony książę Brabant zebrał wokół siebie potężną księżęcą opozycję, do której przyłączyli się nawet arcybiskupi Kolonii i Moguncji.

Henryk nie mógł sobie pozwolić, by wpływowy Herman z Turyngii również przeszedł na ich stronę.

Poza tym z ogromną niecierpliwością oczekiwał wiadomości, która rozwiązałaby jego największe problemy, nie tylko finansowe. W drodze powrotnej z Ziemi Świętej rozbił się statek Ryszarda Lwie Serce i władca postanowił niepostrzeżenie przepłynąć się lądem. Leopold Austriacki, który od dawna wypatrywał dogodnej okazji, by odpłacić angielskiemu królowi za zniewagę doznaną pod Akką, gdy po zdobyciu miasta Ryszard polecił wrzucić chorągiew Leopolda do fosy, kazał pilnować wszystkich możliwych dróg i zamierzał wziąć do niewoli znieawidzonego wroga.

Wówczas zażądałby od niego ogromnego okupu i złożenia hołdu lennego. Nawet jeśli będzie musiał podzielić się srebrem z Leopoldem, i tak zostanie mu dość pieniędzy, by kupić sobie wierność buntowników. A posłaniec z ową cudowną wieścią mógł przybyć w każdej chwili.

Dlatego też Henryk zakończył zjazd nadworny i szybko położył kres farsie rozgrywającej się między Hermanem z Turyngii i Albrechtem z Miśni.

Herman i Dytryk opuścili salę z uczuciem ulgi i zadowolenia.

Albrecht wyszedł w towarzystwie swego kuzyna Konrada. Gdy nikt nie mógł ich już usłyszeć, margrabia Marchii Wschodniej położył ciężką dłoń na ramieniu Albrechta i upomniał go:

– Jeśli masz dość rozumu, natychmiast zaprzestasz wszelkich ataków na swego brata i na Turyńczyka, przynajmniej dopóty, dopóki cesarz jest w kraju. W przeciwnym razie zaryzykujesz pozycję nas wszystkich, głupcze!

Albrecht, zgrzytając zębami, przyznał mu rację.

Może wobec tego powinien spróbować przeciągnąć Hermana na swoją stronę, wesprzeć go w sporze z arcybiskupem Moguncji...



Kiedyś cesarz z pewnością wyruszy na nową wyprawę, by zdobyć Sycylię. Wówczas wybije jego godzina. Godzina Albrechta.

## *Ultimatum*

Rok 1194 zdawał się jednym wielkim pochodem triumfalnym cesarza. Wszystkie jego zmartwienia i biedy w szybkim tempie ustępowały najradośniejszym nowinom i wydarzeniom.

Z początkiem lutego angielski król Ryszard zapłacił mu olbrzymi okup i złożył hołd lenny, dzięki któremu Anglia stała się lennem cesarza. W sprawie szczegółowych uzgodnień kapitulacyjnych odbyły się jeszcze dłuższe i twardsze negocjacje niż o ową niewyobrażalną kwotę stu tysięcy marek w srebrze, jaką matka Ryszarda, Eleonora z Akwitanii, wydusiła z angielskiego narodu, który już wcześniej przygodę krzyżową swego króla okupił był dodatkowymi podatkami i dziesięciną Saladyna<sup>17</sup>, teraz zaś jeszcze mocniej się wykrwawiał. Poddanie się Ryszarda, jednego ze szwagrów Henryka Lwa, oraz angielskiego królestwa skłoniło do zmiany stanowiska również przeciwników cesarza z rodu Welfów. Po niespodziewanym małżeństwie z miłości, jakie pierworodny syn Lwa zawarł z jedną z córek Staufów, w marcu, w pałacu w Tilledzie, cesarz pojednał się ze starym księciem Welfem. Niemal w tym samym czasie nadeszła wiadomość o śmierci sycylijskiego króla Tankreda. Nie mogło być lepiej. Teraz Henryk dysponował pieniędzmi i ludźmi swych książąt, zatem mógł rozpocząć długo wyczekiwaną wyprawę, by zdobyć Sycylię i sycylijską koronę. W maju wyruszył z armią na południe. Sprzyjający los oraz okoliczność, że jego małżonka Konstancja, powróciwszy z niewoli Tankreda, mimo swych czterdziestu lat była nadal płodna, pozwoliły mu podwoić starania o potomka. Może nawet zdołałby wszystko zmienić. Zielone Świątki z wielką fetą obchodził w Mediolanie, prowadził negocjacje z przedstawicielami Genui i Pizy, starając się o wsparcie ich floty, a następnie wraz z armią ruszył dalej w kierunku Neapolu, który tym razem bez walki otworzył przed nim podwoje. Teraz miał już zapewnioną bogatą Sycylię, która od dawna zgodnie z prawem i obyczajami mu się należała, stanowiła bowiem dziedzictwo Konstancji.

Albrecht z Wettynów czekał wyjątkowo długo, nim się upewnił, że cesarz opuścił stały ląd i wraz z wojskiem wsiadł na statki. Nie wiedział, że Henryk poszedł lądem, by zniszczyć Salerno w zemście za uwięzienie Konstancji, a dopiero jesienią planował pożegłować do Messyny.

Tak więc latem Albrecht zebrał oddziały i zamierzał napaść na brata. Ubiegłe trzy lata wykorzystał na budowę zamku w miejscu, gdzie jego terytorium graniczyło bezpośrednio z posiadłościami Dytryka.

Tym razem nie ruszy na niego, zabierając zaledwie dwie setki ludzi, teraz wystawi przeciwko niemu dwa tysiące zbrojnych.

Gdy Dytryk się dowiedział, że jego brat zbierał przeciwko niemu tak potężną siłę, podjął szybką decyzję. Przekazał Norbertowi tymczasowe dowództwo nad Weissenfels i z niewielką świtą pojechał do Eisenach tak szybko, jak pozwalała na to stan Klary, która ponownie była przy nadziei. Wobec tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak tylko poprosić landgrafa Turynii o ponowne wsparcie. Chciał również zostawić u niego na razie Klarę, jej córkę i swego dwuletniego synka, by zapewnić im bezpieczeństwo. Klara miała spore wątpliwości. Ale w tej kwestii Dytryk nie miał zamiaru podejmować dyskusji. Wszystkie jego dobra były w niebezpieczeństwie, mogły zostać spalone przez wojsko Albrechta, a do Freibergu nie wolno jej było wracać. Nie tylko Rutger i Elmar będą szukali Klary. Jego brat na pewno wiedział, ile dla niego znaczyła, toteż nad wyraz chętnie wzięłyby ją i dzieci jako zakładników albo po prostu zabił.

Ponadto w Eisenach miała wsparcie matki w razie porodu.

I tak pewnego letniego słonecznego dnia dotarli do Wartburga, wszyscy pokryci kurzem i zmęczeni. Dytryk poprosił, by natychmiast powiadomili landgrafa o jego przybyciu.

Herman turyński oczywiście też wiedział od swych szpiegów o przygotowaniach do wojny czynionych przez miśnieńskiego margrabiego i był przygotowany na przyjazd przyszłego zięcia.

Dytryk się spieszył. Musiał wracać do Weissenfels, nim załoga nowego zamku Albrechta przystąpi do ataku. Dlatego też zaraz po przywitaniu bez ogródek przystąpił do rzeczy i przedstawił swą prośbę.

– Wasza wysokość, znów muszę was prosić o pomoc przeciwko bratu, który ogromną siłą zamierza napaść na Weissenfels. I o udzielenie tymczasowego schronienia memu synowi oraz jego matce. W Weissenfels nie będą bezpieczni.

„A więc to jest jego owiana legendą kochanka, o której ludzie opowiadają zdumiewające historie” – pomyślał władca Turyngii, otwarcie lustrując wzrokiem Klarę, która stała trzy kroki za Dytrykiem, a teraz dygnęła przed nim w głębokim ukłonie, co w jej stanie musiało być boleśnie niewygodne.

Niemniej jednak ów krótki moment wystarczył, by Herman pojął, dlaczego ta niewiasta tak wiele dla Dytryka znaczyła. Wiedział, że była pasierbicą jego rycerza Łukasza i niewątpliwie odziedziczyła owo szczególne „coś” po jego małżonce. Na jego dworze były piękniejsze kobiety, lecz te dwie emanowały czymś, co nawet jego wprawiało w zakłopotanie. Aż nazbyt dobrze pamiętał dzień, w którym matka tej młodej kobiety, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa, samym spojrzeniem i siłą woli skłoniła go do zmiany zdania.

Gdy pozwolił córce Marty się podnieść i odejść, by mogła odpocząć po trudach podróży, ta podniosła oczy i podziękowała uprzejmym uśmiechem, który wywołał w nim wewnętrzne poruszenie. „Ona i jej matka potrafią oczarować nas mężczyzn – pomyślał niespokojnie. – Czyżby były wrózkami? To by tłumaczyło, dlaczego Marta zdaje się nie starzeć”.

Jednak mimo swej bogobojności oraz upodobania do pieśni i poezji Herman z Turyngii był także bardzo trzeźwo myślącym człowiekiem, więc co prędzej pozbył się tej oszałamiającej myśli.

Oczywiście nie oczekiwał, że przyszły zięć zachowa wstrzemięźliwość do chwili, aż Jutta dorośnie i będzie można sfinalizować małżeństwo. A pozycja społeczna kochanki Dytryka z góry wykluczała, by kiedykolwiek mogła zostać kimś więcej niż tylko matką jego bękartów.

Jednakowoż... Nadeszła pora, by przejść do czynów. Wystarczająco długo pozwolił się zwodzić obietnicami dotyczącymi ślubu. A tym razem nie pozwoli, by znów zaczarowała go jakaś wróżka.

Po wyjściu Klary landgraf demonstracyjnie zrezygnował z zaproszenia Dytryka do swych prywatnych komnat, w których omówili zaręczyny, gdy Dytryk po raz pierwszy prosił o pomoc na Wartburgu. Dzisiejsza rozmowa miała się odbyć w sali rycerskiej, żeby wszyscy ich widzieli i mogli usłyszeć.

– Oficjalnie nie mam żadnego powodu, by prowadzić wojnę przeciwko waszemu bratu. Atak, który wam grozi, jest rodzinną waśnią w obrębie rodu Wettynów – oznajmił landgraf z widoczną niechęcią, a następnie splótł ze sobą opuszki palców.

W przeciwieństwie do ich poprzedniej rozmowy, Dytryk poczuł się jak prawdziwy petent. Wiedział, że nie było sensu apelować do Hermana ani przekonywać, że podczas wojny staną w płomieniach również turyńskie wioski. Herman był chłodnym graczem. Teraz będzie nalegał na uregulowanie otwartego rachunku.

– Chyba że nareszcie zostalibyście moim zięciem. Od ręki ustalmy termin ślubu, a postawię wam do pomocy odpowiednią liczbę ludzi. Wspólnymi siłami raz na zawsze przywołamy waszego brata do porządku.

– Czy życzyście sobie, by małżeństwo zostało zawarte, nim ruszymy na bitwę? – spytał hrabia z nieprzeniknioną miną.

– Przecież ostateczne połączenie dwóch naszych rodów wymaga stosownej oprawy, więc trzeba nam czasu na przygotowania – zdecydował landgraf. – Powiedzmy, za sześć tygodni. Do tej pory powinniśmy odeprzeć waszego brata. Wystawię trzy tysiące zbrojnych. A wasza straż przyboczna postara się, żebyście cali i zdrowi wrócili z pola bitwy i by wesele nie przepadło z powodu śmierci oblubieńca, wy zaś mogli dotrzymać danego słowa – roześmiał się okrutnie landgraf, Dytryk zaś poczuł upokorzenie.

– Jak sobie życzye.

Nie mógł powiedzieć nic innego. Sam nie zdołałby powstrzymać Albrechta. Gdyby się teraz zawahał, wówczas cały jego kraj zostałby zrównany z ziemią i zabito by każdego, kto próbowałby bronić jego mieszkańców.

– Wyśmienicie – skonstatował Herman, któremu niespodziewanie poprawił się humor.

– Schlotheim!

Turyński stolnik podszedł bliżej i złożył ukłon.

– Przygotujcie wszystko do ślubnej uroczystości – nakazał, a następnie przywołał swego marszałka. – Eckartsberga, zwołacie wszystkich wojowników, których w ciągu tygodnia możemy zebrać. Jeszcze dziś wyślecie swojego zaufanego człowieka i tego Bernarda w kierunku Miśni i zażądacie od margrabiego zaniechania wszelkich ataków na mego zięcia. W przeciwnym razie ruszymy na niego z wojskiem.

Henryk z Eckartsbergi złożył głęboki ukłon i odszedł, by wydać stosowne polecenia.

– Bóg zesłał nam cesarskiego obserwatora, ministeriała imieniem Bernard. Wasz brat nie może postąpić wbrew jego upomnieniu, jeśli nie chce stracić względów cesarza. Idźcie odpocząć po trudach podróży. Dziś wieczór usiądziecie przy stole u mego boku, przy swojej narzeczonej. Będziecie mieli okazję, by ją bliżej poznać – rzekł i protekcyjnym gestem pożegnał przyszłego zięcia.

Dytryk najchętniej od razu odjechałby do domu, by poczynić potrzebne przygotowania do obrony Weissenfels. Ale w ten sposób popełniłby rażącą niegrzeczność. Musiał zaufać Norbertowi i Tomaszowi i robiąc dobrą minę do złej gry, cierpliwie poczekać do jutra, w nadziei, że jego brat nie napadnie na Weissenfels, gdy on będzie uziemiony w Wartburgu.

Marta czekała na córkę na dziedzińcu. Nawet na tak dużym zamku jak Wartburg wieść o przybyciu księcia z kochanką rozniosła się z prędkością wiatru. Czteroletnia Anna z okrzykami zachwytu wybiegła na spotkanie swej babki. Rzuciła się Marcie na szyję i obie zakręciły młynka. Następnie grzecznie dygnęła przed dziadkiem, który miał już dość godnego obejścia z wnuczką i z uśmiechem zachwytu pogładził ją po kasztanowych włosach, czyniąc przy tym jakąś żartobliwą uwagę.

Upewnił się, że mały Dytryk, którego Liza trzymała na rękach, był cały i zdrowy, a później pocałował pasierbicę w policzek.

Klara czuła się zupełnie wyczerpana długą podróżą, upałem letniego dnia i swą zaawansowaną ciążą. Niczym ciemna chmura wisząca nad głową dręczyła ją świadomość, że teraz niechybnie straci Dytryka, a właściwie już go utraciła.

Wolałaby się zaszyć na samym końcu świata, niżli znosić pytania i szydercze uśmiechy czające się na nią właśnie w Wartburgu. Przecież jednak wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie, i zaakceptowała ten fakt. A teraz, gdy do tego doszło, musiała się uporać z konsekwencjami swej decyzji.

Jakby szukając pocieszenia, dotknęła ręką lnianego woreczka i wyczuła w nim wąski, wyjątkowo ostry nóż, który Guntram wykuł specjalnie dla niej i podarował jej przed odjazdem. Z nostalgią pomyślała o ich ostatniej krótkiej rozmowie. Zażartował, że dla innej damy zrobiłby kłamrę albo pierścień, ale znając jej upodobania, pomyślał, że bardziej ucieszy się z tego instrumentu, który będzie jej pomocny przy pracy. Z nadzwyczajnie utwardzonego żelaza, doskonale wypolerowany.

Ostatnimi czasy mimo jej usilnych próśb nie ośmielił się więcej zwracać do niej na ty, jak w okresie

wspólnego dzieciństwa spędzonego we Freibergu.

– Jesteście panią zamku – odrzucał za każdym razem jej propozycję.

Różnica stanu... ona też nigdy nie zwróciła się tak do Dytryka.

Klara nie miała pojęcia, że Guntram tak niespodziewanie ożenił się z Lizą jedynie dlatego, że stracił ostatnią nadzieję, iż kiedykolwiek zyska ją dla siebie.

Wyczerpanie córki zaniepokoiło Martę. Przekonała ją, by wspólnie poszli do jej komnaty i posilili się oraz zaspokoiли pragnienie. Klara nie protestowała, gdy matka kazała jej się położyć na łóżku, i kilka chwil później zasnęła.

Łukasz zamyślony i zmartwiony popatrzył na pasierbicę.

Stał przy ścianie pogrążony w rozmyślaniach o tym, co mogło ją teraz spotkać. W końcu oderwał wzrok od Klary i z niezwykłą powagą spojrział w oczy Marcie.

– Czy masz jakąś radę dla człowieka, który wyrusza na wojnę?

Sam wiedział, że wojna była nieunikniona i że przeleje się o wiele więcej krwi niż w potyczce, która miała miejsce niespełna trzy lata wcześniej.

Ale jak się zakończy? Wiedziała?

Czyż mając za sobą ponad czterdzieści lat życia, po tylu latach walk, tylu bitwach, wojnach i innych niebezpiecznych dla życia sytuacjach, nie za bardzo kusił los? Po ostatnich obrażeniach, które z trudem przeżył, i to tylko dzięki zdolnościom Marty, nadal miał trudności z oddychaniem. Ułomność, która mogła się okazać brzemienią w skutki podczas walki, w której czasami życie od śmierci dzieliła zaledwie chwila nie dłuższa niż mrugnięcie oka.

Gdy dojdzie do bitwy, wiedział, jakie będzie miał zadanie. Jednak by zabić Albrechta, musiałby się najpierw uporać z najwytrawniejszymi miśnieńskimi rycerzami. Zastanowił się w myśli, którzy ze znanych mu rycerzy należeli obecnie do straży przybocznej Albrechta oraz jakie były ich słabe i mocne strony w walce.

Marta upuściła przedmiot, który właśnie trzymała w ręku, a następnie wstała i podeszła do niego. Wzięła w dłonie jego głowę i pocałowała go.

– Żyj! – szepnęła cicho. – To jeszcze nie ostatnia walka. Wrócisz.

Tęsknie pogłaskała jego jasne loki.

Przed oczyma zobaczyła obrazy. Płonące pola, krwawe zabijanie na olbrzymim polu bitwy...

I znów wróciło do niej owo przecucie, że to nie Łukasz, ale właśnie ona zapłaci kiedyś najwyższą cenę.

Marcie nie obmierzło życie, za bardzo kochała męża i dzieci. Ale ta bitwa miała być tak potworna i tak krwawa, że mogła podjąć tylko jedną decyzję.

– Pojadę z wami i zajmę się rannymi – oświadczyła zdumionemu Łukaszowi. – Felczer Hermana to zaiste rzeźnik, a sam i tak nie da rady.

Na ten temat rozgorzała między nimi długa i gwałtowna dyskusja, chociaż musieli rozmawiać ściszym głosem, żeby nie zbudzić Klary.

## *Oko cesarza*

Zgodnie z przewidywaniami ultimatum turyńskiego władcy wprowadziło margrabię miśnieńskiego w szyderczy nastrój. Był w nad wyraz złym humorze.

– Zatem wasz zdradziecki landgraf w ten sposób dziękuje mi za wsparcie, którego mu w zeszłym roku

udzieliłem w sporze z arcybiskupem Moguncji? – warknął na Burcharda z Salzy.

Dzielny turyński rycerz i pan na dobrach wokół Salzy nawet nie mrugnął powieką. Od samego początku było jasne, że jego misja stanowiła jedynie formalność i Miśnińczyk nie da się powstrzymać przed napaścią na brata. Niemniej jednak należało przestrzegać stosownych zasad, inaczej bowiem sami mogliby zostać uznani za awanturników naruszających granice.

Burchard dał znak swemu towarzyszeni, by zabrał głos. Był nim ów cesarski ministeriał z rozdartą powieką, odziany w kosztowne szaty, który za życia starego margrabiego przyjechał do syna Ottona z wiadomością od obecnego cesarza. Albrecht pamiętał każdy szczegół. Urzędnik przekazał mu radę, by na razie schodził z drogi swemu rozgniewanemu ojcu, którego zgodnie z rozkazem musiał uwolnić. Te słowa kryły w sobie wskazówkę, że Albrecht nadal cieszył się względami króla Henryka.

Ale było jeszcze coś, o czym margrabia Miśni nie wiedział. Ten sam ministeriał Bernard od lat otrzymywał tajne sprawozdania od kasztelana freiberskiego zamku i również z innych źródeł posiadał wyczerpujące informacje o tym, co się działo w Marchii Miśnińskiej, z czego regularnie zdawał sprawę cesarzowi.

– Ponowna wojna przeciwko waszemu bratu spotka się z surową oceną jego cesarskiej mości – oświadczył Bernard z naciskiem i bez cienia służalczości. – Odwołajcie ludzi i zachowajcie pokój!

Albrecht drgnął i zrobił się czerwony ze złości.

– Ważycie się...? W tym tonie do mnie przemawiać?! Nie pozwolę, żeby jakiś prosty ministeriał wydawał mi rozkazy! Bez nadania wolności, zwykły niewolnik! – wrzasnął i wyciągnął przed siebie rękę. – Straż!

Tuzin mężczyzn podbiegło do niego w pośpiechu, chociaż przez cały czas stali zaledwie kilka kroków dalej. Burchard i rycerze, którzy mu towarzyszyli, skupili się ciasniej przy Bernardzie. Giernkowie i serwienci musieli zostać na dziedzińcu.

– Może jestem ministeriałem – odrzekł spokojnie cesarski wysłannik – lecz działam z bezpośredniego polecenia jego cesarskiej mości.

– Cesarza od dawna nie ma w kraju, jest w drodze na Sycylię – krzyknął Albrecht i lekceważąco machnął ręką.

– Zostawił mnie z pełnomocnictwem, jako swe oko, by wiedzieć, co się dzieje w kraju – odparł Bernard.

– Jako swoje oko?

Albrecht skoczył na nogi i podszedł kilka kroków w stronę grupy przybyłej z Turyngii.

– Zatem to oko nic więcej nie ujrzy! Oślepcie go! – rozkazał dowódcy strażników.

– Ależ wasza wysokość! – zawołał z przerażeniem Burchard z Salzy.

Podszedł do ministeriała, przeklinając w duchu fakt, że przed wejściem musieli oddać broń.

– Odsuńcie się, Salzo, w przeciwnym razie spotka was taki sam los! – zażądał Albrecht.

Kilku jego strażników wykręciło Bernardowi ręce na plecy i zmusili go, by ukląkł, pozostali zaś odciągnęli od niego jego towarzyszy.

Przestraszony Salza błyskawicznie rozważył możliwość przyjścia z pomocą zagrożonemu, ale nie znalazł rozwiązania. Nie mieli broni, a ludzie margrabiego mieli znaczną przewagę liczebną. Przeciwnik wybiłby ich do nogi.

– W ten sposób zwróćcie przeciwko sobie całą radę ministerialną, a do tego wszystkich wysoko postawionych wolnych szlachciców z otoczenia cesarza! – zaapelował do rozsądku margrabiego miśnińskiego.

Kątem oka dostrzegł, że zafrasowany stolnik szepnął coś Albrechtowi do ucha. Najpewniej starał się odwieść księcia od wykonania kary. Lecz Albrecht odepchnął Elmara.

– Wykonać! – krzyknął na strażników.

Jeden z nich, krępy mężczyzna, na którego twarzy rozbłysnął złośliwy uśmiech, dobył sztyletu i chwyciwszy Bernarda za włosy, odciągnął do góry jego głowę.

– Nie! – krzyknął Salza. – Nie możecie tego uczynić! To wysłannik cesarza!

– Mogę i uczynię to – przywołał go szorstko do porządku Albrecht. – Jeszcze jedna podobna zuchwałość z waszej strony, a będziecie następni w kolejności!

Szybkość, z jaką bykowały strażnik wyłupał ostrzem sztyletu gałki oczne wrywającemu się Bernardowi, kazała przypuszczać, że ostatnimi czasy dość często stosowano na zamku podobne kary. Bernard wrzasnął z przerażenia i bólu, a później strażnicy raptownie go puścili. Pozostali wartownicy nadal trzymali w szachu Salzę i jego towarzyszy.

– Zabierajcie go i sami też wnoście się z mojego dworu! – rozkazał Albrecht, ze wzburzeniem wskazując im drzwi. – Niech to będzie nauczka dla wszystkich, którzy nie okazują mi dostatecznego szacunku.

Ośłupiały z przerażenia Burchard podszedł do oślepionego, który z zakrwawioną twarzą leżał bezradnie na podłodze. Jego ciałem wstrząsały dreszcze i skurcze, skórę miał białą jak kreda. Starając się powstać, bezwiednie zwymiotował na środku sali.

– Chodźcie, pomożemy wam wyjść – powiedział pan Salzy najspokojniej, jak mógł, a następnie dźwignął Bernarda do góry i założył sobie jego lewą rękę na ramiona.

Nim wyszli z sali, Burchard, nie oglądając się za siebie, usłyszał, jak Albrecht warknął na swego stolnika:

– A wy! Jeśli jeszcze raz ważycie mi się sprzeciwić w obecności ludzi, opuścicie ten dwór na zawsze!

Burchard i jego przyjaciele przeprowadzili chwiejącego się ślepcę przez dziedziniec. Odprowadzały ich zatrwożone i współczujące spojrzenia. Parę osób, które obserwowały tę scenę, przeżegnało się ukradkiem, ale nikt nie miał odwagi do nich podejść i zaproponować pomoc.

– Przyprawadźcie nasze konie i zczekajcie z nimi przed palatium burgrabiego! – rozkazał Salza przestraszonym giermkom. – A ty biegnij naprzód i postaraj się, żebyśmy jak najszybciej otrzymali pomoc – polecił najstarszemu z nich.

Chłopak skinął i natychmiast ruszył biegiem.

– Jeszcze tylko kilka kroków. Burgrabia wam pomoże i każe opatrzyć wam rany – starał się uspokoić okaleczonego towarzysza Salza.

Burgrabia Meinher z Werben zajmował najbardziej wysunięty obszar na miśnieńskiej górze zamkowej i został wyznaczony przez cesarza do ochrony zamku. Między nim a margrabią panowała naturalna rywalizacja, podobnie zresztą rzecz się miała z biskupem, trzecim z władców na zamkowej górze.

Gdy Turyńczycy zbliżyli się do palatium burgrabiego, wybiegli im naprzeciw dwaj służący i zaprowadzili ich do pomieszczenia położonego w suterenie. Ostrożnie podprowadzili okaleczonego do ławy i starli mu z twarzy krew. Następnie do izby wszedł mnich, posłał służących po więcej wody i lniane płótno, a następnie zajął się oślepionym mężczyzną. Odmówił pacierz i na początek podał Bernardowi do wypicia dużą ilość wina, do którego domieszał eliksir uśmierzający ból.

Salza, upewniwszy się, że jego okrutnie zmaltretowany towarzysz trafił w dobre ręce, chciał się wystarać o audiencję u burgrabiego, by zdać mu sprawozdanie z owego niesłychanego incydentu.

Ale to nie było konieczne, bo Meinher z Werben stanął w drzwiach dokładnie w chwili, gdy Salza zamierzał wyjść.

– Jeśli po tym zdarzeniu margrabia naprawdę ruszy na wojnę przeciwko bratu, będzie miał przeciwko sobie wszystkich ministeriałów – oświadczył od razu burgrabia. – Niezwłocznie wyślę posłańców,

k którzy powiadomią cesarza o tej ohydnej, krwawej napaści. Zostawcie go u mnie, dopilnuję, by miał najlepszą opiekę. Opowiedzcie w Turynгии, co się tu wydarzyło.

– Nie! – zaoponował Bernard łamiącym się głosem.

Jego dłonie macały na ślepo ławę, na której siedział.

– Pojadę z wami do Turynгии. Wszyscy powinni zobaczyć, jakiej niegodziwości dopuścił się ten tyran! Odwrócił głowę w kierunku, gdzie według jego oceny siedział Salza.

– Musicie mi pomóc... wsiąść na konia... prowadzić go za uzdę... Nie zostanę tutaj, aż moje rany się zagoją. Jakże? – powiedział z goryczą. – Oczy mi nie odrosną.

Macając ławę, natrafił dłonią na nasadę swego miecza, który ktoś ze współczucia i bez namysłu ułożył obok niego. Niepewnie wyczuł rękojeść broni, a następnie przysunął ją bliżej i położył sobie na kolanach.

Jednocześnie pojął, że nigdy więcej nie będzie nią władał. Nigdy już nie będzie walczył. Przecież nigdy już nie będzie widział. A ślepcy nie dożywali starości, jeśli nikt się o nich nie troszczył. Nawet gdy rany się zagoją i nie zaropieją, nie czekało go długie życie. Pragnął zatem przynajmniej wykorzystać dni, które mu jeszcze pozostały, by widok dwóch krwawych dziur w jego zastygłej twarzy pomógł zebrać przeciwko Albrechtowi moc zbrojnych, którzy raz na zawsze go pobiją.

– Czy naprawdę chcecie wziąć na siebie taki trud? – zapytał zaniepokojony mnich. – Potrzebny wam teraz spokój.

– Nie!

– Jak uważacie – mruknął medyk i zawiązał wokół jego głowy zmoczony wodą, chłodny kawałek płótna, przykrywając miejsca, w których jeszcze przed godziną były oczy.

Oślepienie nie mógł się poruszać bez pomocy i należało prowadzić jego konia za uzdę. Nocą z trudem zasypiał i często budził się ze snu z bolesnym krzykiem. Dlatego droga do Eisenach zajęła im o dwa dni dłużej niż zwykle.

Po drodze musieli się ukryć przy bocznej drodze, mijaly ich bowiem oddziały Albrechta, zmierzające w kierunku Weissenfels.

Siła rycerzy, pieszych i wozy z zaopatrzeniem potrzebowały niemal pół dnia, by ich wyminąć.

– To ponad dwa tysiące ludzi – stwierdził Burchard, gdy armia nareszcie zniknęła im z oczu. – Niech Bóg wesprze hrabiego Dytryka!

W porównaniu z tym bitwa o Weissenfels sprzed niecałych trzech lat była jedynie potyczką. To, co obecnie ujrzeli, wskazywało na wielką wojnę.

Podobne tłumy mężczyzn gotowych do walki falowały również na Wartburgu i w Eisenach. Ludzie nadciągnęli z całego kraju na wezwanie do książęcej armii. Herman wiedział już od swoich szpiegów, że wrogie wojsko ciągnęło w stronę Weissenfels. Ale nawet trzeźwo myślącemu landgrafowi Turynгии odpłynęła z twarzy cała krew na widok oślepionego człowieka i na wieść o historii, która się wydarzyła w Miśni.

– To było wypowiedzenie wojny również nam! – stwierdził po chwili milczenia.

Następnie, poleciwszy, by mężczyźni zapewniono najlepszą opiekę na zamku, zwrócił się do marszałka:

– Albrecht sam skręcił sobie kark! Straci łaskę cesarza.

Henryk z Eckartsbergi skinął twierdząco głową.

– Tak. I jeszcze więcej ludzi przejdzie na naszą stronę, wszyscy cesarscy urzędnicy. Panowie z Colditz, z Krosigk, z Vesty, z Gleissbergu i z Meldingen nie zawahają się wyruszyć z nami na wojnę. Czy mam wysłać do nich umyślnych?

– Uczyńcie to – zgodził się Herman, który zdążył już podjąć decyzję w sprawie wojskowej strategii. – Nie wolno nam tracić czasu, mój zięć jest w opałach. Jutro rano wyruszymy. Najpierw zdobędziemy Camburg, później ruszymy do Weissenfels na pomoc memu zięciowi. Tam powinni do nas dobić wszyscy, którzy chcą stanąć po naszej stronie.

Dawno poczynił przygotowania pozwalające na szybkie zdobycie Camburga. Potężna twierdza, stanowiąca najbardziej wysuniętą pozycję Wettyna, była mu od dawna solą w oku. Dlatego też trzej ludzie należący do zamkowej straży byli na jego usługach i niecierpliwie oczekiwali sygnału, by otworzyć Turyńczykom podwoje.

## *Dialog*

Po wyjściu turyńskiej armii Wartburg zaczął nagle przypominać opuszczone miejsce, na pierwszy rzut oka zupełnie wyludnione. Wprawdzie zostało tam mnóstwo kobiet, dzieci, parobków, a także trochę starszych strażników do obrony, ale po wyruszeniu mężczyźni cała reszta pozaszywała się w swych izbach, w kuchni czy w niemal pustych stajniach i wszyscy byli pogrążeni w myślach. Klara miała za zadanie opatrywać ropiejące oczodoły oślepionego. Ku powszechnemu zdumieniu Marta tym razem wyruszyła wraz z zaopatrzeniem, by po bitwie, która zdawała się nieunikniona, od razu zająć się rannymi.

Klara rozumiała decyzję matki lepiej od pozostałych, no może za wyjątkiem jej ojczyma i Tomasza. To, co miało się wydarzyć, prawdopodobnie nie przyniesie ostatecznego rozstrzygnięcia, nie wyglądało na to...

Ale mógł to być początek końca.

Gdyby nie była tuż przed rozwiązaniem, najchętniej pojechałaby razem z nimi. Jednak jej czas się zbliżał, dziecko w jej brzuchu już trzy tygodnie temu opuściło się niżej. Poza tym musiała się opiekować dziećmi, Anną, Dytrykiem i przyrodnim rodzeństwem.

Tym razem z Łukaszem i Tomaszem wyruszył na bitwę Daniel, jej młodszy brat, który dobiegł dziewiętnastego roku życia. Na razie był giermkim, ale dawał z siebie wszystko, by sprostać reputacji ojca, ojczyma i starszego brata. Brzemie, które przysparzało mu kłopotów, jak wyznał Klarze.

Niemniej jednak Paweł, Łukasz młodszy i jej mały braciszek Konrad zostali na Wartburgu.

Hałaśliwe dzieci odwracały uwagę Klary od uczucia osamotnienia. Gorzej czuła się jedynie wówczas, gdy musiała z Rajnhardem mieszkać na dworze Albrechta w Miśni i wszyscy jej unikali.

Zaraz następnego ranka po ich przybyciu do Eisenach Dytryk wyruszył z powrotem, by bronić Weissenfels. W każdej chwili liczył się z nadejściem armii Albrechta. „Niech Bóg ma cię w opiece!” – modliła się w myślach.

Przed odjazdem ją pocałował i niechybnie był to ich ostatni pocałunek. Klara pojęła to o wiele szybciej niż on.

Jeśli Dytryk przeżyje walki, będzie musiał po powrocie poślubić Juttę. Klara była gotowa być jego kochanką, ale nie mogła zostać cudzołożnicą.

Tu na Wartburgu i tak już krzywo na nią patrzyli. Jakby odebrała coś córce landgrafa, coś, co do niej należało, chociaż Jutta wciąż jeszcze była niemal dzieckiem...

Nawet jej przyrodni bracia, synowie Łukasza, cierpieli z tego powodu. Tuż po wyjeździe landgrafa i jej rodziców zauważyła, że Paweł, Łukasz i Konrad wdali się w bójkę z kilkoma starszymi chłopcami. Dopiero gdy energicznie ich wypytała i zagroziła, że po powrocie opowie wszystko ojcu, wyjawili jej, o co poszło.



– Powiedzieli, że moja siostra rodzi same bękarty... – wyznał ze szlochaniem trzynastoletni Łukasz, gdy przykładła mu chłodzący kompres do puchnącego oka.

Klara opanowała nerwową reakcję. Nawet udało jej się zmusić do uśmiechu.

– Mieli trochę racji. Anna nie jest bękartem. Jednak Dytryk...

Ale czternastoletni Paweł, pierworodny Łukasza spłodzony ze służącą, będący młodszą kopią ojca, przerwał jej w pół słowa.

– Może Dytryk i nienarodzone dziecko są bękartami, ale bądź co bądź bękartami hrabiego – wytłumaczył młodszemu bratu z wymuszonym uśmiechem. – To o wiele więcej niżli bękart służącej albo rycerza, jakim jest Helmbrecht – powiedział kpiąco o jednym z chłopców uwikłanych w bójkę.

Choć Klara była szczęśliwa, że cała trójka mimo różnego pochodzenia trzymała się razem, to czuła się winna sprzeczce, w którą się wdali.

„Wiedziałam, że mnie to spotka. Teraz muszę z tym żyć” – pomyślała bodaj tysięczny raz.

Jedynym jej pocieszeniem byli Anna i mały Dytryk, który zaczynał już budować fragmenty zdań, siostra zaś go gorliwie poprawiała, gdy błędnie wypowiedział jakiś wyraz.

Zmęczony malec właśnie przetaił oczy, gdy rozległo się pukanie. Klara drgnęła. Nie słyszała wcześniej żadnych kroków. Czyżby wołali ją znów do Bernarda? Za każdym razem, gdy opatrywała mu rany, miała wrażenie, że z pustych oczodołów dochodzi echo jego cierpienia, jak jakaś potworna, śmiertcionośna siła. Chętnie powiedziałałaby mu coś na pocieszenie. Ale czym mogła dodać odwagi komuś, kto niedawno w akcie brutalnej przemocy utracił zdolność widzenia? Bernard żył jedynie myślą o zemście.

Podeszła do drzwi i ku swemu zdziwieniu nie zastała za nimi przyjaznej służącej, która zajmowała się ociemniałym i prowadziła go przez zamkowe korytarze, lecz jedną z dam dworu Jutta.

– Młoda pani chce was widzieć – powiedziała, nie siląc się na najmniejszy ukłon.

Klara miała wrażenie, jakby ziemia pod jej stopami zadrżała. Ta rozmowa była nieunikniona i już dawno powinna się odbyć. Ale Jutta odczekała z nią do wyjazdu ojca, zatem okaże się pewnie trudniejsza, niż się obawiała...

Odwróciła się do Lizy i poprosiła piastunkę spojrzeniem, by ta zajęła się dziećmi. Anna nie chciała zrozumieć, że matka raptem musi się oddalić, i ciągnęła ją za spódnice.

– Zostań, zostań! – prosiła błagalnie.

Klara z ciężkim sercem uwolniła suknię z małej rączki.

– Niebawem wrócę. Bądź grzeczna.

Następnie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła korytarzem za damą dworu. Anna była jeszcze zbyt mała, by wiedzieć, że nie wolno się spóźnić na wezwanie osoby wyższej stanowiskiem. A szczególnie, gdy chodziło o narzeczoną mężczyzny, którego dziecko nosiła pod sercem.

– Wasza wysokość!

Wobec swego stanu Klarze było trudno złożyć głęboki ukłon przed Juttą i przez chwilę zaczęła się obawiać, że nie uda jej się z powrotem podnieść. Poczuła w plecach bolesne ukłucie. Nie wiedziała, czy było sygnałem nadchodzących bóli. Podczas obu poprzednich cięż bóle zawsze zaczynały się od pleców.

Jutta obserwowała ją przenikliwie, a zobaczywszy, że kochanka Dytryka nie odmówiła oddania należnego jej honoru, pozwoliła Klarze wstać. Później odesłała wszystkie damy dworu.

– Usiądźcie, proszę – odezwała się ku zdziwieniu gościa.

Zdumiona Klara zajęła miejsce na brzegu krzesła, wyginając bolący kręgosłup, i czekała, aż narzeczoną Dytryka zacznie rozmowę. Spod na wpół opuszczonych powiek przyglądała się ukradkiem córce landgraфа. Wiedziała, że Jutta miała zaledwie dwanaście lat. Sprawiała jednak wrażenie starszej,

niż była. Nie ze względu na kobiece kształty, bo tych jeszcze nie miała, lecz z uwagi na poważny, zamknięty wyraz twarzy i ciemną, kosztowną materię jej sukni.

Jasnobrązowe włosy miała splecione w warkocze nieozdobione barwnymi wstążkami. Za to nosiła srebrną opaskę i dużą klamrę u dekoltu spodniej sukni.

Przez jakiś czas nie padło ani jedno słowo i Klara wyczuła, że dla Jutty rozmowa była nie mniej przykra niż dla niej. Ociągała się, szukając w myśli właściwych słów.

– Powinniście wiedzieć, że nie jestem waszym wrogiem – zaczęła wreszcie Jutta. – Gdy po ślubie zamieszkać z małżonkiem w Weissenfels, nie chcę, byście stamtąd odjeżdżali. Możecie dalej mieszkać na zamku i opiekować się dziećmi mego małżonka, które wydaliście na świat.

Jej słowa przyniosły Klarze ulgę i zarazem stanowiły dla niej karę.

Czy da radę codziennie patrzeć, jak Dytryk żyje z nową żoną? Lepiej, gdyby odeszła gdzie indziej i nie musiała tego widzieć. Ale nawet gdyby istniało miejsce, w którym mogłaby zamieszkać, to Dytryk i tak będzie chciał, by dzieci wychowywały się pod jego okiem, ona zaś nie zniosłaby rozstania z nimi. Nie wcześniej, niż dojdą do siódmego roku życia. W tym wieku wszyscy dorastający rycerze mają obowiązek się przenieść i rozpocząć szkolenie.

„Chyba powinnam się cieszyć – pomyślała, dziękując Jutcie uprzejmymi słowami. – Większość innych kobiet na jej miejscu z krzykiem przegnałaby rywalkę na cztery wiatry, okrywając ją hańbą. Przynajmniej tego mi oszczędzono. Wiedziałam o tym i podjęłam ryzyko”.

– Byłabym również wdzięczna, gdybyście mi pomogli w wypełnianiu mych obowiązków na zamku w Weissenfels – ciągnęła Jutta. – Macie doświadczenie... a ja jestem jeszcze za młoda, by wziąć na siebie odpowiedzialność za tylu ludzi.

Klara w duchu podziwiała Juttę. Rzeczywiście była bardzo mądra na swój wiek. Wiedziała, że nie uda jej się przegnać rywalki z serca przyszłego małżonka, a już na pewno nie wtedy, gdy źle potraktuje ją albo jej dzieci.

Wspaniałomyślność w stosunku do Klary zapewniała jej nie tylko przychyłność Dytryka. Była to jedyna droga, by go do siebie przekonać. Swą prośbą przeciągnęła Klarę na swoją stronę i ta nie była więcej w stanie jej nienawidzić.

„Zaiste jest jeszcze zbyt młoda – pomyślała Klara ze współczuciem. – Boi się dużej odpowiedzialności spoczywającej na pani zamku. I prawdopodobnie obawia się również tego, co się stanie podczas nocy poślubnej”.

– Wesprę was, gdzie będę mogła – powiedziała łamiącym się głosem.

Dostrzegła strach w oczach dziewczyny. „Nie zaboli cię – pomyślała wbrew woli. – Jest cudownym kochankiem...”

Ścisnęło ją w gardle na myśl o tym, jak mężczyzna, którego kochała, będzie pieścił Juttę i szeptał jej do ucha czułe słowa. „Wiedziałam o wszystkim i zgodziłam się na to – upomniała się ponownie. – Teraz muszę za to zapłacić”.

Ale czuła wielki ból w sercu.

## *Pierwsze ataki*

Landgraf Herman zdobył Camburg z marszu i prawie bez przelewu krwi. Nim turyńskie wojsko weszło w zasięg wzroku wartowników na głównej zamkowej wieży, jeden z ludzi przebrany za żebraka poszedł do bramy i dał informatorom Hermana umówiony sygnał na znak zbliżającego się natarcia. W nocy

wpuszczono do środka przez boczną furtkę oddział prowadzony przez Łukasza, który obezwładnił strażników i wziął komendanta zamku jako zakładnika.

Herman kazał odebrać broń załodze zamku i ją przepędzić, skonfiskował konie i prowiant, a następnie rozkazał zniszczyć bramę. W ten oto sposób daleko wysunięta placówka wrogiego Wettyna, będąca przedmiotem ciągłych sporów i wieloletnich kłopotów, została wstępnie unieszkodliwiona na jego własnym terenie.

Herman nie miał czasu na więcej niż dokonanie symbolicznego zniszczenia, gdyż dwadzieścia mil dalej w kierunku południowo-wschodnim jego przyszy zięć tkwił w Weissenfels w ogromnych tarapatach. Zatem w letnim upale Turyńczyk ruszył dalej ze swymi oddziałami, by bez zwłoki zaatakować i rozpedzić wojsko oblegające tamtejszy zamek.

Im bardziej zbliżali się do Weissenfels, tym bardziej zniszczona była okolica, którą mijali.

Marta z ciężkim sercem patrzyła na uprawne pola do cna strawione przez ogień. Wprawdzie plądrujące wojsko odbierające wieśniakom zapasy i szlachtujące bydło nie było lepsze, lecz widok zasiewów, które tuż przed zebraniem plonów nieuchronnie znikwały w czarnym dymie i ogniu, musiał odbierać chłopom odwagę do życia.

Wciąż jechała z oddziałem wiozącym zaopatrzenie, starając się przywyknąć do osobliwych albo ciekawskich spojrzeń towarzyszących jej mężczyznom. Pachołkowie wiedzieli, że była żoną jednego z rycerzy, a nie jakąś markietanką, co dało się od razu zauważyć chociażby po jej odzieniu czy wierzchowcu, na którym siedziała. Dlatego też nie mieli odwagi się do niej odezwać. Ale między sobą po cichu o niej rozmawiali.

Nocą Marta spała w namiocie razem z Łukaszem, w bezpośrednim pobliżu hrabiego i landgrafa, a rano i wieczorem jadła z jego rycerzami. Jednak w ciągu dnia na życzenie męża musiała się trzymać z tyłu, w oddziale z zaopatrzeniem. Pod koniec długiej dyskusji o tym, czy powinna wyruszyć, czy też nie, przyrzekła Łukaszowi, że będzie przebywała w bezpiecznym miejscu. By sprawić mu przyjemność, trzymała się tej zasady dopóty, dopóki jakieś wydarzenie nie zmusi jej, by zaczęła działać.

Bruno, stary turyński krzyżowiec, który u prawej ręki miał tylko dwa palce, podjechał do Marty i posłał jej rozweselający uśmiech.

– Moi ludzie ruszą do bitwy z większą ufnością, wiedząc, że się nimi zajmiecie, gdyby zostali ranni – powiedział.

Po jego szczupłej, pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy przemknął cień na wspomnienie mężczyznom, którzy na jego oczach umarli w walce albo później, w wyniku obrażeń, jakie odnieśli.

Turyńczyk pozostał u jej boku, a obok nich piesi i ciężko obładowane wozy zaprzężone w woły z mozołem parli naprzód. Był jednym ze strażników mających za zadanie ochraniać zaopatrzenie.

Słońce stało w zenicie, gdy podjechał do nich jeździec z meldunkiem i przekazał wiadomość przyniesioną przez oddział zwiadowczy Hermana. Albrecht wraz z częścią swojego rycerstwa siedział w swym nowym zamku w pobliżu Weissenfels, ale większość jego ludzi oblegała zamek Dytryka, w którym schroniła się również większość mieszkańców okolicznych wiosek.

Tym razem wsie wokół Weissenfels nie zostały spalone. Wielu rycerzy Albrechta zakwaterowało się w domach u podnóża zamku i zarekwirowało całe bydło oraz wszystkie zapasy, których uciekający mieszkańcy nie zdołali ze sobą zabrać.

Po tej informacji front armii stanął w gotowości i czekał, aż dołączą do niego oddziały z zapasami i piesi. Później mieli ruszyć do ataku. Landgraf Herman postanowił niczym burza spaść na miśnieńskich napastników i przegnać ich z okolicy graniczącej z jego terytorium.

„Jak Dytryk i Tomasz radzą sobie na zamku? – zastanowiła się Marta i z wdzięcznością upiła łyk napoju z zapasu Bruna. – Norbert, jego synowie i kowal Guntram? Czy mają dość żywności dla

wszystkich, którzy się u nich schronili?”

Było to już drugie oblężenie, jakie weissenfelczycy przeżywali w ciągu ostatnich trzech lat. Ale może tym razem ludzie zamknięci na górze byli mniej wystraszeni niż ostatnim razem. Może zaufali Dytrykowi i jego sojusznikowi, potężnemu landgrafowi Turynгии.

Później przeniosła się myślami do córki. Niewykluczone, że ta leżała już w połogu, walcząc o życie swoje i dziecka. Marta zostawiła Klarę w Eisenach, ufając, że stara akuszerka, która tam pracowała, miała dość doświadczenia i znała się na swym rzemiośle.

Dlaczego zatem ogarnęło ją raptem tak złe przeczucie, pod wpływem którego zaczęła żałować, że wyruszyła razem z Łukaszem?

Tymczasem zaopatrzenie dołączyło do armii zebranej na równinie. W oddali dało się już dostrzec zamek położony na białej skale. Słońce ostro przypiekało, na niebie nie pokazała się ani jedna chmurka i nie czuło się nawet najmniejszego ruchu powietrza. Mężczyźni ubrani w grube przesywanice i kolczugi musieli być złani potem.

Marta usłyszała sygnał rogu, na który pancerna jazda uformowała się na czele wojska. Za nią ustawili się serwienci. Tym razem piesi biegli już w pierwszym natarciu. Mieli za zadanie rozpedzić wrogów, obecnych w domach u podnóża góry.

Dotarło do niej słabe echo głosu nawykłego do wydawania rozkazów. To landgraf Herman przed wyruszeniem do ataku na czele swych ludzi wygłaszał mowę zagrzewającą do walki. Rozległy się bojowe okrzyki, a później kolejne sygnały rogu i jazda pognała przed siebie, by przepędzić agresora, który rozpanoszył się w Weissenfels i w jego okolicy.

W cieniu wielkiej lipy Marta prosiła Najświętszą Panię, by tego dnia nie zginął nikt z osób bliskich jej sercu. I o wsparcie dla Klary w ciężkiej godzinie, która ją czekała.

Ale nie zostało jej wiele czasu na modlitwy. Giernkowie i pachółkowie zaczęli przynosić rannych. Tych, którym trzeba było amputować członki, niesiono od razu do felczera, który kilka kroków dalej wykonywał swe krwawe rzemiosło.

Po spotkaniu z Juttą kłujący ból Klary na razie ustąpił. Jednak w tak upalny dzień z pewnością zupełnie nie odpuści. Dziecko zdecydowało się przyjść na świat, Klara była tego pewna.

Pół przedpołudnia spędziła na szyciu kaftanika, przy którym opowiadała Annie bajki. Córeczka tuliła się do niej, a jej mały braciszek brykał na dworze pod opieką Lizy.

Klara co jakiś czas masowała dłonią plecy, co nie uszło uwadze czterolatki.

– Twój drugi braciszek chce wyjść – wyjaśniła dziewczynce i przyłożyła rączkę Anny do swojego brzucha, który wydawał się tak napięty, jakby w każdej chwili miał pęknąć.

– Czy będę mogła popatrzeć, jak wychodzi, i przywitać się z nim? – zapytała ciekawie Anna.

Klara mimo bólu nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Popatrzeć nie, ale będziesz mogła go pogłaskać, jak już tu będzie.

Poważnie spojrzała w oczy córce, która jak na swój wiek była niezwykle bystra i mądra.

– Przyrowadzisz Lizę? Tylko się pospiesz...

Anna pojęła, że prośba była pilna, i popędziła, zapominając zamknąć za sobą drzwi.

Klara nie była w stanie się podnieść, by samej to zrobić, bo właśnie w tym momencie poleciały jej po nogach wody płodowe, a w kolejnej chwili chwycił ją tak mocny i nieoczekiwany ból, że z jękiem się skuliła.

W tej pozycji zastała ją Liza, gdy weszła, trzymając Annę za rączkę i niosąc małego Dytryka. Młoda służąca, która sama też już urodziła i straciła dwójkę dzieci, natychmiast zorientowała się w sytuacji.

– Przyrowadzę akuszerkę... i poszukam kogoś, kto przez ten czas zajmie się waszymi dziećmi.

Napełniła kubek chłodną wodą i podała go Klarze, po czym pomogła jej się podnieść i wybiegła, zabierając ze sobą oboje dzieci.

Córce Marty czas spędzony w samotności jeszcze nigdy nie wydał się tak koszmarnie długi, jak minuty, które upłynęły do powrotu Lizy. Nagle bóle zaczęły w coraz krótszych odstępach wstrząsać jej ciałem, wżerały się w jej ciało tak silnie, że wpiła palce w prześcieradło i niemo się modliła, by stara doświadczona akuszerka wreszcie przyszła i jej pomogła.

Ale Liza wróciła sama. Miała wylężnioną minę.

– Nie ma akuszerki. Nikt nie wie, gdzie się podziała.

To nie było normalne, wszyscy bowiem na zamku wiedzieli, że dziecko niebawem się narodzi, a rano Klara ją powiadomiła, że tego dnia spodziewa się rozwiązania.

– Rozpytałam się. Jedna ze służących powiedziała, że na dole w mieście jest jeszcze jedna akuszerka. Czy mam jej poszukać?

– Nie, nie odchodź! – poprosiła w rozpacz Klara, która z bólu nie mogła zebrać myśli. – Zaczekaj...

W przerwie między bolesnymi skurczami wzięła głęboki oddech.

– Wyślij Pawła. Powiedz zbrojmistrzowi, że jego przyrodnia siostra pilnie potrzebuje pomocy. Wtedy go zwolni... mam nadzieję.

Liza pospiesznie wybiegła z izby i wkrótce potem wróciła. Skinęła z wiarą w oczach i usiadła obok Klary, by przytrzymać ją za rękę, gdy kolejna fala bólu ścisnęła jej ciało. Gdy nauczyciel Pawła powziął wiadomość o naturze trudnego położenia Klary, zawołał do siebie jedną ze służących i kazał jej dokładnie wyjaśnić czternastolatce, gdzie szukać znachorki.

Zdawało się, że minęły całe wieki, nim Paweł wreszcie przyprowadził obcą akuszerkę. Przed wyjściem gestem wywołał Lizę na korytarz i zamienił z nią kilka krótkich, zatroskanych zdań, których Klara nie słyszała.

– Czy to wasze pierwsze dziecko? – chciała wiedzieć akuszerka, kobieta około czterdziestki, o bujnych kształtach i niskim głosie, odziana w poszarpane łachy.

Sapnąwszy, postawiła obok łóżka rodzącej wiklinowy kosz.

– Trzecie – jęknęła Klara.

– W takim razie powinno nam szybko pójść – oznajmiła kobieta i zawinęła rękawy.

Klara się cofnęła, gdy zobaczyła jej brudne ręce i połamane paznokcie. Mimo woli zacisnęła nogi.

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknęła ogarnięta paniką.

– Tego nie da się uniknąć, pani. Chyba nie chcecie, by ten bękart na zawsze został w waszym brzuchu? – odparł niewzruszony obcy kocmołuch, ściągając z Klary kołdrę. – Szybko wam go wyciągnę, będziecie mi jeszcze za to wdzięczni.

– Nie dotykaj mnie! – pisnęła Klara i podciągnęła nogi tak wysoko, jak tylko mogła. – A co masz w tym koszu? Krowie łajno?

– A juści, nawet jeszcze ciepłe. Wyciągnie z brzucha trucizny. To stary sprawdzony środek, więc przestańcie się tak certować. Mówiliście, że to nie jest wasz pierwszy raz.

– Paweł, Łukasz! – krzyknęła zrozpaczona położnica.

Najstarszy przyrodni brat, który czekał za drzwiami, wsunął głowę do środka.

– Nie pozwól, by ta kobieta mnie dotknęła! Zabierz ją! – poprosiła błagalnie.

Paweł ani chwili się nie wahał. Nie na darmo uczył się sztuk walki u Rajmunda i teraz na Wartburgu, a życie w pozycji bękarta pozwoliło mu zebrać aż za wiele doświadczenia w prowadzeniu sporów z użyciem siły. Ta stara, gruba kobieta nie stanowiła dla niego żadnego wyzwania. Już w drodze obudziły się w nim wątpliwości, czy się nadawała. Ku powszechnemu niedowierzaniu jego matka i siostra zawsze twierdziły, że do opatrywania ran i przyjmowania dzieci przychodzących na świat koniecznie trzeba mieć

czyste ręce. Ta kobieta kleiła się z brudu i nie miała najmniejszego zamiaru się umyć.

Złapał nieznajomą za ramię i wywłókł ją z komnaty.

– Mój kosz! – zajazgotała akuszerka. – Zapłaćcie mi przynajmniej za drogę! Taka niewdzięczność!

Liza pobiegła za nimi, by się pozbyć kosza z krowim łajnem.

Na korytarzu w pewnym oddaleniu zebrała się grupa dam dworu, które szeptały między sobą. Ten widok potwierdził jej podejrzenie. Z premedytacją odesłały doświadczoną akuszerkę i podsunęły Klarze tę ciemną babę.

Wrócił Paweł.

– Co teraz? – zapytał Lizy, nie wiedząc, co robić.

On również zauważył damy dworu i przyszył mu do głowy te same skojarzenia co piastunce.

– Czy młody Łukasz mógłby jeszcze przyjść? Obaj staniecie na straży pod drzwiami i będziecie nam donosić wszystkie potrzebne rzeczy – zaproponowała Liza głosem, w którym było więcej odwagi, niż jej czuła w rzeczywistości. – Nie mogę teraz zostawić pani samej. A raczej nie mamy co liczyć na pomoc – powiedziała, wskazując brodą damy dworu.

– Zajmiemy się tym – obiecał. – Nie zostawimy siostry w potrzebie. Przede wszystkim będziesz potrzebowała wody, prawda?

– Tak – sapnęła z ulgą żona Guntrama.

W tym stanie rzeczy nie mogli raczej liczyć na gorącą wodę, ale dobrodziejstwem była dla nich teraz jakakolwiek woda. Czyste lniane ściereczki leżały przygotowane w skrzyni. Tynktury i maści, które mogły się okazać potrzebne, znajdowały się w posiadaniu samej Klary.

Liza jeszcze raz szybko spojrzała na pierworodnego syna Łukasza, a następnie wróciła do izby.

– Musisz mi pomóc wydać na świat to dziecko – jęknęła Klara. – Powiem ci, co masz robić.

Liza skinęła głową, po czym zanurzyła dłonie w wiadrze z wodą i nasmarowała je gęsim tłuszczem.

„Gdybym tylko miała to już za sobą!” – pomyślała Klara i ponownie opadła na prześcieradło. Z kącików oczu popłynęły jej łzy.

„Pierwsze dziecko wydałam na świat podczas ucieczki, nocą, w środku lasu, na lodowatej ziemi. Ale przynajmniej była przy mnie Joanna, naprawdę świetna akuszerka. A teraz... wprawdzie leżę na łóżku, lecz muszę sama wydawać polecenia... ponieważ te kobiety żalują Dytrykowi jego dziecka, bo chcą zobaczyć, jak umieram i jak umiera moje dziecko...”

Nigdy nie sądziłam, że coś takiego będzie częścią ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić...”

## *Chwila oddechu*

Do Marty nie docierały prawie żadne wiadomości na temat przebiegu walk o Weissenfels i konkurencyjny zamek Albrechta ani szybkiego zwycięstwa Hermana i Dytryka. Ranni i ich towarzysze przynosili bardzo skąpe informacje.

W którymś momencie, gdy słońce stało już bardzo nisko na niebie, przyjechał Łukasz, żeby zabrać Martę.

Ktoś wydał rozkaz, by wszystkich rannych zawieźć lub skierować na uwolniony zamek w Weissenfels, gdzie będą dalej opatrywani. Na polu, w zapadającym mroku Marta i felczer nie mogli dla nich nic więcej zrobić.

Marta umyła w strumieniu zakrwawione ręce i rozmasowała bolące plecy, a później podniosła tobołek ze swymi rzeczami i kosz z lekarstwami.

Zamroczonym wzrokiem błędziła po tyłach pola walki, gdzie razem z felczerem toczyła bitwę o życie rannych.

Łukasz wciągnął ją na siodło i posadził przed sobą. Dopiero w chwili, gdy z uczuciem ulgi oparła się o niego, uświadomiła sobie, że przeżył walkę i nic mu się nie stało. Po policzkach popłynęły jej łzy ulgi, a zarazem zmęczenia.

Minęli wóz, na którym jedne na drugich ułożono ciała zmarłych. Marta siłą odwróciła wzrok od znieruchomiałych twarzy, od szeroko otwartych oczu, w których zastygło przerażenie i ból, od zakrwawionych, okaleczonych zwłok.

Mocniej przytuliła się do Łukasza, słuchając jego opowieści o przebiegu zdarzeń. Odetchnęła z ulgą, dowiedziawszy się, że Tomasz, Daniel, a także Rajmund nie odnieśli poważnych obrażeń.

Po krótkiej, gwałtownej walce jazda pancerna Hermana rozgromiła miśnieńskich oblegających. Nowa twierdza Albrechta również została zdobyta.

– Dzięki pomocy dwóch dobrych znajomych – dodał Łukasz i uśmiechnął się pod nosem.

Marta była zanadto zmęczona, by się bawić w zgadywanke. Ale gdy Łukasz z ukontentowaniem wyjawiał nowinę, po raz pierwszy tego dnia z całego serca się roześmiała.

– To było nieuniknione!

Kuno i Bertram zgłosili się na ochotnika na kontrolny obchód i w widocznym miejscu pozostawili ślady świadczące o tym, że zostali ranni i dostali się do niewoli. Dzięki temu będą mogli później wrócić do Freibergu. Następnie natychmiast przedostali się na stronę przyjaciół i przekazali Norbertowi i Dytrykowi wszelkie szczegóły potrzebne do zdobycia zamku. Wzięli do niewoli całą rzeszę jeńców, wśród których nie było jednak Albrechta ani ludzi należących do jego najbliższej świty.

Na górze Marta z pomocą Łukasza zaraz wypytała o synów i szczęśliwie ich odnalazszy, obu uściskała.

Daniel był niezwykle wzburzony. To była jego pierwsza bitwa, choć brał w niej udział jedynie jako giermek i nie stanął w pierwszej linii walk, a ponadto zdawało się, że bez trudu odnieśli całkowite zwycięstwo. Tomasz natomiast zachowywał się tak, jakby potyczka nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

– Wielka bitwa dopiero nadejdzie, zobaczysz – starał się opanować zapał młodszego brata.

Marta rozejrzała się po zamku. Większość mieszkańców wioski wróciła do swoich domów, z wyjątkiem kilku kobiet, które pomagały w piekarni i zajmowały się rannymi.

Mały głupek, którego kiedyś obroniła przed razami Gertrudy, podbiegł z rozpromienioną miną i pociągnął za jej suknię. Raczej nie urósł w ciągu ostatnich trzech lat, które minęły od tamtej chwili, za to nadal żył.

W kuźni stał Guntram i uderzał młotem w podłużny kawałek rozżarzonego żelaza, który zręcznie i równomiernie obracał lewą ręką. Obok stali Kuno z Bertramem i coś do niego mówili. Prawdopodobnie przechwalali się opowieścią o tym, jak wodzili za nos ludzi Albrechta. Gdy Kuno dostrzegł Martę, jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Dał Bertramowi lekkiego kuksańca pod zebro. Trzej freiberczycy radośnie przywitali Martę i Łukasza.

Tyle bliskich twarzy! Marta nie mogła wprost uwierzyć, że jej mąż, synowie i wszyscy, o których się szczególnie martwiła, bez szwanku przeżyli ten dzień.

Podbiegła do nich Elżbieta. Marta, która długo nie widziała przyjaciółki, przerażała się na widok jej twarzy, bardzo wychudłej od śmierci jej syna.

„Powinna więcej jeść! – pomyślała. – Muszę porozmawiać o tym z Rajmundem. Głodem nie ożywi syna”.

Obie kobiety się uściskały, mimo niesprzyjających okoliczności uradowane ze spotkania.

– Rajmund mnie tu przywiózł, żebym była bezpieczna – opowiadała Elżbieta. – Więc zajęłam się zapasami, jak dawniej.

Podszedł do nich giermek z wiadomością, że rycerz Łukasz i jego małżonka zostali dziś zaproszeni do stołu hrabiego i landgrafa.

Marta oceniła wzrokiem swą zakrwawioną, prostą suknię.

– Muszę się przebrać.

Elżbieta natychmiast zdecydowała, którą komnatę mogli zająć.

Na polecenie Elżbiety pacholek, którego Marta знаła jeszcze z czasów swej poprzedniej bytności na zamku, zaprowadził ją na miejsce. Pamiętając o tym, jak bardzo Marta pomogła im podczas pierwszego oblężenia, zaproponował jej nie tylko zimną, ale także ciepłą wodę do mycia.

– Co będzie dalej? – zastanawiał się Łukasz, zdejmując buty i rozcierając obolałe stopy.

Ściągnął z głowy misiurkę i gruby czepiec. Jego twarz była ubrudzona kurzem, a jasne włosy zlepiał pot. Nie mógł się doczekać chwili, gdy zdejmie z siebie przepoconą przesywanicę i odświeży się zimną wodą.

– Albrecht pierzchnął ze swymi ludźmi na północ. Tam ich pozbiera – powiedział, po czym pochylił się do przodu, a Marta ściągnęła z niego kolczugę.

Giermek odesłał. Chłopak działał mu na nerwy swą nadgorliwością, a ponadto w niewielkiej izbie nie było dość miejsca dla trzech osób.

– Czekamy jeszcze na wiadomości od naszych zwiadowców – podjął opowiadanie, uwolniwszy się wreszcie od ciężkiej zbroi. – I na ministeriałów Rzeszy, którzy się do nas przyłączą. Kilku już dobiło ze sporą liczbą zbrojnych. Pan z Colditz ze swym synem Henrykiem, burgrabia z Leising, pan z Wildenfels, wójt z Reichenbach... Pozostałych wyglądamy jutro lub pojutrze. To będzie regularne powstanie ministeriałów Rzeszy z tutejszej okolicy i z Pleissenlandu przeciwko Albrechtowi. Wspólnymi siłami możemy go pobić i zniszczyć.

„A co potem?” – zastanawiała się w myślach Marta. „Nie wyobrażam sobie, jak może wyglądać zwycięstwo, póki Albrecht żyje”.

Zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

– Czy nie moglibyśmy się wymówić od kolacji? Jestem taka zmęczona.

„Wolałabym dziś wieczór być tylko z tobą – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. – Kto wie, co się wydarzy, gdy jutro lub pojutrze wyruszymy na decydującą bitwę”.

Łukasz podszedł do niej i pocałował ją w skroń. On też wolałby spędzić ten wieczór sam na sam z Martą.

– To zwycięska uczta hrabiego i landgrafa, więc raczej nie możemy się wykręcić – rzekł z ubolewaniem. – Ale mam nadzieję, że szybko skończą, bo jutro wszyscy muszą być w dobrej formie.

Ku swemu zadowoleniu Łukasz skonstatował, że jego przypuszczenie się potwierdziło. Jak tylko otrzymali pozwolenie, razem z żoną wrócili do swojej izby.

Marcie opadły powieki, jeszcze nim Łukasz zdążył się rozebrać i położyć obok niej.

Z zalem, a zarazem z troską przyglądał się kobiecie, którą kochał. Delikatnie pogłaskał ją po policzku, ostrożnie, by jej nie zbudzić.

Powinna się wyspać.

Straconą miłosną grę nadrobiją jutro rano.

Herman i Dytryk odczekali dwa dni, nim poprowadzili wojsko przeciwko Albrechtowi.

Może postąpiliby rozsądniej, gdyby od razu ruszyli za rozpierzchłymi oddziałami, nim te na nowo się zbiorą i uformują szyki.



Jednak po stu milach znojnego marszu z Eisenach i stoczonej walce chcieli dać armii przerwę na zaczerpnięcie oddechu przed kolejnym dwudniowym marszem i wielką bitwą.

Poza tym każdy z nich miał swój dodatkowy powód, by zostać w Weissenfels.

Herman czekał, aż dołączą do nich kolejni ludzie cesarza. Codziennie docierali nowi sprzymierzeńcy.

Natomiast Dytryk starał się sobie wyobrazić, co by było, gdyby natychmiast wyruszyli z całą armią za rozproszonymi oddziałami przeciwnika. Wtedy zapewne wszystko nieuchronnie zmierzałoby do zabicia Albrechta. Między braćmi gorzała ogromna nienawiść, a Albrecht złamał niejedną przysięgę, jednakże Dytryk nie miałby śmiałości popełnić bratobójstwa.

A co by się stało po śmierci Albrechta? Zofia z Czech nie zdołałaby utrzymać Marchii Miśnieńskiej, on zaś sam nie mógłby tak po prostu jej zająć, nie łamiąc prawa, taka bowiem decyzja mogłaby go kosztować nawet utratę Weissenfels.

Możliwe, że owo opóźnienie stanie się jego zgubą, ale chciał dać starszemu bratu przynajmniej szansę, by ten zrozumiał swą klęskę i wystąpił z propozycją pokoju.

Łukasz, domyśliwszy się rozterki Dytryka, podsunął mu myśl, by wysłał posłańca do swych najwyższych rangą krewniaków: margrabię Marchii Wschodniej i księcia Saksonii. Wprawdzie obaj przed pięciu laty udzielili Albrechtowi wsparcia, gdy ten uwięził ojca, ale może tym razem przywołałiby go do opamiętania, by ród Wettynów nie znalazł się w jeszcze większej opresji.

Zaraz po odjeździe wysłannika pojawił się na zamku jeździec, przynosząc wieści, które sprawiły, że Herman i Dytryk natychmiast zwołali naradę wojenną, na którą stawili się marszałek Henryk z Eckartsbergi, Norbert z Weissenfels i Łukasz.

Dwóch potężnych przeciwników Hermana, arcybiskupi Moguncji i Kolonii, wykorzystali nieobecność landgrafa i ruszyli ze swoimi wojskami przez Hesję i Turynię. Podlegające landgrafowi miasto Günberg zostało już zniszczone, jak wynikało z meldunku posłańca. Albrecht zaś około trzydziestu mil na północny wschód od Weissenfels zbierał oddziały pod Rößlingen, między Halle a Sangerhausen, by wtargnąć na turyńskie terytorium.

– Uprzedzimy go! – zdecydował landgraf.

Nikt nie zaprotestował. Nie mieli innej możliwości, jeśli nie chcieli utknąć w kleszczach między dwoma napastnikami.

– Pojedziemy do Rößlingen i przepędzimy ich! Jutro rano wyruszamy.

Tym razem nie będzie oblężenia, tylko otwarta bitwa, zorientował się natychmiast Łukasz. Zaczął się zastanawiać, z kim przyjdzie mu się spotkać.

Miał sporo rachunków do wyrównania, a niektóre z nich były już mocno opóźnione.

Większa część turyńskiego wojska rozbiła obóz u podnóża zamku na białej skale. Po porannej mszy złożono namioty, rozdano racje żywnościowe. Następnie należało napić i osiodłać setki koni. Ze wszystkich stron rozbrzmiewały rozkazy.

Na górze zamkowej panował nie mniejszy ruch. Rajmund, Łukasz i Marta mieli właśnie zamiar pożegnać się z Elżbietą, gdy ktoś zawołał Łukasza. Odwróciwszy się, zobaczył zbliżającego się w jego kierunku pierworodnego syna Norberta.

– Jakiś młody chłopak bardzo pilnie was szuka. Mówi, że jest waszym synem, i jest bardzo do was podobny.

Łukasz popatrzył z irytacją na Konrada.

Tomasz i Daniel byli z nim, ale ze swymi ciemnymi włosami w najmniejszym stopniu nie byli do niego podobni. Całkowicie wdali się w swego ojca Chrystiana. Poza tym mimo najlepszych chęci Tomasza nie dało się już nazwać chłopakiem.

Jednak Konrad zdążył się już odwrócić i gestykulując, przywoływał kogoś do siebie.

Gdy Łukasz zobaczył, kto się do nich zbliżał, na krótką chwilę odjęło mu mowę. Dlaczego Paweł nie był w Eisenach? I co go tutaj przygnało? Do tego czternastolatek najwyraźniej wypuścił się w drogę bez żadnej asysty. Czyżby zamierzał przekonać ojca, by zabrał go ze sobą na wojenną wyprawę?

– Coś się stało z Klarą! – jęknęła Marta.

W jednej chwili Łukasz zaczął rozważać w myślach wszelkie potencjalne przypadki, które mogły się przytrafić jego pasierbicy.

– Klara urodziła syna! – zawołał do nich blondynek z kręconymi włosami.

Wóz zaprzężony w woły zastąpił mu drogę, a zwierzętom najwyraźniej nie spieszyło się tak bardzo jak woźnicy. Paweł szerokim łukiem wyminął przeszkodę i wyczekująco spojrzął na ojca.

– Czy z Klarą wszystko w porządku? Żyje? – spytała gwałtownie Marta.

– Tak – odrzekł pierworodny Łukasza.

– I wysłali cię samego? – dopytywał się ojciec. – Na teren działań wojennych?

Coś było na rzeczy!

– Tak, nie chcieli, by jechał nikt inny – odrzekł Paweł, w głębi duszy niemal urażony.

Przebił się do nich na własną rękę, więc zasłużył chyba na jakąś pochwałę.

– Sądziłem, że hrabia zechce się o tym dowiedzieć. I wy też...

– Zuch z ciebie! – powiedział Łukasz i z uznaniem poklepał pierworodnego po ramieniu.

Mimo to postanowił, że po powrocie na Wartburg dowie się, kto wysłał chłopaka w tę podróż na tereny dotknięte wojną bez eskorty. To nie była zwykła nieostrożność, lecz niemal wrogie działanie, które go niezmiernie wzburzyło.

– Jest jeszcze coś... – Paweł wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać.

Pod wpływem jego słów Marta robiła się coraz bardziej blada. Zdawała się nie zauważać, że co chwila ktoś ją potrącał i wciąż przeciskali się koło niej ciężko obładowani ludzie, a dziedziniec wypełnił hałaśliwy gwar.

– Nie mów nic o tym hrabiemu Dytrykowi – zdecydowała tak energicznie, że Paweł nie odważył się sprzeciwić.

Później spojrzała bezradnie na Elżbietę i Łukasza. Czy powinna wrócić i być przy córce, która po porodzie zamknęła się w sobie i dręczona zgryzotą prawie nie jadła, z nikim nie rozmawiała, a nawet nie chciała karmić swego nowo narodzonego dziecka? Ów ostatni szczegół nikogo by nie zdziwił, zawsze bowiem było dosyć młodych kobiet, które z największą przyjemnością oferowały swe usługi jako mamki. Jednak dla Marty właśnie ta kwestia była najbardziej alarmująca.

Niespodziewanie stanęła przed ciężkim wyborem. Jej córka potrzebowała wsparcia. Jednocześnie wewnątrz dręczyło ją niespokojne przeczucie, że mężczyźni, którzy byli bliscy jej sercu, podczas walki będą pilnie potrzebowali jej pomocy, by przeżyć.

Na domiar nieszczęścia musiała natychmiast zdecydować, za chwilę bowiem rozlegnie się sygnał do wymarszu wojska... Co powinna uczynić, co było dobre, a co złe? Kogo miała zostawić w potrzebie?

W rozpaczy spytała o radę Elżbietę i Łukasza. Tymczasem wrócił Paweł.

– Hrabia nie posiada się ze szczęścia – doniósł. – Dziecko ma mieć na imię Konrad, po jego dziadku.

Dytryk oczywiście też najpierw zapytał o Klarę, czy żyje i czy dobrze się czuje.

„Powiedziałem, że żyje, i nie skłamałem – przekonywał się w duchu Paweł. – Matka ma rację, hrabia musi myśleć do przodu, o walce, nie można go teraz rozpraszać takimi problemami”.

– Pojadę z Pawłem z powrotem do Eisenach – zdecydowała Elżbieta. – Zaopiekuję się Klarą.

– Nie będziesz tu potrzebna? – spytała Marta, wdzięczna za jej propozycję.

– Na zamek powróci spokój, gdy wszyscy odjedziecie, a w domu nikt już na mnie nie czeka –

powiedziała Elżbieta, skrywając smutek.

Roland umarł, a Rajmund wyruszy na wojnę.

– Dopilnuj, żeby nasi mężczyźni przeżyli!

## *Nad jeziorem Salziger See pod Röblingen*

Na skraju lasu około dwóch mil przed Röblingen, gdzie nad słynnym jeziorem Albrecht z rodu Wettynów gromadził swe wojsko, landgraf Herman i Dytryk zatrzymali oddziały na odpoczynek. Wobec trzech tysięcy turyńskich wojowników oraz ministeriałów, którzy dobili do nich ze swymi ludźmi, weissenfelczyków prawie nie było widać. W efekcie jednak liczył się każdy, kto potrafił władać bronią.

Zwierzęta zaprowadzono nad strugę, gdzie zostały napojone, a i ludzie powinni się byli posilić i zaspokoić pragnienie. Następnie Herman rozkazał wojownikom uklęknąć i prosić Boga oraz świętego Jerzego o wsparcie w walce. Po słowie „amen” zapadła przytłaczająca cisza. Jedyne liście drzew szumiały sennie na słabym wietrze, który tego upalnego dnia nie dawał ochłody, a już na pewno nie mężczyznom w pełnym rynsztunku.

Wojownicy zaczęli wstawać jeden po drugim. Słychać było szczęk żelaza, rżenie koni i głośne komendy do formowania szeregów.

Herman i Dytryk prowadzili wojsko prosto na obóz Albrechta. Za nimi w szeroko rozstawionej linii postępowała pancerna jazda, łucznicy i piesi.

Wróg musiał ich zobaczyć, ale obaj dowódcy i tak zamierzali przedstawić Albrechtowi ostatnią propozycję kapitulacji, nim dadzą ludziom rozkaz do bitwy.

Gdy znaleźli się w odległości nieco większej niż zasięg strzały od wrogiego obozowiska, Herman zatrzymał oddziały, sam zaś wraz z Dytrykiem ruszył płynnym kłusem do przodu, w asyście turyńskiego marszałka, burgrabiego z Leisning, który wystąpił jako przedstawiciel ministeriałów Rzeszy, oraz tuzina ludzi przybocznej straży, wśród których znaleźli się Łukasz, Tomasz, Norbert, Rajmund i Burchard z Salzy.

W miśnieńskim obozie gwałtownie się zbrojono, zewsząd rozlegały się nawoływania i komendy. Większość ludzi i tak była już przygotowana do walki, od dawna bowiem oczekiwali ataku.

Gdy niewielka grupa z turyńską chorągwią zbliżyła się do obozu, naprzeciw wyjechał tylko jeden człowiek, Gerald, który zdążył powrócić do zdrowia i ponownie objął stanowisko marszałka.

– Przekażcie margrabiemu, że ma się niezwłocznie wycofać z wojskiem na swoje tereny. W przeciwnym razie przypuścimy atak! – zawołał do niego Herman.

– Nie uczynimy tego! – odkrzyknął Gerald równie głośno.

– Czy jesteście upoważnieni do rozmów w imieniu księcia Albrechta? – zganiał go landgraf za przedwczesną odpowiedź.

– Zostałem upoważniony do odrzucenia wszelkich warunków, które chcecie nam postawić.

Herman spojrzał na przyszłego zięcia.

– Wasz brat nawet nie wyraził chęci, by nas wysłuchać, zatem jego odpowiedź jest jasna. Niech poniesie konsekwencje.

Nieznacznym skinieniem okazał marszałkowi wyraz szacunku, a następnie zawrócił konia. Jego towarzysze poszli w ślad za nim. Razem wrócili galopem do swej armii, rozstawionej szeroką linią na nizinie, po przystu mężczyzn w rzędzie obok siebie.

Gerald też zawrócił konia i wrócił do obozu, a następnie rozstawił łuczników, którzy w obliczu

bliskości przeciwnika napięli cięciwy.

„Co ja tu robię? – pomyślał gorzko miśnieński marszałek. – Posyłam swoich ludzi na bezsensowną śmierć wobec takiej przewagi wroga, dla żadnego zemsty księcia, którego zaślepiła nienawiść i zachłanność, który za moimi plecami przespał się z mą małżonką i przypawił mi rogi. Święty Jerzy, jeśli teraz umrę, to spraw przynajmniej, by śmierć nastąpiła szybko, bym dłużej nie musiał tego oglądać!”

Tymczasem Turyńczycy i weissenfelczycy czekali ciekawie, jakie wiadomości przywiezie landgraf Herman.

– Margrabia miśnieński nie zamierza się wycofać na własną ziemię! – zawołał dowódca do swych żołnierzy, przejeżdżając wzdłuż przedniej linii formacji. – Już dwa razy pokonaliśmy jego wojsko i przegnaliśmy z Weissenfels. Dzisiaj pobijemy je po raz trzeci i nie pozwolimy napaść na Turyngię.

Wzniósł w górę miecz i zawołał:

– Do ataku!

Dwie linie ludzi z tarczami ustawionymi ściśle obok siebie ruszyły, prowadząc za sobą resztę potężnej, przerażającej armii na miśnieński obóz.

W pewnej odległości Henryk z Eckartsbergi kazał wojsku się zatrzymać, a łucznicy oddali trzy serie strzałów, celując na oślep w tłum.

Ale łucznicy Albrechta też ustawili się w linii i osłonięci tyralierą tarcz odpowiedzieli im gradem strzał.

Henryk z Eckartsbergi dał rozkaz do natarcia pancерnej jeździe. Chorąży za pomocą sygnałowych flag przekazali rozkaz dalej.

Kawaleria wyjechała przed rzędy tarcz i jeźdźcy pognali naprzód, wprost do obozu, tratując i tnąc mieczami wszystko, co stało na ich drodze. Za nimi wyruszyli piesi, by dokończyć krwawego dzieła.

Albrecht Wettyn pod ochroną swej przybocznej straży początkowo odważył się wejść w wir walki, szukając okazji do zabicia brata, ale Dytryk był zbyt dobrze chroniony. Pod wpływem nacisków Elmara kawałek się wycofał, a Giselbert dołączył do nich z ciężkim sapaniem. W ten oto sposób przyglądali się, jak ich wojsko mimo zacieklej walki jest coraz mocniej dziesiątkowane.

W pewnej chwili Albrecht odniósł wrażenie, że ubezpieczenie Dytryka osłabło, połowa bowiem jego straży przybocznej zdawała się niezdolna do walki. Wobec tego ścisnął ostrogami swego siwka i popędził, gnany zamiarem doprowadzenia do ostatecznego rozstrzygnięcia w pojedynku. Ale nie było mu dane dotrzeć w pobliże brata. Z lewego skrzydła przeciwnika oderwała się spora grupa, zmierzająca wprost w ich kierunku. Na czele jechali Timo i Henryk z Colditz, Henryk z Wildenfels i wójt z Reichenbachu, jak udało mu się rozpoznać po przednich proporcach. Atakowali go ci przekłenci ministeriałowie Rzeszy z Pleissenlandu!

– Wezwijcie wsparcie! – wrzasnął do tłustego cześnika, który obecnie prócz roli posłańca do niczego innego się nie nadawał. Elmar kazał dać sygnał, by zebrano więcej żołnierzy do ochrony księcia. Jednak w tej części pola nie było już prawie nikogo z ich ludzi. Większość pozostałych na placu wojowników toczyła walkę po prawej stronie od nich. Na Geralda natarło jednocześnie dwóch przeciwników, ten zaś z wysiłkiem próbował ich odeprzeć. Albrecht chciał zrobić unik w prawo, ale jego obryzganym krwią siwek się spłoszył.

– Musicie się stąd wydostać! – krzyknął Elmar. – Jedźcie do Petersbergu, a potem do Lipska, pobożni bracia udzielą wam pomocy!

Klasztor ufundowany przez Wettynów leżał piętnaście mil na północny wschód od miejsca, w którym się znajdowali.

Elmar błyskawicznie polecił Rutgerowi oraz pięciu ludziom ze straży przybocznej, by ochraniać

księcia w drodze, a następnie zawołał, że do nich dołączy, jak tylko nadarzy się dogodna okazja.

Albrecht z przekleństwem na ustach umknął galopem na swym siwku, Elmar zaś z większą częścią przybocznej straży powstrzymywał Pleissenlandczyków, odwracając ich uwagę od uciekających.

Tomasz dawno stracił rachubę i nie miał pojęcia, ilu ludzi zabił. Tuzin, dwa, trzy tuziny? Jednak wśród nich nie było żadnego z tych, których śmierci najbardziej pragnął. Gdyby nie soczysta zieleń drzew, miałyby wrażenie, że wciąż walczy w swojej pierwszej bitwie, wówczas na wyżynie Anatolii. Jakby od tamtej pory zatrzymał się czas, jakby nadal nacierali na Seldżukidów.

Ale ostrza broni, które teraz wokół niego błyskały, nie należały do orientalnych bułatów, tylko do zachodnich mieczy. Jednak wrzaski, bolesne rzenie trafionych koni, okrzyki cierpienia okaleczonych mężczyzn brzmiały tak samo jak wtedy. Krew też nadal była czerwona.

W gorączkowym szale ciął mieczem dookoła w obronie Dytryka, aż w którymś momencie ojczym podjechał do jego boku, wołając jego imię.

– Opamiętaj się! Już koniec! – krzyknął Łukasz.

Tomasz zamarł w pół ruchu, otrząsnął się i opuścił miecz. Wreszcie do niego dotarło. Oczy paliły go od kurzu wymieszanego z potem, jak wtedy, w kraju Seldżukidów... I nic nie mógł na to poradzić. Jego ręce tkwiły w kolczych rękawicach, a głowa, czoło i kark były schowane pod misiurką i hełmem z osłoną na nos.

Zamrugnął powiekami, chcąc się zorientować w otoczeniu. Jeszcze przed momentem całe jego postrzeganie ograniczało się do ostrzy starających się dosięgnąć jego lub Dytryka. Dopiero teraz zorientował się, że ojczym miał rację. Jedynie w kilku miejscach toczyła się jeszcze walka, a naokoło w trawie leżały trupy i ranni. Ci, którzy przeżyli, zbierali się przy turyńskiej chorągwi z wizerunkiem lwa.

Upewnił się, że Dytryk, choć zbryzgany krwią, był cały i zdrowy, a następnie poprosił go, by pozwolił mu pojechać w kierunku, gdzie w odległości strzału z łuku nadal trwała niewielka potyczka.

Dytryk z Łukaszem wymienili spojrzenia. Obaj wiedzieli, za kim będzie się rozglądał. W końcu Dytryk skinął głową i z mieszanymi uczuciami odprowadzili wzrokiem młodego rycerza.

W południowej części pola jakieś dwa tuziny ich ludzi było uwikłanych w utarczkę ze znacznie mniejszą grupą. Gdy Tomasz do nich dotarł, przeciwnicy zdążyli się już poddać.

Kilku ludzi zajęło się rozbrojeniem pokonanych. Tymczasem jakiegoś szczupłego wojownika nadal zdawały się ponosić emocje rozgorzałe w ferworze walki. Właśnie uniósł miecz, by ściąć głowę jednemu z jeńców. Nim zdołał wziąć odpowiedni zamach, Tomasz z siodła dosięgnął jego ostrza swą własną bronią i wytrącił mu z ręki miecz.

Następnie zsiadł z konia i chwyciwszy mężczyznę za rękę, popchnął na kolana.

– On się poddał! – krzyknął.

Dopiero teraz rozpoznał, kogo miał przed sobą. Swego młodszego brata Daniela. Dziewiętnastolatek był w podobnym amoku, jaki jemu samemu jeszcze do niedawna mącił myśli.

– Napadli na giermków – próbował się usprawiedliwić Daniel. – To niezgodne z kodeksem honorowym.

Tomasz rzucił okiem na twarz wojownika, którego Daniel chciał zabić i który teraz zastygł w kamiennym bezruchu.

– Popatrz! To Johannes, twój przyjaciel z czasów giermkowskich, a chciałeś go zabić, mimo że się poddał – prychnął. – A teraz mi powiedz, co w tym honorowego!

Wściekły puścił brata, który ze zmieszania nie mógł z siebie wydusić ani słowa. Tomasz miał rację. To był Johannes. Gdy Daniel mieszkał na zamkowej górze w Miśni, w pierwszych latach, które spędził tam

jako giermek, byli najlepszymi przyjaciółmi. Teraz stanęli naprzeciwko siebie jako wrogowie, a on omal go nie zabił.

Dopiero gdy walka prawie dobiegła końca, do Marty i turyńskiego felczera zaczęto znosić nieskończoną rzeszę rannych.

Zewsząd dobiegały ich rozdzierające okrzyki cierpienia, jakiś młody mężczyzna przywoływał matkę z rozpaczą w głosie, który po chwili zgasł.

Tymczasem Marta martwiła się o Kunona. Jego prawa ręka silnie krwawiła. Miał obcięte dwa palce i stracił konia. Gdyby Bertram nie przyniósł go do niej, być może już by nie żył.

– Podaj mu coś do picia – poinstruowała Bertrama, którego twarz płonęła żywym ogniem od upału i wysiłku.

– Jestem doprawdy żywotny jak na kogoś, kogo uznano za trupa... – stęknął cicho Kuno, starając się zbagatelizować swoje położenie. – Sporo ze mnie zostało... – dodał, unosząc okaleczoną dłoń.

Bertram zarzucił sobie rękę Kunona na ramię i poprowadził przyjaciela pod drzewo, o które ten mógł się oprzeć. Później pobiegł do beczki z wodą.

Marta przez cały czas drżała z obawy o to, że wśród osób, które do niej przynoszono, mógłby się znaleźć ktoś szczególnie jej bliski. Jej synowie, mąż, Dytryk...

Owo przecucie jakiegoś strasznego wydarzenia nie chciało jej opuścić. W prawej skroni nieustająco czuła kłujący ból, który nie pozwalał jej jasno myśleć. Może też powinna się czegoś napić, udręczona upałem i mordęgą, która aż nazbyt często okazywała się daremnym trudem, niewielu bowiem ludziom, którzy do niej trafiali, mogła naprawdę pomóc. Za dużo ich było, a większość z nich miała tak przerażające rany, że wykrwawiali się na jej rękach, o ile nie umarli, jeszcze nim ich przyniesiono.

Niedawno przynieśli Rajmunda, któremu z rany na głowie wyciekała krew. Nadal był nieprzytomny i nie potrafiła powiedzieć, czy dojdzie do siebie. Gdy zajmowała się Rajmundem, obok niej umarło dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał rozoraną nogę, a drugiemu w łopatce utkwiono ostrze lancy. Musiała zdecydować, któremu z tej trójki da szansę przeżycia, i czuła się winna, że wybrała Rajmunda, a nie tamtych młodszych. Ale przed oczami stanęła jej twarz Elżbiety, a w uszach rozbrzmiały jej słowa: „Dopilnuj, żeby nasi mężczyźni przeżyli!”.

Kilka kroków dalej pachołkowie zabrali się do kopania grobów. Długich grobów, w każdym z nich kładziono obok siebie po pięć tuzinów zwłok. Teraz grabarze układali już drugą warstwę. Z końca masowego grobu rozległ się paniczny wrzask. Musieli wrzucić do środka jakiegoś żywego człowieka, któremu dopiero upadek przywrócił przytomność.

Martę ciągnęło, by sprawdzić, czy znała kogoś ze zmarłych, a jednocześnie bała się tam zajrzeć.

Ale i tak nie mogła teraz odejść, bo przed nią przykucnął kolejny ranny, gruby rycerz z twarzą umazaną krwią, który, sądząc po jego pozycji, musiał odczuwać dotkliwy ból. Prawą rękę zacisnął pod pachą. Z bólu albo dla zatamowania krwawienia.

– Pokażcie rękę – poleciła tak łagodnie, jak tylko umiała.

– Ależ z przyjemnością – odparł rycerz.

Marta nie zdążyła się zdziwić jego odpowiedzią, od razu bowiem rozpoznała jego głos. Krzyknęła i upadła do tyłu, gdy mężczyzna pchnął nożem, który trzymał ukryty pod pachą.

Jednak ostrze chybiło celu. Nagle ni stąd ni zowąd wyrósł obok nich Bruno z Hörselbergu, który chronił wozy z zaopatrzeniem, i przycisnął butem rękę mordercy. Ten zawył z bólu i przechylił się w bok.

– Wiedziałem, że wśród naszych ludzi nie ma żadnego takiego tłuściocha jak ty! – krzyknął stary krzyżowiec, obezwładniając grubasa. Któryś z pachołków rzucił mu powróż.

– Znacie tego mężczyznę? – zapytał Bruno. – Czego od was chciał?

– Znam go – powiedziała Marta bezdźwięcznym głosem.

Uklękła na ziemi i starała się otrząsnąć z siebie przerażenie.

– To cześnik margrabiego miśnieńskiego.

A w myślach dodała: człowiek, który przed laty wspólnie ze swymi kompanami Randolfem, Ekkehartem i Elmarem wiele razy mnie gwałcił. Który w swej podłości wielu ludziom przysporzył niewysłowionego cierpienia.

Nie rozpoznała jego zakrwawionej twarzy ukrytej pod hełmem. Ale jego głosu nigdy nie zapomni.

– Czy to prawda? Jesteście cześnikiem? – zapytał Hugo, którego ta wiadomość nie nastroiła łagodniej, ale wręcz przeciwnie.

– Tak – przyznał Giselbert.

Jeszcze przed chwilą nie dałby za swoje życie złamanego feniga. Stracił konia oraz towarzyszy, a pieszą walkę uważał za uwłaczającą jego osobie. Raptem został sam na polu bitwy, a spod jego przeszywanicy ciekła krew.

W swej bezradności wpadł na pewien pomysł. „Jeśli już muszę zdechnąć, to przed śmiercią posłę przynajmniej do piekła tę czarownicę z Chrystianowa!”

W całym życiu wziął na swe sumienie tyle grzechów, za które na tamym świecie będzie musiał odpokutować... Ale na Sądzie Ostatecznym policzą mu tę zasługę, jeśli ukróci proceder tej diabelskiej baby. Na pewno gdzieś tu była. Zatem poszedł po prostu w stronę miejsca dla rannych, oznakowanego flagą. Żaden z ludzi, którzy go mijali, go nie rozpoznał. Myśleli, że jest jednym z nich.

Potem naprawdę ją zobaczył. Wszystko zdawało się proste. Najwyraźniej ona sama też nie miała pojęcia, kto przed nią usiadł.

A teraz ten stary wojak pokrzyżował mu plany!

Lecz mimo że jego plan się nie powiódł i został zdemaskowany, to ów Turyńczyk, który ciskał w jego kierunku wściekłe spojrzenia, na pewno nie zaszlachtuje człowieka tak ważnego jak sam cześnik.

– Nie prowadźcie go do reszty jeńców! – polecił Bruno dwóm pachołkom, którzy szarpnęli Giselberta do góry, żeby usiadł.

Tłuszcioch przygotował się na żądanie wyjątkowo wygórowanego okupu. Ale mógł zapłacić, był bogatym człowiekiem, a poza tym Albrecht będzie musiał go wykupić. Do tego jeszcze tak cennemu więźniowi z pewnością przyniosą zaraz jakieś jedzenie i picie.

– Przeprowadźcie Łukasza z Freibergu! – nakazał Bruno, a Giselbert znów zaczął się bać.

Spojrzał na Martę, która drżącymi rękami strzepywała z sukni grudki ziemi, które przyłgnęły do tkaniny podczas upadku. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Dość, by Giselbert się zorientował, że przestała być wylęknionym dzieckiem, na które wówczas razem z przyjaciółmi się rzucił.

W jej oczach dostrzegł siłę, tylko raz ją taką widział. W chwili, gdy przeklęła księcia.

Zerknął trwożnie na jej usta, niepewny, czy na niego też nie rzuci klątwy. Ale jej wargi pozostały zaciśnięte.

Ta sytuacja pozwoliła mu znów nabrać nadziei.

– Gdybyście zechcieli wstawić się za mną do swego męża... Błagam was...

Teraz nawet padł przed nią w pętach na kolana i patrzył do góry na jej twarz.

Marta przyglądała mu się zwięzonymi oczami.

Przez wiele lat z niej szydził, dręczył ją i poniżał. Na jego widok za każdym razem odzywało w niej wspomnienie o koszmarze, jaki zgotował jej i innym.

Bez słowa odwróciła się na pięcie i spojrzała na Brunona.

Ten w lot zrozumiał i ostro upomniał grubasa:

– Nie wolno wam się odzywać do pani, chyba że wyraźnie tego od was zażąda!

Giselbert jeszcze bardziej skulił się w sobie i rozglądał się ukradkiem, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma przypadkiem Łukasza. Może zginął.

Wtedy mógłby jeszcze raz spróbować odmienić swój los. Pieniędźmi da się wszystko załatwić. Dla Turyńczyka też w efekcie okazały się ważniejsze od poglądów tej czarownicy. Dlaczego w ogóle sądził, że mogłaby mu pomóc?

– Co się stało? – usłyszał za sobą głos, który sprawił, że skulił głowę w ramionach.

Łukasz!

– Ten człowiek, którego chyba znacie, wkradł się do nas i próbował zabić waszą małżonkę – poinformował Bruno.

Łukasz okrążył tłustego więźnia, nie spuszczając z niego wzroku. Wcześniej upewnił się spojrzeniem, że Marcie nic się nie stało, mimo że wydawała się wzburzona jak rzadko kiedy. Jej twarz wyrażała niepodobną do niej nienawiść i wstręt.

Sposób, w jaki wbiła oczy w Giselberta, był dla Łukasza jedynie potwierdzeniem tego, co od lat podejrzewał. Niegdyś, w młodości, ten tłusciuch razem z Randolfem, Ekkehartem i Elmarem pohańbili Martę.

– Zdejmijcie mu więzy! – rozkazał zdumionym pachołkom.

Jednak jego głos zabrzmiał tak lodowato, że Giselbert nie ważył się podziękować freiberczykowi za ów dobry uczynek.

Za chwilę znów na niego krzyknął.

– Wstawaj! Dajcie mu miecz! Żywo, wstawaj i broń się!

Zabrał miecz jednemu z serwientów i rzucił go Giselbertowi pod nogi, a później dobył własnej broni.

– Łaski! – zaskomlał Giselbert. – Jestem ranny...

– Wstawaj i broń się! – powtórzył Łukasz niebezpiecznie cichym głosem. – Nawet na to cię nie stać, nie jesteś mężczyzną?

Giselbert z jękiem sięgnął po broń i dźwignął się na nogi. W osłupieniu gapił się na freiberczyka, który stał przed nim bez ruchu w lekkim rozkroku, trzymając w prawej dłoni miecz.

Podczaszy pojął, że Łukasz czekał na jego pierwszy cios i był całkowicie pewien wygranej.

„Święty Jerzy, wesprzyj mnie! Jestem zgubiony. Umrę...”

W końcu znudziło mu się czekanie. Z głośnym wrzaskiem całą masą ciała natarł na przeciwnika. Łukasz przesunął się o krok na prawo i wbił napastnikowi ostrze w plecy, przyglądając się obojętnie, jak tłusciuch pod wpływem impetu i ciężaru własnego ciała pada na ziemię. Następnie wypuścił z ręki miecz.

– Zabierzcie to! – rozkazał pachołkom i podszedł do Marty. Bez słowa spojrzeli sobie w oczy i każde z nich wiedziało, co myśli drugie.

Trzech z nich już nie żyło. Został jedynie Elmar.

## *Cena zwycięstwa*

Po odniesieniu zwycięstwa pod Röblingen Dytryk najchętniej natychmiast pojechałby do Eisenach. Nie tyle z wdzięczności wobec Hermana z Turyngii, a już na pewno nie ze względu na czekające go zaślubiny z Juttą, lecz dlatego, że pragnął ujrzeć swego nowo narodzonego syna.

Ale przede wszystkim martwił się o Klarę. Najstarszy syn Łukasza nie był wprawnym kłamcą. Gdy Paweł przyniósł wiadomość o narodzinach małego Konrada, coś w jego minie powiedziało Dytrykowi,



że jego szczęście nie było tak niezmałowane, jak chłopak zapewniał. A kiedy po bitwie Marta poprosiła, by jej pozwolił bezpośrednio z Röblingen pojechać do Eisenach, ponieważ chciała się zaopiekować córką i wnukiem, jego obawa przemieniła się w pewność. Jednak żona Łukasza odmówiła bliższych wyjaśnień dotyczących swej decyzji.

Dytryk pełen niepokoju i obaw o ukochaną poprowadził swe oddziały i wojsko turyńskie z powrotem do Weissenfels, gdzie zamierzali wyprawić uroczystość z okazji zwycięstwa. Wolałby pojechać razem z Martą i Łukaszem, ale był zobligowany do przeprowadzenia pertraktacji w sprawie wykupu wyższych rangą jeńców. Musiał również dopilnować usunięcia szkód powstałych wskutek oblężenia i walk. Przede wszystkim zaś należało się dowiedzieć, co planował jego brat, który uciekł do Lipska. Atak na solidnie obwarowane miasto nie zapowiadał wielkiego sukcesu.

Te wszystkie powody zatrzymały Dytryka w Weissenfels. Jednakże nie mógł znaleźć spokoju i wciąż niecierpliwie wyglądał Rajmunda i Elżbiety. Jak tylko ranny Muldentalczyk jako tako doszedł do siebie i mógł się utrzymać na nogach, pozwolił mu wyruszyć do Eisenach, ponieważ ten koniecznie chciał przywieźć z powrotem żonę. Dytryk miał nadzieję, że dowie się od Elżbiety, jak naprawdę czuła się Klara i jego synowie.

Tego ranka przybył do Weissenfels posłaniec margrabiego Marchii Wschodniej z wiadomością, że margrabia oraz książę Bernard z Saksonii osobiście dopilnują, by Albrecht w przyszłości zrezygnował z wszelkich napaści. Na tę wiadomość Dytryk poczuł, jakby z jego ramion zdjęto ogromny ciężar. Obaj potężni krewniacy długo czekali, nim wreszcie zdecydowali się zaingerować w ów rodzinny spór, który tymczasem rozrósł się do rozmiarów wojny. Niemniej jednak obecnie wydawali się zdecydowani ukrócić poczynania Albrechta, który stał się nieobliczalny.

Dopiero teraz mógł mieć rzeczywistą nadzieję na pokój bez konieczności zabicia brata. W duchu podziękował Łukaszowi, który poradził mu, by poszukał wsparcia u margrabiego i u księcia, nie bacząc na okoliczność, że kiedyś pomogli Albrechtowi uwięzić ich ojca. Jednakowoż od czasu, gdy Konrad przejął po ojcu rządy nad Marchią Wschodnią, bardzo się starał sprostać wymaganiom swego stanowiska, jako najstarszy, a tym samym reprezentujący całą linię, członek rodu Wettynów.

Dytryk naradził się z Norbertem i z Tomaszem, a następnie postanowił odesłać do domów część mężczyzn, których zwołali na zamek. Powinni pomóc zwieźć plony i naprawić szkody, które wyrządziła wojna. To było teraz ważniejsze. Nie uszczuplił jedynie liczebności oddziałów zwiadowczych. Na wszelki wypadek.

Teraz Dytryk z jeszcze większą niecierpliwością wypatrywał Elżbiety i Rajmunda. Dotarli na zamek jakieś pół dnia po wysłanniku Konrada. Hrabia wydał polecenie, by poinformowano go natychmiast o ich powrocie. Nie zdążyli zsiąść z koni na dziedzińcu, gdy wyszedł im naprzeciw.

– Żyje. Ale wciąż jest bardzo słaba – wyjaśniła Elżbieta, odpowiadając na pytanie Dytryka.

– Czy to gorączka? Gorączka połogowa? – zapytał wstrząśnięty.

Wobec tego nie było nadziei. Może Klara już nie żyła...

– Marta robi, co może – odpowiedziała wymijająco żona Rajmunda. – Pomoże jej. Lecz Klara potrzebuje teraz przede wszystkim spokoju.

Razem z Martą były zgodne co do tego, by nie mówić Dytrykowi, że wskutek dworskiej intrygi na Wartburgu Klara musiała przejść poród bez pomocy doświadczonej akuszerki. Wiedziały, jak hrabia zareagowałby na tę informację, a na waśń z Turyngią nie mógł sobie pozwolić.

Dytryk na próżno starał się wyczytać ze szczupłej twarzy Elżbiety to, czego mu nie powiedziała. Wreszcie podjął decyzję.

– Rajmundzie, od tej chwili przejmujecie rozkazy nad zamkiem. Wasza małżonka wraz z księdzem zadbają, by nikomu nie zabrakło podstawowych rzeczy. Ja jeszcze dziś wyruszę z Norbertem

i z Tomaszem do Eisenach.

Wydał rozkaz, by niezwłocznie przygotowano wszystko na jego wyjazd, spakowano uroczyste szaty i podarki dla narzeczonej. Wkrótce potem w asyście swej świty opuścił Weissenfels i wyruszył w kierunku Wartburga.

– Mam za mało mleka – poskarżyła się Klara, karmiąc piersią pomrukujące z zadowolenia dziecko.

Była sama z matką i z niemowlęciem. Po policzkach spływały jej łzy.

– Powinnam go była wcześniej przystawić do piersi... Nawet z tym nie potrafię sobie poradzić...

– Ciii! – uspokoiła ją Marta i pogłaskała córkę po włosach. – Wszystkiemu powoli damy radę. A jeśli mały się nie naje, wówczas mamka go dokarmi, przecież wiesz. Ale musisz zapomnieć o troskach, jeśli nie chcesz zaszkodzić dziecku.

Od wielu dni starała się pocieszyć córkę i dodać jej otuchy, tak jak wcześniej robiła to Elżbieta.

– Podaj mi małego, za bardzo się zmęczył i nie może pić. A ty powinnaś się teraz przespać!

Klara z ulgą odstawiła od piersi dziecko, które rzeczywiście prawie przestało ssać i zamknęło oczy. Nasunęła spodnią suknię z powrotem na ramiona i zwinęła się w kłębek na łóżku.

Marta czule wzięła na ręce wnuczka i wolną ręką nasunęła kołdrę na córkę, która w mgnieniu oka pogrążyła się we śnie.

Stanąła nieruchomo i wsłuchiwała się w odgłosy, które dochodziły do izby z podwórca.

Później z dzieckiem w ramionach wyszła na zewnątrz, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Nie przesłyszała się, nadjechała gromada jeźdźców, Dytryk ze swoją świtą, chociaż w związku ze ślubem spodziewano się go dopiero za kilka dni.

Hrabia Weissenfels zamierzał właśnie wejść do palatium, gdy zauważył ją na krużganku. Znieruchomiał w pół kroku, a na jego twarzy odmalowała się wielka konsternacja. Dopiero gdy Marta się do niego uśmiechnęła, wróciła mu nadzieja, że ukochana nadal żyła. Po chwili wahania ruszył w jej kierunku, dając Norbertowi z Weissenfels znak, by zostawił go samego.

– Wasz syn. Jest zdrowy i silny.

Szczęśliwa Marta przysunęła ojcu dziecko, które trzymała na ręku.

Ze wzruszeniem przyglądał się śpiącemu niemowlęciu. Wydało mu się nieprawdopodobne, że jego pierworodny też kiedyś był taki maleńki. A przecież było to zaledwie dwa lata temu. Później, zebrawszy w sobie całą odwagę, przygotował się na złe wiadomości.

– Chcę zobaczyć jego matkę – powiedział.

– Śpi. Jest jeszcze bardzo słaba. Pozwólcie jej odpocząć! – upomniała łagodnie Marta.

– Jeszcze jest słaba? Co się stało? Po poprzednich porodach szybko doszła do siebie. Po pierwszym siedziała przecież zaraz w siodle! A może nie chodzi wam o to, że mam jej pozwolić odpocząć, tylko zostawić ją w spokoju?

Teraz do konsternacji w jego głosie doszła ostra nuta.

Marta spojrzała mu prosto w oczy, Dytryk zaś miał wrażenie, jakby jej myśli wpływały do jego głowy.

– Naprawdę jest słaba. Ale stanie na nogi, dopilnuję tego. Nie wolelibyście na tym poprzestać? Stan Klary oszczędzi jej widoku waszego ślubu z Juttą. A może chcecie całkiem złamać jej serce?

Zrozpaczony Dytryk przymknął na moment oczy.

– Co mogę uczynić, żeby była szczęśliwa? – spytał mimowolnie cicho. – Poradźcie mi, proszę. Wpuśćcie mnie do niej, jak tylko uznacie, że może mnie zobaczyć. Inaczej... mnie też pęknie serce.

Matka Klary się zawahała.

– Sądzę, że najpierw powinniście się przywitać z teściem i waszą narzeczoną. Później do nas przyjdźcie.

Marta ułożyła dziecko w kołysce i odeszła. Mamka oczekiwała pod drzwiami na wezwanie do swej posługi, a w środku Dytryk czekał, aż jego ukochana przebudzi się ze snu.

Jeszcze nigdy nie wyglądała tak bezbronne jak teraz i jeszcze nigdy jej widok go tak nie wzruszył i nie zatroskał, jak w ciągu tych chwil, gdy czas zdawał się stać w miejscu.

Gdy zapadała szarówka, już przy niej siedział. Teraz wstał i zapalił świecę.

Raptem Klara zamrużyła powiekami, a on nie mógł się dłużej oprzeć pragnieniu, by ją dotknąć.

Delikatnie położył rękę na jej policzku. Była zimna, nie rozpalona gorączką, ale tak lodowata, że znów zaczął się martwić.

Klara drgnęła i otworzyła powieki. Jej spojrzenie na chwilę znieruchomiało na jego twarzy, a potem wszystko jej się rozmyło przed oczami i zapatrzyła się w jeden punkt za jego plecami.

– Nie powinniście tu być – odezwała się ku rozpaczy Dytryka.

– Nie chcę być nigdzie indziej – odrzekł i sięgnął po jej dłonie, by je zamknąć w swoich i ogrzać.

Zabrała ręce tak szybko, że nie odważył się znów ich dotknąć.

– Oboje powinniśmy się pogodzić z faktem, że z woli Boga zostaniemy rozłączeni. Od tej chwili macie przed sobą inną drogę. Od początku o tym wiedzieliśmy. Wygraliście bitwę i obroniliście swój kraj. To właśnie się liczy.

Nie powiedziała, że sama też stoczyła walkę w połogu, a kwestia życia czy śmierci jeszcze się nie rozstrzygnęła.

„Wygrałem bitwę, ale przegrałem miłość mego życia. Czy to rzeczywiście było warte ceny, jaką musiałem zapłacić?” – zastanawiał się Dytryk.

– Nie opuszczaj mnie – błagał. – Potrzebuję cię! Nie poślubię Jutty, nigdy nie będzie dla mnie tyle znaczyła co ty.

– Skąd możecie o tym wiedzieć? Lepiej odejdźcie. Zdecydowałam się zostać waszą kochanką i dziękuję Bogu za każdą chwilę, którą z wami spędziłam. Ale nie mogę być cudzołożnicą.

Dytryk milczał, targany niepokojem. Znał Klarę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że mówiła poważnie, a nie tylko prowokowała go, by zaprzeczył jej słowom, chcąc go przy sobie zatrzymać. Jeśli oboje chcieli kiedykolwiek odzyskać wewnętrzny spokój, nie powinien na nią więcej nastawać, nawet jeśli tęsknota do niej niemal rozrywała mu wnętrze. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mogłaby dzielić łóżko z innym mężczyzną.

Zapadła długa, ciężka cisza, aż w końcu z ciężkim sercem zadał jej pytanie:

– Co mogę uczynić, by cię chronić? Czy chcesz, bym znalazł dla ciebie dobrego męża? Który ustrzeże cię przed ludzkimi językami?

Pokręciła słabo głową i z powrotem zamknęła oczy. Dytryk z oporem się podniósł i wyszedł. Musiał zwalczyć owo pragnienie, które kazało mu zamknąć ją w ramionach i namiętnie pocałować, przynajmniej ten jeden, ostatni raz. Broniłaby się, czuł to. W duchu Klara pogodziła się ze stratą.

Czy powinien żałować, że nie odszedł tamtej nocy przed trzema laty, gdy się połączyli? Byli tacy szczęśliwi, a ona obdarzyła go nawet dwoma synami. Tego nie mógłby żałować. Jednak mimo najszczerzej chęci nie potrafił sobie wyobrazić, jak będzie dalej żył bez niej u swego boku i w łóżku.

Stało się tak, jak powiedziała Marta. Powszechnie znany zły stan zdrowia Klary oszczędził jej obecności na uroczystym święcie zaślubin Dytryka z Weissenfels i Jutty z Turyngii. Przy okazji ochronił ją również przed plotkami i potępiającymi spojrzeniami zawistników i nadgorliwców.

Fakt, że hrabia z Weissenfels nie skonsumował małżeństwa z młodziutką oblubienicą, nie zdziwił nikogo na turyńskim dworze i wśród weselnych gości.

Od małżonków dziewcząt, które nie wyszły jeszcze z dziecięcego wieku, oczekiwano, że będą

cierpliwie czekali, aż małżonka stanie się kobietą. Zatem Dytryka i Juttę położono do łoża w kompletnym ubraniu, a oblubieniec przy wszystkich świadkach symbolicznie dotknął uda świeżo poślubionej żony i zaraz później wrócił do weselnego stołu.

Trzy dni później Dytryk z młodą żoną w towarzystwie świty wrócił do Weissenfels. Razem z nimi jechali Marta i Łukasz, którzy wstąpili do Dytryka na służbę, oraz Klara z trójką swoich dzieci. Tak samo Tomasz, który podczas pobytu na Wartburgu bez wiedzy Klary wywołał i wygrał kilka pojedynków z turyńskimi rycerzami, którzy jego zdaniem wyrazili się o jego siostrze ze zbyt małym szacunkiem. Później nastął spokój.

By po powrocie do Weissenfels Klara nie została zepchnięta na drugi plan, jeszcze przed wyjazdem Dytryk polecił przysposobić dla niej i dzieci najwytworniejszą i największą gościnną komnatę na zamku. Pomieszczenie sąsiadujące z jego komnatą, w której dotychczas mieszkała, teraz bowiem należało się Jutcie z Turynii.

Załoga zamku i mieszkańcy miejscowości przyglądali się bogatej i bardzo jeszcze młodziutkiej nowej pani Weissenfels ciekawie i trochę nieufnie, uznając ją za zbyt mizerną. Niemniej jednak nie wydawała rozkazów na prawo i lewo, jak się wcześniej obawiano, i starała się podkreślić współpracę z Klarą w wypełnianiu swoich obowiązków.

Weissenfelczycy byli zaskoczeni, ale wkrótce odetchnęli. Większość z nich szanowała Klarę i obawiali się, że dojdzie do konfliktu. Taka sytuacja byłaby niekorzystna dla wszystkich. Ponadto mieli wątpliwości, czy tak młodziutka pani byłaby w stanie samodzielnie się uporać ze wszystkimi zadaniami.

Ale oczywiście w skrytości toczyły się żywe dyskusje, jak długo ten stan może się jeszcze utrzymać i kogo hrabia przyprowadzi do swego łoża. Na razie kochanka nie doszła jeszcze do siebie, a małżonka nie stała się jeszcze prawdziwą kobietą. Czy Dytryk znów poprosi Klarę do siebie, czy wyda ją za któregoś z mężczyzn ze swojej świty, gdy całkowicie wyzdrowieje po położeniu? A może jedno i drugie? Podobne sytuacje się zdarzały, a domysły snute w wielkim ożywieniu na białej skale odsunęły niemal w zapomnienie niepewność, czy napastliwy margrabia Albrecht rzeczywiście zrezygnował ze swych planów podboju.

## *Rodzinna narada*

Na zamku w Lipsku Albrecht nie wierzył własnym oczom, gdy ujrzał dwóch niespodziewanych gości, których straż przyboczna do niego wpuściła. Byli to jego kuzyn Konrad, margrabia Marchii Wschodniej, i wuj Bernard z Anhaltu, książę Saksonii.

Dlaczego przyjechali razem i jak się w ogóle dowiedzieli, że tu był? Ledwo udało mu się umknąć z pola bitwy pod Röblingen, później z pomocą Rutgera przedarł się do klasztoru na górze Petersberg, który był rodzinnym klasztorem Wettynów z czasów, nim jego ojciec ufundował klasztor cystersów pod Nossen. Sam stary opat Walter pożyczył mu habitu, by mógł się incognito przedostać do Lipska. Miał ze sobą jedynie garstkę ludzi, między innymi Elmara, który wkrótce do nich dołączył. Na dworze w Lipsku poróżnił się ze stolnikiem, Albrecht bowiem gorączkowo szukał sposobności, by zebrać nowe oddziały, Elmar zaś stanowczo mu radził wrócić do Miśni i dołożyć wszelkich starań, by nie stracić względów cesarza. W jednym ze swych słynnych ataków furii, których wszyscy się bali, Albrecht przepędził Elmara.

Tymczasem z pobliskich bagien unosiły się niezliczone chmary komarów, a on siedział beczynnie w Lipsku, rozmyślał i czekał na uśmiech losu, który pozwoliłby mu zmienić bieg rzeczy.

Masywny Bernard z Anhaltu władczy gestem wyprosił wszystkich obecnych. Bez słowa powitania podszedł do stołu i usiadł. Konrad zajął miejsce obok niego.

– Przyznaj, bratanku, okropnie się zapędziłeś – stwierdził książę Saksonii, a gdy Albrecht chciał odpowiedzieć, powstrzymał go gestem ręki. – Nie chcę słuchać żadnych tłumaczeń – powiedział szorstko. – Usiądź z nami. Zastanówmy się wspólnie, jak zapobiec najgroźniejszym szkodom.

Położył na stole pękaty bukłak z winem.

– Proszę, z moich osobistych zasobów. Słyszałem, że straciłeś cześnika. To tutaj możemy swobodnie wypić, nie trzeba próbować. Nalej nam!

Albrecht bez słowa posłuchał wuja, ciekaw, z jaką propozycją przyjechał. Bernard z Anhaltu nie cieszył się reputacją człowieka wygrywającego wielkie bitwy. Niemniej jednak był księciem, książę zaś liczył się więcej od margrabiego.

– Twoja lekkomyślność okrywa złą sławą cały ród Wettynów, a nawet sprowadza nań niebezpieczeństwo! – wtrącił w tym samym tonie Konrad.

W Albrechcie znów zawrzała krew.

– Ja działam na szkodę naszej rodziny? – warknął na kuzyna. – Pragnę ją umocnić, zrobić z niej potęgę, połączyć te skrawki dywanu z gałganków w jedną całość, w jednolity kraj rządzony mocną ręką! Przypomnij sobie, jak wielkim terenem władał niegdyś nasz dziad, którego imię nosisz! A teraz? Musimy się bronić przed Pleissenlandem, utworzonym przez starego cesarza Fryderyka Rudobrodego, a także przed Turyńczykiem. Do tego potrzebny mi Weissenfels. Mój brat to słabeusz, nie potrafi rządzić.

– Uspokójcie się! – upomniał go ostro Bernard z Anhaltu, zauważywszy, że margrabia Marchii Wschodniej najchętniej skoczyłby do gardła swemu kuzynowi.

– Gdybym chociaż wiedział, co cię do tego skłania, bratanku. Twój wóz utknął w gnoju i w niemądry sposób zwróciłeś przeciwko sobie nie tylko Turyńczyka, ale także wszystkich tutejszych ministeriałów. Ciesz się, że przynajmniej twój rozumny stolnik jest ci wierny i wezwał nas na pomoc. Czeka na zewnątrz. Powinieneś go przyjąć z powrotem na służbę – powiedział Bernard, ale na wszelki wypadek przemilczał fakt, że wcześniej o całej sytuacji doniósł mu zaufany człowiek Dytryka.

– Co w ciebie wstąpiło, że kazałeś oślepić przedstawiciela cesarza, ty głupcze? – fuknął Konrad. – Teraz nie masz innego wyjścia, jak tylko pojechać do cesarza i mieć nadzieję, że uda ci się wrócić do jego łask. Bezwzględnie ci radzę, byś przystał na każdy zastaw, jakiego od ciebie zażąda, nawet Miśnię, jeśli okaże się to konieczne. My tymczasem przypilnujemy twoich posiadłości. I damy cesarzowi porękę, że wypełnisz wszystkie jego dyspozycje.

– Zrób to! – poradził Bernard z pozycji autorytetu swego wieku i posiadanego tytułu, nie zostawiając Albrechtowi czasu na protest. – Wszyscy będziemy się modlili, żeby ci się powiodło i byś nas nie pociągnął za sobą w przepaść. Po sporach sprzed kilku lat Henryk i tak przestał nam ufać. Ten cesarz jest obecnie zbyt potężny, żebyśmy mogli mu się otwarcie sprzeciwić.

Albrecht potrzebował dwóch dni i dwóch nocy na przetrwanie przestrogi krewniaków. A dokładnie mówiąc, na przyznanie przed samym sobą, że mieli rację i że musiał pójść za ich radą, jeśli nie chciał wszystkiego stracić.

Kazał zawołać Elmara i po milczącym pojednaniu wysłał go z rozkazami do Miśni. Elmar miał tam zostać w jego imieniu, Rutger zaś wracał do Freibergu. Z kolei księżna Zofia wraz ze stosowną eskortą miała natychmiast stawić się u niego i towarzyszyć mu w podróży do cesarza.

Albrecht miał nadzieję, że jej ładna buzia i towarzystwo łagodniej nastroją monarchę.

Sam, bez dostatecznej liczby zbrojnych, nie miał odwagi opuścić zamku w Lipsku. Czy mógł jeszcze komukolwiek zaufać?

Zofia nie zadawała żadnych pytań, gdy dotarła do Lipska. Wiedziała wystarczająco dużo i wolała nie podsycać dodatkowo wściekłości męża. Uśmiechała się zatem, choć z pewnym przymusem, i w jego obecności odzywała się jedynie wtedy, gdy ją o to poprosił. Zachowywała się tak, jakby wraz z małżonkiem wybierali się w całkowicie zwyczajną podróż na zjazd nadworny, tyle że tym razem nieco dalej, bo aż na Sycylię. Zabrała swe najlepsze suknie i spędzała dużo czasu, poddając się upiększającym zabiegom i przystrajając rudawozłote włosy wstążkami przetykanymi złotem.

Po tygodniach uciążliwej podróży i przeprawie przez burzliwe morze margrabiowska para ze swą świętą dotarła do Palermo. Jednakże gdy Albrecht wraz z małżonką, oboje w wytwornych strojach, weszli do położonego na wschód od miasta zamku Favara, w którym cesarz rezydował do czasu swej koronacji na króla Sycylii, margrabiego spotkała niemiła niespodzianka. Jeszcze nim doszedł do przedpokoju sali audiencyjnej, drogę zastąpił mu kamerdyner.

– Jego cesarska mość nie udziela dzisiaj audiencji – powiadomił go chudy sługa.

– Z drogi, nicponiu! – warknął na niego Albrecht. – Nie wiesz, kto przed tobą stoi?! Albrecht z Wettynu, margrabia miśnieński!

Chudzielec lekko się cofnął, ale powtórzył odważnie:

– Jego cesarska mość nie udziela dzisiaj audiencji.

Albrecht najchętniej wymierzyłby mu policzek. Powstrzymała go jedynie myśl, że nie byłoby to dobre dla jego przedsięwzięcia.

Jeden z uzbrojonych ludzi trzymających wartę przy drzwiach podszedł do nich, gdy Albrecht bezceremonialnie spróbował przesunąć kamerdynera na bok.

– Słyszeliście, margrabio. Cesarz was nie przyjmie.

„Z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie – pomyślał Albrecht. – Pomyłka. Może cesarz jest chory. Może kolejny atak gorączki błotnej, która od czasu oblężenia Neapolu co jakiś czas go dręczy?”

Jednym spojrzeniem rozkazał Zofii, by za nim poszła, i wyszedł bez słowa.

„Spróbuję jutro. Cesarz musi mnie przyjąć. Czyż nie był zadowolony z mych usług w czasach, gdy był jeszcze chłopcem? Czyż nie stałem u jego boku podczas pasowania na rycerza w Moguncji? Jakże często jeździłem z nim na polowania, piłem z nim, przyprowadziłem mu pierwszą kobietę, gdy dojrzał jako mężczyzna. Nie mógł o tym zapomnieć!”

Im silniej narastały w nim wspomnienia, tym szybciej brnął do swej kwatery. Zofia z trudem za nim nadążała. „Jutro mnie przyjmie”.

Jego myśli wciąż krążyły wokół tej jednej sprawy, gdy nocą niespokojnie przewracał się z boku na bok.

Mimo łagodnego klimatu panującego w Palermo Albrecht każdego ranka odczuwał coraz dotkliwsze zimno.

Dzień w dzień występował z prośbą o audiencję u cesarza. Na próżno. Wydawał olbrzymie kwoty na łapówki, próbując zjednać sobie któregoś z zaufanych ludzi Henryka. Daremnie.

Traktowano go, jakby był trędowaty.

Wysłał Zofię i zażądał, by używając swego wdzięku, postarała się dla niego o posłuchanie. Spróbował zacziąć się na cesarza, gdy ten wyjeżdżał konno z zamku, by rzucić mu się do nóg i przypomnieć o swej wieloletniej wierności. Nic nie przyniosło oczekiwanego skutku.

Jedynie z najodleglejszych rzędów szlacheckich gości Albrecht i Zofia mieli okazję zobaczyć, jak dwudziestego listopada 1194 roku cesarz z niewysłowionym przepychem nadciągnął do Palermo, tak triumfalnie, że ludzie rzucali się przed nim na ziemię. Teraz monarcha rezydował w starym normanckim

pałacu królewskim w najwyższej położonym punkcie miasta.

W Boże Narodzenie Henryk został koronowany na króla Sycylii w katedrze w Palermo. Nareszcie uzyskał to, o co tak długo walczył.

Jeszcze w dniu koronacji cesarz i król rozdał ludziom ze swej świty znaczące przywileje, dobra ziemskie i tytuły.

Ale również i tego dnia Stauf nie zgodził się przyjąć margrabiego miśnieńskiego ani nawet zaszczyścić go choćby jednym spojrzeniem.

W Albrechcie z Wettynu dojrzywało podejrzenie, że cesarz go zostawił.

Tak zupełnie i ostatecznie, że temu, który popadł w jego niełaskę, nie zamierzał nawet dać szansy, by się wytłumaczył, poprosił o przebaczenie i przyrzekł poprawę.

„Cesarz nie zna przyjaźni, cesarz nie ma przyjaciół” – pomyślał rozgoryczony. Tak samo jak on, Albrecht, nie miał przyjaciół, jedynie poddanych, których wedle swego uznania nagradzał albo karał.

Albo też przepędzał. Czy kazał zabić.

Tliła się w nim jeszcze ostatnia iskierka nadziei.

Na dworze od miesięcy wszyscy bardzo się podniecali wiadomością o tym, że cesarzowa Konstancja mimo swych czterdziestu lat nareszcie poczęła potomka. Gdyby urodziła syna, wówczas z ogromnej radości będzie hojnie wybaczała przewiny, Albrecht był tego pewny. Kto, jeśli nie on, mógłby lepiej zrozumieć frasunek cesarza, którego żona rok w rok nie mogła donosić następcy tronu? Gdyby Zofia urodziła mu syna, on stałby się tego dnia samą wspaniałomyślnością we własnej osobie.

W duchu Albrecht się modlił, by cesarzowa wydała na świat syna.

Jego modlitwy zostały wysłuchane. Następnego dnia po koronacji Henryka na króla Sycylii, drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia w roku 1194, Konstancja dała życie synowi, który zgodnie z życzeniem cesarza otrzymał imię po jego ojcu. Fryderyk.

Cesarz kazał bić we wszystkie dzwony, odprawić dziękczynne msze i rozdawał hojne prezenty. Niemniej jednak nie zgodził się przyjąć margrabiego miśnieńskiego, człowieka, który sprzeciwił się jego rozkazom, naruszył pokój i okaleczył jego posłańca.

Jedynie pewien człowiek na usługach biskupa Waltera z Troi, przyszłego kanclerza Sycylii, mimochodem dał Albrechtowi do zrozumienia, że barbarzyństwem było wyłupanie oczu komuś, kogo zamierzało się oślepić. Tu, na Sycylii, wolą łagodniejszą metodę, powiedział sługa z wyższością. Trzymając przed oczami delikwenta węgle rozgrzane do czerwoności, które w niezwykle bolesny sposób pozbawią go wzroku, bez okaleczania twarzy.

Teraz margrabia miśnieński poczuł się jak ktoś, kogo przeciwnik kopie, mimo iż ten leży na ziemi.

Albrecht skonsternowany musiał się sam przed sobą przyznać, że stał na straconej pozycji. Nie miało sensu dalej czekać i mieć nadzieję, że dozna łaski.

Do tego jego podróżna kasa opustoszała o wiele szybciej, niż sądził. Roztrwonił bająnskie sumy na łapówki, Zofia zaś na widok cudownych sycylijskich jedwabnych brokatów odzyskała mowę i nalegała, by się w nie wystroić, nie chciała bowiem wyglądać na dworze jak żebraczka.

Musiał poświęcić trochę szlachetnych kamieni, które zamienił na srebro, żeby móc sobie zapewnić powrotną podróż do domu godną swego stanu.

Ponadto na dworze zaczęła krążyć pogłoska, że sycylijska szlachta zawiązała spisek przeciwko cesarzowi, toteż Albrecht czym prędzej kazał przygotować wszystko do wyjazdu.

Gdy tylko pozwoliła pogoda, pożegłował wraz ze swoją świtą na stały ląd i ruszył przez Alpy do domu.

Po drodze miał dość czasu i okazji na uknuć planu odwetu. W myślach wciąż od nowa zwoływał wojsko, ustawiał je w bojowym szyku i rozważał najrozsądniejsze taktyczne posunięcia. Będzie bronił

Marchii Miśnieńskiej przed cesarzem, przed zbuntowanymi ministeriałami, przed Pleissenlandem i przed swoim bratem. A jeśli nie uda mu się zebrać dość mężczyzn, jeśli w domu też los obróci się przeciwko niemu, jeśli zatem on nie mógł rządzić tym krajem, to nikt inny nie powinien go dostać. Wolałby wszystko do szczętu spalić.

## *Niespodziewana wizyta*

Mimo wiosennego ciepła okurzony jeździec, który tego dnia na początku czerwca 1195 roku zbliżał się do zamku w Weissenfels, miał na sobie ściśle związany czepiec zsunięty głęboko na twarz. Uważny obserwator dostrzegłby, że jego broń była o wiele szlachetniejszej natury niż prosty białaud.

Przejechałszy bramę, zsiadł z konia i zwrócił się do stajennego pachołka, który do niego podszedł.

– Szukam Łukasza z Freibergu. Czy jest tutaj? – zapytał. – Krewniak chce z nim rozmawiać. Pilnie – dodał po chwili wahania.

Chłopak szybko się skłonił i spojrzał na tyły podwórcza.

– Prowadzi ćwiczenia fechtunku z młodymi giermkami. Chcecie iść ze mną do niego czy wolicie zaczekać w głównej sali, szlachetny panie? Przyniosą wam coś do zjedzenia i picia.

Nieznajomy, ku swej wielkiej uldze i zadowoleniu, zauważył już osobę, której szukał. Zamierzał jak najkrócej zostać w Weissenfels. I w żadnym razie nie powinni go rozpoznać.

– Poczekam na niego tutaj. Zostawcie przy mnie ogiera. Muszę zaraz wracać.

Stajenny pachołek starał się nie pokazać po sobie zdumienia, jakie wywołała w nim odpowiedź przybysza. Mężczyzna i jego koń mieli za sobą męczącą podróż, co było widoczne na pierwszy rzut oka. Przywołał jednego z parobków i kazał mu przynieść wiadro wody dla konia należącego do gościa, a następnie pobiegł do grupy giermków, którzy pod surowym okiem Łukasza uprawiali się w natarciu i kontrnatarciu.

– Jesteście niewymownie powolni, gdybyście trafili na wroga, lepiej od razu się poddajcie – zgañił chłopców Łukasz. – Obu stronom oszczędzicie trudu.

Kazał czternastoletniemu giermkowi stanąć naprzeciwko siebie i zadać cios z góry. Błyskawicznie odparował atak i jednym płynnym ruchem rozbroił chłopaka.

– Widzieliście? Teraz wy!

Powtórzył cały manewr w zwolnionym tempie, a następnie kazał chłopcom trenować.

Obserwując ćwiczących, dostrzegł nieznajomego z osłoniętą twarzą, który stał na dziedzińcu, i zmierzającego w jego kierunku stajennego pachołka, który mu oznajmił, że krewniak chce z nim pilnie mówić.

Zaciekawiony, co z tego wyniknie, zostawił giermków pod opieką najstarszego syna Norberta. Od posłańców, którzy nie podawali swego imienia i nie wypuszczali z ręki cugli wierzchowca, nie należało się spodziewać dobrych wieści. A ten z całą pewnością nie był jego krewnym. Brat Łukasza był nieco niższy, siostrzeniec zaś szczuplejszy od mężczyzny na dziedzińcu. Gdy podszedł dość blisko, by zobaczyć jego twarz, uniósł brwi ze zdziwienia. W rzeczy samej był to jego krewny, choć nie bezpośredni.

– Broda cię postarza – odezwał się do swego szwagra Geralda w miejsce powitania.

– Zostawiłem ją tylko po to, by mnie nie rozpoznano. Nikt prócz ciebie nie może się dowiedzieć, że tu byłem – odrzekł ostrożnie marszałek margrabiego Albrechta. – Dowiedziałem się, że po waszym zwycięstwie pod Röblingen wstąpiłeś na służbę do hrabiego Dytryka. Przejedziesz się ze mną kawałek, byśmy mogli porozmawiać?



„Ta sprawa staje się coraz bardziej osobliwa” – pomyślał Łukasz i skinął głową na potwierdzenie. Kazał osiodłać kasztanka i zawiadomił Konrada, że musi pilnie wyjechać i wróci dopiero koło wieczora.

Z miny Geralda starał się zorientować, co go sprowadziło. Przez krótką chwilę rozważał, czy szwagier nie zamierzał go zwabić w pułapkę, ale szybko porzucił tę myśl. Z Geraldem nigdy nie byli przyjaciółmi, a funkcja marszałka w Miśni ostatecznie ustawiła ich w dwóch przeciwnych obozach, chociaż Gerald pomógł mu kiedyś uciec z więzienia Albrechta. Jednak gdyby chciał go wciągnąć w pułapkę, nie zjawiłby się osobiście, lecz bez wątpienia przysłałby kogoś innego. A jeżeli doszłoby do pojedynku, Łukasz dałby sobie z nim radę.

Gerald był świetnym wojownikiem, ale Łukasz był od niego lepszy. Razem zjechali w dół góry zamkowej i przecięli bród. Tymczasem obu im na nowo stanęła przed oczami żywa scena pierwszego nieudanego ataku Albrechta na Weissenfels. Łukasz wskazał towarzyszowi drogę prowadzącą na skraj zagajnika. Tam zeskoczył z konia i puścił go na popas.

Gerald uczynił to samo. Jego mina zdradzała, że intensywnie myślał. Wydawał się szukać słów, którymi mógłby rozpocząć rozmowę. Łukasz nie uczynił najmniejszego gestu zachęty. Wreszcie przyjezdny usiadł na pniu zwalonego drzewa, który z jednej strony był porośnięty mchem, i zrobił miejsce Łukaszowi.

– Nie mam zbyt wiele czasu – zaczął w końcu Gerald, co wobec długiej ciszy poprzedzającej jego przemowę zabrzmiało dość osobliwie. – Książę Albrecht ani nikt z jego zaufanych ludzi nie mają pojęcia, że tu jestem i z tobą rozmawiam. Gdyby się o tym kiedykolwiek dowiedział, zabiłby mnie. Ale ten fakt mnie nie powstrzyma, bym go zdradził.

Łukasz ponownie uniósł brwi ze zdziwienia.

Gerald uwolnił go z lochów, miast zgodnie z rozkazem Albrechta kazać zamęczyć na śmierć. Marta podejrzewała, że do udzielenia szwagrowi pomocy skłoniła go nieoczekiwana egzekucja jego przyjaciela Rajnharda, męża Klary. Ale zdradzić swego pana lennego? To nie było podobne do Geralda, którego mianowanie na marszałka przepełniało bezgraniczną dumą.

Łukasz darował sobie słowa, które mogłyby odstraszyć gościa, i zamiast tego popatrzył na niego zachęcająco.

Brat jego zmarłej pierwszej żony zaczerpnął głęboko powietrza. Raptem wypuścił z siebie to wszystko, nad czym przez wiele nocy łamał sobie głowę.

– Albrecht popadł w niełaskę cesarza. Daremnie pojechał na Sycylię, Stauf nie zgodził się go przyjąć – opowiadał, chodząc przy tym niespokojnie w tę i z powrotem. – Przeciwno niemu zwrócili się również ministeriałowie, toteż zaczął się poważnie obawiać o władzę. Krążą pogłoski, że cesarz poprowadzi wojsko na Marchię Miśnieńską... Elmar i ja otrzymaliśmy rozkazy, byśmy wyjechali mu naprzeciw po tej stronie Alp i zdali sprawozdanie. Później podjął decyzję, taką mianowicie, że w przypadku najmniejszych oznak, świadczących o tym, że cesarz zaatakuje, spali wszystkie wioski i pola uprawne, zniszczy umocnienia i wraz z pozostałymi ludźmi obwaruje się w Lipsku. Teraz jedzie bardzo powoli, ponieważ Zofia znów jest przy nadziei i nie może utrzymać w żołądku nawet kęsa strawy. Za trzy, może cztery tygodnie powinni dotrzeć do Freibergu. Mnie wysłał, bym zebrał wszystkich żołnierzy. Ale ja nie chcę się beczynnie przyglądać ani ponosić winy, gdy cały kraj zostanie zrównany z ziemią. Dlatego tu jestem.

Gestem wskazującym na bezsilność Gerald zsunął z czoła zakurzony czepiec i przecesał palcami włosy, po czym spojrzął na szwagra.

– Musisz mu przeszkodzić! – zaklinał. – Przysięgam na mój rycerski honor, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. Na początku potajemnie. Otwarcie stanę po waszej stronie, jak tylko dojdzie do walki. Twego brata Jakuba wyślę do Seusslitz, do jego syna. Tam, na uboczu wydarzeń, powinni być

bezpieczni. Albrecht chce również, by komendant zamku w Seusslitz stawiał się we Freibergu. Na razie matka stanowi dla niego mniejszy problem...

– Mam zabić Albrechta? Czy przed chwilą zażądałeś ode mnie, bym zabił twego pana lennego? – spytał zimno Łukasz. – Nie, nie potrzebujesz tego głośno mówić... Powiedz tylko, co cię skłoniło do takiej zamiany poglądów?

Gerald usiadł na omszałym pniu obok swego szwagra i zapatrzył się na pasące się konie.

– Albrecht wziął do swego łóża moją żonę – wyznał cicho.

Musiał się przełamać, by to wyznać. Dotychczas nie powiedział o tym nikomu ani słowa.

– Nie pod przymusem, jak twoją bratanicę. Muszę się pogodzić z faktem, że dobrowolnie dzieliła z nim łóżo. Gdy umarła Lukardia, podczas nadwornego zjazdu w Merseburgu, ty też tam byłeś... Dziecko, które wówczas nosiła pod sercem, mogło być jego. Przypisałem jej winę, bo Bóg mi świadkiem, moja żona była samolubną, zakłamaną i zepsutą kobietą. Potrafiła omamić każdego mężczyznę, jeśli tylko chciała. Nigdy się nie dowiem, czy zdradzała mnie również z innymi. Teraz pokutuje za to w potwornym miejscu... Ale zawsze sobie powtarzałem, że Albrecht z woli Boga jest władcą Marchii Miśnieńskiej. Zwrócenie się przeciwko niemu oznaczałoby zakwestionowanie Bożego porządku. Złożyłem mu przysięgę. Zatem słuchałem jego rozkazów... i wziąłem na siebie niewysłowioną winę. Zabił Rajnharda moim mieczem. Nic nie uczyniłem, by temu zapobiec, gdy Elmar nastawał na twą pasierbicę. Patrzyłem, jak Albrecht rabował trzy tysiące marek w srebrze z klasztornego ołtarza. Wówczas pojąłem, że nie może być człowiekiem Boga. Takie rzeczy dzieją się tylko z udziałem diabła. I mimo wszystko na jego rozkaz posłałem setki ludzi na bezsensowną śmierć. Do dziś mogliby żyć, gdybym go powstrzymał...

– Nie powstrzymałbyś go, nawet Elmar nie mógł tego zrobić – zaprzeczył Łukasz, zmuszając się, by nie myśleć o tamtej sprawie z Klarą, mimo że był nią bardzo wzburzony. Stało się, a robienie Geraldowi wyrzutów nic nie zmieni.

– Gdy sobie wyobrażę, że jest gotów puścić z dymem cały kraj, zabić tysiące ludzi... – kontynuował swe nieoczekiwane wyznanie marszałek. – Nie mogę wziąć na siebie dodatkowo takiej winy. Złożyłem Albrechtowi przysięgę lenną. Ale przysięgałem także chronić słabych. Niechaj Bóg mnie osądzi.

Gerald podniósł cienką gałązkę, która leżała u jego stóp, złamał ją i wyrzucił obie części na ziemię. Raptem gwałtownie wstał, nie czekając na odpowiedź.

– Myślałem, żeby samemu go zabić. Ale jedna osoba nie zdoła tego zrobić. Nie mogę nikomu zaufać i nikt mnie nie ufa. Trzeba to dobrze zaplanować. Elmar podwoił przyboczne strażę, odkąd Albrecht przekroczył Alpy, i nie odstępuje go na krok. Nie chcę wiedzieć, co zamierzasz. Nie będę mógł cię zdradzić na torturach. Lecz jak tylko się dowiem, kiedy Albrecht będzie we Freibergu i jakie ma plany, przyślę do ciebie szybkiego jeźdźca z tajną wiadomością. Tego młodego Johannes, który kiedyś przyjaźnił się z twoim pasierbem. Wtedy zdecydujesz, co zrobisz.

Z miną pełną goryczy spojrział szwagrowi prosto w oczy.

– Jeszcze raz przysięgam na honor: wszystko, co powiedziałem, jest prawdą.

Bez słowa pożegnania wsiadł na siodło i odjechał.

Łukasz siedział pogrążony w zamyśleniu. Później wstał i postanowił pojechać do swego przyjaciela Rajmunda, którego nowe ziemie, nadane mu przez Dytryka, leżały tylko kilka mil dalej.

– Garść zdeterminowanych ludzi. Dostaniemy się tajnym przejściem do lochów w zamku, obezwładnimy straż przyboczną i zabijemy go – zdecydował natychmiast Rajmund, gdy Łukasz w cztery oczy zrelacjonował mu wizytę Geralda.

Łukasz przytaknął skinieniem głowy. Ten sposób sam się nasuwał.

– Obaj od dawna, a właściwie od śmierci Chrystiana, wiemy, że ten dzień kiedyś musiał nadejść –

odezwał się.

Jednocześnie pomyślał, że Chrystian prawdopodobnie nigdy by się do tego nie posunął. „Czy to znaczy, że jestem od niego gorszy? A może w tej sytuacji podjąłby dokładnie taką samą decyzję?” Rajmund podniósł dłonie i z powrotem opuścił je na stół.

– Nie wiem, jak Bóg osądzi nasz czyn, jeśli zabijemy człowieka, którego wybrał na władcę. Wypowiemy posłuszeństwo księciu i podniesiemy na niego rękę. Ale nie wierzę, że jest Jego wolą, by na rozkaz szaleńca cały kraj stanął w płomieniach.

– O tym, co Bóg na ten temat sądzi, możemy się dowiedzieć szybciej, niż byśmy chcieli – rzucił z sarkazmem Łukasz. – Powiesz Elżbiecie?

Rajmund pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę jej obarczać tym ciężarem. Ale przywiozę ją na zamek w Weissenfels, gdy będziemy wyjeżdżać. Tam będzie bezpieczna... gdyby nam się nie powiodło.

Tę decyzję podjął na samym początku, gdy zaczęli układać plan. Nie zapytał, czy Łukasz wtajemniczy swoją żonę. Marta dowiedziałyby się nawet bez słów. Rajmund nie poprosił Łukasza, by ten zapytał żonę o przewidywany rezultat ich przedsięwzięcia, chociaż był ogromnie ciekaw. Nie chciał podsycać własnej lekkomyślności ani też z góry uważać ich sprawy za przegraną.

To był brawurowy projekt i mieli niewielkie szanse, by wyjść z niego cało. Lecz w obecnym położeniu chodziło jedynie o to, by powstrzymać Albrechta przed spaleniem całej Marchii Miśnieńskiej.

Dłuższą chwilę się zastanawiali, kogo zabiorą ze sobą i komu we Freibergu mogli zaufać.

– Chciałbym mieć przede wszystkim przy sobie ludzi, którzy czują się zobowiązani Chrystianowi, którzy przyszli na jego pogrzeb. Podejmijmy się tego ku jego pamięci, tak będzie sprawiedliwie – oświadczył Łukasz i zaraz wymienił pierwsze imiona. Georg i Dawid. Ci dwaj młodzi rycerze byli kiedyś giermkami u niego i u Chrystiana.

– Piotr z Nossen – zarekomendował Rajmund.

– Jeśli się zgodzi, wtedy przyłączą się do nas jego bracia, Tammo i Johannes.

Trzej bracia z Nossen demonstracyjnie trzymali się z dala od miśnieńskiego dworu. Między nimi, księciem i biskupem istniał spór, ponieważ stary margrabia Otto przyznał klasztorowi kawałek ziemi, która do nich należała.

– Borys ze Zboru – zaproponował Rajmund kolejnego uczestnika wyprawy.

– Słowianin?

– Porządny człowiek, niewiarygodnie wprawiony we władaniu mieczem. Wiernie oddany rycerzom z Nossen – zapewnił Muldentalczyk.

Na terenach Nuzzin, czy Nossen, jak też nazywano tę okolicę, od dawien dawna zamieszkiwało wiele słowiańskich rodów szlacheckich.

W końcu Rajmund zadał pytanie, które przez cały czas miał na końcu języka.

– Powiesz o tym Dytrykowi?

Łukasz zdawał się już wcześniej nad tym rozmyślać, bo udzielił szybkiej i zdecydowanej odpowiedzi.

– Nie możemy go wciągać w tę sprawę, to byłoby bratobójstwo. Jednakże nie możemy też za jego plecami uczynić czegoś, co go w tak znacznym stopniu dotyczy. Powiem mu tuż przed naszym odjazdem.

Odrzucił propozycję Elżbiety, która chciała wspólnie z nimi zjeść kolację. Gdy podjęli już owo trudne postanowienie rozstrzygające o życiu i śmierci, chciał jak najszybciej wracać do Weissenfels, by uporządkować swoje sprawy.

Marta przez całe popołudnie wyglądała powrotu Łukasza z niespodziewanego wypadu w nieznanym celu. Od roku mieszkali w Weissenfels, a taki przypadek wydarzył się pierwszy raz i miała przecucie, że zwiastował jakieś nieszczęście. Jedynie synowie Łukasza zostali w Eisenach. Powodem ich

przeprowadzki było nie tylko przywiązanie do młodszego syna Ottona, ale również wspólna troska o Klarę. Z trudem zdołali ją choć trochę wyciągnąć z najgłębszego przygnębienia, w które popadła po urodzeniu małego Konrada. Teraz mieszkała z dziećmi w Weissenfels i nie pokazując po sobie smutku, musiała patrzeć na Juttę, która zajęła jej miejsce u boku Dytryka. Przy stole, w podróżach, a może nawet w łożu. Jednakże na razie nie wyprawiono uroczystości z okazji skonsumowania małżeństwa. Wprawne oko Marty mówiło jej, że córka landgrafa wciąż jeszcze była dzieckiem, a nie kobietą, która zaznała miłości. Ale Dytryk i Jutta byli od ponad roku małżeństwem i kiedyś wreszcie musiało do tego dojść.

Łukasza nadal nie było widać, toteż Marta poszła odwiedzić córkę. Jej obowiązki mogły zaczekać.

Zastała Klarę w towarzystwie Tomasza.

Brat z siostrą siedzieli przy stole. Klara obskubywała zasuszone kwiatostany rumianku, Tomasz zaś pogrążony w zamyśleniu gładził niewielką osełką ostrze swego miecza. Anna i jej mały braciszek byli prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz pod opieką Lizy.

– Wyglądasz na zmartwioną – przywitała matkę Klara, chociaż sama sprawiała jeszcze bardziej posępne wrażenie. – Co się stało?

– Nic... – odparła Marta z największym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Szukam twojego ojczyma.

– Wcześniej wyjechał z jakimś mężczyzną, który przywiózł wiadomość. Jeszcze nie wrócił? – spytała zaniepokojona Klara. – Bez słowa wyjaśnienia zostawił Konradowi giermków. Musiało się wydarzyć coś niecodziennego. Myślisz, że znów będzie wojna?

Wszyscy w izbie od dawna sądzili, że Albrecht zdążył wrócić z podróży do cesarza. I nikt nie wiedział, jakie miał plany. Ale nikt poważnie nie wierzył, że dotrzyma pokoju.

– Zapytajmy jego samego – rzucił Tomasz, wskazując głową na okno.

Marta zerwała się dziwnie szybko i wyrzała na dziedziniec. Później wygładziła suknię i zwróciła się do drzwi.

– Najlepiej sama z nim porozmawiam – powiedziała przed wyjściem.

Brat i siostra spojrzeli na siebie. Każde z nich było po trosze myślami przy rozmowie, którą prowadzili przed nadejściem Marty, a teraz zainteresowało ich jeszcze osobliwe zachowanie Łukasza.

– Może po prostu nie jest nam dane, byśmy jeszcze raz na tym świecie przeżyli prawdziwe szczęście – odezwała się Klara po dłuższej chwili milczenia.

Od ostatniego połogu nabrała głębokiego przekonania, że w czasie spędzonym z Dytrykiem wyczerpała już limit szczęścia, który był dla niej przeznaczony. Teraz zostały jej jedynie wspomnienia i dzieci.

Kilka miesięcy temu Norbert powtórnie jej się oświadczył, a ona znów odrzuciła jego ofertę. Nie chciała męża, dla którego nie czuła nic poza szacunkiem, nawet jeśli nocą czasami rozrywało ją pragnienie czułego dotyku.

– Widzę wasz ból. I widzę, że potrzebujecie opieki. Przyjmijcie moją pomoc, a przysięgam, że uczynię wszystko, by dać wam oparcie i pomoc – obiecał komendant zamku.

– Jesteście przyzwoitym człowiekiem. I właśnie dlatego nie mogę przyjąć waszych oświadczeń. Nie byłabym dla was tak dobrą żoną, na jaką zasługujecie – odpowiedziała mu.

„Albowiem nigdy nie mogłabym was szczerze pokochać” – dodała w myśli. Norbert nie wypełniłby miejsca w jej sercu, które zostało puste po odejściu Dytryka. A już na pewno nie syn Norberta, który poślubiwszy tymczasem młodą niewiastę imieniem Zyglinda, zaproponował Klarze, ku jej wielkiemu wzburzeniu, że czasami odwiedzi ją w łożu.

Powinna się przyzwycząić, że mężczyźni widzieli w niej łatwą zdobycz.

„Ja przynajmniej mogłam przeżyć miłość – pomyślała smętnie. – Mam dzieci, które są dla mnie niczym promyki w ciemnościach. Tomasz nie ma nawet pięknych wspomnień, którymi mógłby się pocieszyć.

Nawet w ramionach niewiast, które wpuszczały go do swego łoża w nadziei, że uda im się go zatrzymać, zdawał się niezdolny do odczuwania prawdziwej miłości. Jedynie kilka chwil dla zaspokojenia głodu, ale żadnego światła ani ciepła do życia”.

– Rozpytam się, może się czegoś dowiem – powiedział Tomasz i wyszedł, uśmiechnąwszy się z przymusem. Miał zamiar pójść do stajni i wypytać parobków o dziwnego gościa, ale najpierw chciał posłać do Klary Lizę z dziećmi. Maluchy wciąż były najlepszym lekarstwem, rozpraszającym ponure myśli Klary.

Łukasz wiedział, że nie ma sposobu, by zataić przed Martą przedsięwzięcie, które powzięli razem z Rajmundem, zatem nawet nie próbował tego robić. Poza tym cenił jej rady. Wiedział też, że mimo obaw nie będzie go odwodziła od jego planów. Już wiele lat temu pojęła, że ta chwila kiedyś nadejdzie.

– Chcę mieć przy sobie Tomasza – oznajmił, gdy już zrelacjonował jej szczegóły wizyty u Rajmunda. Spodziewał się, że zaprotestuje, jednak ku jego zaskoczeniu powiedziała:

– Nie wybaczyłby ci, gdybyś go nie zabrał.

Później do niego podeszła i położyła rękę na jego policzku.

– Uważaj na niego. I na siebie!

– Czyż nie robię tego zawsze? – roześmiał się.

Marta nie dała się sprowokować. Nie chciała się teraz kłócić o jego skłonności do bagatelizowania niektórych rzeczy. A już z całą pewnością nie potrafiłaby żartować na temat jego zamierzenia.

Zamiast tego objęła go za szyję i przytuliła do siebie.

– Uwolnijcie kraj od tego potwora! – powiedziała cicho.

Stali przytuleni do siebie, aż w końcu Marta oderwała się od niego.

– Tym razem nie mogę wam towarzyszyć. Gdyby we Freibergu ktoś mnie rozpoznał, całe przedsięwzięcie zakończyłoby się fiaskiem. I musicie szybko działać, także w drodze powrotnej.

„Jeśli w ogóle będzie droga powrotu” – pomyślała ze ściśniętym sercem, ale nic nie powiedziała.

Jej myśli z szaleńczą determinacją poszukiwały możliwości, żeby pomóc Łukaszowi. Ale nic jej nie przychodziło do głowy. Wobec tego musiała zostawić całą sprawę w rękach mężczyzn i zaufać Bogu.

Czyż istniało cokolwiek gorszego od beczynności w momencie, gdy najukochańszy człowiek wyruszał na tak ryzykowną wyprawę?

Ku zaskoczeniu Marty, Łukasz ukląkł przed nią i popatrzył osobliwie poważnym wzrokiem.

– Moja ukochana, zaufana, moja towarzyszkko. Czy dasz mi swe błogosławieństwo?

Marta bez słowa położyła ręce na jego ramionach i przymknęła oczy.

## Wyznania

W kolejnych dniach Łukasz i Rajmund dopracowywali swój plan i wysłali do Freibergu posłańca z tajnymi listami, a także zbierali po kryjomu sojuszników. Rajmund wiedział, że wśród miśnieńskiego rycerstwa było wielu ludzi, którzy walczyli z myślami, czy powinni dochować wierności Albrechtowi. Było wiele przyczyn takiego stanu rzeczy, między innymi obrabowanie klasztoru, egzekucja Rajnharda i Lotara oraz oślepienie cesarskiego ministeriała. Jednakże Rajmund od dawna nie przebywał na miśnieńskim dworze, toteż musieli dokładnie rozważyć, komu mogli zaufać.

Tomasz z miejsca zgodził się na udział w przedsięwzięciu. Synowie Norberta też chcieli im towarzyszyć, ale Łukasz się nie zgodził. Nie chciał wplątywać w tę sprawę Weissenfels, a tym samym

Dytryka.

Łukasz i Rajmund wyjechali na kilka dni i zaryzykowali wizytę w Marchii Miśnieńskiej. Dawid i Georg bez wahania się zgodzili, podobnie jak bracia z Nossen i Słowianin Borys ze Zboru.

Gdy Gerald zgodnie z obietnicą przysłał młodego Johannesa z wiadomością o zbliżającym się przyjeździe Albrechta do Freibergu, zebrali już grupę tuzina zdecydowanych mężczyzn. Chcieli wyruszyć jeszcze tej samej nocy i spotkać się w pobliżu Freibergu.

– Czas pójść do Dytryka – zdecydował Łukasz.

Dla bezpieczeństwa hrabiego odrzucił propozycję przyjaciela, który chciał mu towarzyszyć.

– To będzie rozmowa, która nigdy się nie odbyła.

Wstał, położył rękę na ramieniu Rajmunda i jednym spojrzeniem powiedzieli sobie wszystko, o czym teraz myśleli. Byli gotowi zbuntować się zbrojnie przeciwko Bożemu porządkowi i zaryzykować życie za przedsięwzięcie, które przed sądem nie dawało im szansy na łaskę, gdyby udało im się wyjść z tego cało. Nie mieli odwrotu.

– Posłuszeństwo ma swoje granice – powiedział Łukasz z goryczą, a następnie wstał i skierował się do drzwi.

W tym momencie rozległo się pukanie. Wszedł Daniel, najmłodszy syn Marty i Chrystiana, który od święta Zesłania Ducha Świętego był rycerzem.

– Wiem, że razem z Tomaszem wyruszacie niedługo na niebezpieczną misję. Chcę z wami jechać – oznajmił bez wstępu.

Ulżyło mu, gdy już to powiedział, ale nie spuszczał wzroku z ojczyrna. Złaje go czy uszczęśliwiony weźmie w ramiona i zachęci, by z nimi pojechał?

– Co Johannes ci powiedział? – spytał Łukasz bez cienia radości.

– Nic – pospieszył z zapewnieniem Daniel. – W każdym razie nic dokładnego. Ale jeśli on i Tomasz są z wami, to ja też chcę.

Łukasz z wymuszonym spokojem kazał pasierbowi usiąść. Mimo że spieszył się do Dytryka, chciał odbyć tę rozmowę, nie raniąc Daniela bardziej, niż było to konieczne.

– W żadnym wypadku cię nie zabierzemy, to nieodwołalne postanowienie – zaczął, nie chcąc od samego początku wzbudzać w młodym rycerzu złudnej nadziei. – W życiu przyjdzie ci się jeszcze nieraz sprawdzić, ale nie tym razem.

– A Tomasz może jechać! – zaprotestował Daniel.

„Jest taki jak Tomasz sprzed kilku lat – pomyślał Łukasz. – Pełen ideałów i zapału do wykazania się. Ale po gorzkich doświadczeniach wojny Tomasz nigdy więcej taki nie będzie”.

– Twój brat jest nie tylko o kilka lat starszy od ciebie, ale też podczas wyprawy krzyżowej przeżył rzeczy, o których nie masz najmniejszego pojęcia. Dlatego może przyjąć to zadanie bez szkody dla swej duszy – oznajmił twardo Łukasz. – Nasze przedsięwzięcie nie przyniesie nam splendoru. Wielu podniesie krzyk, że splamiliśmy rycerski honor. A jeśli zginiemy, nasze zwłoki zostaną poćwiartowane, spalone i pущzone z wiatrem. Okrzykną nas zdrajcami. Podjęliśmy się tego, by zapobiec jeszcze potężniejszej zdradzie i większej niesprawiedliwości. Jesteś zbyt młody, byś mógł sobie z tym poradzić.

Daniel chciał zaprotestować, ale Łukasz mu nie pozwolił.

– To moje ostatnie słowo. Będiesz miał dość zajęcia, chroniąc matkę i rodzeństwo. Traktuj to jako swój udział w sprawie. I wierz mi, twoje zadanie jest dla mnie niezwykle ważne. A teraz idź i nikomu ani słowa!

Rozżalony, dotknięty i zmieszany Daniel wyszedł z izby.

– Czy przysłuchacie, by mnie wreszcie powiadomić o tajemniczym przedsięwzięciu, które planujecie od

czasu zagadkowej wizyty waszego krewniaka? – zapytał Dytryk, gdy Łukasz poprosił go o poufną rozmowę.

Jeszcze nim wszedł do komnaty, upewnił się, że byli sami. Był późny wieczór, kolacja w głównej sali dobiegła końca, a większość ludzi udała się na spoczynek do łóżek albo na siano.

Łukasz nie był zaskoczony. Dytryk nie był głupcem i chociaż Norbert, który był wtajemniczony w ich plan, nie puścił pary z ust, to hrabia wiedział, że na zamku działo się coś szczególnego. Przyjeżdżali posłańcy, a Łukasz z Rajmundem wyjechali na kilka dni.

– Nie chcę was oszukiwać – odezwał się jego rycerz. – I przysięgam na życie swej żony, że nawet na torturach zaprzeczę, że cokolwiek wiecie o tej sprawie. Dla waszego bezpieczeństwa i dla ochrony waszej reputacji. Ponadto dla spokoju waszej duszy powinniście wiedzieć, że nie proszę o wasze pozwolenie. Podjąłem nieodwołalną decyzję, od której mnie nie odwiedziecie.

Dytryk w milczeniu patrzył na jego twarz. Czy domyślał się, co teraz nastąpi?

– Jeszcze tej nocy wyruszymy z Rajmundem i Tomaszem, żeby razem z kilkoma zdeterminowanymi ludźmi zabić margrabiego miśnieńskiego. Waszego brata. Uczynimy to, bo nie możemy dopuścić, by spalił cały kraj i wymordował jego mieszkańców. Nie ma innego wyjścia.

Zobaczył błysk na twarzy Dytryka. Uniósł rękę i szybko zaczął mówić dalej.

– Nic nie mówcie! Jeśli cokolwiek powiecie, będzie to oznaczało, że przyjęliście sprawę do wiadomości i jesteście współodpowiedzialni, a do tego nie wolno nam dopuścić. Zabijemy go, jeśli Bóg zechce. Zofia z Czech jest przy nadziei, więc Marchia Miśnieńska pozostanie we władaniu rodu Wettynów. Burchard z Salzy będzie przypadkiem przebywał we Freibergu, gdy dojdzie do zamachu. Jeśli nam się powiedzie, wówczas niezwłocznie pojedzie do margrabiego Marchii Wschodniej, by ten przejął opiekę nad Zofią i jej przyszłym dzieckiem. Dzięki temu cesarz nie dostanie pretekstu, by skonfiskować Marchię Miśnieńską jako wygasłe lenno, jeśli Albrecht umrze, lub ustanowić brata Zofii namiestnikiem, wskutek czego przypadłaby Czechom. Wasz kuzyn Konrad może przez ten czas ochronić kraj. Wy nie straciecie Weissenfels, a wielu ludzi zachowa życie, choć zostaliby skazani na śmierć.

Łukasz nie zostawił Dytrykowi czasu na odpowiedź i poszedł do drzwi. Ale nim opuścił komnatę, jeszcze raz się odwrócił.

– Byłbym wam wdzięczny, gdybyście udzielili mej żonie i dzieciom ochrony i schronienia na wypadek, gdybym nie wrócił – powiedział i wyszedł na dobre.

Teraz zostało mu jedynie pożegnanie z Martą. I było ono prawdopodobnie najtrudniejszą rzeczą w całym przedsięwzięciu.

Wprawdzie zaplanowali, jak się dostaną na zamek we Freibergu, by zabić Albrechta, ale powrotu nie dało się przewidzieć. A szanse mieli na to niewielkie.

Długo po wyjściu Łukasza Dytryk siedział bez ruchu.

Nie mógł uporządkować myśli. Czy powinien przyznać, że przemyślenia przyjaciela układały się w doskonałą, logiczną całość i nie było innego sposobu, by powstrzymać jego brata?

Powinien być wdzięczny, że Łukasz zdecydował się działać, podjął się tego, czego on z wielu różnych względów nie mógł uczynić?

Bardziej niż kiedykolwiek dotąd pragnąłby zapytać o radę Chrystiana, mężczyznę, który go wychował na rycerza i wpoił nie tylko sztukę fechtunku.

„Co byś zrobił?” – zapytał, jakby ten zamordowany na rozkaz Albrechta człowiek, który od ponad dziesięciu lat nie żył, mógł mu udzielić odpowiedzi.

„Taka jest wola Boga, że Albrecht włada Marchią Miśnieńską. Ale czy Bóg mógł chcieć, by spustoszył kraj? Bóg przymknął oko na zamordowanie Chrystiana. Bóg pozwolił na cierpienie i śmierć tysięcy ludzi,

które spadły na nas w drodze do Ziemi Świętej. Nawet patrzył, jak mój brat rabuje skarb z ołtarza klasztoru. Za to piorun powinien trafić w niegodziwca. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Czy zatem Bóg wystawił nas na próbę? Nasze posłuszeństwo?

A może lekceważeniem karze nas za nasze grzechy? Czy dlatego Jerozolima dostała się w ręce niewiernych?

A teraz przyjmuję na swe sumienie bratobójstwo.

Nie ma znaczenia, że Łukasz chce wziąć całą winę na siebie. Wiem o tym, a więc jestem tak samo winien. Jakbym sam podniósł miecz.

Łukaszu, mój przebiegły przyjacielu... Zawsze byłeś gotów zboczyć kawałek z prawej drogi w obronie bliskich ludzi. Dla Chrystiana coś takiego nigdy nie wchodziło w rachubę. Właśnie dlatego umarł. Lecz tym razem twój podstęp się nie powiódł, nie uczynię bowiem nic, by ci przeszkodzić. Zatem zezwalam na to.

Czy rzeczywiście nie ma innego sposobu?

Wiem o tym od dawna, chociaż nie chciałem tego sam przed sobą przyznać. W przeciwnym razie czeka nas wojna, okrutniejsza i bardziej krwawa od wszystkich, które mój brat dotychczas wywołał.

Chrystianie, co byś zrobił na moim miejscu?

Może ostatecznie pojechałbyś nawet jako pierwszy? Zawsze ryzykowałeś życie, by ratować niewinnych.

A Łukasz postawił na szali nie tylko swe życie, lecz także swoją nieśmiertelną duszę”.

Gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi, Dytryk nadal siedział tak, jak zostawił go Łukasz.

– Mój małżonku, czy mogę wejść? – zawołała cicho przez drzwi Jutta.

Dytryk przejechał palcami po włosach, po czym wstał i wpuścił swą dziecinną żonę. Zmarszczył czoło, dostrzegłszy, że pod peleryną miała jedynie cienkie gieźło<sup>18</sup>. Jej włosy były wprawdzie przykryte welonem, ale nie splecione jak zazwyczaj, tylko puszczone luźno.

– Od wielu dni jesteście przygnębieni – zaczęła Jutta, gdy zamknął za nią drzwi.

Naturalnie. Od dłuższego czasu czuł, co się działo, a teraz miało się przeobrazić w czyn!

– Chętnie was rozweselę... i ukoję wasze smutki... jeśli zechcecie przyjąć ode mnie pociechę – ciągnęła z wahaniem Jutta, patrząc na niego z cieniem obawy. – Może zechcecie otworzyć przede mną serce? Obiecuję milczenie. Czyż małżonkowie nie powinni dzielić ze sobą radości i smutków?

Posłał jej uśmiech, chociaż zupełnie nie było mu do śmiechu. Gdzie się podziały jego zapał i zdecydowanie, skoro trzynastolatka oferuje mu pomoc? Jemu, doświadczonemu mężczyźnie i żołnierzowi.

Nie mógł jej powiedzieć o tym, co go dręczyło.

– Czyż nie powinno być odwrotnie? Czy to nie wy powinniście otworzyć przede mną serce, gdy coś was trapi? – uprzejmie odwzajemnił pytanie, by jej nie urazić.

– Naprawdę chcecie wiedzieć, co mnie martwi? – podjęła Jutta z lekkim wyrzutem.

Jednocześnie przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Rzecz jasna. Czy brakuje wam czegoś? Tęsknicie za Turyngią? Może chcielibyście odwiedzić waszego ojca i siostrę? W takim razie zaraz jutro wydam stosowne polecenia.

Może w obliczu tego, co mogło ich spotkać w najbliższych dniach, byłoby dla bezpieczeństwa Jutty nawet lepiej, gdyby ją wysłał do Turyngii?

– Nie, nie o to chodzi – odrzekła. – Wszyscy traktują mnie bardzo uprzejmie i starają się, żeby mi niczego nie zabrakło. Ale...

Zagryzła wargę i szukała w myślach odpowiednich słów.



– Wiem, że nie chcieliście mnie poślubić. Nie, nie zaprzeczajcie, nie musicie kłamać, by oszczędzić mi przykrości. Nie jestem małym, głupim dzieckiem. A ponieważ jesteśmy małżeństwem już prawie od roku... Chcę być w całości waszą małżonką. Także w nocy. Nie powinniście rezygnować z tego, co się należy żonatemu mężczyźnie.

Teraz do oczu napłynęły jej łzy.

Dytryk był jednocześnie wzruszony i przerażony jej żądaniem.

– To bardzo wielkoduszne z waszej strony – powiedział i pocałował ją w czoło. – I bardzo dzielne. Jednakże podajecie w wątpliwość me poczucie honoru, jeśli sądzicie, że nie zaczekam, aż naprawdę staniecie się kobietą.

Jutta cofnęła się o krok, urażona i zrozpaczona.

– Dlaczego mnie odpychacie? Chcę być dla was dobrą małżonką. By wam wynagrodzić, że musieliście poślubić kogoś, do kogo nie czujecie sympatii. Co mam uczynić, byście mnie pokochali?

Teraz Dytryk ujął jej dłoń i ucałował ją.

– Mą sympatię macie od dawna, przysięgam – oświadczył z wielką powagą. – A miłość się pojawi, gdy zaczniemy dzielić ze sobą łożę. Ale dopiero gdy będziecie w wieku odpowiednim do noszenia pod sercem dziecka bez uszczerbku dla waszego zdrowia. A teraz wracajcie do łóżka i odpocznijcie.

Odprowadził ją do drzwi i poczekał, aż znikła w swojej komnacie. Później wrócił do siebie, usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach.

Dlaczego nie mógł mieć teraz przy sobie Klary? Tak bardzo mu jej brakowało!

Podszedł do okna, odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Kiedyś był człowiekiem czynu, szybko podejmował decyzje, przeciwnicy bali się go w pojedynkach i sprawdził się w bitwach.

Teraz stał sparaliżowany przez bezradność. Nie wolno mu było kochać kobiety, której oddał całe swoje serce, i nie mógł uszczęśliwić tej, którą poślubił. I nie potrafił obronić swego kraju inaczej, niż pozwalając porządnemu człowiekowi przyjąć na siebie grzech, za który to on powinien odpowiedzieć jako morderca własnego brata. W raptownym ataku gniewu i rozpaczony uderzył pięścią w ścianę, wydając przy tym wściekły okrzyk.

## *Freiberg, 24 czerwca 1195*

Tuzin jeźdźców w pełnym uzbrojeniu zbliżał się do kuźni Karola, kowala zajmującego się wyrobem górniczych narzędzi, położonej na wschód od Freibergu, między kopalnią a stołami sortowniczymi. Dowódca konnej grupy zeskoczył z siodła i zaprowadził konia do kowala. Może poluzowała mu się podkova, a właściciel zwierzęcia chciał od ręki naprawić uszkodzenie.

Faktem, że rycerze nie mieli przy sobie giermków ani konnych pachołków, nie zaprzętała sobie głowy żadna z kobiet pracujących przy stojącym jakieś sto metrów dalej najbliższym stole sortowniczym. Na odległość nie dało się tego tak dokładnie zauważyć, a poza tym w obecności panów wyższego stanu wszystkie wolały spuścić oczy i nie zwracać na siebie uwagi. Szczególnie że przybysze nosili zbroje i mieli przy sobie mnóstwo broni. Toteż kobiety i dzieci nadal znużone i obojętne waliły młotkami w kamienie, które musiały zostać rozbite przed wytopieniem w piecu metalu, przeklinając upał i kurz, który utrudniał im oddychanie. Miały nadzieję, że zbrojni nie zwrócą na nie uwagi, już bowiem wielokrotnie zdarzały się tutaj przeróżne incydenty ze szlachetnymi panami.

Karol zauważył jeźdźców i natychmiast odesłał swoich pomocników. Kowal wydawał się tak

podekscytowany, jak rzadko kiedy.

– Nie możecie pójść tajną trasą do głównej wieży zamku! – wyszeptał gwałtownie, pocierając umazaną sadzą twarz. – Był zawał. Razem z kilkoma zaufanymi ludźmi przez całą noc próbowaliśmy uprzętnąć korytarz, ale nie zdołaliśmy się przebić. Nikt nie wie, jaki odcinek korytarza zasypało.

Na tę wiadomość Łukaszowi zrobiło się mdło w żołądku. Wobec tego upadł jego plan potajemnego przedostania się do zamku.

Potajemne podziemne przejście do lochu w zamkowej wieży zostało na jego polecenie wydrążone ponad dziesięć lat temu, gdy Albrecht kazał uwięzić Chrystiana na podstawie oszczerczego oskarżenia. Łukasz przygotował dla przyjaciela drogę ucieczki, ponieważ się obawiał, że Albrecht rozkaże stracić Chrystiana. Ale Chrystian odmówił i poszedł na śmierć. Jego ucieczkę wielu zakładników przypłaciłoby życiem, a on nie chciał wziąć na siebie winy za ich śmierć.

Nikt poza ludźmi, którzy drążyli podziemny korytarz, nie miał pojęcia o jego istnieniu. Łukasz miał nadzieję, że tak było w istocie.

Czyżby kasztelan odkrył przejście i kazał je zasypać? Może nawet zostali zdradzeni i na zamku już na nich czekano? A może po prostu zdarzył się nieszczęśliwy zbieg okoliczności i nastąpił zawał, podobny do tych, jakie co jakiś czas przytrafiały się w kopalniach?

„Powinniśmy byli zabezpieczyć korytarz stemplami” – pomyślał wściekły na siebie Łukasz. Jednak wtedy nie było wiele czasu na przygotowanie pomocy, a później mieli pilniejsze zmartwienia. Śmierć Chrystiana, uprowadzenie Marty i krwawe wydarzenia, gdy starali się ją uwolnić, których omal sam nie przypłacił życiem.

Kilku mężczyzn, którzy mu wówczas towarzyszyli i wykazali ogromną odwagę, dziś również jechało u jego boku.

– Myślisz, że zostaliśmy zdradzeni? – zapytał Rajmund. – Jak teraz dostaniemy się do zamku?

– Uwaga, goście! – zawołał Piotr z Nossen.

Mężczyźni mimowolnie się spięli. Zaraz się okaże, czy ich przedsięwzięcie zakończy się krwawo już w tym miejscu.

To był Gerald. Przyjechał sam.

– Trzeba zmienić strategię. Nie dostaniemy się do zamku drogą, którą planowaliśmy. Musisz nas jakoś wprowadzić – powiedział Łukasz do szwagra.

– Przez bramę miasta może udałoby mi się was wprowadzić bez większych kłopotów – odrzekł ten zaniepokojony. – Jednak na zamku zastrzyli czujność. Natychmiast by was rozpoznano! Lepiej znikajcie stąd i poczekajcie w ukryciu, aż się ściemni. Nocą wpuszczę was przez jedno z tajnych przejść od północnej strony.

Chrystian przez kilka lat piastował funkcję wójta na zamku we Freibergu, a Łukasz dowodził strażą, toteż dobrze znał ukryte wejścia.

Łukasz szybko porozumiał się wzrokiem z Rajmundem i pokręcił głową.

– Jeśli już muszę zabić tak wysoko postawionego człowieka, to nie uczynię tego skrytobójczo nocą w jego łóżku. Choć tyle honoru musisz mi zostawić.

Gerald wywrócił oczami i niecierpliwie ściągnął cugle, żeby uspokoić drepczącego w miejscu konia.

– Nie ma czasu na takie wątpliwości! Do jutra rana musi być po wszystkim – naciskał. – Jutro po śniadaniu Albrecht chce wyruszyć do Miśni, zabierając ze sobą całe srebro ze skarbcza. Wcześniej zaś zamierza wydać rozkaz zburzenia wszystkich umocnień. W takim razie wystawicie bezbronny Freiberg i jego mieszkańców na ataki złodziejasków i łupieżców, którzy będą mieli nadzieję, że sobie przywłaszczą bogactwa miasta, oraz wojska cesarza, jeśli ten rzeczywiście rozpocznie wojnę przeciwko Marchii Miśnieńskiej.

– Jeśli znajdą rano Albrechta i jego strażników martwych, leżących na ziemi, wówczas rozpocznie się akcja odwetowa przeciwko mieszkańcom miasta – zaproponował Rajmund. – Trzeba, żeby nas poznali, wtedy będzie jasne, że tutejsi mieszkańcy nie mają z tym nic wspólnego.

– Zatem jeśli i tak nie możemy dostać się do zamku potajemnie, powinniśmy otwarcie wejść do środka – powiedział Łukasz i posłał Rajmundowi krzywy uśmiech.

Przyjaciel domyślał się, na czym polegał jego plan. „Marta urządzi nam za to piekło – pomyślał. – Elżbieta też, o ile coś z nas jeszcze zostanie. Będę się modlił do świętego Jerzego, żeby jego szwagier nas nie zdradził”.

– Sumiennemu marszałkowi udało się pojmać dwóch od dawna poszukiwanych zdrajców – oznajmił Łukasz swoim towarzyszom i wskazał na siebie i na Rajmunda. – Wy wszyscy należycie do grupy dzielnych mężczyzn, których Gerald wybrał do wykonania tej szczególnej akcji. Obezwładniliście nas, a teraz pilnujcie w drodze do zamku.

Po tych słowach wręczył osłupiałemu szwagrowi miecz i hełm, schował sztylet pod przeszywanicę, a następnie wyciągnął przed siebie ręce, by mogli go związać.

– Szalenie odważne – szepnął z tyłu skonsternowany Georg.

– To śmiałe posunięcie, ale ma szanse powodzenia – zaproponował Borys ze Zboru, barczysty rycerz o niskim głosie i błyszczących, niebieskich oczach. – Dzięki temu nie musimy się przedzierać przez bramę miasta, może nawet bez kłopotu dostaniemy się do samego palatium.

– Dziękuję za zaufanie – powiedział cicho do szwagra Gerald. – Wiem, że na razie nie zasłużyłem sobie na nie.

– Zatem zasłuż teraz! – odrzekł twardo Łukasz.

Gerald zawiązał supły i poprosił Łukasza, by sprawdził, czy zdoła się z nich szybko uwolnić. Później Rajmundowi też związał ręce. Na polecenie Łukasza Tomasz ustawił swego konia pośrodku grupy jeźdźców. Tym razem również zostawił w Weissenfels Dragona, który zbyt zwracał na siebie uwagę. Mogli mieć tylko nadzieję, że syn Chrystiana nie zostanie na razie rozpoznany. Misiurka i hełm przykrywały dużą część twarzy. Łukasz nie chciał, by syn Marty i Chrystiana wystąpił w tak samo bezbronny sposób, w jakim on z Rajmundem z konieczności się teraz znaleźli. Gdyby przedsięwzięcie się nie powiodło, Tomasz powinien móc uciec.

Wysłali Karola przodem, by poinformował ich tajnych sprzymierzeńców na zamku o nieoczekiwanej zmianie sytuacji. Kowal przygotował wcześniej kilka uzd, by mieć pretekst do odwiedzenia koniuszego. Narzędzia górnicze nie były dziś dla niego aż tak ważne.

Łukasz i jego towarzysze odczekali, aż Karol minął bramę w Wieży Donatusa. Każdy z nich po cichu się modlił. Później ruszyli w kierunku Bramy Miśnieńskiej, Gerald na czele, a w środku obaj domniemani jeńcy.

Na widok uzbrojonego oddziału mieszkańcy miasta, którzy w ów słoneczny dzień czerwca kręcili się po uliczkach, kupując na straganach chleb i mięso i odwiedzając rzemieślników w dzielnicy przy kościele Świętego Mikołaja, czym prędzej ulotnili się w boczne zaułki.

– Czy to przypadkiem nie pan Łukasz? – usłyszał wystraszone wołanie Łukasz. – Jednak go pojмали? A co z Martą?

Spojrzał w prawo i zauważył żonę szmuklerza, który w dniu sądu zorganizowanego przez Albrechta dzięki ostrzeżeniu Piotra zdążył w porę ukryć córkę.

Łzy płynęły jej po policzkach. Przeżegnała się i nie spuszczała go z oczu. Z jej ust wyczytał bezgłośnie: „niech Bóg ma was w swojej opiece”.

Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek zrozumiał, ale zrobiło mu się ciepło na sercu. Mimo pięciu lat spędzonych na wygnaniu nie zapomniano o nich we Freibergu. Kątem oka dostrzegł, że kobieta pobiegła

gdzieś w rozwianej sukni. Kto wie, komu opowie o tym spotkaniu.

Minęli katedrę Najświętszej Marii Panny, największy kościół w mieście, który był jeszcze w budowie. Kamieniarze ukradkiem i z nieufnością przyglądali się grupie rycerzy, którym słaby wiatr wiał w oczy drobnym kurzem.

Łukasz chłonał oczami wszystkie napotkane widoki. Może oglądał to wszystko po raz ostatni? Niezwykle wolno zbliżali się do bramy zamku, nie chcąc wzbudzać podejrzeń w strażnikach stojących na murach. Ponieważ Gerald jechał na czele, pochód bez najmniejszych problemów przedostał się przez bramę. Wartownicy nie widzieli potrzeby sprawdzania grupy dowodzonej przez marszałka.

Na dziedzińcu zsiadli z koni. Koniuszy Chrystian wszystko tak przygotował, by samemu odebrać ogiera Łukasza.

– Niech Bóg was chroni! Wszyscy się modlimy, żeby wasz plan się powiódł – szepnął do niego. – Gdyby na zewnątrz doszło do walki, jesteśmy w gotowości.

Łukasz nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, kto mógł ich obserwować. Ponadto na dziedzińcu zauważył Rutgera, który pilnował batożonego pachółka, a teraz zwrócił na przybyszów zaciekawione spojrzenie.

– Spójrzcie, jaka zdobycz nam się trafiła! – Gerald wskazał z dumą na dwóch związanych jeńców. – Zaprowadzę ich do palatium, do waszego ojca i księcia Albrechta. Tymczasem zbierzcie tutaj wszystkich dostępnych strażników i przypilnujcie, by nikt nie wszedł do środka. Ich przyjaciele na pewno zebrali już ludzi i jadą uwolnić tych zdrajców. A chyba tak samo jak ja nie chcecie, by uniknęli zasłużonej kary?

„Świetne posunięcie – pochwalił w myśli Łukasz. – Dzięki temu zszedł nam z drogi nie tylko nadgorliwy Rutger, ale na razie zostali nam jedynie ludzie z przybocznej straży, którzy przebywają teraz w pałacu. Rutger wypełni polecenie Geralda z ogromną żarliwością i najskrupulatniej, jak potrafi. Najważniejsze, żeby nie rozpoznano Tomasza”.

Jednak dwaj więźniowie marszałka pochłonęli całą uwagę Rutgera.

– Cóż za wyborna chwila! Łukasz z Freibergu i Rajmund z Muldental – zatriumfował syn Randolfa. – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Z całej siły uderzył Łukasza pięścią w twarz.

– To dla ciebie – zadyszał i wymierzył ponowny cios. – A to dla tego bękarta, twego pasierba.

Łukasz się otrząsnął, by odzyskać jasność myśli. Z rozciętej wargi płynęła mu krew, a oko zapewne mu napuchnie. Za to jego nie najlepszy wygląd uprawdopodobni całą historię. „Mam nadzieję, że Tomasz nie straci teraz opanowania – pomyślał. – Jeśli ten szczur Rutger go rozpozna, to wszystko się wyda”.

Ale Tomasz stał spokojnie pośrodku grupy.

– Zostawcie trochę dla innych, kapitanie – zakpił Gerald i wskazał głową zamek. – Tam w środku jeszcze kilka osób pragnie z nim pogawędzić. Przede wszystkim wasz ojczym, jak sądzę. No i oczywiście księżę Albrecht.

– Z przyjemnością, marszałku – zapewnił Rutger i roześmiał się złośliwie. – Mam nadzieję, że wybiorą dla tego tutaj jakąś szczególnie bolesną śmierć. Dla Muldentalczyka też – dodał i pogardliwie splunął Rajmundowi pod nogi.

– Tak, dzisiejszy dzień będzie bez wątpienia niezwykle interesujący – stwierdził wieloznacznie Gerald. – Polegam na was, ufam, że odpowiednio zabezpieczycie wejście do palatium, Rutgerze. Nieważne, co się stanie, nikt nie może wejść ani wyjść! I każcie ludziom obserwować okolicę, niech pilnują, czy do zamku nie zbliżają się jakieś podejrzane grupy!

– Wasz rozkaz jest u mnie w najlepszych rękach – obiecał Rutger, a następnie odszedł dumnym krokiem, by wydać instrukcje.

„Tego pawia mamy na razie z głowy – pomyślał z ulgą Łukasz. – A strażnicy będą wypatrywać

ewentualnych napastników na gankach obronnych, co odwróci ich uwagę od zamku”.

Wypluł krew i sprawdził językiem zęb, który od ciosu trochę się obruszał. Później znów zerknął na Tomasza. Emanował wzorowym spokojem. Niemniej jego lodowata mina nie wróżyła Rutgerowi nic dobrego, jeśli zdołają wydostać się żywi z palatium.

Ale najpierw musieli wejść do środka.

Wiadomość o pojmaniu obu buntowników szybko obiegła dziedziniec. Łukasz zignorował spojrzenia strażników, którzy jeszcze kilka lat temu stali pod jego rozkazami. Udawał, że utyka, gdy pozornie surowa eskorta prowadziła go razem z Rajmundem do zamku.

Gdy weszli do sali, Gerald kazał zaryglować drzwi. Podobnie jak Łukasz, on też od razu oszacował wzrokiem liczbę uzbrojonych wartowników. „Gdyby przynajmniej połowa z nich nie włączyła się w sprawę, wówczas mogłoby nam się udać” – pomyślał.

Ale coś w zachowaniu mężczyzn go zaniepokoiło. Na przybycie marszałka nie zareagowali tak, jak można się było spodziewać. I nikt nie siedział przy stołach. Wszyscy stali i zdawali się czekać w gotowości.

– Co się tu dzieje?! – krzyknął Gerald. – Gdzie księżę Albrecht? Przychodzę z dwoma naprawdę ważnymi...

– Degustator skręca się z bólu na podłodze... – wyjąkał giermek stojący niedaleko niego, widocznie wytrącony z równowagi. – Śniadanie musiało być zatrute.

Nim Gerald zdążył odpowiedzieć, ze schodów zbiegł Elmar.

– Gdzie ten nędzny alchemik z odtrutką?! – wrzasnął.

– Tu! – zapiszczał wysuszony, siwy astrolog z podestu tylnych schodów prowadzących do piwnicy. – Te ciamajdy nie chcą mnie przepuścić.

Elmar krzyknął na strażników i kazał im wpuścić magistra.

– Schowajcie się za innymi! – szepnął Gerald do rzekomych jeńców.

Podał stojącemu obok niego Tammowi ich miecze, a ten niepostrzeżenie przekazał je dalej. Z ulgą zauważył, że Dawid włożył hełm na głowę Łukasza, by go nie rozpoznano.

Następnie marszałek wystąpił trzy kroki do przodu, chcąc odwrócić uwagę od swych dwóch towarzyszy.

– Wszyscy w sali zostają na swoich miejscach, nikt się nie rusza! Dowiemy się, kto wmieszał truciznę! – huknął gromkim głosem.

Kasztelan opadł na kolana i załamując ręce, zapewniał o swej niewinności. Jednak Gerald go wyminął. Później wykorzysta strach byczokarkiego zarządcy. Najpierw powinien się na własne oczy przekonać, jak się miewa Albrecht.

Gruba Ida, która z okazji wizyty margrabiego przywdziała jaskrawożółtą suknię, z płaczem rzuciła się mężowi na szyję.

– Obarczą nas winą, a przecież jesteśmy niewinni... – biadoliła przenikliwym głosem.

Napięty do granic możliwości Gerald spiesznie wszedł po schodach za Elmarem i alchemikiem. Weszli do komnaty Albrechta. Za nimi szedł młody służący alchemika. Był wystraszony i nie odważył się podnieść wzroku.

## *Godzina przeznaczenia*

Margrabia klęczał skulony na ziemi z popielatoszarą twarzą. Cały był zlany potem, a jego tułowiem wstrząsały dreszcze.

Zofia ze skamieniałą miną siedziała na brzegu łoża, rękami mocno obejmowała swoje ciało i wpatrywała się w wijącego się z bólu męża.

Elmar popchnął alchemika naprzód. Ten trzymał w ręku kubek zdobiony zawikłymi symbolami.

– Proszę, wasza wysokość, oto odtrutka! Unieszkodliwi wszelkie trucizny w waszym ciele, a święte znaki na tym naczyniu spotęgują działanie.

Gorliwie wcisnął Albrechtowi kubek do ręki.

Ten musiał się wysilić, żeby go nie wypuścić. Trząśł się i wylał trochę zawartości. Eustachiusz ostrożnie ujął dłoń margrabiego i pomógł mu się napić.

– Musicie wszystko wypić, wasza wysokość, żeby trucizna się rozpuściła.

– Może sami najpierw skosztujecie, na dowód, że to naprawdę odtrutka, magistrze? – spytał obcesowo Elmar.

Uczony zręcznie wyplątał się z pułapki.

– Jako że nie przyjąłem trucizny, odtrutka by mnie zabiła – argumentował.

– Taki dowód całkowicie by mnie usatysfakcjonował – warknął Elmar.

Albrecht zadławił się boleśnie. Alchemik szybko zabrał mu kubek i odstawił w bezpieczne miejsce. Gerald dostrzegł, że Albrecht zaczął wymiotować krwią, a później, wstrząsany skurczami, opadł na podłogę. Był przekonany, że żaden eliksir nie zdoła uratować Albrechta. Nie będzie potrzeby zabijając go mieczem. Ktoś ich uprzedził.

Teraz należało zadbać, by Łukasz, Rajmund i Tomasz bez szwanku opuścili zamek, a następnie zapobiec możliwym akcjom odwetowym wobec mieszkańców miasta.

Wytrącony z równowagi Elmar oparł się o ścianę i wlepił oczy w księcia.

– Czy księżna też jadła zatrutą potrawę? – spytał go cicho Gerald.

– Wydaje się, że nie. Zjadła jedynie trochę białego pieczywa, ze względu na swe nudności – wysyczał przez zęby Elmar. – Nie wiemy, w której potrawie była trucizna i kto ją podał. Ale się dowiemy, choćbym musiał w tym celu powiesić pół miasta!

Podszedł do Albrechta targanego spazmami bólu, by pomóc mu usiąść.

– Wypijcie odtrutkę! – powiedział błagalnie, a następnie go wsparł i przystawił mu kubek do ust.

Jeśli Albrecht umrze, wówczas dzieło całego jego życia pójdzie na marne, straci pozycję drugiego najbardziej wpływowego człowieka w Marchii Miśnieńskiej, utraci wszystko – władzę, pieniądze, ziemię.

– Starajcie się każdy łyk zatrzymać w żołądku! – odezwał się ciekłym głosem alchemik. – W przeciwnym razie nie zadziała.

Eustachiusz ze starannie skrywanym triumfem przyglądał się, jak stolnik, jego najzacieklejszy wróg na dworze w Miśni, wsączał Albrechtowi do ust rzekomą odtrutkę. W rzeczywistości zawartość kubka zawierała trzy razy tyle arszeniku, co mięso podane na śniadanie.

Albrecht z wysiłkiem starał się pójść za nieumyślnie udzieloną złą radą Elmara. Jednakże jego spazmatyczne ruchy i przenikliwy fetor świadczyły o tym, że jego jelita zaczęły się opróżniać.

Tymczasem Zofia również sprawiała wrażenie, że nie zdoła powstrzymać wymiotów. Eustachiusz rzucił jej badawcze spojrzenie. Ale jej mdłości były raczej skutkiem ciąży oraz obrzydzenia wywołanego smrodem.

Rozważał, czy i jej nie powinien zabić. Alchemik był świadom, że w obecnych okolicznościach błogosławiony stan Zofii tak czy inaczej oznaczał dla niej wyrok śmierci. Gdyby nie ryzyko, że po śmierci Albrechta wyda na świat spadkobiercę Wettyna, być może pozbyto by się jej w jakiś

łagodniejszy sposób. Lecz to dziecko nie mogło się nigdy narodzić. Jednakże jego mocodawca zapłacił tylko za jedno morderstwo. Na następne, a dokładniej mówiąc podwójne morderstwo, bo Zofia była przecież w ciąży, jego pan powinien mu dać wyraźne zlecenie, a tym samym wziąć na siebie winę. I oczywiście wypłacić dodatkowe honorarium.

I tak Zofia otrzyma w najlepszym razie jeszcze cztery tygodnie swego marnego żywota. Czas na pogrzebanie znieawidzonego małżonka i zastanowienie się nad własnymi grzechami. W końcu od lat życzyła mu właśnie takiego losu, mimo że nie miała dość energii, by coś w tej materii uczynić. Jednak bezsprzecznie przyczyniła się do śmierci żony marszałka. Zatem spotka ją jedynie to, co zrobiła innym. Albrecht znów zaczął się krztusić i dostał torsji.

– Hugold! – zawołał na swego służącego Eustachiusz. – Więcej eliksiru, żywo!

Młody pomocnik głęboko się skłonił i pospiesznie wybiegł.

– Te pyski... piekielne pyski!

Albrecht z jękiem wskazał na ścianę, na której absolutnie nic nie było widać.

Elmar ukląkł obok niego i przyłożył mu rękę do czoła. Było lodowato zimne, mimo że połyskiwały na nim krople potu.

– Tam nic nie ma, mój książę... Trucizna wzbudziła w was omamy – próbował go uspokoić.

Zapukano do drzwi i do środka wszedł wystraszony Hugold. Podał magistrowi wąski flakon, a ten napełnił kubek.

– Wlejcie mu to do ust, inaczej nie przeżyje! – zaklinał Eustachiusz stolnika.

Jednocześnie udało mu się przywołać na twarz tyle udawanej rozpaczki, że Elmar spełnił jego żądanie.

Nawet ten doświadczony intrygant zrozumiał, że jego lenny pan nie wywinie się śmierci, jeśli nie zdarzy się cud. Ów napój stanowił jedyną nadzieję. Gorzej już być nie mogło, najwyżej lepiej.

Lecz Albrechtem targały coraz silniejsze skurcze, a po jego poszarzałych policzkach spływały łzy.

Wzburzony Elmar odwrócił się do pozostałych.

– Przeprowadźcie wreszcie księdza! – krzyknął.

Tego zadania podjął się natychmiast Gerald, który nie chciał utracić kontroli nad wejściem do zamku. Zbiegł na dół. Ludzie siedzieli na ławkach i czekali na jakąś dobrą nowinę. Osobiście zaczekał przy drzwiach na przyjście duchownego, starego, chudego mężczyzny z wyniosłą miną, którego wytarty habit roztaczał wokół gryzący smród. Gerald go znał. Był to Sebastian, nadgorliwiec najgorszego rodzaju, który we Freibergu utrudniał, jak tylko mógł, życie Marcie, żonie Łukasza.

Dotarłszy do komnaty Albrechta, klecha popatrzył na księcia, który wił się w cierpieniu, leżąc we własnych ekskrementach i wymiocinach.

– Nie mogę mu udzielić rozgrzeszenia, ponieważ nie jest w stanie wyznać swych grzechów i okazać żalu – oświadczył butnie ojciec Sebastian.

Elmar ostrożnie położył Albrechta, a następnie przyskoczył do śmiertelnie przerażonego księdza i chwycił go za habit pod szyją.

– Na co sobie pozwalasz, ty nędzna kreaturo! – wrzasnął na niego. – Natychmiast rób to, o co cię proszą, albo podetnę ci gardło!

Wyciągnął sztylet i przyłożył go duchownemu do gardła.

– Podnosicie rękę na Bożego sługę... Będziecie się za to smażyć w piekle – wyjąkał Sebastian.

– Możliwe – odwarknął Elmar. – Ale ty trafisz tam przede mną.

Przepełniony strachem Sebastian zerknął w prawo i w lewo, sprawdzając, czy ktoś przyjdzie mu z pomocą w obliczu tak niesłychanego zachowania. Ale nikt nie miał zamiaru przywoływać do opamiętania rozwścieczonego stolnika.

Ksiądz ledwo oddychał z przerażenia, ostrze mogło go bowiem skaleczyć. Czy miał umrzeć jako

męczennik? Wówczas miałby zagwarantowane miejsce w Królestwie Niebieskim.

Elmar zwiększył odrobinę nacisk. Sebastian widział białka jego oczu. Wszystko go bolało od żelaznego uścisku rycerza, który był prawie o dwie głowy wyższy od niego, ćwiczony w walce, nawykły do zabijania i zupełnie wytracony z równowagi.

Gdy po chudych, brudnych nogach popłynęła mu jakaś ciepła ciecz, nieubłagany ojciec pojął wreszcie, że nie nadawał się na męczennika.

– Uczynię to – wyjęczał, a Elmar natychmiast go puścił.

– *Ego te absolvo* – wymamrotał Sebastian, a następnie uczynił znak krzyża i uciekł, póki jeszcze mógł.

Nawet jeśli nie było to ostatnie namaszczenie, jakiego by sobie życzył, Albrecht nieco lepiej się poczuł. Podniósł głowę.

– Do Miśni! Musimy jechać do Miśni! – westchnął.

Zofia, która nie mogła się doczekać chwili, w której będzie mogła opuścić komnatę, natychmiast stanęła na nogi.

– Mój książe, w żadnym wypadku nie możecie w tym stanie odbyć podróży – odważył się sprzeciwić stolnik.

– To rozkaz! – krzyknął Albrecht, nieoczekiwanie głośno jak na swoje położenie.

Zarówno Elmar, jak i Gerald pojęli, że margrabia majaczył. Ale Elmar był zbyt zatroskany, by wyrazić sprzeciw. Gerald stał jak na rozżarzonych węglach. Przez cały czas się zastanawiał, jak długo jeszcze ludzie w głównej sali zachowają spokój i kiedy ktoś wreszcie rozpozna Łukasza.

Pomógł księciu wstać i założył mu na ramiona płaszcz, przykrywając nim wybrudzoną garderobę.

– Poleciałem, by nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano z sali, byśmy mogli odnaleźć winnego – oznajmił Elmarowi. – Pójdź z jego wysokością, a ja tymczasem zajmę się tą sprawą.

– Dobrze – odparł ten ku uldze Geralda.

Poleciał dwóm strażnikom wesprzeć margrabiego, a sam pospieszył przodem.

W sali wszystkie oczy natychmiast skierowały się na stolnika.

– Na naszego księcia dokonano trucicielskiego zamachu, tu we Freibergu! – krzyknął Elmar. – Dzięki Panu Wszchemogącemu nasz władca żyje i chce natychmiast wyruszyć do Miśni. Ale Freiberg zostanie za ten czyn ukarany sądem. Po naszym odjeździe powiesicie całą kuchenną służbę, wszystkich rajców i dwustu dowolnie wybranych zakładników! Później zniszczycie umocnienia. Freiberg będzie skończony.

Gerald stanął obok Elmara i odezwał się z takim samym zdecydowaniem:

– Ale najpierw wypełnicie mój wcześniejszy rozkaz. Do chwili, gdy winny zostanie odnaleziony i wyzna swój uczynek, nikt z was nie opuści sali. A teraz uklękniście przed swym monarchą, margrabią Albrechtem z Miśni, i jego małżonką Zofią.

Mężczyźni na klęczkach patrzyli, jak książe, który trzymał się na nogach wyłącznie dzięki wsparciu dwóch ludzi z przybocznej straży, księżna, stolnik i tuzin strażników przeszło przez salę. Ksiądz w sutannie, która zaczęła już śmierdzieć uryną, wymknął się zaraz za nimi.

Alchemik szedł jako ostatni. Mijając Geralda, zatrzymał się na krótką chwilę.

– Książe nigdy nie dojedzie do Miśni. Macie na to moje słowo, jako jego osobistego medyka. Nie ujedzie nawet dziesięciu mil – szepnął do niego.

*Boża sprawiedliwość*



Gdy tylko Albrecht wyjechał ze swoją asystą, Gerald kazał znów zaryglować drzwi i głęboko odetchnął. Teraz grali o wszystko.

Przywołał do siebie wystraszonego kasztelana.

– Sądzę, że nie chcecie, by zniszczyli zamek. Wasz urząd też przestałby być potrzebny. Zatem stańcie po mojej stronie.

Henryk patrzył na niego zmieszany, ale jego chłopski rozum szybko zrozumiał sytuację.

– Niniejszym unieważniam rozkazy stolnika! – zawołał marszałek głośno na całą salę. – Tak długo, póki Albrecht żyje, nie ma powodu, by karać Freiberg. Znajdę truciciela. A gdyby Albrecht umarł, wówczas urząd stolnika wygaśnie i Elmar nie będzie miał prawa do wydawania takich rozporządzeń.

– Ale wtedy wygaśnie także urząd marszałka, a tym samym wasze dowództwo – zawołał ktoś od strony schodów. Gerald rozpoznał Bertolda, pana wioski sąsiadującej z Freibergiem.

– Jednakże rozkazy tego człowieka nadal będą ważne – odparł, wskazując kasztelana.

– On też jest kasztelanem z łaski Albrechta – zaoponował Konrad, sąsiad i przyjaciel Bertolda, pan na Konradowie.

Krępy Henryk zrozumiał zapewne, że musiał się teraz zdobyć na wszystko, by utrzymać swój urząd. Wyciągnął się, by sprawić wrażenie wyższego.

– Cesarz rozkazał mi chronić zamek. Tak więc, jeśli spróbujecie go zniszczyć, zbuntujecie się przeciwko cesarzowi.

Nie kłamał, chociaż odrobinę przesadził. Cesarz od lat wykazywał zainteresowanie jego tajnymi sprawozdaniami o tym, co się działo w Marchii Miśnieńskiej, a w szczególności w srebrnym mieście Freibergu, zatem trochę naciągając interpretację stanu rzeczy, jak najbardziej miał podstawy twierdzić, że działał w imieniu cesarza.

– Cesarz jest daleko i nikt nie wie, czy mówicie prawdę! – zawołał Bertold. – Dlaczego mielibyśmy złamać rozkazy Elmara?

– Ponieważ w przeciwnym razie zmusimy was do tego siłą – zagroził Borys ze Zboru, dobywając miecza.

Towarzyszący mu rycerze poszli jego śladem.

Łukasz wystąpił trzy kroki naprzód.

– Większość z was broniła tego miasta pod moją komendą! – krzyknął. – Nie pozwólcie, by je zniszczono i wycięto jego mieszkańców!

Jego słowa wywołały zgiełk. Nikt nie spodziewał się Łukasza. Większość nie miała nawet pojęcia, że nadal żył.

– To ty zmieszałeś truciznę! – rzucił ze zdziwieniem pan z Bertoldowa, wskazując na niego oskarżycielskim gestem.

– Wszyscy mnie znacie i wiecie, że nigdy nie sięgnąłbym po truciznę, lecz po miecz – odparł zarzut Łukasz.

Czuł, jak nastrój panujący w sali przechylił się na jego korzyść. Bądź co bądź większość obecnych razem ze swymi rodzinami mieszkała we Freibergu.

– Zachowajcie spokój i stosujcie się do poleceń cesarza i kasztelana. Brońcie zamku i zostawcie w pokoju mieszkańców miasta. A teraz czekajcie na wiadomość i nowe rozkazy!

Ludzie po kolei zajmowali z powrotem miejsca przy swoich stołach.

– Od tej chwili przejmiecie tu w środku dowództwo – nakazał Gerald kasztelanowi. – Musimy opanować sytuację na dziedzińcu.

Henryk pozbierał się zaskakująco szybko. Ida w swej żółtej sukni stała obok niego i wobec tak wielu niespodziewanych wydarzeń po raz pierwszy w życiu zaniemówiła.

– Postaraj się, żeby wszyscy dostali coś do jedzenia! – zawołał do niej mąż. – A kuchmistrz niech się natychmiast u mnie zamelduje. Trzeba jak najszybciej wyjaśnić ten straszny wypadek.

Gerald i Łukasz liczyli na to, że kasztelan przy wsparciu cesarskiego autorytetu zapanuje nad sytuacją. Razem z ludźmi wyszli na zewnątrz, gdzie czekali na nich Kuno i Bertram.

– Czy margrabia jest w drodze do Miśni? – upewnił się Gerald. – Kto z nim pojechał?

– Księżna, jej damy dworu, stolnik, magister i tuzin ludzi z przybocznej straży – opowiadał Kuno. – Nie dał rady jechać konno. Niosą go.

– Czy Elmar przed wyjazdem wydał jakieś rozkazy?

– Nie miał czasu, książę był w bardzo złej kondycji... Zdaje się, że chcieli go szybko zabrać, żeby Albrecht nie wyzionął ducha na oczach całego dworu albo robił dłużej z siebie poniżającego widowiska. Wił się w konwulsjach, niesiony we własnych nieczystościach. Zamienił jedynie kilka słów ze swoim pasierbem.

– A gdzie ten się podziewa?

W tej samej chwili Łukasz zauważył Rutgera, który zbliżał się do nich w towarzystwie komendanta zamku w Seusslitz oraz kilku rycerzy i pachołków należących do jego świty.

– Pojedziecie z nami do miasta, żeby przyciągnąć rajców i kilka tuzinów zakładników?! – zawołał do nich Rutger z wielkim zapalem.

Ale zaraz zauważył, że rzekomi więźniowie nie byli związani, lecz stali za Geraldem z bronią w rękę.

– Wy! – jęknął skonsternowany i wściekły. – Jesteście zdrajcą. A myślałem, że byliście przyjacielem mego ojca!

– Twój ojciec nie ma przyjaciół – odparł gorzko Gerald.

Nie zdążył dokończyć, gdy Rutger rzucił się w jego stronę z obnażonym mieczem.

W następnej chwili między asystą Rutgera a ludźmi Geralda rozgorzała krwawa walka.

Podeszli serwienci pod dowództwem Kunona. Starsi pachołkowie stajenni poszli za Chrystianem, w razie potrzeby gotowi wkroczyć do akcji. Reszta zamkowej załogi czekała na wyjaśnienie, o co w ogóle chodziło. Walka marszałka z dowódcą straży była czymś osobliwym.

Dawid otrzymał śmiertelny sztych i zwałił się na ziemię. Rutger rozłożył go, zadając z impetem środkowe pchnięcie. Georg wydał z siebie okrzyk, w którym zabrzmiało przerażenie i wściekłość, a następnie rzucił się, by pomścić przyjaciela. Łukasz wiedział, że Georg nie da sobie rady z przeciwnikiem, i w ostatniej chwili uratował swego dawnego ucznia przed śmiertelnym ciosem.

– Zbliź się, ty słabeuszu! – zawołał Borys ze Zboru i zaatakował komendanta seusslitzkiego zamku, który go jeszcze nieco przewyższał. Olbrzym zdał się w całości na siłę swego ciała, Słowianin zaś jednym szybkim manewrem wybił mu z ręki miecz i obciął ramię. Strażnik Hedwigi z wrzaskiem upadł na kolana.

Kilka kroków dalej Rutger i Gerald toczyli zaciekły pojedynek. Gdy syn Randolfa znalazł się w opresji, zawołał do pomocy dwóch swoich ludzi, którzy z boku napadli marszałka. Gerald wykonał unik i rozorał jednemu z przeciwników udo, ale w następnej chwili dosięgnął go miecz Rutgera, który wbił marszałkowi ostrze w szyję, a następnie szybkim ruchem wyciągnął broń z ciała konającego, który z bólu otworzył szeroko oczy. Patrzył triumfalnie, jak Gerald z charczeniem upadał na ziemię, a z jego rany wypływała krew.

– Tu nie ma miejsca dla zdrajców! – wysapał, zdyszany po walce.

– Tutaj nie ma miejsca dla oprawców – odezwał się raptem jakiś głos, pod wpływem którego się wzdrygnął.

Nienawistnym wzrokiem spojrzał na Tomasza, który ruszył na niego ze skrwawionym mieczem.

Tymczasem pozostali przestali walczyć. Na dziedzińcu leżał tuzin trupów i wielu rannych. Rajmund

ukląkł przy Geraldzie, wymruczał coś, po czym zamknął mu oczy. Łukasz nie odrywał wzroku od syna Chrystiana i modlił się w duszy, by ten nie wykonał teraz żadnego zgubnego ruchu. Rutger może i był pyszałkiem, ale był również wytrawnym wojownikiem, który już w czasach giermkowskich jako jedyny mógł się równać z Tomaszem w fechtunku.

– Nikt się nie włącza! – rozkazał Rutger swej asyście, która z wzniesionymi ostrzami przystąpiła do jego boku. – To sprawa między nami dwoma. Sam go zabiję.

– Proszę bardzo, jeśli dasz radę – odparł Tomasz lekceważąco.

Jego zagorzały wróg mocniej zacisnął dłoń na rękojeści.

– To złodziej i zdrajca, jak jego ojciec, wślizgnął się, żeby zamordować margrabiego! – krzyknął Rutger do mężczyzn na zamkowym podwórku, którzy tymczasem otoczyli kołem pole walki. – Ten bękart, jego ojciec, został stracony za zdradę stanu i tak samo marnie skończy jego syn.

– Mój ojciec, Chrystian z Chrystianowa, był uczciwym człowiekiem, który został zamordowany przez takich jak ty! – krzyknął głośno Tomasz, a wśród stojących wokół freiberczyków rozległ się pomruk zdziwienia.

Nawet ci, którzy nie byli obecni przy egzekucji Chrystiana, która odbyła się dokładnie w tym samym miejscu, wiedzieli o niej z opowieści. A teraz zauważyli podobieństwo pomiędzy Chrystianem a młodym rycerzem stojącym naprzeciwko kapitana, którego powszechnie znano z jego okrucieństwa.

– Ale nie o to teraz chodzi – ciągnął Tomasz lodowatym tonem, zwracając się do otaczających ich ludzi, a jednocześnie nie spuszczać z oka Rutgera. – Ten człowiek zamierzał właśnie razem ze swymi kompanami pojechać do miasta, by spośród ludności wybrać dwustu zakładników, którzy zostaliby powieszani. To mogłyby być wasze matki, siostry, wasze dzieci. Nie pozwólcie na to! Nie zgódźcie się na wykonanie tego rozkazu!

– To wezwanie do zdrady stanu! – wrzasnął Rutger. – Zasłużył na śmierć!

– Wobec tego niech sąd Boży rozstrzygnie, który z nas stoi po właściwej stronie – odpowiedział spokojnie Tomasz. – Rutgerze, wyzywam cię na pojedynek na śmierć i życie, tu i teraz! Jeśli wygram, będzie to oznaczało, że Bóg zrezygnował z wszelkiej kary wobec Freibergu.

Na moment na dziedzińcu freiberskiego zamku zapadła budząca grozę cisza. Jedyne kilka wron wzniosło się do góry z krakaniem.

Łukasz najchętniej włączyłby się do sprawy. Ale rękawica została rzucona i najlepszą rzeczą, jaką mógł teraz dla Tomasza uczynić, było zachowanie spokoju. Nie powinien odwracać jego uwagi, lecz okazać wiarę w jego zręczność i umiejętność oceny sytuacji. Rajmund odstąpił od zwłok Geralda i stanął pomiędzy dwoma przeciwnikami.

– Czy zgodnie z obyczajem chcecie wcześniej odmówić modlitwę i złożyć przed Bogiem przysięgę o prawości waszego przedsięwzięcia?

Był jednym z najstarszych i mimo przejścia do przeciwnego obozu, również najbardziej szanowanych rycerzy wśród zebranego grona. Nikt nie zakwestionował jego posunięcia.

– Nie ma potrzeby, poślę tego bękarta do piekła – warknął Rutger głosem pełnym nienawiści.

– Nie ma potrzeby – skwitował lakonicznie Tomasz.

Wszyscy świadkowie owego wydarzenia niechybnie przypomnieli sobie sąd Boży, który przed niemal dwudziestoma pięcioma laty rozegrał się między ojcami tych dwóch młodych mężczyzn. Pośrednim powodem tamtego starcia sprzed ćwierć wieku także była wieloletnia wrogość i również wtedy przeciwnicy najpierw powoli się okrażali. Tomasz sfingował atak ze środkowym pchnięciem, a Rutger błyskawicznie zareagował, chcąc zablokować ostrze, jednakże trafił w pustkę.

Obaj przeciwnicy natychmiast zwiększyli dystans.

Teraz natarł Rutger i został odparty, ponownie się zamachnął i zranił konkurenta w rękę prowadzącą

miecz. Łukasz przewidział ten cios i drgnął z przestachu. Ale nim Rutger zatriumfował, Tomasz gwałtownym górny pchnięciem ugodził go w głowę, aż jego przeciwnik się zatoczył. Syn Chrystiana natychmiast przypuścił ponowne natarcie i wbił mu miecz w grdykę, dokładnie w tym samym miejscu, w które niedawno Rutger śmiertelnie ugodził Geralda. Nie czekając, aż mężczyzna zwali się na ziemię, w locie jednym ciosem obciął mu głowę.

Następnie wyprostował się i zdyszany stanął w rozkroku, trzymając w ręku zakrwawiony miecz. Wziął głęboki oddech i powoli zaczął odzyskiwać jasność widzenia.

Jego ojciec został pomszczony, tak samo Klara, Rajnhard i Gerald.

Rzucił szybkie spojrzenie na Łukasza, a później głośno powtórzył niedawne słowa Rutgera:

– Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Łukasz spojrzał na Tomasza z uznaniem. W jego spojrzeniu nie było pochwały ojca, który doznał ulgi, lecz porozumienie między dwoma wojownikami.

– Znikajmy, póki jeszcze możemy – powiedział później.

W Bożym sądzie Tomasz nie tylko unieszkodliwił groźnego nieprzyjaciela, który uczynił wiele złego im i ich przyjacielom, ale również rozstrzygnął na ich korzyść sytuację na zamku. Freibergowi zostanie oszczędzona przykazana kara.

Mimo to Łukasz uważał, że powinni się zebrać do odwrotu. Stracili dwóch ludzi, Geralda i Dawida, a wielu z nich odniosło rany. Bitwa ze strażą Albrechta, gdyby wrócili, nie miałaby szans powodzenia. Rajmund poprosił Chrystiana, by przyprowadzono im konie, i omówił z nim dalsze działania na wypadek, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Kuno przywołał dwie służące, które tymczasowo opatrzyły obrażenia rannych. Następnie położyli zmarłych na koniach i sami wskoczyli na siodła.

Łukasz wiedział, gdzie leżały posiadłości Geralda, i zamierzał dopilnować, by jego szwagier otrzymał tam chrześcijański pochówek. Piotr z Nossen miał uczynić to samo dla młodego Dawida. Łukasza gryzło sumienie, gdy sobie wyobraził młodą żonę Dawida, która niedawno powiła swe drugie dziecko.

– Wiedział, na co się decyduje – powiedział cicho Rajmund, który zgadł, co zaprzętało myśli przyjaciela. – Wszyscy wiedzieliśmy i podjęliśmy ryzyko. To mogło spotkać każdego z nas, gdybyśmy musieli przedrzeć się zbrojnie do Albrechta. W ten sposób pamięć o nim pozostała nieskalana i zostanie pochowany w poświęconej ziemi.

– Czy nie dość dobrze go wyszkoliłem? – zadręczał się Łukasz. – Inaczej nadal by żył.

– Każdemu z nas mogło się to przytrafić – powtórzył Rajmund stanowczo. – Byliśmy na to gotowi. Tak dobrze go wychowałeś, że ważył się na to i uratował Freiberg.

Rajmundowi udało się nawet przywołać na twarz coś na kształt uśmiechu.

– Do moich uszu doszła pogłoska, że nasz słowiański przyjaciel wypytywał braci z Nossen o pewną młodą wdowę. A widok Słowianina w konkurach musi robić imponujące wrażenie. Przez co oczywiście nie chciałem powiedzieć, że Zbor nie robi imponującego wrażenia również wtedy, gdy nie szuka żony.

Wysłali Borysa ze Zboru, koniecznie bowiem musieli się dowiedzieć, czy trucizna naprawdę zabiła Albrechta. Słowianin jako jedyny z nich nie odniósł ran. Ponieważ tymczasem zaczęło lać jak z cebra, postanowili odpocząć w zajeździe niedaleko Freibergu i zaczekać na niego.

Tomasz wykorzystał ten czas na czyszczenie i szycie ran swoich towarzyszy. Nikt nie odezwał się słowem na temat Bożego sądu, na który wyzwał Rutgera. Syn Chrystiana nie sprawiał wrażenia, jakby chciał o tym rozmawiać. Był jeszcze bardziej małomówny niż zwykle i nie odzywał się więcej, niż musiał w związku z zakładaniem opatrunków.

Zapadła już noc, gdy wysoki i barczysty Słowianin wrócił ze zwiadu.

– Dojechali zaledwie do Krummenhennersdorfu, do zagrody przy młynie – doniósł przemoczony

deszczem mężczyzna i niczym pies otrząsnął się z wody.

Wioska leżała w kierunku północno-wschodnim, tuż za Freibergiem, przy trasie prowadzącej do Miśni.

– Umarł tam w okrutnych męczarniach.

„Zatem alchemik się nie omylił” – pomyślał Łukasz.

– Na pewno nie żyje? – upewnił się Rajmund.

– Jego śmierć jest ostateczna i nastąpiła w paskudnych okolicznościach – potwierdził z naciskiem Borys swym niskim głosem. – Nawet parobków młynarza przejęła zgroza w obliczu jego krzyków i fetoru. Albrecht przegnał wszystkich prócz Elmara, nawet własną małżonkę. Nie chciał, by go takiego oglądali w ostatnich chwilach życia. Zofia i damy dworu w potokach deszczu czekały na dworze, aż jej małżonek odejdzie. Wreszcie młynarka się nad nimi zlitowała i poprosiła do swojej chaty.

Słowianin się przeżegnał.

– Na wszystkich świętych, takiego końca nikomu nie życzę, a już na pewno nie margrabiemu, mimo że był niegodziwym władcą. Umarł samotnie na gołej podłodze, opuszczony przez wszystkich ludzi, a do tego w potwornych mękach. Łukasz, czy klątwa waszej małżonki nie brzmiała przypadkiem podobnie? Teraz jego zwłoki wynieśli na zewnątrz, na deszcz, z powodu fetoru, który parobkowie młynarza uznali za jasny znak na to, że miał pakt z diabłem. Trudno o bardziej haniebną śmierć dla kogoś, kto nadał sobie przydomek „Pyszny”. O świcie Elmar i Zofia chcą przewieźć zmarłego do klasztoru i wydać dyspozycje dotyczące pogrzebu.

Mężczyźni w milczeniu przyjęli tę wciąż jeszcze zaskakującą zmianę kolei losu.

Gdy dzisiejszego ranka spotkali się we Freibergu, zamierzali zbrojnie napaść Albrechta i ponieść wszelkie konsekwencje za swój czyn. Jednakże ubiegł ich truciciel. Mogli jedynie snuć domysły, kto był jego mocodawcą, a odnalezienie go było zadaniem kasztelana Henryka.

Zaraz o świcie Borys ze Zboru zawiezie wiadomość Burchardowi z Salzy, który czekał we Freibergu, by jak najszybciej poinformować margrabię Marchii Wschodniej o śmierci Albrechta.

Piotr z Nossen i jego bracia wrócą do swych posiadłości i pogrzebią młodego Dawida w poświęconej ziemi, Łukasz zaś i jego towarzysze zorganizują pochówek Geralda w jego dobrach.

Później najszybciej, jak się da, pojedą do Weissenfels i zdadzą relację Dytrykowi.

Jednakowoż żaden z mężczyzn w zajeździe pod Freibergiem nie mógł wiedzieć o jednej rzeczy. Albrecht w swych ostatnich słowach wydał Elmarowi rozkaz zniszczenia margrabiowskiego palatium na górze zamkowej w Miśni.

– Jeśli ja nie mogę tam rządzić, to nikt inny go nie dostanie – wydusił z siebie ostatkiem sił konający.

Elmar, zgorzkniały i wytrącony z równowagi w obliczu straszliwej, haniebnej śmierci swego księcia, którego przez wszystkie te lata wychowywał, instruował i prowadził, dał mu swe słowo.

Miał świadomość, że potem wszyscy ostatecznie się od niego odwrócą. Ale w tym momencie było mu wszystko jedno. Albrecht i wszyscy jego przyjaciele nie żyli. Nie miał zamiaru służyć pod rozkazami zarozumiałej Zofii, która była słaba i podła, ani żadnego cesarskiego namiestnika. A już z pewnością nie u Dytryka. Wolał wszystko zniszczyć, zabrać dla siebie całe srebro, jakie jeszcze zostało, i wstąpić na służbę u Welfów, zdeklarowanych wrogów cesarza i Wettynów. Jeszcze za życia Randolfa zrobił z Welfami kilka niezłych interesów, znali go i potrafili docenić jego umiejętności.

Na przykład Otto z Brunzwiku był człowiekiem w jego guście, ulubiony siostrzeniec angielskiego króla i człowiek, który miał przed sobą przyszłość. Ottonowi na pewno przydałby się ktoś taki jak Elmar.

Stolnik wraz ze strażą przyboczną eskortował zwłoki monarchy i księżną Zofię do klasztoru cystersów pod Nossen, gdzie mnisi przygotowali pochówek i odprawili mszę za spójność duszy zmarłego.

Później z myślą o dziele zniszczenia, jakiego miał dokonać w Miśni, zwołał wszystkich ludzi, którzy

dochowali mu jeszcze wierności.

Jednakże Łukasz, Tomasz i Rajmund nie mieli o tym najmniejszego pojęcia po swoim powrocie do Weissenfels.

## *Niejasne układy*

Zaraz po przekroczeniu bramy zamku w Weissenfels Łukasz, Rajmund i Tomasz kazali natychmiast zameldować hrabiemu o swoim przybyciu.

Dytryk oczekiwał ich na stojąco. Nie starczyło mu cierpliwości, by usiąść i spokojnie wysłuchać ich relacji.

– Wasz brat nie żyje. Ale nie umarł z mej ręki. Ktoś nas uprzedził i podał mu truciznę. Jeszcze nie wiemy, kto to był – zaczął opowiadać Łukasz.

– Dziękujemy Bogu, że nie pozwolił wam wziąć na swoje sumienie jego krwi – powiedział Dytryk po chwili milczenia.

Jego mina pozostała niewzruszona.

– Doceniam to, coście chcieli na siebie wziąć.

Hrabia odwrócił się na chwilę do okna. W ten sposób nikt nie mógł dostrzec, co się działo na jego twarzy.

Potem odwrócił się z powrotem do trzech rycerzy.

– Pojadę do kuzyna w Landsbergu. Rodzina musi się naradzić, jakie kroki należy przedsięwziąć. Zaraz później chcę odwiedzić matkę i uwolnić ją z uwięzienia. Łukaszu, czy zechcielibyście towarzyszyć mi z waszą małżonką?

– Jak sobie życzycie.

– Wobec tego każcie pakować rzeczy. Za godzinę ruszamy.

Po powrocie z Freibergu wszyscy trzej zostali wyściskani z ulgą przez Martę, Klarę i Elżbietę.

– Rajmund opowie wam więcej – przerwał potok pytań Łukasz, gdy streścił już w trzech zdaniach przebieg ostatnich wydarzeń.

– My – dodał i przyciągnął do siebie Martę – musimy się spakować. Zaraz wyruszamy z Dytrykiem do księżnej Hedwigi. Przed wyjazdem Tomasz powinien pójść do księdza, by podziękować miłosiernemu Bogu za zwycięstwo i poprosić o przebaczenie grzechów.

Gdy znaleźli się w swojej izbie, Marta opadła na skrzynię. Niespodziewanie nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Czy ten koszmar rzeczywiście się już skończył? – zapytała. – Tyle lat spędziliśmy przez niego w obawie i przerażeniu. Tylu zabitych, tyle krwi i łez.

Wciąż jak żywy stał jej przed oczyma obraz, jak Chrystian przeszyty trzema strzałami osunął się na ziemię. Jakby to wydarzyło się dopiero przed chwilą.

Łukasz podszedł do żony i objął dłońmi jej głowę.

– Wszystko już minęło. A jeśli Elmar nie opuści kraju, pewnego dnia zabiję również jego, tak jak Ekkeharta i Giselberta. Nie mogą ci już więcej nic zrobić.

Marta wstrząśnięta podniosła wzrok. Czyżby przypadkowo wymienił ich imiona, po prostu dlatego, że byli najpodlejszymi łajdakami na miśnieńskim dworze? A może domyślał się tego, co się przed wieloma laty wydarzyło?

Objęła go za szyję i przyłgnęła do niego.

– Witaj z powrotem. Witaj w lepszych, nowych czasach – powiedziała i namiętnie go pocałowała.

„Dopiero się przekonamy, o ile lepsze okażą się te nowe czasy” – pomyślał Łukasz, z czułością gładząc ją po włosach.

Najważniejsze, że nadal żył. Tomasz i Rajmund też.

Tomaszowi nie udało się przed odjazdem porozmawiać z duchownym. Powiedziano mu, że ksiądz wyjechał po świece i wino mszalne.

Synowi Chrystiana było to na rękę. Chciał jak najszybciej porozmawiać z siostrą. Miał na to godzinę. Nie potrzebował się pakować. Wszystko, czego potrzebował, miał przy sobie.

Tym razem Klara siedziała razem z dziećmi. Anna wprawiała się właśnie w ręcznej robótce i mimo że ściegi, które zaprezentowała wujowi, były na razie bardzo nieregularne, pochwalił ją ponad miarę.

– Kiedyś będziesz potrafiła doskonale szyć rany! – zapewnił małą, na co Klara posłała mu karcące spojrzenie, Anna zaś rozpromieniony uśmiech.

Trzyletni Dytryk siedział na kolanach matki, która opowiadała mu jakąś świętą przypowieść. W przyszłości miał zostać duchownym, toteż Klara starała się rozbudzić w małym zainteresowanie dla historii, obrazów i ksiązek, zamiast pozwolić mu biegać po dziedzińcu z drewnianym mieczem, jak to robili inni chłopcy.

Małego Konrada Klara z miejsca posadziła na kolanach bratu. Niech sobie radzi z małym wiercipiętą!

– Jak to wytrzymujesz przez cały dzień? – zapytał Tomasz po nieudanej próbie uspokojenia najmłodszej pociechy.

Jedyną rzeczą, jaka wzbudzała zainteresowanie Konrada, była rękojeść noża, którego Tomasz używał do posiłków.

– Mam wrażenie, że łatwiej jest służyć jako giermek goniony przez groźnych starych zbrojmistrzów, niżli okiełznać te trzy małe potwory!

– Ząbkuje – wyjaśniła Klara, patrząc na małego Konrada. – Daj mu to, wtedy dzieci lubią sobie coś pogryźć – poradziła, podając mu starannie wygładzony drewniany krążek, który Konrad natychmiast pochwycił i wsadził sobie do ust.

Kilka minut później ku uldze Tomasza pojawiła się Liza z miską owsianki, by nakarmić dzieci i położyć je spać.

– Przejdziemy się razem do kaplicy? – spytała Klara, obiecawszy wcześniej maluchom, że po powrocie wróci i zaśpiewa im kołysankę, jeśli grzecznie wszystko zjedzą.

Jej brat się zgodził, chociaż podejrzewał, że Klara chciała tylko wyjść, by omówić z nim jakąś poufną sprawę albo przemówić mu do sumienia. Żaden spowiednik nie potrafił tego zrobić tak zręcznie jak ona.

– Poczujesz ulgę po śmierci Rutgera? – spytała, gdy szli wolno przez zamkowy podwórzec.

– Chyba powinienem – odrzekł z wahaniem. – Ale w środku mam wciąż wielką pustkę. Nie potrafię nic poczuć, od dawna. Czasami się zastanawiam, czy moja dusza nie została w Ziemi Świętej.

– Może jej nie zostawiłeś, tylko o niej tam zapomniałeś? – rzekła Klara ku zdumieniu Tomasza. – Może razem jej poszukamy?

– W Ziemi Świętej?

– Nie, tutaj, wszędzie... Myślę, że jakaś jej część wciąż żyje w tobie i czeka zachęty, by się ujawnić. Niby iskierka żaru w popiele, którą należy rozdmuchać z wielką ostrożnością...

– Nie opowiadaj mi takich samych historii jak swoim dzieciom! – odparł szorstko.

Klara się zatrzymała. Odwróciła się w jego stronę i popatrzyła mu w oczy tak intensywnie, że poczuł się nieswojo. Ale nie czyniła mu wyrzutów.

– Czuję ulgę po śmierci Rutgera – powiedziała zamiast tego. – Nawet nie wiesz, jakie we mnie budził przerażenie – wyznała cicho. – Szczególnie wtedy, gdy musiałam się przeprowadzić na miśnieński dwór, a Rajnhard często wyjeżdżał. Bałam się wyjść sama z komnaty, wciąż się obawiałam, że się gdzieś na mnie zaczął.

– Tak było w istocie. Ale cię nie dostał, to się liczy. A teraz pokutuje w piekle za swe uczynki.

– Miałam koszmary, jeden straszniejszy od drugiego – mówiła dalej Klara, jakby nie usłyszała jego słów. – Nocą budziłam się z przerażeniem i dopiero po jakimś czasie orientowałam się, że nic się nie stało i miałam jedynie zły sen. Oni wszyscy napawali mnie strachem. Albrecht, Elmar, Giselbert, Gerald... Ale najbardziej Rutger.

– Teraz smaży się w ogniu piekielnym – powtórzył Tomasz, pragnąc ją uspokoić. – A Geraldowi było wstyd, że nie okazał ci pomocy. Jeśli jesteś w stanie mu wybaczyć... W moich oczach odkupił swe grzechy ostatnimi czynami.

– Tak – powiedziała po chwili wahania Klara. – Wybaczam mu. Gdyby nie on, być może nie wrócilibyście żywi. Niech Bóg będzie łaskaw jego duszy.

Gdzieś z boku usłyszeli głos wołający ich imiona. Odwrócili się.

Był to Guntram, który szybko ostudził obrabiany kawałek żelaza w beczce z wodą i odłożywszy go na bok, podszedł do nich.

– Czy to prawda, panie, że margrabia Albrecht nie żyje, a wy zwyciężyliście tego szczura Rutgera w Bożym sądzie? – zapytał rozemocjonowanym głosem.

Tomasz potwierdził, Guntram zaś wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść i wydał z siebie triumfalny okrzyk.

– Uwolniliście Freiberg od potwora – powiedział. – Nawet sobie nie wyobrażacie, co to było, jak zadręczał ludzi do krwi... Piotra, służące, parobków, każdego, kto w jakikolwiek sposób wszedł mu w drogę.

Nagle młodemu kowalowi zaświtała w głowie pewna myśl.

– Jeśli on nie żyje i Albrecht też, to możemy wracać do Freibergu! Moglibyście się wprowadzić do domu swojego ojca i razem z Łukaszem pilnować w mieście sprawiedliwości. Marta i Klara mogłyby zrobić tyle dobrego... Znów będzie tak jak dawniej!

Widać było, że w marzeniach już się przeniósł do Freibergu.

Tomasz i Klara wymienili pełne niepokoju spojrzenia.

– Sytuacja w Marchii Miśnieńskiej jeszcze się nie wyjaśniła – uciał Tomasz. – Teraz rządzi księżna Zofia. Dostanie opiekuna i wówczas zobaczymy, co się stanie. Nasz dom jest tutaj – powiedział z naciskiem. – Jesteśmy na służbie hrabiego z Weissenfels, a nie margrabiego Miśni.

Guntramowi odpowiedź utknęła w gardle, gdy pojął, jak bardzo przedwczesne były jego myśli.

To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Pan Marchii Wschodniej serdecznie przywitał swego młodszego kuzyna i jego asystę na zamku w Landsbergu, choć z odrobiną smutku wobec śmiertelnego przypadku w rodzinie. Kazał bogato zastawić stoły, ale po bardzo krótkiej chwili zaprosił gościa do swojej komnaty na poufną rozmowę.

Margrabia Konrad, hrabia Eilenburga i Rochlitz, żonaty z Elżbietą Czeską<sup>19</sup>, po śmierci Albrechta pozostał jedynym z linii Wettynów w randze księcia Rzeszy, a tym samym głową rodu.

– Mamy przed sobą ciężką pracę, żeby utrzymać Marchię Miśnieńską w rękach naszej rodziny – rozpoczął rozmowę.

Z dworu wpadał do komnaty hałas pracy kamieniarzy i cieśli. Odkąd Konrad objął władzę po swym ojcu Dedo, zlecił wykonanie licznych robót na zamku w Landsbergu i w Rochlitz, mające na celu



powiększenie i udoskonalenie budowli oraz poprawę ich obronności.

– Przejmę kuratelę nad Zofią i jej dzieckiem, jeśli je donosi, i będę rządził w ich imieniu, aż dziecko dojdzie do pełnoletności – oświadczył. – To jedyna możliwość, jeśli nie chcemy dopuścić, by cesarz zabrał naszą ziemię. Albo Czesi, nasz potężny szwagier Ottokar. Najpierw musimy dopilnować, by Marchia Miśnieńska została w naszych rękach i żeby cesarz nie wysłał na nas wojska.

Margrabię Marchii Wschodniej z westchnieniem bólu oparł lewą stopę na podnóżku. Był to jeden z dni, w których artretyzm dawał mu się szczególnie we znaki.

– Wyślę paru zaufanych strażników do ochrony Zofii. Stolnik Albrechta najwyraźniej się nie sprawdził, mimo że wydawał się solidnym człowiekiem. À propos, ten Turyńczyk Salza opowiadał, że freiberski kasztelan kazał następnego dnia powiesić służącego imieniem Hugold, jako winnego tej sprawie.

– Służącego? Na czyje polecenie to zrobił? – zapytał z powątpiewaniem Dytryk.

To pewne, że Albrecht wszędzie miał wrogów. Może był to desperacki czyn mężczyzny, którego żonie lub córce wyrządził ciężką krzywdę? Ale skąd zwykły służący miałby wziąć pieniądze na truciznę? I skąd by ją dostał?

– Na ten temat nie zdołano się od niego niczego dowiedzieć. Nawet na torturach – odparł Konrad i odgonił natrętą muchę.

– Najwyraźniej kasztelanowi Henrykowi bardzo się spieszyło, by zamknąć tę niewygodną sprawę, zamiast wytropić jego mocodawców, o ile ów służący takowych miał.

Konrad znów westchnął i wygodniej usadowił się na krześle.

– Nie zaprzeczam, że ten Hugold wyświadczył nam nawet przysługę – powiedział wreszcie. – Ale kto zagwarantuje, że ty czy ja nie będziemy następni?

Obojętność, z jaką Konrad wypowiedział te słowa, nasunęła Dytrykowi przypuszczenie, że sam Konrad mógł być owym tajemniczym mocodawcą, który zlecił i opłacił skrytobójstwo. Dzięki temu bowiem można było zapobiec zbrojnemu atakowi cesarza na ród Wettynów. Możliwe nawet, że Konrad miał nadzieję, iż sam przejmie w przyszłości Marchię Miśnieńską.

## *Ponowne spotkanie w Seusslitz*

Hedwiga przywitała gości już na zamkowym dziedzińcu, wyprostowana i opanowana, nadal szczupła, wytwornie wystrojona w suknię koloru burgundzkiej czerwieni, obficie haftowaną, i welon przetykany na brzegach złotą nicią.

Księżna w każdym calu, niepodobna do więźniarki.

– Cieszę się, że was widzę... po tak długim czasie i wszystkich niesprawiedliwościach, które was spotkały – przywitała z uśmiechem Łukasza i Martę.

Później zwróciła się do Tomasza, który przyjechał jako straż przyboczna Dytryka. Tym razem na Dragonie.

– Rozpoznaję w was waszego ojca – powiedziała z melancholią. – Ale jesteście jeszcze bardziej posępni od niego. Czyżby na dworze mego syna nie było żadnej dziewczki, która by wam się spodobała i o którą chcielibyście się starać?

Ku zadowoleniu Tomasza Hedwiga nie oczekiwała odpowiedzi na swoje pytanie i już w następnej chwili wydała rozkazy, by poprowadzono gości do palatium, jak najlepiej ich ugoszczono i przygotowano im kąpiel.

Z daleka zobaczył idącego w ich kierunku wuja Jakuba, a kawałek za nim kuzyna o tym samym imieniu.

„To będzie interesujące spotkanie rodzinne” – pomyślał z mieszaniną ciekawości i sarkazmu. Zwykle szybko dochodziło do kłótni, gdy Łukasz spotykał młodszego brata, którym pogardzał za jego tchórzostwo i konformizm. Ocena zaś Tomasza w tym względzie wypadła jeszcze surowiej od opinii ojczyma.

Zerknął na matkę, która również ich dostrzegła i widocznie się spięła. Szykowała się najwyraźniej do roli mediatora.

Ale zarówno starszy Jakub, jak i młodszy stanęli w pewnej odległości, a tymczasem goście ruszyli do zamku.

Nikt się nie zdziwił, gdy Hedwiga i Dytryk poszli do komnaty księżnej. Przywitawszy się na oczach wszystkich obecnych, złożył jej kondolencje z powodu śmierci pierworodnego syna oraz oznajmił, że od tej chwili może swobodnie opuszczać zamek w Seusslitz, gdy tylko będzie miała ochotę. Ale po wszystkim, co się wydarzyło, matka i syn mieli sporo do omówienia w cztery oczy.

Widok matki głęboko poruszył Dytryka. Wszystko w niej zdawało się zaświadczać, że po śmierci Ottona, gdy Albrecht ją więził, nie utraciła nic ze swego honoru i siły.

Jednak w jej oczach dojrzał ukrytą melancholię, niemającą nic wspólnego z opanowaniem, z jakim przyjęła kondolencje.

Czy w sercu opłakiwała swego pierworodnego? A może tego, kim mógł być zostać? Lata, które musiała spędzić uwięziona na Seusslitz?

Gdy zostali sami w komnacie, bez słowa spojrzeli na siebie. Najchętniej padliby sobie w objęcia, ale takie wyrażanie uczuć nie było przyjęte w ich rodzinie.

Zamiast tego Dytryk się odezwał.

– Czy rzeczywiście powinienem jechać na pogrzeb mego brata, chociaż wszyscy wiedzą, że przez lata prowadziliśmy przeciwko sobie wojnę? Nieważne, jak się tam zachowam, wszystko będzie mi poczytane za zarzut, jako obraza albo hipokryzja.

Musiał to z siebie wyrzucić.

Wyraz twarzy Hedwigi natychmiast się zmienił. Jeszcze trochę się wyciągnęła, chociaż siedziała już bardzo prosto, a następnie spojrzała na niego ostro i odezwała się tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Pojedziesz na ten pogrzeb! Publicznie wybaczysz bratu wszystkie jego czyny i przekażesz klasztorowi sowity datek w srebrze, żeby mnisi modlili się za zbawienie jego duszy.

Zacisnęła na chwilę wargi i pogładziła brew. Później odezwała się nieco łagodniej.

– Żadne z nas nie może robić tego, co mu się podoba. Przez cały czas nieufnie nas obserwują. Twój brat w swym nieumiarkowaniu i skłonności do wojen przysporzył wielu ludziom ogromnego cierpienia i zaszkoził wizerunkowi naszej rodziny. Zapłacił za to życiem. Teraz musimy wystąpić razem, jako władcy Marchii Miśnieńskiej i przedstawiciele potężnego książęcego rodu. Ty, ja, Zofia i twój krewniak Konrad. Nie mogą powstać najmniejsze wątpliwości co do naszego dziedzicznego prawa do kraju ani do patronatu nad klasztorem. I oboje powinniśmy się modlić, by Zofia sprostała odpowiedzialności. W przeciwnym razie cesarz skonfiskuje Marchię Miśnieńską, podobnie jak próbował to wcześniej uczynić z Turyngią po śmierci landgrafa Ludwika.

Na twarzy Dytryka pojawił się wyraz goryczy. Gdyby nie ów spór o Turyngię sprzed czterech i pół roku, teraz jako syn starego margrabiego natychmiast zażądałby prawa do ziemi i tytułu po ojcu. Jednakże cesarz dał wówczas do zrozumienia, że nie uznaje przechodzenia prawa dziedziczenia z brata na brata. Wobec tego mogli mieć jedynie nadzieję, że Zofia urodzi Albrechtowi syna pogrobowca.

Hedwiga przelotnym uśmiechem przeprosiła za swój twardy ton i podjęła na nowo.

– Byłeś wtedy za morzem i tego nie widziałeś. Cała Rzesza zachwiała się w posadach, gdy cesarz próbował pozbawić władzy Ludowingów i odebrać im ziemię, którą władali, odkąd król Lotar przed

ponad stu pięćdziesięciu laty utworzył urząd landgraфа Turynгии. Twój teść nigdy mu tego nie wybaczy. Od tamtej pory my też nie możemy być pewni swej sprawy. Marchia Miśnieńska kusi Henryka nie mniej od Turynгии. Obydwie marchie dałoby się świetnie przyłączyć do Pleissenlandu, do którego już Fryderyk Stauf rościł sobie pretensje.

– Wybaczcie, to było lekkomyślne z mojej strony – poprosił syn, który w rzeczywistości nie żałował swych słów. – Oczywiście uczynię, czego się ode mnie oczekuje, zgodnie z wymogami stawianymi memu pochodzeniu.

Dolał Hedwidze i sobie napoju do kubków, ponieważ odesłali służbę, by porozmawiać bez świadków.

Później oparł się o ścianę i spojrzał matce prosto w oczy.

– Czasami doprawdy mam tego dość, że nie mogę robić rzeczy, na których mi zależy.

Na przykład zamiast na pogrzeb pojechałby na zamek miśnieński, żeby przejąć margrabstwo. I kochałby kobietę, której naprawdę pragnął.

– Wiem – odrzekła cicho Hedwiga. – Ale nie możemy sobie na to pozwolić pod groźbą upadku. Twój brat myślał, że jego to nie dotyczy, i rozpętał wojnę z cesarzem.

Dytryk zmusił się do uśmiechu i zmienił temat.

– Teraz jesteście wolni. Co zamierzacie? Co mogę uczynić, by umilić wam życie? Potrzebujecie na nowo stosownego dworu, ludzi, którym ufacie. A może wolicie wyruszyć w podróż?

– Podróż byłaby wspaniałą rzeczą. Jeszcze raz zobaczyć katedrę w Kwedlinburgu czy w Kolonii, nim Bóg powoła mnie do siebie...

Na twarzy Hedwigi pojawił się cień melancholii.

– Jednakże obawiam się, że powinnam teraz dodać otuchy Zofii, by nie pozwoliła się zastraszyć swemu bratu Ottokarowi czy ludziom cesarza albo też nie zrobiła jakiegoś nieprzemyślanego posunięcia. Ale w pierwszej kolejności muszę się istotnie otoczyć kilkoma osobami godnymi zaufania.

Hedwiga zamilkła i poczuła, jak narasta w niej olbrzymie zmęczenie. Prawie nie zmrużyła oka, odkąd otrzymała wiadomość o śmierci syna. Całe długie noce spędziła na przemyśleniach. Kiedy owo ukochane, długo wyczekiwane dziecko stało się takim potworem, w jakiego przemienił się Albrecht? Jaki błąd popełniła? Czy mogła zapobiec nieszczęściu?

W pewnej chwili straciła pewność, czy powinna opłakiwać syna, czy też przyjąć jego śmierć jako wybawienie. Ta rozterka przygniatała ją niby ogromny ciężar spoczywający na jej barkach.

Jak będzie wyglądało jej przyszłe życie?

Jeśli Bóg da, za kilka lat dobiegnie sześćdziesiątki. To bardzo dużo jak na życie jednego człowieka. Jej ojciec był niegdyś potężnym księciem. Albrecht Niedźwiedź, twórca i władca Marchii Brandenburskiej. Po narodzinach siedmiu kolejnych synów była jego jedyną córką i oczkiem w głowie. Ale przeraziła się, gdy oznajmił, że zamierza ją wydać za najstarszego syna miśnieńskiego margrabiego Konrada, by odnowić więzi przyjaźni łączące Askańczyków z Wettynami.

Nie mogła nic zrobić, musiała posłuchać ojca i poślubić o wiele starszego, mrukliwego i w owym czasie niewiele znaczącego margrabiowskiego syna. Siłą rzeczy musiała się pogodzić z losem i szybko nauczyła się owijać sobie ponurego małżonka wokół palca. Odnajdowała pocieszenie, gdy u jego boku potajemnie wpływała na jego rządy, przeciwdziałając nieszczęściom.

Początkowo wiedli nawet niezłe małżeństwo, mimo że wciąż musiała się mieć na baczności, by nie wzbudzić w Ottonie gniewu swą ostrożną ingerencją. Dwanaście lat po objęciu przez niego władzy we Freibergu, jednej z wiosek powstałych na karczowiskach, trafiono na żyłę srebra i Otto doszedł do tak wielkiego bogactwa, że mógł ją obsypywać kosztownymi sukniami i klejnotami.

I wtedy, niczym grom z jasnego nieba, w jej życiu pojawiła się miłość.

Była to miłość potajemna i grzeszna, ale wspaniała... do młodszego brata jej małżonka, Dytryka

z Landsbergu. W jego ramionach po raz pierwszy w życiu przeżyła szczęście. Rzadko mogli się spotykać i mieli dla siebie jedynie krótkie, wykradzione chwile. Nie żył już od dziesięciu lat, ale jego wspomnienie wciąż napełniało ją żalem.

Ponad pięć lat temu zmarł jej mąż i od tego czasu musiała wieść niemal więzienne życie. Głęboka miłość Lotara dawała jej odwagę i oparcie w ponurych czasach. Przepęłniała ją wdzięczność do niego i nadal była wstrząśnięta jego potworną śmiercią.

Teraz w jej życiu nie będzie już żadnego mężczyzny. Powtórne zameęcie było dla niej wykluczone. Podobnie zresztą jak wstąpienie do klasztoru.

Dytryk z Landsbergu, Otto, Lotar, wszyscy nie żyli. Tak samo jak jej pierworodny syn. A jej córki mieszkają daleko ze swymi małżonkami.

Wszyscy ją opuścili. Został jedynie Dytryk, któremu musiała pomóc w obronie przed cesarzem.

Raptem uśmiechnęła się do syna.

– Może wyjedziemy na konną przejażdżkę? Kawałek wzdłuż rzeki? Świeci słońce, na łąkach kwitną kwiaty...

Mimo całego zmęczenia za nic na świecie nie położyłaby się teraz do łóżka. Nareszcie odzyskała wolność! Wprawdzie nie mogła robić wszystkiego, na co miała ochotę, ale przynajmniej była na tyle wolna, że mogła opuścić mury tego mrocznego zamku.

Dytryka zaskoczyła jej propozycja, ale emanująca z niej chęć życia napełniła go szczęściem.

Szybko wstał i podał matce ramię.

– Z tego, co widziałem w tutejszych stajniach, pilnie potrzebujecie nowego konia – powiedział, gdy schodzili ze schodów. – Porozmawiam z Rajmundem z Muldentalu...

Hedwiga się uśmiechnęła, zadowolona z energii, jaka na nowo narodziła się w jej synu. Najchętniej pojechałaby z nim tylko we dwójkę. Jednakże takie zachowanie byłoby niestosowne przy ich pozycji, a także w obliczu morderstwa, które miało miejsce w ich rodzinie.

Dytryk wprowadził ożywienie na zamkowym dziedzińcu. Osiodłano konie i zwołano asystę. Hedwiga poprosiła, by zabrali ze sobą Łukasza i Martę, a później poleciła kuchmistrzowi, by przygotował dla nich prowiant.

Gdy Dytryk z Hedwigą konferowali w cztery oczy, Łukasz miał przed sobą tak samo poufną i nie mniej otwartą rozmowę ze swoim bratem Jakubem, z którym się długo nie widzieli.

Na wstępie złożył mu kondolencje z powodu śmierci córki.

Jakub podziękował, po czym zaległa między nimi niezręczna cisza.

Marta wiedziała, że bracia, którzy byli bardzo od siebie odmienni, musieli wyjaśnić między sobą kilka spraw, inaczej ich milczenie mogło się przerodzić w otwartą wrogość.

Muszą to załatwić w cztery oczy, zdecydowała i zostawiwszy ich samych, zaczęła się rozglądać za bratankiem.

– Jak się masz? – spytała, stanąwszy wreszcie przed chłopakiem.

Ten popatrzył na nią ze zwieszonymi ramionami.

– A jak ma być? – odparł niechętnie. – Jestem synem tchórza, bratem nieżyjącej grzesznicy i szpiegowalem, by moja matka również któregoś dnia nie została znaleziona u podnóża góry.

Kopnął kamień leżący koło jego nogi i zapatrzył się gdzieś w przestrzeń za głową Marty.

„Albrecht potrafił doprawdy wydobyć z ludzi wszystko, co najgorsze” – przeleciało jej przez głowę i zapytała młodego Jakuba, czy nie zechciałby jej towarzyszyć do ogrodu z ziołami.

Po dwudziestolatku było widać, że nie miał na to najmniejszej ochoty. Nie chciał słuchać od ciotki rady ani pocieszenia, a już na pewno nie morałów. Jednak nie miał innego wyjścia i musiał z nią pójść.

W odosobnionym ogródku Marta zadała mu kilka pytań i spokojnie wysłuchiwała, co miał do powiedzenia. Wreszcie chłopak się załamał i wybuchnął szlochem.

Marta cierpliwie odczekała, aż doszedł trochę do siebie i był gotów otworzyć przed nią serce. Opowiedział jej o okropnym dniu, gdy jego ojciec został wygnany, a jego i Lutgardę wezwano do księcia... O swoim przerażeniu na wieść o śmierci młodszej siostry i o plotkach, które krążyły wokół tej sprawy... O tym, że został zmuszony do podsłuchiwania Hedwigi i składania regularnych relacji Albrechtowi.

– Nie chciałem jej zaszkodzić... To dobra kobieta – mówił strapiony. – Ale gdybym się sprzeciwił, nasza rodzina musiałaby za to odpokutować. W pewnym momencie... zebrałem się na odwagę i wyznałem wszystko hrabinie.

– Co powiedziała? – spytała Marta, chociaż znała odpowiedź. Hedwiga była o wiele za mądra, by wpaść w tak prymitywną pułapkę.

– Uśmiechnęła się... i powiedziała, że od dawna o tym wie i nie czyni mi wyrzutów. Zawsze pozwalała synowi dowiedzieć się rzeczy, o których chciała, żeby wiedział. Zatem byłem szpiclem, do tego kiepskim, bo zdradziłem obie strony. Straciłem honor, tak samo jak mój ojciec. Dlatego nie jestem godzien zostać rycerzem. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby ojciec zostawił mnie wówczas u Łukasza i u was. A teraz siedzę i wypłakuję się w rękaw niewieście.

Jakub wytarł rękawem nos i łzy z twarzy.

– Nie ma w tym nic nierycerskiego, jeśli opłakujesz siostrę – ułagodziła go delikatnie Marta. – I dobrze zrobiłeś, że powiedziałeś o wszystkim Hedwidze.

Jakub z uporem pokręcił głową.

– Zdradziłem mego księcia.

– Wobec tego, czy twoim zdaniem Łukasz też to zrobił, gdy zbuntował się przeciwko Albrechtowi, uciekł i wstąpił na służbę jego przeciwników?

Chłopak milczał zirytowany.

– Łukasz ryzykował życie – odezwał się w końcu.

– Nie o to pytałam – nie odpuszczała ciotka. – Przy całym posłuszeństwie, jakie jesteśmy winni naszym władcom wybranym przez Boga, przede wszystkim powinniśmy słuchać głosu sumienia. I w każdym przypadku trzeba ponieść konsekwencje.

– Ale teraz możecie przynajmniej powiedzieć, że byliście bohaterami – zaproponował cynicznie Jakub. – Natomiast ja na zawsze pozostanę zdrajcą.

– Nie sądzisz, że trochę sobie to uprościłeś? – zarzuciła mu wyraźnie ostrzejszym tonem. – Może powinieneś się raczej zastanowić, jak zdobyć dobrą opinię, zamiast się nad sobą uzalać?

– Tutaj?

Już to jedno słowo wywoływało w nim protest i przerażenie.

– Spytaj Łukasza, czy będziesz mógł do nas wrócić do czasu swego pasowania na rycerza.

Jakub pokręcił głową.

– Na pewno mną wzgardzi. Tak samo jak pogardza moim ojcem.

– Dopiero się okaże, czy tak jest – powiedziała Marta z uśmiechem. – Zdaje się, że ktoś nas woła. Szybko, idź do studni i ochłódź wodą twarz. Nikt nie musi widzieć, że płakałeś.

Łukasz i jego młodszy brat nie posunęli się jeszcze zbyt daleko w rozmowie, gdy jeden ze służących poprosił, by dotrzymali towarzystwa hrabinie z Ballenstedt na konnej przejażdżce.

Ich milczenie trwało tak długo głównie dlatego, że Łukasz ze skrzyżowanymi na piersi rękami powstrzymał się od wszelkich uwag i czekał, aż Jakub się odezwie, ten zaś nie wiedział, od czego powinien zacząć. Toteż obaj byli zadowoleni, że mogli przerwać tę niezręczną sytuację, i poszli

w kierunku stajni.

Hedwiga stała z synem obok osiodłanych koni i czekała na nich.

– Jakubie, przed chwilą się dowiedziałam, że tutejszy dowódca poniósł we Freibergu niechlubną śmierć – zwróciła się do niego hrabina. – Dlatego w porozumieniu z synem postanowiłam przekazać wam to stanowisko. Jesteście jedynym z obecnych tu rycerzy, który nie został przysłany przez Albrechta do pilnowania mnie. Sądzę, że nie będzie to wielkie brzemię – dodała niby mimochodem. – Samotna wdowa w tym odludnym miejscu nie będzie teraz nikogo specjalnie interesowała. Tak, i przywieźcie swoją małżonkę. Chętnie ją poznam.

Jakub patrzył na nią w całkowitym osłupieniu.

Łukasz dał mu kuksańca pod żebro.

– Podziękuj przynajmniej, fajtłapo – szepnął.

Jakub otrząsnął się z odrętwienia, a następnie uklęknął, podziękował Hedwidze i przyrzekł, że będzie wiernie wypełniał swoje obowiązki.

Później pomógł jej usiąść w siodle.

– Nie wiem, jak ci się to udaje, że za każdym razem spadasz na cztery łapy – burknął Łukasz, gdy obaj szli do swoich koni. – Ale chyba powinienem się z tego po prostu cieszyć.

Jakub odetchnął głęboko. Owo mrukliwe przebaczenie uradowało go bardziej niż nowe stanowisko.

## *Diabelskie nasienie*

Albrecht z Wettynu, zwany „Pyszny”, został pochowany z wszelkimi honorami w klasztorze Cella Sanctae Mariae pod Nossen, obok swego ojca, z którym prowadził wcześniej tak gwałtowny spór.

Ale nikt ani jednym słowem nie skomentował tej ironii losu, podobnie jak podłości, których Albrecht dopuścił się za swego panowania, ani jego haniebnego końca. Zgodnie z wyraźnym życzeniem Hedwigi margrabia Konrad starannie przygotował pogrzeb potężnego księcia z wielkiego rodu, któremu wszystkie grzechy zostały wybaczone. Większość gości odjechała do domów następnego ranka po ceremonii, lecz Zofia została w gościnnym budynku klasztoru. Wyjaśniła, że śmierć małżonki i ciąża zbyt ją wyczerpały, by mogła odbyć podróż. Chciała odpocząć przez kilka dni, nim znów wsiądzie na siodło.

Siedziała nieruchomo na brzegu łóżka, obejmując ramionami swe ciało, dokładnie tak samo jak w chwili, gdy patrzyła na targanego skurczami męża, który wił się na podłodze i próbował walczyć z trucizną.

Została wdową.

Pozbyła się potwora, który podczas ciągnących się w nieskończoność lat ich małżeństwa napełniał ją z początku odrazą, a później strachem. Mimo to nie czuła się wolna, nie odczuła ulgi. Była jeszcze młoda i przynależała do wysokiego stanu, zatem należało się spodziewać, że niedługo powtórnie wydadzą ją za mąż i wszystko zacznie się od nowa.

Złamały ją lata spędzone w strachu i poniżeniu, była znużona długimi podróżami i wyczerpującą ciążą. Z każdej strony na nią naciskano. Jej szwagier Konrad zażądał, by w przyszłości wypełniała wszystkie jego polecenia. Brat zarzucał jej, że nie poprosiła go o kuratelę i Konrad go uprzedził. Teściowa zaoferowała pomoc. Ale nie mogła ścierpieć Hedwigi, ponieważ ona urodziła tego potwora.

Pełna sprzecznych uczuć młoda wdowa spojrzała na swój zaokrąglony brzuch. Czy w jej ciele wzrasta takie samo monstrum? Nasienie diabła? Przecież to Albrecht je w niej zasadził. Stworzenie, które się w niej rozrastało, od samego początku wywoływało w niej jedynie mdłości i cierpienie. Czy chciała je

zabić? Zofię przeszedł dreszcz i szybko się przeżegnała.

Chciała poprosić mnichów, żeby wypędzili z niej złe duchy. Ale Konrad udusiłby ją własnymi rękoma, gdyby publicznie powiedziała to, co w środku niemal rozrywało jej duszę. Być może nie nosiła w sobie długo oczekiwanego, silnego spadkobiercy Marchii Miśnieńskiej, tylko wytwór diabła.

Co będzie, jeśli akuszerka zamiast położyć jej w ramionach zdrowe dziecko, ucieknie z krzykiem, bo kreatura wyciągnięta z brzucha położnicy będzie miała rogi i diabelski pysk?

Czyż jej mążnek nie mówił o tym często we śnie, a nawet w ostatnich godzinach swojego życia? Z całą pewnością był w pakcie z nieczystymi siłami. Po raz pierwszy w życiu Zofia pożałowała, że nie było przy niej Elmara. Nie sądziła, że kiedykolwiek nastąpi taka chwila. Stolnik budził w niej nienawiść i grozę, ale potrafił trzeźwo myśleć. Na tyle jasno i lodowato kalkulował, że potrafiłby udzielić rady w jej obecnym nędznym położeniu, bez emocji i z wyrachowaniem. Właśnie coś takiego było jej teraz potrzebne. W jej wnętrzu kotłowały się najkoszarniejsze uczucia, dławiąc każdą klarowną myśl. Ale Elmar odprowadził ją tylko do klasztoru i odjechał w swoją stronę. Nie zjawił się nawet na pogrzebie swego pana. Nie powiedział jej, dokąd zmierzał ani co miał zamiar robić. A ona nie odważyła się zapytać.

W tej sytuacji pozostały jej jedynie damy dworu i straż przyboczna postawiona przez Konrada. Lecz teraz wszystkich odesłała. I jeszcze ów odpychający alchemik, który właśnie w tym momencie znów się wślizgnął do jej izby.

Zebrała wszystkie siły, żeby się wyprostować.

– Wy! Czego tu chcecie? Jak śmiecie chodzić po tej świętej ziemi i pokazywać mi się na oczy?!

Uczony, który swe siwe włosy skrył pod czarną czapką, nie okazał najmniejszej urazy. Zamiast tego pochylił się przed nią w głębokim ukłonie.

– Chciałem jedynie zapytać o wasze samopoczucie, wasza wysokość. Wyglądacie na zmęczoną. Może potrzebna wam pomoc? Elixir? Albo rada? Pamiętajcie o dziecku!

W jego głosie brzmiało pochlebstwo, ale nie mógł jej zmylić. Ponadto coś w jego wzroku sprawiło, że dostała gęsiej skórki.

– To wyście zrobili – wyrzuciła z siebie. – Truczna była od was, nie od waszego służącego!

– Czemu miałbym to uczynić? – Rozłożył ręce w zdziwieniu. – A gdybym nawet miał taki zamiar, to dlaczego dopiero teraz? Przecież wiele lat służyłem waszemu małżonkowi. Nie, moja droga, winny został odnaleziony i przyznał się do winy. Nie możecie mnie oskarżyć. – Magister uśmiechnął się demonicznie i oboje wiedzieli, że wygrał.

Zofia nigdy publicznie go nie oskarży, ponieważ dzielili niebezpieczne tajemnice. Gdybyż wówczas nie zgodziła się na jego propozycję z udawaniem błogosławionego stanu!

– Cieszę się, że was przekonałem – powiedział z zadowoleniem i ponownie się skłonił. – Nie martwcie się, mam na uwadze jedynie wasze dobro i dobro waszego dziecka. Jeśli pozwolicie mi zbadać sobie puls...

– Precz! – rozkazała drżącym głosem. – Wyjdźcie. Chcę odpocząć.

– Oczywiście. Jak sobie wasza wysokość życzą. Przygotuję wam napój na wzmocnienie – zapewnił i złożony kolejny głęboki ukłon, opuścił pomieszczenie.

– Czego się tak gapiacie? – ofuknęła Zofia jedną z dam, która zaniepokojona zajrzała do środka. – Precz!

Dama dworu dygnęła wystraszona i pospiesznie się wycofała. Zlana potem Zofia opadła na łóżko i zwinęła się w kłębek tak mocno, jak tylko pozwolił jej na to zaokrąglony brzuch.

Jej myśli pędziły jak szalone. To on zamordował Albrechta, była o tym przekonana, chociaż nie wiedziała dlaczego, z czyjego polecenia to zrobił. Ale ta kwestia była dla niej nieistotna. Jej mąż miał

całą masę wrogów. Wystarczyło, że któryś z nich zaoferował temu trucicielowi wystarczającą ilość srebra.

Czy istniała jakaś możliwość, żeby uprzętnąć starego z drogi tak, by jej nie wydał? Nic nie przychodziło jej do głowy. Nie wiedziała, do kogo mogłaby się zwrócić, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń ani nie sprowokować niebezpiecznych pytań.

Czy ją też zabije?

W jednym punkcie magister miał rację. Jeśliby chciał, dawno by już nie żyła. A i tak nie mogła temu zapobiec. Każdy musiał jeść i pić. Jej małżonek podjął tak wiele środków ostrożności, by się uchronić przed trucizną, a w końcu i tak został otruty.

Ona sama też użyła kiedyś trucizny. Zabiła swoją rywalkę, żonę marszałka.

Jeżeli nie było sposobu na pozbycie się podstępnego alchemika, to może przynajmniej mogłaby wykorzystać jego wiedzę? Ta myśl nie dawała jej spokoju.

Potrafił milczeć, tyle wiedziała na pewno. Przez wszystkie lata nie powiedział nawet słowa o tym, o czym rozmawiali owego feralnego dnia po pierwszej klęsce Albrechta pod Weissenfels.

Był uczonym i potrafił zachować milczenie. Może mogłaby z nim porozmawiać o swoim podejrzeniu, że nosiła w brzuchu diabelskie nasienie?

Czy za pomocą tajemnych zaklęć i eliksirów mógłby się go pozbyć z jej ciała?

Może owe napoje, które latami dla niej warzył, nie wspomagały poczęcia, lecz zabijały płód? Odkąd nastał na dworze, nie donosiła żadnego dziecka. A to zostało poczęte, gdy przebywała z małżonkiem na Sycylii, Eustachiusz zaś został daleko w Miśni.

Konieczność musiała się pozbyć tego nieszczęsnego stworzenia, które się rozrastało w jej ciele i zżerało ją od środka. Może powinna po prostu poczekać i przekonać się, czy Bóg pozwoli jej dalej żyć, czy też Eustachiusz w końcu i ją otruje. Albo uwolni od diabelskiego pomiotu, który zagnieździł się w jej brzuchu.

Tak, niechaj Bóg rozstrzygnie.

## *Wymuszona decyzja*

Było chłodne letnie popołudnie przemoczone deszczem, gdy margrabia Konrad ze swoją świtą przejechał przez bramę zamku w Weissenfels.

Księżę stęknął i pozwolił, by mu pomogli zsiąść z konia, a później na zeszywniałych nogach i z ponurą miną ruszył w kierunku palatium. Przyjechał z niezapowiedzianą wizytą i miał cichą nadzieję, że Dytryk nie wyjechał na przykład na polowanie albo w jakimś innym celu. Przywiózł wiadomości niecierpiące zwłoki.

Jego spojrzenie zatrzymało się na drobnej kobiecie w średnim wieku, ubranej w prosty, ale elegancki białaud.

– Jesteście znachorką? – bardziej stwierdził, aniżeli zapytał.

– Tak, wasza wysokość.

Za pozwoleniem Konrada Marta podniosła się z ukłonu.

– Czy potrzebujecie środka na uśmierzenie bólu, jaki sprawia wam artretyzm?

Margrabia Marchii Wschodniej tylko przez chwilę się zdziwił. Oczywiście krążyły plotki o tym, że ta kobieta była czarodziejką, a może nawet czarownicą. Przecież przeklęła Albrechta, którzy rzeczywiście poniósł taką śmierć, jaką mu przepowiedziała. Z nieznamoją ręki, z nienawidzonej przez Boga



i wszystkich ludzi. Jednakże po jego chodzie i bez czarów czy jasnowidzenia dało się zauważyć, że dręczył go ból, a do tego nie było tajemnicą, że w ostatnim czasie choroba się u niego coraz bardziej nasilała. To prawdopodobnie rodzinne skłonności... Marta obiecała, że się tym zajmie, a ponadto każe przygotować kąpiel dla księcia.

– Ciepła woda dobrze wam zrobi – zapewniła.

Wprawdzie miała zamiar przygotować lekarstwo wzmacniające serce dla Zuzanny, służącej Hedwigi, jutro bowiem miał wyruszyć posłaniec do Seusslitz.

Ona i Zuzanna znały się jeszcze z czasów jej pierwszego pobytu na zamku w Miśni, gdy Marta była bardzo młodziutka i uboga, zachwycona dworskim przepychem, a wkrótce później śmiertelnie przerażona brutalnością, czyhającą tam na każdym kroku pod cienkim płaszczykiem dworskich manier. Udało jej się nawet udaremnić zamach na Hedwigę, którą chciano otruć. „Mogłoby się wydawać, że w tej rodzinie trucizna odgrywała jakąś osobliwą rolę” – pomyślała i ciarki jej przeszły po plecach.

W Seusslitz miała okazję porozmawiać z Zuzanną dopiero po wyjeździe Hedwigi na konną przejażdżkę, w ukryciu, służąca bowiem nie powinna prowadzić poufanych rozmów ze szlachetną damą. Martwiła się, ponieważ stara przyjaciółka nie czuła się najlepiej. Ulga i radość, że ten koszmar wreszcie dobiegł końca, wzbudziły w Zuzannie za dużo emocji. Ale jej lekarstwo musiało poczekać, aż Marta upora się z kojącymi kompresami dla Konrada.

Woda do kąpieli dla margrabiego Marchii Wschodniej nie zdążyła się jeszcze zagrzać, gdy przez zamkową bramę wjechali dwaj kolejni jeźdźcy. Klara przechodziła właśnie przez dziedziniec i rozpoznała jednego z nich. Siedzący w siodle człowiek z opaską na oczach przedstawiał niecodzienny widok. Jego towarzysz prowadził konia niewidomego za uzdę.

Szybko wyszła naprzeciw dawnemu wysłannikowi cesarza, oślepiionemu przez Albrechta.

– Niech Bóg ma was w opiece, Bernardzie! – przywitała go. – Potrzebujecie pomocy?

Bernard zsiadł z siodła i zwrócił twarz w jej stronę.

– Poznaję wasz głos. Klara z Reinhardsbergu, nieprawdaż? Jak się miewacie wy i wasze dzieci?

– Dobrze – zapewniła, zdumiona faktem, że zmysły niewidomego tak się zaostrzyły i że nadal podróżował.

Musiał mieć doprawdy waleczne serce.

Szczupły mężczyzna uśmiechnął się do niej. Na jego twarzy zmarszczki wyłobiły jeszcze głębsze bruzdy od czasu, gdy widziała go w Turynii i opatrywała jego rany.

– Powiedzieliście to bardzo przekonująco, mimo to usłyszałem w waszym głosie smutek, Klaro z Reinhardsbergu. Nie znaleźliście jeszcze męża, który by was chronił i napełnił wasze serce radością?

– Mam ochronę – odparła powściągliwie.

Jej smutek nie powinien nikogo obchodzić. Najchętniej zabrałaby dzieci i odeszłaby stąd. Ale dokąd miałyby pójść?

– Weźcie mnie pod ramię, zaprowadzę was do zamku. Chcecie się widzieć z hrabią Dytrykiem? – spytała. – Spieszycie się czy mogę wcześniej obejrzeć wasze blizny?

– Dzięki wam wszystko się dobrze zagoiło, o ile coś takiego w ogóle może się wygoić – odrzekł ministeriał z ledwo skrywaną goryczą. – Ale tak, muszę się pilnie zobaczyć z hrabią Dytrykiem. Bez świadków.

– Wobec tego będziecie się musieli uzbroić w cierpliwość. O ile wiem, hrabia rozmawia właśnie ze swym kuzynem, margrabią Marchii Wschodniej, który przyjechał tuż przed wami.

Po twarzy Bernarda przemknął chmurny uśmiech.

– Dobrze się składa. I sądzę, że to nie przypadek. Zatem chciałbym zaraz porozmawiać z obydwojema.

Gdy tylko weszli do komnaty, Konrad natychmiast wyprosił całą służbę i ludzi ze świty hrabiego.

– Zofia umarła, a razem z nią jej dziecko! – wypalił, jak tylko zostali sami z Dytrykiem. – Została otruta, tak samo jak twój brat. Zdaje się, że to jej osobisty lekarz, od tego bowiem czasu przepadł jak kamień w wodę. Ale to nie ma znaczenia. Teraz widać czarno na białym, kto był jego mocodawcą, bo teraz ma wolną drogę...

– Zdajesz sobie sprawę, że nie wolno nam tego głośno powiedzieć, to byłaby zdrada stanu – wszedł mu w słowo Dytryk, który dokładnie wiedział, kogo kuzyn miał na myśli.

Jego oskarżenie było jak najbardziej logiczne.

Konrad z wściekłością uderzył otwartą dłonią w stół.

– Jestem na siebie niepomiernie wściekły, że nie powziąłem żadnych środków ostrożności! Powinienem być zabrać ją ze sobą i nie spuszczać z oka, ale posłuchałem, gdy mówiła, że czuje się zanadto chora na dalszą podróż. Zdawało mi się, że będzie najlepiej, jeśli pojedzie do Miśni...

Ponownie uderzył ręką w stół, tym razem dwukrotnie.

– Prawdopodobnie ty też nie mógłbyś zapobiec zamachowi – próbował go uspokoić Dytryk, mimo że był tak samo rozgniewany jak jego kuzyn. – Teraz musimy się zastanowić, co zrobimy. Czy powinienem zatem pojechać do cesarza i poprosić go o inwestyturę Marchii Miśnieńskiej, kraju mego ojca i dziada? Nie da mi jej. Takie upokorzenie na oczach wszystkich książąt Rzeszy... Czy doprawdy powinienem wbrew własnemu przekonaniu przysiąc wierność Henrykowi, a później poprosić o coś, czego mi odmówi?

Konrad wydał z siebie odgłos przypominający warknięcie, a potem dopiero odpowiedział:

– Myślę podobnie jak ty. Odmówi. Nie pomogłoby nam nawet wsparcie książąt, którzy wówczas wnieśli protest i pomogli twojemu teściowi w kwestii Turynii. Po zdobyciu Sycylii cesarz stał się o wiele silniejszy. Jeszcze nigdy od czasu ustąpienia dziadka nasz ród nie był w takich tarapatach.

Konrad uniósł ręce w geście bezradności. Lecz nim zdążył się odezwać, rozległo się pukanie do drzwi.

Obaj Wettynowie spojrzeli na siebie z niepokojem. Jeśli ktoś odważył się im przeszkodzić, musiał mieć ku temu pilny powód. Ale co mogło być jeszcze ważniejszego?

Na widok ślepcy prowadzonego pod rękę przez swego towarzysza, który zaraz na powrót wycofał się z komnaty, Dytryka ogarnęło złe przeczucie.

– Czy nadal podróżujecie w służbie cesarza, Bernardzie? – zdumiał się.

Był jednocześnie pod wrażeniem, że niewidomy tak świetnie sobie radził... i pełen obaw.

– Jestem ślepy, ale postanowiłem, że nie będę wiódł życia kaleki – oświadczył ministeriał, równocześnie w widoczny sposób omijając wyjaśnienie, czy działał z upoważnienia cesarza, czy też nie. – Mimo że nie widzę, to jednak dużo wiem o tym, co się dzieje, i z ukrycia pociągam za sznurki. Dlatego przynoszę wam wiadomość i radę.

– Czy chodzi o Zofię z Czech? Właśnie się dowiedzieliśmy o przykrej śmierci naszej szwagierki i jej dziecka – rzekł Konrad, przygotowując się na to, co miał usłyszeć.

Co w tej sytuacji poradzi im Bernard? Stawić się u cesarza czy też go unikać?

– To jeszcze nie wszystko, co mam do powiedzenia – odparł Bernard. – Dawny stolnik margrabiego Albrechta zebrał wokół siebie zbrojnych ludzi, pojechał z nimi na górę zamkową w Miśni i do szczętu spalił zamek margrabiego.

– Co takiego?! – krzyknął wytrącony z równowagi Konrad i mimo dotkliwego bólu pochylił się do przodu. – Jak udało im się przejechać koło ludzi burgrabiego? To niemożliwe bez zdobycia jego terenu!

– Ludzie burgrabiego nie wiedzieli, po co tamci przyjechali. Sądzieli, że dawny stolnik jak zwykle przygotowuje wszystko na przyjazd margrabiny. Gdy się zorientowali, co się dzieje, zaczęła się oczywiście walka, ale nieszczęścia nie dało się już powstrzymać. Siedziba margrabiego miśnieńskiego została

spalona do cna i zburzona.

– Ten głupiec! Szaleniec! – jęknął Konrad.

A może zrobił to na zlecenie cesarza? Ale Henryk nie spaliłby margrabiowskiego palatium. Wprowadziłby do niego cesarskiego namiestnika, skoro rościł sobie pretensje do Marchii Miśnieńskiej.

Zarówno Dytryk, jak i Konrad milczeli, rozważając w myślach możliwości, jakie im pozostały, zatem Bernard ciągnął dalej.

– Jeśli w obliczu zaistniałej sytuacji planowaliście odwiedzić cesarza i poprosić go o inwestyturę Marchii Miśnieńskiej... Jestem zmuszony pilnie wam to odradzić.

– Czy to wiadomość od cesarza? – zapytał ponuro Dytryk.

– Nie, to moja rekomendacja, o ile zechcecie ją przyjąć – wyjaśnił trzeźwo i nie bez pewności siebie Bernard. – Od dłuższego czasu cesarz jest rozgniewany tym, co się dzieje w kraju waszego ojca. Uwięzienie starego margrabiego, spór o kolejność dziedziczenia, wojny, które wy i wasz brat prowadziliście wzajemnie przeciwko sobie. A teraz jeszcze zniszczenie zamku w Miśni i walki z załogą burgrabiego. Jego cierpliwość i dobra wola wobec rodu Wettynów ostatecznie się wyczerpały. Jeśli poprosicie go o Marchię Miśnieńską, będzie się wzbraniał. Małżonka Albrechta nie żyje, zatem skonfiskuje margrabstwo jako wygasłe lenno. Henryk z Neuengroitzsch zostanie jego namiestnikiem w Miśni.

Dytryk i Konrad wymienili między sobą spojrzenia. A więc nastąpiło dokładnie to, czego się obawiali.

– To wciąż nie wszystko, co macie nam do przekazania – stwierdził ostrożnie Dytryk.

– Nie. Gdybyście mimo wszystko zwrócili się do cesarza, wówczas nie tylko odmówi wam Marchii Miśnieńskiej, ale bardzo możliwe, że wobec tych wszystkich wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich latach, odbierze wam Weissenfels.

„Nie może tego zrobić” – pomyślał zrozpaczony Dytryk. Ale kto miałby cesarzowi w tym przeszkodzić?

– A wy, książę Konradzie, też powinniście zachować najwyższą ostrożność, by nie ściągnąć na siebie potężnego gniewu cesarza – wyjawiał dalej swe gorzkie prawdy cesarski ministeriał.

– Zatem co mi radzicie? – spytał Konrad z urazą.

Bernard nie spieszył się z odpowiedzią, by osiągnąć większy efekt.

– Cesarz oczekuje od was obu publicznego gestu, którym pokażecie całemu światu, że nie podważycie jego decyzji w kwestii konfiskaty Marchii Miśnieńskiej.

– Mamy mu paść do stóp? Złożyć przysięgę? – zniecierpliwiał się ostatecznie Konrad.

Musiał się opanować, by nie wyładować gniewu na posłańcu. Wszak ten jedynie przyniósł wiadomość, a ponadto wystarczająco dużo wycierpiał przez innego rozwścieczonego księcia z Wettynów.

– To za mało – oświadczył ślepiec. – Istnieje dla was tylko jedna droga, o ile chcecie zachować swe posiadłości i dotychczasową pozycję. Wyrażcie gotowość podjęcia krzyża i udziału w nowej wyprawie do Jerozolimy, do której wezwał cesarz. Henryk oczekuje od was oświadczenia woli najpóźniej do dnia nadwornego zjazdu w Wormacji.

Konrad wbił w mężczyznę spojrzenie pełne niedowierzania, niepomny faktu, że ten nie mógł go zobaczyć.

Natomiast Dytryk zachował kamienną twarz. Uprzejmie podziękował Bernardowi za radę, po czym przywołał służącego i kazał mu odprowadzić i ugościć niewidomego.

– Będziemy zmuszeni to zrobić! – krzyknął Konrad, chwytając powietrze. – Nie tylko zaprzepaścimy Miśnię i bogate kopalnie srebra we Freibergu, ale ty stracisz również Weissenfels, jeśli w milczeniu nie pozwolimy, by cesarz zaanektował sobie kraj naszych przodków. Na dodatek powinniśmy jeszcze wyruszyć na tę wyprawę krzyżową i opuścić nasze ziemie na rok, a może nawet dwa!

Dytryk nie odezwał się na ten temat ani słowem. Zamiast tego oświadczył, że jego kuzyn winien się pilnie poddać uzdrowicielskim zabiegom Marty. Dopiero gdy został sam, dał upust wściekłości wobec goryczy i beznadziei swego położenia. Chwycił miecz i z całej siły rąbnął ostrzem w blat stołu. Dzban i kubki rozprysły się na tysiące kawałków. Odtąd głęboki karb w drewnie miał dawać świadectwo o tym, jak słaby stał się syn margrabiego, a zarazem wnuk dwóch najpotężniejszych książąt cesarstwa, i symbolizować jego straconą pozycję.

# CZĘŚĆ CZWARTA

## *Decyzja*

## Wiosna 1197 rokuu wybrzeża Akki

Do portu w Akce zbliżał się konwój złożony z dwudziestu ośmiu statków. Tego przedpołudnia morze było dla nich łaskawe, fale nie wznosiły się zbyt wysoko i pielgrzymi nie musieli się chronić pod pokład, drżąc o swoje życie. W Wielkim Tygodniu rozszalał się potworny sztorm i dwa statki poszły na dno razem z całą załogą, pozostałe zaś ledwo ocalały z zawieruchy. Teraz mieli łagodną falę, słońce poruszało się po bezchmurnym niebieskim firmamencie, a morskie ptaki krążyły nad flotą i darły się wniebogłosy.

Wiadomość, że zbliżali się do celu, od samego rana wywołała wielkie poruszenie na pierwszej galerze. Podróżni, którymi miast spokojnych pielgrzymów czy kupców byli niemal bez wyjątku żołnierze zaprawieni w walkach, nienawykli do rozkołysanych desek pod stopami, wylegli na pokład i wlepili oczy w potężne mury osłaniające Akkę od strony morza. Padli na kolana i dziękowali Bogu za ten widok. Za to, że pozwolił im przetrwać długie tygodnie w uciążliwej ciasnocie na statku, który nie zatonął i nie został napadnięty przez piratów. Dziękowali Bogu, że ochronił ich przed zarazą i nie dopuścił, by zostali zabici w jakiejś sprzeczce, których nie udało się uniknąć w sytuacji, gdy tyłu mężczyźni tłoczyło się na galerze. Do picia mieli stęchlą wodę, jedli dwukrotnie odpiekany chleb, w którym aż się roiło od czerwi, wszędzie było pełno wszelkiego robactwa i smrodu zwierząt, zabranych jako prowiant dla gości, którzy uiścili wyższą opłatę.

Ci, którzy jeszcze poprzedniego dnia się ze sobą szarpali, teraz padli sobie w ramiona i głośno się radowali. Nareszcie ujrzeli swój cel: Akkę, stolicę królestwa Jerozolimy.

Dokładnie mówiąc, stolicę tego, co zostało z Królestwa Jerozolimskiego, wąskiego pasa wybrzeża liczącego niespełna dziewięćdziesiąt mil, który zaledwie w kilku miejscach sięgał więcej niż dziesięć mil w głąb lądu.

Głośna wrzawa na pokładzie nie poruszyła tylko dwóch mężczyzn. Jednym z nich był hrabia w wieku około trzydziestu pięciu, a może nawet czterdziestu lat, a drugim rycerz około trzydziestki, obaj żyłaści, spaleni słońcem, z poważnymi, chmurnymi minami. Stali obok siebie przy relingu i ponad falami spoglądali w stronę murów Akki.

Jednak inaczej niż podczas ich pierwszego powrotu do Weissenfels, tym razem myśli Tomasza wybiegały w przyszłość. Zastanawiał się, co go czekało po powrocie do Ziemi Świętej. Natomiast Dytryk dumiał nad przeszłością.

Tomasz zadawał sobie pytanie, czy ujrawszy Jerozolimę, zdoła nareszcie ukoić rozbitą duszę. Czy będzie się mógł pomodlić w miejscu, w którym umarł Syn Boga? O to, by jego siostra przewyciężyła smutek, a matka zapomniała o cierpieniu? Za spokój własnej duszy i duszy swego ojca?

A może spocznie w grobie, pogrzebany obok swego najlepszego przyjaciela?

Przed odjazdem matka i Klara starały się to przed nim ukryć, ale zdawały się przekonane, że nie wróci. Starał się odsunąć od siebie myśl o ich żalu. Patrzył na miasto wzniesione z kamienia o barwie piasku i na palmy i miał wrażenie, że słyszy już głośny gwar rozmów i obce dźwięki muzyki. Miał wrażenie, jakby wracał do domu, a nie jechał do obcego kraju, by odnaleźć w nim śmierć. Nie mógł się wprost doczekać chwili, gdy wciągnie w nozdrza upajający aromat wschodnich przypraw, w miejsce fetoru kłębiących się wokół niego spoconych ciał mężczyzn, którzy od tygodni nie mieli okazji się umyć. Napije się chłodnej źródlanej wody, zamiast stęchłej lury wymieszanej z octem. Naje się świeżego, pachnącego chleba i kuszących egzotycznych owoców i zapomni o twardym, pełnym czerwi kluchu.

A kobiety poruszające się z gracją, ich ciemne, pełne wyrazu oczy! W jego pamięci znów odżył obraz

pewnej drobnej twarzy o bystrym spojrzeniu i nadal nie wiedział, czy wówczas w Antiochii nie był on po prostu sennym marzeniem.

Ale jeśli ta dziewczyna rzeczywiście istniała i wciąż żyła, to na pewno od dawna była zamężna i miała gromadę dzieci. Nigdy się tego nie dowie, droga nie wiodła go bowiem do Antiochii, tylko do Jerozolimy. Bóg tak chciał.

Natomiast Dytryk z Weissenfels pogрузił się w całkowicie odmiennych myślach. Wszechobecny artretyzm ani głośne rozkazy wykrzykiwane w związku ze zbliżaniem się do stałego lądu, ani też przekleństwa czy okrzyki nadziei wydawane przez mężczyzn na statku nie przeszkodziły mu zatonać we wspomnieniach. Być może miał po temu ostatnią okazję, wkrótce bowiem nie będzie już czasu, a tylko sam Bóg wiedział, czy będzie mu dane szczęśliwie wrócić do domu.

Razem z kuzynem Konradem, który wraz ze swoją świtą również przebywał na pokładzie tej beznadziejnie przepełnionej galery, spełnili oczekiwania cesarza i wzięli krzyż na dworskim zjeździe w Wormacji. Nie mieli wyboru.

Landgraf Turyngii również posłuchał cesarskiego wezwania do krucjaty, podobnie jak wielu innych świeckich i duchownych książąt. Jednakże Herman nie chciał jechać z przednią strażą, jak to uczynił jego zięć, i najprawdopodobniej znajdował się dopiero w drodze do Mesyny, by tam zaokrętować się na statku płynącym do Akki.

Gdy Dytryk przed ośmioma laty ruszył na krucjatę do Ziemi Świętej z Fryderykiem Staufem, towarzyszyło mu kilka tuzinów rycerzy i odpowiednia liczba giermków oraz konnych pachołków. Natomiast tym razem miał ze sobą tylko jednego rycerza: Tomasza, a ten wiedział, jakie podejmował ryzyko, albowiem brał już udział w poprzedniej wyprawie krzyżowej. Spośród pachołków i serwientów Dytryk wybrał tych, którzy nie mieli rodzin, a ponadto, ku powszechnemu zdziwieniu, nie zgodził się na zabranie ani jednego giermka.

Było mu wszystko jedno, czy uznają go za mało znaczącą osobę. Jego kuzyn Konrad zabrał dość ludzi i na pewno odda mu do dyspozycji giermków i pachołków.

Dytryk oficjalnie uzasadnił swoją decyzję faktem, że przez lata wojny prowadzonej z bratem stracił bardzo wielu dobrych ludzi i teraz na czas swej nieobecności nie mógł pozbawić Weissenfels dostatecznej ochrony. Co więcej, pizańscy i genuieńscy żądali za morską przeprawę tak ogromnej sumy od człowieka i konia, że niejeden krzyżowiec był zmuszony sprzedać swoje posiadłości i zastawić ziemię. Do tego rok 1196 był wszędzie rokiem głodu, zboże przyniosło słaby plon i osiągnęło horrendalną cenę.

Ale w rzeczywistości Dytryk nie chciał drugi raz powieść tylu mężczyzn na śmierć i wrócić ze złą wiadomością dla ich rodzin.

Wprawdzie okoliczności związane z obecną krucjatą zdawały się dla nich pomyślniejsze niż te sprzed ośmiu lat. Teraz sycylijskie porty i flota należały do cesarza, dzięki czemu nie musieli pokonywać mozolnej i czasochłonnej trasy przez Bałkany i kraj Seldżukidów, na której wówczas stracili wielu ludzi. Ponadto nie żył Saladyn, potężny wróg budzący powszechny respekt i trwogę, który pod swym dowództwem zjednoczył plemiona Egiptu i Syrii, jego zaś liczni synowie, bracia i siostrzeńcy byli ze sobą zwaśnieni.

Jednakowoż Fryderyk Stauf również starannie i z rozwagą przygotował swą krucjatę i gdy wyruszał, miał prawo liczyć na sukces. Podczas okazałej wojskowej parady w Preszburgu<sup>20</sup> nikt nawet nie pomyślał, że większość krzyżowców, wraz z samym cesarzem, przypłaci przedsięwzięcie życiem i żaden z uczestników wyprawy nie ujrzy na oczy Jerozolimy.

Słońce zbliżało się ku nieboskłonowi, a słona piana opryskiwała Dytrykowi twarz. Jego myśli

poszybowały ku owemu śnieżnemu zimowemu dniowi, w którym na sądzie ziemskim w Schkölen oficjalnie pożegnał się z rodziną i zaufanymi przyjaciółmi przed wyprawą do Ziemi Świętej. Było to piątego stycznia. Panował mróz i wiał delikatny wiatr, osadzając na ich twarzach duże, białe płatki. Słońce skryło się za gęstymi chmurami, a pod nogami skrzypiał śnieg.

Przybyła jego matka Hedwiga z życzeniem Bożego błogosławieństwa i podarowała klasztorowi z Nossen jedną z wsi należących do spuścizny po ojcu, żeby mnisi modlili się za zbawienie duszy jej syna i jego szczęśliwy powrót do domu. Mimo że Marchia Miśnieńska stała się cesarskim lennem Rzeszy, Hedwiga tego rodzaju darowiznami pragnęła podkreślić, że ani ona, ani jej syn bynajmniej nie zamierzali zrezygnować z prawa do protektoratu nad klasztorem cystersów, ufundowanym przez Ottona.

Jutta, żegnając się z mężem, dzielnie powstrzymywała łzy, ale w końcu na oczach wszystkich obecnych rzuciła mu się na szyję ze szlochem.

Tymczasem ich małżeństwo zostało skonsumowane, ponieważ także pod naciskiem landgraфа Hermana, któremu zależało, by w razie śmierci hrabiego w Ziemi Świętej nikt nie miał podstaw do zakwestionowania legalności ich związku. Z właściwą sobie dosadnością Herman zaznaczył również, że wskutek ostatnich wydarzeń, które miały miejsce w Rzeszy, Jutta zostanie spadkobierczynią Turyngii, gdyby on sam nie wrócił z krucjaty.

Cesarz zaoferował księżętom dziedziczość ich lennych dóbr w zamian za to, że wybiorą jego syna Fryderyka na króla. Plan niezupełnie się powiódł po myśli Henryka, zwłaszcza w Saksonii i Turyngii napotkał opór. Niemniej jednak wyrachowanemu Hermanowi udało się uczynić córkę spadkobierczynią na wypadek, gdyby nie urodził mu się żaden męski potomek.

Jutta okazała się czułą małżonką i nastąpiło to, do czego Dytryk nie chciał dopuścić i czego przez długi czas nie przyjmował do wiadomości: głęboko się w nim zakochała.

Nie była tak namiętna i kobieca jak Klara. Ale jej czułość poruszyła serce hrabiego. W związku z tym zaczął odczuwać wyrzuty sumienia w stosunku do Klary. A właściwie wobec obu kobiet, ponieważ miał wrażenie, że obydwie zdradzał, mimo że tylko z Juttą dzielił łożę.

W tym miejscu w sprawę nieoczekiwanie włączyli się Marta z Łukaszem, argumentując, że nie można wymagać od Klary, by dłużej pozostawała przy nim i Jutcie. Inaczej nigdy się nie zdecyduje na poślubienie żadnego mężczyzny i nie znajdzie szczęścia. Do tej pory wszystkie wysiłki Łukasza, który starał się znaleźć dla niej dobrego męża, spełzły na niczym. Ludzie wzięli ją już na języki, bo odrzucała wszystkie kolejne oświadczenia.

Po tej przykrej nowinie przyjaciele zbili go z tropu swoją propozycją. Po jego wyjeździe chcieli się przenieść z Klarą do Freibergu. Po śmierci Albrechta i Rutgera było to możliwe. Klara mogła się tam wprowadzić do domu Rajnharda, który jej się prawnie należał, Łukasz zaś pilnie powinien zerknąć kasztelanowi na rękę, żeby po roku wielkiego głodu zbytnio nie dręczył freiberczyków. Bernard, ministeriał oślepiiony przez Albrechta, zobowiązał się dopilnować, żeby Łukaszowi na nowo powierzono dowództwo nad zamkową strażą oraz by Klara mogła żyć jako szanowana wdowa i nie była przez nikogo niepokojona. Dytryk był niezmiernie zaskoczony ich pomysłem i nie od razu się zgodził. Na myśl o odejściu Klary pękało mu serce, chociaż wiedział, że nie wolno mu było jej zatrzymywać.

Później Łukasz poruszył bardzo znaczącą kwestię.

– Czyż nie byłoby rzeczą rozsądną, byście zapewnili sobie bliski i szybki dostęp do Freibergu? Może kiedyś nadejdzie dzień, w którym jedną brawurową akcją będziecie mogli zdobyć te tereny, jak to niegdyś uczynił wasz dziad.

W tym miejscu Dytryk gwałtownie wciągnął do płuc powietrze. Każde kolejne słowo albo pytanie oznaczałoby zdradę stanu. Nie mógł podjąć walki przeciwko cesarzowi, a ponieważ Henryk nie wybierał się osobiście do Ziemi Świętej, nie można było liczyć na jego rychłą śmierć. Miał dopiero nieco ponad



trzydzieści lat. Ale z drugiej strony nie tak dawno znów przykuł go do łóżka atak gorączki bagiennej, której nabawił się przed laty podczas oblężenia Neapolu.

Spojrzenie, jakie Marta z Łukaszem przy tym zamienili, nasunęło Dytrykowi przypuszczenie, że ich inicjatywa wypłynęła nie tylko ze strategicznego doświadczenia i sprytu Łukasza, ale także na podstawie mglistych przeczuć jego żony. Jednakowoż hrabia zmusił się do stłumienia w sobie najskrytszych nadziei. Nie powinien się teraz pogrążyć w marzeniach.

Oczywiście Klara z dziećmi również przyjechała na sąd ziemski do Schkölen pod oficjalnym pretekstem pożegnania się z bratem. Jej, a właściwie jego synowie wyrosli na pięknych chłopców. Z dumą pogłaskał czule na pożegnanie ich czupryny, ona zaś, nie patrząc hrabiemu w oczy, życzyła mu uprzejmie Bożego błogosławieństwa i szczęśliwego powrotu do domu. Okrywała ją żaloba, jak zresztą przez cały czas od chwili narodzin małego Konrada. Jakże chętnie wziąłby ją w ramiona, pocieszył i dał jej oparcie. Pragnął znów poczuć dotyk jej miękkiego, ciepłego ciała.

„Czy oni wszyscy przeżyją i wszystko pójdzie dobrze?” – pomyślał Dytryk pełen niepokoju. Tymczasem wykrzykiwano komendy. Załoga statku rzuciła się do takielunków, by zrefować żagle. Zewsząd dochodziły głośne nawoływania, a ludzie biegali w tę i z powrotem, zbierając swój dobytek.

„Czy podczas wyprawy Jutta urodzi mi dziecko? – rozważał. – Czy Klara będzie bezpieczna we Freibergu? Może nawet spotka w końcu mężczyznę, który da jej szczęście? Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę?”

Był jednym z bardzo niewielu ludzi, którzy przeżyli epidemie i głód podczas oblężenia Akki i wrócili z krucjaty cesarza Fryderyka, toteż wydawało mu się rzeczą nad wyraz wątpliwą, by po raz drugi zdołał ująć wszystkim tym niebezpieczeństwom. Niemniej jednak Marta ani Klara, których wycuciu bezgranicznie ufał, nie dały do zrozumienia, że pisana mu była śmierć. Wręcz przeciwnie, Marta z Łukaszem układali plany na czas po jego powrocie. Zatem powinien być dobrej myśli.

Tymczasem dowiedział się jeszcze czegoś, co wciąż na nowo przyprawiało go o dreszcz przerażenia.

– On nie wróci! – wyszeptała Marta, gdy pożegnała syna.

Przykryła ręką usta i nie spuszczała wzroku z Tomasza. Ten spokojnie dosiadł konia i uśmiechnął się do matki, która nie mogła powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Czy ponownie będzie musiał sprawić Klarze ból, zawiadamiając ją o śmierci brata? A jej matce przekazać takie same wieści, jakie przywieźli wówczas Elżbiecie?

Zaniepokojony zerknął na towarzysza podróży i wielu bitew, który w zamyśleniu patrzył na zbliżające się nabrzeże.

Tomasz poczuł na sobie jego spojrzenie. Nie chciał, by Dytryk się domyślił, co się działo w jego duszy.

– Za waszym pozwoleniem zaraz zajmę się końmi – powiedział szybko.

Ostatnie tygodnie spędzili w dokuczliwym ścisku. Kilka setek mężczyzn, a do tego kozy, drób i inne drobne zwierzęta, nie mówiąc już o szczurach i różnym robactwie. Ale najgorzej miały konie, które na rozkołysanym statku mogły się poranić, toteż umieszczono je na dolnym pokładzie i podwieszono na pasach, tak że ledwo dotykały kopytami podłóża. Nie miały w ogóle ruchu. W przeciwieństwie do ludzi, złorzeczących, że przyszło im spać stłoczonym niczym śledzie w beczce, z nogami sąsiada na twarzy, zwierząt nie dało się pocieszyć wiadomością o bliskim końcu ich udręki.

Dytryk nie zabrał wprawdzie giermków, za to wziął ze sobą najszlachetniejsze i najsprawniejsze konie. Na dolnym pokładzie stał również Drago. Tomasz i Wito, najlepszy masztalerz Rajmunda, który z nimi podróżował, spędzali wiele czasu przy ogierach. Uspokajali je i rozmasowywali im pięciny, by krew się nie zastała.

Dytryk otrząsnął się z ponurych myśli i skinął przyzwalająco głową. Tak czy inaczej, był już najwyższy

czas, by przygotować się do zejścia na ląd.

Ale przed zejściem na dół Tomasz jeszcze raz odwrócił się do hrabiego.

– Ciekaw jestem, czy w Akce mają już prawdziwy szpital dla naszych rodaków, czy też wciąż układają chorych pod żaglami ludzi z Hanzy – wypalił.

Dytryk spojrział na niego zaskoczony.

– Bractwo posiada teraz budynek z kościołem w pobliżu Bramy Świętego Mikołaja.

– A czy nadal jest tam ów mały mnich? Brat Notker od benedyktynów? – zastanowił się, ale zaraz pożałował, że wypowiedział swoją myśl na głos.

Pospiesznie się skłonił i zniknął, nie mówiąc więcej ani słowa.

Dytryk nie został długo sam. Tuż po odejściu Tomasza podszedł do niego kuzyn Konrad.

– Podziękuję Bogu i wszystkim świętym, gdy wreszcie zejdziemy z tej rozkołysanej łupiny orzecha! – westchnął. – Rycerzowi po prostu nie przystoi nie mieć pod nogami twardego gruntu. A ta ciasnota! Nawet jak sikasz, przygląda ci się cała załoga. I jeszcze nigdy w całym moim życiu nie podano mi tak podłego jadła!

Dytryk darował sobie uwagę, że i tak mieli znacznie lepsze warunki niż reszta pielgrzymów. Nie musieli dzielić z nikim swoich prycz, jak inni na przepełnionym międzypokładzie, gdzie śpiącym ludziom biegały po głowach szczury. Oni, podobnie jak wszyscy książęta, zostali zakwaterowani w drogich kajutach, w tak zwanym raj. Zamiast stęchłej wody zmieszanej z octem i zepsutego, czerstwego chleba dostawali wino i mięsa. Niemniej jednak żadne pieniądze świata nie mogły ich uchronić przed mdłościami, kołysaniem galery, hałasem, fetorem, robactwem i brakiem wody.

– Teraz wiem, dlaczego Normanowie, Francuzi i Włosi siedzą tu od stu lat, zamiast wracać do domu – złorzeczył dalej Konrad. – Nie chcieli drugi raz wsiadać na te straszne łajby! Nie wyobrażam sobie, by droga lądem mogła być gorsza, mimo że wtedy zabrała wam ponad rok.

Dytryk nic mu nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, nie mógł się zdecydować, co było bardziej nieprzyjemne. Jednak gdy sobie przypominał, jak wówczas w pełnym rynsztunku maszerowali przez wyżynę Anatolii bez wody i prowiantu, odżywiając się jedynie uryną i krwią swoich koni, wystawieni na nieustające ataki, to dwudziestodwudniowa morska podróż wydała mu się mimo wszystko mniejszym złem, szczególnie że na horyzoncie ukazał się stały ląd, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Poza tym drogę lądową blokowały obecnie wrogie wojska.

– Czyż pielgrzymka nie powinna wzmacniać pobożności? – uskarżał się dalej elokwentny margrabia Marchii Wschodniej.

Podczas gdy mówił, zaczął wpadać w pasję i jego wywód stawał się coraz donośniejszy, a ponadto zbliżali się do portu i na przepełnionym pokładzie stopniowo wzrastał się harmider. Po ich lewej stronie zebrała się grupka rycerzy wymieniających głośno przechwałki, który z nich zabije pierwszego poganina.

– Nie czuję najmniejszego wzrostu pobożności – biadał Konrad. – Wręcz przeciwnie. Bardziej niż kiedykolwiek miałbym ochotę skoczyć do gardła temu, kto nas wpakował w tę kabałę!

Dytryk zamierzał wtrącić kilka ostrzegawczych słów. Nie było to odpowiednie miejsce na ubliżanie cesarzowi. Ale Konrad po minie hrabiego zorientował się w jego intencji i zręcznie wybrnął z niezręcznej sytuacji.

– Twemu bratu! Albrechtowi! Ma szczęście, że już nie żyje...

Podszedł do nich dowódca rycerzy Konrada i zameldował, że są spakowani i ludzie zostali przydzieleni do zadań, do koni oraz do transportu bagaży i uzbrojenia. Zaraz potem zgubił się w ciasnym tłumie pielgrzymów, wpatrzonych w wejście do portu i niemogących się doczekać, gdy wreszcie dotkną stopą stabilnej ziemi.

– Wszystkim świętym niech będą dzięki, że do tego portu można wpłynąć przy każdej pogodzie! Nasza niedola nareszcie się skończyła.

– Mylisz się, kuzynie. Dopiero zaczyna się na dobre – zaprotestował cynicznie Dytryk, mając w pamięci doświadczenia krucjaty cesarza Fryderyka.

Konrad spojrział na niego i na chwilę zamilknął.

## *Przestroga króla*

Zaraz po zejściu ze statku na stały ląd pielgrzymi klękali i dziękowali Bogu za szczęśliwą przeprawę do Ziemi Świętej. Na brzegu zbierało się coraz więcej mężczyzn obciążonych bagażami. Tymczasem otworzono drzwi ładowni i wyprowadzano zeszywniałe konie, osłabione długim staniem. Jeden z jucznych koni Dytryka zdechł w połowie drogi, pozostałe dzięki staraniom Wita i Tomasza przetrwały trudy podróży, chociaż były w opłakanym stanie. Widać było, że każdy krok sprawia im ból. Ale mieli nadzieję, że szybko dojdą do siebie, jak tylko dostaną odpowiednią ilość ruchu i świeżą wodę.

Kilku silnych mężczyzn wyciągnęło na brzeg drewnianą skrzynię skrywającą zwłoki człowieka, który zmarł na morzu. Mężczyzna obiecał kapitanowi horrendalną sumę pieniędzy i ubłagał go, by po śmierci nie wrzucano jego ciała jak zwykle do morza, ale złożono do skrzyni i przyciągnięto za statkiem do portu, a następnie pochowano w poświęconej ziemi. Minęło sporo czasu, nim uspokoił się bałagan po dobieciu do portu pierwszych statków należących do floty. Pozostałe galery pokazały się na horyzoncie, ale miały przed sobą jeszcze kawałek drogi.

Dowódcy poszczególnych kontyngentów energicznie zbierali swoje oddziały.

Najokazalsza świta należała do arcybiskupa Moguncji, Konrada z Wittelsbachu. Razem z nim podróżował najpotężniejszy człowiek w Turyngii, którego Dytryk nie miał na razie okazji spotkać na dworze Hermana. Hrabia Henryk ze Schwarzburga. Pochodził z jednego z najstarszych i najmożniejszych rodów w kraju, w którym powszechnie mówiło się o nienawiści panującej między Ludowingami i Schwarzburgami. Mówiono, że Henryk ze Schwarzburga jako jedyny Turyńczyk posiadał przywilej oraz niezbędne opanowanie, by w obecności landgrafa odwrócić się do niego plecami. Zatem nikogo nie zdziwiło, że hrabia ze Schwarzburga podróżował razem z arcybiskupem Moguncji, który z kolei był uwikłany w gwałtowne terytorialne spory z landgrafem Turyngii, do Hermana należały bowiem także niektóre dobra w Hesji.

Dytryk z zainteresowaniem przyglądał się mężczyźnie, który przywiódł do Ziemi Świętej pięć tuzinów rycerzy, natomiast Tomasz nie mógł oderwać wzroku od miasta, które się przed nimi rozciągało.

Mimo że przed siedmiu laty już tu był, nigdy naprawdę nie wszedł do środka. Gdy po wielomiesięcznym oblężeniu spędzonym wśród błota, dręczącego głodu i przerażających epidemii miasto nareszcie zostało zdobyte, Tomasz spędził dzień na czuwaniu przy poległym przyjacielu, synu Rajmunda. Zaraz potem ludzie pozostający pod dowództwem księcia Austrii otrzymali rozkaz powrotu do domu, ponieważ Ryszard Lwie Serce kazał wrzucić do fosy proporzec księcia Leopolda i odmówił mu należnego udziału w zdobyczych łupach. Była to obelga, za którą Leopold potem się zemścił, biorąc angielskiego króla do niewoli. Jednakże okup nie przyniósł mu szczęścia. Za napaść na krzyżowca został ekskomunikowany przez papieża i wkrótce po uwolnieniu Ryszarda zmarł wskutek upadku z konia.

Z pokładu Tomasz widział potężne mury, wieże kościołów, kopuły i minarety. Poczł podniecenie, podobnie jak dziecko na jarmarku albo wieśniak z maleńkiego przysiółka, który po raz pierwszy przekraczał próg kamiennej katedry. Gdy tylko zszedł ze statku, jego wzrok przyciągnęła grupa

wielbłądów. Znów nie mógł się nadziwić ich osobliwym kształtom i dziwacznemu wyrazowi pysków przeżuwiających jakiś pokarm. Najwyraźniej Bóg pozwolił sobie na dowcip, gdy je stwarzał, chociaż na pustynnych terenach okazywały się niezastąpione jako zwierzęta pod wierzch i do juków.

Kilku mężczyzn w luźnych, jasnych szatach podbiegło w stronę przybyszów z Zachodu, oferując im wylewnie wielbłądy do transportu bagaży. Ale nikt z przybyłych nie chciał skorzystać z ich propozycji. Po tygodniach spędzonych na morzu cieszyli się, mając pod nogami pewny grunt albo sprawnego konia.

Królewski kwatermistrz kazał nowo przybyłym wojownikom się ustawić, po czym przeprowadził ich przez miasto.

Tworzyli niekończącą się, ale i nie wzbudzającą wielkiego zaufania kolumnę. Większość mężczyzn była zaniedbana, lepili się od brudu i zdziczeli przez długi czas spędzony na galerze. Znajdujący się na ulicach mieszkańcy w popłochu znikali w bocznych zaułkach albo chowali się za domy. Tomasz był rozczarowany, niemniej jednak starał się zapamiętać wszystko, co zobaczył. Oglądał misterne drewniane zdobienia na fasadach domów, tkaniny rozpięte dla ocienienia w niektórych zaułkach i wdychał wspaniały aromat z jakiejś garkuchni, który budził w nim wspomnienie Antiochii.

Ale przepełnioną oczekiwaniami radość zagłuszył wstyd i gniew, gdy zobaczył, jak mężczyźni przed nim zabrali się do plądrowania koszy wypełnionych owocami i porywali ze sznurów czerwone i żółte pasy materiału, rozwieszane przez farbiarzy do wyschnięcia. Poszarpane i ubrudzone tkaniny lądowały na ziemi, a owoce o jaskrawej barwie i wybornym smaku, o których wiedział, że miejscowi nazywali je pomarańczami, turlały się po ulicach, dopóki nie rozmiażdżyły ich końskie kopyta, wydobywając z nich nęcący aromat, który natychmiast otoczył tę budzącą odrazę scenę. Wzburzeni kupcy sprzecali się z uzbrojonymi mężczyznami w języku, którego ci nie rozumieli albo nie chcieli zrozumieć, nawet bowiem bez znajomości ich mowy żądanie zadośćuczynienia straty było aż nadto wyraźne.

Z czoła pochodu wydano zaostrzone rozkazy, zabraniające wszelkiego pustoszenia czy wszczynania kłótni z tubylcami.

– A ponoć to kraj mlekiem i miodem płynący – burknął głośno wysoki mężczyzna idący kilka rzędów przed Tomaszem, niosący całe naręcze zagrabionych owoców, które teraz musiał oddać. – Przyjechaliśmy odbić Jerozolimę, zatem powinni nas chyba witać jak bohaterów!

„Niezły początek” – pomyślał Tomasz pełen niepokoju.

Dobrze pamiętał liczne swary między chrześcijanami, które podczas poprzedniej krucjaty też miały miejsce. To właśnie one przynosiły w efekcie największe straty.

Przybysze ustawili się przed królewskim pałacem. Służący rozdawali chłodną wodę dla orzeźwienia. Niektórzy z nich otwarcie marszczyli nosy wobec smrodu, który roztaczali wokół siebie obcy. Jeden z ludzi ze świty arcybiskupa Moguncji przetłumaczył słowa kwatermistrza, które wywołały kolejną falę niezadowolenia. Najwyraźniej przygotowanie w mieście dostatecznej liczby kwater dla nowo przybyłych nie było możliwe.

W kilku miejscach podniosły się niezadowolone okrzyki.

– Wobec tego sami się zakwaterujemy!

I zaraz kilku mężczyzn runęło do przodu z bronią, gotowych gwałtem utorować sobie wejście do domów.

– Zatrzymajcie ich! Najlepiej, jeśli wszyscy razem rozbijemy obóz pod miastem, inaczej będą kłopoty! – zawołał Dytryk do margrabiego Marchii Wschodniej i Henryka ze Schwarzburga, którzy stali po jego obu stronach i dowodzili dwoma z największych kontyngentów. Obaj natychmiast zareagowali.

– Wracać, hołoto! – wrzasnął groźnie Konrad.

Schwarzburczyk wyszedł kilka kroków do przodu.

– Wszyscy natychmiast się cofnąć! – zawołał głosem nawykłym do wydawania rozkazów. – Rozbijemy

obóz przed miastem.

Później wysłał kilku rycerzy, aby powstrzymali tych, którzy zdążyli pognać przed siebie, nim wyrządzą jakieś większe szkody.

Następnie wspólnie z arcybiskupem Moguncji porozumieli się z kwatermistrzem i Turyńczyk zarządził wymarsz.

Tomasz natychmiast się zorientował, dokąd zmierzali. Na wzgórze położone nad rzeką od wschodu Akki, które z trzech stron miało strome zbocza. Dokładnie w tym samym miejscu obozowali siedem lat temu, gdy przez długie miesiące daremnie próbowali zdobyć miasto. Ale tym razem okoliczności bardziej im sprzyjały. Było ciepło, ziemia zbita, bez błota, ponadto dostaną prowiant, a miasto nie było do nich wrogo nastawione. O ile oczywiście nie dojdzie do takich zajęć jak przed chwilą.

Rozstawiono namioty i przygotowano ogrodzone wybiegi dla koni. Tomasz się umył, przebrał i zgolił brodę, a następnie poprosił hrabiego z Weissenfels, by mu pozwolił pójść do miasta. W kościele niemieckiego szpitala chciał zmówić modlitwę za duszę Rolanda.

– Pójdę z wami – zdecydował Dytryk. – Chcę odwiedzić grób księcia ze Szwabii.

Fryderyk Szwabski, jeden z synów cesarza Fryderyka Staufa, po śmierci ojca w Cylicji<sup>21</sup> przejął dowództwo nad niemiecką armią i w wieku dwudziestu trzech lat zmarł pod Akką na zarazę.

Ale nim dwaj mężczyźni zdążyli dojechać do koni i usiąść w siodłach, podszedł do nich człowiek w jedwabnej szacie przetykanej złotymi nićmi.

– *Theodericus des Misna?* – zapytał po łacinie. – Dytryk z Miśni?

Dytryk przytaknął. Od dawna nikt się do niego w ten sposób nie zwracał i ta forma sprawiła, że poczuł ukłucie w sercu. Dytryk, margrabia miśnieński, tak powinni go nazywać. Jednak cesarz odmówił mu kraju i należnego tytułu.

– Władca Jerozolimy oczekuje was na audiencji, razem z arcybiskupem Moguncji i margrabią Marchii Wschodniej. Proszę za mną!

Tomasz dostał polecenie towarzyszenia Dytrykowi, tak samo jak Schwarzburchczyk asystował arcybiskupowi.

Tomasz popatrzył na siebie markotnie. Wprawdzie umył się w rzece, wyczesał włosy gęstym grzebieniem, uwalniając je od robactwa, i wdział czyste ubranie, ale po tylu tygodniach spędzonych w brudzie i w zestawieniu z kosztownym strojem posłańca nie czuł się ubrany odpowiednio na wizytę u króla. A szczególnie tutaj, gdzie nawet ubiory nadwornej służby były bardziej wykwintne od lnianych bładów niemieckich rycerzy.

Ponadto zastanawiał się, dlaczego poproszono Dytryka razem z książętami, którzy zajmowali o wiele wyższą pozycję od niego. Ale przyczyna owej niespodzianki za chwilę miała się wyjaśnić.

W swych najlepszych strojach i na swych najlepszych koniach poproszeni goście ruszyli za posłańcem do miasta.

W zaułkach Akki roilo się teraz od ludzi. Tomasz chłonał widoki i starał się zrozumieć cokolwiek z gwaru rozmów. Gdyby mieli zostać na dłużej, powinien może nauczyć się trochę tego języka. Już teraz mu przeszkadzało, że nie mógł się porozumieć z ludźmi, a chciałby poznać bliżej ich zwyczaje. Orient uchodził za miejsce, w którym mądrość wielu narodów złączyła się, by na nowo rozkwitnąć. Na przykład bardzo go ciekawiły tutejsza wiedza medyczna, miejscowe lecznicze zioła i uzdrowicielskie metody. Chętnie opowiedziałby o nich matce.

W Antiochii postępowano zgoła odmiennie niż w niemieckich szpitalach. Wyleczono go tutaj z ciężkiej choroby i ran. Gdyby nie wiedza miejscowych medyków, musiałby umrzeć albo co najmniej straciłby

ramię.

Może nie płynęło tu mleko ani miód, ale w drodze z obozu do miasta widział dziko rosnącą szalwią i włoski koper! Czyż to nie było lepsze?

Z przodu, pod łukiem bramy, mężczyzna z czarną brodą sprzedawał suszone zioła, proszki i tynktury.

Kilka kroków dalej Tomasz pożądlawie wciągnął w płuca aromat jaskrawoczerwonych i szafranowożółtych przypraw, które całymi workami leżały wyeksponowane na wozach handlarzy, patrzył na ostrza z damasceńskiej stali, oferowane przez kowala miecznika, oglądał się za templariuszami i joannitami, których cała masa kręciła się po wąskich, krętych uliczkach, albowiem obecnie obydwie zakony rycerskie miały w Akce swe główne kwatery, a później po raz kolejny zdumiały go drobne konie, używane przez miejscowych jako zwierzęta pod wierzch. Wszędzie głośno się targowano, zachwalano towary, śpiewano i się modlono.

Wszędzie były też owe drobne kobiety w zwiewnych szatach, o wdzięcznym chodzie i fascynujących oczach!

Ale w końcu oderwał wzrok od tego urzekającego widoku i skierował myśli na audiencję u króla Jerozolimy, którego obecne terytorium ograniczało się już tylko do Akki i wąskiego pasa wybrzeża.

Jego poprzednik, Gwidon z Lusignan, doprowadził królestwo do upadku, gdy dziesięć lat temu, wbrew radom obeznanych z krajem baronów, niemal całą chrześcijańską armię poprowadził na bitwę pod Hittin<sup>22</sup>, która zakończyła się dla niego sromotną klęską. Prawie całe wojsko zostało starte w pył, podobnie jak obydwie zakony rycerskie, templariuszy i joannitów. W ciągu następnych tygodni Saladyń podbił Jerozolimę i prawie wszystkie pozostałe miasta, które do tej pory znajdowały się w rękach chrześcijan. Jedynie Konrad z Montferratu zdołał obronić przed nim portowe miasto Tyr<sup>23</sup>.

Lecz Gwidon i Konrad byli zwaśnieni. Na przekór rywalowi Lusignan wydał rozkaz do niemającego praktycznie żadnych szans oblężenia Akki, które ciągnęło się przez półtora roku i pochłonęło życie wielu tysięcy ludzi. Dopiero przybycie królów Francji i Anglii, którzy przyprowadzili swoje wojska, doprowadziło do zdobycia miasta.

Rozgniewani nieudolnością Gwidona wschodni baronowie zmusili Lusignana do rezygnacji z korony jerozolimskiej i w ramach zadośćuczynienia oddali mu Cypr, gdzie ich zdaniem nie mógł wyrządzić większych szkód. Właśnie tam kilka lat temu dokonał swojego żywota. Teraz władcą Cypru był jego brat Amalryk i podobnie jak księżę Leo z Armenii, poprosił niemieckiego cesarza o koronację i uznanie go za lennika. Po wygnaniu Gwidona Konrad z Montferratu został wybrany na króla Jerozolimy, jednak już kilka dni później krewniaka Staufów zakłuli asasyni. Do chwili obecnej krążyła pogłoska, że morderstwa dokonali na zlecenie wrogiego Staufom i pałającego żądzą zemsty Ryszarda Lwie Serce, chociaż nigdy nie była ona nazbyt wiarygodna.

Ze wszystkimi trzema Tomasz zetknął się pod Akką. Z nieudolnym Gwidonem, który wysłał ludzi na bezsensowną walkę i śmierć, z energicznym Konradem, który posiadał wojskowe doświadczenie i nawet wygrał bitwę morską z Saladyńem, oraz z obecnym królem Henrykiem z Szampanii. Ten ostatni został pod Akką dowódcą frankijskiej armii, gdy Ludwika z Turyngii powaliła śmiertelna choroba. A zatem był teraz królem, chociaż nie chciał, by go w ten sposób tytułowano, nie został bowiem koronowany w Jerozolimie.

Zaciekawieni tym, co ich czekało, Tomasz i Dytryk ze swymi towarzyszami po raz drugi wjechali na dziedziniec pałacu. Dopiero teraz zwrócili uwagę na przepyszne kwiaty, bogato zdobione studnie i misterne ornamenty, które zdobiły fasady.

Nim pozwolono gościom wejść do sali audiencyjnej, służący zaprowadzili każdego z nich do łaźni.

Na widok wystawnego zbytku Tomaszowi wprost odjęło mowę. Światło wpadało do wnętrza przez wzorzyste drewniane kraty wąskich okien, ściany były od góry do dołu pokryte ornamentami, podobnymi

do tych, jakie kiedyś podziwiał w cesarstwie bizantyjskim i w Antiochii. W misternie cyzelowanym mosiężnym naczyniu paliło się kadzidło, roztracające jakąś nieznaną, lecz przyjemną woń. Wanna była wpuszczona w podłogę i okolona kamiennymi rzeźbieniami, a woda była gorąca!

Odłożył broń, ściągnął z siebie ubranie, które znów było przepocone, i ostrożnie wszedł do środka. Na brzegu wanny stały nieduże buteleczki. Wyciągał po kolei korki, wachając ich zawartość. Później odstawił je na miejsce i zaczął się rozglądać za mydłem.

Zbyt późno się zorientował, że w pobliżu nie było ręczników. Cały się zanurzył, rozkoszując się ciepłem i orzeźwieniem, i pozostał tak długo pod wodą, póki starczyło mu powietrza w płucach.

Później wynurzył się z parsknięciem, odgarnął do tyłu mokre włosy i nie mógł się zmusić do wyjścia z odprężającej wody. Następnie do środka weszło dwóch służących. Jeden z nich przyniósł stos ubrań, a drugi pas lnianej tkaniny. Najprawdopodobniej oczekiwał, że Tomasz wyjdzie z wody i pozwoli mu osuszyć swoje ciało. Ale tego było dla młodego freiberczyka zbyt wiele.

Wyrwał ręcznik z rąk zaskoczonego sługi i owinał się w niego, wychodząc z wanny. Później stał, czekając, aż wyjdą obaj służący, rozbawieni zachowaniem barbarzyńskiego Franka. Jego broń i ubrania zabrali ze sobą.

Nic dziwnego, nie należało bowiem oczekiwać, że wpuszczą go uzbrojonego przed oblicze władcy Jerozolimy. Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko włożyć na siebie świeże szaty. Nagle zapragnął przywieźć matce i siostrze tak piękne tkaniny jak te, w które go ubrano.

Arcybiskup Moguncji był jedynym spośród gości króla, który miał na sobie własne szaty. Pozostałych ubrano zgodnie z miejscowym zwyczajem, przez co wrażenie ich obcości trochę się zmniejszyło. Ale tylko trochę. Za to w oczach Tomasza wyglądali teraz jeszcze bardziej osobliwie.

Dwaj służący otworzyli podwoje zdobionych wspianiałymi rzeźbieniami drzwi i wpuścili ich do sali audiencyjnej.

Arcybiskup skłonił głowę, a rycerze uklękli.

Król, wnuk słynnej Eleonory z Akwitanii i siostrzeniec Ryszarda Lwie Serce, liczył sobie około trzydziestu lat i nie był nazbyt wysokiego wzrostu. Ale miał bardzo wyrazistą twarz i podbródek wskazujący na energię właściciela. Pozdrowiwszy gości, pozwolił im powstać i zająć miejsca. Jednakże nie na grubo ciosanych ławach czy w kamiennych niszach, jak to bywało na niemieckich zamkach, ale na przetykanych złotem poduszkach. Przed nimi stały sześciokątne stoliki wyłożone zawiłymi intarsjami, a na nich kubki ze srebra i mosiądzu.

Tomasz potrzebował chwili, by się pozbierać, gdy zobaczył dwóch mężczyzn stojących po obu stronach króla. Henryk z Szampanii znajdował się w imponującym towarzystwie.

Wysoki, szczupły człowiek w wieku około sześćdziesięciu lat po prawicy Henryka, o ostrych, kanciastych rysach twarzy i bystrym, przenikliwym spojrzeniu musiał być dowódcą królewskiej armii. Hugo z Tyberiady. Jeden z najbardziej poważanych baronów Wschodu.

Z kolei w mężczyźnie po lewej stronie króla po czerwono-żółtym godle rozpoznał Ibelina, którego Henryk uczynił jednym ze swych najbardziej zaufanych doradców.

„A więc to jest ów człowiek, który przeżył bitwę pod Hittin, dowodził obroną Jerozolimy i zadbał, by większość chrześcijańskich mieszkańców miasta mogła ujść z życiem!” – pomyślał Tomasz z podziwem. Ponadto Ibelin wspólnegojował pokój między Saladynem a Ryszardem Lwie Serce. Stanowił legendę. On i jego niezjący brat Baldwin, obaj byli baronami z olbrzymimi wpływami, należeli niegdyś do najzagorzalszych przeciwników króla Gwidona. Gdyby ten posłuchał jego rady i nie poprowadził armii przez tereny pozbawione wody, to chrześcijanom zostałaby oszczędzona sromotna klęska spod Hittin wraz ze wszystkimi przykrymi konsekwencjami.



Rozmowę prowadzono po francusku, zatem Tomasz zrozumiał jedynie jej część, posiłkując się kilkoma znanymi zwrotami i mimiką uczestników.

Najwyraźniej król chwalił zaangażowanie Dytryka w zdobycie Akki przed laty, gdzie po śmierci księcia ze Szwabii niemieccy rycerze w armii króla Francji walczyli pod jego dowództwem. Ten fakt tłumaczył, dlaczego zaproszono Dytryka.

Król znalazł nawet słowa pochwały dla młodego rycerza towarzyszącego Dytrykowi, który w tamtym czasie też z nimi walczył. Wyraził się z uznaniem o Ludwiku z Turyngii, swoim poprzedniku na stanowisku dowódcy frankijskiej armii, co Schwarzburchczyk przyjął z kamienną miną.

Później Henryk z Szampanii przywołał tłumacza, który od dawna czekał z boku. Zapewne to, co miało teraz nastąpić, było dla niego tak ważne, że nie chciał uronić ani słowa.

– Nie prosiliśmy cesarza o przysłanie wojska – odezwał się z surową miną władca Akki. – Dziękujemy Bogu, że udało nam się przedłużyć zawieszenie broni. To niezwykle niedogodny czas, żeby zaatakować Jerozolimę. Ledwo udaje nam się utrzymać pas wybrzeża, samo zaś nadbrzeże jest zagrożone przez piratów z Bejrutu.

Jego słowa były niczym cios w kark. Żaden z gości się nie odezwał ani nie zdradził miną swoich myśli.

W istocie osobliwy był fakt, że nie papież, ale cesarz wezwał do krucjaty. Jednakowoż Celestyn wspierał niemieckie przedsięwzięcie, a nawet próbował skłonić do udziału Anglików, chociaż na tym polu nie odniósł sukcesu.

Niemniej jednak nikt się nie spodziewał, że będą niemiłe widziani wśród tutejszych chrześcijan. W każdym razie nie w takim wymiarze.

– Ilu ludzi cesarz zamierza jeszcze przysłać? – zapytał rzeczowo Hugo z Tyberiady.

Konrad z Moguncji zabrał głos, ponieważ jako arcykanclerz był najwyższy rangą wśród gości.

– Sam cesarz wysyła sześć tysięcy ludzi na własny koszt. Rycerzy, serwientów, giermków. Ponadto wielu szacownych książąt ze wszystkich części Rzeszy zadeklarowało swój udział i jadą ze swymi kontyngentami do Mesyny albo już bezpośrednio tutaj. My stanowimy zaledwie przednią straż. Większość cesarskiej armii dotrze w ciągu najbliższych tygodni. Dowodzi ją marszałek Henryk z Kalden. We wrześniu oczekujemy kolejnego wsparcia przez flotę, która płynie tu od Morza Północnego z Henrykiem z Brunszwiku i księciem z Brabancji.

– Henryk z Kalden to zdecydowany wojownik – powiedział w zamyśleniu król.

Nieustraszony marszałek był już na wyprawie do Ziemi Świętej pod zwierzchnictwem Fryderyka Staufa i poprowadził oddziały na bitwę.

– Jednakowoż nie sądzę, by książęta, a na dodatek w dużej liczbie, stawili się pod rozkazy ministeriała.

Tomasz uważał podobnie, ale ta kwestia najprawdopodobniej niedługo sama się wyjaśni.

Henryk z Szampanii lekko się uśmiechnął.

– Nie będę się mieszał w tę sprawę. Lecz w jednej kwestii wymagam bezwarunkowego posłuszeństwa: zawieszenie broni nie może zostać naruszone! W każdym razie nie wcześniej, niż wasza armia w całości dotrze na miejsce i w razie ataku będziemy mieli szansę na zwycięstwo.

Ostatnie słowa wypowiedział twardo i nieustępliwie.

Tomasz przypomniał sobie długie i głośnie przechwałki mężczyzn na galerze, którzy nie mogli się doczekać zabijania niewiernych i zgarnięcia łupów. Zastanawiał się, czy tymczasem niektórzy z nich nie złamali rozkazu króla. Zdaje się, że powinni jak najszybciej wracać do obozu, by zapobiec niepokojom. Kątem oka spojrzał na Dytryka i dostrzegł, że hrabia myślał o tym samym.

– Nadgorliwi nowo przybyli Frankowie, którzy nie mają pojęcia o tutejszym życiu i o naszych układach



z Saracenami, w ciągu ostatnich lat wyrządzili o wiele za dużo szkód – oznajmił ostro pan z Tyberiady. – Oczekujemy, że zmusicie swoich ludzi do bezwarunkowej dyscypliny i dochowacie zawieszenia broni.

– Zatem pozwólcie, że od razu się oddalimy i dopilnujemy porządku – zaproponował arcybiskup Moguncji.

Na znak dany przez króla goście się podnieśli i opuścili salę.

Na zewnątrz dworzanie oddali im broń i starannie złożone ubrania.

– Doprawdy nie obędzie się raczej bez powieszenia kilku awanturników i grabieżców dla odstraszenia pozostałych – skonstatował sarkastycznie Konrad z Marchii Wschodniej, przypinając do pasa miecz.

Po ponurej minie Dytryka Tomasz poznał, że hrabia widział tę sprawę podobnie jak jego kuzyn, zatem będą musieli znów przesunąć swą wizytę w kościele.

## *Propozycja*

Było tak, jak się obawiał Konrad z Marchii Wschodniej. Kilka uzbrojonych grup zdążyło się wypuścić z obozu, w żądzy zabicia pierwszego napotkanego niewiernego, by zapewnić sobie miejsce w rajcu.

Szkody zostały wyrządzone. Przed jednym z namiotów tkwiło trofeum w postaci nadzianej na włócznię odciętej głowy o opalanej skórze i z czarnymi włosami. Obok niej głośno świętowali mężczyźni upojeni zwycięstwem.

Krewniak Dytryka kazał ich wszystkich spętać. Henryk ze Schwarzburga wypytał swoich ludzi, czy z innych części obozu wyruszyło więcej awanturników, a następnie posłał za nimi zbrojnych, by ich powstrzymali.

Konrad z Moguncji zwołał wszystkich książąt i dowódców poszczególnych kontyngentów na wojenny sąd.

Dwóm łupieżcom z własnego wojska margrabia Marchii Wschodniej kazał obciąć dłoń i wypędził ich z armii. Gdy krwawe kikuty zostały posmarowane gorącą smołą i opatrzone, ich właściciele bez żadnego dobytku musieli odejść na chwiejnych nogach i spróbować przeżyć w mieście, którego mieszkańców obrabowali.

Dowódcy poszczególnych kontyngentów jednomyślnie postanowili, że człowiek, który zabił tubylca, zostanie wydany władcy Jerozolimy. Mordercę miano powiesić w środku miasta, żeby wszystkim pokazać, że jego występki zostały odkupione, a nowi przybysze z niemieckich ziem od zaraz będą przestrzegali zawieszenia broni. Jeszcze tego samego dnia okazało się, że zamordowany nie był Saracenenem, a chrześcijaninem.

Ludzie Henryka ze Schwarzburga też stracili człowieka podczas szukania i wyłapywania grabieżców. Jedna grupa żądnych krwi krzyżowców nie chciała dać się odwieść od zamiaru mordowania pogan i wdała się w krwawą potyczkę z Turyńczykami. Dwóch całkowicie pozbawionych hamulców mężczyzn poniosło w niej śmierć, trzej zaś kolejni zostali pojmani przez ludzi Schwarzburga i w pętach doprowadzeni do obozu. Jednakże w walce jeden z Turyńczyków stracił życie.

Książęcy sąd się nie ceregielił i postanowił powiesić więźniów w obozie. Po wykonaniu wyroku Tomasz poszedł do koni.

„Znów się zaczyna to samo co wtedy – pomyślał. – Zapomniałem o tym, gdy powiedziałem Dytrykowi, że chcę z nim jechać na tę wyprawę krzyżową?”

Przecież tak naprawdę nie chodziło mi o spełnienie przysięgi krzyżowca. Chciałem odnaleźć spokój przy grobie Jezusa. Lecz jeśli nie wolno nam jechać do Jerozolimy, to jak długo ci wojowniczo

nastawieni mężczyźni zdołają zachować spokój i uszanować zawieszenie broni?

Może powinniśmy się wycofać i przesłać cesarzowi wiadomość, żeby odwołał przedsięwzięcie? Ale do tego raczej nie dojdzie. Cesarz Henryk jest konsekwentny w dążeniu do celu, chociaż rzadko zdradza swe prawdziwe intencje. Kto wie, co naprawdę nim kierowało, oprócz chęci zdobycia sobie przychylności papieża!”

Tomasz pełen gorzkich myśli w zadumie odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w sierp księżyca, a Drago przyjaźnie ułożył łeb na jego ramieniu.

Następnego ranka rozkaz księcia Jerozolimy nakazujący dochować zawieszenia broni był nadal przedmiotem żywych dyskusji wśród przedniej straży cesarskiej armii. Po co przyjechali, jeśli nie mogli walczyć? I w jaki sposób mieli zdobyć obiecane przez papieża miejsce w raju i odpust wszystkich złych uczynków, jeśli nie zabiją żadnego niewiernego? Czyż nie po to przybyli?

Niemniej jednak los, jaki spotkał skazanych, i widok trzech wisielców w obozie nie zachęcały do publicznego podnoszenia tej kwestii.

Dytryk, podobnie jak Tomasz, wiedział, że taka masa mężczyzn, którzy przybyli, żeby walczyć i zdobywać łupy, niedługo wytrzyma w bezczynności. Nie musieli tego nawet mówić na głos, wystarczyło, że wymienili ze sobą jedno spojrzenie. Na poprzedniej wyprawie krzyżowej i podczas walk o Weissenfels walczyli ramię w ramię i dość wycierpieli, by wiedzieć, co drugi w tej sytuacji myślał.

– Daj ludziom zajęcie przy koniach, inaczej dyscyplina się rozluźni – poradził Dytryk kuzynowi Konradowi.

Ten zaraz po porannej mszy i śniadaniu wprowadził jego propozycję w życie. Konie po przeprawie przez morze pilnie potrzebowały ruchu dla rozluźnienia przykurczonych mięśni i poprawy trawienia.

Na wybiegach rozpoczęła się krzątania. By zapobiec złamaniu rozkazów przez pojedyncze grupki, które mogłyby skorzystać z nadarzającej się okazji i wyruszyć po łupy, po pierwszych ostrożnych próbach rozruszania zwierząt dowódca zarządził w jednostkach ćwiczenia w szyku.

Tymczasem Dytryk i Tomasz wsiedli na konie, by nareszcie wykonać to, na co dzień wcześniej nie stało im czasu. Pojechali do niemieckiego szpitala w Akce.

Dytryk wiedział, że Brama Świętego Mikołaja znajdowała się w północno-wschodniej części Akki. Toteż wyjeżdżając z obozu, skierowali się tak, by wjechać do miasta w odpowiednim kierunku. Na miejscu rozpytał się w języku Francuzów, czy budowla, którą widzieli przed sobą, była kościołem Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, i otrzymał twierdzącą odpowiedź. Nie mieli daleko. Wkrótce stanęli przed okolonym płotem ogrodem, w którym stał kilkupiętrowy budynek i kościół. Jakiś mnich odezwał się do nich po niemiecku i zaprosił, by weszli do środka. Tomaszowi wydało się niemal dziwne, że tutaj, na obcej ziemi, spotkali kogoś, kto mówił w ich języku, pomijając oczywiście towarzyszy podróży.

Tomasz odprowadził konie, a później wszedł za Dytrykiem do kościoła i ukląkł obok niego przed ołtarzem.

Hrabia z Weissenfels powiedział mu, że w tym kościele pochowano Fryderyka ze Szwabii. Tomasz chciał się pomodlić za niego i za swego zmarłego przyjaciela.

Obaj, Roland i książę ze Szwabii, mieli dopiero po dwadzieścia parę lat, gdy zginęli pod Akką. Fryderyk, podobnie jak tysiące innych ludzi, marnie skończył na zarazę, w najgorszych mękach i wyzuty z wszelkiej godności.

Niewiele brakowało, a Rolanda spotkałby ten sam los. Tomaszowi udało się go uratować. Zabił swego konia i kazał ugotować posiłek dla chorego. Ale nim Roland zdołał zupełnie wyzdrowieć, poległ

w bezsensownej utarczce wszczętej przez nadgorliwych pizańczyków i Anglików, którym musieli przyjść w sukurs Niemcy. Po spędzeniu dwóch i pół roku na tej okupionej licznymi stratami, męczącej wyprawie krzyżowej, po przewyciężeniu tylu niebezpieczeństw i stoczeniu krwawych bitew Roland zmarł na dzień przed zdobyciem miasta, trafiony strzałą w plecy.

Tomasz wciąż miał ten obraz przed oczami. Nigdy go nie zapomniał i nigdy nie zdoła o tym zapomnieć... Jego bezradność, płonna nadzieja, że przyjaciel przeżyje...

Zaniósł Rolanda do lazaretu. Ale nawet najbardziej doświadczeni uzdrowiciele nie byli w stanie go uratować.

Nigdy nieprzewyciężony ból i wyrzuty, które nieustannie sobie czynił, ścisnęły mu gardło. Poczł pieczenie w oczach. Gwałtownie wstał i wybiegł na zewnątrz. Nie mógł dłużej znieść widoku twarzy Rolanda i echa jego głosu. Najchętniej wypłakałby i wykrzyczał z siebie całą rozpacz.

Lecz nie w obecności Dytryka. I nie w kościele. Myśl, że Dytryk z Weissenfels, mężczyzna, którego jego ojciec wychował na rycerza, będzie na niego patrzył i pomyśli sobie o nim różne rzeczy, jeśli wyrwie go z modlitwy i okaże nieopanowanie, jeszcze pogarszała sprawę.

Na szczęście Dytryk za nim nie wyszedł, tylko pozostał przy ołtarzu. Miał nadzieję odnaleźć tu ukojenie. Jednakże najwidoczniej się pomylił. Nie miał dość sił, by znieść wspomnienia.

Wrócił do ogiera i ukrył twarz w szyi Dragona.

„Tak sobie tu stoimy, przyjacielu, obolali i niezdolni do walki. Czy za dużo na siebie wzięliśmy, wyruszając w tę podróż?”

Tomasz nie potrafił powiedzieć, ile czasu minęło, nim jego wzburzona dusza uspokoiła się na tyle, że mógł wyjść do ogrodu i spojrzeć w słońce. Mężczyzna z twarzą pooraną zmarszczkami i w ubraniu konwersa pospieszył mu naprzeciw, pytając, w czym mógłby gościowi pomóc.

Tym razem nie zdziwiło Tomasza, że zwrócił się do niego w rodzimym języku, a wręcz się z tego ucieszył. Najwyraźniej to miejsce stanowiło coś w rodzaju niemieckiej wyspy na obczyźnie. Miał nadzieję, że jego twarz się uspokoiła, i zapytał o brata Notkera.

– Łysy Notker czy ten młody? – upewnił się konwers.

– Niski, chudy, z przekrzywioną tonsurą, zna się na leczniczych ziołach – opisał poszukiwanego Tomasz.

Minęło osiem lat od ich pierwszego spotkania, zatem mnich nie mógł już być taki młody. Miał nadzieję, że tymczasem zupełnie nie wyłysiał.

– Najprędzej zastaniecie go w górnej sali dla chorych – oznajmił starszy człowiek, wskazując na budynek szpitala.

Tomasz w pełnym oczekiwania napięciu ruszył schodami w górę. A więc jego towarzysz niedoli podczas uciążliwego marszu do Ziemi Świętej nadal żył!

W najcięższych momentach ratowali sobie wzajemnie życie. A Notker, początkowo sprawiający wrażenie o wiele za słabego na trudy podróży, w którą opat wysłał go za karę za zadanie niepożądanego pytania, po drodze jak gdyby odnalazł w sobie nie tylko imponującą siłę, ale również powołanie.

Sala chorych była podobna do tamtej w Antiochii, w której Tomasz spędził wiele tygodni. Jasna, czysta i pełna powietrza. Otwory okienne były przysłonięte tkaninami, łagodzącymi jasne słoneczne światło.

Utkwił wzrok w szczupłej postaci mężczyzny, pochylonego nad jednym z najdalej ustawionych łóżek, który namiętnie rękę chorego i odmówiwszy modlitwę, wykonał znak krzyża.

Tomasz znieruchomiał na swej pozycji obserwacyjnej.

Większość chorych wydawała się spać. Jakiś leżący nieopodal drzwi mężczyzna z kikutem w miejscu, gdzie powinna być noga, popatrzył na niego nieufnie. Na sali stało dwanaście łóżek, z czego pięć było

pustych, nakrytych świeżym lnianym płótnem.

W końcu brat Notker się wyprostował i odwrócił. Spojrzał ciekawie na stojącego w wejściu przybysza i ruszył w jego kierunku. Teraz go rozpoznał, twarz mu się rozpromieniła i przyspieszył kroku. Szybko wyprowadził gościa na korytarz i zwrócił się do niego uradowany.

– Żyjecie! I Bóg znów was tutaj sprowadził!

– Ty też żyjesz!

Najchętniej uściskałby dawnego towarzysza. Ale mnisi byli powściągliwi w okazywaniu uczuć. Toteż Tomasz znieruchomiał w pół ruchu i patrzył na Notkera z roześmianą twarzą.

– Teraz nawet twoja tonsura się wyprostowała! W rzeczy samej, uczynili z ciebie prawdziwego mnicha!

Notker zachichotał po cichu.

– Tak, bardzo się starają, by wszystko miało należyty porządek i nie uchybiało świętości.

– Czy jesteś szczęśliwy? Odnalazłeś swoje powołanie?

– Tak – odparł z zadowoleniem Notker. – Widzieliście salę chorych. Tutaj naprawdę możemy pomagać ludziom, inaczej niż wówczas w prowizorycznym lazarecie pod żaglami, gdzie nie było jedzenia ani lekarstw, osłony od wiatru i niepogody.

Jego twarz na chwilę spochmurniała, a później znów się odezwał.

– Nie mogę stać bezczynnie i gawędzić. Ale jeśli chcecie, możecie mi towarzyszyć do ogrodu z ziołami. Potrzebna mi świeża lawenda i trochę mięty.

Tomasz z ochotą przystał na jego propozycję.

– Po podbiciu Akki król Gwidon sprzedał nam tę parcelę w zamian za pięciuset Bizantyjczyków i jednego konia – relacjonował z dumą Notker, schodząc ze schodów. – Przyjęliśmy nazwę Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, od szpitala o tym samym imieniu, który istniał w mieście do upadku Jerozolimy. Papież roztoczył nad nami ochronę, jako nad bractwem szpitalnym sprawującym opiekę nad ubogimi i chorymi, i to samo uczynił cesarz Henryk.

Dotarli do ogrodu założonego podobnie jak ogród klasztoru w Nossen, jak też dawny ogród ziołowy Marty we Freibergu. Wszędzie widać było rzędy grządek i drewnianych skrzyń. Tomasz znał większość roślin, ale niektóre były mu całkowicie obce. Z zaciekawieniem wąchał kwiaty i rozcierał w palcach listki.

– Czy wasza obeznana w zielarstwie matka wciąż żyje? – zapytał Notker.

Tomasz potwierdził. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Mnich odłożył na bok nóż, którym wcześniej odciął kilka łądyżek mięty, po czym ostrożnie wyciągnął coś z lnianego zawiniątka leżącego na dnie jego wiklinowego kosza. W skupieniu rozwinął tkaninę. W środku była książeczka pełna rycin z łacińskimi podpisami.

– Nasz zwierzchnik to bardzo mądry człowiek. Pozwolił mi zasięgnąć rady u saraceńskich uczonych, a nawet u Żydów, na temat tutejszych roślin leczniczych i ich zastosowania.

Otwierał poszczególne stronicę i wyjaśniał Tomaszowi, jak za pomocą makowego soku i grzybów wywołać u pacjenta głęboki sen przed krwawą operacją, jakich środków używali miejscowi do złagodzenia cierpień trędowatych i jakimi roślinami leczyli zaropiałe rany.

Tomasz zapytał nieśmiało, czy może wziąć do ręki cenną książkę. Wytarł ręce i zaczął przewracać strony. W tym czasie Notker zbierał z dużych krzaków kwiaty lawendy, by nikt nie zarzucił mu próżniactwa, a następnie przyniósł wodę z maleńkiej studni i podlał rośliny, które potrzebowały więcej wilgoci.

Tomasz z fascynacją oglądał szczegółowe i dokładne rysunki. Jeśli Notker sam je narysował, to miał do tego ogromny talent i był niebywale spostrzegawczy.

Ku własnemu wielkiemu żalowi nie umiał przeczytać łacińskich objaśnień.

– Twoi bracia w skrytorium powinni po wielokroć przepisać tę książkę! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Ileż żywotów można by uratować, ilu chorych uleczyć, gdyby ta wiedza była dostępna dla wszystkich!

Notker się uśmiechnął, ale tym razem to nie jego tonsura była krzywa, tylko właśnie uśmiech.

– Być może mój zwierzchnik postanowi udzielić takiego zlecenia braciom pisarzom. Ja właśnie tutaj jestem na właściwym miejscu, dbam o chorych i o ogród z ziołami. Tak jak kiedyś w moim klasztorze. Tyle że tutaj mogę więcej działać. Sądzę, że właśnie z tego powodu Bóg wysłał mnie w tę długą i uciążliwą podróż. Zatem powinienem dać z siebie wszystko, by z pokorą i wszelkimi siłami wywiązywać się z zadań, które przede mną postawił.

„Jest szczęśliwy i odnalazł swoje miejsce” – pomyślał Tomasz, patrząc na niedużego, osmaganego słońcem mnicha, który zupełnie nie przypominał tamtego niepewnego, sprawiającego wrażenie słabego człowieka, którego Tomasz niegdyś poznał. Cieszył się razem z nim i mu zazdrościł. Jednakowoż nie była to zła, jadowita zazdrość, ale raczej pragnienie odnalezienia tutaj tego, co stracił, a mianowicie celu.

Oczywiście wyobraźni znów ujrzał mężczyzn, którzy na statku przekrzykiwali się na wyścigi, który z nich zabije najwięcej Saracenów.

– Czego się tak gapicie? – zawołał do niego jeden z nich. – Może nie przyjechaliście, żeby wytępić pogan?

„Nie jesteśmy tu, żeby się uczyć, tylko żeby zabijać” – rozbrzmiewało echo napomnienia w jego głowie.

„Nie, powinniśmy chronić pielgrzymów i umożliwić im dostęp do świętych miejsc w Jerozolimie” – zaprzeczył w duchu Tomasz.

„Pielgrzymi mają dostęp do świętych miejsc – zakpił obcy głos w jego głowie. – Saladyn im to zagwarantował. Macie podbić Jerozolimę, a w tym celu musicie walczyć i zabijać tych, którzy nie wyznają jedynej słusznej wiary”.

„Nie, to nie może być prawy cel tej pielgrzymki” – upierał się w myśli Tomasz. Znów przypomniał sobie słowa Klary. Przyjechał na poszukiwanie czegoś i nawet nie wiedział, jak to określić.

Pragnął też spokoju duszy, odpuszczenia wszystkich grzechów dla siebie, siostry i rodziców.

Zza zieleni wyłonił się młody konwers i przerwał jego ponure rozważania.

– Czy to wy jesteście Tomaszem z Chrystianowa? – zapytał. – Mam was zaprowadzić do waszego pana.

Tomasz nabożnie zawinął cenną książeczkę w lniane płótno i odłożył ją do kosza, pod świeże kwiaty i łądygi ziół zebrane przez brata Notkera. Podziękował i uprzejmie się z nim pożegnał, a następnie poszedł za mnichem. Z całą pewnością nieraz jeszcze odwiedzi Notkera.

Konwers zaprowadził go do pomieszczenia, w którym czekał na niego nie tylko Dytryk, ale także jakiś wysoki mężczyzna o surowych rysach oraz jeszcze, co go zdziwiło, arcybiskup Moguncji.

Wszyscy trzej mężczyźni siedzieli przy stole, na którym stał półmisek z owocami, prosty, ale ładnie uformowany dzbanek, świecznik i naczynie z kadzidłem.

Tomasz ukląkł i opuścił głowę. Czuł na sobie uważne spojrzenia zebranych.

Po pewnym czasie, który zdawał mu się nie mieć końca, pozwolono mu wstać.

– To Henryk Walpot, przełożony bractwa szpitalnego – przedstawił Dytryk, wskazując siedzącego obok siebie mężczyznę o surowym spojrzeniu.

– Hrabia Dytryk powiedział mi, że to już wasza druga zbrojna pielgrzymka – odezwał się Henryk Walpot. – Ponoć jesteście wyjątkowym wojownikiem i dobrze się wyznajecie w leczniczych właściwościach ziół. Słyszałem, że pod Akką poświęciliście konia i mimo głodu kazaliście rozdzielić

mięso wyłącznie pośród chorych.

Tomasz nic na to nie odparł, wobec bowiem takiej liczby pochwał nie przychodziła mu do głowy żadna stosowna odpowiedź. Dokąd zmierzała ta rozmowa? Dlaczego w ogóle został poproszony do tego wytwornego grona? Nie miał najmniejszego pojęcia, że potężny arcybiskup Moguncji też tutaj był. Zatem musiał przegapić jego przybycie. Wobec tego gdzie się podziała jego świta?

– Cesarz postanowił wynieść bractwo szpitalne do rangi rycerskiego zakonu – oznajmił Konrad z Moguncji ku zdumieniu Tomasza. – Niemieckiego zakonu, *ordo teutonicorum*. Odpowiednik templariuszy i joannitów, zarazem łączący najlepsze cechy obydwu zakonów. Groźnych wojowników i doświadczonych uzdrowicieli. Założenie zakonu będzie stanowiło jedno z naszych zadań w Ziemi Świętej.

– To będzie zakon dla Niemców, którzy dotychczas nie mieli żadnej stałej bazy na Wschodzie – uzupełnił Henryk Walpot.

– Do tej pory dbaliśmy o chorych i rannych oraz o ubogich z naszych krajów. Tymczasem Henryk z Szampanii przekazał pod nasze zwierzchnictwo tutejszą część fortyfikacji Akki. Są również inne przyczyny, dla których dobrze byłoby zamienić bractwo szpitalne we wspólnotę rycerzy i duchowieństwa. Joannici zanedbują do podporządkowania nas sobie, a tego cesarz sobie nie życzy.

„Mądrze pomyślane” – pochwalił w duchu Tomasz, który nadal się zastanawiał, dlaczego mężczyźni akurat jemu o tym opowiadali. Takie rozwiązanie zapewni cesarzowi placówkę w Ziemi Świętej. Obecnie należała do niego Sycylia, a władcy Cypru i Armenii wybrali go na swego lennego pana. Podczas poprzedniej wyprawy krzyżowej zdążył się przekonać, że templariusze i joannici niespecjalnie przejmowali się Niemcami, a do tego często byli ze sobą skłócenii.

Wiedział jednak od hrabiego Dytryka, że obecny wielki mistrz templariuszy Gilbert Hérail, w przeciwieństwie do swego poprzednika Gerarda z Ridefort, był zaprawionym w walkach i bardzo mądrym człowiekiem, pragnącym utrzymania pokoju między chrześcijanami a muzułmanami.

– Sporo o was słyszałem, Tomasz z Chrystianowa. Ktoś taki jak wy bardzo by się przydał w naszym przyszłym zakonie – ciągnął Henryk Walpot, a na jego kanciastej twarzy ukazał się delikatny uśmiech. – Nie odpowiadajcie od razu! Takie decyzje powinny być przemyślane. Lecz rozważcie ofertę do dnia założenia zakonu.

Tomasz czuł się tak, jakby strzelił w niego piorun, i z trudem się opanował, żeby nie pokazać po sobie poruszenia. Zakon rycerski, taki jak templariusze i joannici! Ich rycerze uchodzili za najgroźniejszych i najbardziej nieustraszonych ze wszystkich, najlepsi z najlepszych, nikt nie mógł się z nimi równać!

To niewyobrażalny zaszczyt zostać postawionym na równi z nimi.

Lecz wtedy musiałby żyć wyłącznie walką i nie ujrzałby więcej siostry ani matki.

Z trzech cnót zakonnych rycerzy, ślubujących ubóstwo, wstrzemięźliwość i posłuszeństwo, najłatwiej przysłoby mu poradzić sobie z ubóstwem. Mając porządną broń i dobrego konia, nie potrzebowałby wiele więcej. Ale bezwarunkowe posłuszeństwo? Gdyby miał się krytycznie zastanowić, doszedłby do wniosku, że pod rozkazami Dytryka nie miał z tym kłopotów, ponieważ go szanował. Ale czy byłby w stanie bez wahania wypełnić każdy rozkaz swego przełożonego, nawet jeśli wyda mu się niesłuszny?

A spędzenie całej reszty życia we wstrzemięźliwości? Nie potrafił sobie tego wyobrazić, mimo że na razie nie spotkał nikogo, kogo mógłby pokochać tak wielką miłością jak Klara Dytryka, albo jaką matka darzyła jego ojca.

Prawie się ucieszył, że ci trzej mężczyźni nie zażądali od niego, by zaraz odpowiedział. W przeciwnym razie entuzjazm i duma, jakimi napełniła go ich propozycja, skłoniłaby go do natychmiastowego przyjęcia oferty.

Poproszono, by na razie zatrzymał dla siebie wiadomość o planach założenia zakonu, a następnie

pozwolono mu odejść.

Tomasz poczekał na zewnątrz na Dytryka, by wspólnie z nim wrócić do obozu. Po drodze żaden z nich nie odezwał się ani słowem, obaj pograżyli się w rozmyślaniach.

## *Wiosna 1197 we Freibergu*

Powrót Łukasza i Marty do Freibergu wywołał sensację od momentu, gdy tylko przekroczyli Bramę Świętego Piotra.

Przyjazd tak dużej grupy podróżnych zawsze, rzecz jasna, ściągał ciekawskie spojrzenia. Tym razem, wobec tak dużej liczby zbrojnych, ludzie patrzyli nieufnie i z obawą. Ale gdy pierwsi mieszkańcy rozpoznali osobę jadącą na czele pochodu, natychmiast po mieście rozeszła się wieść o powrocie pana Łukasza i jego żony Marty. Zbiegało się coraz więcej mieszkańców ulicy Świętego Piotra, by obejrzeć ów żywy cud. Kierowano do nich powitalne okrzyki i błogosławieństwa.

– Żyjecie! Zostaniecie z nami? – to pytanie rozlegało się ze wszystkich stron.

Łukasz zachowywał pełne godności milczenie i uśmiechał się do siebie, Marta zaś promieniowała radością i odwzajemniała pozdrowienia, co mieszkańcy miasta zinterpretowali jako twierdzącą odpowiedź.

Jeszcze nim dotarli do Górnego Rynku, podróżnych otoczył wianuszek ludzi. Kobiety zdjęły z ognia saganki z kaszą jaglaną, by na własne oczy obejrzeć owo niewiarygodne wydarzenie, wybiegły dziewczki z piekarni, z rękoma umazanymi ciastem, rzemieślnicy w ubraniach wybrudzonych drewnianymi wiórami czy sadzą i parobkowie, którzy na chwilę zapomnieli, co mieli załatwić w imieniu swych gospodarzy.

Tuziny dzieci hałasowały, podskakiwały i śpiewały wzdłuż długiego pochodu, chociaż większość z nich nie miała pojęcia, co takiego szczególnego wiązało się z przybyciem podróżnych. Jednak wobec tylu nieznanym zawsze była masa rzeczy do podziwiania, tym razem mieli ze sobą nawet ślepcę na koniu!

Na przedzie jechali Łukasz z Martą, za nimi ich syn Daniel, później niewidomy Bernard z wiernym pomocnikiem u swego boku, który w razie potrzeby zawsze mógł sięgnąć po cugle, a następnie młody Jakub, który tymczasem został rycerzem i służył Łukaszowi. Klara trzymała przed sobą w siodle Annę, Guntram zaś i Liza wieźli małego Dytryka i Konrada. Norbert z Weissenfels przydzielił im giermków i tuzin konnych pachółków jako asystę.

A w samym środku jechała jakaś wątła postać w sutannie, w której starsi mieszkańcy Freibergu ze zdumieniem rozpoznali nieco posuniętego w latach ojca Hilberta.

Gdy już ostatecznie wiedzieli, że wrócą do Freibergu, Łukasz niemal przez całą zimę jeździł i starał się go odnaleźć. Przed wielu laty Chrystian przyjął Hilberta, wówczas młodego kapłana, do swego domostwa, po tym jak gorliwemu ojcu Sebastianowi przyobiecano miejsce w kościele we wsi. Ten niemal oszalał z pragnienia przypisania Marcie pogańskich guseł albo szkodliwych czarów i postawienia jej przed kościelnym sądem. Jednakże ona spowiadała się u swojego kapłana, zatem Sebastian ku swej wściekłości nie miał okazji, by wyciągnąć z niej jakieś informacje.

Hilbert pomógł Marcie w ucieczce z miśnieńskich lochów, a później wyruszył na pielgrzymkę. Po długich poszukiwaniach Łukasz odnalazł go w roli pisarza w Naumburgu i Hilbert wyraził gotowość pojechania z nimi do Freibergu jako spowiednik Marty i jej rodziny oraz nauczyciel synów Klary. Swych rodzonych synów Łukasz sprowadził do Weissenfels jeszcze przed swoim odjazdem z Eisenach. Teraz będą pobierali nauki pod dowództwem Norberta i Rajmunda.

Gdy głośna kolumna przecinała Górny Rynek, rzeźnicy przy straganach z mięsem i żona piekarza stracili na moment klientów, którzy jeszcze przed chwilą tłoczyli się do ich stoisk. Toteż rozkazali dziewczkom służącym i parobkom pilnować towaru, a sami poszli sprawdzić, co się działo. Będzie o czym rozmawiać z następną klientelą!

Ten widok przywołał w Marcie wspomnienie pamiętnego turnieju, który się odbył tuż po weselu Klary z Rajnhardem. Łukasz wygrał, mimo że Albrecht zamierzał doprowadzić do jego śmierci. Wcześniej na tym samym placu Albrecht zademonstrował swą siłę, organizując buhurt<sup>24</sup>, w którym wzięło udział pięć tuzinów uzbrojonych jeźdźców. Większość freiberczyków dała się omamić widowisku i kilku fenigom rzuconym w tłum. Dopiero później na własnej skórze odczuli, jakim okrutnym okazał się władca.

Natomiast Łukasz z wściekłością przypominał sobie dzień, w którym na tym miejscu musiał przysięgać Albrechtowi wierność. Miał już wówczas świadomość, że takiemu władcy nie będzie mógł dochować posłuszeństwa, nawet gdyby miał to przypłacić śmiercią.

Razem z Martą rozważyli wcześniej ewentualność udania się na emigrację. Postanowili pozostać tak długo, jak zdołają, by w miarę możliwości ułatwić życie mieszkańcom miasta. Jednakże wkrótce po przejściu władzy przez Albrechta doszło do owej krwawej próby sił, w której Albrecht zabił męża Klary pod pretekstem domniemanej zdrady. Gdyby przyjaciele nie wyratowali ich z więzienia, wówczas Łukasza i Martę zabito by na torturach.

Dlatego w tym dniu Łukasz wydawał się taki ponury, chociaż radosne wiwaty mieszkańców miasta powinny go cieszyć. Ich powrót po siedmiu latach wygnania nie oznaczał jeszcze zwycięstwa.

Najpierw musiał postawić na swoim w starciu z kasztelanem, który nie będzie zanadto zadowolony z jego powrotu. A później czas pokaże, co będzie mógł zdziałać.

Wiele przesłanek wskazywało na to, że miastu i jego mieszkańcom nie najlepiej się wiodło. Trwożne spojrzenia rzucały na uzbrojonych jeźdźców, którzy groźnie wyjechali im naprzeciw, by sprawdzić, co było powodem powstałego zamieszania, cała rzesza żebraków, zaniedbany stan domostw, nawet na samym Górnym Rynku, gdzie mieszkali najzamożniejsi kupcy i rzemieślnicy. Najwyraźniej Albrecht gruntownie ogołocił bogate miasto stojące srebrem. A nie należało się spodziewać, że cesarski namiestnik, który obecnie sprawował tutaj rządy zamiast margrabiego, obniży raz ustalone daniny.

Z rynku pochód skręcił do lenna zamkowego, do zagrody Rajnharda, która teraz należała do Klary. Po ożywionej rozmowie z Bernardem kasztelan się postarał, by na powrót ją dostała.

– Wracajcie wreszcie do swojej pracy, ludzie! – zawołał Łukasz do gapiów. – Tu nie ma już nic więcej do obejrzenia. Przecież nie chcecie, by zarzucono wam próżniactwo albo by kasztelan wysłał zbrojnych, bo pomyśli, że dzieje się coś niebezpiecznego.

Największy skutek odniosły jego ostatnie słowa, po których mieszkańcy szybko, aczkolwiek niechętnie zaczęli się rozchodzić.

Łukasz pożegnał się na razie ze swoją rodziną i z towarzyszami podróży, a następnie razem z Bernardem i jego zaufanym człowiekiem pojechał do zamku. Był ciekaw, jak kasztelan Henryk zareaguje na jego przybycie. Z drugiej strony znał go na tyle dobrze, by się samemu domyślić.

W tym czasie Klara z dziećmi miała się wprowadzić do swego domu. Guntram i Liza na początek urządziły się w domu dla służby w posiadłości Rajnharda. Dla ochrony chciał posłać do nich jeszcze Bertrama i Daniela.

Marta się upewniła, że domostwo Rajnharda było puste i dało się w nim zamieszkać, a później całą resztę zostawiła córce, a sama z Danielem, Jakubem, Hilbertem i konnymi pachołkami ruszyła do domu, w którym kiedyś mieszkała z Chrystianem.

Kasztelan Henryk, jeszcze bardziej korpulentny niż kiedyś, dokładał widocznych starań, by ukryć zły humor.



– Na rozkaz cesarza Łukasz z Freibergu obejmie od zaraz dowództwo nad tutejszą strażą! – oznajmił na całe gardło swym ludziom, których wezwał na zamek po przedstawieniu przez Bernarda wyraźnej instrukcji, że taka była wola cesarskiego namiestnika Marchii Miśnieńskiej. Życzenie zaś cesarskiego namiestnika należało traktować jak rozkaz cesarza.

Ten Łukasz znów przyniesie ze sobą całą masę kłopotów, czuł to nosem. Jego zagadkowe pojawienie się przed prawie dwoma laty, dokładnie w tym dniu, gdy zmarł margrabia Albrecht, też nie zostało do końca wyjaśnione.

Musiał jednak przyznać, choć czynił to z ogromną niechęcią, że Łukasz uratował mu wówczas posadę, a być może nawet gardło. Nie śmiał myśleć, jak niewiele brakowało, by został wtedy stracony. Od tego czasu jego położenie nawet się nieco poprawiło. Nie musiał już służyć dwóm panom i zdradzać jednego poprzez składanie drugiemu tajnych raportów. Nowy namiestnik nie kwestionował jego pozycji. Zostawił mu wolną rękę i Henryk mógł według własnego uznania komenderować ludźmi na freiberskim zamku, o ile mieszczanie punktualnie oddawali należne daniny. A pilnował, by jego ludzie o to dbali.

Będzie miał na oku tego buńczuczny człeka. I jego kompanów, jak na przykład ów koniuszy nazwany imieniem dawnego założyciela wioski, niewiadomego pochodzenia, z czego nie robił zresztą żadnej tajemnicy.

Koniuszy Chrystian oczywiście wiedział, że był pod obserwacją, i po odebraniu od Łukasza konia nie pokazał się więcej na dziedzińcu. Kilka lakonicznych słów i spiskowy uśmiech Łukasza wystarczyły, by serce radośnie zabiło w jego piersi. Wrócił do stajni i zajął się źrebakiem cierpiącym na brzusznią kolkę, podczas gdy jego dwunastoletni syn Jonasz pobiegł do kowala, by przekazać mu wspaniałą nowinę: Łukasz i Marta wrócili! Klara i Guntram też! Chrystian nie mógł się wprost doczekać, kiedy opowie o tym swojej żonie Annie, Piotrowi i wspólnym przyjaciółom.

Chociaż na razie dla bezpieczeństwa ich wszystkich nie wystawiał nosa ze stajni, Kuno i Bertram opowiedzą mu później wszystkie istotne szczegóły. Po przesadnie energicznym krzyku kasztelana nawet z daleka i bez oglądania jego twarzy mógł się zorientować, że zarządca nie czuł się zbyt swobodnie we własnej skórze. Cóż za satysfakcja!

Teraz Łukasz zrobi porządek z tymi oprawcami. Koniuszy nadstawił uszu, gładząc jednocześnie źrebaka po brzuchu. Przy odrobinie wysiłku mógł usłyszeć słowa Łukasza.

– Jest między wami dużo osób, których nie znam. Nowi zaraz mi pokażą, co potrafią, na pozostałych przyjdzie kolej jutro. Ty tam, drugi z prawej, jak się nazywasz?

– Marcin, panie.

– Dlaczego twoja przesywanica nie jest zapięta? Sądzisz, że jesteś tu po to, by sobie grzać brzuch? Załóż na plecy worek z piachem i przebiegnij dwanaście okrążeń naokoło dziedzińca. Żywo! Ruszaj, na co czekasz? I zapnij gambeson! A może mam ci przykrócić uszy?

Uśmiech Chrystiana stał się jeszcze szerszy. Czy to przypadek, że Łukasz wyszukał sobie od razu najgorszego oprawcę? A może rozpoznał go po tylu latach? Marcin był przyrodnim bratem Kunona i należał do pierwszych osadników, którzy kiedyś dotarli do Chrystianowa. Po niedługim czasie przeprowadził się z żoną do sąsiedniej wioski. Oboje przysporzyli Marcie sporo kłopotów, Chrystian dowiedział się o tym od Kunona. Kilka lat temu Marcin owdowiał, przegrał w kości dom i zagrodę, a następnie najął się jako konny pacholek do straży zamkowej.

Przyjrząwszy się bliżej, Chrystian doszedł do wniosku, że ten podły osobnik nie przypadkiem został pierwszy przegoniony po podwórku. Łukasz był inteligentny i miał dobrą pamięć, a w szczególności jeśli szło o ludzi, którzy próbowali zaszkodzić Marcie.

Marcin wśród stękania i jęków biegał wokół dziedzińca, a Łukasz przywoływał do porządku resztę załogi. Tymczasem Marta ze swą asystą dotarła do miejsca, w którym niegdyś mieszkała i gdzie po jej wygnaniu z Marchii Miśnieńskiej rozpanoszył się nikt inny jak tylko syn jej najbardziej zagorzałego wroga.

Był to dwupiętrowy dom z kamienia. Chrystian kazał go wybudować po tym, jak jego poprzednia, drewniana siedziba została spalona na rozkaz Randolfa.

Tutaj Marta przeżyła szczęśliwe, choć nie beztroskie lata i wydała na świat swoje dzieci, tutaj wróciła, gdy zamordowano Chrystiana, po tym jak Albrecht zmusił ją do opuszczenia dworu. Każdy kamień, każda belka, każdy kawałek drewnianego gontu wydawał jej się znajomy.

Ale dom nie wyglądał teraz na zdalny do zamieszkania. Był zrujnowany, martwy, wieszający nieszczęście. Przez dwa lata stał opuszczony, a wcześniej Rutger i jego kompani zupełnie nie przejmowali się obejściem.

Niska furtka w ogrodzeniu okalającym zagrodę wisiała na przekrzywionych zawiasach, kilka desek się obłuzowało i zdawało się, że w każdej chwili mogą się zsunąć z dachu, we wszystkich kątach wisiały gęsto utkane pajęczyny. Ogródek, w którym kiedyś uprawiała swe zioła, leżał odłogiem i był całkowicie zniszczony.

Z wahaniem otworzyła drewnianą furtę i postąpiła kilka kroków w stronę domu, przygotowując się w duchu na jeszcze większą rujnację. Jednakże czuła na sobie spojrzenia towarzyszy, toteż wzięła się w garść i weszła do środka.

Wewnątrz czas i ludzie Rutgera również poczynili spustoszenia. Pod kuchennym piecem leżały gliniane skorupy. Rozpoznała wzór z kubków, które kiedyś kupiła u garncarza w dzielnicy Mikołaja. Całą podłogę pokrywał popiół i zwiędłe liście. Brakowało skrzyń, stołu i ław, tak samo garnków, dzbanów, kubków i drewnianych mis. Nie sposób było dojść, kto z mieszkańców miasta zabrał tymczasem sprzęty należące do gospodarstwa.

Ostrożnie zajrzała do izby, w której kiedyś trzymała medykamenty i leczyła chorych. Wszystkie dzbanuszki i tygle leżały rozbite na podłodze, a z belek zamiast suszonych ziół zwisały pajęczyny.

Ale nie pustka i rozmyślna dewastacja napawały Martę trwogą, lecz jakieś nieokreślone wrażenie, jakby wyczuwała tu jeszcze echo nienawiści i jadu, jakim emanował Rutger, a wcześniej jego ojciec. Miała wrażenie, jakby ich ponure myśli i uczynki unosiły się po domu niczym ciemne chmury.

Jedyną pozostałością po poprzednich mieszkańcach była stojąca w kącie zagubiona miotła z wyłamanymi do połowy i szeroko rozcapierzonymi różgami, dla której najwidoczniej żaden z sąsiadów nie znalazł zastosowania.

Marta chwyciła za trzonek, jakby wierzyła, że da jej oparcie w tym budzącym grozę otoczeniu.

– Najpierw należy tu zrobić gruntowne porządki – odezwała się z największą stanowczością, na jaką mogła się zdobyć.

Nim zabrała się do pracy, usłyszała skrzypnięcie drzwi i dostrzegła, że ktoś przeciska się przez grupę pachołków.

– Matko! – rozległ się radosny okrzyk.

W następnej chwili rzuciła jej się na szyję Joanna, jej pasierbica z pierwszego małżeństwa i żona Kunona.

Po gorącym powitaniu Joanna oderwała się od Marty i wyciągnęła ją na powietrze.

– Nie możecie tutaj zostać! Zawolałam kilka niewiast, które zrobią tu porządek. Chodźcie na razie do nas, dla wszystkich znajdzie się miejsce.

Po wyjściu Marta zamrugała oczami, starając się przyzwyczaić oczy do słońca i stłumić łzy. Poczowała w skroni kłujący ból i nagły przypływ mdłości.

– Źle się czujesz, mamó? – spytał Daniel z troską i ujął ją za ramię.

– Muszę usiąść po długiej podróży – odrzekła słabo.

Ale nie starczyło jej na to czasu, za chwilę bowiem do ogrodu wszedł kowal Jonasz, a tuż za nim Karol, Anna, Piotr, sędziwy furman Fryderyk, stara Elfryda, żona szmuklerza z sąsiedztwa i wielu innych znajomych z dawnych czasów, którzy chcieli przywitać przybyszów i upewnić się, że na pewno zostaną.

Odbyło się gwałtowne powitanie.

– Idźcie przodem – powiedziała wreszcie Marta. – Chciałabym tu przez chwilę zostać sama.

Większość gości się pożegnała i poszła przekazać innym dobrą wiadomość, Elfryda zaś, Anna i szmuklerzowa uzgodniły, że zbiorą kilka kobiet i przygotują dom.

– Potrzebujecie ław, skrzyń, stołu... – rzucił Jonasz po drodze do wyjścia. – Zajrzę do stolarza i zajmę się tym.

– A ja wyślę zaprzęg, żeby przywiózł te rzeczy – zdecydował natychmiast Fryderyk.

– Łóżko. Potrzebne nam łóżko... – zawołała za nim Marta.

Nie sprawdziła, czy w sypialni na górze były meble. Pewnie ktoś je zabrał albo zostały zniszczone jak cała reszta. A jeśli nawet stały na swoim miejscu, to i tak nie mogłaby znieść myśli, że kładzie się do tego samego łóżka, w którym, z tego co słyszała, Rutger gwałtem niewolił niewiasty.

Tymczasem jej przyjaciele rozdzielili między siebie zadania, by jak najszybciej przygotować dom.

Marta oparła się o studzienny krąg i patrzyła na uwijających się mieszkańców miasta. Wróciła myślami do czasów, gdy przybyła tu razem z osadnikami. Od tamtej pory minęło prawie trzydzieści lat, niemal całe ludzkie życie. To miejsce odmieniło się nie do poznania, z szarego przysiółka wyrosło miasto i tak samo zmienili się jego mieszkańcy.

„Gdyby Chrystian mógł to zobaczyć! – pomyślała poruszona. – Byłby taki szczęśliwy i dumny. A może spogląda na nas z nieba i cieszy się razem z nami?”

Daniel i Joanna naciskali, żeby pojechała z nimi do domu Karola i odpoczęła po podróży. Jednak nim wsiadła na konia, Marta zwróciła się do ojca Hilberta, który zajrzał do kaplicy i wydawał się tak samo zamyślony jak ona.

– Ojczy, czy poświęcicie ten dom, gdy będzie gotowy do zamieszkania? – poprosiła.

Duchowny z wysiłkiem przywołał na twarz życzliwy uśmiech.

– Tak, moja córko. Najwyższy czas, żeby przepędzić stąd kilka demonów.

## *Żółty i zielony*

Ida, okrągła i elokwentna żona kasztelana, nieufnie wyglądała przez okno na dziedziniec, gdzie Łukasz zaraz po swoim przybyciu zwołał załogę zamku na ćwiczenia z bronią. Naturalnie zaraz kazała służącej zdać sobie relację, czego chciał tutaj ten człowiek, o którym wszyscy myśleli, że nie żyje. Zatem od tej chwili będzie dowodził strażą.

W zamyśleniu przygryzała dolną wargę, aż w końcu podjęła trudną decyzję i poleciła przekazać małżonkowi, żeby był tak dobry i przyszedł do jej komnaty, jak tylko pozwoli na to jego obowiązki. Tymczasem na jej polecenie w głównej sali przykładowie ugoszczono cesarskiego ministeriała.

– Powinniśmy zaproponować Łukaszowi i jego żonie tymczasową kwaterę na zamku – naparła na męża, gdy tylko otworzył drzwi.

Henryk spojrział na nią gniewnie, rozzłoszczony, że za jego plecami wysłedziła, co się wydarzyło, albo też poirytowany samą propozycją. Ida pomogła mu pozbierać myśli.

– Cieszy się zaufaniem ślepcy, który z kolei ma zaufanie cesarza, zatem musimy dbać o jego dobry humor. Najlepiej, jeśli mu opowiemy, co się działo podczas jego nieobecności, nim uczynią to jego beżużyteczni poplecznicy z miasta. W dawnym domu nie będą mogli na razie zamieszkać, jest zanadto zdewastowany. A może wolisz, by pasierbica, kowal i koniuszy przekazali Łukaszowi gorące wieści o spustoszeniach, jakie siał syn Elmara i jego strażnicy?

– Uczynią to tak czy owak – mruknął Henryk, któremu właśnie ta myśl od dłuższego czasu chodziła po łysej głowie.

– Ale sądzę, że nie od razu dzisiaj – obstawała przy swoim Ida.

Zdawało się, że jej mąż przez chwilę się nad tą kwestią zastanawiał, po czym przystał na jej propozycję. Wiedział, że Ida nie dałaby mu spokoju. Zatem jeśli uda, że był to rzeczywiście jej pomysł, będzie miał z nią na jakiś czas spokój. Poza tym miała rację. Nic się nie stanie, jeśli trochę przypoehlebią się temu człowiekowi, który najwidoczniej cieszył się wielkim poważaniem zaufanego człowieka cesarza. Powinni się dowiedzieć, co planował, i przybliżyć mu swój punkt widzenia na najnowsze wydarzenia.

– On, jego małżonka i ślepiec – ustalił listę zamkowych gości. – Ale bez syna. A już na pewno bez jego pasierbicy z tymi bękartami!

– Jak sobie życzye, mój drogi – zgodziła się pospiesznie Ida.

Ona również wolała uniknąć spotkania z Klarą. Nie była dla niej szczególnie uprzejma, gdy z rozkazu Albrechta przed planowanym ślubem Klary z Rajnhardem miała się zająć oblubienicą. Do tego wdowa z bękartami, cóż za hańba! Ta kobieta nie robiła najmniejszej tajemnicy z faktu, że dzieliła łóżę z synem margrabiego. Czegoś takiego nie dopuści do swojego stołu!

– Powinniście go osobiście zaprosić, to zrobi lepsze wrażenie – rzuciła Ida do męża na odchodne.

Henryk bez słowa zszedł ze schodów. I tak nie miał zamiaru spuszczać Łukasza z oka na dłużej, niż to było konieczne.

Dlaczego Bóg pokarał go tym wichrzycielem? I jego przerażającą żoną?

Łukasz skończył ćwiczyć strażników tuż przed zachodem słońca. Chciał, żeby do wszystkich dotarło, kto od tej pory dowodził.

Zaproszenie kasztelana przyjął z gniewnym zadowoleniem. Później kazał Chrystianowi osiedlać swojego kasztanka, który też powoli posuwał się w latach, i wyjechał na poszukiwanie Marty.

Od koniuszego dowiedział się, że razem z synem była u Joanny. Do tej informacji młodzieniec dołożył jeszcze kilka interesujących nowin.

Przejeżdżając przez zamkowe lenna, upewnił się, że Klara z dziećmi dawali sobie radę w domu Rajnharda, a następnie skierował konia w stronę tej części osady, w której powstały pierwsze zagrody Chrystianowa. Niegdyś z mozołem karczowali ciemny las na tym terenie, gdzie obecnie wznosiło się gęste miasto.

Podjechał pod dom i w złym nastroju ocenił stan jego dewastacji. Stamtąd udał się do Karola i pozdrowiwszy kowala, który nieraz już pomagał mu w trudnych sytuacjach, oraz swoją pasierbicę Joannę, przyjrzał się z troską żonie, która wyglądała na wyczerpaną i wzburzoną.

– Naprawdę musimy się tam przeprowadzić i wysłuchiwać pochlebstw tego ohydnyego kasztelana? – uskarżała się Marta. – Czapkuję przed możnymi i biczuje małuczkich. Nasz pierwszy wieczór we Freibergu wolałabym spędzić w gronie przyjaciół.

– Nie chcesz zobaczyć, jak się wije, odgaduje nasze życzenia i stara się nas przekonać, że pilnuje w mieście sprawiedliwości? – spróbował ją rozweselić Łukasz.

Ale sarkastyczny uśmiech zniknął z jego twarzy tak szybko, jak się na niej pojawił.

– Załoga zamku jest brutalna i agresywna w stosunku do mieszkańców miasta. Henryk przymyka na to oko, a może nawet jest to po jego myśli. Wpojenie ludziom dyscypliny będzie wymagało ciężkiej pracy. Niech myśli, że daliśmy się nabrać na jego uprzejmość. I niech zobaczy, że Bernard bardzo się z nami liczy. To ułatwi nam sprawę.

Marta z westchnieniem wyszukała w tobołku swą najlepszą suknię w rdzawym kolorze, z zielonym obszyciem i szerokimi rękawami, którą dostała w podarku od Hedwigi. Jeśli mieli zrobić wrażenie, to wytworna suknia była nieodzowna.

Łukasz pomógł jej wsiąść na konia. Po drodze do zamku opowiedzieli sobie nawzajem, czego się dowiedzieli na temat sytuacji w mieście.

– Moja droga, tak się cieszę, że widzę was w zdrowiu! Nie wyglądacie nawet o dzień starzej! Jak to robicie?

Ida przywitała Martę z ogromną wylewnością, jakby była jej najlepszą przyjaciółką.

Ta ze sztucznym uśmiechem cierpliwie zniosła potok słów gospodyni.

„Zdaje się, że tej starej jędzy już w pierwszych trzech zdaniach udało się wystrzelić zatrutą strzałę” – pomyślała. Albowiem rzekomy komplement skrywał czysty jad, aluzję do plotki głoszącej, że Marta jakoby była wróżką i dlatego się nie starzała. Takie gadanie mogło się szybko przerodzić w oskarżenie o sojusz z diabelskimi mocami.

– Panie Łukaszu, jak to dobrze mieć u siebie takiego dzielnego i wypróbowanego mężczyznę jak wy! – kontynuowała niestrudzenie Ida. – Po tych wszystkich krwawych bitwach ostatnich lat doprawdy niełatwo jest o dobrych ludzi do załogi. Jednak jestem pewna, że pod waszym doświadczonym okiem nasza straż doskonale się rozwinie.

„Musi być już naprawdę bardzo kiepsko, jeśli nawet żona kasztelana pozwala sobie na osąd w tej sprawie” – pomyślał cynicznie Łukasz. Tym razem Ida nie miała na sobie owej jaskrawożółtej odświętnej sukni, w której wyglądała niczym wielkie piskłę ludzkich rozmiarów. Może uznała, że goście nie byli aż tak znaczący albo po prostu przez lata suknia za bardzo się znosiła i przestała się nadawać na uroczyste okazje. Na dzisiejszy wieczór przywdziała jadownicę zieloną szatę. Ów kolor był bez wątpienia bardzo trudny do uzyskania i odpowiednio drogi. Lecz w zestawieniu z pełnymi kształtami Idy i jej paplaniną sprawiał wrażenie, które nieodparcie przywodziło Marcie na myśl nadmuchaną ropuchę.

Kasztelan Henryk uznał, że nadszedł najwyższy czas na przejęcie sterów oraz głosu i poprosił gości na górę do swojej komnaty. Marta po cichu zaproponowała Bernardowi pomoc. Prowadząc go, podziwiała w duchu pewność, z jaką niewidomy się poruszał.

W komnacie, w której kiedyś mieszkała z Chrystianem, gdy jej ówczesny mąż był jeszcze kasztelanem, Marcie nie wydało się znajome nic poza zarysem pomieszczenia. Henryk i Ida zastawili izbę masywnymi skrzyniami, ściany zaś od góry do dołu były obwieszane tarczami, proporcami i wyszywanymi obrazkami. Nawet widok z okna się zmienił. Teraz widziało się o wiele więcej dachów, które niemal zupełnie zasłaniały nieco dalej położone kopalnie, a także wał okalający miasto.

Kasztelan poprosił gości, by usiedli, i z dumną miną oznajmił, że na ich cześć zarządził przeprowadzenie ceremonii degustacji.

Bernard przyjął to oświadczenie z kamienną miną, natomiast Łukasz z trudem się opanował, by nie okazać zdumienia.

„Albo nasz łysy kasztelan wciąż ma nieczyste sumienie, ponieważ to właśnie tutaj otruto Albrechta, i chce się zabezpieczyć, albo nie ufa kuchmistrzowi ani piwniczemu” – pomyślał. Albowiem ceremonia degustacji dla oddania honorów wyjątkowo szacownym gościom była w tym miejscu o wiele więcej niż przesadzona. Wprawdzie Łukasz znów został dowódcą straży, lecz przecież Henryk wciąż był jego

przełożonym. A Bernard nie mógł zobaczyć, ile gospodarze zrobili sobie dla nich zachodu.

Łukasz zerknął ukradkiem na Martę, która siedziała obok niego. Ta przybrała niezwykle skupioną minę, jakby rzeczywiście czuła się wielce zaszczycona. Ale nie ulegało kwestii, że przejrzała Henryka i Idę tak samo jak jej mąż.

„Jest taka szczerza i zacna – pomyślał Łukasz z czułością. – Nienawidzi udawać i z reguły mogę wyczytać z jej twarzy, co myśli. Lecz jeśli trzeba, gdy stoi naprzeciwko wroga, wówczas mogę na nią liczyć i wiem, że wcieli się w skórę błazna i mistrzowsko odegra rolę, jakiej od niej oczekują. Rolę załężnionej, ufnej niewiasty, którą można z łatwością zwieść”. Dostrzegł, że na ustach Marty na krótką chwilę też pojawił się pogardliwy uśmiech wobec nadgorliwości Henryka.

„Tak, kasztelan zaraz się posika ze strachu – pomyślał z rozbawieniem Łukasz. – I śmiertelnie się poci, rozpaczliwie szukając słów, które postawiłyby go w lepszym świetle. Ułatwmy mu to na dobry początek i rozwiążmy mu język”.

Nie przyszli po to, by się natrzasać z Henryka i z Idy. Chcieli zdobyć ważne informacje i z pomocą Bernarda wyrzucić na nich odpowiedni nacisk. Najpóźniej jutro Łukasz pokaże rogi i przyjrzy się po kolei wszystkim członkom załogi, którzy działali na szkodę mieszkańców miasta. A Henryk nie powinien się ważyć wejść mu w drogę. W tym sensie uprzedzająca służalczość bykowanego rozmówcy w stosunku do cesarskiego informatora była mu jak najbardziej na rękę.

Piwniczny zapukał nieśmiało i polecił wnieść stoliki, różnego rodzaju dzbany i kubki, a następnie na rozkaz kasztelana rozpoczął ceremonię degustacji.

Oczywiście nie była aż tak drobiazgową jak za czasów Albrechta, który pod koniec kazał próbować nawet wodę do obmywania rąk i do płukania kubków. Na tym dworze nie było też podczaszego, a w pomieszczeniu powoli robiło się ciasno.

Niemniej jednak piwniczny wychodził z siebie, by nadać degustacji uroczystą oprawę i przedłużyć ją w czasie. Próbował wody, którą mieszano do trunku, zapytał gości, czy życzą sobie białe, czy czerwone wino, później również i tego spróbował. Za każdym razem przekręcał kubek do góry dnem na dowód, że nic w nim nie zostało.

Gdy wreszcie wszyscy przy stole napełnili swoje kubki, Henryk wstał i uroczyście uniósł przed sobą naczynie, a następnie wznosił toast na cześć cesarza, wołając po trzykroć:

– Wiwat! Wiwat! Wiwat!

Teraz przyszła kolej na kuchmistrza, który do tej pory czekał pod drzwiami. Wskutek rozciągniętej ceremonii jedzenie zdążyło wystygnąć.

Pomijając ów drobny szczegół, Henryk i tutaj nie okazał skąpstwa. Trzy rodzaje mięs, dwa różne sosy przyprawione ziołami i octem, dwa rodzaje ryby, a także szczególny smakołyk w postaci owoców kandyzowanych w miodzie.

Dla ożywienia konwersacji zaraz po modlitwie Ida zabrała głos.

– Przywieźliście ze sobą tak niewiele bagażu, moja droga – odezwała się do Marty z fałszywą troską. – Powiedzcie, jeśli będę wam mogła w czymś pomóc. Mogłabym podarować wam którąś ze swych sukni.

„Tylko nie tę złotą!” – pomyślała Marta i omal się nie udławiła. Łukasz poklepał ją po plecach, aż w końcu udało jej się odzyskać oddech. Następnie przeprosiła za swą nieuwagę, po czym z płomiennym, nieszczerym uśmiechem udzieliła odpowiedzi.

– To bardzo uprzejme z waszej strony, Ido. Jednak przywieźliśmy ze sobą dość srebra, by sprawić nowe ubrania wszystkim domownikom. Kiedyś był tu świetny kupiec z tkaninami i pewien niezwykle zręczny krawiec, Józef i Anzelm, jeśli dobrze pamiętam. Żyją jeszcze obaj?

– O tak! – pospieszyła z zapewnieniem Ida. – Dobry wybór, moja droga. Ten Anzelm doprawdy sprawnie włada nożycami, igłą i nicią. Uszyje wam wspaniałe białaudy. Może nawet obszyte zgrzebnym

jedwabiem. Kupuje go u Żydów przy Żydowskiej Górze.

Ida czekała zaciekawiona na reakcję Marty. Czy miała dość pieniędzy, by sobie na to pozwolić?

– Ale jest też wspaniały pasamonik<sup>25</sup> w dzielnicy Mikołaja! – dodała, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Spójrzcie tylko!

Pociągnęła za brzeg rękawa spodniej sukni, który był rzeczywiście wykończony bardzo pięknie utkaną lamówką.

– Czy Józef i Anzelm wciąż są rajcami? – zapytał mimochodem Łukasz, gdy piwniczny dolewał mu wina.

Ci dwaj byli tak samo ohydni jak zakłamanani.

– Jak najbardziej, to zacni rajcy – pospieszył z odpowiedzią Henryk, nim jego żona ponownie zdołała przejąć głos. – Wprawdzie co roku wybieramy na nowo radę, ale w zasadzie grono rajców się nie zmienia. Krawiec, sukiennik, złotnik, rzemieślnik wyrabiający przedmioty ze srebra, przedstawiciele zwyczajowego rzemiosła. Ach, do tego mamy jeszcze tę freiberską osobliwość... – kaszlnął zmieszany – ...tutaj rajcami są nawet zwykły kowal i kowal pracujący dla kopalni, a także prosty furman, iście niegodna hołota i prawdziwi mąciciele. Mało brakowało, a do towarzystwa wybraliby jeszcze koniuszego! Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o czymś takim?

Ida pod stołem szturchnęła męża w kolano. Czyżby zapomniał, że ci trzej, których ostatnio wymienił, mieli konszachty z Łukaszem?

Łukasz udawał, że nie zorientował się w sytuacji.

– A kto jest obecnie burmistrzem?

– Wilhelm, kupiec handlujący futrami. Porządny człowiek. Niezwykle zgodny – poinformował Henryk. „Zatem ktoś, kto waruje ci przy nodze i nie ma odwagi wstawić się za mieszkańcami miasta” – przetłumaczył w myśli jego ocenę Łukasz.

– A czy mistrz Wibald wciąż jest mincerzem? – spytała Marta.

– Zdaje się, że gdy wcześniej wjechaliśmy na dziedziniec zamku, widziałem go wchodzącego do giserni.

– Tak, nadal nim jest – potwierdziła Ida. – Ale zmarł Herman, mistrz górniczy, którego znaliście. Jego następcą nazywa się Zygmunt i niekiedy jest bardziej uparty, niż mu przystoi.

„Ach, więc ktoś, kto od razu nie zgina przed wami karku” – przetłumaczyła sobie w myślach Marta.

– Widzieliśmy ślady pożaru na giserni. To ślady napadu czy przypadkowego ognia? – zaciekawiał się Łukasz.

Kasztelanowi wystąpiły na skroniach krople potu. Był osobiście odpowiedzialny za pracę mennicy, dlatego też została wzniesiona w obrębie zamku.

– Ogień... w gorące lato posypały się iskry. Sami wiecie, jakie to niebezpieczne, gdy się topi i odlewa metal. Udało nam się szybko ugasić pożar, nim zdążył poczynić większe spustoszenia.

Teraz spojrział niemal ze strachem na cesarskiego ministeriała. Ale Bernard uparcie milczał.

– Doszło do moich uszu, że są jakieś trudności w kopalniach i w hucie, a nawet niepokoje, bo urobek nie wystarcza na daninę, którą ludzie muszą odprowadzić. – Łukasz z niewinną miną nie przestawał drażnić czułego punktu, który Henryk wolałby zachować dla siebie.

– To tylko głupie gadanie – zapewnił pospiesznie. – Sami wiecie, ludzie ciągle biadolą, żeby się wykręcić od opłat. Gdy tylko pomyślę, ile denarów ujrzało światło dzienne przy wycofaniu monet podczas Święta Matki Boskiej Gromnicznej, to dochodzę do wniosku, że naród nie jest taki biedny, jak udaje!

– A do moich uszu doszło, że zmuszacie rębaczy, żeby prowadzili wydobywanie w niezabezpieczonych chodnikach. Podobno w ostatnim czasie wydarzyło się w kopalni sporo wypadków i wielu ludzi zostało

zasypanych, także dzieci wysyłacie do największych sztolni – włączył się nieoczekiwanie do rozmowy milczący dotąd Bernard. – Czy to prawda, że wtrąciliście do lochu pewnego sztygara, który odmówił wysłania ludzi do spękanej sztolni?

Henrykowi z przerażenia omal nie wypadł nóż z ręki.

– To ogromna przesada! Poza tym ten człowiek jest od dawna na wolności – zaprzeczył energicznie. – Stara górnicza legenda o długiej szychcie<sup>26</sup>... Każdy wie, że to niebezpieczna praca, zawsze będą ginęli ludzie! Nie bardziej ryzykowna niż zajęcie rycerza. Kto wie, co rozgniewało duchy kopalni...

– Jakkolwiek by było, jutro w mennicy chcę się zapoznać z warunkami panującymi w kopalni – oświadczył Bernard ku zdumieniu i przerażeniu Henryka.

Kasztelan nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z osłupienia, gdy Bernard zwrócił się do Marty.

– Chciałbym prosić panią z Chrystianowa o towarzystwo, oczywiście za pozwoleniem waszego małżonka. Mój asystent zranił się w stopę, zsiadając z konia, toteż potrzebuję kogoś, kto mnie poprowadzi.

– Bardzo chętnie – zapewniła Marta po tym, jak Łukasz spojrzeniem wyraził zgodę na prośbę niewidomego.

Henryk zrobił się blady. Nie dość, że cesarski ministeriał węszył w kopalniach i w mennicy, to na domiar nieszczęścia teraz włączyła się w sprawę jeszcze owa Marta, która z całą pewnością zadba, żeby ślepiec dowiedział się więcej niż każdy z widzających, poinstruowanych przez Henryka ludzi.

Odtąd rozmowa przestała się kleić i kasztelan rozkazał wkrótce służącym, by odprowadzili gości do ich izb.

– Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie niż to prawda, że pomocnik tego ślepcy naprawdę ma zranioną nogę – prychnęła Ida, gdy została z mężem sama. – To jedynie pretekst, żeby mógł powęszyć razem z tą babą!

Zatroskany Henryk przyznał żonie rację. Jedyne Bóg mógł wiedzieć, jaki obrót przybiorą sprawy. A przecież dołożył tylu starań!

– Wygląda na to, że nic się nie zmieniło, odkąd musieliśmy uciekać – stwierdziła Marta, zostawszy sam na sam z małżonkiem. – Wciąż te same dranie i tchórze bez kręgosłupa...

– Jednak my też mamy wciąż tych samych sprzymierzeńców – rzekł Łukasz i objął ją ramieniem na pocieszenie. – Nie bądź dla nich zbyt surowa! To prości ludzie, którym od małego wpajano posłuszeństwo. Wszystko inne nie wyszłoby im na zdrowie. Walka, jeśli miałoby do niej dojść, jest sprawą naszą, stanu rycerskiego.

– Czyż nie powiedziałaś sam, że posłuszeństwo ma swoje granice? – zaprotestowała nadspodziewanie energicznie Marta. – A jeśli rajcy nie stoją za mieszczanami, to po co potrzebna miastu rada? Czy szczerść, dobroć, współczucie i odwaga nie są również cnotami? Nie wierzę, by ci łajdacy wyszlachetniali. Anzelm zrobił ze swojej podopiecznej dziwkę, Józef napychał sobie sakiewkę. A ten Wilhelm też wydaje się nie mieć kręgosłupa, jeśli Henryk tak go wychwalał.

Łukasz westchnął.

– Na razie poczekajmy do jutra. No, chodź już do łóżka! – uśmiechnął się szeroko. – I ogrzej kości udręczonemu, zmęczonemu długą podróżą mężczyźnie.

*Niespodziewani goście*



Marta z Łukaszem od trzech dni mieszkali w nowo urządzonym domu we Freibergu. Łukasz ledwo zostawiał zamkowej załodze czas na wzięcie oddechu, tak ciężko kazał ludziom ćwiczyć. Zwolnił tuzin mężczyzn za brak dyscypliny, a na ich miejsce przyjął na służbę kilku solidnych młodych łuczników z miejskiej straży. Teraz do załogi zamku dołączyli również Daniel i Jakub.

Marta przez cały dzień służyła Bernardowi za przewodniczkę i zaprowadziła go do mennicy, do kopalni i do sortowni, przekazując mu na bieżąco opinię na temat zastanej sytuacji i ludzi, którzy mieli wypisane na twarzach zmęczenie i głód, a czasami niepohamowany gniew. Nikt w mieście na razie nie wiedział, jakie przedstawiciel cesarskiego namiestnika wyciągnął wnioski po odwiedzinach w kopalni i po debatach, które odbył z mistrzem górniczym i z mincmistrzem. Ale przed odjazdem przeprowadził poufną rozmowę z kasztelanem, który od tej pory prawie zupełnie się nie pokazywał.

Teraz domostwo Łukasza i Marty znów sprawiało przytulne wrażenie. Ojciec Hilbert je pobłogosławił, a w pomieszczeniach unosiła się woń drewna, z którego zrobiono nowe stoły i ławy, oraz ziół, które suszyły się w pękach zawieszonych na belkach u sufitu. Stolarz wykańczał jeszcze dwie skrzynie. Tymczasem ich ubrania wisiały na drągach, tak samo jak kolczuga Łukasza, jeśli właśnie nie miał jej na sobie, futrzane zaś skóry Marta rozpostarła na ich nowym łożu.

Nadszedł czas, gdy wreszcie mogła się zająć ogrodem z ziołami. Wprawdzie przed momentem spadła wiosenna mżawka, ale Joanna i Klara przyniosły jej trochę sadzonek i nasion, które pilnie należało posadzić do ziemi.

Ostrożnie przykryła ziemię korzenie i podlała grządki. W pewnej chwili spostrzegła grupę jeźdźców zbliżającą się do zagrody. Wstała, ciekawa, któż taki się do nich wybrał. Na czele jechał wysoki, barczysty mężczyzna, którego postura rzucała się w oczy nawet z większej odległości. Raptownie ogarnęło ją jakieś nieprzyjemne uczucie.

Piotr wyszedł po paszę dla zwierząt, ksiądz prawdopodobnie przebywał w kaplicy, a Łukasz, Daniel i Jakub tkwili na zamku. Jeśli nieznajomi mieli złe zamiary, to nie było nikogo, kto przyszedłby jej z pomocą. Przez chwilę Marta miała ochotę uciec i schować się w domu. Jednakże w tej sytuacji nie miałyby to oczywiście żadnego sensu.

Wobec tego zmrużyła oczy, patrząc w kierunku zachodzącego słońca i starając się rozpoznać twarze przybyłych. Oślepiały ją słoneczne promienie, a ponadto wzrok miała już nie tak dobry jak kiedyś.

Dopiero gdy jeźdźcy dotarli prawie do samej zagrody, rozpoznała gości i z ulgą wypuściła z płuc wstrzymane powietrze.

– Szczęść Boże, pani Marto! – pozdrowił ją niskim głosem postawny Borys ze Zboru i zsiadł z konia.

To samo uczynili jego towarzysze, rycerze Piotr, Johannes i Tammo z Nossen.

– Nie mogliśmy uwierzyć w to, o czym wszystkie ptaszki ćwierkały na dachach, dlatego pomyśleliśmy, że przekonamy się na własne oczy – uśmiechnął się szelmowsko Słowianin i zgiął się w ukłonie.

– Miło wiedzieć, że oboje z Łukaszem jesteście we Freibergu – odezwał się Piotr z Nossen. – Pomyśleliśmy, że trzeba to uczcić!

To mówiąc, wyciągnął przed siebie bukłak z winem, a Tammo wskazał ręką na kilka królików, które miał przytroczone do siodła. – Z naszych lasów, dopiero co ustrzelone.

Marta pospiesznie wytarła brudne ręce w ścierkę, którą się opasała do pracy w ogrodzie, podziękowała za prezenty i zaprosiła rycerzy do środka.

– Jak się miewa Georg? – spytała. – I wdowa po Dawidzie?

– Ponownie wyszła za mąż. Nie, nie za naszego słowiańskiego woja, tylko za Georga – opowiadał z uśmiechem Tammo. – Oboje sprawiają wrażenie, że są ze sobą szczęśliwi. Zresztą przyjechał z nami. Ale domyśliliśmy się, że Łukasz jest jeszcze na zamku, więc wysłaliśmy go do niego, żeby wasz mąż wiedział, że na niego czekamy.

Z dworu dobiegło ostre gwizdnięcie. To mógł być tylko Łukasz, który dziś wcześniej wrócił do domu i rozglądał się za Piotrem, by oddać mu pod opiekę konie gości.

Marta podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Łukasz, promieniejąc z radości, szedł naprzeciw swym towarzyszom broni. Ze śmiechem padli sobie w ramiona.

Przyczłapała Elfryda, która nie była już najszybsza w ruchach, i odebrawszy od Marty króliki, obiecała przygotować z nich smaczny posiłek.

– Chodźcie do domu, będziemy świętować! – zaprosił Łukasz. – Przed dwoma laty nikt by nie pomyślał, że jeszcze kiedyś wszyscy spotkamy się żywi na tym świecie.

Mężczyźni z hałasem weszli do domu, rozejrzeli się, a Marta nalała im świeżego piwa. Później poszła na górę, żeby się umyć i przebrać w czystą suknię.

Daniel i młodszy Jakub także wrócili z Georgiem z zamku i weszli do izby.

– Może powinniśmy poprosić do nas waszą owianą legendami pasierbicę? – zaproponował Borys ze Zboru. – Zdaje się, że mieszka w domu Rajnharda, prawda? Przywiozę ją, jeśli ty, jako jej ojczym, nie masz nic przeciwko temu.

– Ale tylko jeśli przyrzekniesz, że będziesz trzymał ręce z dala od niej! – zastrzegł Łukasz.

Był to żart, który rozbawił towarzystwo, ale zawierał w sobie ziarnko prawdy. Zbor był bałamutnikiem. Ale był też bardzo honorowy, toteż córkę przyjaciela traktowałby zawsze z należyty szacunkiem. Przynajmniej Łukasz miał taką nadzieję.

Borys ze Zboru skłonił się przed nimi z uśmiechem i przyłożył rękę do serca na znak swych uczciwych zamiarów, a następnie wskoczył z powrotem na siodło.

Droga nie była daleka, lecz rycerz na koniu robił znacznie większe wrażenie niż rycerz idący pieszo.

Dotarłszy do zamkowego lenna, nie miał pewności, który dom należał kiedyś do Rajnharda, albowiem nie znał zbyt dobrze Freibergu. Gdy był tu po raz ostatni, koncentrował myśli na tym, jak żywym dostać się do zamku, zabić Albrechta i jak najszybciej się stamtąd wydostać. Później zaś, w obliczu nieoczekiwanej zmiany sytuacji spowodowanej trucicielskim zamachem, stoczyli krwawą potyczkę i musieli się jak najszybciej wycofać.

Postanowił zapytać o drogę dwóch młodzieńców, zapewne starszych giermków, którzy szli naprzeciwko niego. Sądząc po wyglądzie, mogli być braćmi. Jednakże dosłyszawszy fragment ich rozmowy, zagotował się z wściekłości.

– Jest tam w środku, ta dziwka ze swymi bękartami. Ciekawe, czy i nas do siebie dopuści? – zainteresował się starszy i wskazał na dom po swojej prawej stronie.

– Ona to robi tylko z hrabiami – roześmiał się obleśnie drugi z nich, gdy mijali Słowianina.

– Hej, wy tam! Podejdźcie! – zawołał ich Borys.

Obejrzeni się zdziwieni za siebie i podeszli kilka kroków w stronę jeźdźca.

– Potrzymajcie mi konia! – rozkazał Zbor.

Giermkowie nie odważyli się sprzeciwić rozkazowi rycerza. Borys zsiadł z siodła i pozwolił im przywiązać swojego konia w zagrodzie. Zmierzył szacującym spojrzeniem młodzieńców, którzy czekali, aż pozwoli im odejść, a następnie chwycił każdego z nich mocno za kark i swą niedźwiedzią siłą zmusił ich, żeby uklękli.

– Czy jest pani z Reinhardsbergu? – krzyknął w kierunku domu.

Za chwilę Klara we własnej osobie wychyliła głowę przez okno i spojrzała zaskoczona na scenę rozgrywającą się na podwórzu. Jakiś potężnie zbudowany nieznajomy człowiek o jasnobrązowych włosach obezwładnił dwóch z owych bezczelnych giermków od sąsiadów. Wydawało się, że nie sprawiło mu to najmniejszej trudności, a wręcz przeciwnie, zdawał się przy tym doskonale bawić. Posłał jej wesoły uśmiech. Jego błękitne oczy promieniały.

– Czarująca Klara, wasz ojciec przysłał mnie z wiadomością. Po drodze wpadłem na tych oto dwóch trutni, którzy niezwłocznie chcą wam na kolanach wyrazić swój szacunek. Nieprawdaż, nicponie? – upewnił się ostro, dociskając mocniej swe potężne łapy na ich karkach.

Obaj z jękiem szybko mu przytaknęli. Zawstydzona Klara odłożyła na bok ręczną robótkę i bez słowa podeszła do drzwi.

– A zatem, cherlaki, pokażcie, jak dobrze wam wpojono dworskie maniery. Dalej, kilka słów pełnych szacunku z pokorą należną damie! – zażądał Borys ze Zboru z niepohamowaną kpinią.

Obaj młodzieńcy przekazali pani z Reinhardtsbergu wymuszone pozdrowienie.

Później Borys wcisnął twarze łapserdaków w błoto i puścił ich.

– A teraz znikajcie, ale migiem! – rozkazał. – Wynoście się do lasu i poćwiczcie, jak należy okazać szacunek damie, nim ponownie pokażecie się w mieście!

Młodzieńcy wytarli twarze z błota i potykając się, uciekli tak szybko, że Klara nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Uśmiech czyni was jeszcze piękniejszą, Klara! – powiedział Słowianin. – A coś mi mówi, że o wiele za rzadko się śmiejecie... Ale teraz sam zapomniałem o przystojnych manierach. Jestem Borys ze Zboru. Albo z Bora, jak większość tu mawia, albowiem na „Zborze” łamią sobie języki.

Uśmiechnął się szelmowsko i nisko się skłonił, a gdy się znów wyprostował, rzucił jej prosto w twarz promienne spojrzenie.

Oczy Klary się rozszerzyły.

– A więc byliście jednym z ludzi, którzy odważyli się tu przyjechać z mym ojczymem...

Nie wypowiedziała do końca tego, co miała na myśli: „żeby zabić Albrechta”. Jednakże doskonale wiedziała, czego towarzysze Łukasza się podjęli i czym ryzykowali. Wiedziała również, że ten rycerz pokonał najsilniejszego człowieka Albrechta, następcę Lotara na stanowisku komendanta zamku w Seussnitz. Niewykluczone, że bez niego Łukasz, Tomasz albo Rajmund nie wróciliby żywi z freiberskiej góry zamkowej.

Dopiero teraz po kilku szczegółach jego garderoby, po niespotykanym wzorze haftu na białym, który miał na sobie, zorientowała się, że stał przed nią szlachetnie urodzony pan ze słowiańskiego rodu.

– A wy jesteście ową wysławianą znachorką, o której ludzie opowiadają wiele nadzwyczajnych historii – rzekł.

– To, co o mnie mówią, bardziej odstrasza, niżli dodaje splendoru – odparła gorzko.

Aż nadto dobrze potrafiła sobie wyobrazić, czym giermkowie sąsiada skłonili nieznanego do interwencji.

– Och, nie jestem przesadnie bojaźliwy – odrzekł spokojnie, czym znów mimo woli zmusił ją do uśmiechu.

Rajnhard i Dytryk byli wysokimi mężczyznami, ale Zbor przerastał ich co najmniej jeszcze o głowę.

– Zatem wejdźcie do środka! – poprosiła Klara i uczyniła zapraszający gest. – Macie ochotę na łyk piwa dla ochłody? A może kawałek białego chleba? Jaką wiadomość przesyła mój ojczym?

Borys przed wejściem do domu ucałował jej rękę.

– Przyjechałem z kilkoma przyjaciółmi z Nossen, by uczcić tamten pamiętny dzień i wasz powrót do Freibergu – powiedział wesoło. – A przy tym nie chcemy rezygnować z waszego przemiłego towarzystwa.

Klara udała, że nie dosłyszała komplementu, nie nawykła bowiem do takiej wylewności. Anna otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w potężnego mężczyznę stojącego w dużej izbie na parterze.

– Czy jesteście olbrzymem? – wyrwało jej się.

Dytryk, jej młodszy brat, stanął przed siostrą, osłaniając ją sobą, a mały Konrad, który tymczasem

skończył trzy latka, poszedł jego śladem.

Borys się roześmiał.

– Olbrzymem? Nie, moja śliczna!

Ukucnął przed Anną, żeby mieć ją na wysokości swoich oczu.

– Czy mam ci zdradzić pewną tajemnicę?

Gołym okiem było widać, że dzieci o mało nie pękły z ciekawości.

Borys ze Zboru ściszył swój tubalny głos i szepnął:

– W rzeczywistości jestem zbyt wyrośniętym krasnalem.

Anna parsknęła rozradowana.

Zbor wstał i z wdzięcznością przyjął od Klary kubek, do którego nalała mu piwa.

– Wy dwaj jesteście dzielnymi młodzieńcami – pochwalił z uznaniem obu chłopców i pogłaskał ich po włosach. – Zupełnie wdali się w ojca! Niech Bóg się nim opiekuje w Ziemi Świętej! I waszym bratem, Klaro.

Przeżegnał się, a następnie usiadł przy stole i wypił solidny łyk piwa.

Ciepło popatrzył na dzieci i zwrócił się do Klary:

– Człowiekowi robi się cieplej na sercu na widok tych małych stworzeń.

Klara musiała się roześmiać.

– Tak, to prawda. Mimo że czasem są trudniejsze do okiełznania niż worek pcheł.

Przy tych słowach spojrzała na dół swojej sukni, na której chłopcy pozostawili ślady brudnych palców. Jej welon też pewnie nie wyglądał jak trzeba.

– Mamy gości, więc powinnam się przebrać – powiedziała zmieszana. – Czy bylibyście tak dobrzy i poczekali na mnie?

Przywołała Lizę, która zajęła się dziećmi, a sama popędziła schodami na górę. Po pewnym wahaniu zdecydowała się włożyć swą najlepszą suknię, ciemnozieloną z barwnymi haftami na zakładkach rękawów i przy wycięciu dekoltu. W tej sukni brała ślub. Po cichu odmówiła modlitwę za spokój duszy Rajnharda. Nie chciała go, nie kochała, a nawet początkowo uważała za wroga, gdy go poślubiła z powodu trudnej sytuacji i pod naciskiem Łukasza. Lecz Rajnhard ją kochał i opiekował się nią. I tak z początkowej pogardy, którą do niego czuła, zrodziła się życzliwość.

A Dytryk? Jej uczucie do niego było nieporównanie silniejsze. Jednak po ślubie z Juttą był dla niej stracony. „Ile jeszcze czasu upłynie, nim będę potrafiła o nim myśleć i nie będzie mi przy tym pękało serce? – zastanawiała się, na nowo splatając warkocz. – Wiem od dawna, że Jutta przestała mu być tak obojętna jak dawniej”.

„Ale to rozsądne i zgodne z wolą Boga, że ją pokochał – wmawiała sobie. – Powinnam poświęcić swoje życie dzieciom”. Energicznie się podniosła, założyła na głowę welon i opaskę i wyszła z izby.

Z dołu dobiegał wesoły śmiech. Borys ze Zboru opowiadał dzieciom jakąś bajkę, a maluchy kwiczały z radości.

– Wtedy wiewiórka kiwnęła rezolutnie ogonem, jeź położył po sobie kolce, a wilk musiał się głodny położyć do łóżka – zakończył właśnie.

Chłopcy głośno się cieszyli.

Anna pierwsza zobaczyła matkę.

– Niemożliwie się rozbrykali – poskarżyła się szybko.

Ale nie dało się ukryć, że jeszcze przed chwilą sama z entuzjazmem dokazywała.

Liza wcisnęła się do kąta i nie miała odwagi postąpić ani kroku w kierunku tego zwariowanego słowiańskiego olbrzyma.

Borys spojrział w stronę schodów, na których Klara stała w swej najlepszej sukni, i dech zaparło mu

w piersi.

Kiedy indziej zaraz wypowiedziałby komplement na temat urody i elegancji pani domu. Wszak zwykle w tego typu sytuacjach słowa same cisnęły mu się na usta! Dlaczego zatem teraz odebrało mu mowę?

Jeszcze nigdy nic podobnego mu się nie zdarzyło. „Boże mój, to wygląda na coś poważnego” – pomyślał, w głębi ducha odrobinę przestraszony, lecz i tak nie mógł przestać się uśmiechać.

Nie odrywając spojrzenia od Klary, czekał, aż gospodyni pożegna się z dziećmi. Później mrugnął do trójki dzieciaków, podał Klarze ramię i pomógł jej usiąść w siodle.

– Łukaszu, muszę z wami porozmawiać – powiedział Borys ze Zboru, który przez cały czas dziwnie spięty wiercił się na swoim miejscu, podczas gdy pozostali się bawili, popijali, dowcipkowali i wymieniali się wspomnieniami.

Od powrotu Słowianina Łukasza niepokoiło niesprecyzowane przeczucie, że czekały go kłopoty.

Przed chwilą dyskutowali na poważne tematy. Tammo z Nossen zapytał Łukasza, czy jego zdaniem naprawdę rozsądne było szkolenie tutejszych zamkowych strażników na skutecznych żołnierzy. Wszyscy wiedzieli, do czego pił.

– Czyż nie takie jest moje zadanie? – odpowiedział bez namysłu Łukasz. – Wyszkolę ich tak, że w krytycznej sytuacji będą walczyli po mojej stronie – dodał z naciskiem.

Ostatnie zdanie było niezwykle odważne, mimo że znajdował się w gronie przyjaciół. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi wszyscy obecni żywili głęboką nadzieję, że nadejdzie stosowna okazja i Dytryk podbije Marchię Miśnieńską.

W związku z tym albo Zbor chciał mu przemówić do sumienia, albo też miał nowiny dotyczące cesarza lub wyprawy krzyżowej. Tak więc Łukasz skinął na Słowianina, a następnie wstał i wyszedł z izby. Niech pozostali dalej beztrósco się bawią. Złe wieści zwykle i tak rozchodziły się szybciej, niż potrzeba.

– Mów, jakich komplikacji należy się spodziewać? – zapytał na zewnątrz.

Zaskoczony olbrzym wpatrywał się w niego przez chwilę. Później na jego twarzy znów pojawił się zwykły beztróski uśmiech.

– Komplikacji? Nic takiego, czego nie potrafiłbym rozwiązać tymi rękami – odparł z uśmiechem i uniósł swoje wielkie dłonie.

Później dziwnie zmieszany pogładził się po starannie przyciętej brodzie i po chwili wahania wreszcie się odezwał.

– To trochę niezwykle... i dla mnie też zupełnie nieoczekiwane... Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się nic podobnego, prawdę mówiąc... Ale chciałbym poprosić o rękę twojej pasierbicy... o ile nie wiążesz z nią innych planów... Zaraz teraz, na miejscu – wyrzucił z siebie i głęboko odetchnął.

Łukasz był tak zdumiony, że nie wiedział, co powiedzieć. Jego waleczny przyjaciel dopiero co poznał Klarę.

Od lat łamał sobie głowę, jak ponownie wydać Klarę szczęśliwie za mąż, a trzeba przyznać, że nie było to łatwe wobec jej sprzeciwu i dwójki nieślubnych dzieci.

Może teraz rozwiązanie nieoczekiwane samo się nasunęło?

Łukasz cenił Borysa ze Zboru, który był dzielnym mężczyzną, nie fałszywym, a jego poczucie humoru było nie do zdarcia. Niemniej jednak w kwestii kobiet był poniekąd lekkoduchem i jak na razie żeniaczka nie była mu w głowie.

Czy mógł powierzyć mu Klarę?

Borys zdawał się czytać w jego myślach.

– Jest niezwykłą kobietą. Dzielną. Jej mógłbym z czystym sercem przysiąc wierność – powiedział cicho.

– Orientujesz się w szczególnych okolicznościach... – przypomniał mu Łukasz.

Borys spojrział na niego niemal z oburzeniem.

– To nie tak, nie obściskiwiała się z każdym stajennym parobkiem! Dytryk zaopiekuje się swoimi synami. Ale żebyś czasami nie pomyślał, że chcę ją ze względu na weissenfelski posag!

– Nawet nie wiesz, jak trudno skłonić tę dziewczkę do małżeństwa – westchnął Łukasz.

– Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze się czuję na myśl, że mógłbym jej się nie spodobać. Oczywiście nie chcę jej przestraszyć... będę cierpliwie o nią zabiegał, jak należy. Ale czy mógłbyś szepnąć jej jakieś ciepłe słówko na mój temat? I dać mi błogosławieństwo, stary przyjacielu?

– Zrobię to – obiecał Łukasz. – Jak sam powiedziałaś, nie spłosz jej, potraktuj tę sprawę z wielką delikatnością. Nie przymuszę Klary. Jednak będę naprawdę zadowolony, jeśli znajdzie kogoś, kto się o nią zatroszczy. I sprawi, że stanie się szczęśliwa. Zasłużyła na to.

Marta wyszła na zewnątrz w nieomylnym przeczuciu, że mąż jej potrzebował.

Łukasz odetchnął z ulgą i na gorąco przekazał jej zaskakującą nowinę.

– Co o tym sądzisz? Zdołamy ją przekonać? – zapytał.

Borys ze Zboru nie spuszczał z Marty oka, gdy ta szukała w myśli odpowiedzi na pytanie małżonka.

Słowianin stanowił dokładne przeciwieństwo opanowanego, często melancholijnego Dytryka. Był też zupełnie inny od Guntrama, przyjaciela Klary z dzieciennych lat, który ukradkiem wciąż się za nią oglądał, aż Marta czasami się obawiała, że mimo bariery stanowej tych dwoje mogłoby się zejść, chociaż Guntram i Liza dobrze się ze sobą rozumieli.

Borys ze Zboru nie tylko skutecznie uchroniłby Klarę przed ludzkim gadaniem i wrogością, ale bijąca z niego radość życia i jego rozbrajający humor mogłyby jej dobrze zrobić. „I chyba już jej pomogły” – pomyślała Marta z delikatnym uśmiechem, tego bowiem wieczoru jej córka znów zaczęła się śmiać. Ponadto wizyta Słowianina skłoniła Klarę do włożenia najlepszej sukni, co również było swego rodzaju znakiem, chociaż żaden z mężczyzn raczej tego nie dostrzegł.

– Spróbujcie swego szczęścia – uśmiechnęła się do Zbora.

– Lecz jeśli złamiesz jej serce, nie będzie więcej mowy o żadnej przyjaźni – napomniął Łukasz i bynajmniej nie żartował.

## *Lato 1197 pod Akką*

Wraz z postępem lata coraz więcej krzyżowców przybijało do portu w Akce.

Wśród nowo przybyłych znajdował się także landgraf Turyngii ze swym licznym wojskiem oraz całą plejadą znaczących turyńskich panów, między innymi z hrabiami z Hennebergu, Tonny i Gleichen oraz obydwoma hrabiami z Käfernburga, bratem i ojcem Schwarzburga, który się ciężko rozchorował podczas wyczerpującej przeprawy przez morze. Herman z Salzy również po raz drugi przyjechał do Ziemi Świętej, a wraz z nim jego trzej ostatni żyjący towarzysze.

Gdy turyński obóz był już gotowy, landgraf zaprosił na ucztę najznamienitszych Turyńczyków, swego zięcia, jego kuzyna Konrada z Marchii Wschodniej i pana z Colditz, jednego z cesarskich ministeriałów, którzy w Röblingen walczyli u ich boku przeciwko Albrechtowi z Wettynu, czego Herman i Dytryk nigdy mu nie zapomną.

Herman i jego goście usiedli w cieniu lnianego baldachimu. Mimo że ów letni dzień pod Akką miał się ku wieczorowi, w powietrzu wciąż wisiał żar.

Nowi przybysze przywieźli ze sobą niepokojące wiadomości z Sycylii, gdzie w maju miało ponoć

dojść do rebelii przeciwko cesarzowi, którego chciano zamordować podczas polowania. Wprawdzie cesarz zdołał szczęśliwie umknąć do Mesyny, ale dopiero po wielotygodniowych bataliach udało się pokonać i krwawo ukarać buntowników.

– Cesarz natychmiast włączył do walki krzyżowców, których przyjął na żołąd, by zdławić bunt i dokonać zemsty – relacjonował z ponurą miną Herman, który prawie nic nie jadł, za to wciąż kazał sobie na nowo napełniać puchar. Jedzenie nie było wprawdzie tak wystawne jak na jego dworze w Eisenach, ale w porównaniu z aprowizacją na statku stanowiło prawdziwą rozkosz dla podniebienia. Jednak Hermanowi odebrało apetyt.

– Nie jestem zanadto wrażliwy, ale jeśli dla porównania przypomnicie sobie egzekucję hrabiego z Acerry, to była ona zaiste niezwykle łagodna.

Ryszard z Acerry, szwagier dawnego króla Tankreda z Lecce, należał do najzacieklejszych wrogów Henryka i przed rokiem został pojmany wskutek zdrady. Cesarz kazał go przeciągnąć za końmi przez miasto, a później powiesić za nogi i zostawić, aż umrze. Wieść głosiła, że trwało to trzy dni, w ciągu których nadworny błazen pozwalał sobie na złośliwe dowcipy w stosunku do zmaltretowanego hrabiego.

– Buntownicy, którzy ponieśli karę miecza albo stryczka, mogli się uważać za szczęśliwców – ciągnął Herman z obrzydzeniem. – Innych utopiono w morzu, porąbano na sztuki, spalono albo uśmiercono, nawlekając ich na drewniane pale. Przywódcy zaś powstańców, burgrabiemu z Castrogiovanni, który rzekomo miał zamiar poślubić cesarzową i koronować się na króla, kazał przybić do głowy koronę z rozżarzonego do czerwoności żelaza.

– To doprawdy... coś podobnego! – odezwał się matowym głosem margrabia Konrad, któremu najwyraźniej na chwilę zabrakło słów. – Czyżby cesarz i wasze wojsko włączył w tłumienie rebelii?

– Szczęście od Boga, że wyruszyliśmy w drogę do Ziemi Świętej i nie musieliśmy niczym oprawcy uganiać się za jego własnymi poddanymi, którzy okazali krnąbrność! – zaprzeczył energicznie Herman. – Szlachta z południa zawsze sprawiała trudności. Egzekucja Acerrasa i rewizja przywilejów szlacheckich w Kapui ostatecznie nastawiła ich wrogo do cesarza. Ale Henryk z Kalden, Konrad z Urslingen i Markward z Annweiler bardzo żarliwie i z ogromną skrupulatnością podjęli się tego krwawego zadania. Nie cofnęli się nawet przed spaleniem kościoła katedralnego, w którym znalazły schronienie setki ludzi.

Henryk z Colditz, wysoki mężczyzna około trzydziestki z jasnymi włosami i brodą, przeżegnał się przerażony. On sam wybrał się na wyprawę krzyżową dla odkupienia grzechu, który wraz z upływem czasu coraz bardziej ciążył mu na sumieniu. W młodszych latach na polecenie swojego brata Tymona wziął do niewoli przeora klasztoru z Pegau, by Tymon na zlecenie biskupa Merseburga mógł obrabować jego klasztor. Przeor i biskup byli ze sobą zwaśnieni, klasztor powoływał się bowiem na bezpośrednie zwierzchnictwo Rzymu. Wprawdzie nie doszło wówczas do rozlewu krwi, niemniej jednak podniósł rękę na duchownego, co uważano za ciężki grzech, za który karą było wieczne potępienie. Dlatego miał nadzieję, że tutaj, w Ziemi Świętej, otrzyma za niego odpuszczenie.

– To normańskie obyczaje – dorzucił margrabia Konrad. – Tam takie barbarzyńskie kary są na porządku dziennym. Podobno sycylijscy doradcy z naciskiem wyjaśnili cesarzowi, że u nich obowiązują inne zasady niż w naszych cywilizowanych okolicach. Łagodność nie jest tam cnotą, lecz jest uważana za oznakę słabości. A na to cesarz nie może sobie pozwolić.

– Najpierw się przekonajmy, do jakich kar sami będziemy zmuszeni się tutaj uciec – wtrącił Dytryk z Weissenfels i opowiedział przybyłym o rozkazie króla i o zajęciach, które miały miejsce zaraz pierwszego dnia ich pobytu.

– Każemy ludziom ciężko ćwiczyć, żeby mieli zajęcie. Lecz im więcej nowych ludzi do nas dobije, tym trudniej będzie utrzymać dyscyplinę. Czy na waszym statku też było pełno takich, którzy nie mieli

w głowach nic prócz zabijania niewiernych? A główna część armii dopiero przybędzie. To tylko kwestia czasu, kiedy sytuacja na miejscu stanie się bardzo niepewna. A jeśli nie chcemy narazić pokoju z al-Adilem, bratem Saladyna, będziemy musieli surowo ukarać albo wydać każdego, kto naruszy warunki zawieszenia broni.

Herman z Turyngii uniósł brwi.

– Marszałek z Kalden zapewne z przyjemnością urządzi krwawą łaźnię, jeśli jego ludzie sprzeciwią się choćby jednemu jego słowu. Ale należałoby znać odpowiedź na pytanie, czy on sam jest posłuszny królowi Jerozolimy, czy też wyłącznie swojemu cesarzowi.

– Obawiam się, że to się dopiero okaże – stwierdził w zamyśleniu Konrad. – Dlaczego cesarz nas tu przysłał, skoro wie, że na tutejszym terenie obowiązuje zawieszenie broni?

Tomasz nie został poproszony na ucztę u landgrafa. Wprawdzie był jedynym rycerzem w asyście Dytryka, ale nie posiadał hrabiowskiego tytułu. Ponadto jako brat kobiety, która urodziła zięciowi Hermana dwa bękarty, nie miał co liczyć na zaproszenie do jego stołu. Jednakowoż niewiele go to obeszło. Wcześniej zdążył się przywitać z Salzą i innymi dawnymi towarzyszami broni z Turyngii, między innymi z Henrykiem z Colditz, i podzielić się z nimi kilkoma nowinami.

Tego dnia ćwiczenia z bronią zostały zakończone i Tomasz nie odczuwał najmniejszej ochoty, by wysłuchiwać przechwałek nowo przybyłych ani też powstrzymywać ich przed wypadami, by zabijać niewiernych. Sam nawet w największym gniewie nie dałby rady utrzymać takiej zgrai. Powinni się tym zając dowódcy poszczególnych kontyngentów armii, którzy dysponowali dostateczną liczbą żołnierzy.

Miał serdecznie dosyć tego wszystkiego. Cowieczorne bijatyki, libacje i przechwałki. Mężczyźni byli znudzeni i rozczarowani, czekali na łupy i chcieli nareszcie zabijać Saracenów, żeby zasłużyć na odpuszczenie swoich grzechów. Z każdym przemijającym dniem Tomasz coraz intensywniej się zastanawiał, jak długo taka sytuacja może się jeszcze utrzymać. Za kilka dni oczekiwali reszty armii. Jeśli nie zdarzy się cud, sytuacja wymknie się spod kontroli.

Pomijając jego niechęć do części nadgorliwych mężczyzn, prawdopodobnie był jedyną osobą w całym obozie, dla której czas oczekiwania miał swoje dobre strony. Gdy tylko pozwalały na to jego obowiązki, wyruszał do miasta i odwiedzał Notkera w niemieckim szpitalu, by się czegoś od niego nauczyć. Hrabia Dytryk, a także Henryk Walpot, przełożony bractwa szpitalnego, nie tylko tolerowali jego wypadki, ale nawet go do nich zachęcali. Może widzieli w nim już rycerza przysłego niemieckiego zakonu?

Szczerze mówiąc, myśl o przynależności do zamkniętego męskiego bractwa walczącego w imię wspólnego celu była dla Tomasza niezwykle pociągająca. O czymś podobnym marzył, odkąd został giermkim, i podczas wyprawy krzyżowej z cesarzem Fryderykiem miał nadzieję, że jego pragnienie się ziści, ale przeżył gorzkie rozczarowanie.

Mógłby nie tylko walczyć, ale także pomagać rannym podczas bitwy!

Jakże często widywał na własne oczy, jak towarzysze wykrwawiali się na polu bitwy, bo nikt nie udzielił im pomocy albo dlatego, że felczer kazał im się najpierw modlić, zamiast natychmiast zacisnąć krwawiącą żyłę.

Lecz ślub czystości...

Mimo najlepszych chęci nie mógł sobie wyobrazić życia we wstrzemięźliwości, chociaż teraz, gdy był krzyżowcem, też tego od niego oczekiwano. Jednak niewielu mężczyzn w obozie dotrzymywało wierności tej zasadzie. Ubarwione obozowe opowieści o wybrykach w miejscowych domach rozkoszy odbierały mu wszelką ochotę, by się wybrać do któregoś z nich. Jednak na zawsze wyrzec się rozkoszy, które mogła mu dać kobieta? I ulgi? To było dla niego nie do pomyślenia.

W szpitalu dla Niemców przy Bramie Świętego Mikołaja fascynował się wschodnimi metodami



leczenia, które Notker objaśniał mu z ogromną cierpliwością, nie zaniehbując przy tym swoich obowiązków.

Tak oto Tomasz ku swemu wielkiemu zdumieniu dowiedział się, że miejscowi w żadnym wypadku nie stosowali gorącej smoły na krwawe kikuty ramion czy nóg, co było ogólnie przyjętą metodą stosowaną w jego stronach, lecz polewali je octem albo winem, które wzmagają proces gojenia. Jakby na potwierdzenie tych słów Tomasz spotkał dwóch pamiętnych złodziei z obozu margrabiego Konrada, którym obcięto po ręce, a którzy w poszukiwaniu pomocy zgłosili się do szpitala i wkrótce potem zmarli w cierpieniach wskutek gorączki i gangreny.

Był niezwykle żądny wiedzy przekazywanej mu przez Notkera i cieszył się na myśl o dniu, w którym będzie mógł o wszystkim opowiedzieć matce i siostrze. Przecież obie zawsze marzyły, by dowiedzieć się więcej o sławnych metodach leczniczych stosowanych przez Żydów i Saracenów.

Z Notkerem mógł też rozmawiać o Bogu, o rozterkach swej duszy, która nie mogła odnaleźć spokoju ani radości, o tym, że Jerozolima dawała mu ostatnią nadzieję. Może tam wydarzy się cud, chociaż nie miał pojęcia, na czym miałby on polegać.

Wtedy mały mnich pochyłał głowę i przyglądał mu się przenikliwie, a następnie z mądrym uśmiechem mówił coś w rodzaju:

– Przyjacielu, to, czego szukacie, nie kryje się w żadnym odległym miejscu, lecz w was samych. Tam trzeba wam szukać i tylko tam to odnajdziecie.

Wtedy myślał o Klarze, która kiedyś powiedziała, że zagubił część duszy. I o słowach Notkera, który kiedyś z kpina nazwał go niewiernym Tomaszem.

Ale poza uzdrowicielskimi metodami i rozmowami z Notkerem coś jeszcze ciągnęło go do szpitala. Pewna dziewczyna. Może nawet młoda kobieta, zakrywała bowiem włosy, mimo że chyba sporo jej jeszcze brakowało do dwudziestego roku życia, a jej powierzchowność sprawiała delikatne i dziewczęce wrażenie.

Od tygodni niemal za każdym razem, gdy przychodził, siedziała przy łóżku starego mężczyzny, którego najwyraźniej trafiła apopleksja i nie mógł się poruszać ani mówić. Pewnie był jej ojcem. Tomaszowi wydawało się nieprawdopodobne, by mogła mieć takiego starca za męża. Ostrożnie wsączała napój do ust chorego, chłodziła jego czoło, a gdy spał, w porozumieniu z braćmi zajmowała się także innymi potrzebującymi.

Pewnego razu Tomasz stał w pobliżu, gdy przekazywała Notkerowi niewielki pojemnik z suszonymi płatkami kwiatów, i z zaskoczeniem stwierdził, że mówiła po niemiecku, chociaż kaleczyła język. Wcześniej uważał ją za miejscową. Miała czarne włosy, ciemne oczy i delikatne rysy twarzy tutejszych niewiast. Troszeczkę przypominała mu kobietę z owej sennej mary w Antiochii. Ale była z krwi i kości, mimo że do tej pory ani razu na niego nie spojrzała.

Gdy Notker przyniósł lecznicze rośliny do zielarni, Tomasz odważył się zadać mu pytanie.

– Kim ona jest?

– Kto? Esziwa? – spytał przelotnie mały mnich.

„Esziwa – powtórzył w myśli Tomasz. – Jak pięknie brzmi jej imię!”

– Jest żoną starego Godwina – poinformował Notker. – Przyjechali z Jerozolimy po upadku miasta, dziesięć lat temu. Godwin jest potomkiem człowieka, który przed niespełna stu laty założył tam niemiecki szpital. Tutaj pomaga nam rozwijać bractwo. Handluje przyprawami i leczniczymi ziołami. Zatem teraz, gdy się tak rozchorował, powinien zostać otoczony najlepszą opieką.

„Jest żoną tego starca?” – pomyślał Tomasz wstrząśnięty, nie słuchając dalszych słów Notkera.

– Ale nie pochodzi z żadnego z niemieckich krajów? – pytał dalej.

– Nie, o ile mi wiadomo, jej rodzice byli armeńskimi chrześcijanami i mieszkali w Jerozolimie. Całą

rodzinę sprzedano jako niewolników. Ale Godwin wziął do siebie dziewczynę i później się z nią ożenił. Dziewczyna nie dawała Tomaszowi spokoju. Wciąż musiał o niej myśleć i o tym, jak przedziwne okoliczności uczyniły z niej najpierw niewolnicę, a potem żonę mężczyzny o niemieckich korzeniach. Słyszał, że po upadku Jerozolimy tysiące chrześcijan zostało sprzedanych do niewoli, ponieważ nie byli w stanie się wykupić. Potrafił sobie przedstawić, jaki los spotykał młode dziewczyny i kobiety w niewoli. Ale gdy sobie wyobraził, że stary kazał Esziwie przyjść do swego łóżka, w jego sercu zapłonął gniew.

## *Jerozolimski koszmar*

Któregoś dnia Tomasz został w szpitalnej sali do późnego wieczora i zobaczył, że Esziwa ułożyła się do snu, zwijając się w kłębek obok łóżka swojego męża na gołej podłodze. Najwyraźniej nawet w nocy nie chciała odchodzić od jego boku, na wypadek gdyby mu czegoś zabrakło.

Nie mógł znieść tego widoku. Dlatego następnego dnia, minawszy Bramę Świętego Mikołaja, nie udał się bezpośrednio do szpitala, tylko zatoczył koło i pojechał przez targ. Wcześniej dokładnie przejrzał swoje rzeczy w poszukiwaniu czegoś, z czego mógł najprędzej zrezygnować. Wreszcie zdecydował się na zapasową parę butów, które przed wyjazdem zamówił u szewca w Weissenfels. Związał razem rzemienne sznurówki i przytroczył je sobie do pasa.

Hałaśliwa wrzawa na targu była fascynująca, ale sprawiała również, że czuł się nieco bezbronny. Jego dążenie do nauczenia się języka miejscowych spełzło na niczym, szczególnie że mówiono tu mieszaniną różnych języków. Jako rycerz nie nawykł do kupowania na rynku i targowania się o cenę. Miecznik miał ustalone ceny, zależne od jakości i rodzaju wykonania przedmiotów, podobnie zresztą jak kamasznik. Swoje konie brał od Rajmunda, z którym nigdy nie dyskutował o cenie, wszelkie zaś inne sprawunki dla rycerzy załatwiali służące i parobkowie czy giermkowie. Tu jednak targowanie zdawało się stanowić prawdziwe święto dla każdej ze stron i ludzie oddawali mu się z największą pasją. Widział to po ich twarzach i gestykulacji, choć nie rozumiał nawet jednego słowa z panującego wokół gwaru. Niedaleko niego jakiś wysuszony starszy mężczyzna w czerwonej chuście na głowie na całe gardło klarował kobiecie z osłoniętą twarzą, że gdyby jej sprzedał kurę za żadaną cenę, wylądowałby na ulicy jako żebrak. A przy straganie obok okrągły kupiec krzyczał coś za dwiema kobietami, które przed chwilą, dowiedziawszy się o cenę towaru, odwróciły się i odeszły obrażone. Teraz zawróciły, choć z widoczną niechęcią, ale ich żywe zainteresowanie i gorliwość, z jaką handlarz wcisnął im w dłonie dwa ciemnoczerwone owoce, świadczyły o tym, że powinni dojść do porozumienia.

Tomasz ostrożnie prowadził Dragona między stoiskami z owocami, orzechami i przyprawami, odprawił uprzejmie kilku kupców, którzy natarczywie pokazywali mu kupony materiałów w jaskrawych kolorach, a także kotlarza zachwalającego pięknie wykonane misy i naczynia. Wreszcie odnalazł to, czego szukał, i ruszył wprost do mężczyzny o potężnym, haczykowatym nosie, który przypominał mu odrobinę pewnych dwóch freiberskich wozaków, Hansa i Fryderyka.

Jednocześnie uświadomił sobie, że w ten sposób od razu okazał zainteresowanie towarem, co niewątpliwie spowoduje zawyżenie ceny. Ale było już za późno, a ponadto nie chciał tracić czasu. Zdecydowanym ruchem wskazał największe owcze skóry rozłożone na straganie.

Haczykowaty nos wyraźnie się ożywił i natychmiast zareagował imponującym potokiem słów. Sięgnął po skórę, podsunął ją Tomaszowi do obejrzenia, gładząc i rozgarniając długie, puszyste runo, a następnie odwrócił futro na drugą stronę i głośno zachwalając swój towar, pokazał, jak porządnie było

wyprawione.

Tomasz rzucił kilka słów po niemiecku, dając do zrozumienia, że nic nie pojął, co jednak w najmniejszym stopniu nie zniechęciło gadatliwego sprzedawcy. Tomasz zniecierpliwionym gestem odwiązał od pasa parę butów, a następnie postawił je na ladzie i pokazał na migi, że chciałby je wymienić na futro.

Handlarz w lot pochwycił jego intencję, a z jego ust na nowo popłynęła rzeka słów. Z utyskiwaniem kręcił głową. Po krótkim targu doszli do porozumienia. Tomasz oddał buty, ale otrzymał za nie inne, nieco mniejsze, choć miękkie futro. Być może zanadto się pospieszył, lecz i tak był zadowolony, albowiem dostał to, czego szukał.

Notkera nie było w szpitalu. Tym razem jego nieobecność była Tomaszowi na rękę.

Wolnym krokiem podszedł do dziewczyny, starając się jej nie wystraszyć. Esziwa jak zwykle zdawała się go nie zauważać. Siedziała w kucki obok łóżka starego mężczyzny, który spał i wydawał z siebie niepokojące rżenie. W jej oczach zobaczył łzy.

– To dla ciebie. Żebyś nie musiała spać więcej na gołej podłodze – odezwał się i podsunął jej futro.

Wolno uniosła oczy i spojrzała na jego twarz. Ale w jej wzroku nie było radości, jakiej oczekiwał, ani też oburzenia czy pogardy, których się obawiał, jedynie cierpienie i duma, które zrobiły na nim ogromne wrażenie.

– To nie jest cena, za którą można mnie kupić – odezwała się w języku niemieckim, który w jej ustach zabrzmiał dziwnie obco i archaicznie. – Za żadną cenę.

Później się od niego odwróciła i patrzyła za okno, wciąż siedząc w kucki obok łóżka chorego.

– Źle mnie zrozumiałaś – pospieszył z wyjaśnieniem Tomasz. – To prezent! Nic za to nie chcę.

Zwróciła głowę w jego stronę.

– Nie wyglądacie na człowieka, który mógłby robić prezenty, nawet jeśli jesteście rycerzem.

Mimo twardych słów jej głos był tak delikatny jak jej postura.

– Chciałem jedynie, by ci było wygodniej.

Położył skórę obok niej na podłodze, a potem odszedł bez słowa.

Doszedł do drzwi, gdy od strony okna usłyszał ciche:

– Dziękuję.

Po tonie głosu, jakim to powiedziała, widać było, że przyszło jej to z wielkim trudem.

Dwa dni później zauważył, jak zupełnie rozdygotana Esziwa wypadła z budynku. Poszedł jej śladem i odnalazł w najodleglejszym zakątku ogrodu, w którym nikt nie mógł jej zobaczyć, chyba że specjalnie jej szukał. Siedziała w kucki, obejmując ramionami podkurczone kolana, na które opuszczała głowę. Ostrożnie się do niej zbliżył.

– Nigdy nie wracasz do domu? – zapytał przyjaźnie.

Słyszała, jak nadchodził, ale dopiero teraz uniosła głowę.

– Tylko czasami, żeby szybko coś przynieść albo żeby się umyć. To niebezpieczne... – Urwała i zamilkła, a z jej oczu wyzierał strach.

– Musisz bardzo kochać swojego męża. Ma wielkie szczęście, że tak się o niego troszczysz – powiedział, starając się skierować rozmowę na neutralny temat.

– Był dla mnie bardzo dobry – odparła cicho po chwili wahania. – Ale nie przeżyje tej nocy. Później nie będę mogła wrócić do domu. Pomódlcie się za mnie, żeby bracia pozwolili mi zostać do pomocy przy chorych... Ale przedtem muszę się jeszcze raz dostać do domu, żeby przynieść mu koszulę na śmierć. Boję się...

– Czy mam ci towarzyszyć? – zaoferował, wskazując swój miecz. – Mogę cię chronić.

Otarła łzy z oczu, a na jej twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny cień nadziei. Później wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła opowiadać swoją historię. Zapewne robiła to po raz pierwszy.

Tak jak powiedział Notker, jej rodzice byli armeńskimi chrześcijanami. Przeprowadzili się do Jerozolimy, bo wobec biedy panującej w ich ojczyźnie mieli nadzieję na lepsze życie.

– Gdy dziesięć lat temu Saladyn opanował miasto, miałam sześć lat. Wszyscy drżeliśmy z obawy, że urządzi krwawą łaźnię, podobnie jak się stało przed stu laty, gdy chrześcijanie zdobyli Jerozolimę. Przez wiele dni atakowali mury i ostrzeliwali je z machin oblężniczych, którym udało się zrobić w murze duży wyłom. Siedzieliśmy zamknięci w domach i modliliśmy się o swoje życie. Jednakże wielki król Saladyn okazał się łaskawy. Ogłosili, że każdy chrześcijanin ma prawo się wykupić. Dziesięć dinarów za mężczyznę, połowa za kobietę i po dinarze za dziecko. Na tę wieść ludzie wiwatowali na ulicach. Ale my byliśmy ubodzy, nie mieliśmy jak zebrać tylu pieniędzy i nikt nie chciał nam ich pożyczyć. Wkrótce rozeszła się wiadomość, że obrońca miasta prowadził z Saladynem negocjacje dotyczące losu ubogich, którzy nie mogli zapłacić okupu. Zaproponował, żeby tych ludzi wykupić za pieniądze ze skarbca Jerozolimy, a nawet udało mu się skłonić Saladyna do okazania jeszcze większej wyrozumiałości i obniżenia żądanej kwoty.

„To musiał być Balian z Ibelinu” – pomyślał Tomasz i wspomniął, jak spotkał tego człowieka w pałacu króla.

– Dopiero później dowiedziałam się o wielu rzeczach, które się wówczas wydarzyły – ciągnęła Esziwa. – Pieniądze ze skarbca nie wystarczyły na wykup wszystkich dwudziestu tysięcy ubogich. Co Saladyn miał zrobić? Jego brat al-Adil poprosił go o tysiąc niewolników, których otrzymał i natychmiast uwolnił. Saladyn rozkazał też, by wypuszczono starców i oszczędzono im niewoli. Pan z Ibelinu ofiarował wolność pięciu setkom chrześcijan. Lecz nadal pozostało dziesięć tysięcy. Saladyn, nawet jako najłaskawszy ze wszystkich zwycięzców, nie mógł ich puścić wolno, by nie stracić sławy groźnego przeciwnika.

Esziwa ponownie otarła z oczu łzy. Teraz w jej głosie zabrzmiała dziwna gorycz.

– Opowiadają, że patriarcha Jerozolimy zabrał ze sobą tyle złota, srebra, szlachetnych dywanów i innych skarbów, że potrzebował do ich przewiezienia kilku wozów. I tak obładowany bogactwami opuścił Jerozolimę, zamiast wykupić za nie chrześcijan i uchronić ich przed niewolą. Właśnie jego, nie Saladyna, obarczam winą za to, że moja rodzina została sprzedana. Nie mieliśmy szczęścia i nie zostaliśmy zwolnieni. Wówczas za niewolników bardzo mało płacono, za parę butów można było dostać dwóch albo trzech.

Tomasz niespokojnie pomyślał o parze butów, którą wymienił na owczą skórę.

– Nigdy później nie widziałam swoich rodziców. Moja matka była piękną kobietą. Krzyczała, gdy ją ode mnie odrywali. Kupił ją jakiś tłusty mężczyzna otoczony zgrają zdziczałych zbrojnych. Na oczach wszystkich zerwał z niej suknię i chwycił ją za piersi. Gdy mój ojciec chciał ją obronić, niemal zatłukli go na śmierć. Nocą we śnie przeżywam tę scenę ciągle od nowa. Mnie nikt nie chciał, byłam za mała. Dodatkowa, bezużyteczna gęba do wyżywienia. Dopiero Godwin się mną zainteresował. Zabrał mnie tutaj i wychował jak córkę.

Mina Tomasza zdradziła jego myśli.

– Nie osądzajcie go! – prychnęła Esziwa. – Byłam dla niego jak córka! Gdy dorosłam, podarował mi wolność i ożenił się ze mną, by ochronić mnie przed swymi okropnymi pasierbami. Nigdy mnie nawet nie dotknął. Był zbyt stary i za bardzo chory, żeby pragnąć kobiety do swego łóżka. Teraz jednak, gdy właściwie już umarł, rzucą się na mnie. Dlatego nie mogę wrócić do domu nawet po ostatnią koszulę, którą dla niego uszyłam i ozdobiłam haftami. Zdążyli się już rozpanoszyć i czają się na mnie.

Tomasz jeszcze raz zaproponował, że pójdzie z nią do domu, ale ona zdawała się go zupełnie nie słuchać.

– Tak bardzo pragnął, by go pochowano w tej koszuli, bardzo się bowiem starałam, żeby ją pięknie wykończyć – kontynuowała drżącym głosem. – Jego synowie chcą zagarnąć dla siebie dom i jego sklep. Zatlukają mnie na śmierć albo sprzedadzą jako niewolnicę, ale wcześniej wezmą sobie to, czego od dawna chcieli...

Niespodziewanie chwyciła go za ramię.

– Weźcie mnie! Żaden z nich nie będzie pierwszym. A gdy się zorientują, że byłam dotąd nietknięta, każą unieważnić małżeństwo. Wtedy znów stanę się niewolnicą.

Tomasz z zakłopotaniem patrzył na twarz dziewczyny. Z zawstydzeniem dotknęła dłonią jego policzka i przyciągnęła go bliżej do siebie.

– Przynajmniej jesteście dla mnie mili – szepnęła. – Pomóżcie mi, proszę!

Już sam dotyk jej wąskiej dłoni wywołał u Tomasza erekcję.

Za długo nie miał żadnej kobiety.

– Nie chcecie mnie? Nie podobam wam się? – naciskała niemal z rozpaczą, gdy się nie poruszył.

– Podobasz mi się, nawet bardzo – odparł z wahaniem. – Śnię o tobie, odkąd cię pierwszy raz ujrzałem.

Nie potrafił się dłużej oprzeć. Zrobił to, czego pragnął od tygodni. Pocałował jej miękkie, pełne usta. Jednocześnie poczuł, jak najpierw zadrżała na całym ciele, a później się uspokoiła, rozchyliła usta i zaczęła odwzajemniać jego pocałunek. Czule położył rękę na jej karku i rozkoszował się jej zapachem, jej słodyczą. Ale gdy chciała położyć na swoich piersiach jego ręce, szybko wstał i pociągnął ją za sobą do góry. Nie było to odpowiednie miejsce ani stosowny czas na to, czego od niego chciała, a już na pewno nie właściwy sposób. Wręcz się ucieszył, gdy poczuł, że jego fizyczne podniecenie samoistnie się rozładowało.

– Razem pójdziemy po potrzebne rzeczy dla twojego męża – zdecydował z taką stanowczością, że nie ośmieliła się zaprotestować.

Dom Godwina znajdował się w weneckiej dzielnicy, położonej pomiędzy szpitalem a portem.

Po drodze Esziwa prawie się nie odzywała, a Tomasz dokładał starań, by zapanować nad swoimi uczuciami.

Ale na widok, który ukazał się ich oczom, gdy przekroczyli próg małego domku, jego rozmarzenie raptownie uleciało. Teraz wzięły nad nim górę odruchy wojownika spinającego się do walki.

W pomieszczeniu, z wysoko założonymi nogami, siedziało trzech jegomości, którzy już na pierwszy rzut oka wyglądali na braci. Przed nimi stał prawie pusty dzban wina. Najstarszy z nich wylewał właśnie do kubka ostatnie krople trunku, drugi obracał w dłoniach sztylet z damasceńskiej stali, trzeci zaś przyłożył rękę do swojego krocza, podekscytowany na widok stojącej w drzwiach Esziwy.

Mężczyzna ze sztyletem odezwał się pogardliwym tonem w języku, którego Tomasz nie rozumiał.

– Mów do niego po niemiecku! – ofuknęła go dziewczyna.

– Niech ci będzie – odparł zagadnięty osobnik i z krzywym uśmiechem popatrzył na braci. – Jak to było po niemiecku? Dziwka! A stary wreszcie umarł? Zdaje się, że od razu znalazłaś chętnego? Jesteś bardzo przewidująca, bo darmo nie dostaniesz tu więcej nic do żarcia.

Młodszy zdjął rękę z krocza, wstał i zrobił dwa kroki w kierunku Esziwy, poruszając prowokacyjnie miednicą.

– Od początku mówiłem, że pierwszy ją dostanę. A zatem, cudzoziemcze, musisz się zdobyć na trochę cierpliwości! Możesz tu poczekać, aż skończę.

Jego słowa dały Tomaszowi impuls do ataku. Wolałby wprawdzie najpierw rozbroić mężczyznę ze sztyletem, jednak ten stał bliżej nich i już sięgał ręką do ramienia Esziwy. Tomasz błyskawicznie przesunął dziewczynę za siebie i pięścią wymierzył mężczyźnie cios w szczękę, powalając go na ziemię.

Osobnik ze sztyletem okazał się zadziwiająco szybki i skoczywszy na równe nogi, spróbował dźgnąć go ostrzem, jednak Tomasz złapał go za rękę i wykręcił mu ją na plecy. Rzucił łajdaka na podłogę, wykopał sztylet w najodleglejszy kąt pomieszczenia, a następnie postawił nogę na plecach napastnika. Szybko wyciągnął miecz, by utrzymać w szachu trzeciego z mężczyzn, który mrugał oczami w oszołomieniu, starając się zrozumieć, co takiego wydarzyło się przez tę jedną chwilę. Powoli zdjął nogi ze stołu, nie spuszczając przy tym oka z przeciwnika, który tak niespodziewanie się pojawił.

– Zabierz to, czego potrzebujesz – zawołał Tomasz do Esziwy, która nie zwlekając, pobiegła na schody.

Najstarszy z braci, który w biały dzień zdążył się już upoić winem, nareszcie zrozumiał sytuację.

– Postawię cię przed sądem, cudzoziemcze! Powieszają cię, podobnie jak pozostałych awanturników z obozu na wzgórzu.

– A za co, jeśli łaska? – zainteresował się Tomasz z udanym spokojem.

Nie bał się o swoje życie, obawiał się jedynie hańby, gdyby stanął przed sądem za napaść na trzech miejskowych. Dał się ponieść. Ale cóż innego mógł uczynić?

– Żaden sędzia nie skaże mnie za to, że broniłem czci niewiasty. Szczególnie wobec zamiaru popełnienia kazirodztwa! – odrzekł z większym przekonaniem, niż naprawdę czuł. – Może nawet powinienem wnieść oskarżenie przeciwko wam. Wprawdzie nie mam pojęcia, jakie kary są tutaj przewidziane za podobne występki, ale sądząc po tym wszystkim, co słyszałem, bodajże załatwiają sprawę ostrzem między nogami. Od razu możecie się pożegnać ze swymi rodowymi klejnotami!

Osobnik pod butem Tomasza zawarczał i starał się pozbyć z pleców obciążenia, najmłodszy po otrzymanym ciosie nadal leżał bez ruchu na ziemi, z kolei jego starszy brat zmienił taktykę i spróbował się targować.

– Posłuchaj, nie ma co się denerwować – powiedział pojednawczo, rozkładając ramiona. – To dziwka, niewolnica, niewarta całego zamieszania. Jeśli się upierasz, możesz ją mieć pierwszy. Nie musisz nawet płacić. To prezent, rozumiesz? Prezent! Później się razem napijemy i rozejdziemy jak przyjaciele.

– Jesteście odrażającą hołotą! – krzyknął na niego Tomasz. – Wasz ojciec jeszcze na dobre nie zamknął oczu, a wy z przyszej wdowy po nim chcecie zrobić dziwkę!

Teraz mężczyzna przy stole pochylił się lekko do przodu, w kierunku ostrza miecza.

– A więc owinęła cię wokół palca? – zapytał złośliwie. – Pewnie myślisz, że możesz się umościć w gotowym gniazdku, he? Mylisz się, cudzoziemcze! Jak stary umrze, to ja będę głową rodziny i to ja zadecyduję, co się z nią stanie. Czy ją przegnam, sprzedam, oddam do burdelu, czy wydam za mąż za kogoś, kto mi pasuje. Ale na pewno wcześniej wezmę sobie to, co mi się należy. Dom i wszystko, co ma między nogami.

Tymczasem Esziwa zeszła na dół, ściskając w rękach nieduży tobołek.

– Jest wola Godwina, by ten mężczyzna został moim opiekunem! – zawołała, wskazując Tomasza. – To on zadecyduje, co stanie się ze mną i z domem, jeśli wasz ojciec umrze.

– To się dopiero okaże! – rzucił jej pogardliwie najstarszy pasierb.

Zastanawiał się, czy powinien splunąć cudzoziemcowi pod nogi, lecz postanowił się powstrzymać, nie tylko zresztą ze względu na miecz. Wcześniej ten typ gołymi rękami powalił na ziemię jego brata.

Tomasz spojrział na Esziwę, dając jej wzrokiem znak do wyjścia, a potem rzucił całej trójce groźne spojrzenie i opuścił dom.

Na ulicy upewnił się, czy nikt za nimi nie idzie. „Jej położenie wygląda jeszcze paskudniej, niż sobie wyobrażałem – pomyślał. – Rzeczywiście nie może tam sama wrócić”.

– Przykro mi, że was w to wciągnęłam – odezwała się cichym, pełnym niepokoju głosem Esziwa.

Spuściła oczy, a jej twarz stała się całkiem blada.

– Godwin wie, czego może się spodziewać po pasierbach. Z pewnością wyznaczy was na mego opiekuna, gdy mu opowiemy, co się wydarzyło. Wtedy nie odważą się iść do sędziego.

Po chwili znów na niego spojrziała.

– Nie musicie mnie poślubić. Wystarczy, że wstawicie się za mną do brata Notkera i mistrza Walpota, żebym mogła zostać w szpitalu i pielęgnować chorych – poprosiła błagalnym tonem. – Wtedy będę uratowana.

Tomasz od dłuższej chwili rozważał, jak wytłumaczy hrabiemu Dytrykowi i Henrykowi Walpotowi te wszystkie perypetie, w które się wdał.

Jednakże niczego nie żałował. Jego myśli coraz intensywniej krążyły wokół owego pierwszego, nieśmiałego pocałunku, w którym zrodziła się namiętność. Najchętniej z miejsca ożeniłby się z Esziwą.

Ale był krzyżowcem i prawdopodobnie najpóźniej za miesiąc, gdy dotrze do nich reszta armii, będzie musiał wyruszyć na bitwę, nie istniał zatem najmniejszy cień szansy, by mógł otrzymać pozwolenie na ślub.

## Weselnicy

Całe miasto zaniemówiło ze zdumienia, gdy niespodziewanie ujrzało Klarę w roli oblubienicy, siedzącą wśród wesołych weselników. Ale najbardziej zdziwiona była sama Klara.

Zagroda wokół domu Rajnharda była zastawiona stołami i ławami, na których bawili się rozbrykani goście. Nawet Rajmund z Elżbietą przyjechali z Weissenfels, by życzyć szczęścia młodej parze, byli też bracia z Nossen i wszyscy pozostali, którym udało się przeżyć, a którzy owego pamiętnego dnia odważnie wyruszyli z Łukaszem do Freibergu, by zabić Albrechta. Naturalnie zaprosili także przyjaciół z Freibergu, rycerzy, z którymi Łukasz był na dobrej stopie, Jonasza, Guntrama, który teraz objął kuźnię na zamkowej górze, Karola i starego Fryderyka, który bardzo wychudł, odkąd jego brat zmarł wskutek gorączki.

Siedzieli na honorowych miejscach, obok burmistrza i mincmistrza Wibalda. Klara razem z Martą naciskały, by zaprosić również tych przyjaciół, którzy nie przynależeli do stanu rycerskiego ani do rady. Chrystiana z żoną Anną, Kunona i Bertrama oraz rodzinę szmuklerza z sąsiedztwa Marty. Tego dnia Piotr, Elfryda i Liza też mogli świętować ze wszystkimi.

Borys ze Zboru przyjechał do Freibergu dwa dni przed ślubem i nocował w domu Łukasza. Przywiózł ze sobą sześcioro służby, która od tej pory miała się zajmować jego i Klary gospodarstwem. Petka, Paweł i Andrzej, Maria Antonowna, Maria Andrejewna i Maria Denisowa, tak przedstawił ich Klarze. Razem z Elfrydą i innymi pomocnikami przez cały poprzedni dzień piekli, smażyli, rozkładali stoły i krzesła, a także ozdabiali brzożowymi witkami dom młodej pary.

Klara przez cały czas miała świadomość, że Łukasz ze wszystkich sił starał się ją ponownie wydać za mąż, mimo że przestał na nią otwarcie naciskać. Ale nigdy nie przypuszczała, że to tak szybko nastąpi, a przede wszystkim, że sama wprost nie będzie się mogła doczekać tego dnia.

Borys ze Zboru adorował ją bez pardonu i swym pogodnym usposobieniem szturmem zdobył jej serce.

Był zupełnie inny od mężczyzn, których dotąd obdarzyła uczuciem. Gdy raz się na coś zdecydował, nie rodziły się w nim żadne wątpliwości co do słuszności tego przedsięwzięcia. Emanował pewnością siebie, a jednocześnie nie był próżny i zdawał się żyć w głębokim przeświadczeniu, że przeszkody pojawiają się w życiu wyłącznie po to, by je z dziecinną łatwością pokonywać.

Dytryk był ucieleśnieniem wszystkiego, w imię czego jej ojciec niegdyś żył i walczył, z kolei Borys ze Zboru wydawał się stanowić jeszcze bardziej bez troskie wydanie Łukasza. Lecz jednak gdyby nie był także dzielny i prawym człowiekiem, Klara nie zaszczyliłaby go nawet spojrzeniem. Kilka dni po uroczystej fecie u jej rodziców z okazji wspólnego spotkania przyjaciół we Freibergu niespodziewanie znów pojawił się pod jej domem. Z trudem opanowała dzieci, które uparcie męczyły go o kolejne bajki. Była przekonana, że jakiś przypadek sprowadził go do Freibergu albo miał do przekazania jakąś wiadomość.

Sklonił się i podał jej trzy starannie wykonane pojemniki z brzozonej kory z wyłoczonymi ozdobnikami w formie zawijasów składających się w regularny wzór.

– To na wasze zioła. Nic, co włożycie do środka, nie będzie się psuło – wyjaśnił. – Jeden z moich służących bardzo zręcznie sobie radzi z takimi pracami – dodał z niezwykłym dla siebie zmieszanym.

Klara ostrożnie wzięła do ręki jeden z niewielkich pojemników i podziwiała wykonany wzór. Dopiero z bliska zauważyła, że ścianki zrobiono z dwóch nałożonych na siebie warstw kory, a w pierwszej z nich wybito wzór.

– Zgrabne.

Jednak to określenie było stanowczo za słabe.

– Kunsztowne.

Brzmiało już znacznie lepiej.

– Są doprawdy przepiękne – pochwaliła ze szczerego serca.

– Jak powiedziałem, to, co włożycie do środka, nie będzie się psuło. To szczególna właściwość brzozonej kory. Ale zapewne sami o tym wiecie, wszak dobrze się znacie na roślinach.

Klara mimowolnie wspomniała, jak na początku starań o jej rękę Rajnhard podarował jej małą szkatułkę ze srebra. W środku nie było srebra, lecz cenne nasiona maku sprowadzone ze Wschodu.

Raptownie poczuła się zaskoczona i uważnie przyjrzała się Słowianinowi, który nie odrywał od niej oczu. Czy to możliwe...?

Ależ nie, nie mogła w to uwierzyć. I sposób, w jaki podczas pierwszego spotkania prawił jej komplementy... Za łatwo mu to przychodziło, zbyt odruchowo. Niektórzy rycerze zachowywali się podobnie publicznie na dworze, a później, gdy mieli zły humor, być może tłukli w izbie małżonki na kwaśne jabłko.

Ów Borys był pewnie bałamutnikiem. Przy jego sile, jego błękitnych oczach i prostolinijnym uśmiechu raczej bez trudu przychodziło mu łamanie kolejnych niewieścich serc. Najlepiej, jeśli będzie się trzymała z dala od niego.

Toteż Klara uprzejmie podziękowała za prezent i czekała, aż gość ruszy w dalszą drogę.

Jednakże Borys nadal stał i nie kwapił się do odejścia.

– Czy chłopcy z sąsiedztwa nauczyli się dobrych manier? – zapytał.

Klara uśmiechnęła się mimo woli.

– Na mój widok zataczają szeroki łuk. Zdaje się, że się boją, że moglibyście im udzielić jeszcze jednej lekcji.

– Cóż za szkoda! – zamruczał Borys swym niskim głosem. – W tym pięknym dniu sprawiłoby mi to prawdziwą przyjemność. – Roześmiał się i ona też musiała się uśmiechnąć na tamto wspomnienie.

– Na pewno musicie zaraz ruszać w dalszą drogę. Ale jeśli chcecie, przyniosę wam dla ochłody kufel



piwa – zaproponowała, niepewna, czego od niej oczekiwał.

Przecież nie mogła go tak po prostu znów zaprosić do domu!

– Byłoby cudownie – powiedział z zadowoleniem.

Poszła do domu. Później wróciła, niosąc w ręku napełniony kufel, i ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyła, że przy domu niby przypadkiem pojawił się Piotr.

Nim zarządca z domu Łukasza zdążył się odezwać, Klara pojęła, co się działo. Bądź co bądź, dorastając w domu, posiadała pilnie strzeżoną wiedzę o tym, czego Piotr i jego ukryci sprzymierzeńcy potajemnie dokonywali na zlecenie jej rodziców. W dzieciństwie należała nawet do tej konspiracyjnej bandy. Poczła narastające oburzenie i wstyd, a tymczasem Piotr powiedział dokładnie to, czego się spodziewała:

– Łukasz i Marta proszą was w gościnę na dzisiejszy wieczór, panie ze Zboru. Wy, Klaro, i wasz brat też jesteście serdecznie zaproszeni.

Borys się rozpromienił.

– Przekażcie swej pani moje podziękowania. Lecz teraz muszę już jechać i zawieźć wiadomość na zamek.

Pocałował Klarę w rękę, a następnie wskoczył na siodło i ruszył.

Piotr też zamierzał czmychnąć, ale Klara energicznie przywołała go z powrotem.

– Przejrzałam was! – rzuciła mu gniewnie w twarz i złapała się pod boki. – Umówili się, ojciec i ten nieobliczalny Słowianin! O Wszchemogący, chcecie mnie zeswatać!

Piotr wzruszył ramionami i pokazał zęby w swoim zwykłym uśmiechu.

– Ten nieobliczalny Słowianin to wcale nie najgorszy wybór. Pomijając rzecz, że jego służba pewno nie zna ani słowa w naszym języku...

Nagle spojrzał na Klarę niebywale serdecznym wzrokiem.

– Naprawdę bardzo was polubił i ma poważne zamiary.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? – fuknęła.

– Nie podsłuchiwałem, naprawdę! Po prostu moje uszy czasami więcej słyszą od innych. Może to wrodzona wada... A że chodziło o was... Doprawdy nigdy bym nie pozwolił, by komuś z mojej bandy stała się krzywda!

Mimo niezręcznej sytuacji ostatnie zdanie rozśmieszyło Klarę. Ona członkiem bandy Piotra! Gdyby to się rozniosło... Jednak w głębi duszy zrobiło jej się miło, że ludzie się o nią troszczyli. Zatem odesłała go do matki z wiadomością, że wieczorem się u nich zjawi.

Jednakowoż tym razem nie włożyła najlepszej sukni. Nie zamierzała ułatwiać sprawy spiskowcom, do których bez wątpienia zaliczała się także jej matka.

Została w tym, co miała na sobie podczas spotkania ze Zborem, lecz na nowo splotła włosy i w miejsce haftowanej lnianej przewiązki założyła ozdobną opaskę.

Przez cały wieczór w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że przejrzała ich plan. Udawała, że nie widzi ukradkowych spojrzeń, które zebrani przy stole biesiadnicy rzucali w jej kierunku. Niemniej jednak wesołe historie, które Zbor opowiadał na podstawie pięknych słowiańskich legend, doprowadzały ją do śmiechu. Dobrze się bawiła. Jakże dawno się już nie śmiała!

Od czasu do czasu patrzyła na niego kątem oka, próbując sobie wyobrazić, czy mogłaby mu się oddać. Czyżby zaczynała się zakochiwać? A może tylko znużyła ją samotność. Niekiedy, gdy samotnie przedzierała się przez trudy codziennego dnia, a nocą leżała w pustym łóżku, brakowało jej męskiego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć.

Lecz po wszystkim, co przeżyła na górze zamkowej w Miśni, gdzieś w środku odczuwała odruchową nieufność w stosunku do mężczyzn... A fizyczna siła i krewkość Zbora miały w sobie coś

onieśmielającego.

Jednak w ciągu kolejnych wieczorów pozbyła się tego uczucia. Jeśli Łukasz mu zaufał, ona też mogła to zrobić. Przeżycia ostatnich lat ugruntowały w niej ogromną ufność do ojczyzna.

Pewnego ciepłego dnia wczesnym latem Łukasz i matka przyszli do niej w odwiedziny i z poważnymi minami oznajmili, że Borys ze Zboru poprosił ich o jej rękę.

– Czeka u nas na odpowiedź, czy wolno mu się o ciebie starać. Jeśli potrzebujesz więcej czasu do namysłu, jest gotów uzbroić się w cierpliwość – powiedział ostrożnie Łukasz, nie spuszczając z niej wzroku.

Obawiał się, że jak zwykle w tej kwestii, usłyszy od niej zdecydowane „nie”. Ku jego wielkiemu zdumieniu twarz Klary rozpromieniła się w promiennym uśmiechu.

– Tak – odrzekła.

Po czym jeszcze raz powtórzyła:

– Tak!

Z ogromnej radości nic innego nie przychodziło jej do głowy i z wielkiego poruszenia nie mogła opanować drżenia rąk.

Klara dostrzegła wyraz bezmiernej ulgi w spojrzeniu, jakie Łukasz rzucił Marcie, i zrozumiała, jak bardzo się o nią martwił. Za chwilę ojczym ją objął.

– Tak bardzo się cieszę – powiedział.

Później Marta zamknęła ją w objęciach, a Łukasz im się przyglądał i z uśmiechem gładził się po jasnej brodzie.

Nawet w najśmielszych marzeniach nie odważyłby się mieć nadziei, że wszystko pójdzie tak gładko, bez najmniejszego protestu! Niemniej jednak błysk, jakiego w oczach Klary od dawna nie widział, zdradził mu, że cieszyła się weselem, które ją czekało.

„Najwyższy czas, żeby po tych wszystkich latach przeżyła trochę radości” – pomyślał. A Zborowi osobiście skreśli kark, jeśli ją rozczaruje!

– Przyszły małżonek zostawił ci wybór. Jeśli będziesz chciała zostać we Freibergu, wówczas na swych dobrach w Borze ustanowi zarządcę, a ja przyjmę go jako rycerza do załogi zamku – pospieszył z wyjaśnieniem, by Klara przypadkiem nie zmieniła zdania. – Możecie mieszkać w tym domu razem z dziećmi, a ty nadal będziesz pracowała jako znachorka. Jest wielu ludzi, którzy mogą potrzebować twojej pomocy, twoja matka z Joanną nie dadzą sobie same rady. Daniela zabierzemy do siebie, a Liza i Guntram wprowadzą się do Jonasza. Osobiście z kilku powodów wolałbym mieć Zbora pod ręką. Ale jeśli postanowisz przeprowadzić się do Boru...

– Nie, tak jest dobrze. Chcę zostać tutaj – odrzekła Klara, a następnie zmarszczyła czoło i popatrzyła na ojczyzna i matkę, choć uśmiech niezupełnie zniknął z jej twarzy.

– Powiedzcie szczerze, od kiedy zaczęliście to planować?

– Cała matka! – westchnął Łukasz. – Przed wami nie da się niczego ukryć. Ale tego ci nie powiem. No, dalej, wyszykuj się trochę! Oblubieniec niecierpliwie czeka, nie trzymajmy go dłużej w napięciu.

Rodzice poszli do domu, a Klara szybko przywołała Lizę, by pomogła jej włożyć odświętną zieloną suknię, zapleść włosy i nakryć głowę najdelikatniejszym welonem. Wyciągnęła na wierzch łańcuszek ze srebrnym krzyżykiem, który zwykle, jako pamiątkę po ojcu, nosiła pod koszulą.

Ledwie Liza z dziećmi wyszła z domu, zjawił się Borys. On również miał na sobie odświętne, bogato haftowane ubranie w jaskrawych kolorach z misternie wykonaną kłamrą, a na głowę zamiast wiązanej czapki nałożył czapkę z futrzanym obszyciem.

Padł przed nią na kolana.

– Klaro z Reinhardsbeargu! Nie jestem bardzo zamożnym człowiekiem, jednak jeśli zechcielibyście mnie wysłuchać... Oczarowaliście mnie i kocham was z całego serca. Przysięgam, że będę wam dobrym mężem i dobrym ojcem dla waszych dzieci.

Klara była poruszona. Serce waliło jej z podniecenia.

– Może nie jesteście bogatym człowiekiem... Ale jesteście prawym i dzielnym mężczyzną. Właśnie to się liczy – odpowiedziała lekko drżącym głosem.

– A zatem czy przyjmiecie moje oświadczenia? – spytał, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

– Tak, z radością w sercu!

Tym oto sposobem owego ciepłego letniego dnia Klara zasiadła pośród hałaśliwego grona weselników u boku swojego nowego małżonka. Miała na sobie suknię z delikatnego ciemnoczerwonego lnu, zdobioną barwnymi haftami, którą przysłała jej Hedwiga, srebrną opaskę, prezent od Rajnharda w dniu jej pierwszego ślubu, oraz wspaniałe klejnoty, które mąż polecił jej przekazać przed ślubem, z prośbą, by je założyła na uroczystość. Były to kolczyki z niewielkich górskich kryształów, osadzone w cyzelowanym srebrze, niewiarygodnie pięknej roboty i w typowo słowiańskim stylu. Borys ze Zboru zamówił je z daleka za pośrednictwem hanzeatyckich kupców, których interesy sięgały aż w okolice olbrzymiej rzeki Wołgi.

Pan młody w swym paradnym stroju zamiast zwykłej kłamry miał podwójną sprzączkę z filigranowym wzorem.

Gdy rano ojciec Hilbert udzielał im ślubu, padała jeszcze lekka mżawka.

– Deszcz na welonie oblubienicy przynosi bogactwo – zapewniło kilkoro gości.

Lecz teraz po niebie płynęło zaledwie parę niewielkich obłoczków i świeciło słońce.

Petka, Andrzej i wszystkie trzy Marie mieli ręce pełne roboty. Kroili mięsa pieczone na rożnie i dolewali do kufli piwa.

Wokół nich hasały rozbrykane dzieci, a goście weselni się śmiali, żartowali i wznosili toasty za młodą parę.

Teraz przed nowożeńcami stanął muzykant i gwar szybko się uspokoił. Wszyscy skierowali na niego wyczekujące spojrzenia, grajek Ludmił był bowiem wyjątkowym gościem i starym znajomym wielu obecnych.

Łukasz zadał sobie sporo trudu, by go odnaleźć. Śpiewak spędzał zimy na dworze turyńskiego landgrafa, gdzie jego małżonka wraz z dziećmi znaleźli schronienie i pracowali razem ze służbą, ale gdy tylko drogi robiły się znów przejezdne, wyruszał na wędrowkę. Uczył się nowych pieśni i słuchał historii, które składał w rymy.

– Pieśń o wieśniaku Einochsie! – zawołało gromko kilku gości.

Oczywiście znali tę zabawną bajkę, w której ubogi chłop mści się na sołtysie i klesze, którzy paskudnie dali mu się we znaki, wykorzystując ich nieprzebraną chciwość. Nikt jednak nie potrafił jej opowiedzieć w tak porywający sposób jak Ludmił.

Smukły grajek w czerwono-zielonym stroju mi-parti kilkakrotnie szarpnął struny swej lutni, chcąc spotęgować napięcie oczekujących gości, a następnie odezwał się do nich swym dźwięcznym głosem.

– Wielce szanowna publiczności! Szlachetne damy, odważni panowie, a przede wszystkim, szczęśliwa młoda paro!

Pochylił się w zamaszystym i nieco przesadnie głębokim ukłonie.

– Posłuchajcie zatem wspaniałej historii, która naprawdę się ongiś wydarzyła. Wyciągamy z niej naukę, która mówi, że wystarczy pewna doza dowcipu i zapału, a dobro w końcu zwycięży nad złem – powiedział, mrugając do gości okiem. – Nawet jeśli czasami szczęściu trzeba trochę dopomóc!

Teraz rozległy się dźwięki lutni. Ludzie patrzyli na jego usta i parskali śmiechem, gdy zmieniał głos, wcielając się w role poszczególnych postaci i snując opowieść aż do jej rubasznego końca. Publiczność łapała się za brzuchy ze śmiechu i żądała więcej. Ludmił uniósł rękę i natychmiast zapadła cisza.

– Ponieważ mamy dziś wesele, powinniśmy posłuchać pieśni o miłości! Podczas swej wędrówki poznałem na wiedeńskim dworze pewnego młodego grajka, którego wiele pieśni dzisiaj usłyszymy, możecie mnie trzymać za słowo. Jego imię brzmi Walter, nie liczy jeszcze dwudziestu wiosen, a oto jedna z jego pieśni. Nosi tytuł *Pod lipami*, a jakaż inna piosenka mogłaby lepiej oddawać nastrój dzisiejszego dnia, w którym to właśnie siedzimy w cieniu lipy?

Po tej zapowiedzi skierowało się na niego kilka zdumionych spojrzeń, jedynym bowiem drzewem, jakie rosło w obejściu, był orzech. Ludmił przewrócił oczami.

– Nie bądźcie tacy nierozgarnięci! Ludzie, trochę więcej fantazji!

Na te słowa znów wybuchł gromki śmiech. Jednakże już po kilku nutach goście ucichli i z rozmarzonymi minami wsłuchiwali się w pieśń owego Waltera, traktującą o parze, która siedziała pod lipą i przy wtórze słowiczego śpiewu odnalazła miłość.

Gdy śpiewak zamilkł, przez moment panowała jeszcze niemal pobożna cisza. Później rozległy się wiwaty i goście zaczęli się domagać, by młoda para się pocałowała.

Nagle Klarze przypomniało się jej pierwsze wesele. Odbyło się na zamkowej górze wśród szyderczych spojrzeń Albrechta, a Rajnhard nie mógł dać po sobie poznać, że ją kochał. Tak więc po takich okrzykach składał jedynie przelotny pocałunek na jej policzku.

Ale Borys ze Zboru ani myślał zadowolić się przelotnym pocałunkiem. Nachylił się do Klary i przyciągnął ją bliżej do siebie.

Miała w sobie jakiś opór i siłą woli opanowała chęć ucieczki. Lecz później po prostu dała się ponieść dotykowi jego ust i silnych dłoni. Gdy się od niej oderwał, a goście wznieśli zachwycone okrzyki, Klara oblała się rumieńcem. Najchętniej by się gdzieś schowała.

Ale Ludmił pospieszył jej z pomocą i zapowiedzią kolejnej pieśni znów ściągnął na siebie uwagę wszystkich biesiadników.

Zmęczona i zadowolona Marta odchyliła się na oparcie i z półprzymkniętymi oczyma rozkoszowała się chwilą i wyraźnym szczęściem córki. Ogarnęły ją wspomnienia.

Cofnęła się do czasu, gdy przed trzydziestoma laty przybyli w to miejsce z Chrystianem i z pierwszymi osadnikami. Wtedy skromnie świętowali na łące nad potokiem przepływającym poniżej domu Chrystiana.

Pierwszą uroczystością było jej własne wesele po ślubie z pewnym starym wdowcem. Sołtys ją do niego przymusił, bo młoda dziewczyna nie powinna pozostawać bez opieki, a ponadto nie miała innego wyjścia po tym, jak Randolph i jego kompani na nią napadli. To były mroczne czasy, w których trzymała ją przy życiu jedynie dziecinna sympatia Joanny, która wówczas była jeszcze małą dziewczynką, oraz jej siostry.

Dwa lata później świętowała tam swoje małżeństwo z Chrystianem, gdy ten po krwawej walce na śmierć i życie, stoczonej z jego zjadłym wrogiem Randolphem, na powrót zdobył wioskę.

Nad strumieniem bawili się też na weselu Karola i Agnieszki, córki nadsztygara, która kilka lat temu umarła. Podczas tej uroczystości Kuno po raz pierwszy zaczął się starać o rękę Joanny, którą później poślubił. Jednakże tego pełnego wspomnień miejsca już nie było. Tuż obok odkryto rudę srebra i obecnie znajdowała się tam kopalnia, lipa zaś, pod którą Chrystian niegdyś odbywał sąd, dawno została ścięta.

„Wieś przeobraziła się w miasto w czasie krótszym od ludzkiego życia – rozmyślała Marta. – Z parobków, którzy wyruszyli z pochodem osadników, zrobili się chłopci, a później mieszczanie. Może to zbyt szybko, by zostawić za sobą życie parobka? Czy dla uczynienia pacholka mieszczaninem potrzeba

więcej niżli jednego pokolenia? Chociaż jeśli ktoś nie ma w sobie ziarna odwagi, to i za sto lat nic w nim nie wyrośnie”.

Dziwne przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa wyrwało ją z zamyślenia. Instynktownie złapała za ramię Łukasza, który zobaczywszy jej minę, zorientował się, że coś nie było w porządku. Natychmiast rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu ewentualnych wrogów.

Ludzie wokół nich zdawali się nic nie zauważać. Nie przestawali się śmiać z pieśni Ludmiła, które powoli stawały się coraz bardziej dosadne.

Wreszcie zorientowała się w przyczynie swego niepokoju. Ojciec Sebastian, który tymczasem przeistoczył się w wyschniętego, bezzębnego starca ze zwieszonymi ramionami, pospiesznie przyczłapał pod bramę i zaczął wykrzykiwać w ich stronę.

– Grzesznicy!

Raptownie zamilkły wszystkie rozmowy weselników, którzy z niepokojem patrzyli na duchownego w brudnej, obdartej sutannie.

– Kuglarstwo i błazenada są wbrew woli Bożej! Lepiej odprawcie pokutę, inaczej dusze na tamtym świecie będą płakać, a na tym świecie ludzie będą się śmiali!

– To ślub, ojczulku! Musimy go należycie uczcić, jeśli chcemy podziękować Bogu za święty sakrament małżeństwa! – wtrącił Borys ze Zboru z udaną łagodnością.

– Ojczulku? Nazwaliście mnie ojczulkiem?! – zajazgotał Sebastian i całkiem wytrącony z równowagi zaczął łapać ustami powietrze.

– Z całym szacunkiem – zapewnił Borys dobrodusznie.

Słyszał o tym nadgorliwcu i nie chciał sprowadzać zagrożenia na Klarę ani na Martę. Mimo to nie zamierzał pozwolić, by ten nędzny człowieczyzna popsuł mu wesele.

– Nawrócony poganin! – parsknął pogardliwie Sebastian, gdy uważnie zlustrował wzrokiem pana młodego.

– Niemiecki rycerz i pobożny chrześcijanin – sprostował z naciskiem Borys i wstał, pokazując się w całej okazałości.

To wystarczyło Sebastianowi, by zebrać się do odwrotu. Właśnie ponownie przeżył w myślach chwilę, w której ów nieobliczalny stolnik o mały włos byłby go zadusił i na dokładkę zadźgał. Kto mu zagwarantuje, że ten nawrócony bałwochwalca nie był jeszcze bardziej szalony?

Jednak zupełnie bez słowa nie mógł oddać pola.

– Zamiast poświęcać czas grzesznym piosnkom i błazeńskim sztukom, powinniście się raczej pomodlić o powrót do zdrowia waszego cesarza! Znów ciężko się rozchorował na bagienną gorączkę – wytknął z triumfem weselnym gościom. – Jeśli umrze, nie pochowają go w poświęconej ziemi, ojciec święty ekskomunikował go bowiem za wzięcie do niewoli krzyżowca!

– Uczynimy to, ojcze – zapewnił Borys, po czym wyciągnął z sakiewki datek i kazał podać go starcowi. – Proszę, kupcie za to w moim imieniu świece i zapalcie je, gdy będziecie się modlić za cesarza i za to, by został z powrotem przyjęty na łono świętego Kościoła.

To zakończenie wydało się Sebastianowi najlepsze, o jakie w tych okolicznościach mógł się wystarać. Ścisnął pieniądze w chudych, brudnych palcach i nie odezwawszy się więcej ani słowem, pocłapał w swoją stronę.

Przez moment przy stole panowała śmiertelna cisza, a później Borys podniósł kubek i wzniósł toast.

– Za cesarza! – zawołał.

Na znak dany przez Łukasza, Ludmił zaczął grać. Ale nastrój się zmienił, a uwadze Klary nie uszedł fakt, że jakiś czas później jej obecny małżonek wstał i położywszy swą okazałą dłoń na ramieniu teścia, szepnął mu do ucha:

– Możesz na mnie liczyć, jak przyjdzie co do czego!

Klara i Marta natychmiast się zorientowały, o co chodziło. Gdyby cesarz umarł, było wątpliwe, by jego dwuletni syn, którego książęta obrali na króla, rzeczywiście został legalnie uznany za regenta. Takie zamieszanie prowadziło zwykle do wojny, do walki o następstwo tronu, która dzieliła kraj. Jednakże przy okazji Dytryk mógłby mieć sposobność, by wykorzystać okres bez prawowitego króla i zdobyć Marchię Miśnieńską, podobnie jak to niegdyś uczynił jego dziad. Co przyniesie przyszłość? Sprowadzi na kraj śmierć i przelew krwi? Czy też pozwoli Dytrykowi zostać margrabią miśnieńskim?

Klara nie chciała teraz o nim myśleć.

Czy Borys ze Zboru zdoła uleczyć rany, które Dytryk zostawił w jej sercu? I jak to będzie, gdy Dytryk powróci z Ziemi Świętej i zastanie ją jako mężatkę?

– Klaro – szepnął jej do ucha jakiś niski głos. – Jesteście bardzo daleko stąd. Wróćcie do mnie?

Przymknęła na chwilę powieki, jak gdyby chciała się na nowo obudzić i odnaleźć się w rzeczywistości.

Borys znów siedział na swoim miejscu i uśmiechał się do niej. Jego uśmiech ostatecznie wyrwał ją z poprzednich rozmyślań. Ujął jej dłoń między swoje ręce i delikatnie przycisnął, a następnie wstał i odchrząknął.

Nagle Klara pojęła, co zamierzał zrobić, i niespodziewanie opuściła ją cała odwaga.

– Szanowni rodzice panny młodej, szanowni goście – zaczął. – Dziękuję wam wszystkim, że dzielicie ten szczęśliwy dzień ze mną i z moją piękną oblubienicą. Za wasze szczerze życzenia i przyjaźń. Wam, Łukasz i Marto, dziękuję za to, że powierzyliście mi swą córkę i daliście błogosławieństwo. A wam, Klaro...

Pomógł jej wstać, ponownie ujął jej dłoń i ucałował ją.

– Wam szczególnie dziękuję za wasze względy.

Objął Klarę ramieniem, jakby obejmował ją w posiadanie, a następnie zwrócił się do Hilberta.

– Ojczy, czy bylibyście łaskawi poświęcić łożę nowożeńców?

Pod Klarą ugięły się nogi. Ale nie było odwrotu. Ponadto nie była już dziewicą i nie powinna się bać. Ale czy na pewno? Czy nie podjęła zbyt pochopnej decyzji? Unikała wzroku matki i Łukasza, nie chciała bowiem, by się domyślili jej obaw.

Borys pewnie przeprowadził ją wśród gromady weselników do drzwi przyozdobionych brzoźowymi witekami. Przepuścił przodem ojca Hilberta, a gdy duchowny pobłogosławił nowożeńców, którzy nadal stali przy łożu kompletnie ubrani, zamiast położyć się nago na posłanie, energicznie wyprosił z izby ciekawskich gości.

– Teraz sami sobie poradzimy – wyjaśnił z przyjaznym uśmiechem. – Tymczasem bawcie się dalej przed domem, pijcie za nasze zdrowie i za gromadkę ślicznych dzieciaków!

Później w swoim ojczystym języku powiedział kilka słów do Pawła. Pewnie polecił mu pilnować, żeby żadni ciekawscy nie dochodzili do drzwi. Anna i jej bracia mieli dzisiaj spać u Marty.

Gdy zostali sami, Klara nadal sztywno i w milczeniu stała obok łóżka, czekając, co się dalej wydarzy. Niewiasty, które w tym miejscu robiły coś z własnej inicjatywy, uważano za niewstrzeżliwe i zepsute. Ida surowo jej to przykazała tuż przed jej pierwszym ślubem. Duchowni mówili to samo.

Ale Borys również nie kwapił się do niczego, co oblubieńcy zwykli czynić podczas poślubnej nocy.

– Klaro, kochana moja, jak mam ci to powiedzieć...

Znowu zabrakło mu słów! A przecież miał w swoim życiu niemało kobiet. Ale żadna z nich nie była jego żoną. Zatem miał dylemat.

Podszedł do niej i zdjął jej z głowy opaskę i welon. Jego wielkie dłonie zaskakująco miękko pogłaskały i rozplotły jej kasztanowe włosy. Uwielbiał, gdy kobiety pokazywały swoje długie, piękne

włosy. Między innymi dlatego podarował jej kolczyki, nie chciał, by nosiła czepek z taśmami pod szyją.

Później położył rękę na jej policzku i znów ją pocałował. Klara poczuła, jak dreszcz przeszedł po jej całym ciele, a w brzuchu trzepotały skrzydła motyli.

– Najdroższa, wszystko mi jedno, co według ludzi i Kościoła uchodzi w łóżu między małżonkami, a co nie – wyszeptał jej do ucha. – Chcę dać ci szczęście. Zatem nie musisz być powściągliwa, lecz proszę cię z całego serca, byś mi pokazała, co ci sprawia radość.

Musiał to z siebie wyrzucić. Była dzielną i namiętną kobietą, zupełnie odmienną od owych zawstydzonych, niedoświadczonych, młodziutkich dziewczątek, które nie wzbudzały w nim wielkiego zainteresowania. Dlatego właśnie zakochał się w niej po uszy.

Ale teraz nie było czasu na rozmowę czy rozmyślanie. Przyciągnął Klarę do siebie i gwałtownie pocałował. Jedną ręką podtrzymywał jej plecy, a drugą rozsznurowywał koszulę. Na moment oderwali się od siebie i niecierpliwie pomagali sobie nawzajem uwolnić się z ubrania.

Później Borys wziął żonę na ręce i zaniósł do łóżka. Pieszcząc jej piersi i szyję, zorientował się, że go pożądała, zatem natychmiast w nią wszedł i rozkoszował się uczuciem, które nie dało się opisać. Na chwilę się zatrzymał, przygryzł płatek jej ucha i wyszeptał:

– Pragnę cię uszczęśliwić. Chcę, żebyś się śmiała.

Teraz ona przyciągnęła go do siebie.

– Wobec tego nie czekaj dłużej! – szepnęła.

## *Na manowcach*

Gdy Tomasz i Esziwa dotarli z powrotem do niemieckiego szpitala, od razu odszukali brata Notkera. Albowiem jeśli Godwin, o ile jeszcze oczywiście żył, miał mu przekazać opiekę nad swoją żoną, potrzebowali świadka i gwaranta przysięgi.

Tymczasem Notker uparł się przy powiadomieniu o sprawie Henryka Walpota i przekazaniu decyzji w jego ręce.

Przełożony bractwa szpitalnego wysłuchał relacji na temat niedawnego zajścia i położenia, w jakim znalazła się Esziwa, a w miarę opowieści jego mina stawała się coraz bardziej sroga. Później zmierzył Tomasza surowym spojrzeniem i odezwał się.

– Absolutnie nie możecie przyjąć na siebie odpowiedzialności za tę kobietę. Jako krzyżowiec macie obowiązek trzymać się z dala od niewiast. Poza tym wyruszyście na bitwę, jak tylko dotrze główny człon armii. Kto się nią wtedy zaopiekuje?

Jego słowa zabrzmiały tak nieodwołalnie, że Tomasz wiedział, iż jakikolwiek sprzeciw nie miał sensu i tylko pogorszyłby sytuację.

Zatem na razie się nie odzywał i czekał, aż Walpot zadecyduje, czy udzieli Esziwie pomocy.

– Ja przejmę nad nią kuratelę, jeśli Godwin wyrazi zgodę – oświadczył przełożony bractwa. – Może tu zostać i pomagać przy chorych. Jesteśmy to winni Godwinowi i powinniśmy otoczyć ją opieką.

Esziwa z wdzięcznością upadła przed nim na ziemię, jednak Tomasz z trudem ukrył swoje niezadowolenie. Zatem pozwolą, by wyrodni pasierbowie zawłaszczyli dla siebie dom? A może Walpot będzie chciał go przekazać na rzecz szpitalnego bractwa?

Przynajmniej Esziwa była bezpieczna. Jednakże mina Henryka nie pozostawiała wątpliwości, że podejmie wszelkie kroki, by potencjalnego rycerza przyszłego zakonu trzymać z daleka od tej kobiety.

– Wracajcie do obozu! – rozkazał.

Tomasz nadaremnie się łudził, że uda mu się zamienić choćby jeszcze jedno słowo z Esziwą.

Ona, Notker i Walpot poszli razem do sali z chorymi, jemu zaś nie pozostało nic innego, jak tylko zabrać siwka i wrócić do obozu.

Zaraz po powrocie opowiedział o wszystkim Dytrykowi. Jego nieobecność wyjątkowo długo się przeciągnęła, a hrabia i tak dowiedziałaby się o zajściu. Zbrojne starcie z miejscowymi stanowiło zbyt poważną materię, by mógł je przemilczeć.

Pominał jedynie pocałunek i zrodzone z największego przerażenia błaganie Esziwy, by odebrał jej dziewictwo. Dytryk z kamienną twarzą wysłuchał relacji swojego rycerza.

– Twoja opowieść pokrywa się z tym, co Henryk Walpot przekazał mi przez swego posłańca – oświadczył. – Przynajmniej jesteście szczerzy.

Tomasz, który wciąż klęczał, niemal podskoczył z oburzenia. Czyżby Dytryk uważał go za kłamcę? A przynajmniej Walpot zdawał się tak myśleć, jeśli sam w największym pośpiechu przysłał własnego posłańca. I jak wysłannik zdążył tak szybko tu dojechać? Po przejechaniu bramy nie wyprzedził go przecież żaden jeździec.

– Od tej chwili zajmiecie się ćwiczeniem giermków z Marchii Wschodniej. I niczym innym – polecił Dytryk.

To znaczyło, że nie wolno mu się było pokazywać w szpitalu. Nie zobaczy więcej Esziwy i nawet się nie dowie, co się z nią stanie. A już na pewno nie będzie mógł jej poślubić. Jeszcze nigdy nie czuł w sobie takiej złości do Dytryka. Najchętniej wykrzyczałby mu w twarz, co myślał o jego postępowaniu. „Łatwo ci mówić, sam wzięłeś sobie to, czego chciałeś! Sprowadziłeś sobie do łóża moją siostrę, zrobiłeś jej dwa bękarty i uczyniłeś ją nieszczęśliwą! A teraz stajesz przede mną i chcesz mnie osądzać?”

Sam nie wiedział, co go powstrzymało przed wykrzyknięciem tych słów. Na pewno nie tchórzostwo czy wzgląd na własne położenie. Jeżeli dotychczas nie został wykluczony z armii za incydent w weneckiej dzielnicy, to z pewnością stałoby się to w tej chwili, gdyby spróbował się odezwać. Tymczasem gniew, żal i brak nadziei ścisnęły mu gardło, a w oczach poczuł napływające łzy piekającej wściekłości.

Złożył ostentacyjnie skąpy ukłon, po czym niezgrabnym ruchem się podniósł i wyszedł, by zgłosić się do owego diabelnego nauczyciela przeklętych giermków, Konrada z Eilenburga.

Mijały dni, a Tomaszowi nie mijała złość na wszystko i wszystkich. Jego myśli krążyły wokół Esziwy. Zastanawiał się, jak mógłby się z nią zobaczyć. Podczas lekcji walki na miecze z giermkami z Marchii Wschodniej wciąż przyłapywał się na nieuwadze. Upomniął się w myśli, bo wiedział, że jego nauki mogły im kiedyś uratować życie. Zatem jeszcze mocniej przyciskał młodzieńców, zlanych potem w prażącym słońcu.

W początkach września na wybrzeżu Akki wylądowała spora ilość wojska. Ale nim zdążyli do końca rozbić namioty w obozie, posypały się kolejne katastrofy.

Kilka nowo przybyłych kontyngentów bez uzgodnienia z władcą Jerozolimy natychmiast ruszyło na tereny al-Adila i wpadło w ogromne tarapaty wskutek ataków przeciwnika. Za radą Hugona z Tyberiady Henryk z Szampanii wysłał im na pomoc własnych i włoskich rycerzy, zebrał całe wojsko, bez którego mógł się na razie obyć, a nawet poprosił o wsparcie Amalryka z Cypru, mimo że obaj władcy nie pozostawali ze sobą w dobrych stosunkach.

Fakt, że monarcha Jerozolimy zrezygnował z wysłania niemieckich kontyngentów, które w obozie tylko czekały na to, by wreszcie podjąć walkę, stanowił wyraźny dowód głębokiej nieufności baronów z Ziemi Świętej w stosunku do przybyszów. Wkrótce rozeszła się pogłoska, że al-Adil wysłał swoje wojska w kierunku Jafy i miasta nie uda się utrzymać. Tymczasem w Akce wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Henryk z Szampanii wskutek własnej nieuwagi wypadł przez okno, gdy podczas parady armii zamierzał przyjąć delegację pizańczyków.



W niemieckim obozie polowym wiadomość o śmierci młodego króla również wywołała przerażenie i bezradność. Kto zostanie jego następcą? Kto poprowadzi oddziały do walki i pogodzi w Ziemi Świętej skłóconych chrześcijan?

Kilku szacownych mężów zaproponowało Rudolfa z Tyberiady, młodszego brata Hugona i królewskiego seneszała. Lecz przede wszystkim wielcy mistrzowie obu zakonów rycerskich sprzeciwili się jego kandydaturze, albowiem nie dysponował odpowiednim majątkiem, a do tego był młodszym potomkiem. Wobec tego arcybiskup Moguncji przedstawił inną kandydaturę, mianowicie Amalryka z Lusignan, władcy Cypru. W tym przypadku ziarno padło na urodzajną glebę, Konrad z Moguncji był bowiem potężnym księciem zachodniorzymskiego Kościoła, zaufanym rzymskiego cesarza i przyjacielem papieża.

Tomasza na tę wiadomość ogarnęła konsternacja. Nazwisko Lusignan nierozzerwalnie łączyło się w jego myślach z brakiem wojskowych kompetencji i uporem, z jakim Gwidon jako król Jerozolimy poprowadził chrześcijańską armię z Ziemi Świętej na zakończoną druzgocącą klęską bitwę pod Hittin. Z jego winy Jerozolima i wszystkie inne miasta dostały się w ręce Saladyna. Odbicie Akki zostało okupione dużą ilością krwi, Gwidon zaś niewiele się do niego przyczynił.

– Amalryk jest ponoć o wiele rozsądniejszym człowiekiem od swojego brata – stwierdził Herman z Salzy, gdy dyskutowali ten temat razem z Tomaszem i innymi Turyńczykami, którzy przed laty brali udział w oblężeniu Akki. – I nie zapominajcie, że dopiero kilka dni temu przyjął koronę z rąk naszego kanclerza i ujmując rzecz ściśle, stał się przez to wasalem cesarza. Należy wziąć pod uwagę tę okoliczność! – dodał Salza i wymownie uniósł brwi.

Tymczasem do Akki dotarła flota złożona z czterdziestu czterech statków z pozostałą, największą częścią armii.

Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami zmarłego Henryka z Szampanii, niemieccy książęta nie zgodzili się przejść pod rozkazy marszałka z Kalden, który był jedynie ministrem. Na swego przywódcę wybrali niedawno przybyłego księcia Henryka z Brabancji, który przejął również dowództwo nad miejscowymi oddziałami.

Marszałek Henryk z Kalden i kanclerz Konrad z Kwerfurtu zatrzymali pod swymi rozkazami jedynie sześć tysięcy ludzi, których cesarz przyjął na swój żołd.

Tuż po tym, jak Jafa przeszła niemal bez walki w ręce al-Adila, rada wojenna postanowiła ruszyć z armią. I wcale nie na Jerozolimę, lecz w przeciwnym kierunku.

– Dlaczego na północ? Czemu nie do Jerozolimy? – oburzył się Tomasz, gdy po porannej mszy landgraf Turyngii ogłosił, że następnego dnia nastąpi wymarsz, najpierw na paradę armii do Tyru, a później dalej wzdłuż syryjskiego wybrzeża.

– Mamy wyeliminować kryjówki piratów, którzy z Bejrutu atakują statki żeglujące po morzu – powiedział cicho Dytryk, który stał obok niego. – Na rozkaz cesarza.

Nie musiał podawać wytłumaczenia. Rozkaz był rozkazem. Niemniej jednak czuł, że był synowi Chrystiana coś winien.

„Sam mógłbym na to wpaść” – pomyślał Tomasz zupełnie zniechęcony. Do Henryka należała teraz Sycylia i zamierzał zadbać o rozwój morskiego handlu z Mesyną i Palermo. Ponadto potrzebował drogi morskiej do transportu wojska i posiłków. „Czy cesarz miał kiedykolwiek zamiar wysłać nas do Jerozolimy? Obecnie jego dwa prawdziwe cele zostały ujawnione: wybrzeże Syrii i założenie niemieckiego zakonu. A teraz nieszczęśliwy wypadek i śmierć króla podsunęły mu okazję, by ulokować na jego miejscu swego lennika”.

Ale minęły czasy, gdy Tomasz dzielił się swymi wątpliwościami z Dytrykiem.

„Zupełnie jak poprzednim razem – myślał z niechęcią, gdy po śniadaniu szedł na plac ćwiczebny giermków. – Intrygi, potajemne plany, właśnie z krwawym zakończeniem, a wróg zaciera ręce wobec naszej głupoty. Tylko tym razem przyplacę to życiem”.

Pamiętał, że matka i siostra nie liczyły na jego powrót.

„Was mi szkoda – pomyślał – nie siebie. Nie żał mi umierać. Po co mam żyć? Tylko nie chcę, byście mnie opłakiwały. I jakże chętnie zobaczyłbym jeszcze Esziwę!”

Jego myśli wciąż zajmował tamten pocałunek, jej spojrzenie i niespodziewana prośba.

No i stało się, podczas ćwiczebnego pojedynku z jednym ze starszych giermków popełnił fatalny, podstawowy błąd i chłopak go zwyciężył.

– Dobrze! – pochwalił osiemnastolatka, który pławiał się w podziwie kolegów.

Pokonał Tomasza z Chrystianowa, słynnego ze swej surowości i zręczności w fechtunku!

Ale Tomasz wiedział, że przez nieuwagę zaniedbał obronę. Za tak poważny błąd zbeształby nawet czternastolatka! W prawdziwej walce byłby już martwy.

Ku swemu zawstydzeniu musiał stwierdzić, że hrabia Dytryk obserwował tę scenę i szedł w jego kierunku. Tomasz w poczuciu winy opuścił głowę.

Ale Dytryk go nie zganił, tylko wydał polecenie.

– Pojedziecie do niemieckiego szpitala i przywieziecie pięciu znachorów, którzy jutro wyruszą z armią na północ. Z nadejściem zmroku oczekuję waszego powrotu.

Nic więcej nie powiedział, tylko zawrócił do swojego namiotu.

Tomasz patrzył za nim zaskoczony. Jeszcze nie było południa, zatem miał prawie cały dzień... żeby zobaczyć się z Esziwą!

– Ale to nie powód, byście popadli w lenistwo! – ofuknął giermków, którzy mieli nadzieję, że wreszcie zrobią sobie przerwę. – Dalej będziecie ćwiczyli pod okiem Heriberta.

Młodzieńcy spochmurnieli i rozczarowani sięgnęli po tarcze, by przyłączyć się do grupy, którą w upale i kurzu musztrował jeden z doświadczonych żołnierzy.

– Przyszedłem się pożegnać. Jutro ruszamy do walki.

Esziwa nie odpowiedziała, tylko po prostu wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Zaraz po przybyciu powiadomił Henryka Walpota, że na rozkaz Dytryka z Weissenfels tuż przed zachodem słońca zabierze ze sobą do obozu pięciu braci, którzy mieli towarzyszyć armii. Później poszedł jej szukać. Nie znalazł jej w sali z chorymi, ale była w ogrodzie i podlewała rośliny.

Na jej twarzy odmalowała się niehamowana radość. Szybko się wyprostowała i odstawivszy prawie pustą kadź, pobiegła w jego kierunku. Widać było, że najchętniej rzuciłaby mu się na szyję, ale z trudem powstrzymała ten odruch, Tomasz bowiem stał sztywno i nie ruszył się z miejsca.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, gdy zatrzymała się o krok od niego i opanowała przemożną chęć, by go objąć. Stała z opuszczonymi rękami i patrzyła na niego, lekko przechylając głowę.

– Tak – odrzekła – tak. Mogę tu mieszkać i pracować. Przełożony przydzielił mi małą izbę, którą mam tylko dla siebie. Naturalnie nie jest zbytnio zadowolony, że musiał przyjąć pod dach kobietę, ale wie, że nie mogę sama wrócić do domu Godwina. Zatem wkrótce wyda mnie powtórnie za mąż albo będzie chciał, bym złożyła śluby.

Tomasz podniósł kadź, stanowczo zbyt wielką dla drobnej Esziwy, i zaniósł ją ku studni.

– Wyda cię za mąż? Za kogo? – zapytał wzburzony i znieruchomiał z ciężkim naczyniem w ręku.

– Skąd mam wiedzieć? – odparła, wzruszając ramionami. – Za jakiegoś dobroczyńcę szpitalnego bractwa. Albo za jakiegoś bogatego mężczyznę, który później podaruje szpitalowi dom Godwina. Ale dlaczego bogaty człowiek miałby mnie chcieć?

Tomasz nie odpowiedział na jej pytanie, tylko w milczeniu napełniał naczynie wodą, Esziwa zaś mówiła dalej tonem pełnym żalu:

– Kto nas pyta o zdanie? Nikt! Nawet Izabela, spadkobierczyni królestwa, nie ma żadnego wpływu na swoje zamażpójście. Przekazują ją niczym przedmiot kolejnym mężczyznom, którzy dzięki królewskiej krwi płynącej w jej żyłach pożądamy prawa do korony. Najpierw wbrew własnej woli musiała się rozwieść z pierwszym małżonkiem, Humfrydem z Turonu, by poślubić ponurego Konrada z Montferratu. Po jego śmierci niezwłocznie oddano ją za żonę Henrykowi z Szampanii, nie bacząc na fakt, iż była w zaawansowanej ciąży. A teraz nikogo nie obchodzi, że opłakuje swego zmarłego króla i małżonka, bo już za kilka dni wydadzą ją za Amalryka i położą ją do jego łóżka.

Tomasz nie miał o tym pojęcia. Nigdy też nie pomyślał o tym, że po jego powrocie Esziwa może być zamężna. Jako krzyżowiec nie miał prawa się żenić. I prawdopodobnie nie wróci z tej wojny. Zatem postawił obok niej napełnioną kadz i powtórzył bezradnie:

– Chciałem się z tobą pożegnać. Wcześniej nie pozwolono mi przyjść.

Esziwa zanurzyła szczupłe dłonie w naczyniu, a następnie strzepnęła z nich krople wody. Ujęła go za rękę i zaprowadziła do maleńkiej izdebki na poddaszu, w której znalazła schronienie. Rzecz jasna, nie mogła spać razem z mężczyznami. A Henryk Walpot z całą pewnością przypilnuje, żeby nikt się koło niej nie kręcił. Jednak w tej chwili on i bracia szpitalni zebrali się w kościele i modlili się za zdrowie ludzi, którzy jutro wyruszali do walki, włącznie z pięcioma braćmi, którzy mieli towarzyszyć armii.

Izba była tak niska, że ledwie mógł się wyprostować bez kulenia głowy w ramionach. Miała tylko jedno maleńkie okienko.

Na całe umeblowanie składała się drewniana prycza, na której skraju leżał mały stosik ubrań, oraz stołek, na którym ustawiono glinianą lampkę oliwną, dzban i miskę do mycia. Prycza była przykryta owczą skórą, którą Tomasz jej podarował.

Zamknęła za nim drzwi i patrząc nań czułym wzrokiem, wyciągnęła do niego ramiona. Nie potrzebował słów, by wiedzieć, czego od niego oczekiwała.

– Esziwo, nie wrócę z wojny, wiem o tym – oświadczył jej. – Nie chcę ci przysporzyć więcej cierpienia. Co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? Wtedy cię stąd wygonią!

– Powiem, że to dziecko Godwina – oznajmiła z uśmiechem. – Poza tym, skąd możesz wiedzieć, że umrzesz? Czy twoja matka znachorka ci to przepowiedziała?

Sięgnęła po jego rękę i objęła je swoimi dłońmi.

– Mogła się pomylić! Można zmienić swój los, jeśli się tylko chce! A jeśli miałbyś umrzeć... – spojrzała na niego ze współczuciem – to piękne wspomnienie znów cię wskrzesi do życia.

Każdą inną dziewczynę by odepchnął, mówiąc, że nie miała pojęcia o wojnie, o strumieniach krwi, bitewnym wyciu i skowycie konających ani o stosach ciał, na których w prażącym słońcu siadały ścierwniki i szarpały rozkładające się zwłoki, odrywając mięso od kości.

Jednakże Esziwa widziała wojnę, mimo że z innej perspektywy niż on. Przeżyła upadek Jerozolimy i patrzyła na cierpienie zwyciężonych.

Dziewczyna nie ustępowała i nadal kusząco patrzyła mu w oczy, a on od tygodni marzył, by ją dotknąć, pocałować, pieścić jej piersi. Wobec tego odsunął od siebie wszelkie wątpliwości i wcześniejsze postanowienia, które narzucała mu przyzwoitość, po czym gwałtownie przyciągnął ją do siebie i zaczął namiętnie całować.

Esziwa wspięła się na czubki palców i pogładziła jego ciemne włosy, odwzajemniając pocałunek. Za chwilę pozwoliła mu na więcej.

Tomasz nie mógł powstrzymać pośpiechu. Zdarł z siebie przesywanicę i wyciągnął pas podtrzymujący nogawice. Później ułożył Esziwę na owczej skórze, podwinął jej suknię i gładził jej

szcuple uda. Pamiętał o tym, że była dziewicą, i chciał być dla niej delikatny, jednakże zbyt długo zachowywał wstrzemięźliwość i za bardzo jej pragnął.

Ostrożnie zbadał palcami jej intymne okolice, a później w nią wszedł. Poczł opór i jednym silnym pchnięciem sforsował jej hymen.

Esziwa na moment zamarła i wydała z siebie bolesny okrzyk. Pocałował ją czule i pogłaskał jej policzek.

– Zaraz przestanie boleć – starał się ją uspokoić.

Teraz cały był w jej wnętrzu i czuł się bezpiecznie jak w raju, zatem zwolnił ruchy. Ale wkrótce jego pchnięcia znów stały się coraz bardziej namiętne, a Esziwa ku jego radości poddała się rytmowi i wyginając ku niemu ciało, opłotła go swymi cudownie uformowanymi udami.

Krzyknął, gdy doszedł do szczytowego punktu, w którym połączyły się ze sobą ulga, radość, ból i nieopisane szczęście. Później opadł obok niej na posłanie, całował i gładził jej twarz i jej małe, okrągłe piersi.

– Najdroższa! – szepnął i jeszcze nigdy dotąd nie wypowiedział tego słowa z taką szczerością.

– Najdroższy – odpowiedziała mu cicho i uśmiechnęła się do niego.

– Sprawilem ci duży ból? – spytał z poczuciem winy, gdy dostrzegł łzę spływającą z kącika jej oka.

– Nie – szepnęła, wciąż się uśmiechając. – Już zapomniałam o bólu. Płaczę... bo jestem szczęśliwa.

Tomasz leżał na plecach i obejmował ją ramieniem. Esziwa ułożyła głowę na jego piersi. Delikatnie się pieścili, oboje przepełnieni głębokim uczuciem do siebie nawzajem.

„Może powinienem powiedzieć Walpotowi, że chcę się z nią ożenić po zakończeniu wojny?” – zastanawiał się Tomasz.

Ale Walpot dobrowolnie nie zrezygnuje z rycerza do swego zakonu i niewykluczone, że postara się ją wtedy szybko wydać za innego.

„A może powinienem poprosić Notkera, który przyjął już śluby, by nas potajemnie połączył? Lecz w ten sposób obarczyłbym go konfliktem sumienia i złamałbym przysięgę krzyżowca”. Czy naprawdę nie pozostało mu nic prócz nadziei, że nie stanie jej się krzywda, gdy wyruszy do miejsca, w którym nie miał czego szukać, tylko po to, by tam zginąć?

Esziwa wyczuła jego niepokój i przygnębienie. Wstała, zmyła z ud strużkę krwi i usiadła na brzegu wąskiego posłania.

Ze współczuciem obejrzała bliznę na jego ramieniu. Musiała mu przysparzać wiele cierpienia przez długie miesiące.

– Nie myśl o śmierci! – odezwała się cicho i położyła rękę na jego sercu, bijącym silnym, regularnym rytmem. – Wiem, że wrócisz. Jestem pewna. Codziennie będę o tobie myślała i modliła się za ciebie.

Później pochyliła się nad nim i znów go pocałowała.

Tym razem, gdy się ponownie kochali, Tomasz zostawił sobie dużo czasu na pieszczoty. Drugi i prawdopodobnie ostatni raz w życiu.

## *Listopad 1197 na wybrzeżu Syrii*

Z odległości kilku kroków Tomasz przyglądał się, jak landgraf Turyngii i margrabia wschodni rozgrywali między sobą partię szachów. Ze swojego miejsca nie mógł bez okazywania nadmiernego wścibstwa dostrzec pozycji, na których znajdowały się figury, ale zafrasowana mina Konrada świadczyła o tym, że Herman był o krok od wygranej.

Hrabia Dytryk siedział obok nich i w milczeniu spoglądał na szachownicę. Później lekko odchylił do tyłu głowę i popadł w zamyślenie.

Tomasz się zastanawiał, czy jego myśli popłynęły ku Klarze, czy ku Jutcie, która obecnie była jego prawowitą małżonką. Co czuł, gdy myślał o nich obu?

Sam po raz setny wsunął rękę do tobołka i dotknął przedmiotów, które dała mu Esziwa. Wśród nich była tynktura przeciwko gorączce i druga, przeciwdziałająca zapaleniu ran, a ponadto pachnący olejek, którym miał regularnie smarować głęboką bliznę na ramieniu. Jego zapach przypominał mu maść, którą matka posmarowała mu to miejsce przed bitwą o Weissenfels. Zapewne miała podobne składniki, z tym że w tutejszym upale maść szybko by zjełczała.

– Uważaj na siebie i wracaj żywy! – powiedziała mu na pożegnanie i dzielnie się uśmiechnęła. – Będziesz tu tęsknie wyczekiwany.

Później spojrzała mu głęboko w oczy.

– Walcz o swoje życie! Nie odrzucaj go! – poprosiła z naciskiem.

Zorientowała się w jego nastroju, potrafiła go przejrzeć, podobnie jak matka i siostra. Porzuci lekkomyślność, chciał bowiem wrócić do Esziwy i spędzić z nią wszystkie noce.

Dotychczas on i większość pozostałych żołnierzy pod dowództwem Henryka z Brabancji nie odnieśli wojennych obrażeń, co zawdzięczali głównie temu, że nie mieli zbyt wielu okazji do walki.

Gdy zajmowali Sydon, miasto było już opustoszałe i zrujnowane, Bejrut też się szybko poddał. Emir na wieść o zbliżającej się armii kazał nawet zburzyć umocnienia. Musieli jedynie stoczyć walkę o cytadelę, którą zresztą szybko zdobyli. Udało im się uwolnić kilka setek chrześcijańskich niewolników, których tam trzymano, a poza tym przejęli duże ilości broni i prowiantu. Tym sposobem Frankowie bez większych strat zdobyli panowanie na morzu w tej części wybrzeża i natychmiast zabrali się do odbudowy fortyfikacji. Dla osób, które nie zostały zatrudnione do prac budowlanych, nadeszły spokojne dni.

Herman z Salzy rzucił okiem na szachowe figury.

– Dajcie za wygraną, margrabio, inaczej w pięciu ruchach zrobię wam szach i mat – powiedział bez namysłu.

Konrad ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w szachownicę, aż wreszcie pojawił tok rozumowania przeciwnika i rozłożył ręce.

– Wasza wygrana, landgrafie!

Odchylił się na oparcie i pozwolił giermkowi dolać sobie wina.

Za kilka dni w Bejrucie ma się odbyć wybór nowego króla Jerozolimy. Dopiero później zapadnie decyzja, czy armia pojedzie dalej, do Jerozolimy, czy wycofa się do Tyru i Akki.

Landgraf Turyngii nie ustawił na nowo figur na szachownicy, lecz podążył za spojrzeniem swego zięcia, który lekko zmrużywszy oczy, patrzył na mężczyznę, który zbliżał się do nich pospiesznym krokiem. Jego wzburzona mina nie wróżyła dobrych wiadomości.

Dotarłszy do grupy, uklęknął przed książętami i zasapany wydyszał:

– Cesarz nie żyje!

Raptem wszystkich obecnych ogarnęło wielkie napięcie. Żaden z nich się nie odezwał.

– Cesarz nie żyje, niech Bóg będzie łaskaw jego duszy – powtórzył posłaniec, wciąż sapiąc. – W końcu września zmarł na gorączkę bagienną. Zaraz zbiera się rada książęca w siedzibie arcybiskupa Moguncji, żeby uradzić dalszy plan.

Herman z Turyngii, Konrad z Marchii Wschodniej, a także Dytryk natychmiast się podnieśli, by udać się do pałacu, w którym kwaterował Konrad z Moguncji. Jako jeden z dowódców podczas zdobywania Akki przed sześcioma laty oraz syn margrabiego, Dytryk był członkiem rady, mimo że posiadał jedynie tytuł hrabiego.

Po drodze rzucił Tomaszowi spojrzenie, które zdradzało, że w tej chwili myśleli dokładnie o jednym. Ich położenie stało na ostrzu noża. Teraz los mógł się odmienić.

Podczas poprzedniej wyprawy też przeżyli śmierć cesarza. Jeszcze tego samego dnia większa część armii zawróciła, gnana przerażeniem w obliczu odejścia Fryderyka Staufa, zniechęceniem wobec dużych strat i mozolnych marszów.

Ale gdy cesarz umarł, nie zostawiając po sobie zdolnego do działania następcy, położenie budziło wiele więcej obaw. Teraz, w dobie wiszącej nad ich głowami groźby niespokojnych, a może nawet wojennych czasów, każdy musiał na własną rękę bronić swego kraju i posiadłości, ponieważ syn i spadkobierca Henryka miał na razie niespełna trzy lata.

Jak zwykle w chwilach, gdy chciał spokojnie pomyśleć, Tomasz poszedł do koni. Wito, najlepszy jeździec i serwient Rajmunda, opatrywał właśnie ropiejącą ranę młodego ogiera. Obok niego stał Notker, jeden z pięciu braci, którzy wyruszyli z armią. Zakonnik nalał na szmatkę kilka kropli substancji o ostrym zapachu i przycisnął ją do rany.

– Dziękuję, bracie – powiedział z widoczną ulgą Wito, głaszcząc szyję mocno podenerwowanego zwierzęcia. – W chorobie zwierzęta i ludzie wcale się tak bardzo od siebie nie różnią, prawda?

I nim mnich zdążył zaprotestować, dodał pośpiesznie:

– Wszystko to Boże stworzenia.

Tomasz bez wahania przekazał im wiadomość o śmierci cesarza. Informacja i tak natychmiast rozniesie się po obozie. Może nawet podjęto już decyzje o wycofaniu armii.

– Wciąż jest wyklęty z powodu uwięzienia Ryszarda Lwie Serce! – zawołał z przestachem Notker. – Nie można go pochować w poświęconej ziemi.

– To rzeczywiście paskudna historia – potwierdził Wito. – Czy w tych okolicznościach papież nie zdejmie ekskomuniki?

– Nie ten papież. Nie Celestyn, tak długo, jak będzie żył – upierał się Notker.

– Mimo że cesarz wezwał do wyprawy krzyżowej? – zdziwił się Wito. – Wobec tego nic mu to nie dało.

– Wyparliśmy piratów – przypomniał Tomasz.

„A po śmierci cesarza niemiecki zakon i tak powstanie – pomyślał. – Ale nie wiadomo, czy syn Henryka, a tym samym Staufowie, będą mieli z tego jakąś korzyść. Nie zdziwię się, jeśli Welfowie posadzą na tronie własnego faworyta”.

– Sądziecie, że wszystko się rozsypie i odpłyniemy z powrotem? – spytał Wito.

Tomasz wzruszył ramionami. Narada u arcybiskupa na pewno nieprędko się skończy, ale stanie na czatach, żeby jak najszybciej zapytać Dytryka o jej wynik.

– Powiem ci, jak tylko się czegoś dowiem – obiecał.

Wito ponownie pogłaskał po szyi niespokojnego ogiera.

– Doprawdy nie można powiedzieć, żeśmy się tu doskonale bawili albo zdobyli ogromną sławę – rzucił serwient Rajmunda. – Ale gdy sobie pomyślę, że konie znów trzeba będzie powiązać na statku, ogarnia mnie wściekłość i bezradność. Wtedy najchętniej własnorecznie bym je dobił, by im oszczędzić cierpienia! Tego mogę zaraz zabić, bo nie wytrzyma na statku nawet dwóch dni. Zatem twoje wysiłki poszły na marne, bracie. Mimo wszystko dziękuję!

– Wszystko w rękach Boga – odrzekł Notker, zwijając swój tobołek, by pójść z nim do kolejnego chorego.

Po jego wyjściu Tomasz odezwał się z cynizmem w głosie:

– Cesarz nie żyje, jego syn ma trzy lata, a możni książęta daleko poza domem, w Ziemi Świętej.

Założę się, że w kraju zaczęły się ciekawe czasy.

– Niech Bóg nas broni przed ciekawymi czasami! – odparł z goryczą Wito. – Ale poproszę Wszechmogącego o jedną rzecz, by mianowicie dopomógł hrabiemu Dytrykowi odzyskać nareszcie swoją ziemię i tytuł. W tej intencji wsiadłbym nawet drugi raz na statek.

„Obawiam się, że w tej materii Dytryk nie będzie się mógł zdać na Boga, lecz na samego siebie – pomyślał Tomasz, ale nie powiedział tego głośno. – Na siebie, mego ojczyma, Rajmunda, Norberta z Weissenfels i jeszcze garstkę wiernych stronników”.

Tomasz miał świadomość, że wzbudzi niezdrowe zainteresowanie, czekając przed kwaterą Dytryka na jego powrót z narady. Jednakże niewiele go to obeszło. Kierowała nim nie tyle ciekawość, ile przecucie, że powinien pozostać w gotowości. Może zaraz jutro wyruszą z powrotem do ojczyzny i urzeczywistnią zamysł, o którym Łukasz niegdyś wspomniał w zaufanym gronie najbliższych przyjaciół? I podobnie jak Konrad, dziad Dytryka, wykorzystają zawirowania bezkrólewia, by jednym pewnym posunięciem opanować kraj.

Zapadła głęboka noc, gdy Dytryk nareszcie się pojawił. Hrabia wraz z Hermanem z Turyngii i Konradem z Marchii Wschodniej kwatrowali w jednym z pełnych przepychu pałaców, które zostały opuszczone tuż przed ich przybyciem do miasta.

Mimo później pory Dytryk nie był śpiący i miał poważną minę. Gestem poprosił Tomasza, by poszedł z nim do jego osobistej kwatery. Syn Chrystiana zamknął za nimi drzwi, a Dytryk opadł na jedno z krzeseł pokrytych ozdobnymi rzeźbieniami i przetarł dłońmi twarz. Tomasz chciał mu nalać wina, ale hrabia odmówił machnięciem ręki i poprosił o świeżą wodę. Jednym haustem opróżnił kubek, a następnie skierował wzrok na Tomasza, który pojął, że teraz może zadać pytanie, które paliło mu duszę.

– Płyniemy do domu?

– Nie. Wielu książąt tego zażądało. Jednak arcybiskup Moguncji w ostrych słowach nas upomniął, że mamy króla, młodego Fryderyka ze Staufów, któremu przed wyruszeniem do Ziemi Świętej wszyscy przysięgliśmy wierność. Przed chwilą odnowiliśmy przysięgę i prześlemy do ojczyzny odpowiednie zawiadomienia.

– Zatem regencja chłopca jest niepodważalna? – zapytał Tomasz z niedowierzaniem.

Hrabia uniósł brwi.

– Na razie. Musimy poczekać na rozwój sytuacji. Jeśli Bóg zechce, nie będzie wojny o tron.

Na kolejne zebrania rady Dytryk zabrał Tomasza w roli przybocznej straży. Podczas gdy piesi nadal zajmowali się odbudową murów Bejrutu, książęta podejmowali istotne decyzje.

Urząd kanclerza wygasł wraz ze śmiercią osoby, która go nadała, zatem Konrad z Kwerfurtu niespodziewanie stał się jedynie biskupem Hildesheim i jego godność okazała się niewystarczająca, by mógł dokonać koronacji Leona z Armenii. Książęta przekazali to zadanie arcybiskupowi Moguncji, któremu miał towarzyszyć w ceremonii Henryk ze Schwarzburga.

Tymczasem nikt nie kwestionował pozycji Henryka z Kalden jako naczelnego wodza sprawującego dowództwo nad sześcioma tysiącami ludzi, których cesarz wysłał do Ziemi Świętej. Jego sześciotysięczna armia i tak poszłaby wszędzie za marszałkiem, nawet gdyby pozbawiono go oficjalnego tytułu.

Miejscowi baronowie wybrali na władcę Bejrutu Jana z Ibelinu, który był najstarszym synem Baliana.

Amalryk z Cypru przybył do Bejrutu i chrześcijańscy władcy kraju obrali go na króla Jerozolimy, a ów fakt stanowił zakulisowe zwycięstwo arcybiskupa i dawnego kanclerza, który tuż wcześniej na polecenie cesarza dokonał jego koronacji na króla Cypru.

Przed koronacją Amalryk poślubił wdowę po Henryku z Szampanii, ugruntowując w ten sposób swe prawo do tronu. Izabela była prawowitą dziedziczką Jerozolimy, królewską córką i przyrodnią siostrą króla Baldwina i królowej Sybilli.

Na widok tej młodej jeszcze niewiasty, której twarz zastygła w kamiennym bezruchu, Tomasz przypomniał sobie słowa Esziwy, która sprawiła, że przez chwilę spojrział na świat z kobiecej perspektywy.

Królowa nie wydawała się szczęśliwa. Rzeczywiście przekazywano ją niczym przedmiot, choć niezwykle kosztowny, ale jednak całkowicie bezwolny, z ramion jednego mężczyzny w ręce kolejnego, którego zamierzano posadzić na tronie, Izabela zaś była jego nieodzownym uzupełnieniem. Teraz z kolei, niespełna trzy tygodnie po śmierci trzeciego męża, miała przyjąć do łóża owego Amalryka i urodzić mu synów. Amalryk dawno już przekroczył pięćdziesiąty rok życia i miał dwa razy tyle lat co Izabela. Ponadto w przeciwieństwie do Henryka z Szampanii, nie miał w sobie nic pociągającego.

„Małżeństwo moich rodziców, którzy pobrali się z miłości, cokolwiek zmąciło mą wizję świata, w którym mariaże ustala się przez wzgląd na polityczne interesy, a nie potrzebę serca” – skonstatował w duchu Tomasz.

Wszak małżeństwo Dytryka z córką landgrafa z Turyngii również było konsekwencją militarnych komplikacji.

„Hrabia sobie poradzi i znajdzie ukojenie u małej Jutty” – syknął zjadliwy głos wewnątrz jego duszy. Jednakże Tomasz wiedział, że jego ocena była niesprawiedliwa. Nie tylko Klara cierpiała z powodu przymusowego rozstania, ale również Dytryk. Nieraz widział tęskne spojrzenie, jakim hrabia wodził za jego siostrą, mimo że starał się ukryć nostalgię. Lecz Tomasz zbyt dobrze go znał, by dać się zwieść pozorom. Być może właśnie w tej chwili zaczynał wybaczać Dytrykowi.

Tego dnia na zgromadzeniu rady wojennej poruszano niezwykle istotne kwestie. W związku z tym Dytryk po cichu tłumaczył Tomaszowi najważniejsze wypowiedzi. Debatowano o tym, czy armia ruszy wreszcie na Jerozolimę, na co napierała większość Niemców. Tymczasem miejscowi baronowie chcieli odesłać wojsko z powrotem do Tyru.

– Straciliśmy Jafę, ale zdobyliśmy Bejrut – oświadczył Hugo z Tyberiady. – Lepiej wykorzystajmy tę sytuację do zawarcia ponownego pokoju z al-Adilem!

– My też odradzamy atak na Jerozolimę – poparł go Gilbert Hérail, wielki mistrz zakonu templariuszy.

– Mój zakon jest tego samego zdania – usłyszał Tomasz ku swemu zaskoczeniu głos Geoffreya de Donjon, wielkiego mistrza joannitów.

Jeśli obydwie zakony zgadzały się ze sobą, był to znak nadejścia nowych czasów.

W końcu rada wojenna doszła do porozumienia i ustaliła, że najpierw należy zabezpieczyć wnętrze kraju wzdłuż zdobytego wybrzeża, a dopiero później można się zastanowić nad podbojem Jerozolimy.

Tak więc pod koniec listopada armia wyruszyła na południe, początkowo w kierunku Tyru, następnie zaś w głąb lądu, trasą do Damaszku. Później, jakiś dzień marszu na południe od Tyru, utknęła w oblężeniu górskiej twierdzy w Tibninie.

## *1 lutego 1198 pod twierdzą w Tibninie*

Była to zatem ostatnia noc. Noc przed bitwą.

Niebo było zaciągnięte chmurami, przez które nie przeświecała ani jedna gwiazda, ni nawet kołyska



ułożonego na plecach księżycy. Po równinie wokół górskiej twierdzy, na której rozłożyła się armia, hulał wiatr, gwałtownie rozniecając nieduże ogniska, wokół których zebrali się mężczyźni. Dodawali sobie wzajemnie odwagi i prześcigali się w przechwałkach, ile tuzinów Saracenów usieką w jutrzejszym natarciu, co zagwarantuje im miejsce w raj. Tomasz niezdecydowanie przechadzał się wzdłuż rzędów namiotów. Herman z Salzy i kilku innych Turyńczyków zaprosili go, by się do nich przysiadł, ale podziękował i odłożył to na później. Najpierw powinien odbyć spowiedź. Była to bardzo istotna sprawa, zatem bez sprzeciwu zaakceptowali usprawiedliwienie.

Jutro czekała ich wielka bitwa, toteż należało dojść do porozumienia z Bogiem i z samym sobą.

Od dwóch długich miesięcy bezskutecznie oblegali obsadzoną liczną załogą górską twierdzę, która zapewniała kontrolę nad drogą prowadzącą z Tyru do Damaszku. Musieli ją zdobyć, jeśli nie chcieli maszerować dalej, mając za plecami wrogie wojsko.

Armia pod wodzą Henryka Brabanckiego jeszcze pod koniec listopada szybko otoczyła twierdzę. Załoga wyraziła gotowość poddania zamku w zamian za pozwolenie na swobodne wycofanie się razem z bronią i całym dobytkiem. Jednak rada wojenna odrzuciła propozycję. Potężny szturm na zamek wyrzucił na nieprzyjaciela większe wrażenie, a ponadto nikt nie chciał rezygnować z wojennych zdobyczy.

Później podjęto nowe pertraktacje, które również nie doprowadziły do porozumienia, przedstawiano propozycje, a następnie znów je wycofywano i nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, dlaczego obie strony tak długo przeciągały rozmowy.

W święta Bożego Narodzenia twierdza omal nie została przekazana, jednakże później Tomasz ku swemu wielkiemu oburzeniu dowiedział się od Notkera, że okoliczni frankijscy rycerze odradzili Saracenom zaprzestanie walki i poddanie zamku, tłumacząc im, jakoby Niemcy nie znali litości dla zwyciężonych.

– Zanadto się obawiają, że brat Saladyna i jego siostrzeńcy mogliby doprowadzić do strasznej, krwawej wojny, gdyby podczas zajęcia twierdzy doszło do rzezi – podszeptał mu Notker, który tymczasem zdążył dobrze poznać język i sposób myślenia tubylców.

Ponadto wkrótce przybędzie z Damaszku potężna odsiecz.

W trakcie beczynnie spędzonego czasu oblegającej armii stopniały zapasy prowiantu. Na okolicznych terenach czaił się wróg, toteż ksiązę z Brabancji wysłał do Tyru po zaopatrzenie mocno chroniony oddział, który niedawno wrócił z ciężkimi ładunkami i został przywitany salwą głośnych wiwatów. Dzięki temu następnego dnia ludzie nie ruszą do walki z pustymi żołądkami.

Wszyscy wiedzieli, że w ich stronę nadciągała gigantyczna armia dowodzona przez brata sułtana. Toteż tego wieczoru rada wojenna postanowiła, że krzyżowcy następnego dnia podejmą decydującą bitwę.

„Zatem jutro. Jutro zginę? – zastanawiał się Tomasz. – Czy w ten sposób spełni się przecucie matki? Jeszcze nigdy się nie pomyliła w tego typu sprawach”.

Błysnęło na horyzoncie, ale na razie burza była za daleko, by można było usłyszeć huk grzmotu.

Najbardziej żałował, że nie będzie mógł więcej spotkać Esziwy. Tak bardzo pragnął ją znów zobaczyć i spędzić z nią swoje dni i noce. Nie opuszczało go wspomnienie jej smukłego ciała i radości, z jaką go przyjęła. Myśl o niej towarzyszyła mu niemal obsesyjnie, szczególnie że większość czasu spędzonego pod twierdzą upływała na oczekiwaniu. Już sama myśl o jej piersiach, jej nogach i ciele doprowadzała go niemal do obłądu.

Spędzenie reszty życia we wstrzemięźliwości jeszcze nigdy nie wydawało mu się tak nierealne jak w tej chwili. Rezygnacja z miłości cielesnej zdawała mu się rzeczą zgoła nienaturalną, chociaż w Esziwie pociągało go nie tylko jej ciało.

Jak Notker się z tym pogodził? Zapewne nigdy w życiu nie dotknął żadnej kobiety, może dlatego było mu łatwiej.

Nie miał odwagi poprosić przyjaciela, by przyjął jego spowiedź.

Zapewne większość polowych księży nie była nadto zgorszona, gdy wyznawano im grzech cielesnego pożądania, w mniejszym bowiem lub większym stopniu dotyczył on wszystkich mężczyzn w obozie.

Ale jeśli teraz pójdzie do spowiedzi, będzie musiał wyznać sporo innych przewin. Gniew, który kipiał w jego duszy, nienawiść, którą odczuwał niemal do wszystkich i wszystkiego, czasami nawet do Dytryka, rozterkę, czy to, co czynili, było rzeczywiście wolą Boga, czy jedynie wolą cesarza, który teraz był martwy.

Jedynym pozytywnym uczuciem, jakie miał w sobie, prócz umiłowania matki i siostry, była głęboka miłość do Esziwy, a ta spotkałaby się z potępieniem Kościoła. Krzyżowiec musiał żyć wstrzemięźliwie i nie wolno mu było myśleć o małżeństwie. Burza nadciągała coraz bliżej, horyzont przeszło kilka widlastych błyskawic i z nieba lunął dudniący deszcz.

Tomasz grzecznie odmówił hałaśliwej grupie rycerzy ze świty margrabiego Konrada, którzy zaprosili go do swego grona. Zastanawiał się, jak wobec braków w zaopatrzeniu udało im się do tego stopnia upoić. Skąd wzięli piwo i wino? A może byli raczej pijani przechwałkami i grubo przesadzonymi opowieściami o swych bohaterskich wyczynach?

Chociaż kilka głębszych łyków pomagało przewyciężyć strach, to jeśli się przesadziło, wówczas huk w głowie albo zbyt ociężałe ruchy mogły się okazać śmiertelnie niebezpieczne podczas bitwy.

Czy jutro zginie? Ta myśl wciąż krążyła mu po głowie. Dlatego będzie lepiej, jeśli pogodzi się nie tylko z Bogiem.

Nogi same zaprowadziły go do namiotu Dytryka.

Hrabia zdawał się nie mieć ochoty na spanie ani na wznoszenie razem z innymi toastów za jutrzejsze zwycięstwo.

Wyprostowany niczym świeca, z rękami skrzyżowanymi na piersi stał przed swoim namiotem na gęstniejącym deszczu.

Tomasz chciał przed nim uklęknąć, ale Dytryk powstrzymał go ruchem ręki.

Stanął więc obok niego, szukając w głowie słów. Ale bez pozwolenia i tak nie mógł zacząć rozmowy.

– Prawie tak samo jak wówczas... w ogrodach przed Ikonium – powiedział Dytryk w zamyśleniu. – Wtedy też w nocy poprzedzającej bitwę grzmiało i padał deszcz.

– Ale w tamtym czasie cieszyliśmy się deszczem po wielu dniach bez wody, męczącym marszu przez pustynię i bitwie jazdy, do której ostatecznie ruszyliśmy, mając jedynie sześćset koni, bo wszystkie pozostałe wyzdychały. Poza tym – Tomasz uniósł lewe ramię i pokręcił nim z uśmiechem – tym razem nie jestem ranny.

Pamiętał wszystko, jakby to było wczoraj. Atak na Ikonium stanowił akt czystej rozpacz, ponieważ za grubymi murami miasta czekała na nich znacznie liczniejsza siła wroga. Rana na ramieniu, którą odniósł kilka dni wcześniej podczas jezdnej walki, była zaogniona i mocno napuchła. Roland i jego giermek Rupert uparli się, żeby ją wypalić. Ale nie zgodził się na to. Wszelkie przewidywania wskazywały, że nie przeżyją tej bitwy, zatem chciał sobie oszczędzić niepotrzebnego cierpienia. Jedynie wycisnął ropę i spłukał wyciekającą krew i jad.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom przeżyli walki, chociaż Tomasz otarł się wówczas o śmierć. Ale doszedł do siebie. Jednak Roland i Rupert zginęli pod Akką.

– Jeśli coś mi się jutro przydarzy, przekażecie coś ode mnie mojej matce i siostrze? – spytał Tomasz.

Dytryk rzucił mu surowe spojrzenie.

– Oczekuję, że będziecie jutro walczyć tak, jak tego oczekuję od mego najlepszego rycerza. Nie z takim roztargnieniem, że nawet giermek zdoła was pokonać. Wtedy będziecie mogli sami przekazać swoją

wiadomość.

Tomasz ponownie chciał uklęknąć, lecz hrabia znów go powstrzymał.

– Zbyt często staracie się zwrócić śmierci w oczy! – upomniał Dytryk. – To niebezpieczne, bo możecie ściągnąć na siebie jej ciekawość. Lepiej podejmijcie postanowienie, które zrealizujecie po bitwie.

Tomasz przełknął ślinę.

– Panie, muszę was prosić o przebaczenie...

– Nie mam wam nic do wybaczenia – przerwał Dytryk i położył mu rękę na ramieniu. – Od ponad dziesięć lat stoicie u mego boku i zawsze mogłem na was liczyć. Macie wiele cech swojego ojca.

Nim Tomasz zdołał cokolwiek odpowiedzieć, w szum deszczu wdarły się głośne krzyki, dobiegające z południowo-zachodniego krańca obozu.

Obaj z Dytrykiem natychmiast sięgnęli do mieczy. Z tego kierunku miała nadejść wroga armia. Czyżby zaatakowała już tej nocy?

Turyńcy i ludzie z Marchii Wschodniej, których namioty stały obok siebie, także skoczyli na równe nogi i zebrali broń.

Z daleka Dytryk na próżno starał się zobaczyć, co się tam działo.

– Tuzin mężczyzn za mną! – rozkazał. – Reszta zostanie na miejscu w gotowości. To może być pułapka, manewr dla odwrócenia uwagi.

Wśród ulewnego deszczu pobiegli rozpoznać przyczynę zamieszania. Im bliżej podchodzili, tym bardziej złudny wydawał im się obraz, który powoli ukazywał się ich oczom. Nie było żadnych napastników! Zamiast nich w ich stronę biegli z krzykiem wzburzeni mężczyźni.

– Wycofują się! Nasi ludzie się wycofali! Odeszło sześć tysięcy ludzi pod dowództwem Henryka z Kalden!

Ich obóz znajdował się jeszcze kawałek dalej, lecz gdy Dytryk i jego asysta do niego dotarli, zobaczyli, że miejsce rzeczywiście zostało opuszczone w największym pośpiechu. Ludzie marszałka nie zdołali zabrać ze sobą wiele więcej poza końmi i bronią. Porzucone ogniska migotały dogasającymi płomieniami, a w unoszące się na wietrze namiotowe płachty uderzały krople deszczu.

– Co ci tchórzliwi łajdacy robią?! – wrzasnął wytrącony z równowagi Adolf z Holsztynu-Schauenburga, jeden z książąt przybyłych z arcybiskupem Moguncji. – Zostawiają nas w potrzebie!

Nie mniej wzburzony Ulryk z Karyntii złapał za ramię jednego z pachołków.

– Co tu się wydarzyło? – krzyknął.

– Kanclerz zarządził wymarsz... zaraz po tym, gdy dotarł oddział z prowiantem... – wyjąkał mężczyzna. – Idą na wybrzeże...

– Wobec tego złapcie ludzi z transportu i dowiedzcie się, co za tajne wiadomości przywieźli z Tyru! – wrzasnął Karyntczyk do kilku ludzi ze swojej asysty. – Nawet jeśli stoi za tym kanclerz, ci ludzie posłuchaliby jedynie rozkazu Kaldena!

– Bez jego sześciotysięcznego wojska nie mamy jutro najmniejszych szans, nieprzyjaciół ma nad nami beznadziejną przewagę – zawołał przez deszcz Adolf z Holsztynu.

Nie zdążył dokończyć, gdy niebo tuż obok nich przeszyły błyskawice, które na mgnienie oka zalały ostrym światłem upiornie opustoszały obóz. Niemal w tym samym momencie rozległ się huk grzmotu, tak donośny, że Tomasz na chwilę ogłuchł. Konie na padokach dostały amoku. I jakby przyroda sprzysięgła się przeciwko nim, nagle na ludzi i zwierzęta spadł grad o ziarnach wielkości pestek wiśni.

Holsztyńczyk i książę z Karyntii pobiegli do swoich namiotów, Tomasz zaś z Dytrykiem próbowali utorować sobie drogę do Turyńczyków.

W obozie rozpętało się piekło.

Wiadomość o wymarszu sześciu tysięcy mężczyzn rozniosła się po obozie z prędkością wiatru

i w połączeniu z piekielnym spektaklem żywiołów wywołała potęgującą się panikę.

– Z powrotem do Tyru, trzeba wracać do Tyru! – dobiegały zewsząd przerażone okrzyki.

Ludzie zostawiali wszystko prócz oręża i pędzili do swoich koni.

Tomasz zobaczył, jak po prostu przewrócili i stratowali jakiegoś człowieka, który wśród gradowych kul upadł na kolana i wznosił ręce do nieba. Kilku rannych krzykiem wzywało pomocy, ale nikt nie zwracał sobie nimi głowy.

Zzianymi i ociekający deszczem Dytryk i Tomasz dotarli do sprzymierzonego obozu. Tam dowiedzieli się, że Herman z Turyngii i margrabia Konrad udali się do dowódcy armii Henryka z Brabancji.

– Co w nich wstąpiło? – krzyknął rozwścieczony Herman z Salzy, wskazując na uciekających w panice ludzi. – Czyżby al-Adil nadciągnął z dwustutysięcznym wojskiem?

Powrót obu książąt oszczędził Dytrykowi odpowiedzi.

– Wymarsz i natychmiastowy powrót do Tyru! – rozkazał Herman z Turyngii. – Zostaliśmy zdradzeni i zostawieni samym sobie.

Mężczyźni zebrali najpotrzebniejsze rzeczy i tak szybko, jak mogli, popędzili na padok. Ziemia była usłana gradowymi kulami. Mieli wrażenie, jakby biegli po lodowej tafli.

– Ranni! – zawołał Tomasz. – Nie możemy ich zostawić!

– Kto o własnych siłach nie wsiądzie na konia, zostaje tutaj! – rozkazał margrabia Konrad.

Musiał krzyczeć, by w potwornym jazgocie zrozumiano jego słowa.

Tomasz rozglądał się za Notkerem, który nie porzuciłby swoich podopiecznych. Ku swej wielkiej uldze zauważył, że kilku Turyńczyków się nimi zajęło.

Wśród wierzgania i rżenia koni w pośpiechu starał się odnaleźć swego siwka. Dostrzegł go w końcu obok Wita, który zabierał się do siodłania karego wierzchowca Dytryka. Obok niego jakiś ogier z niedużą białą plamką stanął na zadnich nogach. W tym momencie Wito został zepchnięty na bok przez karego, przewrócił się i dostał pod kopyta. Tomasz usłyszał okrzyk bólu, złapał za cugle karego i odciągnął go na bok. Potem szybko podniósł Wita i podparł go ramieniem.

– Moja ręka! Złamana! – jęknął Wito z boleśnie skrzywioną miną.

Tomasz złapał jakiegoś bezpieczeństwa konia, którego zdążono już okiełznać i osiodłać.

– Wsiadaj! – zawołał do niego, podstawiając mu pod nogę splecione dłonie do pomocy.

Feldfelbel niezdarne i chwiejąc się z bólu, wciągnął się na siodło. Tomasz wcisnął mu do lewej ręki cugle.

– Zostań u mego boku! Jeśli nie dasz rady, przejmę wodze.

Następnie, upewniwszy się, że hrabia Dytryk cały i zdrowy siedział na swoim karym ogierze, wskoczył na Dragona i razem wyruszyli w noc, wśród ulewnego deszczu i nieokreślonej katastrofy, która wywołała ową przerażającą ucieczkę.

Umykająca armia zatrzymała się dopiero w Tyrze, gdzie sprawa powoli się wyjaśniła.

Wyjaśnienie przyniosło gruntowne wypytywanie dowódcy oddziału z prowiantem, który przywiózł złe wiadomości z niemieckich ziem. Panował tam totalny rozgardiasz i groźba wojny zawisła nad krajem, który znów podzielił się na dwa obozy, Staufów i Welfów. Podobno Otto Welf, syn Henryka Lwa i ulubiony siostrzeniec Ryszarda Lwie Serce, wysunął roszczenia do tronu. Staufowie nie odważyli się więcej ryzykować i obstawać przy prawach do korony dla trzyletniego Fryderyka, toteż naciskali na Filipa ze Szwabii, brata zmarłego cesarza, który pierwotnie miał sprawować kuratelę nad młodym Fryderykiem i zapewnić mu tron, by pozwolił się wybrać na króla. W tych okolicznościach Filip zawrócił do Niemiec, zamiast pojechać do Włoch po siostrzeńca, jak to miał w zamiarze. Z kolei na Sycylii cesarzowa Konstancja miała ponoć problemy ze stłumieniem powstałej niedawno rebelii

i w związku z tym wydalila wszystkich Niemców z Markwardem z Annweiler i Konradem z Urslingen na czele, którzy swymi krwawymi akcjami sprzed roku sciagneli na siebie gniew Sycylijczyków.

Te wszystkie wydarzenia sklonily kanclerza oraz marszalka do natychmiastowego wycofania swoich ludzi. W ten sposob wyprawa krzyzowa dobiegla konca.

Pozostalych ksiazat tez nic wiecej tu nie trzymalo. Niektorzy pozeglowali do domu bezposrednio z Tyru, wsiadajac na pierwsze odplywajace statki.

Wazniejsze od Tibninu i Jerozolimy bylo teraz unikniecie wojny i dwuwladzy, a takze wyciagniecie jak najwiecej korzysci z zaistnialej sytuacji.

– Staufowie, Welfowie... Opowiem sie po stronie tych, ktorzy mnie i Turynгии zaoferuja najlepsze warunki. Choebym mial tuzin razy zmieniać obóz – oswiadczył landgraf Herman bez najmniejszego zażenowania w obecności swojej świty i zięcia.

Margrabia Konrad naradzal sie w cztery oczy z kuzynem Dytrykiem, jak mogliby sklonić Filipa ze Szwabii, by w zamian za ich głosy w królewskich wyborach zwrócił Wettynom Marchię Miśnieńską.

Henryk z Colditz, cesarski ministeriał, kazal sie zameldowac u Dytryka z Weissenfels na poufna rozmowe. Wysoki, szczuply mężczyzna odchrzanknal, a nastepnie zaczal mówić:

– Jeśli rozważacie zgłoszenie roszczenia o Marchię Miśnieńską, macie zapewnione wsparcie moje i reszty ministeriałów Rzeszy, jeśli opowiecie się po stronie Filipa ze Szwabii. Sądzę, że mówię to również w imieniu rządcy z Reichenbachu i wszystkich, ktorzy w Röblingen walczyli za waszą sprawę.

Dytryk szybko myslal, ukladal w głowie plany i marzył.

Jednakże przed powrotem do kraju on i kilku powazanych ksiazat Rzeszy mieli jeszcze cos do załatwienia. I właśnie w tym celu musieli sie ponownie udac do Akki.

## Pożegnanie

Piątego dnia marca 1198 roku odbyto niezwykle uroczyste zebranie, na którym niemieckie bractwo szpitalne w Akce zostalo wyniesione do rangi zakonu rycerskiego.

Zjawili sie na nim patriarcha Jerozolimy i trzech arcybiskupi Ziemi Świętej oraz wielcy mistrzowie istniejących rycerskich zakonów, templariuszy i joannitów, Gilbert Hérail i Geoffrey de Donjon, a takze niemal wszyscy świeccy i duchowni niemieccy ksiazeta o odpowiedniej randze i nazwisku, ktorzy jeszcze przebywali w Ziemi Świętej, na czele z nad wyraz ukontentowanym arcybiskupem Moguncji i byłym kanclerzem Konradem z Kwerfurtu, który po wygaśnięciu sprawowanego urzędu był teraz tylko biskupem Hildesheim. Za sprawą dzieła przeobrażenia Szpitala przy Domu Niemieckim przyjmującego pielgrzymów i chorych w zakon rycerski, obaj z arcybiskupem Moguncji urzeczywistnili jeden z najsmielszych projektów cesarza.

Nowe zgromadzenie przyjęło oficjalną nazwę Zakonu Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Niemiecki zakon, czy też *ordo teutonicorum*, miał się poświęcić służbie rycerskiej oraz opiece nad chorymi. W kwestiach militarnych i dotyczących współżycia w zakonie miały od tej chwili obowiazowac te same zasady co u templariuszy, reguly zaś joannitów obejmowaly głównie opiekę nad chorymi i ubogimi.

Tomasz, stojąc za Dytrykiem z Weissenfels, landgrafem Turynгии i margrabią Marchii Wschodniej, czul na sobie spojrzenie Henryka Walpota, który właśnie zostal wybrany na wielkiego mistrza nowego zakonu.

W sali panowala podniosla atmosfera, totez Tomasz sie nie zdziwil, gdy kilka tuzinów rycerzy

wystąpiło do przodu i uklękawszy, poprosiło o przyjęcie do zakonu. Wśród nich był także Herman z Salzy.

Znów zauważył skierowane na siebie zapraszające spojrzenie Walpota, ale nie ruszył się z miejsca. I pomimo nadzwyczajnie uroczystego nastroju nie mógł sobie darować refleksji. W obliczu demonstrowanej jedności między zakonami jego podświadomość znów zaczęła drażnić drobne, uporczywe spostrzeżenia dotyczące skrywanej rywalizacji. Templariusze nie chcieli przyznać nowemu zakonowi białych płaszczy, jakie sami nosili, chociaż niemieccy rycerze zakonu nosiliby na nich czarne krzyże, a nie czerwone jak templariusze. Z kolei joannici nie dawali się odwieść od pomysłu, by poddać niemiecki zakon pod swoje zwierzchnictwo.

Notker miał rację. Naprawdę był niewiernym Tomaszem! Jednak wreszcie wziął się w garść i poddał się chwili. Był to niewątpliwie znaczący moment dla chrześcijan, w szczególności zaś dla Niemców na Wschodzie. Bezpośrednio po ceremonii księżęta zamierzali wyruszyć do ojczyzny, z wyjątkiem arcybiskupa Moguncji, który najpierw planował udać się z hrabią ze Schwarzburga do Cylicji, by tam z upoważnienia zgromadzenia książęcego dokonać koronacji władcy armeńskich chrześcijan, księcia Leona.

Po mszy Tomasz cierpliwie czekał, aż uda mu się porozmawiać z Henrykiem Walpotem, a następnie ukląkł przed nim.

– Czy podjęliście decyzję w kwestii propozycji, którą przedstawiłem wam latem? – zapytał obecny wielki mistrz.

– Jeszcze raz wam dziękuję za to wyjątkowo zaszczytne zaproszenie – odparł uprzejmie Tomasz. – Chętnie będę wspierał zakon jako donator, jako świecki przyjaciel i promotor, z całych moich sił. Jednak uczyniwszy dokładny rachunek sumienia, uświadomiłem sobie, że brak mi wystarczającej czystości duchowej i cielesnej, by spełnić surowe wymogi stawiane przez zakon rycerski.

Pochylił głowę i wciągnął głęboko powietrze, a później mówił dalej.

– Zamiast tego chciałbym was prosić, byście pozwolili mi poślubić waszą podopieczną Esziwę.

Walpot przez chwilę przyglądał się surowo klęczącemu przed nim rycerzowi. Później odchrząknął.

– Nie mogę powiedzieć, żeście mnie zaskoczyli. Jako że jest to najwyraźniej jedyna droga, by was zatrzymać jako donatora zakonu, a ponadto wiem, że Esziwa codziennie się modliła, byście wrócili cali i zdrowi, nie chcę odmawiać waszej prośbie.

Tomasz, promieniejąc szczęściem, podniósł się z klęczek i za pozwoleniem Dytryka poszedł szukać Esziwy, żeby natychmiast przekazać jej tę radosną nowinę.

Teraz najbardziej spośród wszystkich uczestników wyprawy krzyżowej spieszyli się do domu księżęta. Należało uniknąć sporów o tron, a jeśli takowe wybuchły, z czym oczywiście trzeba się było liczyć, każdy z nich musiał zadbać o utrzymanie tytułu i ochronić swój kraj przed wojną.

Landgraf Herman razem z Konradem z Marchii Wschodniej zobowiązali się zorganizować przeprawę przez morze. Chcieli popłynąć razem z Dytrykiem i wykorzystać czas na statku do omówienia dalszych działań.

Wito miał rękę na temblaku założonym mu przez Notkera i z godziny na godzinę zdawał się odczuwać coraz większe cierpienie. Przyczynę stanowił nie tyle ból w zranionym ramieniu, ile myśl, że znów trzeba będzie zapędzić konie do wnętrza statku, w którym spędzą cztery tygodnie, a może nawet więcej.

Tomasz długi czas łamał sobie głowę i staczał wewnętrzną walkę. Musiał podjąć trudną decyzję i w żadnym wypadku nie chciał tego uczynić lekkomyślnie. Ale teraz, gdy się zdecydował, chciał to już mieć za sobą. Zatem poprosił swego pana, hrabiego Weissenfels, o poufną rozmowę.

– Panie, czy mógłbym was prosić o zwolnienie mnie ze służby?

Wreszcie wyrzucił to z siebie.

Ale winien był Dytrykowi wyjaśnienie.

– Nie uznajcie mnie za tchórza albo wiarołomcę! Wiem, że możecie potrzebować każdego człowieka do przedsięwzięcia, które planujecie po powrocie. Mój ojczym i bracia staną u waszego boku...

W tym miejscu hrabia mu przerwał.

– Mógłbym teraz powiedzieć, że nie wiem, o czym mówicie – powiedział z lekkim uśmiechem. – Jednak znamy się wystarczająco długo, żebym nie musiał udawać, a w waszą wierność nigdy nie miałem potrzeby wątpić. Wstańcie zatem, nalejcie nam obu coś do picia i opowiedzcie o swoich planach na przyszłość, jeśli nie wiążecie ich z Marchią Miśnieńską.

Zaskoczony i zupełnie wytracony z wewnętrznej równowagi Tomasz posłuchał polecenia Dytryka.

– Chcę tu zostać i wziąć ślub. Wiem, że w ojczyźnie czekają nas wielkie zmiany i prawdę mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić, że nie będę walczył u waszego boku. Jednakże jeśli kiedykolwiek w życiu spotkaliście niewiastę, którą kochacie z całego serca, bez której nie potrafilibyście więcej istnieć, bo czulibyście się niepełni, która potrzebowałaby waszej opieki, by móc przeżyć, wówczas może byście mnie zrozumieli...

– Tak, rozumiem – rzekł Dytryk, pochmurniejąc.

Tomasz wiedział, o kogo chodziło.

– Co zamierzacie robić, gdy poślubicie podopieczną Walpota? Przejmiecie po jej mężu handel przyprawami?

– Nie, tym się zajmie Esziwa, będzie też zaopatrywać bractwo szpitalne, to jest zakon, wybaczcie. Mam zamiar poprosić Hugona z Tyberiady, żeby mnie przyjął do swej straży.

Dytryk uniósł w zdziwieniu brwi.

– Skąd wam przyszła do głowy ta myśl?

Tomasz odetchnął głęboko, szukając w myśli odpowiednich słów.

– Od dziesięciu lat walczę u waszego boku, uczestniczyłem w wielu bitwach. Mam nadzieję, że dobrze wam służyłem. Nigdy się nie zawahałem, gdy trzeba było odeprzeć ataki waszego brata, by ratować kraj i jego mieszkańców przed grabieżą. Ale to, co się działo na wyprawie krzyżowej Fryderyka Staufa, wszystko, cośmy wtedy przeżyli... Uważam, że to nie w porządku, nawet jeśli walczyliśmy za Chrystusa i prawdziwą wiarę. Uczyniliśmy więcej złego niż dobrego. Hugo z Tyberiady jest mądrym człowiekiem, dąży do pokoju między chrześcijanami i Saracenami, jeśli tylko istnieje najmniejsza nadzieja na zgodę. Dlatego chcę dla niego walczyć. Będziemy chronili pielgrzymów. Być może ta droga doprowadzi nas kiedyś do Jerozolimy.

– Wyciągnęliście ważne wnioski – powiedział Dytryk. – Razem pójdziemy do pana z Tyberiady, wychwałę was tak, że nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko was przyjąć na służbę.

Tomasz chciał podziękować, ale Dytryk z wesołym uśmiechem ciągnął dalej:

– Zatem w ten oto sposób spełnia się przepowiednia waszej matki, która wiedziała, że nie wrócicie! Jestem pewien, że wiadomość o ślubie będzie najlepszą nowiną, jaką mógłbym jej od was przekazać. Jednakowoż mam nadzieję, że dopuści mnie do głosu, nim wybuchnie płaczem...

– Będzie jej żal, że mnie już więcej nie zobaczy. Klarze też. Powiedzcie im, proszę, że o nich myślę. Powiedzcie, że znalazłem to, czego tak długo daremnie szukałem. Znalazłem swe miejsce, swoje przeznaczenie... Poczuję to już w chwili, gdy ujrzałem wybrzeże.

– Wiem – odrzekł Dytryk.

Ale nie powiedział, że owa nieoczekiwana odmiana sprawiła mu radość i ulgę, chociaż w przyszłości będzie mu brakowało u swego boku syna Chrystiana. Na własne oczy widział, jak wydarzenia, które

razem przeżyli, powoli pozbawiały młodego mężczyznę złudzeń co do rycerskiej wspólnoty i słuszności ich wyprawy krzyżowej, jak kawałek po kawałku trawiły jego duszę. Zadanie, które sam sobie wyznaczył, mogłoby go uzdrowić. Jeśli jego żona okaże się dość silna.

– Nie chcecie mi przedstawić swojej narzeczonej? – uśmiechnął się.

W weneckiej dzielnicy odbyło się wesele, na którym się wesoło bawiono. Dytryk podarował Tomaszowi jednego z koni, a młodej parze kilka szlachetnych kamieni, by ułatwić im start, jak powiedział.

Następnego dnia hrabia poprosił Hugona z Tyberiady, by przyjął jego wypróbowanego rycerza do siebie na służbę. Przypuszczalnie obyliby się także bez jego rekomendacji, gdy bowiem Tomasz w obecności zebranej załogi zademonstrował swą biegłość we władaniu mieczem i lancą, wszyscy popatrzyli na niego z wielkim uznaniem.

Na drugi dzień Dytryk zamierzał wypłynąć na morze.

Tomasz i Esziwa przyszli do portu, by się z nim pożegnać.

– Czy bylibyście łaskawi przekazać to mojej matce? – spytał Tomasz i podał mu płaskie zawiniątko. – Książka o leczniczych roślinach Wschodu. Notker ją opracował, a później podczas naszego pobytu w Bejrucie i pod Tibninem sporządził odpis. Powiedział, że jest przekonany, że trafi w najlepsze ręce. A Esziwa dołożyła dla niej i dla Klary trochę rzadkich nasion.

– Uczynię to z przyjemnością – zapewnił Dytryk.

Nadeszła pora pożegnania. Wito krzyknął, że konie zostały już umieszczone w ładowni i hrabia powinien wejść na statek, bo inaczej kapitan wypłynie bez niego.

– Niech Bóg ma was w swojej opiece, Tomaszu z Chrystianowa – powiedział ze szczerego serca Dytryk i położył dłoń na ramieniu wieloletniego towarzysza broni. Obaj wiedzieli, że żegnali się na zawsze.

– Niech Bóg was wspiera we wszystkich waszych planach, książę Miśni! – odrzekł uroczyście Tomasz.

## *Rada wojenna w Weissenfels*

Tym razem podczas powrotu hrabiego Dytryka z Ziemi Świętej także padał deszcz. Ale przynajmniej był letni dzień i maleńkie kropelki stanowiły raczej orzeźwienie, a nie dokuczliwość.

Dziś nie musiał też czekać na wpuszczenie jak niezapowiedziany gość. Norbert z Weissenfels z banderią wyjechał im naprzeciw i powitał hrabiego przy brodzie na Soławie.

Widać pilnie ich oczekiwali, nie tylko oni, ale również kilku posłańców z ważnymi wiadomościami, jak wspomniał po drodze Norbert. W powitalnej honorowej asyście przyjechał także Daniel, brat Tomasza, który normalnie powinien być we Freibergu, więc Dytryk miał nadzieję na ważne wieści od Łukasza. W niespokojnych czasach jego przebiegły przyjaciel nie mógł ryzykować opuszczenia freiberskiego zamku.

– Tomasz żyje! – uspokoił natychmiast Daniela i Rajmunda, którym twarze zastygły w obawie, gdy nie odnaleźli wśród powracających Tomasza. W ciągu krótkiego czasu, jaki im został po drodze do zamkowej bramy, hrabia opowiedział im o decyzji swego rycerza. Ufał, że będzie tam żył w szczęściu i w dobrym zdrowiu.

Hrabia Weissenfels wyjechał na wyprawę zaledwie z niewielką grupą, teraz zaś wracał w towarzystwie pokaźnego zastępu zbrojnych. Jego kuzyn Konrad postanowił przenocować u niego ze



swoimi ludźmi i dopiero następnego dnia ruszyć do Landsbergu. Dzięki temu po męczącej podróży znaleźli kwaterę na odpoczynek i mogli liczyć na smaczny posiłek, a ponadto Dytryk chciał wspólnie z Konradem wysłuchać nowin z cesarstwa i uzgodnić dalsze posunięcia.

Natomiast landgraf Herman kilka dni wcześniej skreślił ze swoim oddziałem w stronę Eisenach, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do swych zamiarów. Miał zamiar się przekonać, który z pretendentów do tronu przedstawi mu najkorzystniejszą ofertę, a później zdecydować, któremu z nich udzieli swojego poparcia.

Przed zamkiem ustawiała się w rzędzie służba i straż na powitanie powracającego pana i jego kuzyna, margrabiego Konrada.

Jutta, ubrana w odświętną suknię, w której było jej niezwykle do twarzy, promieniała radosnym podnieceniem. W obu dłoniach trzymała przygotowany wielki powitalny puchar. Uklękła przed hrabią i przed Konradem, a następnie przywitała ich serdecznymi słowami.

„Stała się bardziej kobieca – pomyślał na jej widok Dytryk – bardziej dojrzała”. Ale przecież nie widział jej półtora roku.

Spragniony napił się napoju i podał puchar kuzynowi. Potem zsiadł z konia, pomógł Jutcie wstać i ucałował ją w oba policzki.

– Szykują dla was kąpiel – poinformowała małżonka i margrabiego Konrada. – Wobec tylu gości wydam zaraz odpowiednie polecenia i dopilnuję, by przygotowano dla wszystkich miejsce do spania i dobry posiłek na wieczór.

Widać było, że wolałaby najpierw zostać z mężem sama, przytulić go i wyznać, jak mocno za nim tęskniła i jak bardzo się cieszy z jego powrotu. Lecz odebrała dworskie wychowanie, zgodnie z którym publicznie nie mogła okazać swych uczuć i musiała wypełnić swoje obowiązki. Ponadto była dość mądra, by wiedzieć, że mężczyźni pragnęli najpierw usłyszeć, co się działo w kraju. Musieli podjąć działania, a każdy dzień zwłoki mógł się okazać fatalny w skutkach.

Zatem kazała zawołać kuchmistrza i poleciła mu niezwłocznie przygotować dla swego małżonka i jego gości przekąskę, a później zastanawiała się, czym najlepiej ufetować tak dużą liczbę biesiadników.

– Jak się czują Łukasz i Marta? – zapytał Daniela Dytryk, gdy szli przez dziedziniec. W głębi duszy miał nadzieję, że nie usłyszy żadnych złych wiadomości.

– Doskonale, są pełni energii do działania – oznajmił z zadowoleniem Daniel.

– A moi synowie?

Nie miał odwagi zapytać o Klarę i oczekiwał, że jej brat opowie mu o niej z własnej inicjatywy.

– Też są w doskonałej formie i pełni animuszu – odrzekł Daniel z szelmowskim uśmiechem. – Moja siostra ma pełne ręce roboty, żeby nad nimi zapanować. Ojciec Hilbert ich uczy i o ile wiem, zręcznie udaje mu się wykorzystać do lekcji ich niezaspokojoną ciekawość i niekończące się pytania. Klara potrzebuje więcej spokoju teraz, gdy wyszła za mąż i jest przy nadziei.

Dytryk omal nie stanął w pół kroku.

– Klara wyszła za mąż? Za kogo? – wyrzucił z siebie, dokładając największego starania, by jego głos zabrzmiał uprzejmie i by nie okazać przerażenia.

– Za Borysa ze Zboru.

– Za tego Słowianina?

– Tak, panie. Wygląda na to, że są ze sobą szczęśliwi. Dziecko ma przyjść na świat na jesieni.

„To dobrze, że ponownie wyszła za mąż – upomniał się w myśli Dytryk. – Nie mógłbym jej nic więcej zaoferować. A jeśli jest z nim szczęśliwa, powinienem się cieszyć jej szczęściem”.

Mimo to poczuł w sercu palącą zazdrość, gdy wyobraził sobie Klarę w objęciach tego mężczyzny. A później, kiedy pomyślał, że dzisiejszego wieczoru w łóżu zamiast Klary będzie czekała na niego Jutta, poczuł gniew, który jego samego przestraszył.

Ponownie siedzieli w komnacie Dytryka i układali plany. Dytryk, Rajmund i Norbert z Weissenfels. Brakowało jedynie Łukasza, który nie mógł opuścić zamkowej góry we Freibergu, a miejsce Tomasza zajął obecnie jego brat Daniel. Do grona dobił margrabia Konrad, jako głowa rodu Wettynów, którego ze względu na obfite kształty nie dało się nie zauważyć ani też nie usłyszeć z uwagi na silny, nawykły do rozkazywania głos.

Jutta naląła im wina, a gdy kuchmistrz wniósł pieczeń, szynkę, ser i świeży chleb, wycofała się na zewnątrz. Chętnie by została, lecz nie ważyła się na to w obecności margrabiego Konrada. Sprawiający surowe wrażenie książe Marchii Wschodniej nie wyglądał na człowieka, który podczas ważkiej narady tolerowałby obecność niewiasty.

Małżonek nie zachęcił jej, żeby została, ani nie zawołał do siebie, zatem jeszcze raz upewniła się spojrzeniem, że wszystko zostało należycie przygotowane i z cichym żalem zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała już od Dytryka, że ojciec wraz z większością swych ludzi wrócili z dalekiej podróży w dobrym zdrowiu.

Konrad poprosił Rajmunda, żeby zrelacjonował im owe szczegóły związane ze sporem o koronę, o których wróble nie ćwierkały na razie na dachach.

I tak, ku swemu ogromnemu zdumieniu, obaj powracający krzyżowcy dowiedzieli się, że niedługo po śmierci cesarza nawet ich wuja Bernarda z Anhaltu, który był księciem Saksonii, zaproponowano jako kandydata na króla. Podobno arcybiskup Kolonii, zdeklarowany wróg Staufów, przeprowadził już po cichu wstępne pertraktacje. Ale ponieważ Bernard z Aschersleben nie był w stanie zebrać na ten cel odpowiedniej sumy pieniędzy, a może nawet zabrakło mu koniecznej odwagi, kolończyk zwrócił się do Ryszarda Lwie Serce, który natychmiast zaproponował swego siostrzeńca Ottona, jednego z synów Henryka Lwa.

Ten krok wzbudził z kolei niepokój wśród owych książąt, którzy po upadku Lwa otrzymali w lenno jego ziemie. Bernard z Aschersleben dostał wówczas Saksonię, a Konrad z Wittelsbachu Bawarię. Głównie zatem za ich namową na początku marca w turyńskim Mühlhausen zebrali się książęta sprzyjający Staufom i obrali na króla Filipa ze Szwabii.

– Niemniej jednak ten wybór nie jest niepodważalny – opowiadał Rajmund. – Zabrakło arcybiskupów Moguncji, Kolonii i Trewiru, a Mühlhausen to nie Akwizgran.

Wprawdzie nie było to nigdzie zapisane, lecz leżało w starym zwyczaju, że koronacja niemieckich królów odbywała się zawsze w Akwizgranie.

– Ta kwestia dała Adolfowi z Kolonii odpowiedni pretekst, by niezwłocznie posłać po młodego Welfa, Ottona z Akwitanii, i wyznaczyć na początek czerwca w Akwizgranie prawowitą elekcję – ciągnął Rajmund. – Tymczasem pojawiło się tam jedynie kilku duchownych książąt, a Ottonowi zaraz nadano przydomek króla klechów. Niemniej jednak Adolf z Kolonii szybko zaaranżował ceremonię koronacji w Akwizgranie, która odbyła się kilka tygodni temu, w połowie czerwca, chociaż zabrakło na niej insygniów cesarza Henryka, które znajdują się w posiadaniu Filipa. On również zamierza się koronować, ale w Moguncji. Podwoje Akwizgranu są przed nim zamknięte.

– Tak więc mamy dwóch młodych, żądnych czynów królów i bez urazy, nie da się powiedzieć, który z nich ma legalne prawo do tytułu – skonstatował Konrad i nadział kawałek pieczeni na swój nóż. – Wobec tego oręż będzie miał rozstrzygający głos.

– W Nadrenii i Alzacji rozgorzała wojna – potwierdził Rajmund. – I naturalnie obaj królowie starają

się przeciągnąć do własnego obozu jak najwięcej książąt.

Daniel poprosił o głos. Grono szacownych mężczyzn i drażliwy temat widocznie go onieśmiały. Zaczerpnął głęboki oddech i zwrócił się do Dytryka:

– Ojczym polecił mi przekazać wam dosłownie pewne zdanie. „Przypomnijcie sobie waszego dziadka!”

Miał nadzieję, że nikt go nie spyta, co miała oznaczać owa tajemnicza wiadomość, jednak wszyscy obecni zdawali się rozumieć przesłanie.

– Otrzymaliśmy także wiadomość od Bernarda, tego oślepionego ministeriała Rzeszy – powiedział Norbert z Weissenfels. – Kazał was poinformować, że Filip wam wynagrodzi, jeśli się za nim opowiecie. A także, że jeżeli poprzecie Filipa, wówczas tutejsi ministeriałowie Rzeszy udzielą wam wsparcia.

– Bądź co bądź zostali obsadzeni przez Staufów, zatem mają w tym żywy interes, by Stauf zwyciężył rywala z rodu Welfów – burknął Konrad.

Nie okazał po sobie zadowolenia, niemniej jednak rozwój sytuacji niezwykle go satysfakcjonował. Margrabia odchylił się na oparcie krzesła, wyciągnął przed siebie obolałą nogę i ogłosił swoją decyzję:

– Zatem niezwłocznie udam się do Filipa i zapewnię go o naszym wsparciu. Ale tylko w zamian za jedno: chcę Marchię Miśnieńską dla rodu Wettynów. A ty, kuzynie, przejdiesz tymczasem do czynów i odzyskasz swój kraj! Nie wolno nam czekać.

– Nie, nie mamy czasu do stracenia.

Dytryk wskazał na list, który leżał na stole.

– Moja siostra Adela prosi o pomoc. Pisze, że jej mąż się pyszni, że Filip zamierza wynieść go z rangi księcia Czech na tron czeskiego króla. Wówczas Ottokar ją wypędzi, stwierdził bowiem, że jako królowi należy mu się coś lepszego niżli margrabiowska córka.

Konrad z wściekłością uderzył pięścią w stół.

– Zajmiemy się tym jegomościem, gdy opanujemy Marchię Miśnieńską!

– Nikt nie powiedział, że nie zgłosi pretensji do tego kraju i nie planuje szybkiego ataku – zauważył Dytryk.

– Powinieneś błyskawicznie działać – podkreślił Konrad. – Przewiduję, że nie będziesz musiał toczyć zaciętych walk. Ministeriałowie cię wspierają, dawni sprzymierzeńcy też, a pozostali przejdą na twoją stronę, jak tylko dodadzą dwa do dwóch. Zbierz ludzi i ruszaj. Rajmundzie, jak wygląda sytuacja w Miśni?

– Pałac margrabiego nie został jeszcze odbudowany, a namiestnik zajął kwaterę u cesarskiego burgrabiego.

– Zatem na razie Miśnia nam niepotrzebna. Wjedziesz do niej po moich negocjacjach z Filipem. Wychodzi na to, że przede wszystkim trzeba zająć Freiberg i zabezpieczyć mennicę, nim uczyni to Ottokar albo jeszcze ktoś inny.

Dytryk przytaknął. Miał podobny plan.

– Zwołajcie wszystkich rycerzy z okolicy – rozkazał Norbert z Weissenfels. – Danielu, niezwłocznie wracajcie do Freibergu i powiedzcie Łukaszowi, żeby oczekiwał mnie z wojskiem za tydzień i poczynił wszelkie przygotowania.

Obaj mężczyźni natychmiast wyszli, podobnie jak Rajmund, który zamierzał pojechać razem z Witem do swej stadniny, by zabrać najlepsze konie i dodatkowych ludzi.

Margrabia Konrad zjadł jeszcze kawałek mięsa i oznajmił, że wreszcie może wziąć zapowiadzaną kąpiel. Ledwo wrócił w ojczyste strony, a wilgoć i chłód wywołały u niego atak artretyzmu, dotkliwszy niż kiedykolwiek dotąd.

Dytryk został sam i dalej siedział w zamyśleniu przy stole.

Nie miał najmniejszych wątpliwości w kwestii tego, co zamierzał robić. To jego ziemia, ziemia jego ojców. Nareszcie obejmie regencję, o której od tak dawna marzył.

Chciał wspierać rozwój miast i doprowadzić je do rozkwitu, a także założyć nowe. Odbuduje pałac margrabiów w Miśni, większy i piękniejszy niż wcześniej. Po krwawych rządach Albrechta powinny wreszcie nastać spokojne czasy, z obfitymi zbiorami i dorodnym bydłem, w których ludzie nie będą umierali z głodu. Zacznie od Freibergu.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i weszła Jutta.

– Mój małżonku, czy mogę uczynić coś dla poprawy waszego nastroju? – spytała uprzejmie.

Byli sami w komnacie, a po jej spojrzeniu trudno było nie dostrzec, czego od niego oczekiwała. Jako wierny i troskliwy małżonek powinien teraz przynajmniej pocałować ją w policzek i powiedzieć kilka uprzejmych słów. Jednakże w tym momencie wszystko w jego wnętrzu nastroszyło się przeciwko Jutcie. Chciał Klary bardziej niż kiedykolwiek, gdy należała teraz do innego. Myśl o położeniu się z Juttą do łóżka była dla niego nie do zniesienia.

Jej również byłoby trudno, bowiem na pewno by wyczuła, co się z nim działo i że myślami był zupełnie gdzie indziej.

– Chciałabym obdarzyć was synem – wyszeptała.

Dytryk zmusił się do uśmiechu.

– Mamy na to dużo czasu. Na razie jest dużo istotnych rzeczy do omówienia. Zdajecie sobie sprawę, że chodzi o przyszłość kraju, przyszłość cesarstwa. I o przyszłość rodu Wettynów.

Przecież nie była winna.

Nie dając po sobie poznać rozczarowania, Jutta przytaknęła i wyszła z komnaty.

## *Rozstrzygnięcie we Freibergu*

Łukasz czekał i z każdym dniem ogarniał go coraz większy niepokój. Trzy dni temu Daniel przyniósł im wiadomość od Dytryka.

Marta była przeszczęśliwa, że Tomasz żył, a jednocześnie do głębi zasmucona, że prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy najstarszego syna i nie pozna jego młodej żony. Targana uczuciami nie wypuszczała z ręki książeczki o sztuce uzdrawiania. Ojciec Hilbert godzinami czytał razem z nią i tłumaczył jej objaśnienia. Wieczorem z błyszczącymi oczami opowiadała mężowi o metodach leczenia i recepturach spisanych przez Notkera.

Nie było sensu pytać teraz o jej przecucia. Była tak samo zaniepokojona jak Łukasz, bo już wkrótce miały się rozstrzygnąć losy Marchii Miśnieńskiej. Złe przecucia... a kto ich nie miał w obliczu tak wielkiej stawki?

Kraj miał dwóch rywalizujących ze sobą królów i nie bacząc na straty, prowadzono wojnę. Każdy rycerz musiał się opowiedzieć, po czyjej stronie zamierzał walczyć, ryzykując przy tym nie tylko własne życie, lecz także życie ludzi, którzy liczyli na jego ochronę. Rzeczą zupełnie zwyczajną było zarzynanie bydła wieśniakom i palenie pól na terenach przeciwnika. Prości ludzie, którzy nie mogli się bronić, mieli szczęście, jeśli udało im się uratować choćby własną skórę.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Dytryk miał dotrzeć do nich następnego dnia. Łukasz wciąż na nowo próbował sobie wyobrazić, co mu się mogło po drodze przytrafić. Czy przyłączyła się do niego pokaźna liczba sprzymierzeńców? A może zbrojni zagroździ mu drogę i musiał stoczyć krwawą walkę?

W tych dniach dużą część swej służby na zamku Łukasz spędzał na murach albo na głównej wieży i obserwował okolice. Tymczasem straż ćwiczyła pod okiem jego zięcia, co w końcu wzbudziło pomruki niezadowolenia, jako że potężnie zbudowany Słowianin okazywał im jeszcze mniej litości niż i tak już bezlitosny Łukasz.

Albo mu się zdawało, albo jakaś grupa zbliżała się w kierunku Bramy Donata, mijając osadę górników. Łukasz zmrużył oczy, żeby się lepiej przyjrzeć.

Czy to zbrojni? Z tej odległości nie dało się rozpoznać, ale koniecznie musiał to sprawdzić. Dytryk w żadnym wypadku nie przyjechałby z tego kierunku, tylko z zachodu, nie ze wschodu.

Czyżby Czesi?

Prędko zszedł z wieży, zawołał Chrystiana i poprosił go, by osiodłał dla niego konia. Następnie długimi susami pobiegł do kasztelana Henryka, który tego dnia zachowywał się jeszcze dziwniej niż zwykle.

– Do Bramy Donata zbliżają się jeźdźcy, co najmniej setka ludzi. Wezmę syna i tuzin serwientów i pojedziemy się przekonać, kto nadjeżdża i czego chce – poinformował. – Gdybyśmy potrzebowali wsparcia, wówczas wyślę umyślnego. Tymczasem wszystkie bramy miasta mają zostać zamknięte i cała załoga w gotowości, o ile oczywiście zechcecie wydać odpowiedni rozkaz – dodał gwoli uprzejmości.

Kasztelan Henryk zbladł do reszty i wyjąkał:

– Zróbcie to!

Następnie kazał dać sygnał do zablokowania bram.

Łukasz szybko zebrał tuzin uzbrojonych żołnierzy, wśród których byli Daniel, Kuno i Bertram, a następnie założył hełm i razem wyjechali.

Na odjeźdźnym zawołał do zięcia, że może go niedługo potrzebować wraz ze wszystkimi wolnymi ludźmi przy Bramie Donata. Jednakże najpierw powinien się upewnić, że z innego kierunku nie nadciągają kolejne oddziały.

Borys ze Zboru natychmiast rozkazał osiodłać na wszelki wypadek konie.

Załoga Bramy Donata oczekiwała na Łukasza w gotowości bojowej. Stąd mogli zauważyć, że faktycznie zbliżało się do nich wojsko złożone z co najmniej setki ludzi. Połowa z nich jechała konno, reszta szła na piechotę. Ale na razie nie byli jeszcze dość blisko, by móc ich rozpoznać, a nie nieśli ze sobą chorągwi ani proporców u lanc. Już choćby ten szczegół świadczył o ich nieczystych zamiarach. Jednakże stu ludzi stanowiło o wiele za małą siłę do oblężenia. „Zatem o co chodzi?” – zastanawiał się Łukasz.

– Zawołaj tu Zbora ze wszystkimi ludźmi, którzy w tej chwili nie są potrzebni na zamku! – powiedział cicho do Kunona, który błyskawicznie zniknął, kierując się do zamku.

– Kim jesteście i czego chcecie? – zawołał Łukasz do obcych z górnego muru bramy.

– Chcemy Freibergu. Wpuść nas! – odkrzyknął do niego krępy rycerz dowodzący oddziałem.

Łukasz rozpoznał go po głosie. Bertold, pan sąsiedniej wioski. U jego zaś boku, jak należało się spodziewać, siedział na koniu jego przyjaciel Konrad. Poza nimi dwoma Łukaszowi udało się wyłowić jeszcze tylko kilku rycerzy, którzy wcześniej pełnili służbę u Randolfa, jak też paru dawnych kompanów Giselberta i Rutgera.

– Freibergu? Dla kogo chcesz Freibergu? – spytał osłupiały Łukasz.

– Dla króla Ottona – krzyknął do góry Bertold.

– Co masz do Welfów? I dlaczego mielibyśmy was wpuścić? – zainteresował się Łukasz najuprzejmiej, jak potrafił.

Bertolda i jego towarzyszy nigdy nie uważał za nazbyt lotnych. Ale jeśli zuchwale domagali się wydania miasta, musiało chodzić o grubszą sprawę, którą pilnie powinien poznać. Toteż szyderstwo na

niewiele by mu się w tej chwili zdało.

Rzut oka przez ramię upewnił go, że jego zięć z posiłkami byli już w drodze. Dał znak i łucznicy ustawili się na murze po lewej i prawej stronie od niego.

– Zatem otwierasz bramę? – zażądał niecierpliwie Bertold.

– Dlaczego miałbym to uczynić? – zapytał Łukasz z udanym spokojem.

– Dlatego! – odparł zwycięsko Bertold i odwrócił się w siodle.

Wydał dowódcy pieszych rozkaz, którego Łukasz nie mógł z muru usłyszeć, a następnie dał znak ręką jeździe.

W następnej chwili prawie wszyscy zbrojni puścili się do ataku na pobliskie stoły sortownicze. Kobiety i dzieci odskoczyły z krzykiem i rzuciły się do ucieczki. Ale mężczyźni je wyłapywali. Jeźdźcy odcięli uciekinierom drogę i wciągali ich na swoje siodła.

Łucznicy Łukasza nie mogli nic zrobić, nie ryzykując zranienia bezbronnych mieszkańców miasta. Później ludzie Bertolda wrócili do bramy ze swymi zdobyczami, wrzeszczącymi i błagającymi o litość. Wzięli sześć tuzinów zakładników, wyłącznie kobiety i dzieci.

– Wpuść nas do miasta albo wszyscy zdechną! – ryknął Bertold. – Naprawdę chcesz ich poświęcić w imię swojego uporów? Chcesz ich wziąć na swoje sumienie?

A gdy Łukasz nie zareagował od razu, rozkazał stojącemu najbliżej niego pachołkowi:

– No, zadźgaj tę starą! Niech zobaczą, że z nami nie ma żartów.

Pachołek bez wahania podciął gardło kobiecie, którą trzymał za rękę, a następnie upuścił konającą na ziemię. Wzniósł w górę zakrwawiony sztylet. Część zakładników jęknęła z przerażenia, a inni skamieniali ze strachu.

– Widziałeś? W następnej kolejności weźmiemy się do kilku z tych małych grzdyli! – rozkazał Bertold.

Przywołał do siebie trzech mężczyzn. Każdy z nich przygniatał ramieniem dziecko. Obnażyli ostrza sztyletów.

– Stać! – krzyknął Łukasz. – Otworzymy bramę!

Żeby uwolnić więźniów, musiał wpuścić napastników do miasta i postarać się ich obezwładnić na drodze do zamku, tak by kobietom i dzieciom nic się nie stało. Dał do zrozumienia strażnikom, żeby się nie spieszyli z otwarciem bramy, i porozumiał się z Borysem ze Zboru, który tymczasem zdążył do niego dobić, a także polecił wysłać zwinnego posłańca do kasztelana z instrukcją, by nakazał zamknąć miejską bramę i obsadzić obronne ganki najlepszymi łucznikami.

Daniela posłał do Piotra. Miał przypilnować, aby mieszkańcy miasta schronili się w domach. Jednak na wszelki wypadek powinni się uzbroić w siekiery, widły albo drągi.

– Trzymajcie się od nas z daleka, inaczej pozabijamy te gnojki! – krzyknął Konrad. – I postarajcie się, żeby przestały się drzeć! – ofuknął swoich ludzi. – Od tego wrzasku można ogłuchnąć.

Rzucili parę ordynarnych pogroźek, wymierzili kilka mocnych ciosów i śmiertelnie przerażone dzieciaki umilkły.

Później napastnicy uformowali się w szyku do wejścia do miasta. Na flankach stanęli pancerni jeźdźcy, a pośrodku piesi z zakładnikami.

Łukasz i Borys ze Zboru wycofali się ze swoimi żołnierzami z powrotem pod zamek, nie spuszczać przy tym z oka przeciwnika. Uliczki były zbyt wąskie i słabo dostępne. Gdyby wywiązała się szarpanina, wiele kobiet i dzieci straciłoby życie. Zamierzał rozegrać potyczkę na placu przed zamkiem i liczył na wsparcie ze strony łuczników.

Łukasz poprowadził zastęp ulicą Kotlarską do Erlwińskiej, z której pomaszerowali prosto ku zamkowi.

Ulice były puste, miasto całkowicie wyludnione. Łukasz wiedział, że jego ostrzeżenie rozniosło się

z prędkością wiatru. Był pewien, że za ścianami domów z pruskiego muru czaiło się sporo śmiazków uzbrojonych w drągi i kije. Lecz nie miał pojęcia, ilu mogło ich być i czy przyłączą się do walki, gdy przyjdzie co do czego.

Jeśli tylko się uda, wolał nie wciągać mieszkańców w nieunikniony krwawy pojedynek. To było zadanie jego żołnierzy, którzy zostali w tym celu wyszkoleni i otrzymywali odpowiednie wynagrodzenie.

Drewniany most nad zamkową fosą był podniesiony. Łukasz zatrzymał się kawałek przed nim i kazał ludziom zająć pozycje po swoich obu stronach.

Na wprost niego jechali już Bertold i Konrad, prowadząc za sobą swoich rycerzy i serwientów. U wylotu ulicy Kościelnej, dobrze widoczni dla wszystkich, stanęli mężczyźni z zakładnikami.

– Co dalej? Co chcecie zrobić? – spytał spokojnie Łukasz.

– Daj nam klucze do zamku – zażądał Konrad.

– Wiesz, że nie jestem do tego upoważniony – odparł Łukasz. – Możemy pertraktować na temat okupu. Wymień sumę, a dojdziemy do porozumienia. Wypuścicie zakładników i pozwolimy wam odjechać. W przeciwnym razie dojdzie do rzezi, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Wprawdzie możecie wybić kobiety i dzieci, ale wtedy żaden z was nie wyjdzie stąd żywy. Wszyscy mężczyźni włączą się do walki, a tam, u góry, ustawiły się już trzy tuziny łuczników.

– Nadal nic nie rozumiesz, co? – sarknął Konrad z wielką pewnością siebie, która zaniepokoiła Łukasza.

Czyżby coś mu umknęło?

– Czego nie rozumień? Przedstaw wasze żądania! – starał się zyskać na czasie.

Zauważył jakiś ruch na dachu pierwszego domu przy Kościelnej, ale szybko odwrócił wzrok i spojrzał przed siebie, by niepotrzebnie nie ściągnąć w tamtą stronę uwagi przeciwników.

– Oferuję tobie i twoim ludziom sto marek w srebrze, jeśli puścicie wolno więźniów. Do tego swobodny odwrót. Inaczej wszyscy zginą.

Sto marek w srebrze stanowiło potężną kwotę, której nikt nie zapłaciłby za kilka ubogich kobiet i dzieci z sortowni. Ale zgodnie z przewidywaniem Łukasza, jego oferta wywołała żywe poruszenie wśród asysty Bertolda, która bez dwóch zdań wyruszyła za nim głównie z myślą o czekających ją łupach.

Ponownie rzucił szybkie spojrzenie na dach, a następnie zawołał:

– Na świętego Piotra!

Było to ustalone hasło do ataku, na które oprócz jego żołnierzy zareagował też ukryty na dachu Piotr ze swoją bandą. Skoczyli między grupę porwaczy i powalili ich, a tymczasem Łukasz ze swoimi ludźmi błyskawicznie zaatakował wrogów na koniach, wypierając ich konsekwentnie w kierunku zamku, z daleka od więźniów.

Łukasz walczył zaciekle z Borysem i Danielem u swego boku, mając nadzieję, że druga grupa poradzi sobie z piechurami i odbije zakładników. Po krótkiej, acz krwawej potyczce jazda przeciwnika została pokonana. Borys z łatwością zwyciężył Konrada, a Łukasz Bertolda, który chciał uciekać, ale nie miał na to najmniejszej szansy.

Łukasz natychmiast ruszył w kierunku grupy trzymającej zakładników. Lecz było już za późno. Nigdy nie zapomni obrazu, który wówczas ukazał się jego oczom.

Ze wszystkich stron cisnęli się mieszkańcy miasta i uzbrojeni w drągi, noże i gable do siana atakowali mężczyzn, którzy podnieśli rękę na ich żony i dzieci, rozdając z wściekłym wrzaskiem ciosy i kłując ich widłami.

Nawet gdyby chciał ich powstrzymać, nie dałby rady.

Kilka kobiet pracujących w sortowni złapało broń powalonych na ziemię krzywdzicieli i wywijalo nią wokół siebie, kopiąc swoich oprawców.

Stara Elfryda dzieliła krępego osobnika w kolczudze pogrzebaczem przez głowę, mąż powieszonyj kramarki z dosadnymi złorzeczeniami dźgał kogoś nożem, a szmuklerz z całym impetem okładał drągiem innego napastnika.

Joanna podbiegła i starała się wyciągnąć dzieci z kłębowiska walczących. Ale kilku starszych wyrostków pobiegło z powrotem i zaczęło kopać leżących na ziemi prześladowców, dając w ten sposób upust swej wściekłości i przerażeniu.

Nawet gdyby Łukasz chciał krzyczeć, nie usłyszeliby go, ogłuszeni panującym łoskotem i bezgranicznym gniewem.

Toteż zwrócił spojrzenie na pole walki za swoimi plecami, gęsto usłane ludzkimi zwłokami i trupami koni. Kilka zranionych ogierów tarzało się po ziemi, daremnie próbując się podnieść. Borys i Daniel pętali paru napastników. Łukasz rozglądał się za Bertramem, ale nie mógł go odnaleźć. Wreszcie zauważył Kunona, który z twarzą wykrzywioną bolesnym grymasem kuczał obok ciała przyjaciela i na próżno się starał wykrzesać z niego choćby najmniejszą iskrę życia.

Kawałek dalej Łukasz zauważył zwłoki jeszcze jednego ze swoich ludzi. Było to ciało Jakuba, jego bratanka. Poczuł w sercu lodowaty chłód i zsiadł z siodła. Lecz widząc otwartą ranę na jego szyi, już z daleka wiedział, że dla chłopaka nie było ratunku.

Tymczasem zapadła niemal zupełna cisza, rozdzierana jedynie pojedynczymi okrzykami bólu i rozpacz.

Łukasz pokuśtykał w kierunku miejsca, w którym stali zakładnicy. Miał ranę w lewej nodze. W trakcie walki z jednym z rycerzy Giselberta drugi napastnik zaatakował go z boku i zadał ciętą ranę. Pękł splot żelaznej kolczej nogawicy, a w spodnim amortyzującym podbiciu powstało rozcięcie, z którego przesączała się krew.

Pięcioro zakładników nie żyło, dwoje dzieci i trzy kobiety. Pozostali zdołali się uratować i szlochając, stali przy Joannie i Klarze, które starały się ich uspokoić. Jakaś kobieta w ubogim ubraniu upadła na ziemię obok martwej dziewczynki, inna objęła ją za ramiona, a po policzkach spływały jej łzy.

– Dziękuję wam za odwagę – przemówił Łukasz do mieszkańców i zerknął w kierunku Piotra. – Kto z was odniósł rany, niech najlepiej zaraz pójdzie z nami do zamku. Znachorki i cyrulik zajmą się wami.

Jednakże nim ktokolwiek zdołał mu odpowiedzieć, jakiś człowiek z zamkowych murów zawołał Łukasza po imieniu.

Odwrócił się i w tym samym momencie natychmiast się zorientował, dlaczego Bertold był tak pewny zwycięstwa.

Na górze stał Elmar z groźnie wzniesionym mieczem.

– Łukasz, ty bękarcie! Nadeszła godzina rozrachunku!

Łukasz miał wrażenie, jakby ziemia rozstała się pod jego stopami. Jakiś mężczyzna popchnął Martę do samej krawędzi flanki. Była związana, w porwanej sukni i z odsłoniętymi włosami.

## *Koniec i początek*

Przez kilka pierwszych chwil Łukasz nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Czego chcesz w zamian za puszczenie jej wolno?! – krzyknął wreszcie.

Jednocześnie wiedział, że Elmar za żadną cenę nie uwolniłby Marty.

– Ciebie! – zatriumfował przeciwnik. – Chciałem zamku i już go zająłem. Ten dureń Henryk po cichu wpuścił mnie z ludźmi do środka, gdy tymczasem niewielkie przedstawienie na zewnątrz odwróciło



twoją uwagę. Wystarczyło kilka gróźb, żeby zaczął mnie słuchać. Teraz rozważa w piekle, czy nie popełnił błędu, bo ja nie toleruję u siebie ludzi, których tak łatwo można nakłonić do zdrady. Ten zamek, miasto i srebro zapewnią mi u króla Ottona tyle względów, że stanę się potężniejszym człowiekiem niż kiedykolwiek dotąd. A na dokładkę wziąłem twoją dziwkę, żebyś więcej nie wszedł mi w drogę!

Grubiańskim gestem przyciągnął do siebie Martę i zdarł z niej podarty białud. Teraz na oczach wszystkich stała ubrana jedynie w cieką koszulę.

– Czego żądasz za jej uwolnienie? – zapytał ponownie Łukasz.

– Ciebie! – powtórzył Elmar pewny swej wygranej. – Samego i bez broni.

– Nie! – krzyknęła Marta. – Zostań, nie wchodź do środka!

Wiedziała, że umrze, od początku to czuła. Jednakże pogodzi się ze swym losem, jeśli Łukasz zostanie oszczędzony. Nie powinien iść na śmierć. Jutro przybędzie Dytryk i położy kres koszmarowi. Wtedy Łukasz zabije Elmara.

Dawny stolnik odwrócił się do niej i uderzył ją w twarz tak mocno, że pękła jej warga.

– Nie rób tego! To pewna śmierć dla was obojga – wyszeptał stojący za Łukaszem Borys ze Zboru. – Graj na czas! Na górze mamy na pewno kilku oddanych ludzi. Tymczasem przyniosę liny i haki i wejdem od tyłu po murze.

Ale Łukasz nie mógł czekać.

Podał Danielowi swój miecz i sztylet.

– Przyniesiesz im chlubę – powiedział cicho do pasierba, a następnie szeroko rozłożył ręce.

– Idę. Bez broni.

Musiał teraz być przy Marcie. Nie mógł jej zostawić samej na pastwę tego łotra.

– Zdejmij hełm! – zażądał Elmar.

Łukasz posłuchał.

Za jego plecami odezwało się kilka ostrzegawczych głosów, ale prawie ich nie usłyszał. Przed oczami miał tylko Martę.

Podbiegła do niego Joanna.

– Pozwólcie mi przynajmniej opatrzyć jego ranę! – zawołała w kierunku murów. – Inaczej się wykrwawi!

Łukasz zmusił się do pozostania na miejscu. I tak musiał poczekać, aż opuszczą zwodzony most.

Joanna uklękła przy nim i owinęła zranioną nogę szerokim pasmem płótna. Gdy związywała końcówki opatrunku, poczuł, że wsunęła mu coś między warstwy materiału.

– Mój nóż do ziół – szepnęła. – Niech Bóg was chroni!

Później odstąpiła od niego i wycofała się do tyłu. Łukasz uczynił gest, jakby chciał poprawić bandaż, i namacał rękojeść wąskiego noża.

Tymczasem krata została trochę podniesiona.

Mocno kulejąc na lewą nogę, Łukasz pokuśtykał na zamkowy dziedziniec. Gdy przeszedł pod bramą, usłyszał, jak na powrót spuszczano kratę. Nikt z towarzyszy nie mógł mu już przyjść z pomocą.

Na podwórku wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się w tym, co zaszło. Elmar przyprowadził dość zbrojnych, by bez trudu poradzić sobie z garstką mężczyzn pozostałych na zamku.

Przy studni leżało masywne ciało kasztelana pozbawione głowy, która przetoczyła się o dwa kroki dalej.

Na dziedzińcu leżało też kilku martwych strażników Łukasza. Pozostali zostali rozbrojeni i stali po jednej stronie, utrzymywani w szachu przez ludzi Elmara. Paru otwarcie zmieniło front i pilnowało teraz swych dawnych kolegów. „Po tobie i po tobie nie spodziewałbym się tego” – pomyślał rozczarowany ich widokiem.

Ale teraz żadna z tych rzeczy go nie obchodziła. Właściwie był już martwym człowiekiem. Myślał jedynie o żonie.

Tymczasem Elmar zszedł z obronnego ganku, a jego ludzie przyciągnęli za nim Martę. Elmar stanął przed nim na szeroko rozstawionych nogach, a Łukasz rozpoznał mężczyznę, który brutalnie trzymał ją za włosy. Był to Marcin.

– Bohater i jego dziwka... – zadrwił Elmar. – Dalej, na kolana! – rozkazał.

Zdradziecki brat Kunona przyłożył Marcie sztylet do szyi, więc Łukasz spełnił polecenie. Na dziedzińcu panowała martwa cisza, a wszystkie spojrzenia skierowały się na niewielką grupę przy bramie.

– Teraz nie jesteś już taki odważny – powiedział Elmar zjadliwie. – Wyzwałbym cię na pojedynek, ale to nie byłoby godne rycerza, bo jesteś ranny. Cóż za szkoda!

Niedaleko Łukasza leżała na piachu mała tarcza. Szybko oszacował, czy na kolanach zdołałby jej szybko dosięgnąć. Na razie nóż Joanny nie mógł mu się na nic przydać, ale mocny cios w nogi metalową tarczą mógłby Elmara przewrócić.

– Nie radziłbym ci tego robić! – odezwał się Elmar, który rozszyfrował zamiary zagorzałego wroga i wymierzył mu cios w twarz pięścią odzianą w kolczą rękawicę.

Marta krzyknęła, jakby to ona poczuła ból. Do tej pory zachowywała się spokojnie, by nie dać Elmarowi powodu do jeszcze większej satysfakcji. Ale tego nie była w stanie znieść. Jeśli Łukasz zginie, to ona poniesie winę za jego śmierć. Wpadła w pułapkę. Poszła do zamku, bo kasztelan po nią przysłał. Jednak zamiast rannych na miejscu czekał na nią najzacieklejszy ze wszystkich wrogów, którzy do tej pory żyli.

W desperacji próbowała go sprowokować, żeby zaraz ją zabił, chociaż miała świadomość, że Elmar nie zadowoliliby się jej śmiercią. Chciał Łukasza.

Teraz po raz drugi musiała patrzeć na śmierć mężczyzny, którego kochała z całego serca. Jej rozpacz z tego powodu była silniejsza od obawy przed śmiercią.

Łukasz zachwiał się na klęczkach pod impetem uderzenia i wypłuł krew.

– Bez obawy, tak prędko nie umrzesz – kpił dalej Elmar. – Bądź co bądź mamy ze sobą sporo rachunków do wyrównania. Zamierzam sprawić sobie trochę przyjemności. Zanim zdechniesz, chcę, żebyś widział, jak krok po kroku rozprawiam się z tą wszetecznicą. Czy już ci mówiłem, że kiedyś się z nią zabawiłem? Razem z przyjaciółmi.

Pijany z wściekłości Łukasz chciał się na niego rzucić, ale ktoś chwycił go z tyłu za ramiona i mocno przytrzymał. W następnej chwili poczuł na gardle ostrze noża. Bezradnie spróbował wymacać palcami mały nóż, który dała mu Joanna, ale z wykręconymi do tyłu rękami nie mógł go dosięgnąć.

– Zastanawiam się, jak mam się do tego zabrać...

W udanym zamyśleniu Elmar skierował ku Marcie miecz.

– Może powinienem ją rozplatać? Nie, to by za krótko trwało. Oślepię ją, odrąbię jej jedną rękę, następnie drugą, a później stopy...

– Hej tam, przynieś kadź z rozżarzonymi węglami! – zwrócił się do jednego ze swych konnych pachołków.

Mężczyzna ruszył pędem.

– Słyszałem, że bardziej bolesne od zwykłego wyłupania oczu jest trzymanie przy twarzy rozpalonego metalu tak długo, aż gałki się zagotują – ciągnął z ukontentowaniem dawny stolnik Albrechta. – Ale zanim żelazo się porządnie rozgrzeje, powinniśmy sobie trochę urozmaicić czekanie, nie sądzisz, stary adwersarzu? Mógłbym publicznie wychędożyć twoją niewiastę na twoich oczach. Ale tyle razy to zrobiłem, że sama myśl o tym napawa mnie nudą.

Spojrzał na Marcina, który tak obcesowo trzymał swoją ofiarę za włosy, aż Marta musiała się pochylić. Drugą ręką przyciskał jej do szyi sztylet.

– Zdaje się, że zawsze miałaś na nią oko, ale ona tobą wzgardziła. Teraz możesz się zemścić. Dalej, weź ją sobie!

Marcin potrzebował chwili, żeby pojąć, czego od niego oczekiwano i jaka okazja mu się nadarzała. Jego usta rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu. Wsunął sztylet do pochwy i brutalnie popchnął Martę na ziemię, aż uderzyła głową o podłogę. Nie poruszyła się więcej, a po jej skroni popłynęła strużka krwi.

Marcin stanął nad nią triumfalnie i rozluźnił pas.

W tym momencie Łukasz obiema rękoma chwycił przystawione mu do gardła ostrze i jednym ruchem wyrwał swojemu strażnikowi broń, a następnie, obróciwszy ją w dłoni, zadźgał go, nie podnosząc się z klęczek. Później spróbował trafić sztyletem w nogi Marcina, który lekkomyślnie zanedo się do niego przybliżył, ale nie było już potrzeby. Z tylnej części murów nadleciała strzała i przesywając kolczugę, wbiła mu się w brzuch. Marcin wrzasnął z bólu i opadł na kolana, a potem przewrócił się na bok.

Łukasz już tego nie zauważył, dopadł bowiem Elmara. Podczas gdy dwaj zagorzali wrogowie staczali walkę na śmierć i życie, sytuacja na dziedzińcu uległa błyskawicznej zmianie.

Borys ze Zboru i tuzin innych rycerzy przedarli się przez mury. Natychmiast dołączyli do nich Chrystian z Guntramem, którzy zdążyli się ukryć, gdy Elmar przejął zamek, i czekali na sposobność do działania. Strażnicy, którzy rzekomo przeszli do obozu Elmara, teraz przekierowali broń i obezwładnili intruzów, w mgnieniu oka oddając miecze swoim towarzyszom, którzy wcześniej zostali rozbrojeni. W tej sytuacji żaden z pozostałych przy życiu nieprzyjaciół nie stawiał oporu.

– Ale ona i tak zdechła! – warknął nienawistnie Elmar, mając świadomość, że nie zdoła długo stawiać oporu oszalałemu z gniewu przeciwnikowi, mimo iż ten, ze względu na odniesione obrażenia, był w gorszym położeniu.

Starał się trafić mieczem w zranioną nogę, lecz dolne pchnięcie doprowadziło do jego własnej zguby. Łukasz z całej siły zadał Elmarowi cios w miejsce, gdzie szyja łączyła się z ramionami. Z ponurą satysfakcją patrzył, jak wróg upadł na ziemię.

Później odrzucił obcy miecz i przypadł do Marty. Ostrożnie wsunął jej rękę pod plecy, żeby ją podnieść. Na pewno jeszcze żyła, nie mogła tak po prostu umrzeć! Powoli zamrugała oczami, ku nieopisanej uldze Łukasza, a później przechyliła się na bok i dostała torsji. Dostatecznie długo żył u boku znachorki, by wiedzieć, że mógł to być dobry znak po urazie głowy.

Kazał jednemu z mężczyzn przynieść wiadro wody, ale później się rozmyślił. Jego żona leżała na dziedzińcu w koszuli i była ranna, zatem powinien ją raczej zanieść do izby. Teraz chciał z nią zostać sam, by nikt nie zobaczył łez ulgi, które napłynęły mu do oczu.

Z bólem wstał na nogi i chciał wziąć Martę na rękę. Tymczasem Borys ze Zboru domyślił się jego zamiaru.

– Pozwól, że ja ją zaniosę, sam ledwo się trzymasz na nogach – powiedział.

– To ty wystrzeliłeś strzałę? – zapytał Łukasz, który wciąż jeszcze nie doszedł do siebie.

– Nie, ja – odezwał się Wito, Łukasz zaś nawet się nie zdziwił jego obecnością, chociaż właściwie miał dotrzeć dopiero z Dytrykiem i Rajmundem. – Wciąż czekaliśmy na dogodny moment do ataku, nie chcieliśmy zabić żadnego z was.

Jednak jego słowa nie dotarły już do Łukasza, tak samo jak fakt, że znów podniesiono kratę i na podwórzec wjechał duży oddział jeźdźców. Nie interesowało go to, podobnie jak szloch Idy, skulonej w kącie wielkiej sali.

Poprosił zięcia, by zaniósł Martę do izby, w której oboje nocowali po powrocie do Freibergu. Tam schłodził jej czoło, starł krew z twarzy i poszukał w skrzyni peleryny, żeby ją nakryć. Pozwolił Joannie

zaszyć swoją ranę, a ona go zapewniła, że sen Marcie dobrze zrobi. Później wyprosił wszystkich na korytarz.

Nie chciał nikogo oglądać ani nic słyszeć. Liczyła się tylko Marta.

Z rozdartym sercem przyglądał się dobrze znajomym rysom jej twarzy, wsłuchiwał się w jej oddech, wciąż pełen obaw, że mogłaby przestać oddychać.

Wreszcie poruszyła powiekami. Jęknęła we śnie, pewnie przyśniło jej się coś złego.

Ostrożnie dotknął jej ramion, a później delikatnie nimi potrząsnął, starając się ją obudzić.

– Już po wszystkim! – powiedział i przytulił ją do siebie.

Rozległo się pukanie. Łukasz zniecierpliwionym głosem oznajmił, że nie chce nikogo widzieć.

Nie bacząc na jego protest, Dytryk otworzył drzwi i wszedł do izby.

Łukasz chciał prosić o wybaczenie za swą nieuprzejmość, ale Dytryk mu nie pozwolił.

– Ponieważ kasztelan nie żyje, powinienem teraz oficjalnie przekazać wam zamek i miasto – wyrzucił z siebie Łukasz, nie wypuszczając z objęć żony.

Marta zdołała się trochę wyprostować i trzęsąc się z zimna mimo letniego upału, okryła ramiona peleryną, starając się jednocześnie przykryć koszulę, chociaż każdy ruch sprawiał jej cierpienie.

– Jako margrabia miśnieński postanowiłem, że zachowacie klucze – odparł Dytryk z uśmiechem. – Niniejszym mianuję was kasztelanem Freibergu. Wasz przyjaciel Rajmund otrzyma z powrotem swe dobra w Muldental. Jednakże oczekuję, że rozpoczniecie służbę dopiero, gdy wrócicie do zdrowia. Oboje – dodał.

Nie bacząc na zachowanie etykiety, oparł się o słupek łoża i patrzył na bliskie twarze Łukasza i Marty, którzy siedzieli obok, oboje ranni, udręczeni i zdenerwowani.

– To była długa droga – powiedział w końcu i każde z nich wiedziało, że hrabia nie miał na myśli trasy z Weissenfels do Freibergu.

Spędzili ze sobą ponad trzydzieści lat. W dzieciństwie Marta go leczyła, a gdy został giermkim, Chrystian z Łukaszem wykształcili go na rycerza. Razem ruszyli na wojnę przeciwko Henrykowi Lwu, wspólnie przetrwali ciężki czas po zamordowaniu Chrystiana, a później jeszcze ataki Albrechta i jego krwawe rządy. Czy to wszystko już się skończyło?

Marta zdawała się czytać w jego myślach.

Znów stanął jej przed oczami ów dzień, w którym po długim, pełnym wyrzeczeń marszu razem z innymi osadnikami dotarli do miejsca, gdzie chcieli zbudować lepszą przyszłość. Do tego miejsca. Dlatego poszli za Chrystianem w nieznaną i zaryzykowali cały dotychczasowy byt.

A teraz? Czy marzenie Chrystiana, a właściwie wspólne marzenie wszystkich osadników o sprawiedliwym świecie, nareszcie się ziści?

Nikt nie mógł przewidzieć, czy prawowitym królem zostanie w końcu Otto, czy Filip, czy w Marchii Miśnieńskiej zagości pokój, czy Dytryk nauczy się kochać Juttę, Chrystian zaś zostanie wybrany na rajcę, a Jonasz na burmistrza. Nie było jeszcze żadnej pewności. Ale jeżeli kiedykolwiek zaświtała nadzieja na nastanie lepszych czasów, o które tak długo walczyli i za które umarł Chrystian, to właśnie w tej chwili.

Toteż Marta spojrzała na Łukasza, później zaś na Dytryka i z całą mocą, jaką zdołała w sobie zebrać, powiedziała:

– Nie, teraz dopiero wszystko się zaczyna.

# DODATEK

## Posłowie

Spędziłam dziesięć lat z Martą, jej przyjaciółmi i wrogami. Teraz nadszedł czas, żeby się pożegnać.

Historia została opowiedziana do końca. Zabierając się do jej spisywania, nigdy nie sądziłam, że rozrośnie się kiedyś do trzech i pół tysiąca stron. Dla tych, którzy nadal czują niedosyt, przedstawiam dalsze losy historycznych postaci.

Albrecht z Wettynu przeszedł do historii jako Albrecht Pyszny, który to przydomek w niezmiernie pochlebny sposób opisuje jego nieumiarkowany charakter, jego zaś brat został w pamięci potomnych jako Dytryk Zgnębiony.

Dytryk jako margrabia rzeczywiście doprowadził Marchię Miśnieńską do rozkwitu. Po śmierci kuzyna Konrada w roku 1210 zyskał dodatkowo Marchię Wschodnią i kawałek po kawałku na nowo połączył dobra Wettynów, które jego dziadek Konrad Wielki rozdzielił pomiędzy swoich pięciu synów. Uchodził za wyjątkowego protektora miast. Za jego panowania Drezno uzyskało status miasta, o którym wzmianki znajdują się już w dokumentach z 1206 roku, a w roku 1216 miało ono prawa miejskie. Jedynie z mieszkańcami Lipska pod koniec życia popadł w konflikt, ponieważ ci domagali się zbyt wielu, jego zdaniem, swobód miejskich. Ale to już odrębna historia.

Jeśli chodzi o dawną margrabinę Hedwigę, nie ma o niej żadnych informacji z czasów po śmierci Ottona, z wyjątkiem wzmianek dotyczących jej darowizn na rzecz klasztoru Altzella oraz obecności na sądzie ziemskim w Schkölen, gdzie żegnała się z synem, nim ten wyruszył do Ziemi Świętej. Nie istnieją żadne zapisy na temat umiejscowienia jej wdowiej rezydencji. Seussnitz jak najbardziej mogło być jej siedzibą, niemniej jednak stanowi to jedynie moje przypuszczenie. Źródła w ogóle nie dają punktu odniesienia, autor zaś powieści musi się wreszcie na coś zdecydować. Hedwiga zmarła w 1203 roku i została pochowana u boku swego małżonka w Altzella.

Landgraf Herman z Turyngii za czasów panowania dwóch antykrólów, Filipa Szwabskiego i Ottona z Brunszwiku, siedmiokrotnie zmieniał strony.

Ale w roku 1208, tuż przed zamordowaniem króla Filipa, Dytryk też był skłonny przejść do obozu Welfów. Powodem był los jego siostry Adeli, która dzielnie stawiała czoła swemu mężowi Ottokarowi, królowi Czech, który po wielu latach małżeństwa i mimo posiadania wspólnych dzieci postanowił ją wygnąć. Na nową małżonkę wybrał sobie córkę węgierskiego króla, ową Konstancję, która na początku trzeciej wyprawy krzyżowej została zaręczona z Fryderykiem Szwabskim, synem Barbarossy. Jednakże Fryderyk zmarł pod Akką i małżeństwo nie doszło do skutku.

Dytryk energicznie poparł siostrę, która wniosła nawet skargę do papieża i zażądała od króla, by przywołał do porządku nikczemnego Ottokara. Lecz dla Filipa Szwabskiego ważniejszy był sojusz z Czechami. Później został zamordowany, a jego rywal Otto, syn wielkiego przyjaciela i wroga Barbarossy Henryka Lwa, został uznany za króla również przez książąt dochowujących wierności Staufom.

W roku 1209 Otto IV został koronowany na cesarza przez swego odwiecznego przeciwnika, papieża Innocentego III. Jednakże nie udało mu się długo utrzymać władzy, wkrótce bowiem pokazał się na planie Fryderyk II, jeszcze młody, ale nie mniej charyzmatyczny od swego sławnego dziadka, po którym odziedziczył imię. Do upadku Ottona IV przyczyniło się wielu zbuntowanych książąt, między innymi landgraf Herman, a także nieprzejednany papież Innocenty III.

A Jutta z Turyngii?

Prowadzona na zlecenie Wettynów kronika Petersbergu donosi, że na zaręczyny i ślub Dytryka z Juttą

naciskał landgraf Herman, co prawdopodobnie odpowiada rzeczywistości. Tylko pod tym warunkiem landgraf zgodził się udzielić hrabiemu wojskowego wsparcia przeciwko Albrechtowi. Jednakże gdy Dytryk po raz pierwszy ujrzał Juttę, miała mu się do tego stopnia nie spodobać, że zmienił decyzję. Potem jednak znalazł się w tak wielkich opałach, że w końcu musiał przystać na układ.

Niemniej jednak nie należy wierzyć w każde słowo kroniki z Petersbergu. Została urozmaicona przeróżnymi anegdotami, wymyślonymi przez autora dla rozrywki czytelników, a także dla ukazania w lepszym świetle wettyńskiego mocodawcy.

Wielu historyków, których odwiedziłam podczas zbierania materiałów do książki, od razu zadawało mi to samo pytanie:

– Czy wykorzysta pani także ów epizod ze szpetną Juttą?

I byli bardzo zadowoleni, gdy zaprzeczałam.

Uważam, że nie zasłużyła na to, by przejść do historii jako „szpetna Jutta”, podobnie jak Hedwiga nie zasłużyła na miano „kłótlivej baby”, które występuje w kronikach w kontekście jej osoby. Być może ów wstręt oblubieńca, który wycofał się na widok oblubienicy, a później trudne położenie zmusiło go do zawarcia tego małżeństwa, miał na celu odwrócenie uwagi od faktu, że Dytryk, żeniąc się z Juttą, zrobił w rzeczywistości doskonałą partię? Przecież był tylko hrabią Weissenfels, a wszedł w związek z córką wyjątkowo potężnego landgrafa. Natomiast bardzo obrazowa scena opisana w kronice sprawia wrażenie, jakby Dytryk poniósł ofiarę.

To prawda, że Dytryk miał trochę pozamałżeńskich dzieci, w każdym razie kilkoro spłodzonych przed ślubem z Juttą, ale nie ma wzmianek dotyczących ich dat urodzenia. Prawdopodobnie najstarsze z nich zostało ochrzczone imieniem Dytryk, zatem syn otrzymał imię po ojcu, co było wówczas niezwykle w przypadku dzieci spoza legalnego związku i pozwala wnioskować, że dziecko i matka wyjątkowo dużo znaczyły dla hrabiego. Ów syn był później biskupem Naumburga, a kolejne pozamałżeńskie dziecko Dytryka zostało proboszczem Miśni. Tak więc ojciec przykładowie zadbał o ich utrzymanie.

Z Juttą miał pięcioro dzieci, z których dwoje bardzo wcześnie zmarło. Dwa lata po śmierci Dytryka Jutta ponownie wyszła za mąż za turyńskiego szlachcica Poppo z Hennebergu, a biografowie są zdania, że nie mogła być aż tak szpetna, to małżeństwo bowiem zostało zawarte z miłości. Nie znamy daty urodzin Jutty, tak samo jak daty jej ślubu z Dytrykiem, który prawdopodobnie odbył się w 1194 lub 1195 roku. Gdy omawiano warunki ich małżeństwa, musiała mieć rzeczywiście dopiero jakieś osiem lat.

Jednak tym, co mnie w tej postaci najbardziej ujęło, było nadzwyczajne osiągnięcie, którego dokonała po śmierci małżonka.

Gdy Dytryk zmarł w 1221 roku, jego jedyny żyjący syn z prawego łoża miał zaledwie trzy lata. Młodszy brat Jutty z drugiego małżeństwa Hermana, landgraf Ludwik IV z Turyngii, który w tym samym roku poślubił Elżbietę, córkę węgierskiego króla, która później została uznana za świętą, przejął kuratelę nad małym Henrykiem i protektorat nad Marchią Miśnieńską oraz Marchią Wschodnią, dzisiejszymi Łużycami. Zamierzał przyłączyć te ziemie do Turyngii. Jednakże Jutta zdołała utrzymać margrabstwa dla swego syna, którego miała z Dytrykiem, nawet po śmierci Ludwika, a gdy ten zmarł, wniosła Wettynom jeszcze Turyngię.

Syn Dytryka przeszedł później do historii jako „Henryk Dostojny”. Był jednym z najpotężniejszych i najznakomitszych książąt swej epoki, minezingerem, organizatorem legendarnych turniejów i stanowczym przywódcą. Udało mu się nawet ożenić swego syna Albrechta z cesarską córką, co w ówczesnych czasach było szczytowym osiągnięciem dla księcia Rzeszy. Jednak ta historia wprowadza nas już prawie w czasy *Srebra i krwi*<sup>27</sup>...

## Historyczne przypadki kryminalne

Po wycieczce w historię Wettynów i Ludowingów u schyłku XII i na początku XIII wieku przyszedł czas na obowiązkowe zestawienie, które z przedstawionych w książce wydarzeń faktycznie miały miejsce, a które zostały wymyślone.

Wiem, że większość czytelników powieści historycznych chciałaby to wiedzieć, i uważam, że jako autorka jestem im winna wyjaśnienie. Chętnie o tym piszę, chodzi mi bowiem w efekcie o to, by w swoich książkach opisać kawałek niemieckiej historii. Staram się trzymać faktów na tyle ściśle, na ile pozwalają na to często niepełne i sprzeczne źródła oraz specyfika powieści.

W moich książkach rzeczywiste wydarzenia zawsze stanowią podstawowe rusztowanie planu akcji, któremu podporządkowuję wszystkie pozostałe szczegóły. Zatem czytelnicy mogą przyjąć, że wszystkie przedstawione bitwy, zjazdy nadworne, oblężenia itp. naprawdę się odbyły, mimo że ze względu na brak dokładnych przekazów ich szczegółowy przebieg jest fikcyjny.

Przyjrzyjmy się im po kolei.

Dytryk zaraz po powrocie do Weissenfels rzeczywiście został zaatakowany i oblężony przez swego brata Albrechta i musiał poprosić Turyngię o wsparcie. Historia powtórzyła się w 1194 roku, z tym że miała nieco bardziej gwałtowny przebieg i w efekcie doprowadziła do bitwy pod Röblingen.

Kronikarskie relacje czasami się mieszają i nakładają na siebie, w niektórych jest nawet mowa o interwencji Czechów, o której nie wspomniałam w książce, ponieważ przekazy na ten temat są zbyt mgliste i niejednoznaczne. Albrecht już podczas pierwszego oblężenia miał wznieść twierdzę naprzeciwko Weissenfels, ale tak szybko nie budowano wówczas zamków. Zapewne chodziło o obóz na przeciwległej górze, która w związku z tym do dziś nosi nazwę Klemmberg. Dopiero podczas ataku w 1194 roku Albrecht mógł rzeczywiście dysponować przeciwną twierdzą.

Szczegóły zawarcia pokoju zostały wymyślone przeze mnie, ponieważ nie ma na ten temat żadnych informacji. Niemniej jednak Dytryk musiał znaleźć sposób, by zmusić brata do tymczasowego zaniechania napaści.

Tak więc Albrecht starał się innymi sposobami działać na szkodę brata i jego sojuszników. Na zjeździe nadwornym w Nordhausen faktycznie publicznie oskarżył landgrafa Hermana o plan zamachu na cesarza. Lecz Hermanowi udało się wkrótce przedstawić wiarygodne dowody i obalić oskarżenie. W 1194 roku nastąpiła kulminacja działań wojennych między Dytrykiem i Albrechtem, po zajęciu Camburga i ponownych walkach o Weissenfels w bitwie pod Röblingen w Mansfelder Land. Dokładnie nie wiadomo, kiedy się odbyła, ale wydaje mi się logiczne, że Albrecht, zgodnie z tym, co napisałam, odczekał z atakiem do wyjazdu cesarza z kraju.

Podczas wykopalisk archeologicznych w Röblingen odkryto setki szkieletów, które pogrzebano dokładnie w taki sam sposób, jak to opisałam w książce. Zatem musiała się tam rozegrać spora bitwa. Archeolodzy znaleźli także ostrze lancy, które przeszło łopatkę. Uważny czytelnik odnajdzie je w tej książce.

Kronika również opisuje, jak Albrecht z kilkoma ludźmi na zmordowanych koniach musiał uciekać do klasztoru, a później w pożyczonym od opata habicie umknął do Lipska.

Prawdą jest również to, że margrabia Konrad z Marchii Wschodniej i książę Bernard z Anhaltu uświadomili mu, iż przebrał miarę i powinien zwrócić się do cesarza, prosząc o okazanie łaski.

Podobnie sprawa się miała z oślepieniem przez Albrechta jednego z cesarskich ministeriałów. Miał na imię Bernard, ale bliższych szczegółów nie dało się niestety ustalić.



Ten okrutny czyn nastawił przeciwko Albrechtowi pozostałych ministeriałów, albowiem źródła potwierdzają, że wsparli Dytryka, ale nie wiadomo, czy osoby, które przedstawiłam, a wszystkie w owym czasie żyły i działały, rzeczywiście zjawiły się w Röblingen. Żadna wzmianka na ten temat nie podaje konkretnych nazwisk. Niemniej jednak mogli się tam pojawić, a być może nawet byli.

Faktem jest, że po klęsce pod Röblingen Albrecht pojechał za cesarzem na Sycylię, ale nie uzyskał audiencji. Po tym wydarzeniu musiał chyba podjąć ową tragiczną w skutkach decyzję, odzwierciedloną w kronikach, o obwarowaniu się w Lipsku i spaleniu wszystkich posiadłości (w rozbieżnej wersji: wszystkich posiadłości prócz Miśni, Camburga i Freibergu).

Nie zdążył tego uczynić, ponieważ otruto go we Freibergu. Przekazy podają imię służącego Hugolda, który miał mu podać truciznę, jednakże nie wiadomo dokładnie z czyjego polecenia. Albrecht zmarł w mękach po drodze do Miśni, w młynie w Krummenhennersdorfie w pobliżu Freibergu, który później w podzięce za przyjęcie konającego został zwolniony z podatku. Legenda głosi, że zwłoki wydzielały przerażający fetor, który obecni uznali za ostateczny znak na potwierdzenie jego niegodziwości.

Albrecht z pewnością zrobił sobie wielu wrogów wśród ludzi.

Ale śmierć Zofii, która cztery tygodnie później została otruta w ten sam sposób, jest zagadkowa. Dlaczego cztery tygodnie później? Jeśli mogła wydać mordercę, zostałaby zgładzona od razu.

Kto odniósł korzyść? To klasyczne pytanie w przypadku morderstwa skłoniło mnie do przypisania otruc cesarzowi. Albrecht zdecydowanie przesadził i stał się dla cesarza jednym wielkim utrapieniem. Z Marchią Miśnieńską cesarz mógł uczynić to, co nie udało mu się z Turynią, mógł ją sobie wziąć. A jeśli Zofia faktycznie była w ciąży? Potencjalny potomek z prawego łóża zniweczyłby jego plany.

Może wszystko potoczyło się zgoła inaczej. A może wcale tak daleko nie odbiegłam od prawdy? Któż to wie?

Fakt, że Dytryk najwyraźniej nie pojechał do cesarza i nie poprosił o inwestyturę Marchii Miśnieńskiej, dowodzi, jak słabo oceniał swe szanse i jakiego ukrytego ryzyka się domyślał. Może również wyjaśniać, dlaczego po tragedii trzeciej wyprawy krzyżowej ponownie zdecydował się na udział w podobnym przedsięwzięciu. Niewykluczone, że zażądano od niego tego symbolicznego gestu dla okazania, że nie podejmie żadnych działań w celu odzyskania kraju swego ojca.

Dziękuję historykom, doktorowi André Thieme i Stefanowi Auert-Watzikowi, którzy obszernie przedyskutowali ze mną te i wiele innych kwestii, na które w materiałach źródłowych nie było odpowiedzi.

Natomiast nierozwiązaną zagadką nadal pozostaje znalezisko archeologów z miśnieńskiej góry zamkowej. Odkryto tam pozostałości po potężnym pożarze. Pomiędzy rokiem 1190 a 1200 spłonął zamek margrabiego, a jego fundamenty rozbito. Mniejsze ślady spaleń odnaleziono także na obszarze podległym burgrabiemu, w przedniej części.

Nie wiadomo, kto zrównał wówczas z ziemią palatium, i nie ma na to logicznego wytłumaczenia.

Wskutek walk między Ottonem a Albrechtem? Obaj chcieli tam rządzić, nie zniszczyliby swego ośrodka władzy. Cesarz po przejściu Marchii Miśnieńskiej też postanowiłby zachować zamek, osadziłby w nim bowiem swego namiestnika. W trakcie odbijania Marchii Miśnieńskiej Dytryk też nie spaliłby pałacu, do którego zamierzał się wprowadzić. Szczególnie że nie musiał o niego specjalnie walczyć. Mieszkańcy Miśni, a w szczególności szlachta, stali po jego stronie, a ponadto hrabia prawdopodobnie zawarł wcześniej układ z Filipem Szwabskim albo przynajmniej prowadził negocjacje.

Ponieważ jednak zamek został spalony właśnie w tych latach, nie mogłam go zostawić w nienaruszonym stanie i mam nadzieję, że moja próba wyjaśnienia tego incydentu w pewnym sensie Państwa usatysfakcjonowała. W każdym razie kustosz zamku Albrechtsburg w Miśni pozostawił mi w tym względzie wolną rękę.

Dziękuję za to, Uwe Michaelu!

Jeśli chodzi o niemiecką wyprawę krzyżową, moje opowiadanie odzwierciedla jej znany przebieg. Starcia zaraz po przybyciu pierwszych kontyngentów, marsz na Bejrut, oblężenie Tibninu oraz beznadziejna ucieczka armii przy bardzo złej pogodzie miały miejsce naprawdę, podobnie jak powstanie zakonu krzyżackiego w marcu 1198 roku.

Jednakże margrabia Konrad dotarł do Akki dopiero z głównymi siłami armii. Dla wykorzystania potencjału jego osoby kazałam mu w powieści przybyć razem z Dytrykiem i przednią strażą.

Niektórych czytelników może zdziwić fakt, że w powieści występują te same imiona turyńskich urzędników dworskich co w *Srebrze i krwi*, mimo że akcja tamtej książki rozgrywa się sto lat później. Dla przykładu przytoczę nazwiska Rudolfa z Varguli czy Guntera ze Schlotheim. To nie są te same osoby, lecz te same rodziny, w obrębie których imiona przekazywane były z pokolenia na pokolenie.

Przy imieniu Hermana z Salzy niejeden czytelnik wspomni, że był on przyszłym wielkim mistrzem zakonu krzyżackiego, znaczącym dyplomata i zaufanym człowiekiem Fryderyka II, a tym samym jedną z najważniejszych osobistości swej epoki. Nie wiadomo, czy walczył w Weissenfels albo pod Röblingen, tak jak ujęłam to w mojej powieści. W każdym razie na pewno był z landgrafem Ludwikiem na trzeciej wyprawie krzyżowej, a później wyruszył na wyprawę z Hermanem, następcą Ludwika. Chcąc poświęcić jego osobie więcej miejsca, wysłałam go również pod Röblingen. Może nawet tam był. Był krzyżowcem i z pewnością nie przyglądał się obojętnie, gdy w nikczemny sposób zaatakowano jego towarzysza broni.

Ponadto znawcy z pewnością się domyślą, jakim to młodym talentem o imieniu Walter zachwycił się Ludmił. Oczywiście miał na myśli Waltera z Vogelweide. Źródła dokumentują jego późniejszą obecność także na dworze Hermana i na zamku w Miśni. Landgraf Herman uchodził za szczególnego mecenasa minezingerów. To właśnie z nim wiąże się słynna legenda o turnieju śpiewaczym na Wartburgu, mimo że nie ma żadnych historycznych źródeł, które by potwierdzały jej prawdziwość.

# Podziękowania

Bez pomocy i udziału wielu ludzi ta książka, a właściwie cała seria powieści, w ogóle by nie powstała. Dziękuję im wszystkim i mam gorącą nadzieję, że o nikim nie zapomniałam.

Przede wszystkim pragnę podziękować historykom, doktorowi André Thieme i Stefanowi Auert-Watzikowi, za wyczerpujące fachowe porady oraz za to, że wobec braku źródłowych dowodów przedyskutowali ze mną wiele kwestii, rekonstruując w wyobraźni potencjalnie możliwy przebieg wydarzeń. Stefanowi Auert-Watzikowi chcę dodatkowo podziękować za tablice genealogiczne. Czytelnicy od dawna o nie pytali, a zestawienie ich przez kompetentnego historyka na potrzeby powieści stanowi dla autorki zaszczyt porównywalny do rycerskiego pasowania!

Szczególnie serdecznie chciałabym podziękować organizatorom sympozjum na temat historii regionalnej w Landsbergu. Dostarczyło mi ono wielu szczegółów, które mogłam tutaj wykorzystać, przede wszystkim dotyczących niedocenianego zwykle margrabiego Konrada. Największe podziękowanie dla rodziny Mertensów!

Dziękuję Angeli Kiessling z naukowego archiwum Akademii Górniczej we Freibergu za wiele nieodzownych materiałów źródłowych, które mi udostępniła, Gabrieli Meissner za wiele dobrych rad na temat leczniczych ziół, Hansowi Friebe, który jest prawdziwą skarbnicą wiedzy o średniowiecznym mincerstwie, doktorowi Rainerowi Sennewaldowi oraz doktorowi Manfredowi Jäkelowi za fachowe porady z zakresu historii górnictwa i geologii, Uschi i doktorowi Rainerowi Bartuschowi za kilka istotnych danych dotyczących Miśni, doktorowi Michaelowi Düsingowi za jego prace badawcze z zakresu życia Żydów we Freibergu, dziękuję prawdziwemu grajkowi Ludmiłowi, że wolno mi było wykorzystać jego imię, Katharinie Wegelt za krytyczną lekturę manuskryptu i uwagi oraz terapeutce Danieli Liske, która swymi doprawdy złotymi rękoma rozluźniała nawet najmocniejsze napięcie moich mięśni, gdy po przesadnie długim pisaniu niemal nie mogłam się ruszać, a ostatnimi czasy zdarzało się to aż nadto często.

Do pogłębienia i uszczegółowienia mojej wiedzy na temat średniowiecza w ostatnich latach ogromnie przyczyniło się środowisko skupione wokół rekonstrukcji historycznych. Dlatego chciałabym w tym miejscu napisać o nim kilka słów więcej.

W oczach niektórych ludzi może to jedynie grupka postrzeleńców, oczywiście w pozytywnym znaczeniu tego słowa, którzy w weekendy spotykają się w średniowiecznych obozach. Rzecz jasna, mogliby zamiast tego na przykład zbierać znaczki albo hodować kaktusy. Jednak wolą sobie w praktyczny sposób przybliżyć przeszłość, życie naszych przodków, co też czynią z imponującą wprost skrupulatnością i wiernością w oddaniu szczegółów. Nauczyłam się od nich wiele o dworskich manierach, strojach, pożywieniu oraz oczywiście o średniowiecznych technikach walki. Ponadto znalazłam wśród nich dobrych przyjaciół. Dzisiaj nie potrafię sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób bez tych znajomości miałabym pisać powieści o średniowieczu.

Dlatego na początku dziękuję kołom zainteresowań „Mark Meißen 1200” i „Meißnische Panzerreiter” za udział w premierze książki i zainteresowanie moimi powieściami, a w szczególności:

Katji oraz Thomasowi Friedrichom za wstępną lekturę, wiele dobrych rad oraz wycieczkę do Weissenfels,

Thomasowi Krause z koła „Meißnische Panzerreiter” za porady na temat walki konnej i pielęgnacji koni po przeprawie,

Ralfowi Jungowi, Thomasowi Friedrichowi, André Wiegandowi oraz Tino Gottschallowi z koła

„Mark Meißen 1200” za to, że na zamku Weissenfels razem ze mną przedyskutowali szczegóły walki z końcowej sceny i dodali jeszcze kilka dodatkowych pomysłów,

oraz Patrickowi Künzelowi za wstępną lekturę manuskryptu.

Przekazuję serdeczne podziękowania grupie „Hochmuot” za niuanse dworskiego protokołu oraz za przebieg ceremonii degustacji.

Matthiasowi Voigtowi, Karsten Scherner i Erikowi Mertensowi ze szkoły historycznego fechtunku „Pax et Codex” w Landsbergu dziękuję za porady dotyczące scen pojedynków,

Maikowi Elligerowi, pierwszemu prezesowi stowarzyszenia rycerskiego z Turyngii (Freier Ritterbund Thüringen e. V.) za fachowe porady wojskowe specyficzne dla Turyngii, na przykład podczas podboju Camburga,

Odo von Craienowi z grupy rekonstrukcji historycznych „Templer-Komthurey” z Berlina za szczegółową wiedzę o zakonach rycerskich,

oraz grupie „Franko-Flämischen Contingent” za to, że wiosną mogłam gościć na ich treningu i obejrzeć na własne oczy, jak wyglądała walka średniowiecznej armii, złożonej z kawalerii, infanterii i łuczników.

Teraz ogromne podziękowanie

dla mojego agenta, Romana Hocke z AVA International, który mnie wspierał i dodawał mi odwagi, bym mogła w porę oddać gotowy manuskrypt do druku, mimo że temat niemal eksplodował mi w rękach,

dla pracowników grupy wydawniczej Droemer Knauer, którzy się postarali, by z grubego pliku ośmiuset zapisanych stron powstała prawdziwa, pociągająca książka, bardzo szczególnie dziękuję doktorowi Hansowi-Peterowi Übleisowi i Christine Steffen-Reimann,

dla Kerstin von Dobschütz za jej staranne czytanie,

dla Renate Bremerstein za zorganizowanie z prawdziwą miłością do szczegółu literackiej przechadzki po Freibergu śladami Marty,

dla księgarzy, którzy dobrze eksponują moje powieści i polecają je swoim klientom, oraz oczywiście dla wielu wiernych fanów i czytelników!

Listami i swym zachwytem podczas wieczorów autorskich dodali mi Państwo skrzydeł, które pomogły przetrwać nawet te najtrudniejsze fazy przychodzące podczas pisania, a ponadto z moich poprzednich książek uczyniliście Państwo bestsellery!

Teraz mam nadzieję, że tę książkę również przyjmą Państwo z radością, a z rozmów i listów od fanów wiem, że wielu z Państwa na nią niecierpliwie czekało.

Wiem, że każdy z Państwa ma bardzo dokładne wyobrażenie i życzenia dotyczące zakończenia historii, a te bardzo się między sobą różnią. Tak więc, jako że nie da się zadowolić wszystkich, wybrałam zakończenie, które wydawało mi się najlepiej pasować.

Mam nadzieję, że się Państwu spodoba.

Informacje dotyczące dalszych losów historycznych postaci zostały przeze mnie podane, dalszy zaś ciąg historii Marty, Łukasza i ich przyjaciół mogą sobie Czytelnicy dopowiedzieć w myślach według własnego uznania, jeśli oczywiście mają Państwo ochotę.

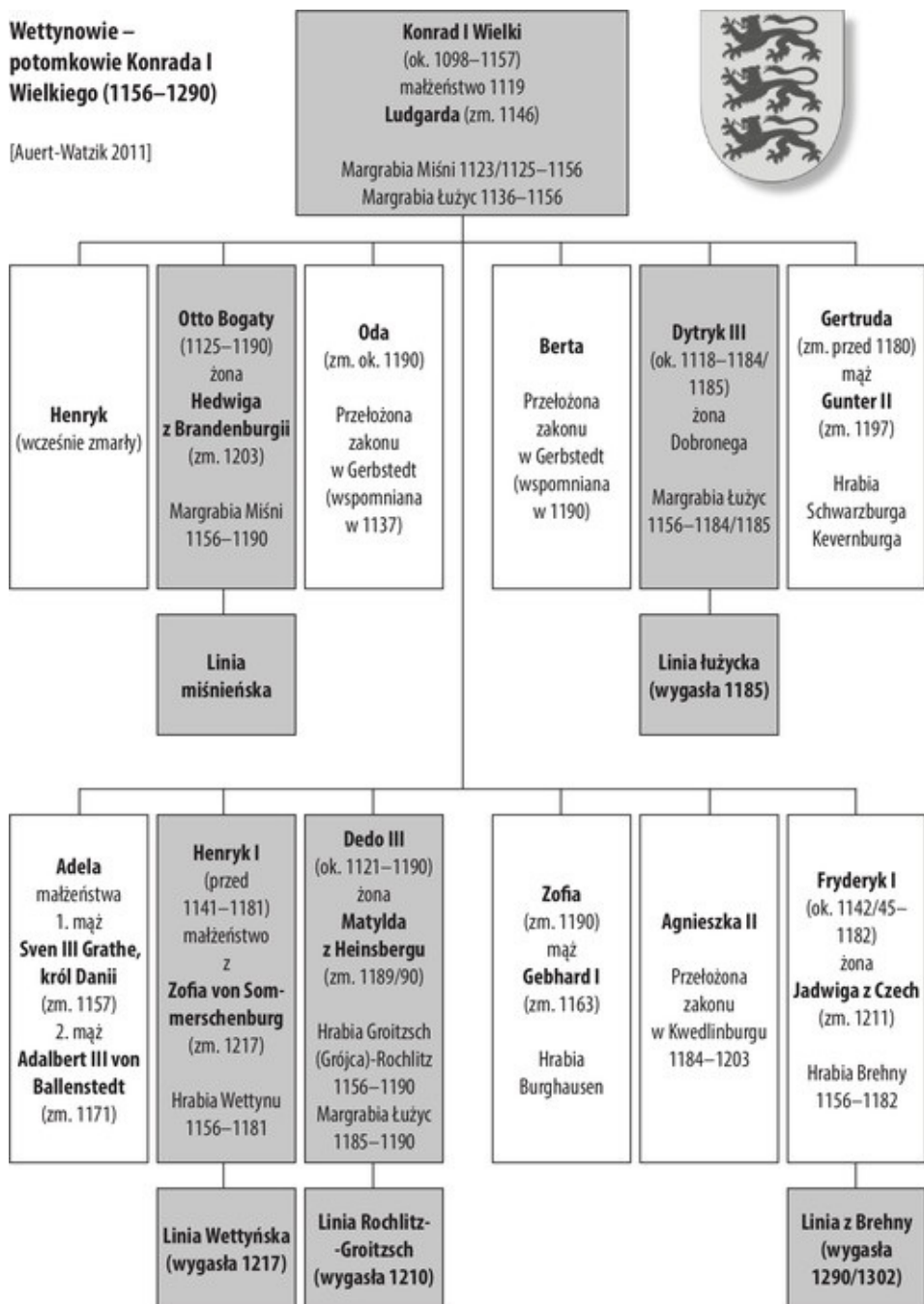
*Freiberg, w lipcu 2011 roku*

- 1 Niem. Christiansdorf – nazwa osady w południowej Saksonii u podnóża Rudaw, pochodząca od imienia jej założyciela (niem. Dorf – wieś) – wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- 2 Niem. Bertholdsdorf.
- 3 Niem. Conradsdorf.
- 4 Bliaud – wierzchnia szata noszona przez szlachetnie urodzone kobiety, a także mężczyzn w okresie od XI do XII wieku.
- 5 Przeszywanica (nazywana także gambesonem) – rodzaj grubego, pikowanego kaftana wykonanego z wielu warstw płótna lub skóry, zakładanego pod kolczugę dla amortyzowania ciosów podczas walki.
- 6 Palatium – w architekturze starożytnej i średniowiecznej reprezentacyjna budowla mieszkalna; tu: główny budynek zamku.
- 7 Serwient – w średniowieczu zawodowy żołnierz plebejski, służący konno lub pieszo.
- 8 Ministeriał – w średniowiecznej Rzeszy Niemieckiej początkowo niewolny urzędnik dworski i członek orszaku możnowładcy, z czasem często uzyskiwał wolność i przynależność do stanu rycerskiego; ministeriałowie często sprawowali ważne funkcje.
- 9 Outremer (Zamorze) – określenie stosowane w średniowieczu na oznaczanie terenów zajętych przez krzyżowców podczas pierwszej wyprawy krzyżowej, obejmujących nadbrzeżny pas Morza Śródziemnego (krótko istniejące hrabstwo Edessy, księstwo Antiochii, hrabstwo Trypolisu i Królestwo Jerozolimskie).
- 10 Akwamanila – naczynie na wodę do polewania rąk, często w kształcie tygrysa lub jeźdźca; miało istotne znaczenie w rytualnych obrzędach.
- 11 W Akce mieszczanie z Bremy i Lubeki zorganizowali dla niemieckich krzyżowców szpital polowy pod żaglami okrętu wyciągniętego na brzeg, rozpiętymi na kształt dachu.
- 12 Nogawice – średniowieczny pierwowzór dzisiejszych spodni, w formie oddzielnych nogawic wiązanych do pasa.
- 13 W języku niemieckim: *die Klemme* – kleszcze, tarapaty; *der Berg* – góra, wzniesienie.
- 14 Askańczycy – ród książęcy, który wziął nazwę od łacińskiej nazwy miasta Aschersleben – Askania, w dzisiejszej Saksonii-Anhalt.
- 15 Z niemieckiego: *weiß* – biały, *der Fels* – skała, stąd skojarzenie: Weissenfels – biała skała.
- 16 Pleissenland – obszar na terenie środkowych Niemiec, na pograniczu Turynгии i Miśni, rozciągający się od Altenburga po rzekę Pleisse.
- 17 Dziesięcina Saladyna – jednorazowy podatek nałożony w 1188 roku przez królów Anglii Henryka II i Francji Filipa II Augusta, w wysokości dziesiątej części wartości dóbr ruchomych i dochodów pieniężnych, przeznaczony na zorganizowanie III krucjaty (za encyklopedią PWN).
- 18 Gieźło – luźna płócienna koszula kobieca używana w średniowieczu i czasach renesansu, była często marszczona przy dekolcie i miała z przodu ozdobne hafty.
- 19 Elżbieta Mieszkówna, córka księcia wielkopolskiego Mieszka III Starego i jego pierwszej żony Elżbiety; żona księcia Czech Sobiesława II, następnie margrabiego Konrada II z Wettynów.
- 20 Preszburg – dzisiejsza Bratysława.
- 21 Cylicja – historyczna kraina w południowo-wschodniej Azji Mniejszej, obecnie terytorium Turcji.
- 22 Bitwa pod Hittin (nazywana też bitwą pod Rogami Hittinu) – bitwa stoczona 4.07.1187 roku między wojskami Królestwa Jerozolimskiego, dowodzonymi przez Gwidona z Lusignan, i wojskami sułtana Saladyna; większość krzyżowców została zabita albo pojmana przez muzułmańską armię.
- 23 Tyr (obecnie Sur) – starożytne miasto fenickie, teraz miasto i port w Libanie południowym u wybrzeża Morza Śródziemnego.
- 24 Buhurt – popisowa walka podczas turnieju, w której brała udział większa liczba rycerzy, podzielonych na dwie występujące przeciwko sobie grupy.
- 25 Pasamonik – dawny rzemieślnik wyrabiający pasy, frędzle, taśmy i lamówki do obszywania ubrań i tkanin.
- 26 Legenda o długiej szychcie (Bergmannssage von der Langen Schicht) – stara legenda niemieckich górników z miejscowości Ehrenfriedersdorf o górniku, który został zasypany w zawałonym korytarzu. Dopiero po sześćdziesięciu latach od wypadku przypadkowo odnaleziono i pochowano jego ciało.
- 27 *Blut und Silber* – powieść Sabine Ebert wydana w 2009 roku.

# Tablice genealogiczne

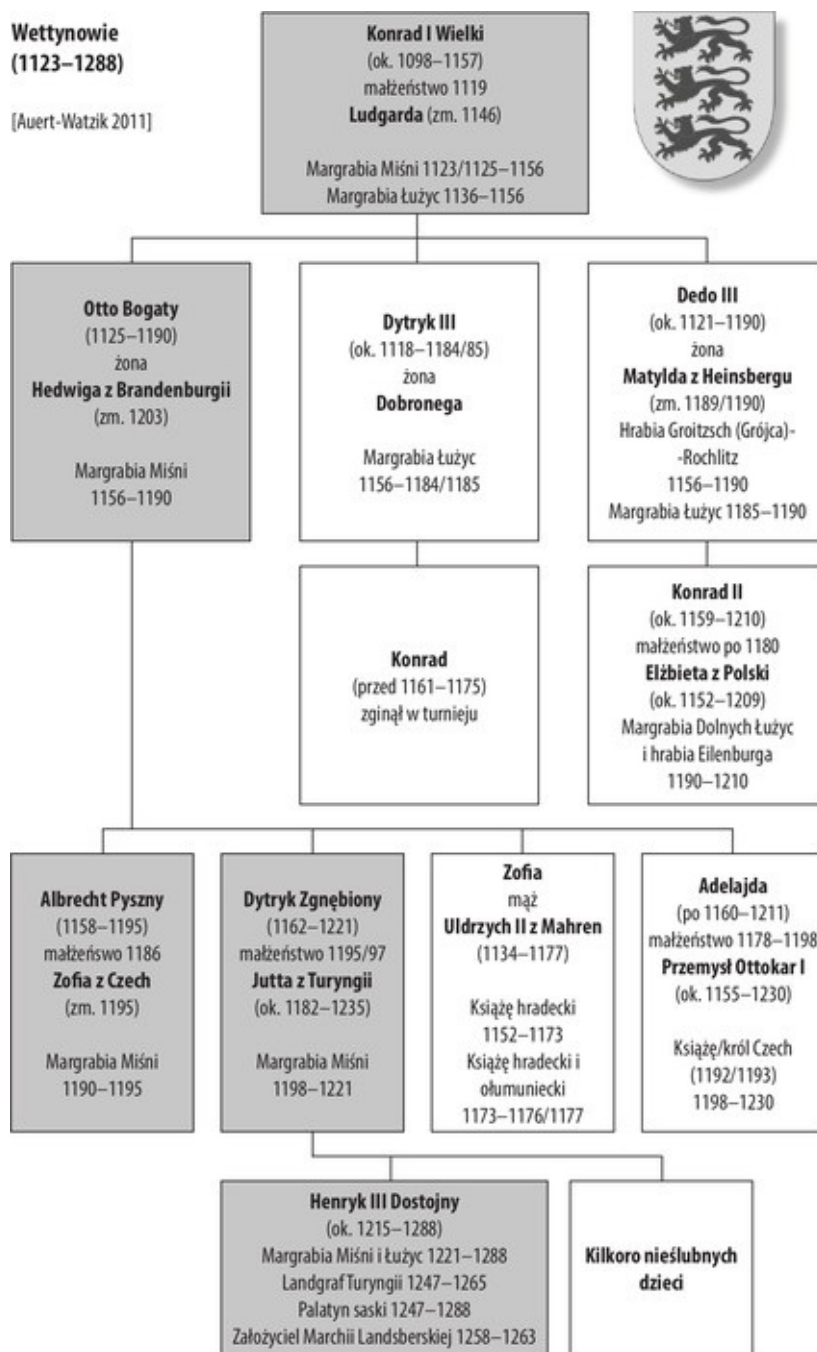
**Wettynowie –  
potomkowie Konrada I  
Wielkiego (1156–1290)**

[Auert-Watzik 2011]



**Wettynowie  
(1123–1288)**

[Auert-Watzik 2011]



**Wettynowie**  
**(1221–1349)**

[Auert-Watzik 2011]

**Henryk III Dostojny** (ok. 1215–1288)  
małżeństwa 1234/1244/po 1268  
**Konstancja z Austrii** (ok. 1212–1243)  
**Agnieszka z Czech** (ok. 1230–1268)  
**Elżbieta von Maltitz** (1238/1239–1333)

Margrabia Miśni i Łużyc 1221–1288  
Landgraf Turynгии 1247–1265  
Palatyn saski 1247–1288  
Założyciel Marchii Landsberskiej 1258–1263



z I małżeństwa

**Albrecht II Wyrodny**  
(1240–1314)  
żona  
**Małgorzata Stauf**  
(ok. 1237–1270)  
Margrabia Miśni 1288–1292

z III małżeństwa

**Dytryk Mądry**  
(1242–1285)  
żona  
**Helena z Brandemburgii**  
(zm. 1304)  
Margrabia Landsbergu  
1263/1265–1285

**Fryderyk Mały**  
(1273–1316)  
Pan Drezna, Tharandtu,  
Radebergu i Grossenhainu  
1287–1289/1316

**Fryderyk Tuta** (1269–1291)  
małżeństwo 1287  
**Katarzyna z Bawarii**  
(1267–1303/1310)  
Margrabia Landsbergu  
1285–1291  
Margrabia Łużyc i Miśni  
1285/1288–1291

**Fryderyk I Dzielny** (1257–1323)  
małżeństwa 1286/1300  
**Agnieszka z Karyntii** (zm. 1293)  
**Elżbieta z Lobdeburg-Arnshaugk** (1286–1359)  
Margrabia Miśni 1292–1323  
Landgraf Turynгии 1292–1323

**Dytryk IV zwany Diezmannem**  
(ok. 1260–ok. 1307)  
małżeństwo 1295  
**Judyta z Hennebergu** (zm. 1316)  
Margrabia Łużyc 1291–1303  
Pan Osterlandu 1291?

z I małżeństwa

**Fryderyk Kulawy**  
(1293–1315)  
małżeństwo 1308  
**Anna z Saksonii(-Wittenbergi)**  
(zm. 1327)

z II małżeństwa

**Fryderyk II Poważny** (1310–1349)  
małżeństwo 1328  
**Matylda z Bawarii** (1309–1346)  
Margrabia Miśni i landgraf Turynгии  
1323–1349



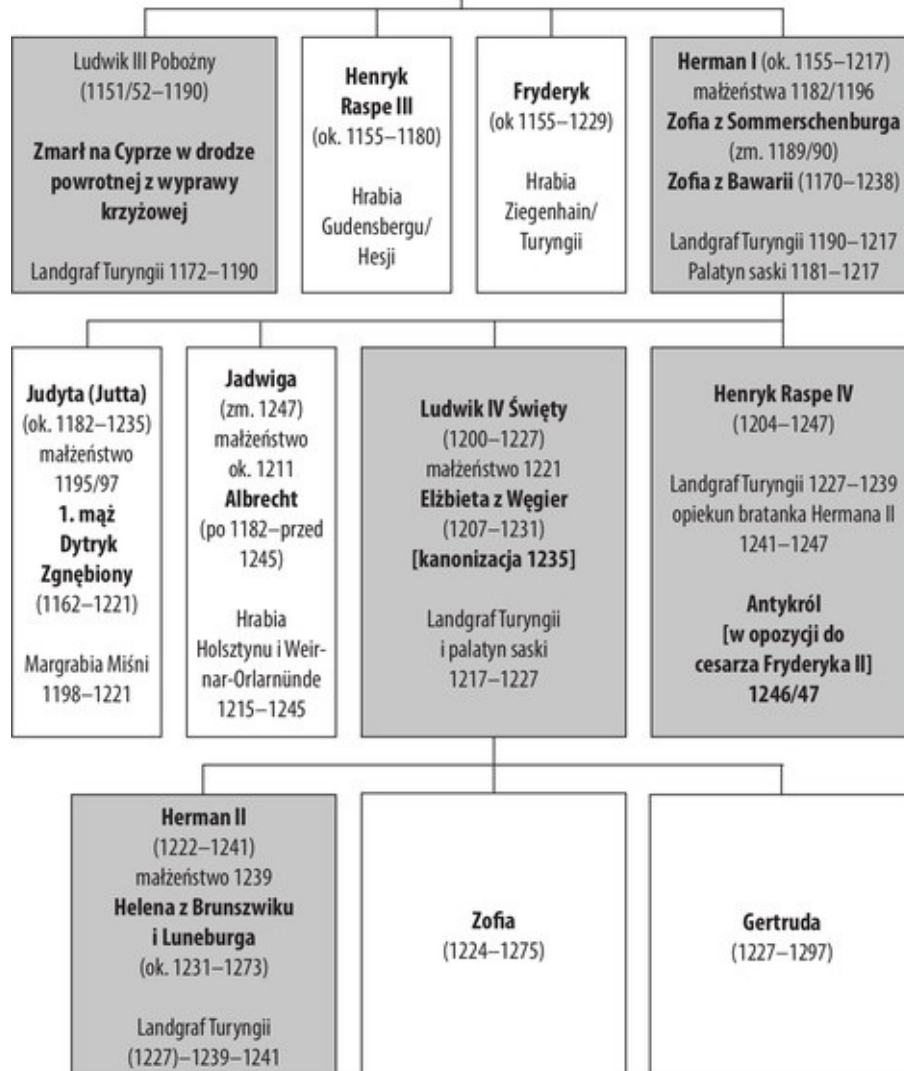
**Ludowingowie  
(1128–1241)**

[Auert-Watzik 2011]

**Ludwik II Żelazny**  
(1128–1172)  
oo. 1150

**Judyta ze Szwabii**  
(ok. 1133/1134–1191)

Landgraf Turyngii  
1140–1172

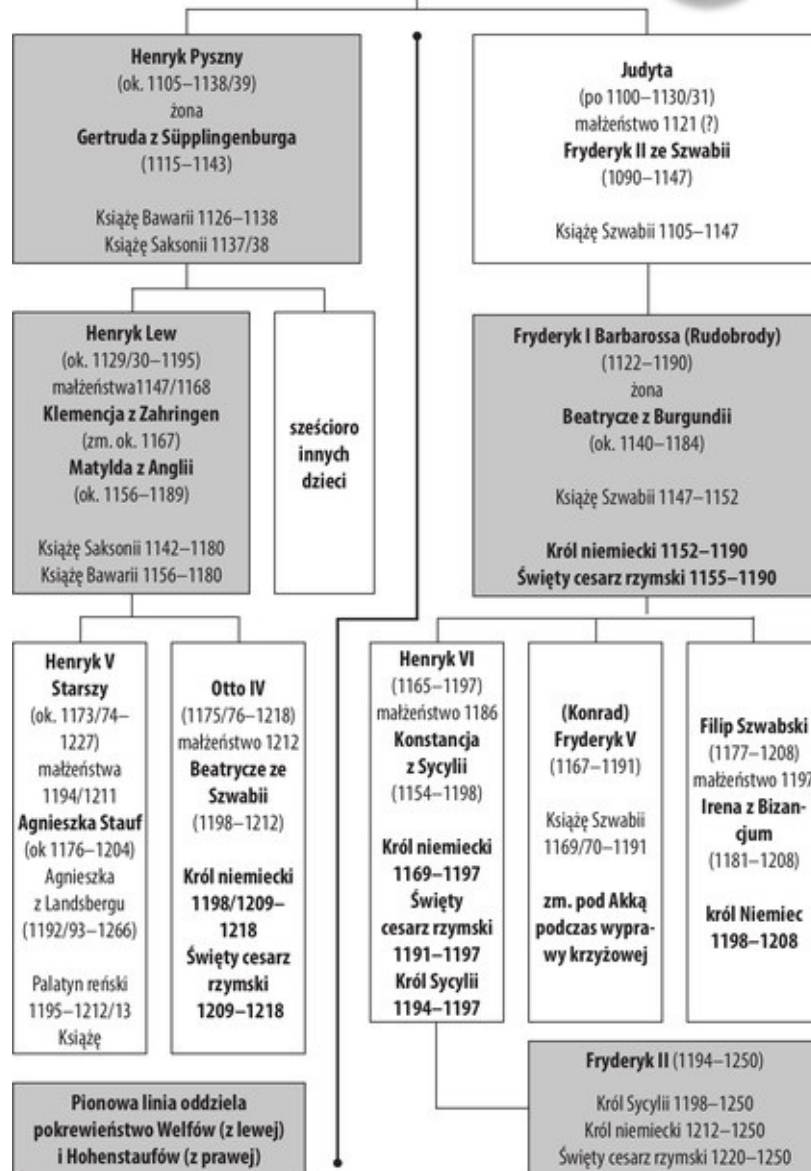


**Welfowie  
i Staufowie  
(1075–1250)**

[Auert-Watzik 2011]

**Henryk IX** (1075–1126)  
małżeństwo 1095/1100  
**Wulfhilda Billung** (zm. 1126)

Książę Bawarii 1120–1126



# Tablice chronologiczne

- 1155 Fryderyk I z rodu Staufów, zwany Barbarosą (Rudobrodym), w 1152 wybrany na króla, zostaje w Rzymie koronowany na cesarza.
- 1156 Otto z Wettynu zostaje margrabią Miśni po wstąpieniu jego ojca Konrada Wielkiego do klasztoru i podziale ziemi między synów.
- 1162 Otto funduje klasztor cystersów Cella Sanctae Mariae (Marienzelle, obecnie Altzella) w pobliżu Nossen, który został poświęcony w 1175 roku.
- ok. 1165 Lipsk otrzymuje prawa miejskie od margrabiego Ottona.
- 1168 Po raz pierwszy natrafiono na srebro w Chrystianowie, późniejszym Freibergu.
- 1169 Syn Barbarossy Henryk VI zostaje w wieku czterech lat koronowany na cesarza.
- 1173 Margrabia Otto rozpoczyna budowę kasztelu w Chrystianowie.
- 1176 Dochodzi do rozłamu między cesarzem a Henrykiem Lwem. Tuż potem dochodzi do bitwy pod Legnano, gdzie Barbarossa, pozbawiony wsparcia Henryka, ponosi sromotną klęskę.
- 1177 Po dwudziestoletnim sporze w Wenecji dochodzi do pogodzenia się cesarza Fryderyka Staufa i papieża Aleksandra III.
- 1180 Na zjeździe w Würzburgu Henryk Lew zostaje skazany na banicję. W tym samym roku podczas zjazdów nadwornych w Gelnhausen i w Regensburgu jego księstwo zostaje podzielone i rozdane. Askańczyk Bernard z Aschersleben otrzymuje tytuł księcia Saksonii po tym, jak zachodnia część kraju została odłączona i jako nowe księstwo Westfalii trafiła w ręce arcybiskupa Kolonii. Otto Wittelsbach zostaje księciem Bawarii, z której wydzielono Styrię.
- 1180 Po upływie terminu zawieszenia broni armia Henryka rusza na Goslar. Nie udaje mu się zdobyć miasta, ale niszczy kopalnie srebra i urządzenia hutnicze w pobliżu Rammelsbergu, co pociąga za sobą wzmożoną migrację górników z Harcu do Chrystianowa.
- 1180 Większość zwolenników Lwa daje posłuch ultimatum cesarza i przekazuje mu miasta i twierdze.
- 1181 Na zjeździe nadwornym w grudniu 1181 r. w Erfurcie pokonany Henryk Lew poddaje się cesarzowi. Może zatrzymać Brunszwik i Luneburg, ale zostaje na trzy lata wygnany z kraju i przenosi się do swego teścia, króla Anglii Henryka Plantageneta.
- Zielone Świątki 1184* Podczas dworskich uroczystości w Moguncji Barbarossa z wyjątkowym przepychem świętuje pasowanie na rycerzy swych synów Henryka i Fryderyka.
- 1185 (?) Chrystianowo otrzymuje prawa miejskie i wkrótce zostaje nazwane Freibergiem.
- 4 lipca 1187* W bitwie pod Rogami Hittinu w Ziemi Świętej chrześcijańska armia zostaje rozgromiona i niemal doszczętnie zniszczona przez wojska Saladyna. Wszyscy rycerze zakonnicy zostają straceni, a król Jerozolimy Gwidon z Lusignan trafia do niewoli, podobnie jak wielki mistrz zakonu templariuszy oraz wielki mistrz zakonu joannitów. Wkrótce potem Saladyn podbija miasto za miastem, z wyjątkiem Tyru. Drugiego października Saladyn wkracza do Jerozolimy.
- 29 października 1187* Papież Grzegorz VIII wzywa do trzeciej wyprawy krzyżowej.
- 27 marca 1188* Cesarz Fryderyk Barbarossa zwołuje w Moguncji zjazd dworski „Hoftag Jesu Christi” i za zgodą książąt postanawia o wyruszeniu na krucjatę. Poprzedzający rok wykorzystał na przygotowania do wyprawy krzyżowej – zarówno na uzgodnienia dyplomatyczne z władcami krajów, przez które miała przejść jego armia, jak i uregulowanie ewentualnych kwestii spornych w cesarstwie.
- 1189 Albrecht, najstarszy syn margrabiego Ottona z Wettynu, uwięził ojca na zamku Döben w pobliżu miasta Grimma, chcąc na nim wymusić, by to on, nie zaś jego młodszy brat Dytryk, przejął w spadku Marchię Miśnieńską. Cesarz wyruszył już na wyprawę krzyżową, lecz interweniuje i nakazuje uwolnić Ottona.
- 11 maja 1189* Z Ratyzbony wyrusza armia krzyżowców Barbarossy.
- 25–28 maja 1189* W Preszburgu cesarz oficjalnie przekazuje władzę swemu synowi Henrykowi VI. Dytryk z Weissenfels, młodszy syn margrabiego miśnieńskiego, przyłącza się do krzyżowców.
- 28 sierpnia 1189* Gwidon z Lusignan, dawniej król Jerozolimy, rozpoczyna oblężenie Akki.
- 18 lutego 1190* Umiera margrabia miśnieński Otto z Wettynu. Później otrzyma przydomek „Bogaty”. Marchia Miśnieńska przechodzi pod panowanie jego najstarszego syna Albrechta.
- 10 czerwca 1190* Cesarz Fryderyk Stauf topi się podczas III wyprawy krzyżowej na terenie dzisiejszej Turcji. Po tym wydarzeniu duża część zdemoralizowanych krzyżowców wraca do domu.
- 16 sierpnia 1190* Margrabia Marchii Wschodniej Dedo III umiera wskutek zabiegu operacyjnego mającego na celu wycięcie nadmiaru tłuszczu. Rządy w marchii przejmuje jego syn Konrad.
- 7 października 1190* Zaraza w Antiochii pochłania olbrzymią liczbę ofiar wśród krzyżowców. Pozostałości armii niemieckich krzyżowców docierają do Akki, od ponad roku obleganej przez Gwidona z Lusignan.
- 16 października 1190* Landgraf Turyngii Ludwik III umiera na Cyprze w drodze powrotnej z Akki. Król Henryk odmawia nadania Turyngii jako lenna bratu Ludwika Hermanowi. Jednak nie udaje mu się zrealizować planu zatrzymania Turyngii. Herman godzi się na znaczne ustępstwa i zostaje landgrafem Turyngii.

20 stycznia 1191	Książę Szwabii Fryderyk, syn Barbarossy, umiera pod Akką na zarazę, która pochłania wiele ofiar.
15 kwietnia 1191	Papież Celestyn III dokonuje cesarskiej koronacji Henryka VI. Zaraz potem Henryk rusza na podbój Sycylii.
20 kwietnia 1191	Francuski król Filip II August dociera z armią pod Akkę i wspiera oblężenie.
Maj 1191	Cesarz Henryk VI oblega Neapol. Jednakże po wybuchu zarazy w lecie musi przerwać oblężenie.
8 czerwca 1191	Król Anglii Ryszard Lwie Serce dociera z wojskiem pod Akkę, a wcześniej podbija Cypr.
11 lipca 1191	Akka kapituluje. Kilka dni później niemieccy krzyżowcy się wycofują, ponieważ ich dowódca Leopold Austriacki poczuł się obrażony przez angielskiego króla.
20 sierpnia 1191	Ryszard Lwie Serce rozkazuje stracić 2700 muzułmańskich mieszkańców Akki.
7 września 1191	Armia Ryszarda Lwie Serce zwycięża pod Arsuf armię Saladyna, liczącą 80 tysięcy ludzi.
Jesień 1191	Dytryk z Weissenfels wraca z wyprawy krzyżowej i zaraz po powrocie zostaje zaatakowany przez swego starszego brata Albrechta. Jest zmuszony do zawarcia taktycznego układu z landgrafem Turyngii, który żąda w zamian małżeństwa Dytryka ze swoją córką Juttą. Dzięki wojskowemu wsparciu z Turyngii Dytrykowi udaje się odeprzeć brata.
Październik 1192	Margrabia miśnieński Albrecht Pyszny podczas zjazdu nadwornego w Nordhausen oskarża landgraфа Hermana z Turyngii o plan zabójstwa cesarza i wyzywa Hermana na sąd Boży. W trakcie kolejnych dni zjazdu Hermanowi udaje się wykazać, że oskarżenie jest bezpodstawne.
Kwiecień 1192	Konrad z Montferratu zostaje królem Jerozolimy, a Gwidon z Lusignan spleciony Cyprem. Kilka dni później (28 kwietnia) Konrad zostaje zaszytyetowany przez asasynów.
2 września 1192	Ryszard Lwie Serce i Saladyn zawierają trzyletni rozejm. Wkrótce potem król Ryszard opuszcza Ziemię Świętą. W drodze powrotnej do domu w grudniu 1192 r. zostaje pojmany przez Leopolda Austriackiego, który przekazuje go cesarzowi Henrykowi VI. Ryszard przez ponad rok jest więźniem na zamku Trifels, 4 lutego 1194 r. odzyskuje wolność w zamian za gigantyczny okup.
Marzec 1193	Umiera Saladyn.
20 lutego 1194	Umiera król Sycylii Tankred z Lecce. Wkrótce potem cesarz Henryk VI wyrusza na podbój Sycylii. Neapol tym razem bez najmniejszego oporu otwiera przed nim bramy, Salerno zostaje zdobyte i spalone w zemście za uwięzienie cesarzowej Konstancji, do którego doszło trzy lata wcześniej, 17 września 1191 r.
1194	Pod nieobecność cesarza Albrecht z Wettynu znów napada brata. Jego atak na Weissenfels zostaje odparty, w bitwie pod Röblingen ponosi smrotną klęskę w starciu z połączonymi wojskami Dytryka i turyńskiego landgraфа Hermana. Ministeriałowie opowiadają się po stronie Dytryka.
20 listopada 1194	Henryk VI z wielką pompą wkracza do Salemo.
25 grudnia 1194	Henryk VI zostaje koronowany na króla Sycylii.
26 grudnia 1194	Cesarzowa Konstancja wydaje na świat syna, późniejszego Fryderyka II.
Koniec 1194/ /początek 1195	Powstanie na Sycylii krwawo stłumione przez cesarza.
Wielkanoc 1195	Cesarz Henryk VI wzywa do kolejnej wyprawy krzyżowej. On sam planuje wystawić 1500 rycerzy, tyleż samo pieszych żołnierzy oraz wyposażyc i wysłać odpowiednią liczbę pachołków. Pieniądze na ten cel uzyskał od cesarza Bizancjum. Ponieważ w ciągu roku wielu znaczących książąt wyraziło gotowość do wzięcia udziału w wyprawie, wyruszenie armii, zaplanowane na początek roku 1196, uległo ponad rocznemu opóźnieniu.
24 czerwca 1195	Po okresie okrutnych rządów Albrecht Pyszny zostaje otruty we Freibergu. Umiera w drodze do Miśni zaledwie kilka kilometrów za Freibergiem, w młynie w Krummenhennersdorfie. Cesarz Henryk VI włącza Marchię Miśnieńską do lenna Rzeszy.
Boże Narodzenie 1196	Pod naciskiem cesarza jego dwuletni syn Fryderyk II zostaje obrany na króla. Jednak jego plan, by zamienić Niemcy w monarchię dziedziczną, spala na panewce ze względu na opór książąt.
5 stycznia 1197	Na sądzie ziemskim w Schkölen Dytryk żegna się oficjalnie z Weissenfels i ponownie wyrusza do Ziemi Świętej. Z tej okazji jego matka Hedwiga przekazuje darowiznę klasztorowi Altzella.
Połowa 1197	Wojsko Henryka VI ponownie tłumi powstanie na Sycylii.
10 września 1197	W Akce Henryk z Szampanii, władca królestwa Jerozolimy, ponosi śmierć, wypadając z okna.
28 września 1197	Podczas gdy część armii wyruszyła już do Ziemi Świętej, Henryk VI umiera w wieku trzydziestu dwóch lat w Mesynie, najprawdopodobniej z powodu ataku malarii. Papież Celestyn III ekskomunikował go z powodu uwięzienia Ryszarda Lwie Serce, toteż dopiero jego następcą Innocenty III wyraża w 1198 r. zgodę na uroczysty pochówek w katedrze w Palermo. Wkrótce po śmierci Henryka wybucha spór o sukcesję po nim.
Sierpień/wrzesień 1197	Większość niemieckich krzyżowców dociera do Akki. Ponownie dochodzi do starć zagrażających rozejmowi.
Październik 1197	Armia niemieckich krzyżowców na rozkaz cesarza zdobywa Bejrut, by ukrocić szerzące się stamtąd piractwo. W listopadzie Amalryk II z Lusignan zostaje wybrany w Bejrucie na króla Jerozolimy. Pierwsze wieści o śmierci cesarza wywołują niepokoje, jednak krzyżowcy ponownie uznają Fryderyka II.
28 listopada 1197	Armia niemieckich krzyżowców rozpoczyna oblężenie twierdzy Tibnin między Tyrem a Damaszkim.
1 lutego 1198	Na radzie wojennej zapada decyzja o wyruszeniu następnego dnia na rozstrzygającą bitwę. Nadciąga armia z Damaszk. Jednakże w nocy, gdy rozchodzi się wieść o sporze o niemiecki tron, wycofuje się 6000 ludzi będących na żołdzie cesarza,

pozostali podczas gwałtownej burzy uciekają w bezładzie w kierunku Tyru.

*5 marca 1198*

Niemieckie bractwo szpitalne w Akce zostaje wyniesione do rangi zakonu rycerskiego. W założeniu niemieckiego zakonu uczestniczą liczni Niemiecy książęta, w tym Dytryk z Weissenfels i Herman z Turyngii. Później krzyżowcy wracają do ojczyzny, by zająć stanowisko w sporze o tron między Filipem ze Szwabii a Ottonem z Brunszwiku.

*8 marca 1198*

Ponieważ Welfowie mają własnego kandydata do tronu, książęta popierający Staufów wybierają w Mühlbergu na króla Filipa ze Szwabii. Rozumieją, że nie uda im się przeforsować kandydatury trzyletniego Fryderyka jako następcy tronu. Jednak elekcja nie jest niepodważalna, zabrakło bowiem podczas niej trzech reńskich arcybiskupów.

*9 czerwca 1198*

Dokonany głównie przez książąt Kościoła wybór na króla szesnastoletniego Ottona z Brunszwiku, syna Henryka Lwa. Dwunastego lipca odbywa się w Akwizgranie jego koronacja – wprawdzie w tradycyjnym miejscu, ale bez stosownych insygniów.

*8 września 1198*

W Moguncji odbywa się koronacja Filipa ze Szwabii – ze stosownymi insygniami, lecz nie w tradycyjnym miejscu. Spór między dwoma królami przez dziesięć lat dzieli kraj. Herman z Turyngii siedem razy zmienia stronę w tym sporze. Dwudziestego pierwszego czerwca 1208 r. Filip zostaje zamordowany przez Ottona Wittelsbacha, a w kolejnym roku Ottonowi IV udaje się koronować na cesarza. Jest jedynym w historii cesarzem Welfem.

*1198*

Po śmierci Henryka VI Dytryk z Weissenfels, syn margrabiego Ottona Bogatego, zdobywa na powrót Marchię Miśnieńską.

*Listopad 1198*

Dytryk z Weissenfels, zwany później Dytrykiem Zgnębionym, po raz pierwszy oficjalnie otrzymuje Marchię Miśnieńską. Po nadaniu lenna przez króla Filipa ze Szwabii zrzęcznie powiększa tereny swych wpływów. Staje się znany jako protektor miast. Najważniejszym założonym przez niego miastem jest Drezno, któremu w roku 1206 nadaje prawa miejskie.

# Uwagi do tablic genealogicznych

Dla lepszego zrozumienia niezbędne są następujące uwagi: proste, ciągłe linie („rozgałęzienia”) oznaczają stosunki pokrewieństwa zapisane w źródłach i dokumentach oraz w literaturze wtórnej. Osoby na szarym tle reprezentują na większości tablic genealogicznych przebiegającą w dół kolejność linii sukcesji władzy, a konkretnie: tablica genealogiczna prezentująca potomków Konrada I Wielkiego (1156–1290) demonstruje pięć linii wettyńskich, wyodrębnionych wskutek podziału spadku, które pokazano w następujących po sobie ramkach.

Tablice przedstawiające Wettynów 1123–1288 oraz 1221–1349 akcentują szarym tłem kolejność sukcesji margrabiów miśnieńskich.

W tablicy genealogicznej Ludowingów barwne tło oznacza kolejność landgrafów Turyngii.

W tablicy Welfów i Staufów (1075–1250) szare tło wskazuje na kolejność książąt Szwabii, względnie, począwszy od Fryderyka I Barbarossy (1122–1190), odnosi się do tytułu królewskiego w dynastii Staufów.

Stefan Auert-Watzik